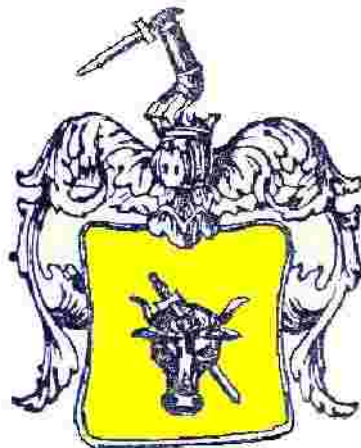


Maria z Bartoszewiczów Karnkowska

W S P O M N I E N I A

Czesc I. i II.



Wydano przez Kazimierza Karnkowskiego
Baden CH-5400 – Czerwiec 2013.

S P I S R Z E C Z Y

Rozdz.	T R E S C	Str.
	C Z E S C I	3
1.	Przedmowa do wydania z kwietnia 2002 r.	7
2.	Przedmowa do wydania ze stycznia 2012 r.	8
3.	Wstęp.	9
4.	Troche genealogii.	10
5.	Kariera polityczna Joachima Bartoszewicza.	19
6.	Bartoszewicze Dambscy i Mittelstaedt'owie.	21
7.	Pierwsze lata w Wiecininie.	27
8.	Malženstwo J. Bartoszewicza ze St. Damska.	31
9.	Ogród w Wiecininie.	36
10.	Gospodarstwo domowe.	40
11.	Gospodarka rolna.	44
12.	Sasiedzi.	46
13.	Ludzisk, Chytrowo i inne podróże.	48
14.	Kraków i Zaolzie.	55
15.	Zycie sasiedzkie.	57
16.	Pracownicy folwarczni.	60
17.	Zycie religijne.	63
18.	Wybuch I wojny swiatowej.	67
19.	Edukacja w Wiecininie.	69
20.	Wiecinin w czasie I wojny swiatowej.	70
21.	Szymanów.	72
22.	Przebudowa domu w Wiecininie.	76
23.	Pobyt w Warszawie i wojna 1920 r.	79
24.	Wiecinin po wojnie 1920 r.	84
25.	Choroba i smierc Matki.	92
26.	Wiecinin po smierci Matki.	95
27.	Podróże kształca.	102
28.	Wiecinin i poznanie Teodora Karnkowskiego.	109
29.	Majatek Paniewo (opis oficjalny).	114
30.	Badania naukowców z UW w Paniewie w lipcu 1918 r.	116
31.	Majatek Paniewo (rzeczywistosc).	119
32.	Pasma kradziezy i klesk.	125
33.	Zycie i praca w Paniewie, c. d.	127
34.	Goscie w Paniewie.	133
35.	Zycie i praca w Paniewie c. d.	136
36.	Topiel w przereblu.	138
37.	Okres przed wybuchem wojny, 1939 r.	141
	C Z E S C II	147
1.	Słowo wstępne do czesci drugiej.	149
2.	Ucieczka i powrót.	151

3.	Z powrotem w Paniewie	155
4.	Wysiedlenie	159
5.	Wieckowice.	162
6.	Choroba meza.	169
7.	Smierc Ojca.	173
8.	Rekonesans w Paniewie.	177
9.	Ostateczny powrót z wysiedlenia.	180
10.	Wypędzenie z Paniewa i pobyt w Goplanie.	189
11.	List z USA.	200
12.	Komaszyce.	202
13.	Pierwszy okres malborski.	207
14.	Gronowo.	211
15.	Drugi okres malborski.	215
16.	Epilog.	225
17.	Aneks 1, MARIANNA ANTONINA POBÓG DMOCHOWSKA.	234
18.	Aneks 2, Vox Populi – Vox Dei. - SŁOWO SWIADKA HISTORII.	239
19.	Spis ilustracji do części I i części II.	243
20.	Materialy źródłowe.	247
21.	Wykaz przypisów.	251
22.	Tablice alfabetyczne.	253
	KONIEC	270



1. Maria z Bartoszewiczów Karnkowska (BKD 52).
Portret pedagoga Włodzimierza (BKM 434) Bartoszewicza, w posiadaniu Kazimierza (BKD 54) Karnkowskiego

1. P R Z E D M O W A (do wydania z kwietnia 2002)

Autorka urodziła się 26. 08. 1902 r. w Wiecininie pow. Kolo i zm. 06.11.1980 r. w Poznaniu. Wspomnienia te zaczęła pisać w 1972 r. Dedykacja synowi Kazimierzowi Karnkowskiemu nosi datę 17. 09. 1980 r. W połowie lat 70 autorka została sparaliżowana i większość tych wspomnień napisała leżąc w łóżku, lub siedząc na wózku inwalidzkim, nie dysponując, żadnymi danymi, mapami i innymi w takim wypadku stosowanymi pomocami. Kontaktowanie się z jeszcze żyjącymi świadkami wydarzeń było utrudnione ze względu na jej kalectwo, oraz ze względu na wiek tychże świadków. Tym też należy wytłumaczyć pewne braki w datach itp. niedociągnięcia. Do wspomnień tych wróciłem pracując na historii rodu Karnkowskich i w ramach tego opracowania nad historią ród Karnkowskich z Paniewa. Już na emeryturze, będąc pozbawiony codziennych kłopotów związanych z pracą zawodową, oraz po uzyskaniu pewnego doświadczenia zwróciłem uwagę na wielkie walory wspomnień mojej Matki.

Ujmują one w sposób zwięzły historie rodzin Damskich Ludziska, Bartoszewiczów z Wiecinina i Karnkowskich z Paniewa na przestrzeni ponad stu lat, oraz pokazują sposób życia klasy ziemianskiej na tzw. „zapadłej wsi”. Opisują też współżycie z sąsiadami, problemy zarobkowania na utrzymanie, stosunki na wsi itd. Opisane wydarzenia rozgrywiają się w okresie od chwili poprzedzającej I Wojnę Światową do około 10 lat po II Wojnie Światowej, a więc do pewnego ustabilizowania się sytuacji.

Jednym z walorów tych wspomnień jest granicząca z naiwnością szczerść i samokrytycyzm w stosunku do własnej osoby i jednocześnie życzliwość w stosunku do osób trzecich. Pomimo tego, że Wiecinin był ze względów komunikacyjnych usytuowany niekorzystnie, do najbliższej mało uczęszczanej linii kolejowej Kutno-Bydgoszcz było 28 km fatalnej drogi, Bartoszewiczowie, byli rodziną żywo interesującą się bieżącymi wydarzeniami światowymi, aczkolwiek o poglądach konserwatywnych, a w Wiecininie książka, czytelnictwo, znajomość języków obcych i wykształcenie nie było pustym słowem i posiadało zawsze wysoką rangę. Ojciec autorki, a mój Dziadek, urodził i wychował się w Warszawie, a maturę zdał w Dorpacie gdzie kontynuował studia prawnicze (jego ojciec był lekarzem w Warszawie). Jego brat Joachim Bartoszewicz posiadał trzy doktoraty: z medycyny na UW, z dyplomacji na École Libre de Sciences Politiques et Sociales i z prawa na Uniwersytecie Lwowskim. Poza tym był sekretarzem delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Wersalu, a następnie senatorem RP i wybitnym przywódcą Stronnictwa Narodowego. Rodzina Bartoszewiczów była spokrewniona z rodziną Grabskich i Kirkorów/Kiedroniów, z którymi utrzymywała bliskie kontakty. Utrzymywała też żywe kontakty z wieloma innymi osobami.

Autorka charakteryzowała się niezwykle pedantycznie do wiedzy i do poznania świata. Zdziwiał fakt, że ta dziewczyna z „zapadłej wsi”, znalazła nie tylko dobre warszawskie, krakowskie, poznańskie i lwowskie, ale zwiedzała jeszcze przed I wojną światową podziemne chodniki kopalni węgla w cieszyńskim, była w Kaszubach, w sanockim, w Jazłowie, w Worochcie, w Jaremczu, w osiedlu osadników wojskowych na Wołyniu, zwiedzała Białowieżę i puszcze na Polesiu w okolicy Pruzan. Już, jako dziewczynka wykorzystywała każdą okazję, żeby chodzić na koncerty, zwiedzać muzea, słuchać płyt niedostępnych oper, (z których arie chętnie nuciła do późnego wieku) i przyglądać się dyskusjom znanych osobistości. Przed wybuchem I wojny światowej wraz z pomocą swej matki uczyła służbę folwarczną na czytania i pisanie po polsku, co było wówczas zabronione i karane. W czasie wojny w 1920 roku była na kursach ogrodniczo-pszczelarskich w Warszawie niedziele poświęcała na prace z rannymi żołnierzami w Szpitalu Ujazdowskim, a po powrocie do Wiecinina stawiała się na kurs sanitariuszek wojskowych w Kole. Zawsze przykładła wielką wagę i wkładała wiele osobistej pracy i inwencji do podniesienia dochodowości najpierw majątku swego Ojca, a potem wspólnie z mężem Paniewa.

Do każdej pracy, przed którą postawiły ją wydarzenia zabierała się w młodym wieku z entuzjazmem, a później bez narzekania i starała się ją zawsze wykonać jak najlepiej i pracowita i niezwykle obowiązkowa. Nie było dla niej pracy za trudnej, lub za ciężkiej, czy to, jako 10 letnia dziewczynka podejmowała się nauki dzieci folwarcznych, czy kiedy w latach 50-tych jednocześnie, pracowała zawodowo, doila krowe, wyuczyła od niej gnoj, uprawiała ogródek, pielęgnowała ciężko chorego męża wychowując i utrzymując dwoje dzieci. Nigdy nie narzekała na ciężki los, lub niedostatek, wszystkie upokorzenia przyjmowała w milczeniu. Była wzorowo gościnnie i nawet w największym okresie przepracowania, lub niedostatku materialnego cieszyła się szczerze z każdej wizyty, nawet z wielodniowym przenocowaniem i wyżywieniem.

W czasie II wojny światowej i po niej przeżyła najpierw wysiedlenie przez Niemców, a potem rabunek i wypędzenie przez Polaków, oraz wszystkie związane z tym przykrości, niedostatek i inne następstwa, przy tym choroba i śmierć swej Matki, swego Ojca, a następnie Meza, których pielęgnowała osobiście z absolutnym zaparciem się siebie samej, aż do ich śmierci. W najtrudniejszych chwilach potrafiła zachować dobry humor i pogodę ducha.

Chwalenie własnej Matki przez syna jest czymś naturalnym. Uważam, że Maria Karnkowska prowadziła piękne i godne nasładowictwa życie i ma wiele do powiedzenia przyszłym pokoleniom. Jej wspomnienia będą interesujące dla każdego, którego interesuje dzień powszedni różnych ludzi w różnych epokach.

Otrzymałem egzemplarz aczkolwiek przepisany na maszynie i oprawiony posiadał wiele błędów technicznych, nie był podzielony na rozdziały itd. Pozwoliłem sobie przepisać całość od nowa zaopatrzyć w przypisy, podzielić na rozdziały uzupełnić znane mi fakty i daty, oraz wykonać zgodnie z umiejętnościami pracę redaktorską. Styl został zachowany w miarę możliwości bez zmian.

2. P R Z E D M O W A (do wydania ze stycznia 2012)

W okresie 10 lat od wydania pierwszej wersji, uzyskałem szereg wiadomości uzupełniających wspomnienia Matki, fotografii i ulepszyłem swą technikę pracy. Postanowiłem więc uwzględnić w kolejnym wydaniu. Są to, przede wszystkim wycinki z drzew genealogicznych (d. g.) rodów Damskich i Mittelstaedtów, oraz tablice alfabetyczne, do tych wycinków d. g. i różne drobne wiadomości, oraz szczegóły techniczne skłaniania pisma.

Po namyśle zrezygnowałem z indeksów dochodząc do wniosku, że tablice alfabetyczne zastępują indeksy osobowe, a może nawet lepiej spełniają swój cel, wskazując odrazy powiązanie szukanej osoby z większą ilością osób. Indeksy miejscowości, o ile chodzi o majątki zostały zastąpione adnotacjami na wycinkach drzewa genealogicznego, a pozostałe wycinkami z map.

Rozszerzenie przedmowy (we wrześniu i grudniu 2012) o nowopoznane fakty.

W pierwszej połowie 2012 r. uzyskałem niespodzianie 3 nowe kontakty, które mnie zaskoczyły i wrzuciły swą bezpośrednią serdecznością i podniosły w moich oczach postać i tak już ubóstwianej Matki, oraz Ojca. Były to dokładne opisy faktów z okresu przedwojennego, lub bezpośrednio po wojnie, pracowników i służby opowiadane z podziwem już przez wnuków tzn., w 3-ciej generacji.

Były to wspomnienia:

1. Ze Skulska, miasteczka położonego w bezpośrednim sąsiedztwie majątku moich Rodziców Paniewa, stanowiącego jakby administracyjny i komunikacyjny łącznik ze światem. Wspomnienia pochodziły z kregu (biednych) malorolnych gospodarzy, którzy dorabiali sobie pracę w majątku moich dziadków. Ci przechowali bezinteresownie, przez okres wojny szereg przedmiotów, które udało się ukryć, przed wysiedleniem nas przez Niemców i powitali nas serdecznie po naszym powrocie. Z tego źródła otrzymałem też potwierdzenie wielokrotnych rujnujących nas kradzieży w majątku moich Rodziców, w okresie międzywojennym i po wkroczeniu Niemców. Niestety polska policja nie była w stanie wykryć sprawców, Niemcy natomiast wykryli ich w kilka dni.
2. Pewnej, lekarki z USA, która znalazła w internecie nazwę majątku mego Dziadka, ze strony Matki, moje nazwisko i adres. Otóż zaraz po wojnie, mój Wuj, syn Dziadka który zmarł na wysiedleniu, wróciwszy do Wiecinina, majątku Dziadka zorientował się, że nie ma mowy o pozostaniu w swym domu rodzinnym, że tak majątkowi jak dworowi grozi rabunek i ruina. Dla zabezpieczenia obiektu, ze swych mizernych wówczas środków, zakupił ławki szkolne, zorganizował szkołę i zaangażował nauczycielkę. Ta nauczycielka, była babką, lekarką z USA, która pochodząc ze skromnej rodziny z Poznania spędziła w wiecinimskim dworze i parku kilka najpiękniejszych wakacji swego życia. Wrażenia były tak silne, że odwiedzając na wiosnę 2012 r. rodzinę w Polsce, nie mogła się powstrzymać i odwiedziła zdewastowany dwór i park w Wiecininie. Przesłała mi zdjęcia wykonane przez swego męża i zapytywała o losy dworu i jego dawnych mieszkańców.
3. Włuczki pokojówki w Paniewie, dzisiaj światowej pani zajmującej poważne stanowisko w jednej z niemieckich firm w Polsce. Pani ta znalazła przypadkowo, mój ślad, a następnie adres w internecie. Wspomnienia o Paniewie moich Rodzicach, ówczesnych wydarzeniach, opowiadane ze szczegółami przez jej Babcię i siostrę, brzmiały bez mała jak wyjątki zainspirowane po przeczytaniu PANA TADEUSZA. Otrzymałem też parę fotografii.

Doszedłem do wniosku, że opisy te jak i fotografie, należy za pozwoleniem autorów i autorek, wpisać w całość WSPOMNIENIA Matki.

3. W S T E P

WSPOMNIENIA

Marii (BKD 52, córki Jana (BKD 52) Bartoszewicza i Stanisławy (BKD 52) z Damskich właścicieli majątku Wiecinin, pow. Kolo. Zony Teodora (BKD 52, BKK 260) Karnkowskiego, syna Kazimierza (BKK 212) Mscisława Antoniego Karnkowskiego i Lucji Michaliny (BKK 257) z Górskich właścicieli majątku Bochlewo a później niewa pow. Słupca.



W moim długim życiu, właśnie koncze 70 lat¹, nie było mi danym brać udziału w jakichś specjalnym wydarzeniach, nie odgrywałam nigdy żadnej politycznej czy też społecznej roli, nie mniej żyjąc w środowisku inteligentnym i stykając się nierzadko z wybitnymi ludźmi, mieszkającymi czy to w stolicy, czy na wsi, zaangażowanymi w różnych dziedzinach życia, miałam niejednokrotnie możliwość uczestniczenia w rozmowach i dyskusjach poruszających szereg problemów, interesujących każdego, komu dobro Ojczyzny leżało na sercu. Dyskutowano również na inne tematy związane z przeczytanymi książkami - czy też aktualnymi problemami. Starano się czytać wartościowe pozycje literatury nie tylko polskiej, ale i zagranicznej, abonowano pisma codzienne lub miesięczniki.

Wspomnieniami tymi zamierzam objąć dość długi okres czasu, sięgający bez mała stu lat, a to dzięki temu, że przebywając wiele czasu z moim Ojcem (stracił wzrok, mając zaledwie 40 lat) chętnie słuchałam jego wspomnień z lat nie tylko młodzińskich, ale i dziecińczych, a mając dobrą pamięć zapamiętałam wiele rzeczy, o których dzisiaj nikt prawie nie wie. Choć nie są to rzeczy rewelacyjne, może jednak trud mój nie pójdzie na marne i sposób życia, praca, warunki egzystencji, zainteresowania, jednym słowem wszystko, co składało się na ówczesny klimat i tworzyło świat, który zginął bezpowrotnie, zainteresuje nie tylko moje wnuki, ale także ewentualnie i inne osoby interesujące się przeszłością kraju.

Wspomnienia te pragnę podzielić na dwie części: pierwsza kończyć się będzie z rokiem 1939-ym, bo mniej więcej do tego czasu, sposób życia, warunki egzystencji ziemianstwa, choć oczywiście powoli ulegały zmianom, jednak wszystko toczyło się ustalonym od dziesiątków lat trybem - dopiero wojna i jej konsekwencje sprawiły, że wszystko, czym żyła ta warstwa społeczeństwa polskiego zginęło bezpowrotnie. Aczł się nowy okres w historii Narodu, ale i w egzystencji każdej rodziny ziemianskiej, każdego z poszczególnych jej członków.

Sądze, że to wszystko, co każdy z nas musiał przeżyć w czasie wojny, a także po jej zakończeniu, a przecież każda rodzina, różne przez te wszystkie lata przechodziła koleje, sposób, w jaki musieliśmy znaleźć swoje miejsce w tak bardzo pod każdym względem zmienionych warunkach, tak odrebnych od tego, z czym byliśmy związani i czym żyliśmy dotąd, może być ciekawe dla tych wszystkich, którzy patrzą na to, jak na rzeczy całkiem niezrozumiałe i dla których stanowi to rodzaj egzotyki.

Dzisiaj, kiedy to wiele osób pisze pamiętniki lub wspomnienia związane z ludźmi, którzy odegrali jakąś wybitną rolę w życiu kraju, względnie sami autorzy mają wiele frapujących przeżyć i wspomnień - moje nie pretendują do zajęcia jakiejś specjalnej pozycji w ich gronie, gdyż będa to tylko wspomnienia osoby pochodzącej i żyjącej w sferze średnio zamoznego ziemianstwa, które w wielu wypadkach musiałoby się natrudzić i napracować, aby utrzymać się na odziedziczonym, albo nawet nabytym kawalku ziemi, jednak usilowali nie koncentrować swych wysiłków i pracy tylko na celach osobistych, ale starali się zadocuczynić obowiązkom patriotycznym i społecznym, promieniować zainteresowaniami związanymi z życiem umysłowym i kulturalnym, starając się zawsze być wiernym tradycjom narodowym i rodzinnym i w pełni zasługiwać na sprostanie obowiązkom i odegranie roli przysługującej przywódcom narodu. Byli przekonani, że potrafią zrobić to lepiej niżli przedstawiciele pozostałych warstw społecznych, wierzyli w to, że jeśli szlachta w ciągu wielu wieków nie tylko walczyła w obronie kraju, ale potrafiła także brać aktywny udział w współzarządzaniu Rzeczpospolitą, to także i teraz, bogatsza o doświadczenia ostatnich dziesiątków lat, zdoła poprowadzić kraj we właściwym kierunku, tak, aby zapewnić mu jak najpomysłniejszą przyszłość.

Maria Halina z Bartoszewiczów Karnkowska

z Paniewa

Poznań 1980 r.

¹ Aktualizując nowe wydanie, koncze (16. 06. 2013), 80 r. (Kazimierz Karnkowski 2013. 06. 04).

4 . T R O C H E G E N E A L O G I I

OD CZASÓW NAJDAWNIEJSZYCH DO CHWILI WYBUCHU PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ W 1914 R.

Najpierw trochę wiadomości o rodzinie Bartoszewiczów herbu Pomian. Pochodziła ona z Wielkopolski. Wiadomo, że jeden z jej przedstawicieli Bartosz walczył pod Grunwaldem i wkrótce potem przeniósł się na Litwę (Zmudz).

W roku 1600, w rozdziale dotyczącym Mscisławia, występuje Bartoszewicz, bez podania imienia z miejscowości Sochon.

1. POPIS SZLACHTY LIDZKIEJ Z 1765 r.				
Poz.	Imie	Nazwisko	Parafia	
1.	Alexander	JPan Bartoszewicz	Wawiórska	
2.	Jakub	JPan Bartoszewicz	Wawiórska	
3.	Antoni	JPan Bartoszewicz	Nacka	
4.	Tomasz	JPan Bartoszewicz	Nacka	
5.	Ignacy	JPan Bartoszewicz	Radunska	
6.	Mateusz	JPan Bartoszewicz	Radunska	
7.	Adam	JPan Bartoszewicz	Radunska	
8.	Andrzej	JPan Bartoszewicz	Radunska	
9.	Michał	JPan Bartoszewicz	Radunska	
10.	Michał	JPan Bartoszewicz	Radunska	
11.	Franciszek	JPan Bartoszewicz	Radunska	
12.	Jan	JPan Bartoszewicz	Radunska	
13.	Franciszek	JPan Bartoszewicz	Radunska	
14.	Jakub	JPan Bartoszewicz	Radunska	
15.	Stanisław	JPan Bartoszewicz	Radunska	
16.	Antoni	JPan Bartoszewicz	Radunska	
17.	Maciej	JPan Bartoszewicz	Radunska	
18.	Jerzy	JPan Bartoszewicz	Radunska	
19.	Andrzej	JPan Bartoszewicz	Eyszyska	
20.	Jerzy	JPan Bartoszewicz	Eyszyska	
21.	Stanisław	Jegomosc Bartoszewicz	Eyszyska	
2. SZWOLEZEROWIE GWARDII NAPOLEONA.				
Poz.	Imie	Nazwisko	Nr biogramu	
1.	Andrzej	Bartoszewicz	2339, 3552	
2.	Bartłomiej	Bartoszewicz	2240	
3.	Józef	Bartoszewicz	2985	
3. WYKAZ ALFABETYCZNY MAJATKÓW POW. LIDZKIEGO Z R. 1844.				
Poz.	Imie	Nazwisko	Majatek	Ilość dusz męskich 1834 r.
1.	Karol	Bartoszewicz	Girki	4
4. LISTA IMIENNA ULANÓW W 11 PULKU ULANÓW LEGIONOWYCH				
Poz.	Imie	Nazwisko	Ranga	
1.	Władysław	Bartoszewicz	Ul.	
2.	Stanisław	Bartoszewicz	Ul.	
5. WOJSKOWI POLEGLI W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ				
Poz.	Imie	Nazwisko	ur. / zm.	Ranga
1.	Bolesław Longin	Bartoszewicz	10. 11. 1913 - 2. 10. 1939, w akcji. Cisna, pow. Lesko, woj. Krosno, na granicy węgierskiej	ppor. art. oficer ogniowy 4 baterii 9. dak.
2.	Materiały Heraldyczne Bogdana Konstantynowicza ² .			

² Materiały heraldyczne Bogdana Konstantynowicza.

Wiadomości, o Bartoszu, bohaterze z pod Grunwaldu nie udało mi się odnaleźć. Nazwiskiem Bartoszewicz posługuje się obecnie ponad 30'000 osób, w Polsce, różnych krajach europejskich a nawet w USA. Wydaje się, że kolebka ich jest powiat Lidzki, woj. Wileńskiego. Załączone tabele potwierdzają, że przedstawiciele tego rodu, w ciągu wieków wielokrotnie potwierdzili swą polskosc, zbrojna służba ojczyźnie. Byli tradycyjnie tolerancyjni i otwarci na przybyszów. Swym przykładem przyciągnęli do swych szeregów nawet jednego neofity, który za swe zasługi został zwolniony ze skartabelatu. (K.K. Baden 2011-12-10.).

LISTA UCZESTNIKÓW POWSTANIA 1863 - 1864 R. ZESŁANYCH NA ZACHODNIA SYBERIE

Poz.	Nazwisko	Imiona	Nazwisko (ros.)	Imiona (ros.)	Wiek (lat)
1.	Bartoszewicz	Józef	?????? ????	?????	28
2.	Bartoszewicz	Mikołaj	?????? ????	?????? ?? ????????	31
3.	Bartoszewicz	Stanisław	?????? ????	?????????	50
4.	Bartoszewicz	Ferdynand	?????? ????	????????? ??????????	40
5.	Bartoszewicz	Jegor	?????? ????	???	-
3.	Uczestnicy Powstania Styczniowego ³				

OFICJALNA NOBILITACJA NEOFITY BONAVENTURY BARTOSZEWICZA

<p>1412 1. Bonawentura BARTOSZEWICZ, neofita z Litwy 2. a) 1764 r. b) Warszawa, 11 V 1765 r. 3. Nobilitacja. 4. Nowina [Nowa]. 5. VL VII, s. 185, nr 55. 6. b) RPADA w Moskwie, F. 389. ML, ks. 190, s. 35-40. KK, ks. 42a, s. 27-33. d) Sigillalu, Czart. 777, s. 561. Wdowiszewski: Regesty nobilitacji, * . 115. 9. Herb Nowina zwac się majacy, wyrazajacy na tarczy czerwonego koloru stojace drzewo laurowe zielone, w górze rozłożyste, na srednim, które erzcholku wydaje się krzyzyk niewielki złoty, niby z tego drzewa wyrosły, nad tarcza zas sama tylko korona. ML. ks. 190.S.38. U. c) Przysięge złożył 25 VI 1765 r. ML, ks. 190, s. 40. Swiactwo złożonej przysięgi z 26 VI 1765 r. ML, ks. 190, s. 40 11. d) Zwolniony od skartabellatu konstytucja sejmowa z 1764 r, VL VII s. 185, nr 55. 12. Materiały genealogiczne, s. 18. Por. nizej, nr 1491.</p>	<p>4. Oficjalna nobilitacja neofity wg, słynnej konstytucji owej 1764⁴.</p>
---	--

Herbarz szlachty polskiej wymienia jednego z jej potom w Aleksandra (rok 1589) właściciela dóbr Oraczkowo, a następnie Joachima, (BKK 415) ożenionego, z Gintowt-Dziewiałowska (BKK 416) (rok 1770) i jego syna Joachima (BKM 195) Stanisława urodzonego w Jordanach⁵ dr filozofii Uniwersytetu Wileńskiego, który odbył, jako ochotnik 1 pułku ułanów kampanie moskiewska pod dowództwem X. Józefa Poniatowskiego, brał udział w bitwach pod Mirem i pod Smolenskiem, kawalera Legii Honorowej. W 1817 r. zwolniony z wojska na własne zadanie (czasy cesarzewicza Konstantego), aby

³ LISTA UCZESTNIKÓW POWSTANIA 1863 - 1864 r. ZESŁANYCH NA ZACHODNIA SYBERIE.

wg. materiałów M.S. Anatołewny (Omsk 2005 r.) opublikowanych na stronie <http://kdkv.narod.ru/1864/Ssilka-ZapSib.html#15>. (opracowanie Elżbieta Sieczkowska i Janusz Stankiewicz).

⁴ Oficjalna nobilitacja neofity wg słynnej konstytucji sejmowej 1764.

Trelinska B. (oprac.). Album armorum nobilium Regni Poloniae XV-XVIII saec., Lublin 2001, s. 469 (kopia w załączeniu).

⁵ Jordany, dwór, pow. Wilkomiński, okr. polic., Widziaki, nad struga Jordan i jez. Zymowo, o 13 wiorst od Wilkomierza (obecnie na Litwie – Ukmerge, na pln. od Wilna), 108 mk., młyn wodny (1859). (S.G.K.P., T.3. 4.

utrzymać rodzinie poświęcił się karierze pedagogicznej, najpierw, jako wykładowca w szkołach warszawskich, a następnie inspektor szkół w Sieradzu. Ożeniony z Józefą (BKK 418) Szmitt, z którą miał kilkoro dzieci.

Nas interesuje tutaj, nasz dziadek Joachim, (BKM 195) Bartoszewicz, dr medycyny, długoletni lekarz Instytutu Gluchoniemych w Warszawie, który ożenił się z Haliną⁶ (BKM 67) Mittelstaedt. Ich dzieci - to moja ciotka Maria⁷, (BKM 200), która wyszła za Feliksa (BKM 201) Prus-Wisniewskiego właściciela majątku Lazin w powiecie łowickim, i stryj Joachim⁸ (BKM 202), (1867-1938) ożeniony z Maria, (BKM 433) Magdalena Jelowicka, właścicielka majątku Brykula położonego w powiecie Zasław na Wołyniu.

Po ukończeniu z odznaczeniem Wydziału Medycznego na Uniwersytecie Warszawskim, stryj Joachim⁹ (BKM 202) ukończył w Paryżu na *École Libre de Sciences Politiques et Sociales* studia dyplomatyczne, otrzymując „1-er prix et grande distinction”. Po powrocie do kraju przeniósł się do Lwowa, gdzie na tamtejszym uniwersytecie uzyskiwał stopień dr-a obojga praw, otrzymując wyróżnienie „cum exima laude”.

Po kilkuletnim pobycie we Lwowie, gdzie poślubił Marię (BKM 433) Jelowicka, przeniósł się z nią i z synem Włodzimierzem¹⁰ (BKM 434) na Wołyn do majątku rodziców swej żony. Po krótkim pobycie na wsi osiadł w Kijowie, gdzie zaproszony został przez Włodzimierza hr. Grocholskiego do Komitetu Organizacyjnego pierwszego polskiego pisma na Rusi - „Dziennika Kijowskiego”. Po paru miesiącach został jego redaktorem. Po wybuch rewolucji październikowej Joachim (BKM 202) Bartoszewicz organizuje „Polski Komitet Wykonawczy na Rusi”, który staje się organem naczelnym i kierowniczym całego polskiego społeczeństwa osiadłego zamieszkującego 5 guberni południowych: podolska, wołyńska, kijowska, czernichowska i połtańska.

W maju 1918 r. opuszcza Kijów wraz z rodziną i po krótkim pobycie w Warszawie wyjeżdża do Paryża z zamiarem dopilnowania na konferencji pokojowej sprawy przynależności Kresów Wschodnich do przyszłej Polski. W Paryżu zostaje członkiem Polskiego Komitetu Narodowego, a wkrótce potem Sekretarzem Generalnym Delegacji Polskiej na Konferencję Pokojową, a po podpisaniu traktatu wersalskiego i powrocie Polski na mapę Europy - attaché honorowym poselstwa polskiego w Paryżu. Po powrocie do kraju zostaje senatorem Rzeczypospolitej. W 1928 r. obejmuje prezesurę i kierownictwo Stronnictwa Narodowego¹¹, która to godność piastuje aż do śmierci w 1938 r.

Trzecim dzieckiem dr Joachima Bartoszewicza był mój Ojciec Jan¹² (BKM 203), ur. w 1869 r., w Warszawie zm. 28. 08. 1943 w Wieckowicach pow. Brzesko.

⁶ Halina z Mittelszedtów (Mittelstaedtów) Bartoszewiczowa (1845-1896), żona Joachima Bartoszewicza (1832-1901), lekarza i właściciela majątku Stanisławice (pow. kutnowski); był on długoletnim lekarzem Instytutu Gluchoniemych i Ociemniałych w Warszawie, prowadził też rozległą praktykę prywatną. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 38). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷ Maria z Bartoszewiczów Prus Wisniewska (1866-1938); Feliks Prus Wisniewski (1860-1932), właściciel majątków Lazinga i Lazinga; ich syn ks Joachim (1891-1967) był wybitnym fizykiem, profesorem Uniwersytetu Łódzkiego. (Podano za: Zofia Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 80). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

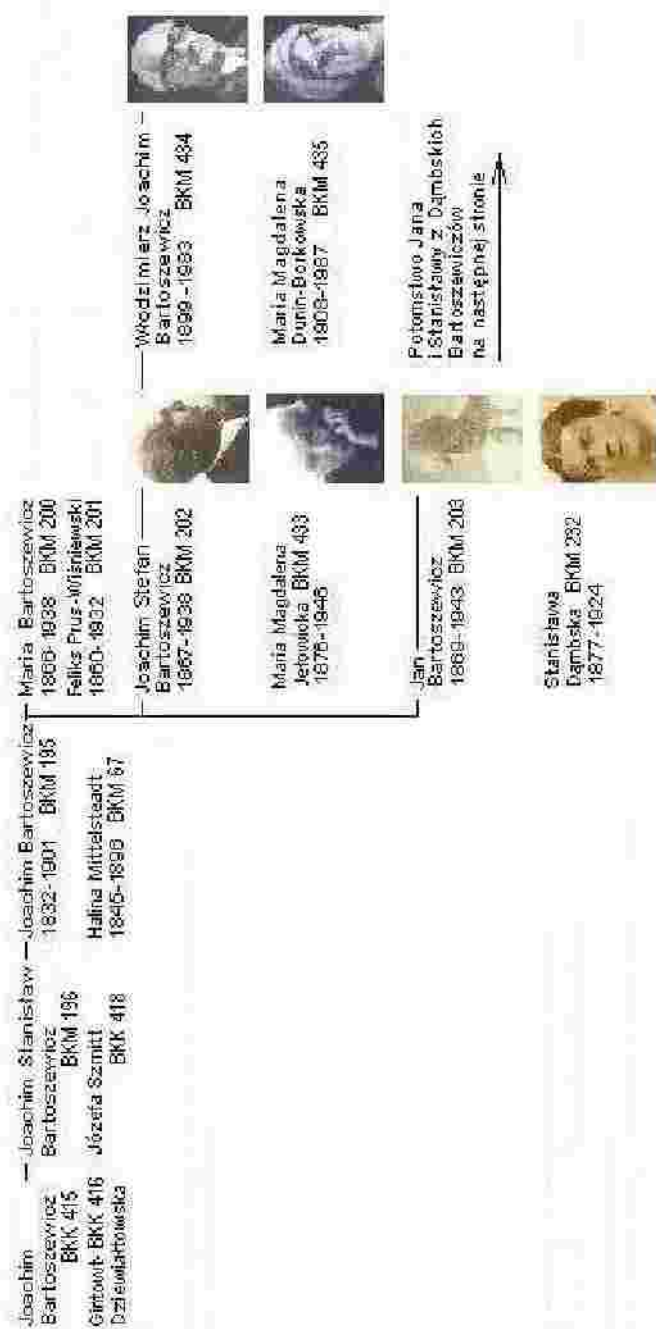
⁸ Joachim Stefan Bartoszewicz (1867-1938), wybitny działacz polityczny. W r. 1889 ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim, w l. 1890-92 pracował, jako asystent kliniki ginekologicznej. Zerwał jednakże z medycyną i ukończył *École Libre des Sciences Politiques* w Paryżu. Studiował także prawo we Lwowie i w r. 1897 uzyskał tam stopień doktora. W r. 1898 ożenił się z Marią Magdaleną Bozeniec-Jelowicką (1876-1946) i osiedlił się w Brykuli na Wołyniu, rodzinnym majątku żony. W r. 1905 w związku z objęciem redakcji „Dziennika Kijowskiego” przeniósł się do Kijowa, gdzie rozwijał szeroką działalność polityczną i publicystyczną. Skazany w r. 1913 na 3 miesiące więzienia, nabawił się ciężkiej wady wzroku, co zmusiło go do rezygnacji ze stanowiska redaktora „Dziennika Kijowskiego”. Szczególnie aktywna działalność rozwijał w czasie I Wojny Światowej. Został prezesem Rady Okręgowej Polskiego Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, następnie Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi. W 1918 r. wyjechał do Warszawy, później do Paryża, gdzie był zastępcą sekretarza generalnego delegacji polskiej na konferencję pokojową w Paryżu. Senator w l. 1922-1937 był prezesem Stronnictwa Narodowego. Zmarł 23 IX 1938. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 81). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁹ Joachim Stefan Bartoszewicz urodził się 3 września 1867 r. w Warszawie. Uzyskał dyplom lekarski na UW, ukończył z pierwszą nagrodą Szkołę Nauk Politycznych w Paryżu oraz otrzymał doktorat z prawa na Uniwersytecie Lwowskim. Od 1903 r. gospodarował w majątku Brykula na Wołyniu. W l. 1906-1912 był redaktorem Dziennika Kijowskiego, a od marca 1917 do kwietnia 1918 r. prezesem Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi. Te ostatnia organizację reprezentował na konferencji pokojowej w Paryżu. Od kwietnia 1919 do lipca 1920 r. był zastępcą sekretarza generalnego delegacji polskiej na konferencję paryską. Związany był z narodową demokracją, w latach 1928-1937 piastował stanowisko prezesa ZG SN. Był senatorem I kadencji z woj. Lubelskiego i II kadencji z listy państwowej SN. Pisał dużo, jako publicysta, a także wydał książki o tematyce politycznej. Zmarł 23 września 1938 r. w Warszawie. Wg „KTO BYŁ KIM W DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ” poz. 1715.

¹⁰ Włodzimierz Joachim Bartoszewicz (1899-1983), artysta malarz. Był synem Joachima Stefana i Marii Magdaleny Bozeniec-Jelowickiej. Odbił studia ekonomiczne w Poznaniu, a następnie ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie (zgodnie z moimi informacjami żadnej z tych szkół nie ukończył, brakowało mu zdaje się tylko jednego egzaminu K.K.). Był prezesem grupy „Szkoła Warszawska”. W l. 1945-1948 pracował w wydziale kultury i sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, później przeniósł się do Poznania. Autor wspomnień o warszawskiej ASP pt. BUDA NA POWISLU (Warszawa 1966, 2 wyd. poszerzone, 1983). (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom III, str. 63). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹¹ ... za fakt inaugurujący działalność SN należy raczej znać posiedzenie jego Rady Naczelnej w dniu 7 października 1928 r. Dmowski odegrał w tych przekształceniach rolę decydującą, on też wywarł główny wpływ na postanowienie Rady Naczelnej SN o powierzeniu stanowisk zarówno prezesowi jej, jak i Zarządowi Głównemu Joachimowi Bartoszewiczowi. Był to pewności jeden z najbardziej doświadczonych działaczy starszego pokolenia, wiadomo także, że utrzymywał z Dmowskim bliskie kontakty, ale ówczesnie był człowiekiem schorowanym. Fakt powierzenia mu prezesostwa obu głównych instancji SN można, więc uznać za zabieg ze strony Dmowskiego, mający mu ułatwić sprawowanie pełnej kontroli nad poczynaniami stronnictwa”. Roman Włapiński. ROMAN DMOWSKI. Wydawnictwo Lubelskie, 1988r. Str. 336 i 337. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹² Jan Bartoszewicz (1869-1943) ukończył wydział prawa uniwersytetu w Dorpacie, był właścicielem majątku Wiecinin, w pow. kolski; wysiedlony w r. 1939 przez Niemców, mieszkał w Wieckowicach w pow. brzeskim. Z małżeństwa ze Stanisławą Damską (1877-1924) miał kilkoro dzieci. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 81). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

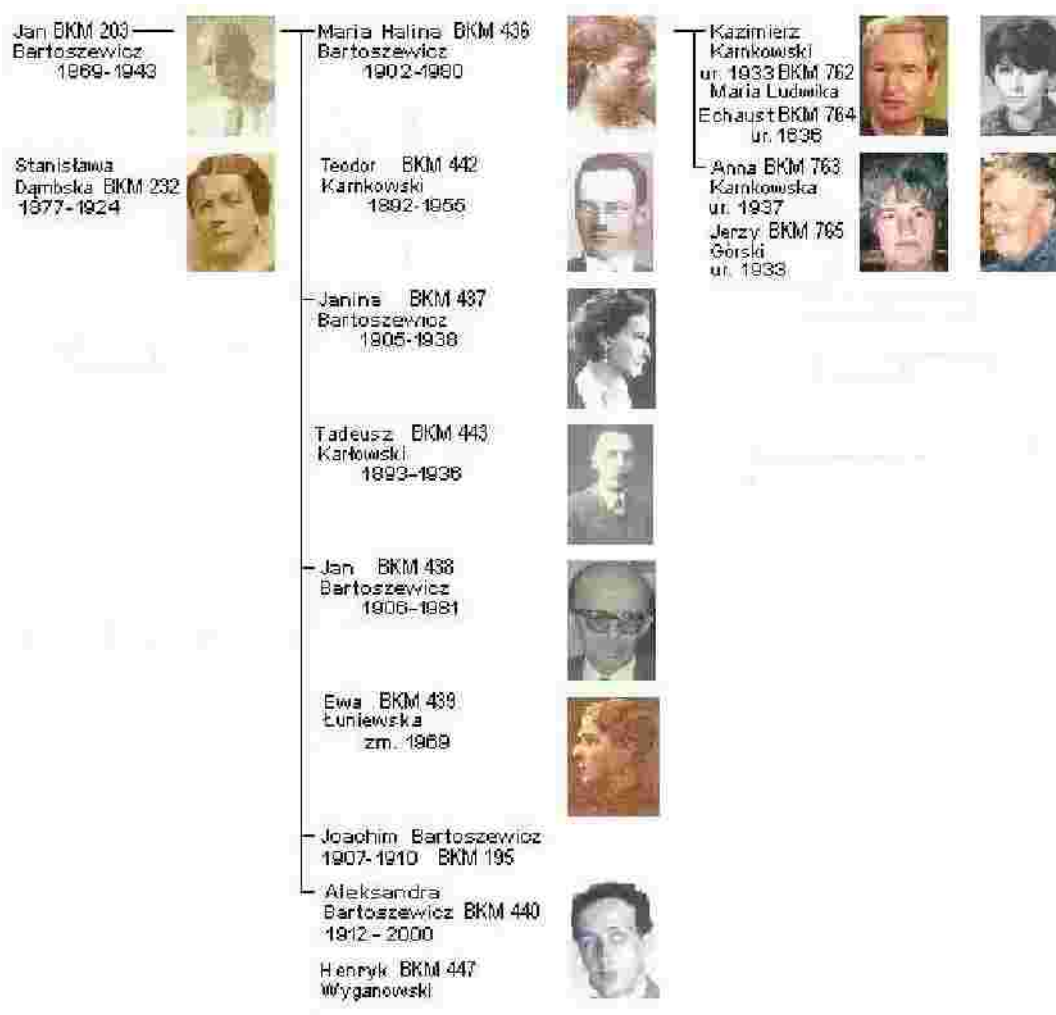


5. Drzewo genealogiczne rodziny Bartoszewiczów. BKD – 1. Nr kodu osobowego, BKK, BKM.

Skoro postanowiłam w tych wspomnieniach sięgnąć możliwie jak najdalej, opierając się na opowiadaniach mego Ojca, muszę zrelacjonować okoliczności, dzięki którym mój dziadek poznał, a następnie ożenił się z panną Halina (BKM 67) Mittelstaedt, tym bardziej, że były one dosyć niezwykłe a nawet romantyczne. Otóż moja prababka z domu Szmitt (BKK 418), znalazła się po śmierci swego meza w dość kłopotliwych warunkach materialnych, niepozwalających jej opłacać kosztów związanych ze studiami (syna Joachima [BKM 195]) na uniwersytecie warszawskim). Udawszy się do Petersburga po zasięgnięciu rady u przyjaciela meza biskupa Holowieckiego, zdecydowała się na umieszczenie syna w korpusie kadetów, po którego ukończeniu musiał, koszty związane ze studiami na akademii medycznej, obsługiwać w Petersburgu, jako lekarz. Następnie został wezwany do Warszawy przez generała Korff¹³ celem pomocy w organizowaniu służby zdrowia na terenach przez niego zarządzanych. Widac, że Korff cenił młodego lekarza.

¹³ Prawdopodobnie Andriej Nikolajewicz Korff (1831-1893). (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 39). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013



6. Drzewo genealogiczne rodziny Bartoszewiczów. BKD - 2.
Wbrew ogólnym zasadom w drzewie ujęto także dzieci autorki. Nr kodu osobowego BKM.

W tym czasie zgłosiła się do generała, Józefa¹⁴, żona Seweryna¹⁵ (BKM 35) Mittelstaedt'a, właścicielka Rózy i Rózczyk w powiecie leczyckim, aby uzyskać u niego kasację wyroku, skazującego jej ukochanego esnastoletniego syna Jana¹⁶, osadzonego na cytadeli za udział w powstaniu styczniowym, na zesłanie na Sybir. Towarzyszyła jej najmłodsza córka Halina (BKM 67), młodzianka panna obdarzona niezwykłą urodą i rzadko spotykanym wdziękiem. Przypadek zrzadził, że oczekując na audiencji u generała spotkała dr Bartoszewicza, (BKM 195), który ułatwił im wizytę u generała, zakończona szczęśliwie zwolnieniem od kary za „nieprzemysłany czyn lekkomyślnego młodzianca”. A tymczasem olśnił urodą pięknej panny Haliny (BKM 67) dr (BKM 195) Bartoszewicz zwolnił się z wojska, ożenił się z wybranką i zaczął pracować, jako lekarz w Instytucie Gluchoniemych.

¹⁴ ... z Zakrzewskich (BKM 62) Sewerynowa Mittelstaedt, była rodzona siostra Ignacego Zakrzewskiego, który był w latach 1882 do 89, tj. do śmierci, posłem do parlamentu w Berlinie, w 1888r. obrany został prezesem Kola Polskiego, a od 1873 r. był członkiem, Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu i ogłosił kilka poważnych prac historycznych, m.in.: O przyłączeniu wschodniego Pomorza do Polski i jego oderwaniu (1882). Przodkiem jego, był Ignacy Wyssogota Zakrzewski, prezydent Warszawy za Sejmu Czteroletniego (po Dekercie) i za insurekcji kosiuszowskiej. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 38). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵ Seweryn (BKM 35) Mittelstaedt (Mittelstaedt, ur. 1811 w Kłodzku niedaleko Inowrocławia), dziedzic Rózy i Rózczyk, dzierżawca majątku Bryski. Z małżeństwa z Józefą (BKM 62) Zakrzewska miał syna Jana (BKM 65) oraz trzy córki, z których kolejno najstarsza Władysława (BKM 66), a po jej śmierci najmłodsza Stanisława (BKM 67) były żonami Feliksa (BKM 190) Grabskiego (właściciela majątku Borów nad Bzurą koło Łowicza K.K.) (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 27).

¹⁶ Jan Mittelstaedt (BKM 65) (Mittelstaedt, 1841 lub 1843-1913) pochodził z majątku Bryski. Kształcił się w Instytucie Marymonckim. Brał udział w powstaniu styczniowym w oddziale Józefa Dworzaczka. Prawdopodobnie dostał się do niewoli w czasie bitwy pod Dobrą, stoczzonej 22 II 1863, w czasie, której oddział został rozbity, a dowódca ranny. Skazany początkowo na śmierć, następnie na 12 lat katorgi. Później gospodarował na swoim majątku. Pierwsza jego żona pochodziła ze znanej rodziny Colonna-Walewskich (BKM 179), po raz drugi ożenił się z Janina (BKM 180) Morzkowska. Miał 3 synów i 3 córki. (Podano za: Zofia Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 37). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Zamieszkali początkowo na Nowym Świecie, a potem na ulicy Zgoda 1, na rogu Chmielnej w ocalalej po wojnie kamienicy. Na razie młodzi państwo prowadzili dom raczej na skromniej stopie, był to jednak dom gościnny, gdyż gospodarz, człowiek bardzo towarzyski i miły chętnie widywał u siebie gości, szczególnie partnerów do ulubionego preferansu. Ojciec opowiadał mi, że dziadek, który prowadził bardzo skrupulatnie swoje rachunki, gdzie notował także wyniki gry, był bardzo niezadowolony, jeśli saldo wypadło na jego niekorzyść. Dodatkowym magnesem przyciągającym gości była pełna uroku i słodczy pani domu. Z małżeństwa tego przyszło na świat troje dzieci: córka Maria (BKM 200), która wyszła za mąż za Feliksa (BKM 201) Prus-Wisniewskiego, zamożnego właściciela majątku Łazin w I wickim i dwóch synów, Joachim (BKM 202) i Jan (BKM 203) mój Ojciec. Obaj młodzieńcy byli bardzo zdolni i uczyli się doskonale. Ojciec opowiadał mi, że nigdy nie przygotowywali lekcji wieczorem - wstawali wczesnie, uważając, że wiedza łatwiej wchodzi do głowy, kiedy się jest wypoczętym po przespanej nocy. Zasady tej trzymali się wiernie nawet podczas studiów uniwersyteckich. Trzeba pamiętać, że czasy ich nauki wypadły na okres, kiedy to bezwzględnie polakozerca, Apuchtin¹⁷ rządził Priwisłińskim Krajem. Każda dziedziną życia była nastawiona na zrusyfikowanie społeczeństwa. Nauka wszystkich przedmiotów łącznie z „językiem polskim” odbywała się po rosyjsku, a przy tym w gimnazjum obowiązywała nauka łaciny i greki, do tego każdy starannie wychowany człowiek musiał obowiązkowo znać i to perfekcyjnie francuski, a często i niemiecki, to też dzieci zaczynały naukę bardzo wczesnie. Pamiętam listy, które mi ciotka Wisniewska (BKM 200) kiedyś pokazywała (miała dużo takich pamiątek rodzinnych) z życzeniami imiennymi dla babci, pisane przez wówczas czteroletniego mojego Ojca. Pamiętam też doskonale, stojąc w bibliotece wieciniejskiej książkę z ilustracjami w czerwonej okładce o Indianach w języku niemieckim, która - jak mi Ojciec opowiadał - dostał na imię mając lat siedem, a co najważniejsze, że mógł ją już wówczas sam przeczytać. Prócz nauki były wówczas pasjonujące powieści historyczne Kraszewskiego, a pamiętajmy, że zaczynały się już ukazywać pierwsze książki Sienkiewicza i wkrótce potem w „Tygodniku Ilustrowanym” drukowano „Ogniem i Mieczem”. Warszawiacy tak się tą powieścią pasjonowali, że podobno już od rana stali przed redakcją, aby jak najprędzej móc dostać jeszcze mokry egzemplarz gazety i dowiedzieć się o dalszych losach ulubionych bohaterów. Ojciec opowiadał, jak kiedyś biegnąc właśnie z gazetą do domu minal dwóch panów, którzy ze łzami w oczach i rozpaczą w głosie rzucając się sobie w objęcia wykrzyknęli „Bar wzięty!”.

Jednak obaj młodzieńcy najbardziej pasjonowali się jazdą konną, to też, gdy już byli studentami zawarli znajomość ze stacjonującym na Pradze pułkiem Kozaków dońskich i za oszczędzone kieszonkowe wynajmowali każdej niedzieli od Kozaków konie, by móc wyjechać poza miasto.

Jak już wspominałam państwo Bartoszewiczowie prowadzili dom otwarty, to też szczególnie, gdy siostra ich dorosła zaczęła często urządzać wieczorki taneczne, a nawet liczniejsze zabawy. Młodzież tańczyła z zapalem nieraz do białego rana. Oczywiście nie było wtedy jeszcze gramofonów, ani tym bardziej radia, to też zwykle ktoś z ciotek, lub znajomych panów poświęcała się i grała na fortepianie. Opowiadał mi Ojciec, w jaki sposób uniknął pewnego razu fatalnej kompromitacji. Otóż na jednej z takich zabaw grała do tanca lubiana przez wszystkich i bardzo w Warszawie popularna ze względu na swą córkę, sławną autorkę wielu nieocenionych książek kucharskich panią Cwierciakiewiczową, sympatyczną sasiadką. Pani ta była wyjątkowo niskiego wzrostu, tak i grała udając, że siedzi na taborecie, podczas gdy właściwie stała. Obszerne i długie suknie nie zdradzały tego. Otóż podczas pewnego wieczorku, kiedy grała owa pani, Ojciec w ferwore tanecznym zawadził o taboret, na którym ta zacna niewiasta udawała, że siedzi - Ojciec struchlał, ale po chwili ze zdumieniem stwierdził, że muzyka nie została przerwana i dama gra najspokojniej dalej. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką ulgą niefortunny tancerz odetchnął, poznawszy w ten sposób mało, komu znany sekret.

Ojciec mój za jakieś przewinienie, wystarczyło, że „belfer” zauważył, że uczeń mówi na terenie szkoły po polsku, nie został dopuszczony do matury w Warszawie. Musiał ósmą klasę przejść w Dorpacie i tam otrzymał świadectwo dojrzałości. Oczywiście większa część przedmiotów trzeba było zdawać w języku niemieckim, stąd dodatkowa trudność. Z Dorpatu jednak wyniósł raczej miłe wspomnienia, szczególnie po wiew niesłychana wprost gościnność obywateli tego miasta, które chętnie zapraszały Polaków do swych domów, gdzie dokarmiały „biednych studentów” we wprost fantastyczny sposób, do tego stopnia, że nie jeden z nich odchorowywał zbyt ciężkie kolacje. Każdy z młodych ludzi miał inne plany życiowe, starszy marzył o karierze dyplomatycznej, młodszy chciał pracować na roli. Jeśli chodzi o Joachima, dziadek nie chciał o tym słyszeć i zadał, aby został lekarzem. W owych czasach nikomu nie przychodziła nawet na myśl możliwość przeciwstawienia się woli rodziców, to też Joachim skończył medycynę i nawet zaczął pracować w szpitalu ginekologicznym, ale nie dawało mu to żadnej satysfakcji, co widząc dziadek zgodził się wreszcie zadośćuczynić jego pragnieniom i wysłał go do Paryża, do École de Sciences Politiques. Tam podobnie jak w Akademii Medycznej w Warszawie stryj skończył uczelnię ze świadectwem „Premier prix et grande distinction”. Powróciwszy do kraju, widząc, że stosunki tam panujące nie uległy zmianie i że właściwie nie będzie miał pola do wykorzystania nabytych wiadomości, przeniósł się do Lwowa, gdzie starał się o otrzymanie pracy w tamtejszym Urzędzie Krajowym. Ale aby ją uzyskać musiał mieć cenzus z ukończonych studiów prawniczych, wobec czego trzeba było znowu zabrac się do studiów.

¹⁷ Aleksandr Apuchtin (1822-1904), kurator warszawskiego okręgu szkolnego w l. 1879-1897), zaciekle rusyfikował szkolnictwo w Królestwie Polskim. Czasy jego urzędowania zwane „epoką apuchtinowską” stanowiły najczarniejszy okres w dziejach szkolnictwa w Polsce i przyniosły zastraszający wzrost analfabetyzmu w Królestwie Polskim. Stworzył on skomplikowany system policyjny nadzoru nad wszystkimi placówkami oświatowymi. Wymierzony Apuchtinowi w dniu 16 IV 1883 policzek przez studenta warszawskiego Rosjanina Jewgienija Zukowicza spowodował tzw. apuchtinade - zbiorowy protest studentów przeciw wydaleniu kolegi. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 49). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



7. Budynek główny uniwersytetu w Darpacie założonego w roku 1632 przez króla Gustawa Adolfa, który przez długi okres czasu był duchowym centrum krajów bałtyckich, wybudowany w stylu pańskiej rezydencji arystokracji pobałtyckiej. Miejsce studiów Jana (BKM 423) Bartoszewicza.

Oczywiście nie przeszkadzało mu to we włączeniu się w życie towarzyskie, zresztą we Lwowie zawsze bardzo ożywione. Wkrótce poznał pannę Marię (BKM 433) Jelowicką, która mieszkała tam z matką i siostrą. Ożeniwszy się z nią zamieszkał już zdawało się na stałe we Lwowie. Tam też przyszedł na świat w roku 1899-tym ich jedyny syn Włodzimierz (BKM 434). Jednak Joachim (BKM 202) nie czuł się dobrze w dusznej cesarsko-królewskiej atmosferze lwowskiej. Zdecydował przenieść się do majątku żony Brykuli, leżącej w pobliżu Szepetowa w powiecie zasławskim, a więc w zaborze rosyjskim. Jednak i tu pobyt młodej pary nie trwał długo. W tym czasie kilku ścisłych patriotów, korzystając z pewnych ulg, które przyniosła rewolucja w 1905 r., między innymi hr. Grocholski, zaczęło zabiegać o ożywienie uczuć patriotycznych Polaków mieszkających na Rusi. Zakładano różne organizacje młodzieżowe, organizowano spotkania działaczy oświatowych, a przede wszystkim udało się uzyskać zgodę rządu na wydanie pierwszego na tamtejszym terenie dziennika w języku polskim, „Dziennika Kijowskiego”. Redakcję tego pisma powierzono właśnie stryjowi. Wybór był jak najbardziej trafny - kandydat dzięki odbytym studiom był właściwie przygotowany do czekającej go pracy, przy tym pełen zapału, młody, energiczny i oddał się całkowicie nowemu zadaniu. Po rewolucji 1917 r., po różnych perypetiach znalazł się z rodziną w Paryżu, gdzie współpracował z Romanem Dmowskim w czasie trwania konferencji pokojowej w Wersalu. Po jej zakończeniu, wrócił do kraju. Początkowo zamieszkał z rodziną w Poznaniu, a następnie, gdy został wybrany senatorem z ramienia Stronnictwa Narodowej Demokracji przeniósł się do Warszawy gdzie zamieszkali w domu przy ul. Brackiej nr 13.

Ojciec mój zawsze marzył o pracy na roli i choć studiował prawo, a nie rolnictwo, jednak nie wyobraził sobie życia w mieście. Dziadek zdając sobie z tego sprawę, zdecydował się za uzbierane pieniądze kupić choćby niewielki folwark. Wybór padł na Stanisławicę, co miało ten plus, że znajdowały się one w pobliżu Łazina należącego do wujostwa Wisniewskich (ciotka była jedyną siostrą Ojca), stamtąd też blisko było do Borowa własności Grabskich.

Stanisława¹⁸ (BKM 68) Grabska była siostrą matki (BKM 67) Ojca, (z których dziećmi Stanisławem (BKM 204)¹⁹ i Władysławem (BKM 206)²⁰) późniejszymi ministrami, oraz Zofią (BKM 205) 1^{ov}. Kirkorowa, i 2^{ov}. Kiedroniowa²¹ i najmłodsza

¹⁸ Stanisława z Mittelsztädtów (Mittelstaedtów) Grabska (BKM 68) (1845-1918), druga żona Feliksa (BKM 190) Grabskiego, nazywana Matką działaczy narodowych. W r. 1870, po śmierci swej starszej siostry Władysławy (BKM 66), wyszła za mąż za swego szwagra, głównie, dlatego, by zapewnić opiekę pozostałym po niej córkom. Serdeczne wspomnienie pt. Matka Działaczy Narodowych poświęcił jej wnuk Stanisław (BKM 472) Kirkor („Mysł Polska”, Londyn, 1972, nr 1, s. 5). (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str. 27). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁹ Stanisław (BKM 204) Grabski (1871-1949), polityk, ekonomista, publicysta. Po ukończeniu Gimnazjum w Warszawie rozpoczął studia na wydziale przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1890 wstąpił do Związku Robotników Polskich, który reprezentował w r. 1892 na zjednoczeniowym zjeździe socjalistycznym w Paryżu. W r. 1891 wyjechał na studia do Berlina, gdzie był aktywnym działaczem robotniczym. Powoli zbliżał się do ideologii Ligi Narodowej. W r. 1901 ogłaszał pod pseudonimem Mazur artykuły w „Przedświcie”. Po uzyskaniu habilitacji w r. 1902 wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w r. 1905 przeniósł się do Lwowa. W tym samym roku wstąpił do Ligi Narodowej i został członkiem jej Komitetu Centralnego. W l. 1917-19 był członkiem Komitetu Narodowego w Paryżu. W okresie międzywojennym posłował w l. 1919-27 do Sejmu. Był ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego: od 27 X - 15 XII 1923 w gabinecie W. Witosy i od 23 III 1925 - 15 V 1926 w kolejnych gabinetach swego brata Władysława (BKM 206), A. Skrzynskiego i W. Witosy. Po przewrocie majowym odsunął się od polityki i poświęcił się pracy naukowej. W czasie II wojny światowej przebywał najpierw w ZSRR (1939-41), następnie w Wielkiej Brytanii. W r. 1945 wrócił do kraju, gdzie do r. 1947 był wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Narodowej. Po jej rozwiązaniu objął katedrę ustrojów społecznych na wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Ożenił się po raz pierwszy w r. 1895 z Ludmiłą (BKM 448) Rozen (1875-1915), lekarka (ukończyła studia medyczne w Szwajcarii), siostra gen. Władysława Rozena, i miał z nią pięcioro dzieci. Po raz drugi ożenił się w r. 1916 z Zofią (BKM 449) Smolikówną (1895-1965), działaczką harcerską w latach przedwojennych i w

(BKM 207) Halina²² późniejsza Brzezinska był blisko zaprzyjzniony.

czasie I Wojny Światowej; z tego małżeństwa miał dwoje dzieci. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 34). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²⁰ Władysław Grabski (1874-1938), ekonomista i polityk. Po ukończeniu V gimnazjum w Warszawie odbył studia w Paryżu w École Libre des Sciences Politiques i na Sorbonie. Po śmierci ojca gospodarował w rodzinnym Borowie; jednocześnie pracował naukowo, w szczególności zajmował się kwestią agrarna. W l. 1905-12 był posłem ziemi warszawskiej do trzech pierwszych sejmów Państwowych. Po wybuchu I Wojny Światowej założył Centralny Komitet Obywatelski, którego był wiceprezesem. W Polsce następnie pracował początkowo w Głównym Urzędzie Likwidacyjnym. W r. 1919 był trzecim delegatem na konferencje pokojowa w Paryżu. Od 13 XII 1919 - 24 XI 1920 był ministrem skarbu, a od 23 VI - 24 VII 1920 jednocześnie premierem. Ponownie minister skarbu od 13 I - 24 VII 1923. Dn. 19 XII 1923 na polecenie prezydenta St. Wojciechowskiego utworzył rząd pozaparlamentarny, w którym objął także teki ministra skarbu. Jego dziełem było opanowanie inflacji i wprowadzenie złotego polskiego. Po upadku rządu, co nastąpiło 14 XI 1925, odszedł z areny politycznej i poświęcił się pracy naukowej, głównie z dziedziny historii rolnictwa. Wykładał ekonomie polityczną i agronomie społeczną w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Ogłosił ponad 200 prac naukowych. Ożeniony z Katarzyną Lewandowska (1879-1946) miał 4 synów: Wacława, zmarłego w dzieciństwie, Stanisława Jana (1901-1970), znanego powieściopisarza, poety i historyka, Zdzisława i Andrzeja (1908-1965), ekonomiste. (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 35). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹ Józef Kiedron (1879-1932), inżynier górnik, w Polsce niepodległej minister przemysłu i handlu (19.XII.1923 - 16.V.1925), był drugim mężem Zofii (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowej. Jego szczegółowy życiorys został przedstawiony w drugim tomie jej wspomnień. (Podano za: Zofia Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 409). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²² Halina z Grabskich Brzezinska (1876-1945), utalentowana pianistka, nie kontynuowała jednak kariery artystycznej; wyszła za mąż za Józefa Brzezinskiego i poświęciła się wychowaniu trzech córek (Podano za: Zofia (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, str 43). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Choc Ojciec zabrał się w Stanisławicach z zapalem do pracy, jednak wkrótce stwierdził, że obiekt jest zbyt mały, aby można było prowadzić na nim racjonalną gospodarkę i zaczął rozglądać się za czymś odpowiednio większym.



8. Stanisław (BKM 204) Grabski w połowie lat dziewięćdziesiątych XIX w.



9. Stanisław (BKM 204) Grabski w latach 1919 - 1921.



10. Stanisław (BKM 204) Grabski w Paryżu, 1918r.



11. Z. (BKM 449) ze Smolików Grabska Paryż 1918r.



12. Stanisław (BKM 204) Grabski, 1925 - 1926.



13. Władysław (BKM 206) Grabski.



14. Zofia (BKM 449) ze Smolików Grabska, oraz Ludmiła (BKM 455) z Grabskich Calkosinska i Stanisław (BKM 453) Grabski.



15. Janina (BKM 781) Grabskich 1^{ov} Wojciechowska, 2^o v Treterowa, z siostra Feliksa (BKM 454) z Grabskich Glass.



16. Feliksa (BKM 454) z Grabskich Glass z braćmi, St. (BKM 453) i Zbigniewem (BKM 460) Grabskimi.



17. Stanisław (BKM 204) Grabski z prof. E. Romerem w latach 1937 - 1939.

5. KARIERA POLITYCZNA JOACHIMA BARTOSZEWICZA

Stryj Matki Joachim Bartoszewicz, człowiek wybitnie wykształcony, posiadający 3 doktoraty odległych sobie dziedzin, jako sekretarz/zastępca Romana Dmowskiego na konferencji Wersalskiej, oraz jako senator RP i prezes Narodowej Demokracji w latach 30-tych był niewątpliwie wybitnym politykiem polskim, stojącym u kolebki narodzin II Rzeczypospolitej. Jego zasługi są niewątpliwie poważne, choć obecnie zapomniane, ze względu na zwycięstwo koncepcji Piłsudskiego.

Aczkolwiek koncepcja Piłsudskiego okazała się skuteczna nie tylko poprzez uwzględnienie w trakcie walki o niepodległość, także aspektu socjalnego (konieczność poprawy sytuacji życiowej chłopów i robotników) i narodowościowego (unikanie sporów antysemitycznych i przyjazne koncepcje pod adresem Ukraińców, Białorusinów i Litwinów), ale głównie poprzez przygotowanie (w okresie legionowym i POW, oraz w r. 1919) sił zbrojnych dla wywalczenia granic i ich obrony w 1920 r. Działalność Romana Dmowskiego i jego zwolenników (aczkolwiek nie należy do jego sympatyków, K. K.) przyczyniła się w pełni do odzyskania niepodległości w 1918 r., dlatego też uważam za celowe poświęcić parę zdań opisujących początki kariery politycznej senatora Joachima Bartoszewicza.

Nie był on karierowiczem dołączającym się do zwycięzców, ale „bojownikiem pierwszej chwili”. Za swoją postawę w obronie polskości na Kresach, zapłacił cenę dożywotnie kalectwa.²³



²³ W 1905 r., przyjechał na Wołyn z Lwowa Joachim Bartoszewicz i na razie osiadł w majątku swej żony w powiecie konstantynowskim. Był to człowiek fenomenalnych zdolności. Uzyskał maturę w szesnastym roku życia, a w dwudziestym pięć latem doktorat medycyny. Poszedł jednak na medycynę tylko na życzenie ojca-lekarza. Po paru latach asystentury na klinice położniczej w Warszawie pojechał do Paryża na specjalne jakiegoś studia medyczne. Wrócił stamtąd po pół roku, zdecydowany rzucić medycynę i zająć się naukami społeczno-politycznymi.

Przedtem nie brał on żadnego udziału w dyskusjach i pracach w warszawskiej młodzieży gimnazjalnej i uniwersyteckiej. Konspiracje widocznie nie pociągaly go. I ja, i całe moje rodzeństwo serdecznie lubiliśmy go i jego młodszego brata, Jana. Bo też byli to najbliżsi nasi kuzyni, synowie siostry naszej matki. I byli to bardzo dobrzy kuzyni, przy tym zawsze wesołego, pogodnego usposobienia. Joachim był cztery lata ode mnie starszy. Ale gdy miał 19 lat brał już czynny i nie najpóźniejszy udział w rewolucyjnych naszych pracach organizacyjnych, a on, poza swymi studiami medycznymi, tylko się bawił — patrzyłem na niego nieco z góry, jako na zacnego, milego chłopca, imponującego mi tylko lepszą ode mnie jazyką, który jednak idzie przez życie nie wywierając żadnego na niego wpływu.

Wystarczył jednak kilkumiesięczny pobyt za granicą i z widzeniem wolnego życia politycznego Francji, by odczuł on w całej pełni kajdany naszej politycznej niewoli. Do walki jednak z tą niewolą postanowił się gruntownie przygotować poważnymi naukowymi społeczno-politycznymi studiami. On też namówił brata mego, Władysława, na wyjazd do Paryża w 1892 r. do tamtejszej Szkoły Nauk Politycznych, dokąd i ja się też wraz z nimi udałem.

Bartoszewicz ukończył szkołę z tak znakomitą wynikiem, że zaofiarowano mu stypendium naukowe na dalsze studia z prawa państwowego w Anglii. Ale pragnął on raczej praktycznej niż naukowej pracy politycznej, a możliwość takiej pracy widział w Galicji. Pojechał, więc do Lwowa. Tam wydział prawny zaliczył mu dwa lata studiów w paryskiej Szkole Nauk Politycznych i w 1896/7 uzyskał stopień doktora praw, po czym objął stanowisko referenta w biurze statystycznym Wydziału Krajowego. Nie był on jednak stworzony, na urodzajnika.

Zbyt był samodzielnym umysłem. A przy tym nie umiał nie dać odczuć swym przełożonym, że górował znacznie nad nimi swą wiedzą naukową i znajomością nowoczesnego życia Europy. Toteż zaczął przygotowywać się do habilitacji na wydziale prawnym lwowskiego uniwersytetu. Kolo 1900 r. ożenił się on z panną Jelowicką, która wprawdzie stała mieszkała wraz z matką we Lwowie, posiadała jednak własny majątek ziemski, Brykule, na Wołyniu. Tam też przeniósł się Bartoszewicz ze Lwowa, wnet po ogłoszeniu w Rosji konstytucji.

Przybycie na Wołyn absolwenta paryskiej Szkoły Nauk Politycznych, doktora praw, kilkuletniego pracownika galicyjskiego Wydziału Krajowego, i to w charakterze ziemianina, wzbudziło powszechne zainteresowanie politycznych kół polskich tak zwanych ziem ruskich. Grocholski zwrócił się do Bartoszewicza o współpracę przy zorganizowaniu „Dziennika Kijowskiego” i objęcie jego redakcji. Bartoszewicz okazał się doskonałym redaktorem. Postawił on dziennik na wysokim poziomie — czasopisma śmiało wytrzymującego porównanie z najlepszymi naszymi dziennikami w Warszawie, Lwowie, Krakowie i Poznaniu. W tej swojej redaktorskiej pracy zbliżył się on silnie do miejscowych ligowców. Wkrótce też Komitet Centralny Ligi Narodowej mianował go komisarzem krajowym ziem ruskich. Na parę jednak lat przed wojną Bartoszewicz został aresztowany za udział w konspiracyjnym zebraniu przeważnie akademickiej młodzieży.

Wprawdzie wkrótce został wypuszczony na wolność, pozbawiono go jednak prawa redagowania dziennika. Redakcję objął Edward Paszkowski, niezły wprawdzie dziennikarz, ale raczej starający się dostosować do przeważających wśród czytelników „Dziennika” nastrojów, niż o kierowanie ich opinia. Bartoszewicz nie przeniósł się jednak na wieś, mieszkał nadal w Kijowie i kierował tam pracą ligową. Dzięki jego kierownictwu kijowscy narodowi demokraci odznaczali się wybitną tolerancją cudzych przekonań i byli wolni od wszelkiej wyłączności partyjnej. Ale też w zamian cieszyli się oni, a w szczególności Bartoszewicz, dużym zaufaniem całego patriotycznego tamtejszego ogółu. Został on też wybrany, niemal jednogłośnie, na przewodniczącego wspomnianej już Rady Okręgowej Organizacji Polskich, zespalającej działalność wszystkich polskich organizacji na terenie guberni kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej. Do zespołu tego wszedł również lwowski Komitet Ratunkowy oraz zarząd rejonowy Centralnego Komitetu Obywatelskiego, który w rejonie tym, tak zwanym południowo-zachodnim, ulokował paręset partii wygnanców z południowej części Królestwa. Pełnomocnikiem rejonowym w Kijowie był późniejszy wojewoda lubelski — Moskałewski. Był on znany w kółkach konspiracyjnych z tego, że stojąc na czele roboty ligowej w Zamojszczyźnie, między 1900 a 1905 r., pomagał gorliwie pepeesowcom w transportach przez granice ich „bibuły” i przeprowadzaniu przez nią ich konspiracyjnych działaczy.

W 1901 r. została założona przez członków ZET odrębna organizacja narodowa młodzieży akademickiej pod nazwą „Polonia”. Była ekspozytura ZET, jawna wobec społeczeństwa polskiego²⁴.

1 lipca 1903 r. Polonia miała już około 200 członków studentów uczelni wyższych w Kijowie.

W grudniu 1911 r. odbył się w Paryżu zjazd młodzieży narodowej ze wszystkich zagranicznych ośrodków akademickich. Uczestniczył w nim, jako delegat z Kijowa Konstanty Skrzyński - student wydziału prawa Uniwersytetu. Na zjeździe była omawiana sytuacja międzynarodowa oraz możliwości wybuchu konfliktu wojennego między Niemcami i Austrią z jednej strony a Rosją, Francją i Anglią z drugiej strony.

W związku z nastrojami wojennymi i wiadomościami z zaboru austriackiego o tworzeniu się organizacji wojskowych rozpoczęły się w Polsce w 1912 r. dyskusje i narady, do stanowiska, jakie powinna zająć w tej sprawie młodzież narodowa w Kijowie. Zebranie Patronatu Polonii, na którym miała być m.in. omawiana powyższa sprawa, zwołano na 10 października 1912 r., zapraszając wybitnych przedstawicieli Polonii. Do mieszkania prezesa patronatu Joachima Bartoszewicza (redaktora Dziennika Kijowskiego), gdzie toczyły się obrady, wtargnęła żandarmeria rosyjska i po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji zatrzymała część uczestników, a pozostałych zwolniła, zobowiązując ich do zameldowania się w oznaczonym dniu w biurze żandarmerii.

Według Referatu naczelnika Kijowskiego Gubernialnego Zarządu Żandarmerii o polskim ruchu narodowym w Kraju Południowo-Zachodnim wśród 31 osób obecnych na zebraniu było 17 studentów Uniwersytetu, 2 studentów Politechniki, 1 student Instytutu Handlowego, 2 słuchacze kursów technicznych, 2 lekarzy, 2 adwokatów, 1 właściciel fabryki, 2 współpracowników polskich gazet, 1 nauczyciel poddany niemiecki i 1 inżynier w zarządzie kolei.

Na zebraniu obecni byli: patroni Joachim Bartoszewicz, Józef Andrzejowski, Stanisław Jeziński, Stanisław Zieliński, dr Michał Pietkiewicz, Wilhelm Kulikowski, Władysław Łukasiewicz; członkowie Polonii m.in. prezes Stanisław Rutkowski, Jerzy Grzymałowski, Józef Pawlikowski, Józef Dybowski, Jan Strzembosz, Czesław Madej, Natalia Taraszkiewiczówna, Wojciech Kulikowski, Stanisław Małachowski i Stanisław Wasilewski.

Żandarmeria zatrzymała Joachima Bartoszewicza, Stanisława Jezińskiego, Stanisława Zielińskiego i Jana Strzembosza, przy czym gubernator Giersz zwolnił na danie słowa na parę dni Stanisława Zielińskiego dla umożliwienia mu przeprowadzenia w Petersburgu starań o interwencję. Ponieważ starania nie dały pozytywnych rezultatów, Stanisław Zieliński zgłosił się po paru dniach dobrowolnie do więzienia.

Wkrótce na mocy wyroku Joachim Bartoszewicz i Jan Strzembosz zostali skazani na trzy miesiące więzienia²⁵, Stanisław Zieliński i Stanisław Jeziński na dwa miesiące, Natalia Taraszkiewiczówna i Stanisław Wasilewski na jeden miesiąc. Pozostali uczestnicy zostali skazani na grzywny po 25 rubli, z zamianą na dwa tygodnie aresztu. Żandarmeria musiała być dokładnie poinformowana, kto miał brać udział w tym posiedzeniu, ponieważ przeprowadziła rewizję w mieszkaniu Zofii Rodowiczówny, która miała być na zebraniu, ale nie przyszła z powodu nagłej choroby.

Natychmiast po wybuchu wojny poszczególne organizacje akademickie w Kijowie zajęły wyraźne stanowiska w stosunku do tak zwanych „orientacji politycznych”, wywołanych przez prowadzenie wojny pomiędzy zaborcami. O ile dotychczas były między organizacjami młodzieży akademickiej w Kijowie różnice ideologiczne, to teraz wystąpiły one i na tle orientacji politycznych. Powstały dwa oboje: obóz Józefa Piłsudskiego i obóz Romana Dmowskiego.

Polonia wyraźnie stanęła na stanowisku orientacji koalicyjnej Romana Dmowskiego i konsekwentnie na wszystkich odcinkach swego działania prowadziła politykę opartą na tej zasadzie. Stanowisko Polonii zostało ustalone ostatecznie w drugiej połowie 1915 r., tj. w momencie zajęcia Warszawy przez Niemców.

Korporacja natomiast zajęła stanowisko popierające bez zastrzeżeń politykę Józefa Piłsudskiego. Korporanci przebywający w tym czasie w Galicji natychmiast wstąpili do Legionów. Podstawą wszystkich dalszych posunięć Korporacji była realizacja tej polityki.

Dowodem wielkiej rozbieżności między Polonią i Korporacją było stanowisko tych dwóch organizacji akademickich w czasie wspomnianego już zjazdu, który odbył się w Kijowie 18 czerwca 1917 roku, na którym były reprezentowane wszystkie organizacje polskie z Kijowszczyzny, Podola i Wołynia, a więc i Polonia, i Korporacja.

Na zjazd przybyło 556 delegatów, reprezentujących 233 organizacje polskie. Przewodniczącym zjazdu został wybrany Zdzisław Grocholski. Zjazd otworzył prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego Joachim Bartoszewicz.

²⁴ Opracowano, na podstawie wyjątków z: Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Zarządzie Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT / Stanisław Grzymałowski / WSPOMNIENIA Z KIJOWA VI - (wybrane rozdziały) / POLSKA MŁODZIEŻ AKADEMICKA W KIJOWIE 1834-1918 / Wrocław - maj - 2001.

²⁵ W czasie pobytu w więzieniu Joachim Bartoszewicz (dr m.), nabawił się choroby ocznej i ze względu na odmówienie mu pomocy lekarskiej zaniewiedział do końca życia.

Po uchwaleniu wniosków określających stosunek Polaków o nowopowstałej Ukrainy, do powołanego Rządu Rosji i wreszcie wniosku o Polsce niepodległej, zjednoczonej, dostępem do morza, rozpoczęła się dyskusja nad wnioskiem określającym stosunek do Tymczasowej Rady Stanu i do Kola Miedzypartyjnego w Warszawie.

Wniosek Polskiego Komitetu Wykonawczego zawierał wyraz e uznania zarówno Tymczasowej Radzie Stanu za jej mozolną pracę, jak i Kolu Miedzypartyjnemu za wytrwały opór przeciwko obcym zakusom. Nad wnioskiem tym rozgorzała gorąca dyskusja. Przedstawiciele demokratów i aktywistów twierdzili, że Tymczasowa Rada Stanu powstała z wyboru, a rząd niemiecki jedynie ją zatwierdził i że Rada Stanu aklada fundament przyszłego rządu, a wszyscy muszą się jej podporządkować.

Po głosowaniu okazało się, że wniosek Polskiego Komitetu Wykonawczego uzyskał 250 głosów, przeciwko 125 głosom. Opozycja składająca się z demokratów opuściła salę zjazdu. Do opozycji przyłączyły się PPS Frakcja Rewolucyjna i Korporacja, w imieniu, której złożył w tej sprawie oświadczenie Stanisław Kamiński - członek Korporacji.

Wybuch rewolucji w 1917 roku zmienił w zasadniczy sposób działalność wszystkich organizacji akademickich w całej Rosji. Organizacje wyszły z podziemia i rozpoczęły jawną pracę.

Działalność samokształceniowa (...), została przerwana, wszystkie tajne zebrania kół, zarządów i rad wstrzymano, natomiast odbywały się jawne zebrania, zgromadzenia i ece.

Przedstawiciele młodzieży akademickiej pierwszy raz brali udział w organizowanym przez Tymczasowy Komitet Wykonawczy 6 marca 1917 roku zebraniu, które miało za adanie ostateczne ukonstytuowanie się Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi. Na zebraniu tym było reprezentowanych 36 organizacji polskich, między innymi Korporacja i Polonia.

Polski Komitet Wykonawczy składał się z 15 członków i 3 zastępców. Członkami zostali: Marian Baraniecki, Joachim Bartoszewicz (prezes), Zygmunt Berezowski, Roman Bninski (skarbnik), Wincen Chojecki, Zygmunt Chojecki, Włodzimierz Dzieduszycki, Kazimierz Domosławski, Stanisław Jezierski, Roman Knoll, Feliks Krzyżanowski, Jordan Poreswiet-Soltan, Bolesław Porro, M. Wilczyński i Stanisław Zielinski (sekretarz). Zastępcami członków zostali: Stanisław Kalinowski, A. Mickiewicz i Karol Waligórski. Z Korporacji wszedł do Komitetu Wykonawczego Kazimierz Domosławski a z Polonii Zygmunt Berezowski.

6. BARTOSZEWICZE, DAMBSCY I MITTELSTAEDTOWIE

Ozenek Jana Bartoszewicza ze Stanisława Damska był wyraznym waniem społecznym. Aczkolwiek z Polsce przedrozbiorowej arystokracja prawnie nie istniała, wszystkie tytuły, były tytułami tradycyjno/grzecznościowymi niedającymi żadnych prerogatyw, jednak były one używane w mowie potocznej, oraz w dokumentach rządowych. Takim tradycyjnym tytułem był hrabiowski tytuł Damskich, pochodzący z rzekomo od hrabiowskich dóbr Lubrańskich i jako taki był stosowany/tolerowany przez władze pruskie i austriackie. Natomiast Bartoszewicze, liczni w powiecie lidzkim, byli na Kujawach „ludźmi nowymi” i taka koligacja była znakomitą przepustką do średniego towarzystwa.

Koligacja z Mittelstaedt'ami miała inny charakter. Mittelstaedt'owie, przybyli w XVIII w., poprzez Kurlandię, ze Szwecji, i byli w Wielkopolsce także „ludźmi nowymi”. Nie osiągnęli łączności z polską arystokracją „grzecznościową”. Byli jednak liczni. W XIX w, przejęli polską kulturę i narodowość oligacili się z wieloma średnio zamożnymi rodzinami ziemianskimi, co dawało im, dobrą pozycję, a pokrewieństwo zapewniało kontakt z „towarzystwem”.

Zjawisko zbliżenia się rodów Damskich i Mittelstaedt'ów zainspirowało mnie do napisania książki NA ROZDROZU DZIEJÓW – o potomkach dwóch wzajemnie wielokrotnie spokrewnionych i spowinowaconych rodów²⁶ Damskich i mittelstaedt'ów.

Pomimo wielu trudności udało mi się opracować drzewa genealogiczne obu tych rodów i uważam, że celowe włączenie wycinków z nich do niniejszego opracowania. Stanowią one niejako mapę służącą do poruszania się wśród WSPOMNIENI Marii Karnkowskiej²⁷. Celem jest umiejscowienie większości osób w nich występujących w siatce rodzinnej.

We WSPOMNIENIACH Marii Karnkowskiej, występują także osoby o numerach kodowych, BKK²⁸ pochodzące z drzewa genealogicznego HISTORII RODU KARNKOWSKICH, jako dzieł starszego. Natomiast osoby należące do rodów Damskich i Mittelstaedt'ów, mają odpowiednio numery kodowe BKD²⁹ i BKM³⁰, z tym, że niektóre osoby występujące w obu rodach, mają jednocześnie numery kodowe BKD i BKM. Numeracje pokoleń, zachowano również identycznie z przyjętą w opracowaniu

NA

ROZDROZU

DZIEJÓW.

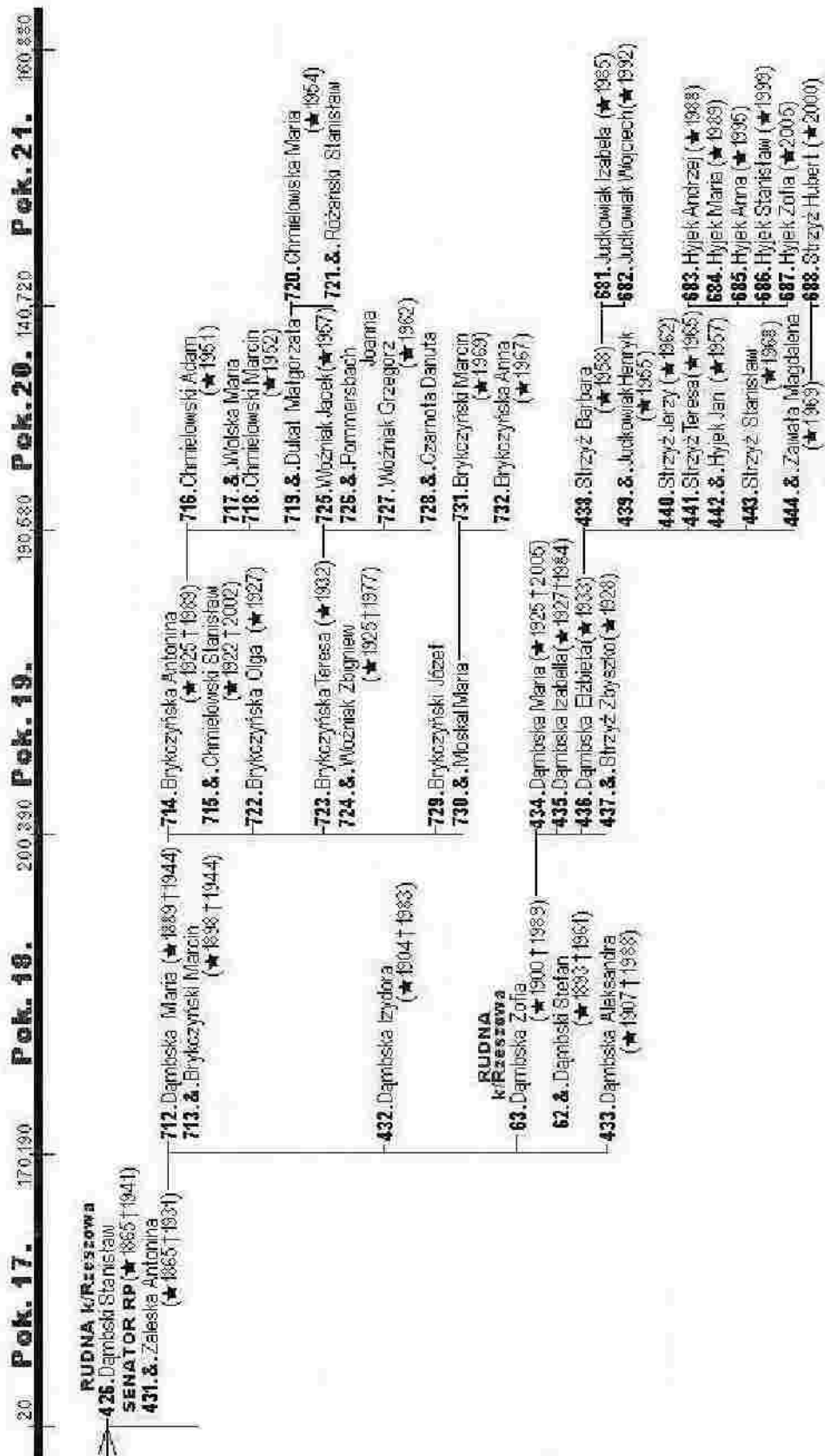
²⁶ Na rozdroku dziejów - potomkowie dwóch wzajemnie wielokrotnie spokrewnionych i spowinowaconych rodów Damskich i mittelstaedt'ów. Opracowanie tej książki utkwilo w połowie ze względu na brak współpracowników (źródeł/wiadomości), ze strony tych dwóch rodów.

²⁷ A także w książce, Joanna Prosińska Giersz – HRABIANKA ANNA Z ZABNA. Adam Marszałek Toruń 2007.

²⁸ Brothers-Keeper Karnkowski

²⁹ Brothers-Keeper Damski

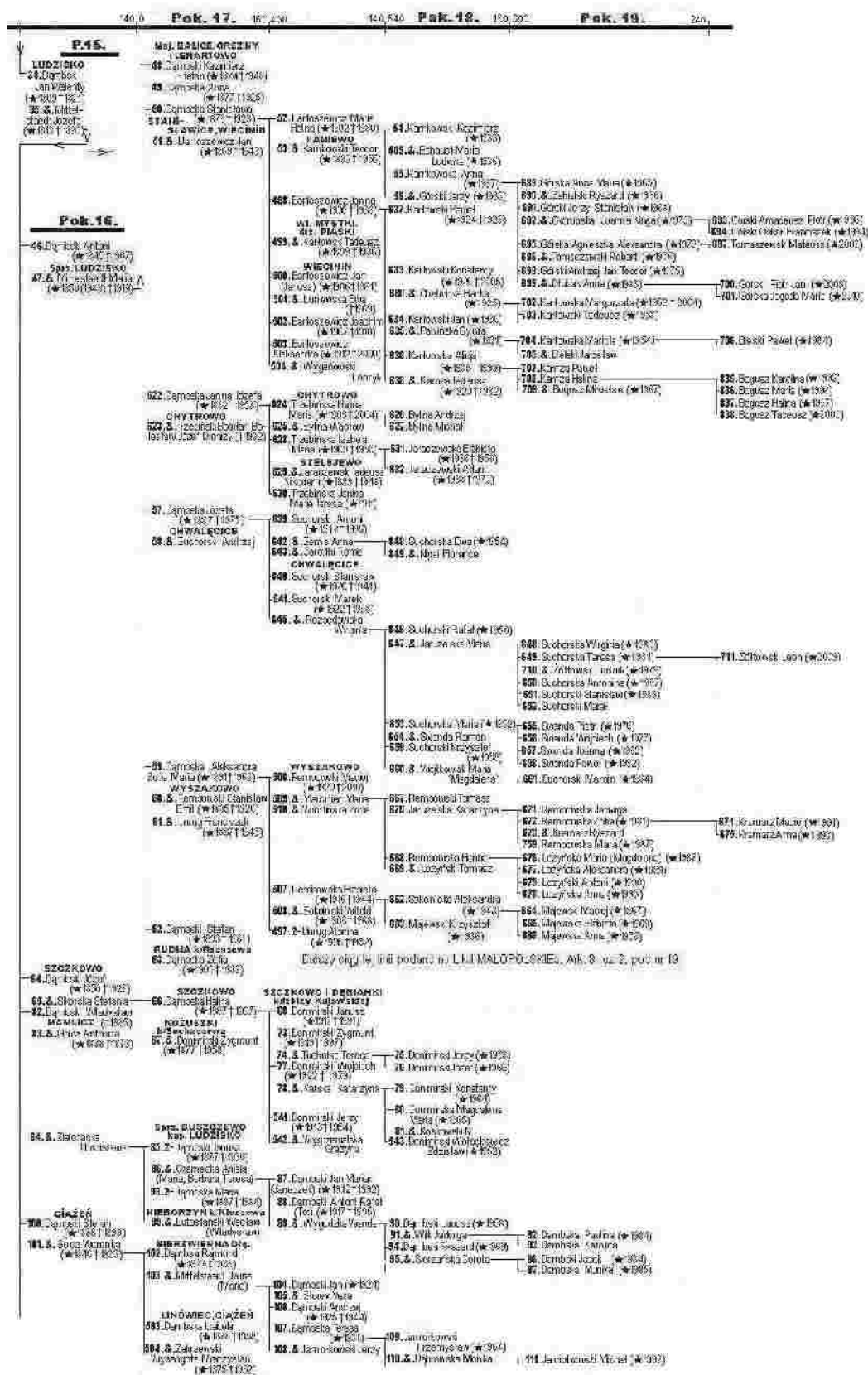
³⁰ Brothers-Keeper Mittelstaedt



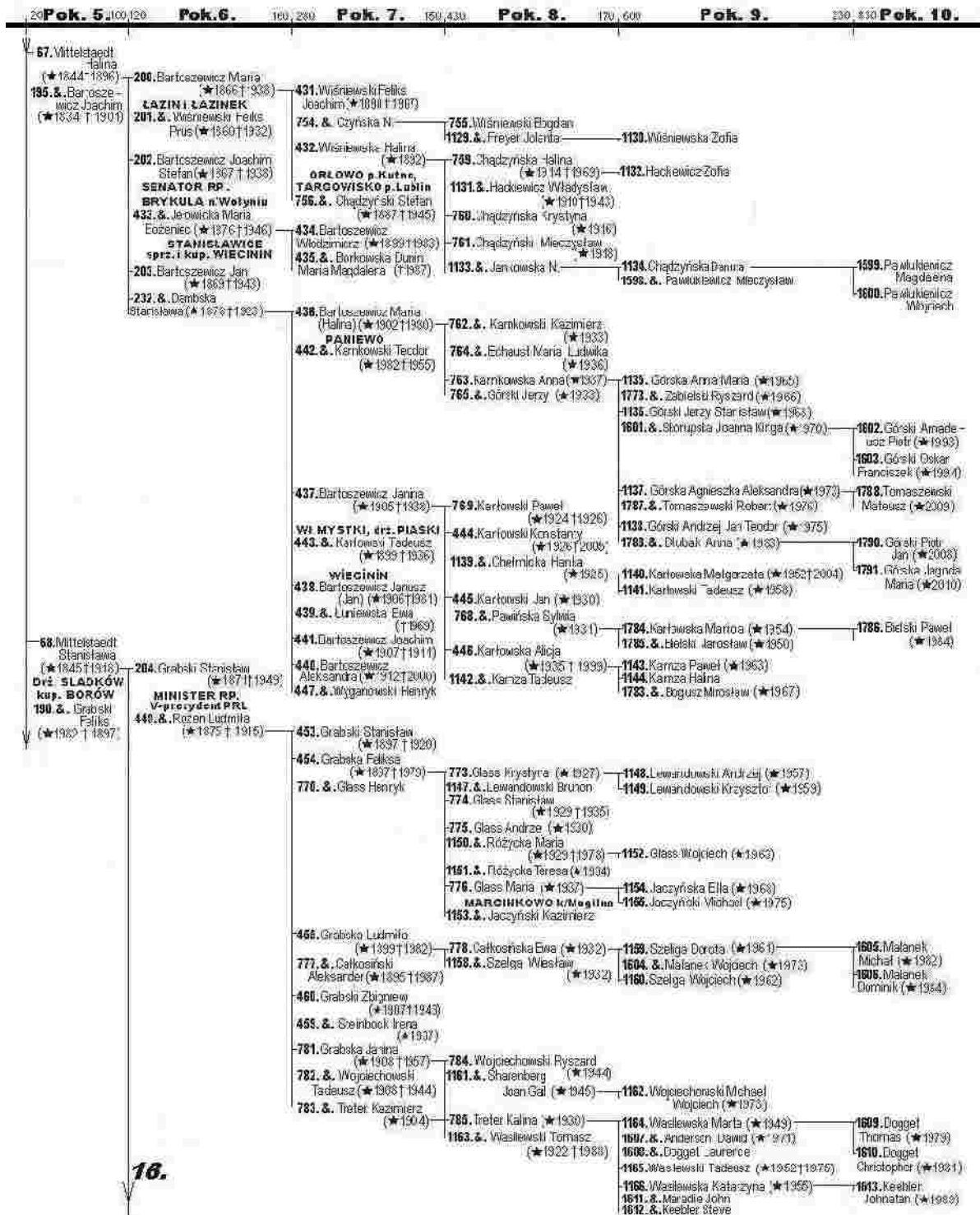
18.

Wycinek, z drzewa genealogicznego rodu Dąbbskich, BKD - 3, w zakresie omawianym we WSPOMNIENIACH. Nr-y kodu osobowego BKD, wg opr. Na rozdrożu dziejów ...

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013



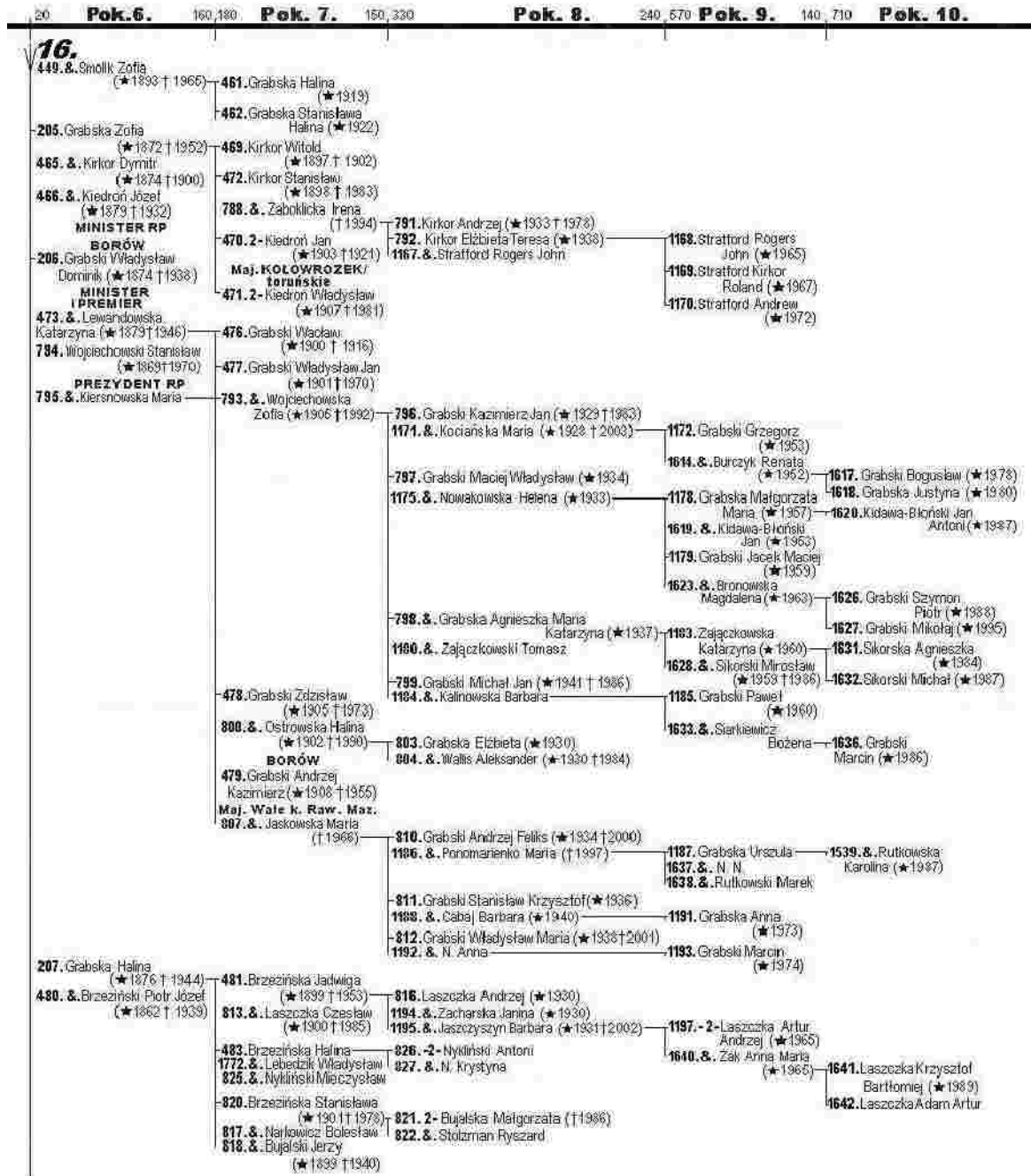
19. Wycinek, z drzewa genealogicznego rodu Damskich, linia Konarska BKD - 4 w zakresie omawianym we WSPOMNIENIACH. Nr-y kodu osobowego BKD, wg opr. Na rozdrożu dziejów ...



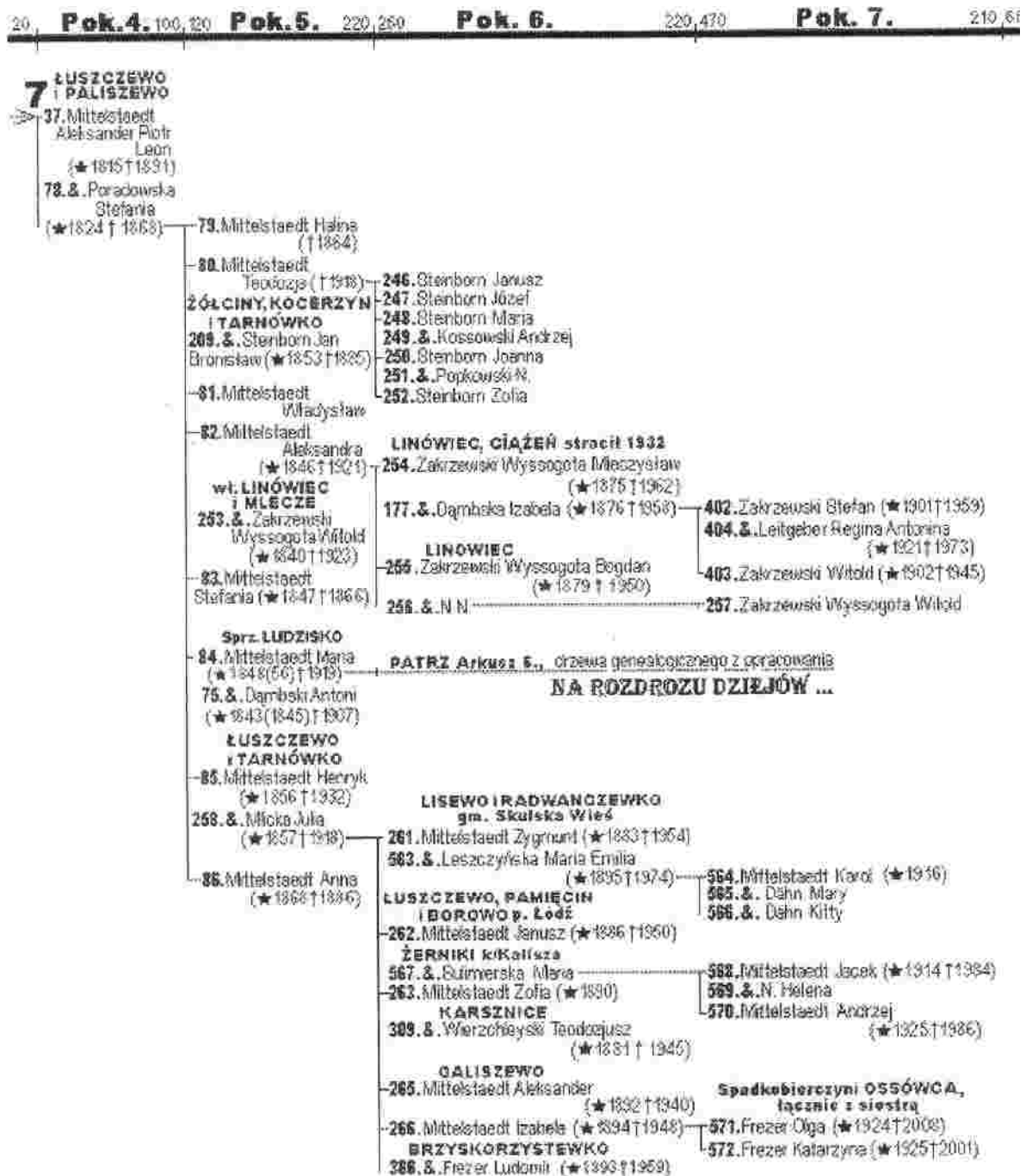
20.

Wycinek, z drzewa genealogicznego rodu Mittelstaedtów, BKM - 1 w zakresie omawianym we WSPOMNIENIACH. Nr-y kodu osobowego BKM, wg opr. Na rozdrożu dziejów ...

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013



21. Wycinek, z drzewa genealogicznego rodu Mittelstaedtów, BKM – 2 w zakresie omawianym we WSPOMNIENIACH. Nr-y kodu osobowego BKM, wg opr. Na rozdruzu dziejów ...



22. Wycinek, z drzewa genealogicznego rodu Mittelstaedtów, linii związanej z maj. Łuszczewo, BKM - 3 omawianym we WSPOMNIENIACH. Nr-y kodu osobowego BKM, wg opr. Na rozdrożu dziejów

7 PIERWSZE LATA W WIECININIE

Ojciec wkrótce kupił od pp. Chraszczewskich Wiecinin o powierzchni 300 ha plus 50 ha jeziora brdowskiego w powiecie Kolo. Był to, wiec obiekt sredniej wielkosci, ale ziemia byla dobra, budynki gospodarcze w dobrym stanie i duze, pozwalajace na pomieszczenie licznego inwentarza, spichrz okazaly, bo dwupietrow no i obszerny dom w starannie utrzymanym ogrodzie i duzy sad. Głównym mankamentem byla znaczna odleglosc do najblizszej stacji kolei zelaznej, do Chodcza, bo az 28 km i to fatalnej drogi, do Kola 23, a do najblizszego miasteczka Izbicy gdzie mozna bylo cokolwiek kupic az 7 km. Tam tez byla poczta. Drogi bite byly w tamtej okolicy rzadkoscia, przewazaly polne na ogol fatalne i tak blotniste, ze w czasie wiosennych czy jesiennych roztopow mozna bylo posluguwac sie jedynie wozem. Ten powazny minus nie znec il Ojca, zreszta nie tylko wówczas, ale jeszcze dlugo potem, nie nastapila zadna poprawa w tej dziedzinie, dopiero koncem wielkiej wojny swiatowej (I Wojny Swiatowej), Niemcy zdajac sobie sprawe z tego, jak ogromne znaczenie dla tej zyznej okolicy bedzie miało polaczenie ze swiatem rozpoczeli, a nawet prawie, ze doprowadzili do konca budowe kolejki waskotorowej laczacej Wloclawek z Kolem przez Sompolno. W zwiazku z budowa tej kolejki przypominam sobie, z jaka niecierpliwoscia czekalismy wszyscy na jej uruchomienie. Ojciec prawie dziennie chodzil do Mchowa, gdzie mial byc jej najblizszy przystanek i niepokoil sie mozliwoscia niedokonczenia szta juz dosc zaawansowanych robót, tym bardziej, ze spodziewano sie, iz wojna moze sie lada chwila skonczyc. Pewnego listopadowego popoludnia, Ojciec wróciwszy z codziennej inspekcji powiedzial: „chyba jeszcze do konca wojny jest dosc daleko, gdyz Niemcy dozoruacy roboty sa jak codziennie na swych stanowiskach i praca postepuje normalnie”. Nie uplynela godzina, gdy nagle ktos wpada z krzykiem: „juz po wojnie, Niemcy zostawili prace i uciekli”. Uslyszawszy to Ojciec powiedzial: „Niemcy to jednak solidni ludzie, umieja pelnic do konca swój obowiazek”. Na szczescie wladze nowopowstalej Rzeczypospolitej docenily znaczenie owej arterii komunikacyjnej dla zycia gospod czego tego regionu. Zabrano sie energicznie do pracy, tak, ze na wiosne 1920 r. polaczenie Wloclawka na razie z Sompolnem, a wkrótce i z Kolem, bylo faktem dokonany. Wikszosc mieszkanców wsi, przez które z glosnym sapaniem i dono ym gwizdaniem ów upragniony „samowarek” przejezdzał, nie tylko jeszcze nigdy kolejka nie jezdźila, ale nawet tego dziwu nie widziala, to tez szczególnie w pierwszych miesiacach, w godzinach, kiedy widoczny z dala dym z komina zbliżajacej sie kolejki zwiastowal ukazanie sie jej, gromady gapiów i ciekawskich czekalo na ukazanie sie tego „dziwu”, a szczesliwi pasazerowie nierzadko, a szczególnie w czasie swiat mogli sie spodziewac, ze spotkani po drodze krewniacy i znajomi skorzystaja e sposobnosci podrzucenia przejezdżajacym kawalka ciasta lub wianka kielbasy. Konduktor nie robil specjalnych trudnosci, gdy go proszono o zatrzymanie na chwile pociagu. Wiedzial, ze niezawodnie zostanie takze poczestowany swiatecznymi smakolykami.

Wspomnialam przed chwila, ze do Chodcza bylo 28 km fat nej drogi, tu tylko dodam dla uzupelnienia obrazu, jakie trudnosci byly zwiazane z dojechaniem do tej stacji. M j wiecej 4 km przed Chodczem bita szosa pokonywala wysokie wzniesienie prawdziwa góre, z której ostry zjazd (dla ojazdów nieposiadajacych hamulców) byl bardzo niebezpieczny. Ilekroc mialo sie juz wjezdżac na owa bita droge, wszy y nie wylaczajac stangreta, zegnali sie z najwyzszym niepokojem i dopiero po przejechaniu owej góry oddychano z ulga. Pe ego razu taki zjazd o malo nie zakonczyl sie tragicznie. Orczyki przymocowane do dyszla, skutkiem gwałtownego hamowania, zaczely bic konie przodkowe po nogach. Konie chcac uniknac bolesnych uderzen, zaczely ponosic i gdyby nie nagla decyzja gwałtownego skrecenia na przylegajace do szosy swiezo zaorane pole, gdzie pojazd momentalnie sie zaryl, co z kolei zmusilo rozpedzona czwórke do zahamowania biegu, rzecz skonczylaby sie tragicznie. Wypadki podobne do wyzej podanego, musialy widocznie czesciej sie zdarzac, az wreszcie zaalarmowane nimi wladze lokalne zwróciły sie do Peter urga, skad wkrótce przyjechala specjalna komisja, aby sprawe zbadac na miejscu. Okazalo sie, ze inzynier, który kierowal budowa szosy zdefraudowal pi iadze przeznaczone na zniwelowanie terenu i nie czekajac na wykonanie wyroku odebral sobie zycie.

Oczywiscie pieniadze uzyskane ze sprzedazy Stanislawic nie wystarczaly na kupno Wiecinina, to tez Ojciec byl zmuszony do zaciagniecia dosc powaznego dlugu u miejsc wego bankiera, oczywiscie Zydą³¹.

³¹ Widac tutaj zainspirowane niewatpliwie kregi przez katolickie, zwalanie winy na „kozla ofiarnego”, którym w tym wypadku mieli byc Zydzi, w których Kosciól widzial swych odwiecznych wrogów. Po pierwsze jesli by Zydzi nie dysponowali gotówka, to w wypadku zaistnienia takiej koniecznosci nie byloby gdzie pozyczyc pieniadzy. Po drugie, dlaczego chrzescijanie nie polaczyli sie, aby sluzyc swym braciom źródlem „taniego” kredytu? Po trzecie obecnie banki pozyczaja ludziom na podobnie twarde warunki gotówke i tym razem chłopi znowu narzekaja. Po czwarte ziemianie nie byli analfabetami i wiedzieli, co podpisuja i umieli liczyc, wiec trudno wine zwalac na Zydów. Po piate ziemianie przeciez wiedzieli, ze jak musza placic pro zrezygnowac z „wystawnego” trybu zycia, ale to nie wpadlo im do glowy. Po szoste widac, ze jesli ktos gospodarowal przezomie jak Jan Bartoszewicz to mógł z nielatwej pulapki kredytowej sie uwolnic, czyli Zydzi nie byli nieuczciwi, ale przestrzegali zasad umowy pacta sunt servanda. Po siódme Adam Bien w swej epokowej dla historii rozwoju wsi polskiej ksiazce BÓG WYSOKO DOM DALEKO LSW W-wa 1981, str. 198 i dalsze w podobny sposob opisuje zaciaganie kredytów na wsi i potwierdza, ze w zasadzie Zydzi byli uczciwymi i partnerami. Po ósme akcja parcelacyjna prowadzona przez Zydów byla chyba zdrowym zjawiskiem, bo na miejsce nierentownych majatków ziemskich wprowadzala rentowne w danym okresie gospodarstwa chlopskie, a to, ze na tym zarabiano, to jest przeciez zjawiskiem naturalnym.

Z powyzszeo wynika, ze w opisywanych przypadkach straty majatków winni byli przede wszystkim sami ziemianie ze swa „polska” beztroska i brakiem odpowiedzialnosci. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

W tamtych czasach tylko Żydzi dysponowali gotowym groszem, który zresztą chętnie pożyczali „diedzicom”, wiedząc z doświadczenia, że rzadko, któremu udawało się spłacić najczęściej lichwiarskie procenty, nie mówiąc o spłacaniu lekkomyślnie pożyczonych pieniędzy, co z reguły kończyło się przejściem majątku w żydowskie ręce.

Ileż to razy przejeżdżając przez duże wsie zamieszkałe przez drobnych rolników, dowiadywał się od Ojca, do kogo należała dawniej ta ziemia. Byli to przeważnie ziemianie, którzy nie potrafili przystosować się do zmienionych po przeprowadzeniu uwłaszczenia chłopów warunków gospodarowania³². Tu trzeba dodać, że zdarzało się to najczęściej tam, gdzie ziemia była gorsza, a tymczasem trzeba było całkowicie przestawić gospodarstwo, a przy tym zrezygnować z często zbyt wystawnego trybu życia, licznej służby itp.

Taki nieopatrzny obywatel ziemski najpierw zadłużał się u zawsze chętnych do udzielania pożyczek Żydów, procenty rosły w sposób zastraszający i w niedługim czasie, sięgając na piękny majątek z dziada pradziada ziemianin zanim się spostrzegł, musiał go opuścić, a nowy właściciel rozprowadzał go między okolicznych chłopów, robiąc na tego rodzaju transakcjach znakomity interes. A właściciele musieli wracać do miasta, gdzie jednostki zaradniejsze i silniejsze znajdowały jakąś pracę, nawet i w małych miasteczkach. Z ich to szeregów w dużej mierze powstawała inteligencja miejska, ludzie wartościowi, gorący patrioci - przywiązani do tradycji narodowych i rodowych. Jednostki słabsze albo deklasowały się, nie mogąc sobie poradzić w obcych dla siebie warunkach, albo szczególnie ludzie starsi, osiadali, jako rezydenci u krewnych lub znajomych, którym udało utrzymać się na wsi, zaś niezameznie ciocie i kuzynki angażowały się, jako nauczycielki u krewnych, czy dawniejszych przyjaciół rodziny.

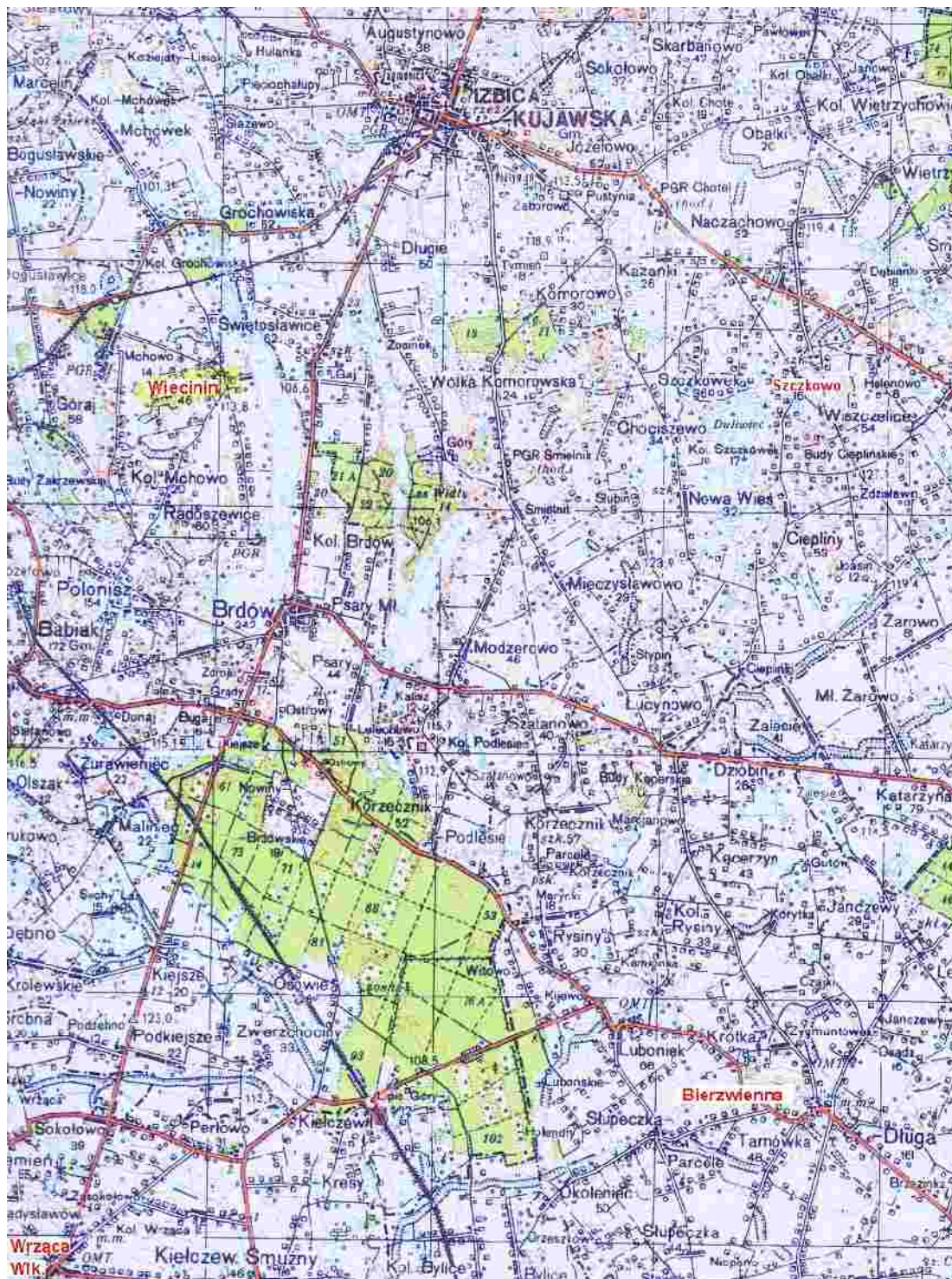
Wracając do mego Ojca, który był człowiekiem niezmiernie pracowitym, bardzo oszczędnym, przyzwyczajonym do raczej skromnego trybu życia w domu u swych rodziców, a przy tym ogromnie ambitnym, postanowił zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby spłacić jak najprędzej zaciągnięty u Żyda dług, a przede wszystkim spłacić ostatnią ratę kupna majątku. Opowiadał mi raz jak pan Chrzaszczewski, poprzedni właściciel Wiecinina był zdumiony, gdy zamiast tak jak się spodziewał prośby młodego człowieka o przedłużenie terminu płatności, tenże wcześniej niż umówiono zjawił się, by spłacić resztę należności. Podobnie było z owym Żydem, u którego zaciągnął pożyczkę. Od czasu do czasu przyjeżdżał on do Wiecinina i milcząco obserwował wszystko, co się tam działo, a gdy wreszcie Ojciec pytał, czego sobie życzy, odpowiadał uśmiechając się i zacierając ręce: „... ja tak sobie, ja nic, chciałem tylko zobaczyć jak się panu Dziedzicowi powodzi”. Zapewne przypuszczał, że młody, przystojny człowiek, zechce za przykładem lekkomyślnych sąsiadów bawić się, grać w karty itp. zaniebując gospodarstwem i już prawie widział jak ów lakomy kasek (Wiecinin) przechodzi jego ręce. Tymczasem Ojciec chcąc jak najprędzej spłacić ciążące na majątku długi, dwoił się i troił, by osobiście dopilnować wszystkiego. Wstawał o świcie, żeby dopilnować porannego udoju czy odpasu inwentarza. Bóg błogosławił widocznie zawziętemu młodzieńcowi, choćby wtedy, gdy zasiał na nasienie białą koniczynę. Wzrosła tak wspaniale, że tegoż samego roku mógł spłacić owego natrętnego lichwiarza. Miał także kilka niepowodzeń gospodarczych, z których najgroźniejsze były influenza u koni i bydła, co powodowało ogromne straty, komplikowało prace w polu i utrudniało komunikację. Obowiązywały, bowiem bardzo surowe przepisy weterynaryjne, celem uchronienia przed rozwleczeniem tej groźnej epidemii. Jednak powoli młody gospodarz urządził się na tyle, że mógł pomyśleć o ożenku. Dom był umeblowany, gdyż w międzyczasie dziadkowie zlikwidowali mieszkanie w Warszawie i przenieśli się do syna, przywiozł meble, fortepian i całe urządzenie domowe. Dwór był dość obszerny. Składał się z dużego salonu i podobnych rozmiarów jadalnego pokoju, mniejszego saloniku, dość dużej sieni, z której niewielki korytarz prowadził do kredensu, spizał jeszcze do dość dużego pokoju, który był później naszym pokojem dziecięcym. Z jadalnego wchodziło się do dość dużego pokoju dziadków, a potem rodziców, obok był mniejszy, późniejszy pokój dla młodszych dzieci i łazienka. Na górze 5 pokoi gościnnych i kilka najrozmaitszych rozmiarów schowków i schowanek przeznaczonych na przechowywanie zapasów pościeli, nieużywanych na razie rzeczy, różnych rupieci itp. Dom łączył z kuchnią tzw. angielska dla państwa, czeladnia dla służby i ich mieszkaniem, mleczarnia, wielka spizarnia duży szeroki korytarz. Choć później w 1919 r. dom został przebudowany i powiększony, przez to był i wygodniejszy, a także okazałszy, to najmocniej zawsze tkwią w pamięci wspomnienia związane z przeżyciami z dzieciństwa i lat młodych. Późniejsze jakos przedzie zaciera się w pamięci.

Jeszcze dziś z pewnego rodzaju rozrzewnieniem wspominam, np. ów szeroki korytarz łączący dom z kuchnią i gospodarczymi pomieszczeniami, o cementowej posadzce, o której pedzacz z jakimis niecierpiącymi zwłoki poleceniami, przewracaliśmy się nieraz, objając niemiłosiernie kolana. Zima ów korytarz był ulubionym miejscem gonitw i wyszcigów.

Dom otoczony był wyjątkowo starannie zaplanowanym ogrodem. Poprzednia właścicielka pani Chrzaszczewska musiała być wytrawnym dendrologiem, skoro postarała się o posadzenie wielu pięknych i rzadko spotykanych nawet w ogrodach botanicznych drzew, szczególnie iglaków, takich jak wsłone nialy złocisty cis, rzadkie odmiany jodeł i sosen - wykorzystywała też wilgotny teren, na którym leżał ogród i posadziła kilka skupisk świerków, które dawały wyjątkowo duże przyrosty i ponieważ były umiejętnie usytuowane, stanowiły znakomite tło dla krzewów i bylin, które później moja matka u ich podnóża sadziła. Jednak największą osobliwością były trzy rozłyszte sequoje, przypominające układem jak gdyby pietrowo rosnącymi konarami, doniczkowe rośliny iglaste, znane pod nazwą araukarii. O sequoje miały bardzo delikatne igielki, płasko na gałązkach ułożone, które nie opadały jesienią, ale do wiosny trzymały się gałązek, a że były rdzawo złotawe, więc nadawały się znakomicie do dekoracji stołu.

³² Restrukturyzacja gospodarki jest zjawiskiem ciągłym. Ma ona miejsce i w naszych czasach np. w przemyśle i dla ówczesnych ziemian była zjawiskiem aczkolwiek ciekawym, ale nie była niczym nadzwyczajnym. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Drzewa te tylko przypadkiem ocalały od zagłady, gdyż Ojciec po kupieniu Wecinina w towarzystwie ogrodnika obszedł cały ogród celem wydania odpowiednich wskazówek odnośnie zmian, które uważał za wskazane. Stwierdziwszy, że owe trzy drzewa nie wypuszczają nowych pedów - są, więc prawdopodobnie uschnięte, polecił je wyciąć. Tak się złożyło, że wyjechał na kilkanaście dni, a gdy po powrocie wybrał się do ogrodu, by stwierdzić, czy wszystko, co polecił ogrodnikowi zostało zrobione, ze zdziwieniem zobaczył, że drzewa, które poprzednio wydały się martwe, teraz (a był to już początek maja) okryły się niesłychanie delikatnymi zielonymi igielkami.



23. Położenie Wecinina i miejscowości, oraz majątków, o których mowa w tekście. Brdowa (kościół parafialny), Izbica (poczta, sad i miejsce zakupów), Mchowo (stacja kolejki wąskotorowej), Bierzwienna (własność wuja Rajmunda (BKD 102) Damskiego), Szczków (własność wujostwa Józefostwa (BKD 64) Damskich) i Wrzaca Wielka (własność pp. Topińskich).

Nikt nie wiedział, co by to były za drzewa, nawet wytrwały dendrolog, jakim był mój były profesor na kursach ogrodniczych Piotr Holzer, zapytany o to w czasie swej bytności w Wiecininie nie mógł wyjaśnić tej zagadki. Dopiero Instytut Zakładu Botanicznego w Warszawie, dokładając za jego radą próbki drzew, orzekł, że drzewa te, to sequoje.

Korzystając ze sposobności, nie mogę nie wspomnieć o tym, że po wielu latach, bo gdzieś około 1950-ego roku sequoje ocalały ogród wiecininowski od zagłady, jak to miało miejsce niestety w większości wielu nawet bardzo pięknych dworskich parków, które po przeprowadzeniu reformy rolnej zostały kompletnie zniszczone i zdewastowane. Dziwnym zbiegiem okoliczności, o których za długo byłoby tu pisać, znalazła się w Wiecininie osoba, która miała powierzone zbadanie stanu istniejących jeszcze na terenie powiatu kolskiego parków. Pani ta była zdumiona widząc w naszym parku wiele okazów rzadkich gatunków drzew, a szczególnie sequoje, już tylko dwie, bo w międzyczasie udało się wyciąć trzecią. Z całą energią postarała się o przysłanie odpowiedniego zarządzenia, zabraniającego pod wysoką karą, wchodzenia na teren parku, pasienia tamże bydła, wycinania drzew itp.,. Gdy w 1964 r. wybrałam się w towarzystwie mego zięcia (na motocyklu) do Wiecinina, z największą radością stwierdziłam, że nie tylko owe sequoje, ale wiele innych pięknych drzew, takich jak wspaniały buk, dąb piramidalny, piękne ogromne cyprysniki, a także ów złocisty cis ocalały od zagłady³³. Niestety długa wjazdowa aleja obrzeżona olbrzymimi kulistymi wiazami została zużyta przez nowych właścicieli Wiecinina, jako materiał budowlany.

Życie towarzyskie nie było wówczas w okolicy zbyt ożywione. Spotykano się najczęściej dla pogrania w karty, a ze Ojcem tej rozrywki nigdy nie uprawiał, więc raczej przesiadywał w domu pochłonięty pracą w gospodarstwie - wieczory jesienne i zimowe poświęcając na lekturę. Żyjąc dotąd w Warszawie i to w środowisku inteligencji, był zainteresowany ciekawszymi tematami niż utyskiwanie na trudności gospodarskie, lub niekonczące się dyskusje nad różnorodnymi sposobami uprawy buraków cukrowych, którymi raczyli się w przerwach pomiędzy partyjkami preferansu, może poczciwi, ale stojący na ogół na dość niskim poziomie intelektualnym sąsiedzi³⁴.

Ojciec najczęściej odwiedzał pp. Słubickich w niedalekim Ozorzynie. Henryk bardzo go lubił, szczególnie zaś jego żona z domu Zakrzewska daleka krewna, (która zresztą tytułowała ciocią). Zdaje się, że to ona, lubiąca jak większość panów zajmować się kojarzeniem małżeństw, wpadła na pomysł ze swatania Ojca z panną Stanisławą (BKD 50) Dąbska z Ludziska, która zresztą wypadła mu kuzynką w trzecim stopniu, ponieważ jej matka Maria (BKD 47, BKM 84) z Mittelstaedtów była córką Aleksandra (BKM 37), brata Seweryna (BKM 35) Mittelstaedta, dziadka mego Ojca.

³³ W czasie mojej wizyty w 1996 r. zastałem ogród w Wiecininie bardzo zaniedbany. Szczegółów nie sprawdzałem. W Polsce naczelnym problemem jest to, że nie istnieje egzekucja nawet najbardziej elementarnych zasad i przepisów nie tylko na jakiejś odległej wsi, ale nawet w Warszawie i są dwie instytucje, które mogą robić w Polsce bezkarnie wszystko, co im się podoba: to jest Kościół katolicki i chłopcy. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

³⁴ Zadziwiający w całym tych wspomnieniach jest to, że Matka spogląda na swą klasę z trzeźwym i równocześnie głębokim krytycyzmem, aczkolwiek często ma trudności w zdefiniowaniu tych braków i nie widzi potrzebnych środków zaradczych. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

8. MALZENSTWO J. BARTOSZEWICZA ze St. DAMBSKA

Zreszta czas już był młodemu człowiekowi zbliżającemu do trzydziestki pomysleć o malzeństwie. Pan Słubicki zaaranżował rzecz całą. Obaj panowie wybrali się do Ludziska, aby złożyć uszanowanie niezbyt przecież dalekim krewnym. Uradzono by ułatwić młodym ludziom poznanie się, że p. Jan odbedzie roczną pracę rolną w doskonale zresztą prowadzonym gospodarstwie ludziskim. Taka praktyka będzie bardzo pożyteczna dla młodego człowieka, który przecież nie przeszedł przez jakiegokolwiek przygotowanie teoretyczne czy praktyczne i był właściwie rolnikiem samoukiem (k czyli przecież prawo). Zreszta w owych czasach panowało ogólne przekonanie, że obywatelowi ziemskiemu³⁵ wystarczy korzystanie z rad i doświadczeń poprzednich pokoleń, co uważano wówczas za wystarczające, aby dać sobie radę w prowadzeniu gospodarstwa, a Bartoszewiczowie już przecież od dłuższego czasu nie mieli kontaktu z rolnictwem. Po owym czasie próby, malzeństwo zostało zdecydowane i należało wracać do domu, aby zająć się przygotowaniami do ślubu. Panstwo Dambscy postanowili zrobić tak zwany dzisiaj „wywiad środowiskowy”, aby przekonać się, w jakich warunkach przyjdzie żyć młodej pannie. Za pretekst posłużył im pretekst odwiedzenia najmłodszego z pieciu braci Dambskich (Józefa, BKD 64), który niedawno ożenił się z panną Sikorską³⁶ (Stefania, BKD 65) z Pomorza osiedlił się niedaleko Wiecinina w Szczukowie. Droga z Ludziska była daleka, więc aby ją trochę skrócić czterej panowie Dambscy zarządzili ustawienie w tak zwanej arce, czyli ogromnej karocy-landarze, stolika do gry w karty i tak grając ulubionego preferansa, ani się spostrzegli jak dojechali do celu podróży. Inspekcja wypadła zadowolona, jedynie menu uznali starsi panowie za niezbyt odpowiednie, bowiem Ojciec, który nad wszystko inne przekładał pierogi z mięsem, nie sadziłby mógł jakas inna potrawa bardziej usatysfakcjonować gości - oczywiście poleciwszy kucharzowi, aby dolał wszelkich staran, aby owe pierogi były jak najsmaczniejsze. Termin ślubu został wyznaczony na 20-ty października. Był to rok 1901. Babka Halina (BKM 67) przed kilku laty zmarła na serce, a dziadek Joachim, (BKM 195), którego panowie Dambscy poznali w czasie swej wizyty w Wiecininie, przypadł im bardzo do gustu, był on, bowiem jak już uprzednio podkreśliłam ogromnie miłym człowiekiem, przy tym na równi z nimi zapalonym amatorem preferansa. Postanowiono zaprosić go na kilkanaście dni przed terminem ślubu, nie tylko dla bliższego poznania przyszłej synowej, ale i do rozerwania się w zawsze gwałtownym Ludzisku, bo właściwie starszy pan nudził się w Wiecininie - brakło mu życia towarzyskiego, do którego przywykł w Wałowie. Niestety wkrótce po przyjeździe do Ludziska rozchorował się poważnie i na kilka dni przed wyznaczoną datą ślubu rozstał się z tym światem.

Pogrzeb odbył się w przeddzień ślubu, nie było innego wyjścia, gdyż najbliższa rodzina pana młodego, siostra Maria (BKM 200) Wisniewska z mężem (Felixsem (BKM 201) Prus Wisniewskim,) i braterstwo Joachimowie (Bartoszewicz (BKM 202) Joachim Stefan i Maria (BKM 433) z Jelowickich Bozeniec) byli już na miejscu - nie trzeba zapominać, że przejechali przecież za paszportami, których ewentualne wyrobienie po raz drugi w tak stosunkowo niedługim czasie byłoby niezmiernie uciążliwe i kłopotliwe, podobnie jak nowe starania się o pozwolenie przejechania przez granice własnym zaprzęgiem, a także przewiezienie wyprawy panny młodej itp.

Zwazywszy te wszystkie trudności zdecydowano, że ślub będzie, więc w oznaczonym terminie, oczywiście będzie cichy, bez tańców i muzyki, no, co nie tylko panna młoda ale dorastająca siostra Janina i liczne kuzynki od dawna się cieszyły. Jasne suknie włożono tylko na sam dzień ślubu - potem trzeba było zaraz zmienić je na czarne i to na pełne półtora roku, bo wówczas przestrzegano rygorystycznie tak długiego okresu żałoby.

Spokrewnienie z rodziną Dambskich było rzeczą ze wszech miar pożądaną: dom otoczony ogólnym szacunkiem, prawdziwie patriarchalny, bardzo zamożny. Ludzisk wraz z folwarkami, to było to przeszło 3700 morgów znakomitej kujawskiej ziemi, świetnie zagospodarowanej, perspektywa odpowiedniego posagu, miała przecież zawsze, a tym bardziej dla młodego człowieka na dorobku niemałe znaczenie, pała przystojna, miła i wesola jednym słowem wszystko przemawiało za tym, że wybór dokonany przez pana Jana był jak najtrafniejszy. Wreszcie panstwo młodzi ruszyli czwórka pięknie i jak najstaranniej dobranych koni - opowiadał mi Ojciec ile się natrudził zanim taki zaprzęg skompletował - aby zacząć nowe życie. Ojciec ze zdwojona energią rzucił się w wir pracy, młoda pani stale przemyślała nad tym, co by jeszcze można zrobić, aby upiększyć nie tylko dom, ale i ogród. Tak jedno jak i drugie nie można mogło się przecież równać z rozległym, zasobnym i pięknie umeblowanym dworem ludziskim - w ogóle może się myśle, ale mam wrażenie, że matka uważała, że zrobiła pewnego rodzaju megalomanię, bo to i nazwisko akos na Kujawach obco brzmiące, nie na -ski, a na -icz, no i fortuna raczej skromna, a sąsiedztwo niezbyt atrakcyjne, a w tym ukochanym Ludzisku, było zawsze rojno i wesolo, pełno spokrewnionej młodzieży, zżyte sąsiedztwo. Sama była wyjątkowo wesołego usposobienia, nazywano ją ogólnie „wesoła Stachna”, zawsze pełna życia i pomysłów. Lektura wówczas jeszcze zbyt ją pociągala, konna jazda uprawiała bez entuzjazmu, jedynie, aby zadośćuczynić życzeniu Ojca, który nie mógł sobie w ogóle wyobrazić życia bez konia.

Ojciec miał zupełnie inne usposobienie, poważny, raczej sensat, bardzo oszczędny, lubiący spędzać wieczory na czytaniu, zainteresowany polityką itp. problemami. Przy tym zupełnie inne tradycje rodzinne (matka była może nie tyle rozrzutna, co jak się zwykło to określać „pieniądze się jej nie trzymały”).

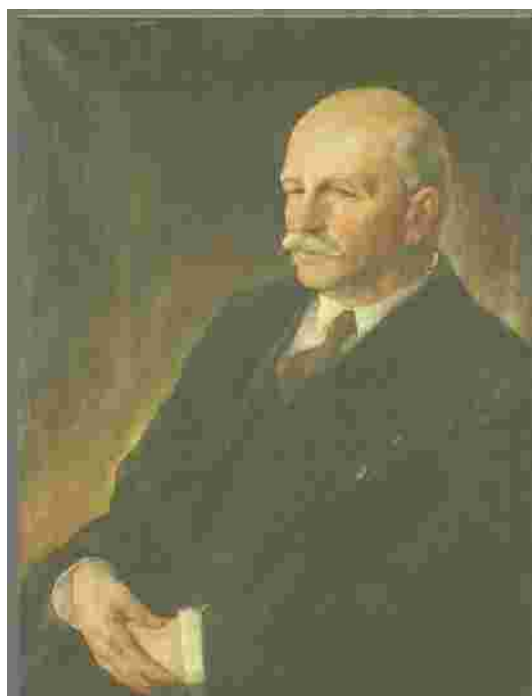
³⁵ Poglądy te nie były tak powszechne. Świadczy o tym przypadek Piotra Karnkowskiego z Oleszna, który absolwował w mniej więcej tym samym czasie szkoły rolnicze w Hohenheim w Badenii i w Berlinie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

³⁶ Prawdopodobnie z Lesna. Autorka w dalszym ciągu tych wspomnień opisuje swoją bytność w Lesnie. (K. Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Dambscy zawsze związani z ziemią i tradycjami lokalnymi - Bartoszewicze ludzie od kilku pokoleń mieszkający w mieście, o szerszych zainteresowaniach intelektualnych, wszystko to raczej niezbyt sprzyjało harmonijnemu współzyciu, tak, że nieporozumienia między Rodzicami nierzadko się zdarzały, nad czym już, jako dziecko bardzo bolałam.



24. Portret Stanisławy (BKD 50) z Dambskich Bartoszewiczowej, pędzla prof. Krzyżanowskiego. Kopia Wandy Wdigerowej z d. Gentil Tippenhauer.



25. Portret Jana (BKD 51) Bartoszewicza, pędzla Włodzimierza (BKM 434) Bartoszewicza.

Oba portrety w posiadaniu Anny (BKM 763) z Karnkowskiej w Poznaniu.

Sytuacja pogorszyła się, gdy Ojciec, który podobnie jak jego Matka miał zawsze bardzo krótki wzrok, zaczął go gwałtownie tracić. Był uparty. Sam zaczął się leczyć, ale potem okazało się najfatalniej. W końcu zdecydował się na przeprowadzenie kuracji u bardzo polecanego wówczas w mieście znanego okulisty dr Stasińskiego. Gdy jednak kuracja nie przyniosła oczekiwanego polepszenia, przeniósł się do innego wówczas w całym kraju dr Wicherkiewicza do Krakowa. Okazało się, że miał na jednym oku dość już zaawansowaną kataraktę - należało odczekać do momentu, kiedy dojrzeje do operacji. Czas oczekiwania dłużył się Ojcu niezmiernie, a gdy dowiedział się, że podobno specjaliści doszli do tego, że udają się operację robioną wtedy, kiedy katarakta nie jest już zupełnie dojrzała, pojechał do Krakowa i uprosił dr. Wicherkiewicza, aby operację przyspieszył. Niestety skutek był fatalny. Oko, którym widział lepiej zostało stracone na zawsze. Drugie znacznie gorsze od tamtego, trzeba było teraz chronić i pielęgnować, aby mogło jak najdłużej służyć. W rezultacie wkrótce nie mógł już czytać, a niedługo potem nawet pisać. Utrata wzroku jest chyba najtragiczniejszym kalem, szczególnie dla człowieka młodego w pełni służącego sobie samemu, nawet w najtrudniejszej sytuacji, teraz skazanego na stałą pomoc i niemogącego się bez niej obejść. Dawniej, gdy nie starczało czasu w ciągu dnia, Ojciec czytał po nocach, czasami do 3-ej rano. Teraz brakło mu tego ogromnie. Matka nie miała czasu, aby mu czytać, wobec czego obowiązek ten spadł na mnie. Nie zapomnę jak straszliwie nudziły mnie szniste artykuły w Gazecie Warszawskiej, traktujące sprawy związane z polityką, która mnie dziecinie 9-cio czy 10-cio letnia, zupełnie nie interesowała, to też zaczynałam czytanie od ostatniej strony gazety, gdzie dawano różne wiadomości, które od biedy mogły zaciekawić. Po chwili, gdy Ojciec upominał się o przeczytanie owego artykułu, ciężko wzdychając zabrałam się do owej pancerzyny. Prawie zupełna utrata wzroku, uniemożliwiała Ojcu samodzielne prowadzenie gospodarstwa, trzeba było zaangażować radcę. Byli różni, lepsi i gorsi. Jedni wywiązywali się względnie uczciwie z powierzonych im obowiązków, inni natomiast wykorzystywali sytuację, wiedząc, że właściciel nie jest w stanie ich skontrolować, czy wydane przez niego polecenia są właściwie wykonywane. W rezultacie, majątek przynosił coraz mniej dochodów, czym Ojciec bardzo się gryzł, bojąc się czy jak tak dalej pójdzie, uda mu się związać koniec z końcem. Ograniczał coraz bardziej wydatki na utrzymanie domu, co oczywiście bardzo krepowało Matkę i utrudniało realizację jej planów i zamiarów.

A planów miała wiele, pragnęła, bowiem, by dom w Wiecininie postawić możliwie na jak najwyższym stopniu, oczywiście proporcjonalnie do możliwości, przecież Wiecinin był tylko średniej wielkości folwarkiem, a nie żadną panską fortuną, to znaczy dążyła do tego, aby mieć odpowiednią służbę, ładne meble, wartościowe obrazy, piękny ogród, a przede wszystkim odpowiedni personel wychowujący dzieci.

A było ich piecioro: Maria, (BKD 52) (Marychna) ur. 26. 08. 1902, Janina (BKD 498) (Nina) w 1905-tym, Jan (BKD 500) (Janusz) w 1906-tym rok później Joachim (BKD 502) Chimek, (1907) i najmłodsza Aleksandra (BKD 503) (Olenka) w 1912.

Tak upragniony syn był dzieckiem wyjątkowo waltym, stale chorował i tylko dzięki niestrudzonym staraniom matki, przeżył najbardziej krytyczny okres swego życia to znaczy do 12-tu lat. Na skutek tego, żył na specjalnych prawach, oszczędzano mu wszelkich wysiłków, stale przestrzegano mu ścisłej diety itp. Chimek (BKD 502), który w przeciwieństwie do Janusza (BKD 500) był doskonale zbudowany i silny, zdradzał przy tym wyjątkową inteligencję, tak, że Ojciec pokładał w nim duże nadzieje, to też, gdy mając zaledwie 3 i pół roku umarł na krup, odczuł bardzo głęboko jego śmierć. Pamiętam, gdy przeczytano mu telegram o śmierci dziecka tak się tym przejął, że zapłakał, czego jeszcze nigdy przedtem ani potem u niego nie widziałam (umarł u wujostwa Trzebiskich (BKD 622, 623) w Chytrowie, gdzie Rodzice zawiezli go, aby nauczył się mówić po polsku, bo my wszyscy rozmawialiśmy w domu tylko po francusku, a dziecko stale uciekające od austriaków do pokoju starszego rodzeństwa, nauczyło się mówić tym, co oni językiem).

Gdy miałam chyba 3 lata rodzice zaangażowali miłą, jak mi się wówczas wydawało, panny Marie Sianozecką. Pokochaliśmy ją serdecznie. Nauczyła nas mnóstwa piosenek, wierszy, robienia wspaniałych ozdób na choinkę itp. rzeczy. Gdy skończyłam 6 lat, Rodzice doszli do wniosku, że już najwyższy czas, abysmy zaczęli uczyć się francuskiego, to też, choć z wielkim zalem trzeba było rozstać się z ukochaną panną Marią. Przyjechała Belgijka mademoiselle Jeanne, bardzo miła dziewczyna, która choć była u nas zaledwie pół roku, bardzo polubiliśmy. Jednak początkowo odnosiliśmy się do niej wprost wrogo, gdyż naszym zdaniem uzurpowała sobie miejsce „naszej kochanej” panny Marii. Nie zapomnę nigdy pierwszego z nią zetknięcia się. Ponieważ przyjechała poprzedniego wieczoru, więc już było za późno, aby ją poznać. Dopiero nazajutrz Rodzice polecieli mi, żeby pójść do jej pokoju, by się przywitać mówiąc grzecznie: „Bonjour mademoiselle”. Dla dodania sobie odwagi zabrałam swoją ukochaną lalkę ubrawszy ją uprzednio w najbardziej galową szatę zrobioną z resztek wizytowej sukni Matki. Mademoiselle chciała mi zrobić przyjemność witając się powiedziała: „Quelle jolie poupée (jak ładna lalka). Nie rozumiejąc, co to znaczy to słowo, u nas zakazana „pupa”, czerwona z oburzenia wybiegłam z pokoju i wpadłam do jadalni, gdzie Rodzice mnie czekali, ciekawo, jakie wrażenie na mnie owa Francuzka zrobiła, krzyknęłam oburzona: „Co za wstętna Francuzka, powiedziała na moją lalkę jakie brzydkie słowo”. Tu dla wyjaśnienia trzeba wiedzieć, że u nas, jak i w wielu ówczesnych tzw. przyzwoitych domach unikało się wszelkich tak zwanych wulgarnych słów, czyli kuchennego języka. Dzisiaj wydaje się to zupełnie śmieszne, ale za czasów mojej młodości nazywanie np. niektórych części ciała ich właściwym imieniem było niedopuszczalne i tak dajmy na to nie mówiło się owa nieszczęsna „pupa” inaczej jak „derrière” jakby nazwa francuska była przyzwoitsza, albo „transpiruje” zamiast „poce się”. To też chciało, aby dzieci nie nauczyły się od służby używanego przez nich języka, nie wolno nam było chodzić do kuchni lub kredensu, ani bawić się z dziećmi służby. Wracając do owej M-lle Jeanne, wkrótce polubiliśmy ją, nawet bardzo i z zalem zegnaliśmy, gdy po półrocznym pobycie musiała wezwana przez swych rodziców wrócić do domu. Jej następczyni M-lle Marie była dość długo, mówiła doskonałym akcentem francuskim, jednak jej morale pozostawiało wiele do życzenia, tak, że gdy się o tym przekonano musiała wyjechać. Przez te kilka lat, nauczyliśmy się mówić zupełnie dobrze po francusku, a Janusz, (BKD 438), który miał zaledwie 3 lata, kiedy przyjechała pierwsza Francuzka mówił lepiej w tym języku niż po polsku.

Gdy skończyłam mniej więcej 7 lat, zaczęła mnie Matka czytać i pisać, rachować, trochę historii i geografii, która specjalnie lubiłam. Posługiwałyśmy się podręcznikami, których uczyła się Matka. Pamiętam do dzisiaj kilka z nich np. tak zwana „Histoire naturelle” i początek rozdziału poświęcony opisowi świni: „Świnia, zwierze słusznie tak dla swej niechlujności zwane”. Posługiwałyśmy się mapą z przed 30-tu paru lat, gdzie np. Afryka była częścią świata, na północnym wybrzeżu była tylko jedna biała plama, czyli zupełnie nieznanne tereny. Jednak te nieaktualne już wówczas atlasy, nie przeszkadzały nam wcale w ulubionym podróżowaniu z ołówkiem w rękę po najrozmaitszych krajach i kontynentach, oczywiście głównie po Europie. Sądzę, że moje zamiłowanie do geografii datuje się od tamtych czasów, kiedy razem z Matką wędrowaliśmy po przestarzałym atlasie. Gdy jednak trzeba zacząć uczyć moją siostrę, a wkrótce i brata, Rodzice musieli rozejrzeć się za nauczycielką. Wybór padł na dalszą krewną, ciotkę Jadzię Stempowską, która nie tylko mówiła dobrze po francusku, ale jeszcze bardzo ładnie grała na fortepianie, to też mogła nam udzielać również lekcji muzyki. Nie znalazła tylko rosyjskiego, to też, gdy byłam już w wieku, w którym musiałam koniecznie nauczyć się tego języka, trzeba było rozejrzeć się za nauczycielką, która mogłaby to zrobić. Z zalem rozstaliśmy się z zacną i kochaną ciotką Jadzią. Na jej miejsce zjawiała się panna Julia, która owszem, mówiła doskonale po rosyjsku, ale poza tym była wyjątkowo mało inteligentna, bardzo słabo mówiła po francusku, a o niemieckim, którego początków miała nas także nauczyć, nie miała prawie pojęcia, czego np. dowodem zapamiętane przeze mnie „die Lippe” to po prostu „lipa”. Nic, więc dziwnego, że po roku, Rodzice z ulgą pozegnali ową pannę Julię, która dodatkowo okazała się być patriotką, ale rosyjską. Był to czerwiec 1914 r. Nikt nie przypuszczał, że zorganizowanie owego roku szkolnego będzie tak trudne - opowiem jednak o tym później - na razie wróć do pierwszego dziesiątka lat obecnego wieku.

Jak wspominałam Matka zaczęła do upiększenia Wicińca - zaczęła - od ogrodu. Chciała powiększyć już istniejący, postanowiła dołączyć don przylegającą ławkę, gdzie na krzewach wzniesieniach pani Chraszczewska posadziła dwie grupy świerków i sosen, a całość zamknęła trzema grabowymi szpalerami nieciętymi, a zatem tworzącymi rodzaj sklepionego cieniściego tunelu, a trzeci najdłuższy był dwa razy więcej niż lata strzyżony i stanowił ulubiony teren dziecięcych gonitw, a nawet scigania się z wózek zaprzęzonym w osiołki. Zaprzęg ten był jednym z najbardziej wspaniałych prezentów, jakie kiedykolwiek otrzymałam, nie moge, więc nie wspomnieć o liczności, jakie otrzymaniu go towarzyszyły.

Rano w dniu moich imienin, Ojciec z uradowana i tajemnicza mina wprowadził do naszego dzieciennego pokoju miniaturowy wózek zaprzeczony w slicznego osiołka.

Wszystko to było przygotowane w największej tajemnicy, więc niespodzianka była taka, że dotąd pamiętam moment mojego zachwyty i okrzyki radości całej naszej trójki, które temu towarzyszyły. Odtąd każdej zabawie musiał towarzyszyć ów wózek, a wspomniany przed chwilą szpaler był ulubionym terenem wycigów. Po pewnym czasie wózek stracił swój piękny wygląd, co widząc przebywający właśnie w Wicininie mój brat stryjeczny, Włodek (BKM 434) Bartoszewicz postanowił go przemalować. Asystowaliśmy tej operacji z wielkim przejęciem, podziwiając wspaniały efekt zabiegów malarskich, jak widać już wówczas manifestującego specjalnie w tym kierunku uzdolnienia przyszłego artysty.

Ale czas wrócić do zmian, które Matka przeprowadziła w ogrodzie. Widocznym było, że poprzednia właścicielka Wicininina, sadząc owe grupy drzew iglastych oraz szpaler, zamierzała w przyszłości włączyć do całości obrzeżoną szpalerami lake. Teraz, więc trzeba było ją przede wszystkim zdrenować, zanim można by przystąpić do przeprowadzenia koniecznych alei, założenia klombów itd., aby jednak zlanować właściwie całość, Matka sprowadziła z Poznania fachowca-planistę, p. Wilkonskiego, tym bardziej, że pragnęła założyć na nadającym się do tego, dość dużym placu przed tarasem, na który wychodziło się z domu, duży klomb. P. Wilkonski wywiązał się znakomicie z powierzonego mu zadania, bardzo trafnie zaprojektował mające powstać na uprzednio zdrenowanym terenie powiększonego obecnie parku aleje i ścieżki, a przede wszystkim zaproponował założenie klombu wzorowanego na jednym z parterów sławnego parku w Lurze. Był to rodzaj pięcioboku obsianego trawą - we wgłębieniu znajdowały się różnego kształtu klomby rzeźbione ciętym bukszpanem i dwukrotnie, to znaczy wiosną i jesienią, obsadzone bratkami i niezapominajkami, które zakwitły wczesną wiosną, a w czerwcu były zastępowane pelargoniami, begoniami, lub innymi stałe do późnej jesieni kwitnącymi roślinami. Dookoła tego parteru biegła dość szeroka alejka obrzeżona rzędem pięknych wysokopiennych róż różnych odmian, połączonych rozpiętymi na drutach w kształcie litery V o drobnych kwiatach czerwonymi różyczkami.

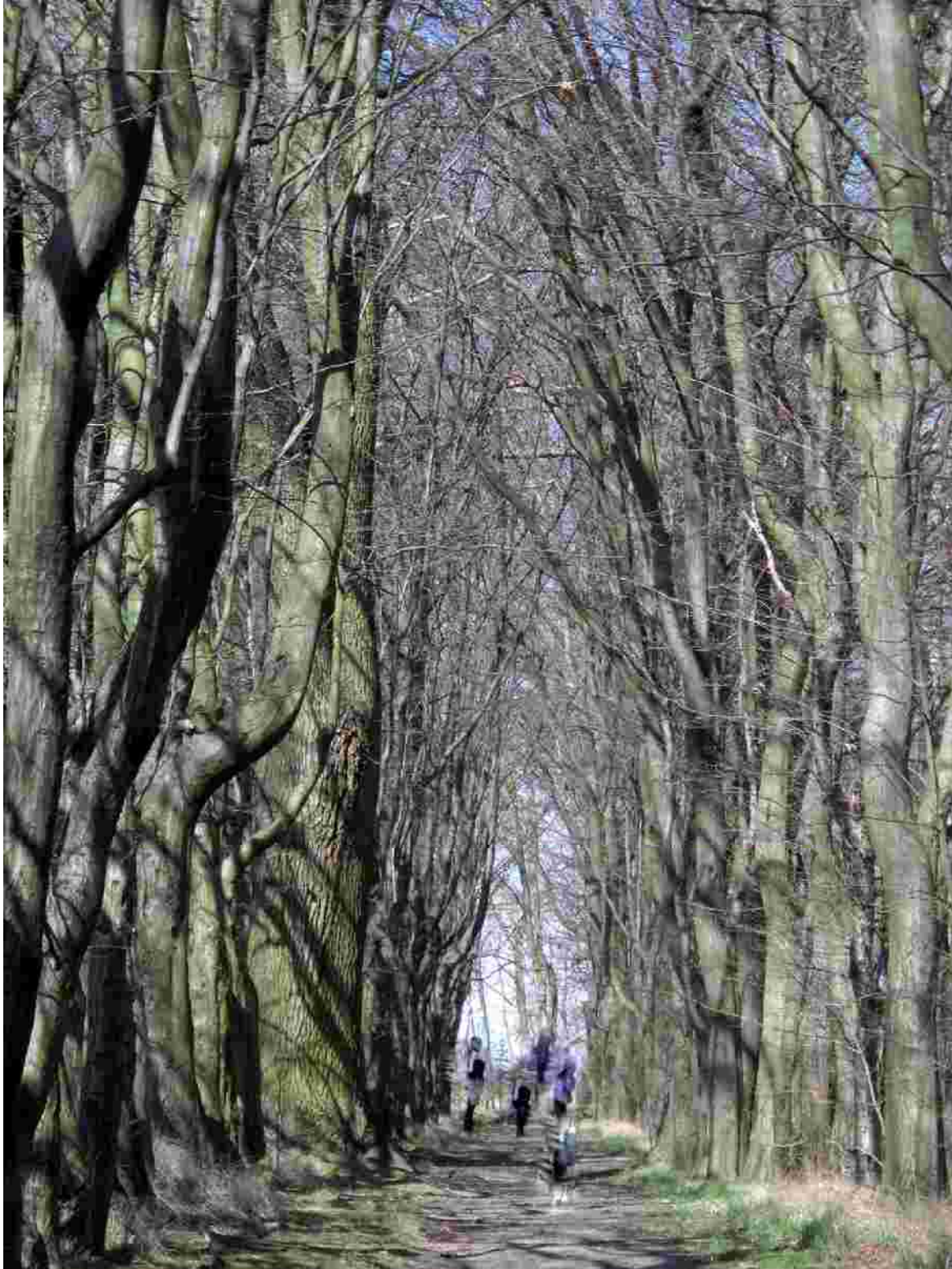
Całość była rzeczywiście wyjątkowo ładna, jednak utrzymanie w należytym stanie owego parteru wymagało wielkiej troski, konieczności starannego i częstego koszenia trawy i prawie, że nieustannego plewienia licznych klombów, składających się na całość owego parteru. Doskonale pamiętam, jak co piątek już z samego rana rozlegało się najpierw klepanie kosy, a potem melodyjny dźwięk jej ostrzenia, a wreszcie po wyjrzeniu z okna można było zobaczyć schylającą się miarowo postać Lewandowskiego, emerytowanego stróża nocnego, prawdziwego artysty kosiarza, któremu Matka powierzyła te zaszczytne funkcje. Dzisiaj, gdy tylko słyszę straszliwie hałasujące mechaniczne kosiarki, scinające trawnik przed 11-to piętrowym blokiem, w którym mieszkam obecnie, prawie zawsze przypominam sobie melodyjne klepanie kosy przez starego Lewandowskiego, oraz jego schylającą się w harmonijnym miarowym ruchu siwowłosa postać. Dla utrzymania w możliwie nienagannym stanie wszystkich klombów składających się na całość parteru, została zaangażowana stara rezydentka³⁷ odziedziczona po poprzednich właścicielach, zwana ogólnie „Ciocia”. Nikt, a prawdopodobnie i ona sama nie wiedziała, ile ma lat. Została w mej pamięci, jako schludna siwowłosa staruszka o wyblakłych niebieskich oczach, z głową zawiązana na kujawska modę kolorowa chusteczka i z nierozłącznym „kijaszkim” w reku. Był on użyteczny szczególnie jesienią, kiedy przy jego pomocy, „ciocia” straciła z wyższych konarów drzew różnego rodzaju „beldki”, czyli grzybowate narosłe uważane za trujące, a więc absolutnie nienadające się do jedzenia. Ona jednak z najgłębszym przekonaniem twierdziła, że w ogóle nie ma grzybów niejadalnych, tylko trzeba wiedzieć, jak powinny być gotowane, żeby nikomu nie mogły szkodzić, no i rzeczywiście, choć rok rocznie gotowała owe niby niejadalne „beldki”, jakos nigdy nie chorowała. Starowina spędzała całą zimę w łóżku, drac pierze. Łóżko to stało we wniecie wspomnianego przeze mnie korytarza, łączącego dom z oficyną. Za nic na świecie nie chciała się zgodzić na ustawienie go w innym cieplejszym miejscu, twierdząc, że tu czuje się zupełnie dobrze i że do tego miejsca przywykła i nigdzie lepiej jej nie będzie. Rzeczywiście może miała rację, gdyż miejsce to było doskonałym punktem obserwacyjnym, z którego „Ciocia” mogła kontrolować wszystko, co się dookoła działo, orientowała się, kto i z jakim pośpiechem obok niej przebiega. Wszyscy domownicy ustosunkowywali się z pełnym zrozumieniem dla ciekawości nieopuszczającej swego legowiska starowiny i starali się, choć w przełocie poinformować ją o wszystkim, co się owego dnia wydarzało (poza tym służba przenosiła półmiski z kuchni do kredensu, skąd wędrowały do jadalnego pokoju, musiała przechodzić koło jej posłania, stąd możliwość orientowania się, co też państwo mają dziś na obiad. Względnie poznawała po parniejszych potrawach, że na obiedzie będą goście). Oczywiście takie usytuowanie jej punktu obserwacyjnego pozwalało też wgląd w to, co się działo w gospodarczej i czeladnej części oficyny. Gdy stara oficyna przestała istnieć i wybudowano nową, nadszedł moment, że trzeba było ułokować „Ciocię” w nowym budynku. „Ciocia” miała tam własny zaciszny i ciepły kącik, czuła się jednak zupełnie wykończona i nieszczęśliwa, mimo, że przecież Matka codziennie do niej zachodziła i trzy razy dziennie przynoszono jej posiłki, to jednak nikła oczach i po kilku miesiącach umarła. Jedynym marzeniem, które holubiła przez całe swoje długie życie było, aby jej ciało po śmierci było wystawione w salonie, a ona miała być ubrana w białą suknię ślubną z wiankiem na głowie. Utrzymywała, że ma do tego prawo, będąc panną. Zastrzegła też sobie, aby ozdobiła ją wszystkimi koralami, paciorkami i ozdobami, którymi z racji świat czy innych uroczystości bywała przez nas dzieci obdarowywana.

³⁷ Różnego rodzaju rezydenci i to na różnym poziomie: od krewnych, aż po zupełnie obce osoby, od osób na wysokim poziomie intelektualnym, aż po robotników, znajdowały dożywni przytułek w prawie każdym domu ziemskim i byli traktowani jak członkowie rodziny, względnie zasłużonej służby. Jest to jedna z funkcji automatycznie pełniących na swój koszt przez państwo, a zapomniana przez historyków. Obecnie funkcje te pełni państwowa opieka społeczna, za pieniądze podatników.

Pamiętałam, że kiedy ja nieraz pytalismy, dlaczego nigdy ozy pięknych ozdób, jakie od nas dostaje, odpowiadała nieodmiennie, że wszystko chowa jak najstaranniej w drewnianym kuferku, który stał pod jej łóżkiem i że dopiero ustroi się w to wszystko jak ja złożyła do trumny. To też nie uspokoiła się, że wszystko zostanie spełnione tak, jak tego sobie życzyła i co sobie wymarzyła, dopóki Matka nie przysięgła jej uroczystie, że stanie się wszystko zgodnie z jej wola. Została pochowana na cmentarzu w Brdowie, nikt jednak nad jej grobem nie wygłosił pochwalnego przemówienia, ani tym bardziej w żadnym piśmie nie ukazała się notatka oznajmiająca o jej odejściu z tego świata. Niechże, choć wzmianka w tych wspomnieniach będzie skromna wiazanka na jej od dawna zapomnianym grobie.

9. OGRÓD WIECININSKI

Wróćmy jednak do ogrodu, który teraz prezentował się r – czywiście wyjątkowo ładnie. Wjeżdżało się długa szeroka aleja wysadzana olbrzymimi kulistymi wiazami, od której odbi – al wspomniany poprzednio cienisty grabowy szpaler.



26. Wecinin, aleja grabowa, kwiecień 2012. Fot. Władysław Janowski.

Zbliżając się do domu przechodziło się obok dwóch nied – ych stawów, a właściwie sadzawek, znajdujących się w sztucznie, specjalnie w tym celu wykopanych zagłębieniach, których boki obsiane były trawą i obsadzone olbrzymimi keparami

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

blado-różowych peonii. Oba stawy połączone były romantycznie białym mostkiem, a dookoła bujały duże grupy dorodnych świerków.

W związku z owymi swierkami muszę koniecznie opisać niezwykłą scenę, która mi było danym dwukrotnie obserwować z okien naszego panińskiego pokoju, znajdującego się a piętze właśnie z tej strony, z której widziało się doskonale owe stawy i otaczające je grupy swierków. Pewnego letniego wieczoru, gdysmy obie z Nina siedziały w oknie, zauważyliśmy nadlatujące bezgłośnie ogromne sowy, które siadały na onarach owych swierków i w zupełnej ciszy czekały na przybycie swych towarzyszek. Było ich chyba razem więcej niż set . Wrażenie było wprost niesamowite. W coraz to gestniejacym mroku świeciły dziwnym tajemniczym blaskiem setki błyszczących zrenic. Ptaki w zupełnym milczeniu odbywały jakiś dziwny sejm, bezgłośnie tajemnicze narady. Wreszcie chyba po dwóch godzinach równie cicho jak przyleciały, zaczynały się oddalać, niestety nie wiedziałyśmy, w którym kierunku. Takiego rodzaju złoty powtórzyły się jeszcze przez kilka wieczorów, aż pewnego dnia nie zobaczyłyśmy już ani jednej sowy. Widocznie znalazły bardziej dogodne miejsce niż to, gdzie się dotąd zbierały. Mimo, że przez następnych kilka lat rozglądałyśmy się, czy znów „nasze” jak je nazywałyśmy sowy się nie pokażą, nigdy już więcej nie urządziły sobie takiego zlotu w wieciniskim parku.

Prócz owych dwu stawów w pobliżu domu był jeszcze trzeci na samym końcu ogrodu, znacznie większy i dużo ładniejszy, gdyż brzegi obrosnięte miał tatarakiem, trawami i różnymi lubiaczami wilgoci krzewami i roślinami, a także kilku plączącymi wierzby. W rezultacie taka obfitość stojącej wody, była wprost znakomita wylegarnia nieprawdopodobnej ilości komarów, na skutek czego szczególnie my dzieci chodząc bez ponczoch i w sukienkach z krótkimi rękawami mieliśmy ręce i nogi niemilosierdzie przez niepoklute, no i na skutek tego stale podrapane, tym bardziej, że przez całe lato kolacje jadano się na tarasie - zawsze takie same - talerz kwasnego mleka z kartoflami³⁸, uzupełniony kawalkiem chleba z masłem, a dla starszych szklanka herbaty. Siadywało się tam do ciemnego zmroku, wsłuchując się w śpiew ptaków najrozmaitszych gatunków, oczywiście nie brakło też i słowików, które chętnie gnieździły się w gestych krzewach i zarosłach otaczających stawy. Uprzejmiał te wieczory delikatny zapach kilku ogromnych kwitnących przez prawie całe lato różowych oleandrów, rosnących w olbrzymich drewnianych kublach. Niekiedy urozmaicały te wieczory spędzane na tarasie barwne opowiadania Ojca o przygodach bohaterów sienkiewiczowskich powieści, których zresztą Ojciec był przez całe życie fanatycznym wprost wielbicielem. Nic też dziwnego, że zasłuchani w ojcowskie opowiadania zapomniałyśmy o kasających niemilosierdzie komarach, drapiąc jedynie do krwi nasze nieszczęsne rękawy i ręce.

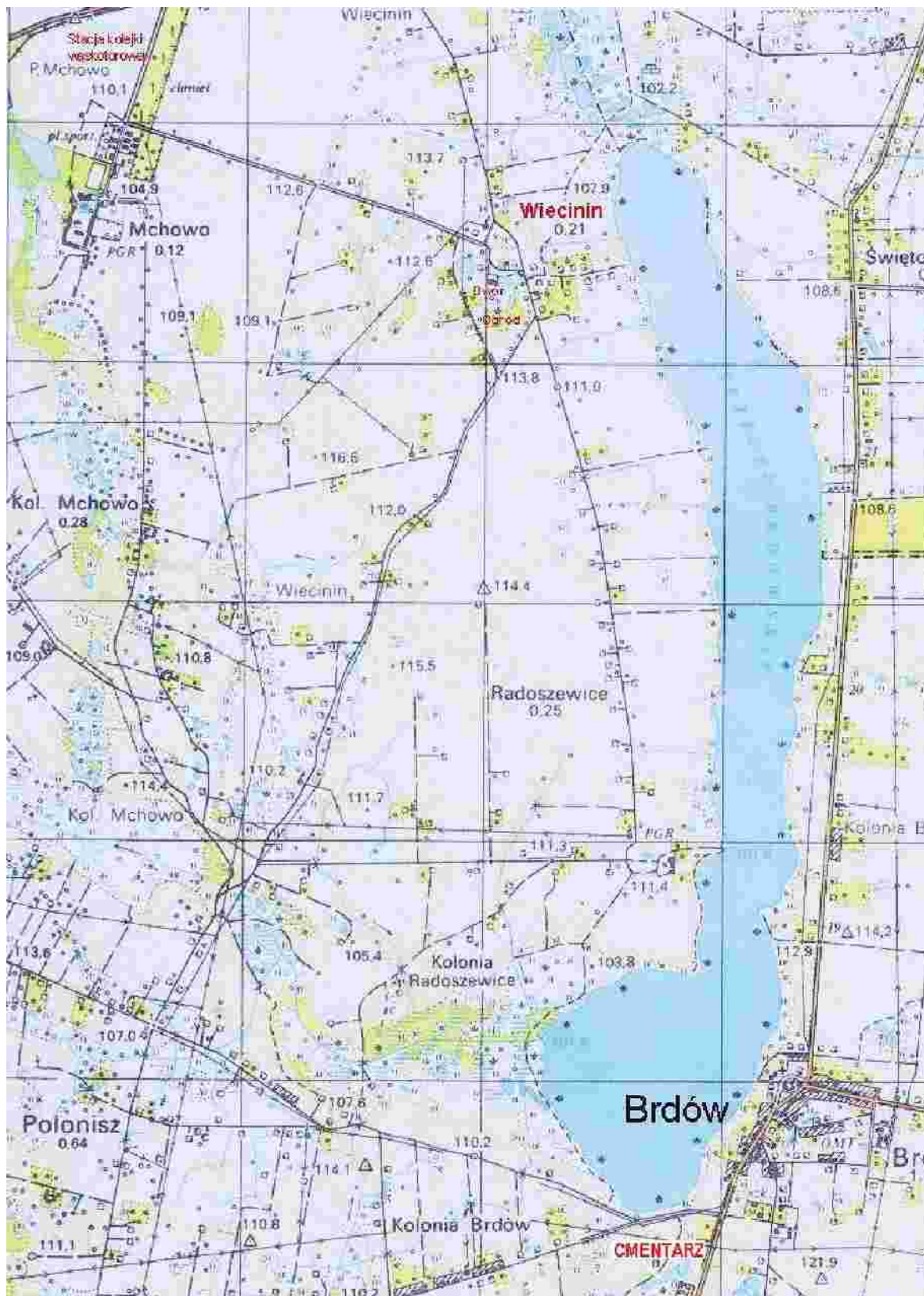
Ale nie tylko z tarasu można było cieszyć oczy otaczającym pięknem. Kilkanastę ławek ustawionych w najbardziej atrakcyjnych zakątkach ogrodu pozwalało podziwiać wieloletnie i rzadkie i piękne drzewa, takich jak wspomniane uprzednio sequoje, a także wysoki piramidalny dąb, wspaniałe czerwonolistny buk, biało-zielone klony i wiele innych. W związku z ową piękną aleją wjazdową, prowadzącą od bramy pod podjazd dworu w Wiecininie, w której panował zawsze półcień, gdyż kuliste olbrzymie wiązki nie dopuszczaly światła, przypominam sobie wydarzenie potwierdzające słuszność powiedzenia: „Nigdy nie mów hop, aż nie przeskoczysz”. W czerwcu 1923 r. zmarł wuj mojej matki Henryk (BKM 85) Mittelstaedt z Luszczewa³⁹ - Matka dopiero, co wyjechała na kilkudniowy pobyt do Wąkacza⁴⁰, wobec czego ja miałam Ojcu na pogrzeb towarzyszyć. Zasadniczo, jeśli wyjeżdżało się na czas dłuższy, a w tym wypadku wiadomym było, że wyjazd potrwa, co najmniej 3 dni, szkoda było odrywać od pracy w polu konie fornalne, które by powinny zastąpić klacze wjazdowe, które właśnie karmiły swe pociechy. Zdaje się, że już poprzednio wspominałam, że do Luszczewa był kawał drogi, i to cały czas piaszczystej, nie mogło być mowy o tym, aby para koni mogła uciągnąć obowiązkową w takiej uroczystości karetę i to po takich piachach! Wreszcie po radzie z Andrzejewskim, który zarecał, że da sobie z czterema zrebakami radę, wybraliśmy się w 8 koni! Można sobie łatwo wyobrazić jak Andrzejewski musiał się natrudzić, aby w natłoku zaprzęgów gości, którzy licznie na pogrzeb przyjechali, w nieodłącznym od takich wjazdów zamieszaniu, jakos sobie radzić, aby młodym jeszcze i oczywiście głupim zrebaczkom krzywda się nie stała. Ojciec oczywiście cały czas niepokoił się o losy jego faworytek. To też, gdy wróciliśmy szczęśliwie i wyjeżdżaliśmy w bramy, Ojciec z ulgą powiedział: „No to i wróciliśmy szczęśliwie”. Ledwo wypowiedział to zdanie, rozległ się trzask wrywanych drzwi od zresztą dopiero, co pięknie wyremontowanej karety.

Co się stało? Tutaj muszę wyjaśnić, że aleja prawie bezpośrednio za bramą tworzyła lekki łuk. Andrzejewski zmęczony, zapomniał o tym i podjechał zbyt blisko drzewa zawadził o pień - no i skutek wiadomy. Odtąd Ojciec pamiętając ów przypadek nigdy nie mówił już „Bogu dzięki tośmy szczęśliwie dojechali” zanim postawił nogę na progu domu. Jedną z osobliwości, z której słychać Wiecinin, była znakomita lodownia.

³⁸ Antyziemińska propaganda doprowadziła do powszechnego przekonania, że ziemianie stale „obzerają” się przysmakami, podczas, kiedy wykorzystywani ciężko pracujący chłopcy muszą się zadowolić byle czym. Przekonałem się o tym, a wysiedleniu, kiedy bawiłem się i kontaktowałem z dziećmi, drobnych gospodarzy, lub pracowników folwarcznych. Kiedys zatrzymałem się dłużej w jednej z dala od naszego domu położonej zagrodzie do czasu kolacji. Gospodyni podała tak jak u nas w domu kwasne mleko z kartoflami i zastanawiała się, czy będzie to jadło, nabierając do tego kartofle ze wspólnej miski. Bardzo się dziwiła, kiedy jej powiedziałem, że w domu dostaje na kolacje, to samo, najwyżej, jemy każdy na osobnym talerzu.

³⁹ Luszczewo znajdowało się niedaleko Paniewa i otrzymał je po ojcu Janusz (BKM 262) Mittelstaedt, który odmówił podpisania volkslisty i był wysiedlony wraz z żoną tym samym transportem z nami do Tarnowa. Wspomnienie o Luszczewie znajduje się w I części niniejszych wspomnień M. Karnkowskiej z d. Bartoszewicz. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁴⁰ Wyszakowo, koło Srody było własnością meza ciotki Zofii (BKD 59) Unrużyny z d. Dambskiej 1^o v. Rembowskiej (Rembowski (BKD 60) zginął w 1920 r.). T. Unrug (BKD 61) został zamordowany przez Niemców za kontakty z polskim podziemiem, a żona z córką wywiezione na roboty do Niemiec właścicieli, a po wojnie wróciły do Polski, chociaż miały w Niemczech dalszą rodzinę pod opieką której mogły się schronić. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



27. Najbliższe otoczenie majątku w Włocławku. Na planie można zauważyć wiele szczegółów występujących w opisie np. wygięcie alei podjazdowej, sadzawki i wieże z grupy drzew w ogrodzie, oraz otwarty plac na z tyłu dworu, gdzie znajdował się opisywany klomb. W lewym górnym rogu widac linie kolejki wąskotorowej z Kola do Włocławka.

Trzeba było pamiętać, że lód był wówczas konieczny w okresie letnim, nie tylko do przechowywania mięsa, które zwykle kupowało się raz w tygodniu, ale i nabiału no i zapomnieć nie można o lodach, które oczywiście latem były najbardziej pożądanym deserem. Nasza lodownia była usytuowana prawie przy samej bramie wjazdowej, aby ułatwić dojazd wozami napełnionymi taflami lodu, które układało się ściśle jedna na drugiej i okrywało grubą warstwą słomy. Dół, w którym się ów lód magazynowało powinien być jak najgłębszy. Dach był pokryty trzcina, spadzisty - dookoła rosły duże drzewa - cien przez nierzucany zabezpieczał lodownię przed promieniami słońca. Ojciec pilnował zawsze, aby lód zwozono z początkiem zimy, a nie na wiosnę, bo wtedy bywał kruchy i łatwiej topniał. W samym środku lodowni znajdowała się wielka azurowa skrzynia służąca do przechowywania mięsa i nabiału - klucz od niej i zresztą od całej lodowni miał kucharz i on za całość przechowywanych w niej wiktuałów odpowiadał. W Wiercynskiej lodowni słynęła z tego, że lód złożony w niej z początkiem roku zawsze starczał do roku następnego - co w sąsiedztwach rzadko się zdarzało.

Usiłowania Matki związane z przekształceniem wiecinieckiego ogrodu w rzeczywiście wyjątkowo ładny i starannie utrzymywany park, zostały uwieńczone prawdziwym sukcesem. Całość była naprawdę wyjątkowo udana i piękna, co Matkę napełniało zrozumiałą satysfakcją i budziło podziw i zazdrość sąsiadów.

Ojciec w zasadzie przeciwny był tym, jak je nazywał pałacim fanaberiom Matki, no i wierny zasadzie, że nie należy żyć ponad stan - początkowo sprzeciwiał się tym dość kosztownym innowacjom, z czasem jednak uległ sugestiom żony i przestał oponować przeciw coraz to nowym pomysłom Matki, doszedł, bowiem do wniosku, że dzięki nim, nie tylko dom wieciniecki, ale i jego otoczenie stanie się niejako wzorem dla sąsiadów, którzy zapewne zechcą nasładować usiłowania żony, co też rzeczywiście wkrótce nastąpiło. Właściciele, a raczej żony okolicznych ziemian zaczęły dokładać starania, aby dorównać owym, jak je nazywano cudom, które zrealizowała Matka, chcąc w ten sposób zadocieczyć swemu umiłowaniu piękna i przynajmniej w pewnej dozie snobizmu⁴¹.



28.

Stanisława (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowa. „Twórczyni” kultury domu i ogrodu w Wiercynie, który padł ofiarą rabunku i dewastacji z rąk „polskiego ludu”.



29.



30.

Ogród w Wiercynie był zawsze starannie pielęgnowany, szkoła kultury i estetyki dla tych, którzy chcieliby z niego korzystać.

⁴¹ Była to jedna z ważnych funkcji ziemiaństwa polskiego, którzy dawali wielu ludziom pracę, ale także wprowadzali w ten sposób na wieś wzory porządku, czystości, higieny, poczucia estetyki, gotowe oazy odpoczynku i regeneracji sił, obiekty turystyczne itd. Wszystko to polskie chłopstwo przejęło bezpłatnie i w dobrym stanie. Niestety okazało się, że po prostu do tego nie dorosło i tak jak murzyni w afrykańskim buszu nie potrafili tego nawet na swój użytek utrzymać i przy milczącej postawie społeczeństwa dokonało beznamiętnej dewastacji tego ogólnonarodowego dobra. Wiercynę a odpowiedzialność za tę beczynność spada na ZSL/PSL, oraz na Kościół katolicki, który miał zawsze na wsi ogromny wpływ. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

10. GOSPODARSTWO DOMOWE

Matka, która otrzymywała pewną ściśle określoną sumę na utrzymanie domu, opłacenie służby itd. nie była w stanie z tej stosunkowo ograniczonej ilości pieniędzy pozwolić sobie na te bądź, co bądź poważne wydatki, związane z kupnem krzewów, kwiatów i w ogóle roślin potrzebnych do obsadzania projektowanych klombów, rabat, a przede wszystkim parteru, tym bardziej, że trzeba było zbudować choćby najskromniejszą szklarnię dla przetrzymywania potrzebnych wiosną pelargonii, czy innych tego rodzaju roślin, którymi należało obsadzić klomby opróżniane z przekwitających w erwcu bratków i niezapominajek.

Aby zdobyć pieniądze na wszystkie te wydatki, zaprowadziła hodowlę indyków na większą skalę. Caloroczny dochód z tego źródła zasilał poważnie jej kasę. Wychów tych ptaków był dość kłopotliwy i wymagał stałej czujności, trza było szczególnie młode indyczeta chronić przed deszczem, pilnować ściśle diety itp. Tu miejsce na obalenie nie wiadomo skąd powstałej legendy, że „jasnie panie”, (jak zwykle służba tytułowała właścicielki ziemskiej), całe dni spędza leżąc na kanapie, lub bujanym fotelu, a ich jedynym zajęciem jest czytanie romansów w oczekiwaniu na gości, którzy by mogli rozproszyc mecząc je nudo⁴². Nie neguję, że takie sytuacje mogły się zdarzyć wśród bardzo bogatych osób, mających do dyspozycji liczną służbę, zarządzającą gospodarstwem pańskim, kamerdynera, kucharza itd., ale ogólnie w kręgu średnio zamożnych ziemianek, które z konieczności musiały liczyć się z wydatkami, a przy tym zabiegać o dochodowość tak zwanego kobiecego gospodarstwa, tego rodzaju sposób życia był nie do pomyslenia. Doskonale pamiętam, jak czynne życie prowadziła moja Matka i nieraz zastanawiam się, jak mogła sprostać licznym obowiązkom⁴³. Ranne zajęcia rozpoczynała od inspekcji całego domu. Nie zajmowało to zasadniczo zbyt wiele czasu, była, bowiem niesłychanie spostrzegawcza i miała znakomity wzrok; wystarczył jej jeden rzut oka na lustrowany pokój, czy jakiegokolwiek inne pomieszczenie gospodarcze, by natychmiast zauważyć choćby najmniejszy ślad niedbalstwa artego kurzu, niezmiętych wazonach kwiatów, lub jakiegokolwiek innych zaniedban.

Po tej inspekcji zjawiał się kucharz. Angażowanie w tamtych czasach kucharza, a nie jak się później robiło kucharki, było normalnie praktykowane nawet w średnio zamożnych domach – tym bardziej, że taki kucharz pełnił dodatkowo obowiązki ogrodnika⁴⁴, jak to właśnie miało miejsce u nas. Matka zawsze wydawała osobiście dyspozycje odnośnie projektowanego obiadu. Kolacje nie wymagały zachodu chyba, że zjawiali się goście. Oczywiście sama wydawała ze spiżarni potrzebne produkty. Następnie kontrolowała stan kurników i swiniarni, bo i doglądanie swiniarni do niej należało. Zaglądała także do pomieszczeń zajmowanych przez służbę, aby sprawdzić czy i tam wszystko jest w należytej porządku. Wreszcie przychodziła kolej na ostatnią przedpołudniową czynność, która najbardziej lubiła, obejście całego ogrodu, skontrolowanie czy polecenia wydane ogrodnikowi poprzedniego dnia zostały właściwie wykonane, aż wreszcie po odbytej z ogrodnikiem naradzie i rozdysponowaniu zajęć na dzień następny, zmęczona parogodzinny jak to nazywała dreptaniem, przysiadła na parę chwil w jakimś ulubionym kąciku ogrodu by nacieszyć oczy otaczającym ją pięknem. A przecież nie zapominajmy, że musiała zajrzeć do dzieciennego pokoju, a szczególnie dopilnować diety i szeregu zabiegów, których jak to już wspomniałam, Janusz będąc wyjątkowo wątłym dzieckiem stale potrzebował. Choć dzieci były początkowo powierzane nianiom, potem bonom, wreszcie nauczycielkom, tak one jak i osoby nimi się opiekujące wiedziały doskonale, że nad wszystkim czuwa Matka. - Nie można też zapominać, że była niezwykle gościnna, zawsze chętnie przyjmowała każdego w myśl zasady „gość w dom Bóg w dom”. Szczególnie latem podczas wakacji Rodzice chcieli nam uprzyjemnić owe dwa wolne od lekcyjnych obowiązków miesiące, zapraszali krewnych, lub znajomych mieszkających w mieście, względnie kuzynów, czy znajoma młodzież w naszym wieku, abysmy mogli razem z nimi jeździć konno, pływać łodzią po rozległym przeszło 4 kilometrowej długości jeziorze i korzystać wszelkich przyjemności, których dostarczała nam wies.

Za każdą bytnością w Poznaniu, Matka zaopatrywała się w pewną cudowną masę, ciesząc się taką sławą, że nierazkto nawet z bardzo odległych wsi przywożono chorych, aby mogli otrzymać, choć trochę tego niezawodnego leku.

Wymieniając obowiązki, którym Matka starała się w miarę swych sił i możliwości zadośćuczynić, muszę przede wszystkim przypomnieć jej zasługi związane z szerzeniem choćby oświaty, to znaczy nauczania przede wszystkim ludzi dorosłych przynajmniej czytania i pisania i choćby najnieczystszych wiadomości z zakresu geografii i historii. Obecnie, kiedy od tyłu już lat nauczanie powszechne jest obowiązujące, trudno sobie wyobrazić, że przeważająca większość ludności mieszkającej w rosyjskim zaborze umiała najwyżej się pisać.

⁴² Rozumiem tu stanowisko Matki, broniącej swej klasy przed tendencyjną „antyziemianką” propagandą modną wśród przedwojennej „inteligencji”, która życie na wsi znała jedynie z udanych wakacji w czasie, których „wyzerała się” i dawała się obsługiwać na koszt jakichś pogardliwie przez nich traktowanych „hreczkosiejów”. Propaganda ta została po wojnie z wielkim powodzeniem przejęta przez komunistyczną demagogię. Inaczej być nie mogło: wypadki „próżniactwa” ziemianek, jeśli takowe miały miejsce były z istoty epizodami krótkotrwałymi, bo majątek pozbawiony dodatkowych dochodów z „kobiecego” gospodarstwa popadał w trudności finansowe. Poza tym w strefach włościeli ciążył zawsze obowiązek dbania o wychowanie i edukację dzieci, oraz prowadzenia domu tak, że na „próżniactwo” nie było po prostu czasu. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁴³ Rozliczne obowiązki pań domu w ziemiankich dworach.

⁴⁴ Nie chciałbym znowu kontrować mojej Matki, ale o takim rozwiązaniu słyszę po raz pierwszy i nie mogę sobie wyobrazić kwalifikacji takiego ogrodnika/kucharza, tym bardziej tego, aby był w stanie podolac tym tak bardzo różnym i rozległym obowiązkom. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Większość zadowolala się zrobieniem zreszta z reguły d... koslawego krzyżyka pod dokumentem, wymagającym ewentualnie podpisu. Czytali a szczególnie pisali, umieli właściwie tylko ci, których szczęśliwy los zetknął z kims, który zechciał ich tej trudnej sztuce nauczyć, a jedyną księgą, która można było zobaczyć w wiejskiej chacie była książka do nabożeństwa. Szczęśliwymi uważali się ci, którzy mieli w domu osobę, mogącą z owej książki modlitwy odczytać. Ze „sztuki” te uważano na ogół za coś nie tylko trudnego, ale i właściwie niepotrzebnego, niech posłuży następujący fakt, który miał miejsce już w czasie pierwszej wojny światowej. Późniejszy nasz długoletni stangret Ignac, był wówczas k... zwanym lokajczykiem, to znaczy kims, kto pełnił funkcje zazwyczaj powierzane starszej pokojowej.

Otóż ów Ignac był kompletnym analfabeta, wobec czego nasza nauczycielka, panna Zofia Gay, poczciwa dusza, zaproponowała, że nauczy go choćby tylko czytania i pisania, na co chłopak⁴⁵

⁴⁵ W polskiej historiografii istnieje kompleks narodowy: upadku gospodarczego, intelektualnego, militarnego, a w końcu utraty niepodległości narodowej. Nie miejsce tutaj na szczegółową analizę wydarzeń i określenie przyczyn takiego właśnie rozwoju wypadków. Ponieważ mocarstwa rozbiorowe wstrzymały rozwój niezależnej historiografii, była ona rozwijana indywidualnie przez jednostki, bez weryfikacji poglądów w otwartej dyskusji. Obecnie wydaje się, że główną przyczyną upadku Polski w XVII i XVIII w., był nierównomierny rozwój gospodarczy, społeczny i intelektualny Polski i jej sąsiadów, oraz mniejsze lub większe zdolności poszczególnych narodów. Podobne zjawisko miało miejsce w krajach mahometanskich, które z krajów pod każdym przodujących opóźniły tempo swego rozwoju, stając się do rzędu krajów zacofanych.

Historiografowie w takich wypadkach koncentrowali się głównie na znalezieniu winnego w celu zdjęcia ewentualnej winy z całego narodu i obciążenia „winnego” moralnie i materialnie, obowiązkiem odszkodowania, względnie usprawiedliwieniem rabunku jego własności, dla wyrównania szkód poniesionych przez cały naród. Wina nie obciążano zaborców, którzy ponosili największą odpowiedzialność, podobnie nie obciążano narodu całości, bo odszkodowania od tych podmiotów nie można było egzekwować. „Winni” musiał być kims znacznym, majetycznym i praktycznie moralnie, prawnie i fizycznie bezbronny. Dlatego Polska nie może pociągać do odpowiedzialności: Rosji, Austrii, Ukrainy, ponieważ te kraje/narody, albo nie mają środków, względnie nie są w stanie zgromadzić środków pokrycie strat, które wyrządziły innym. Jedynym podmiotem, który można było w pewnym stopniu obciążyć odpowiedzialnością, byli Niemcy po II wojnie światowej, ale Polska nie mogła ich do tego zmusić i wypłacać jej pewne odszkodowania dobrowolnie. Podobnie bezcelowym ze strony Żydów byłoby zadanie od Litwy odszkodowania za rabunki Żydów w czasie II wojny światowej.

W Polsce takim idealnym winnym była arystokracja i szlachta. Przede wszystkim w ten czy w inny sposób była klasa rządząca i państwowotwórcza, traktowała cały kraj łącznie z klasami niższymi, jako własność, nazywając ją RZECZPOSPOLITA. Poza tym się od takiej odpowiedzialności nie uchylała, co nie znaczy, że poczuwała się do konieczności wypłacenia całego „odszkodowania”, co było fizycznie niemożliwe.

Punktami, o jakie oskarżano i oskarża się szlachtę i arystokrację do dziś, są między innymi: zła polityka zagraniczna, nie dopuszczanie do rządów całego narodu, rezerwowanie kapitałów (w tym wypadku głównie mi) dla pewnych sfer i niedopuszczanie szerokich warstw narodu do oświaty i wolnej działalności gospodarczej. Spełnienie tych wszystkich postulatów było w stosunku do pewnych warstw niższych niemożliwe, ze względu na ich zbyt niski poziom.

– Klasztory, instytucje religijne i pewni możnowładcy sp... ali do Polski specjalnie kolonistów z Europy Zachodniej, i zakładali osady na prawie niemieckim, bo ci wykazywali się znajomością lepszej techniki agrarnej, co miało wpływ na rozpowszechnienie się tej techniki w Polsce.

– Kazimierz Wielki organizując we Lwowie Polski strategię bastion przeciw napadom ze wschodu, sprowadził celowo kolonistów z Niemiec.

– Żydzi zostali sprowadzani do Polski, dla rozwoju handlu i rzemiosła, bo przecież chłopom trudno było powierzać np.: prowadzenie karczmem.

– W Polsce rzemieślnicy przyjeżdżający do Polski, np. budowlancy, drukarze, rytownicy i inni, nie mogli znaleźć wśród miejscowych mieszkańców uczniów do zawodu. Twierdzenie, że polscy panowie nie mi poddanym udawać się do miast jest nieprawdą, ponieważ wiadomo jest, że właśnie panowie znaleźli zdolne jednostki opłacali im wykształcenie i umożliwiali takie czy inne kariery, a nawet studia. Mieszczanie niechętnie przyjmowali przybyszów ze wsi widząc w nich konkurencję, a na podgroździach zawsze mieszkali ludzie czekający na przyjęcie ich do miasta. Także na Zachodzie przejście ze wsi do miasta nie było rzeczą łatwą.

– Powyższe przykłady wskazują, na niski poziom polskich chłopów w wielu dziedzinach.

– Opisany przez autorkę przypadek Ignaca, który się w końcu nauczył różnych rzeczy i był do 1945 r. zaufanym pracownikiem pokazuje, że nakłanianie chłopów do wiedzy było przez nich przyjmowane, jako rozszerzanie ich obowiązków, a nie, jako droga do awansu.

– Wszystkie szkoły parafialne, aczkolwiek uczyli w nich mi, bo nauczycieli wtedy nie było, były zakładane przez miejscowego pana, który dawał grunt, pomieszczenie i ponosił inne koszty.

– Polska szlachta i ziemianie w czasach rozbiorowych, zaraz po I, a nawet po II wojnie światowej, obchodzili zakazy zaborców (zakazujących nauki języka polskiego nawet pod groźbą zsyłki na Syberię), z własnej inicjatywy, wielkim kosztem i nakładem pracy jak pokazuje opisany przykład Wicininia zakładali szkoły i sami w nich uczyli.

– Wymienie dalszy przykład. Uczeszczając do gimnazjum ukrywałem swe pochodzenie. Po upadku komunizmu korespondując z dawnymi kolegami, przyznałem się jednej koleżance (uważającej się za dys... minowana, za brak pochodzenia robotniczo-chłopskiego), do swego pochodzenia żartobliwie wspominając jej, że jej wiadomości, o życiu ziemianstwa w okresie międzywojennym pochodzą z „PODRECZNIKA AGITATORA”. Koleżanka była oburzona, wspominając, że po I wojnie światowej jej matka ze względu na złe warunki materialne w Warszawie, została przyjęta „na wychowanie”, przez hr. Potockich do ich majątku Chrzastów w pobliżu Konecpola, więc ona zna dokładnie życie na dworach ziemiankich z opowiadań matki. Odpowiedziałam jej na to, że świetnie się składa, bo moja Zona wysiedlona w czasie II wojny światowej wraz z matką i siostrą z Poznania, została przyjęta na okres II wojny światowej właśnie przez hr. Potockich w Chrzastowie i chętnie dowiem się czego więcej o wspomnieniach jej matki. Odpowiedziała mi, że w zasadzie matka nie miała zastrzeżeń z wyjątkiem tego, że hrabiostwo zmuszało ją do bezpłatnego (!) nauczania w zorganizowanej przez nich szkole dla dzieci folwarcznych, co ją ponizowało i dlatego przy pierwszej okazji opuściła Chrzastów i przeniosła się do Czeszochowy. Ontemieniem (!). Biedne dziecko z Warszawy, które zostaje przyjęte przez znaną rodzinę arystokratyczną na okres wojny jak członek rodziny do palacu, dostając tam mieszkanie, ubranie, wikt, opierunek i normalną obsługę przez służbę(!), kiedy ja poproszono o uczenie dzieci, zamiast cieszyć się, że może się, choć czesciowo odwdziżyć i poczytywać sobie za honor, że danym jej było przenosić oświatę pod strzechy, poczuła się ponizona do tego stopnia, że legenda ta była opowiadana w najlepszej wierze, przez ponad 50 lat, przez córkę lekarke, żonę inżyniera pracującego w POLSERVICE za granicą. Takie są poglądy na ziemianstwo i ich rolę w historii, wśród obecnych polskich elit.

– Zarzutów pod adresem ziemianstwa i arystokracji jest wiele i pokutują nieskorygowane przez ponad 200 lat od tych wydarzeń w polskiej historiografii. Np. Targowica, rozbiorzy i kolaboracja z rozbiorcami. Kompleks wydarzeń określanej Targowica, był nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Mocarstwa rozbiorowe nie dotrzymały umów i obietnic, i korzystając z słabości politycznej i militarnej Polski dokonały II i III rozbioru Polski wymuszając ją z mapy europejskiej. Traktaty rozbiorowe miały charakter wiazanych umów międzynarodowych i nieposłuszeństwo wobec władzy rozbiorowej było buntem. Traktaty były respektowane nawet przez Napoleona, (który w dyplomacji nie używał terminu Polska, a jedynie Księstwo Warszawskie) i Watykan, (który w okresie powstania zachęcał Polaków do posłuszeństwa władzy carskiej, a jeszcze pod koniec I wojny światowej [Dmowskiego], do współpracy z Austrią).

Historiografia polska nie kwalifikuje natomiast, jako kolaboracje wydawania przez chłopów uczestników Powstania Styczniowego, oraz powstania Jakuba Szeli z 1846 r. Nie uznaje się, jako kolaboracji określania przez chłopów, ustępujących w 1915 r., wysiedlających ludzi pałaców ich siedziby

zawolał z pełnym przekonaniem: „Abom to ja ojca czy matkę zabił, żeby mieć się tego wszystkiego uczyc?”.

Matkę przyzwyczajoną do tego, że pod zaborem pruskim nika elementarna wszystkich obowiązywała, ogromnie bolała ciemnota, z jaką zetknęła się w „prwiślenskim kraju”, starała się, więc w miarę swych możliwości zarządzić jej w najbliższym przynajmniej otoczeniu. Ale rzeczy te musiały z konieczności być robione w tajemnicy, to też wieczorami przy zamkniętych okiennicach zbierało się około 20 dorosłych mężczyzn, aby z niemałym wysiłkiem nauczyć się przynajmniej rzeczy najkonieczniejszych, a więc pisania, czytania, trochę rachunków i choć podstawowych wiadomości z geografii i historii. Ludzie ci, choć prymitywni, byli jednak w gruncie rzeczy poczciwi, co określało się słowem „sprawiedliwi”, wdzięczni byli Matce za jej o nich troskę i choć prawdopodobnie za doniesienie o nielegalnych poczynaniach, wieciniskiej dziedziczki otrzymaliby, jeśli nie nagrodę, to przynajmniej pochwałę od przedstawicieli władzy, to jednak Matka nigdy nie miała z tego tytułu żadnych nieprzyjemności. Z chwila jak tylko wojska rosyjskie w 1915 r. wycofały się z zachodniej części Kongresówki, Matka natychmiast zorganizowała prawie, z normalną szkołą elementarną, przeznaczając na ten cel największą izbę w nowo zbudowanej oficynie. Uczyla w niej sama, znajdując na to codziennie, co najmniej dwie godziny czasu. Podczas wakacji pomagałam jej, tym bardziej, że miałam już pewne doświadczenie pedagogiczne, gdyż z chwila, gdy ukończyłam 10 lat, Rodzice uznali, że mój zasób wiedzy jest wystarczający na uczenie choćby kilkanastorga dzieci. Ponieważ nie było na to wówczas odpowiedniego pomieszczenia, gdzie te lekcje mogłyby mieć miejsce, kuchnia „angielska” zamieniała się wieczorem w izbę szkolną. Ja zasiadałam na krześle, dzieci na ławkach i stołkach kuchennych. Przejęta swoją rolą usiłowałam przelać w ich - przyznac muszę - niezbyt rozgarnięte głowy, maksimum wiedzy. Przypominam sobie, że byłam wymagająca, przy tym uważałam, że powinnam nauczyć moich uczniów, przynajmniej podstawowych zasad higieny, wobec czego lekcje zaczynałam od sprawdzania czystości rąk. Byłam ogromnie dumna, że ucze dzieci starsze ode mnie. Niektóre miały kilkanaście lat, a ja skończyłam dopiero 10. Później, kiedy musiałam poświęcać więcej czasu na przygotowanie się do własnych lekcji, byłam już w stanie poświęcać codziennie dwu godzin wieczornych na naukę analfabetów. Zarezerwowałam sobie tylko trójkę starszych i najzdolniejszych uczniów, z którymi każde niedzielne popołudnie przez dwie godziny przerabiałam najważniejsze przedmioty. Nie było to z mej strony specjalne poświęcenie, gdyż zasadniczo zawsze lubiłam i dotąd lubię uczyć, odciesić dzieci żadnej wiedzy, a właśnie owa niedzielna trójka do takich należała. Szczególnie Stanisław Plachecki, kilkostoletni wówczas chłopak, którego później udało mi się nauczyć ogrodnictwa, tak, że z czasem został zupełnie dobrym ogrodnikiem. On zresztą był tak żądny wiedzy, że sam się dokształcał, stale pożyczając książki (z dworskiej biblioteki) i każdą wolną chwilę wykorzystując na ich czytanie.

Wracając do Matki muszę stwierdzić, że nie tylko dbała o upiększenie ogrodu. Dokładała także wszelkich starań, oczywiście w miarę swych możliwości finansowych, aby i dom uczynić coraz ładniejszym. Ponieważ meble w salonie przywiezione jeszcze przez Dziadków z Warszawy, były już bardzo zniszczone, jak również i dywan wielokrotnie obsiudany przez ukochaną suczke Ojca Yum-yum, postanowiła sprowadzić tapicera, który starannie okrył wielką kanapę, kilka foteli i krzeseł bardzo ładnym, kremowym adamaszkiem w piękne blade-różowe bukiety kwiatów, a odpowiedni dywan pokrył podłogę. Cały pokój został pomalowany kremową olejną farbą (zmywalną), sufit ozdobiły sztukaterie, a cztery kinkiety i duży żyrandol rozjaśniały oczywiście przy uroczystych okazjach, cały salon (w Wiecininie nie było oczywiście elektryczności). Zresztą przybywało stale coś ładnego, gdyż Matka za każdą bytnością w Warszawie starała się przywieźć jakiś wartościowy obraz lub inny artystyczny przedmiot jak np. dwa wyjątkowo piękne wysokie alabastrowe wazy, które zostały ustawione na niewielkim mahoniowym stoliku pod jedną ze ścian salonu. W czasie któregoś pobytu w Warszawie zobaczyła w pewnym antykwariacie wspaniałą intarsjowaną mahoniową etazerkę, bardzo drogą. Na razie nie miała tyle pieniędzy, aby ją kupić, dała tylko zadatek, zaklinając kupca, aby czekał cierpliwie, aż będzie mogła zapłacić całą należną mu sumę. Gdy po pewnym czasie udało się jej to zrobić i etazerka została ustawiona w salonie, nie posiadała się z radości.

Piszę tu o tym wszystkim, aby udowodnić, że Matka moja nie należała absolutnie do owych „dziedziczek” leżących na kanapie z romanssem w reku. Naturalnie nie twierdzę, aby Matka lub jej sąsiadki były tak zapracowane, jak większość dzisiejszych kobiet. Zadanie pani domu w tamtych czasach polegało na takim zorganizowaniu wszystkiego, co danego dnia, względnie tygodnia powinno być zrobione, a następnie sprawdzeniu, czy zostało należycie wykonane; a jeśli chodzi o Matkę to może właśnie dzięki temu, że dysponowała wyjątkowym talentem organizacyjnym, mogła podolac tak licznym obowiązkom i znaleźć czas na odwiedzanie rodziny, do której była bardzo przywiązana, a także bywanie od czasu do czasu w sąsiedztwie, lub „wpadanie” do stolicy.

wojsk rosyjskich, jako „nasi”. Na miano kolaboracji nie zasługują również nawoływania do natychmiastowej parcelacji majątków w 1919 r. jeszcze przed okrzepnięciem władzy państwowej. Jak również strajki rolne w czasie wojny w 1920 r. Szacuje się, że w latach 1942 – 1943 zamordowano około 200'000 Żydów, którzy uciekli z miast i zostali przez chłopów wydani Niemcom, którzy sami nie mogli ich zidentyfikować. Chłopi tłumaczyli się obawą przed karą śmierci za ukrywanie Żydów, która rzeczywiście w kilkuset przypadkach została wykonana. Istnieje jednak podejrzenie, że denuncjacja następowała, po wyczerpaniu przez Żydów środków na przetrwanie.

Szczyt kolaboracji było poparcie przez chłopów reżimu komunistycznego w 1945 r., za reformy rolne i pozwolenie na rabowanie dworów i ich mieszkańców. W wyniku tej tzw. reformy rolnej było zrujnowanie gospodarki rolnej i zacołanie wsi. Zniszczono przy tym wiele dóbr kulturalnych.

—Czy polski historyczny establishment naukowy zdobędzie się na bezstronna i krytyczna analizę tych czasów jest rzeczą drugorzędna, pozostaje to tylko sprawą jego honoru. Szlachta i ziemianstwo polskie nie unikały przyjęcia odpowiedzialności za rozpad państwa w XVIII w i do końca usiłowały spłacać rachunki. Elity wielu krajów np. USA, Wielka Brytania, Francja, Rosja, Niemcy i inni do dzisiaj mają trudności z bezstronna oceną swej historii. Podobnie jest z Polską, jednak każdy kraj od siebie inaczej ocenia swoje czyny, a osad należy do historii.

U nas każdy wiedział, co i jak ma być zrobione. Maszyna domowa dobrze ustawiona funkcjonowała należycie nawet wtedy, kiedy „szefa“ choćby i przez dłuższy czas nie było. To też bez specjalnego uszczerbku dla domu i gospodarstwa Matka wyjeżdżała z nami nawet na dwa tygodnie, a czasami i na dłużej, dawniej do Ludziska a potem już na krócej do Chytrowa, do wujostwa Trzebiskich (BKD 622 i 623).

Udało się jej też zrealizować dawno upragnioną podróż do Włoch. Dołączyła się do wycieczki organizowanej przez p. Wierusza-Kowalskiego, który studiował malarstwo w Monachium. Spędziła na południu kilka tygodni. Zachwyciło ją szczególnie Palermo i w ogóle Sycylia, a także Wenecja z jej wspaniałą bazyliką św. Marka i sławnym pałacem dożów. Podróż ta i kontakt z niezrównanymi dziełami sztuki, zwiedzane muzea, podziwiane zabytki jeszcze bardziej rozbudziły jej umiłowanie rzeczy pięknych i pragnienie otaczania się nimi na co dzień. Obiecywała też sobie, że gdy dorosniemy, pojedzie z nami, aby jeszcze raz móc się nacieszyć pięknem Italii.

11. GOSPODARKA ROLNA

Zamilowania Ojca szły w innym kierunku. Dzięki wytezonej pracy, docieklivosti, nie szczędzenia wysiłków i zabiegów, doprowadził gospodarstwo w Wiecininie do zupełnie zadowolającego stanu, jednak na skutek stale pogarszającego się stanu wzroku, wiele dziedzin, składających się na całość gospodarstwa, szczególnie uprawa roli była coraz mniej staranna, zbiory się zmniejszały, a zatem dochody malały. Trzeba było często zmieniać rzadców. Jednakże dwie dziedziny, mianowicie hodowla bydła i koni, stały na dobrym poziomie. Ponieważ nie było w najbliższej okolicy większego skupiska ewentualnych nabywców mleka, trzeba było takowe przerabiać na masło, w związku z tym powinno się mieć krowy dające mleko o wysokiej zawartości tłuszczu. To też Ojciec przeszedł na hodowlę krów rasy polskiej - czerwonych, które choć dawały mniej mleka niż holenderki, jednak zawartość tłuszczu była znacznie wyższa. Aby jednak to osiągnąć, powinno się stale sprawdzać jego zawartość i zależnie od tego krowy odpowiednio żywić. Ojciec zapoznał się z metodami hodowli bydła w Danii, kraju przodującym w tej dziedzinie, sprowadził stamtąd odpowiedniego instruktora, którego obowiązkiem było regularne kontrolowanie ilości tłuszczu w mleku i na tej podstawie opracowanie odpowiednich dyrektyw odnośnie żywienia każdej poszczególniej krowy. Sąsiedzi widząc, jak efektywny system daje, chętnie zgodzili się na propozycje Ojca założenia kółka hodowców bydła rasy polskiej. Z czasem inicjatywa Ojca znalazła naśladowców w sąsiednich powiatach, a on cieszył się, że był w tej dziedzinie prekursorem i inicjatorem pozytywnej dla rolników akcji.

Jednak nie krowy, ale konie cieszyły się największym zainteresowaniem Ojca. Były właściwie największym jego usiłowaniem, to też poświęcał im najwięcej starania i troski, tak, że doprowadził do tego, że mógł chlubić się wyhodowaniem wielu pięknych angloarabów. Mimo coraz to słabnącego wzroku, a nawet po całkowitej jego utracie, jakos intuicyjnie wyczuwał raczej niż dostrzegał wszelkie niedociągnięcia w tej dziedzinie, każde zaniedbanie ze strony furmana, który miał powierzona opiekę nie tylko nad koniami wyjazdowymi, ale przede wszystkim nad młodzieżą. Ojciec codziennie z wyjątkiem niedzieli spędzał na koniu przynajmniej dwie godziny, kontrolując (oczami towarzyszącej mu osoby) prace w polu, odwiedzając sąsiadów ewentualnie jeżdżąc do Izbicy na pocztę lub dla załatwienia jakiejś sprawy w urzędzie gminnym. Zwykle towarzyszyło mu któregoś z nas, względnie któregoś z gości lubiących konne przejażdżki. Przez kilka ostatnich przedwojennych lat jeździł z Ojcem szczególnie, jeśli chodziło o dalsze wyprawy, bardzo porządny i przywiązany do niego młody chłopak Józef Kukliński. Jeszcze niedawno, kiedy mój brat pojechał do Wiecinina, gdzie zresztą nie zastał prawie żadnego z dawnych swych pracowników - jak mu mówiono „zapracowali się na śmierć”, chcąc jak najszybciej pobudować się na otrzymanym z parcelacji kawalku ziemi i w ogóle dorobicz się, został zaproszony i ugoszczony bardzo serdecznie przez owego Kuklińskiego. Z rozrzewnieniem wspominał dawne czasy i swoje wyprawy z Ojcem jeszcze raz nie mogąc się nadziwić niebywalej orientacji Starszego Pana, który skutecznie pamiętał, gdzie należy skręcić, by utrzymać właściwy kierunek: „uważaj przy tej figurze”, albo mówił: „jak zobaczysz dużą wierzbę na rozstaju, to trzeba będzie skręcić dajmy na to w prawo lub w lewo”. Długie lata jeżdżenia na koniu, którego specjalnie sprowadził z Azerbejdżanu, dalekiej rosyjskiej prowincji, słynącej ze znakomitych wierzchowców, może nie byłyby urodziwych, ale mocnych i bardzo wytrwałych. Nazwał go Karabachem⁴⁶. Był to wałach o mocnej budowie, jasno-kasztanowaty. Siersc jego nabierała w słońcu barwy złocistej, o mocnych nogach, rzecz ważna, ponieważ Ojciec był wtedy dość tegi. Nie wolno było nikomu Karabacha dosiadać, jedynie było furmanowi wolno przejechać go codziennie krótko w wypadku dłuższej nieobecności Ojca. Przekonał się o tym w roku 1915-tym pewien oficer niemiecki, który widząc go kilkakrotnie przy spotkaniach z Ojcem, postarał się o nakaz rekwizycyjny. Zjawił się z nim pewnego pięknego dnia i zazała wydania konia. Ojciec lojalnie uprzedził go, że koni nie jest przyzwyczajony do innego niż on jeźdźcy i że taka przejażdżka może się dla pana oficera smutno skończyć. Na to ów oficer z wielką pewnością siebie powiedział, że Ojciec zupełnie niepotrzebnie kłopotczy się o niego, gdyż jest doświadczonym jeźdźcą i z każdym koniem da sobie radę. Nie wdając się w dalsze dyskusje skoczył na nieufnie spoglądającego Karabacha i uderzwszy go energicznie szpicrutą, rzucił tryumfujące spojrzenie na licznych świadków, przyglądających się temu incydentowi. Tymczasem koni, poczuwszy na sobie kogoś obcego, stanął dęba, a następnie energicznym ruchem zrzucił niefortunnego jeźdźcę na znajdującą się w pobliżu kupe kamieni. Oficer potłuczony i skonfundowany, zdecydował, że rzeczywiście koni nie nadaje się do rekwizycji, poczym na ządanie Ojca wypisał odpowiednie zaświadczenie, dzięki któremu, już otąd żaden Niemiec nie kusił się o zarekwirowanie ojcowskiego wierzchowca.

Po wielu latach wiernej służby, gdy zestarzał się na tyle, że już jej pełnić nie mógł, Ojciec ze scisniętym sercem jednym strzałem zakończył życie wiernego przyjaciela. Pochował go w ogrodzie pod pięknym rozłożystym świerkiem. Na usypanym wysokim kopcu, który krył jego szczątki, my dzieci kładliśmy często wiazanki polnych kwiatów. Wielki był kłopot ze znalezieniem następcy Karabacha, aż wreszcie Ojciec zdecydował się na kara klacz, inteligentną i uważną, która nota bene sam ujeździł. Kara, bo tak ją nazwano, zdawała się orientować, że pan jej nie widzi i odpowiednio do tego się zachowywała. Wiadomo, że konie bardzo nie lubią błota i zwykle starają się je omijać, tymczasem ona, gdy zdawała sobie sprawę, że np. galezie zwisające z drzewa, pod którym przejeżdżali mogą ją uderzyć Ojca w twarz, sama skręcała z suchej wygodnej ścieżki, po której dotąd jechali, na biegnącą obok błotnista drogę. Ojciec z czasem przyzwyczaił się do niej i nawet polubił tak, że przestał już wspominać Karabacha. Ojciec doskąd nie znalazł budowy konia, że nawet wtedy, gdy już zupełnie zaniewidział sąsiedzi przed kupnem upatrzonego konia, zezwolili go Ojcu, aby zawyrokował, czy danego osobnika warto kupić. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek przekonano się, że jego ocena była błędna.

⁴⁶ Właśnie jedna ze spomych prowincji na granicy Armenii i Azerbejdżanu nazywa się Nagornyj Karabach, być może właśnie koni pochodził z tamtych stron.

Oczywiście my dzieci, już od najmłodszych lat jeździli nno. Matka nie podzielała upodobań Ojca, jednak ulegając jego prośbom, nauczyła się jeździć konno. Pamiętam ile Ojciec wkładał trudu, aby jej wierzchowce były nie tylko urodziwe, ale przede wszystkim dobrze ujeżdżone.

Ojciec pragnął również zainteresować tym pięknym sportem sąsiadów i doprowadził do tego, że wielu nie tylko młodych, ale i starszych ludzi, brało chętnie udział w organizowanych wspólnie z pp. Topinkimi z Wrzacej Wielkiej, pod Kolem, równie jak on namietnych amatorów i hodowców koni, wycieczkach konnych zwanych „majówkami”. Organizatorzy typowali jakiś atrakcyjny docelowy punkt wyprawy - jej uczestnicy zbierali się o ustalonej godzinie i ruszano nieraz w dość licznym gronie pan i panów. Te osoby, które z różnych względów nie czuły się na siłach towarzyszyć jeźdźcom, różnymi ekwipażami dążyły na punkt zborny, aby tam przygotować obfite i atrakcyjne dwieczorek. Ten sposób urozmaicenia monotonnego życia prowincji, oddalonej od jakiegokolwiek większego miasta z jego atrakcjami, był ze wszech miar godzien uznania i to z różnych względów. Przede wszystkim ułatwiał zbliżenie starszych z młodymi i to nie salonie, gdzie przecież jednak obowiązywała pewna rezerwa, ale dzięki możliwości spędzenia w niekrepujących warunkach przynajmniej kilku godzin, dając okazję do poruszania różnych tematów, wymiany poglądów itp. Nie można pominąć faktu, że owe wyprawy przyczyniały się znakomicie do poprawienia kondycji fizycznej. W tamtych czasach mało, kto doceniał wagę codziennej gimnastyki, tu muszę zaznaczyć, że Ojciec był rzadkim atkiem gdyż każdy dzień zaczynał od porannych ćwiczeń z hantlami w reku, a także i nam codziennie poświęcał przynajmniej 20 minut na nauczenie nas podstawowych ćwiczeń gimnastycznych. Każdy z uczestników owych rajdów starał się wykazać możliwie najlepszą kondycją fizyczną, to też, aby ją osiągnąć trzeba było nolens volens nad tym popracować, trenując codziennie, celem udoskonalenia sprawności nie tylko wierzchowca, ale też i własnej. Choć nie rozdawano wówczas medali, ani oznak honorowych, to jednak wszyscy wiedzieli, kto jest wśród nich najlepszy i każdy w cichoci ducha marzył, by mu dorównać. Ponieważ, jak już wspomniałam, nie tylko panowie, ale i panie brały udział w owych majówkach, to stały się one okazją nie tylko do zawierania znajomości, ale do utrwalania istniejących już sympatii. Choć wówczas mój młodociany wiek nie pozwalał mi brać udziału w tych atrakcyjnych imprezach, to jednak, co prawda znacznie później dowiadywałam się, że kilka par datowało poznanie się właśnie dzięki udziałowi w opisanych wyżej majówkach, bowiem fama o nich rozchodziła się szeroko. Stała się obietnicą, że gdy dorosnę będę także brać w nich udział. Niestety wojna (I wojna światowa) położyła kres owym pięknym marzeniom, przepadła możliwość urządzania tego rodzaju imprez.

Ojciec świadomy obowiązków spoczywających na każdym Polaku, brał czynny udział a nawet niejednokrotnie inicjował poczynania mające na celu nie tylko budzenie, ale i pożyzywanie świadomości narodowej, a także obudzenie do działań, mających na celu podniesienie na wyższy niż dotąd poziom statusu gospodarstw rolnych. Z chwilą, gdy po rewolucji 1905 r. zaistniała możliwość zorganizowania placówek Towarzystwa Rolniczego, zajął się gorliwie stworzeniem jego oddziału w naszym powiecie, został zresztą jego pierwszym i długoletnim prezesem, a gdy z czasem na skutek utraty wzroku musiał z tej funkcji zrezygnować, to jednak bardzo lubił, gdy go nie zapomniano tytułować „panie prezesie”. Gdy później Stronnictwo Narodowe, do którego z racji swych przekonań należał, zaczęło prowadzić różne akcje mające na celu uswiadomienie narodowe wśród najszerszych warstw społeczeństwa polskiego, włączył się gorliwie w te działania wygłaszając odczyty i pogadanki w różnych kregach społecznych. Z chwilą, gdy zainicjowano akcje mające na celu wyrwanie handlu przynajmniej zbożowego, całkowicie opanowanego przez Żydów, dysponujących zawsze odpowiednimi zapasami gotówki⁴⁷, co niejednokrotnie kończyło się przechodzeniem majątków w ich ręce, Ojciec gorąco agitował na rzecz organizowania tzw. „Rolników”, instytucji, których celem było skupywanie zboża a także zaopatrywanie rolników w nawozy sztuczne i narzędzia rolnicze. Prócz tych różnych funkcji i prac społecznych, Ojciec przyjął proponowane mu, jako poważnemu obywatelowi, mającemu do tego ukończone studia prawnicze, obowiązki sędziego „z wyboru”, z prawem wydawania wyroków w pierwszej instancji. Urzędował w lokalu Sadu Gminnego w Izbicy wraz z dodanymi sobie ławnikami. Pamiętam doskonale, jak w każdą środę, już z rana podjeżdżał pod ganek Andrzejewski (wieloletni wiecininowski furman) a na nasze indagacje, dokąd to pojedzie, odpowiadał z pewnym namaszczeniem: „jakiesz, przecież dzisiaj środa, to jadziem do sadu”. Mieliśmy wrażenie, że uważał, iż część zaszczytu, który stał się Ojca udziałem, z chwilą, gdy został ta funkcja obdarzony spadła na niego. Ojciec nawet lubił to, „sadowanie”, często po powrocie do domu opowiadał przy obiedzie, jakie to sprawy rozstrzygał danego dnia, między zawziętymi a persarzami, lubiacymi jak to większość Polaków, dochodzenia swoich spraw i pretensji na drodze sadowej.

⁴⁷ Wniosek typowo tendencyjny. Majatki przechodziły w ręce żydowskie nie, dlatego, że Żydzi dysponowali zawsze „odpowiednimi zapasami gotówki”, bo to nie jest niczym nagannym, wręcz przeciwnie. Czas mi możliwość uzyskania kredytu może uratować przedsiębiorstwo, a jego brak oznacza katastrofę, ale winnymi byli lekkomyślni ziemianie, którzy nie przyjmowali wiadomości, że pacta sunt servanda i kredyty trzeba terminowo, zgodnie z umową spłacić. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

1 2 . S A S I E D Z I

Ta mania była prawie powszechna, tak, że zdarzały się często sytuacje tego rodzaju, że wprost naumyślnie stwarzano okazje, dające możliwość włóczenia się po sadach. Aby nie być głośniejszą, opiszę tu historię, której sama byłam świadkiem. Właśnie niedawno owdowiał mój przyszywany „dziadek”, Witold, (BKM 253) Zakrzewski. Jego żona (BKM 82) była siostra mojej babki, Damskiej, (BKM 84) z Ludziska. Byłam już wówczas dorosła, wobec czego Rodzice postanowili wysłać mnie na pewien czas do Linowca, aby dotrzymać osamotnionemu staruszkowi (miał wtedy przeszło 80 lat), towarzystwa. Była zima, właśnie siedzieliśmy przy obiedzie, gdy wpada rzadca, niesłychanie wzburzony, z meldunkiem, że formalnie wisniewscy wyrabują na jeziorze olszyny. Tu trzeba wyjaśnić, że Linowiec leżał po jednej stronie jeziora, a po drugiej była Wisniewa należąca do pani Taczanowskiej.



31.

Zdecydowana.



32.

Z mezem Zygmuntem



33.

Zamysłona



34.

Nekrolog.

Franciszka z Krzymuskich Taczanowska, właścicielka Kowat, ukochana przez wszystkich „Ciocia Frania”, bohaterka licznych anegdot rodzinnych.

Była to osoba niezwykle energiczna, sama gospodarowała na obu dużych majątkach Wisniewie⁴⁸ i Kownatach, ubierała się zawsze po męsku, nosiła długie buty itp. Otóż granica między obu majątkami przechodziła przez środek jeziora, a ponieważ tej jesieni woda wylała, więc olszyny, które rosły na całym terenie, okalającym jezioro znalazły się pod wodą, a tym samym Wisniewa mogła je traktować, jako należące do niej. Zima była dość ostra, jezioro zamrzło, wobec czego wojownicza sasiadka zarządziła pospieszne wyciecie takowych. Stojąc osobiście nad brzegiem jeziora z niemal satysfakcją zachęcała i tak zawsze chętnych do tego akcji chłopów, aby jak najprędzej dokonali dzieła. Dziadek usłyszawszy nowinę kazał jak najszybciej zaprzęgać konie, mnie polecił towarzyszyć sobie, a rzadcy rozkazał „duchem” zmobilizować jak najwięcej chłopów z siekierami dla bronięcia zagrożonych olszyn. Taka historia to była gratka nie tylko dla nudzającego się starszego pana, a także dla rzadcy i całej gromady ochotników, którzy wprost w błyskawicznym tempie przybiegli nad jezioro gotowi do akcji. Dziadek wygramoliwszy się z pojazdu zaciągniętego przez panią Taczanowską stojącą nad brzegiem jeziora, dyngując z pełną satysfakcją, chyba tym razem ostatnim jej wyjazdem⁴⁹ nie tyle na Zmudzi, co w poznańskim (nota bene była to Kongresówka).

Dziadek uśmiechając się z zadowoleniem podszedł do p. T. ze słowami: „No cóż pani sasiadko pójdziemy w proces” - na to ona „a tak pójdziemy kochany sąsiedzie, pójdziemy”. Starszy syn dziadków Zakrzewskich (BKM 255) Bogdan, odziedziczył po ojcu zamiłowanie do procesowania się, a że był z zawodu prawnikiem, znalazł lepiej niż ojciec wszystkie kruczki sadowe i prawne, to też z pełną satysfakcją całe życie zabawiał się śledzeniem najrozmaitszych procesów (był starym kawalerem), przysłuchiwaniu się rozprawom sądowym lub rozszyfrowywał takowe w czterech ścianach swego pokoju. Pod koniec życia kompletnie zdziwaczał, odsunął się od ludzi, zaszywszy się w Linowcu jak borsuk w jamie. Przekonał się o tym jego młody sąsiad Ludomir (BKM 366) Frezer⁵⁰ z Osówca, majątku graniczącego z Linowcem, który z chwilą gdy zaczął tam samodzielnie gospodarować postanowił wybrać się do Linowca, aby starszemu sąsiadowi złożyć uszanowanie. Wybrał się, więc tam pewnego dnia w pełnej gali piękna czwórka koni, a gdy stangret głośnym trzaskaniem z białą oznajmiał przybycie gościa, dopiero po dłuższej chwili otworzył się luźnik na pietrze, gdzie mieszkał gospodarz i ukazała się jego siwa głowa, a gdy przybyły oświadczył, że przyjechał złożyć uszanowanie sąsiadowi, taka usłyszał odpowiedź: „Kochany sąsiedzie bywajmy u siebie - Pan u siebie i ja u siebie” - po czym luźnik zamknął się.

⁴⁸ Wisniewa jest od Linowca znacznie oddalona. Wg mapy były to najprawdopodobniej Kownaty.

Ciocia Frania Taczanowska z d. Krzymuska, była spokrewniona i bardzo zaprzyjznaniona z rodziną Karnkowskich z Wisniewy. Wspomnienie o niej znajduje się w Historii rodu Karnkowskich. Była też niezmiernie gościnnie i autorka już, jako żona Teodora (BKM 260) Karnkowskiego bywała u niej, jako gość, w Kownatach. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁴⁹ Jakież to było demoralizujące dla obserwujących ten „panski” spektakl chłopów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 8-05-09).

⁵⁰ Tzw. „Ludek” (BKM 366) Frezer, bardzo zaprzyjznaniony z Bartoszewiczami z Wicinią. W czasie wojny więziony w obozach. Po wojnie jego córka (Olga, BKM 571) była lekarką w Poznaniu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Wróćmy jednak do Wicinina. W 1910 r. piorun uderzył w stodołę, a ponieważ dał silny wiatr, była obawa, że pożar może się przenieść z paleniska do stajni fomalskiej i obory na ogromną stodołę pokrytą trzcina, a więc łatwopalnym materiałem. Właśnie w momencie poprzedzającym uderzenie owego katafalkowego pioruna, Ojciec z ciotką Marychną, (BKD 98), Dambaska, późniejsza Lutostanska, stał w otwartym oknie saloniku i głośno zachwycał się widokiem rozdzieranego błyskawicami nieba. Na krzyk „pali się” wybiegli oboje, aby zająć się gaszeniem pożaru, powypuszczając swinie i drób z chlewów i kurników. Wszystko to rozbiegło się po całym obejściu i ogrodzie, a tymczasem rzadca zamiast stanąć na czele akcji tak stracił głowę, że zaczął nabierając reki i nogi z powstałej kaluży oblewać nią stojący pod stajnią wóz z sianem. Cała wieś w największym popłochu wybiegła nad brzeg jeziora Dzieciaki i Pierzyny w obawie, że ogień może dotrzeć do ich mieszkań. Doskonale pamiętam, jak obie z Niną (BKD 498) siedziałyśmy skulone we framudze okna salonu, skąd był najlepiej widac szalejący żywioł. Na szczęście gwałtowna ulewa pomogła ugasić ogień, w każdym razie straty były poważne, z obory i stajni fomalskiej, a także siewczarni pozostały tylko mury, reszta budynków ocalała. Odtąd Ojciec już nigdy nie pozwalał sobie na zachowywanie się pięknem burzy, a ja dopiero od chwili zamieszkania w mieszkaniu przestałam się jej bać, bo przedtem ilekroć zanosilo się na burzę odsłaniałam okiennice jeśli to było w nocy i ubierałam się, aby być w każdej chwili gotowa do akcji, gdyby zaszła tego potrzeba.

Z domu wyjeżdżaliśmy rzadko, właściwie dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i lato. Jechaliśmy, aby odwiedzić dziadków, a matka korzystając z okazji jeździła do Poznania, aby zaopatrzyć się we wszystko, czego potrzebowała. Była tam obfitość wszelkich towarów i to daleko tańszych niż w Górszowcu. Tutaj także zamawiała, co dwa lata kostium angielski, zawsze granatowy, do którego nosiła zawsze tylko białe bluzki ze sztywnym kołnierzykiem i takimiz mankietami. Główny kłopot związany z zakupami w Poznaniu polegał na trudności i przewiezienia ich przez granice, gdzie kontrola była dość rygorystyczna. To też trzeba było wymyślać różne sposoby, aby dyskretnie ukryć przewożone rzeczy. Nie wiem dotąd, dlaczego nie pozwalano do rosyjskiego imperium przywozić zabawek. Przecież wracaliśmy obdarowani zawsze mnóstwem prezentów, to też już na godzinę przed Piotrkowem ładowaliśmy wszystko, co się tylko dało do majątek. - Sadzę, że co bystrzejszy stójkowy nie mógł nie zauważyć naszych ostrożnych ruchów, dość pekatych kształtów, ale tu przychodziły w sukurs tak wówczas, jak i teraz, aktualne w Rosji lapówki. Umiejętnie wreczane przymykały na wiele rzeczy czujne jakoby oczy stróżów porządku.

Nie mogliśmy się doczekać owego upragnionego wyjazdu do Ludziska, kiedy to załadowywano nas do karety; kiedy byliśmy mali z nianią, a później z boną, z koniecznym całym prawie dzień trwającej drodze naczyniem, zwanym „pot de chambre”. Wielki kufer przytraczano do karety, wreszcie wsiadała Matka, a jeśli mieliśmy spędzić u dziadków święta Bożego Narodzenia to i Ojciec i po obowiązkowym nakreśnieniu białym krzyżem przed koniami ruszaliśmy w drogę. Długo się ona niemiłosiernie. Posuwaliśmy się raczej dość wolno, bo droga była piaszczysta i dość monotonna, to też z utęsknieniem wypatrywaliśmy, czy nie ujrzemy na horyzoncie mizernego miasteczka, Piotrkowa Kujawskiego, który był naszym najbliższym punktem granicznym. Dojechawszy tam wreszcie, z największym niepokojem wypatrywaliśmy, czy po drugiej stronie granicznego szlabanu zobaczymy czekającą na nas ową wspomnianą już poprzednio karetkę zwana Arka, zaprzężona w czwórce najlepszych koni fomalskich; cugowych czwórek w poznańskim nie bywało, nawet kiedy jeździło się tu w parę koni, bo drogi były wszędzie bite. Uradowani, że Drzewiecki (nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek wysyłano po nas innego fomała) już na nas czeka, ładowaliśmy się pośpiesznie do Arki. Matka tymczasem zalaćwała, niezbyt zrezygnowana skomplikowane formalności. - W pasie granicznym wystarczały zwykle przepustki. - W Arce było znacznie więcej miejsca niż w naszej karecie, która zresztą pod każdym względem znacznie się od naszej różniła, choćby tylko podziwianym przez nas amarantowym adamaszkiem, którym były cała obita, jak również potrójnie składanymi szerokimi stopniami, które po zajęciu miejsc przez pasażerów składano tak, aby można je wsunąć do wnętrza pojazdu. Tego rodzaju stopnie, w czasach, kiedy drogi na ogół były fatalne, często tak wyboiste, że mogły grozić ich urwaniem często były w użyciu. Wreszcie Drzewiecki sprawdzwszy, że wszystko jest w należytym porządku, bagaże dobrze umocowane, siadł na wysoki kozioł i trzasnąwszy rozgłosne czterokonnym wspaniałym w naszych oczach białym, ruszał w drogę. Zanim jednak wyjechało się na szosę, która przez Strzelno (Kruszwice) prowadziła do Łodzi należało zatrzymać się na niemieckim posterunku granicznym. Tym razem zandarm, uprzejmie usmiechnięty, po zapytaniu, czy nie przewożymy pałeczek lub alkoholu, jedynych artykułów, których do państwa niemieckiego przywozić nie było wolno, zadawał się przecząca odpowiedź nigdy nie sprawdzając, czy była zgodna z faktycznym stanem rzeczy, machnięciem reki dawał znak, że można jechać dalej. Zawsze dodawał życzenia szczęśliwej drogi.

13. LUDZISK, CHYTROWO I INNE PODRÓŻE

Ludzisk to osobny rozdział mych wspomnień. Przede wszystkim byli dziadkowie, którzy nas najstarsze wnuki, a do tego dzieci ukochanej dziadka córki Stachny, bardzo kochali, co specjalnie umiał okazywać dziadek, bardziej od babki bezpośredni, a przy tym zawsze pogodny i wesoły.



35. Maria, (BKD 47)
z Mittelstaedt'ów
Damska.



36. Maria, (BKD 47) i Antoni
(BDK 46) z Mittelstaedt'ów
Damski.



37. Antoni (BDK 46) Damski z
córką Anna (BDK 49).

Babka, choć była osobą o wyjątkowej dobroci i pozbawio zupełnie egoizmu, była jednak z zasady surowa, wymagająca nie tylko w stosunku do otoczenia, ale także może najwięcej od siebie. Zawsze czynna, stale czuwająca nad wychowaniem 11-cioro dzieci, z których czworo zmarło w dzieciństwie, troszcząca się o li nny personel domowy, o gości, których nigdy w słynącym gościnności domu dziadków ni brakło, zawsze otwartym nie tylko dla bliższej, ale i dalszej rodziny.



38. Dwór w Ludzisku w lecie.



39. Dwór w Ludzisku widok z tarasu.

Wiadomo było, że gdzie jak gdzie, ale na pewno w Ludzisku znajdą gościnne i serdeczne przyjęcie i spokojny kącik, często do końca życia, znajdujący się w trudnych warunkach bliżsi, a nawet dalsi krewni, nie zawsze sympatyczne w codziennym współżyciu dalsze kuzynki, czy emerytowane nauczycielki. Między innymi piekowała się troskliwie liczna gromadka sierot po bracie meza (BKD 38) dzieci (Damski z Mohelka, BKD 478, 40, 44, 42, 488 i 490), a nawet najstarszej z nich Wandzie (BKD 44) wyprawiła wesele. (Wyszła ona za Tabaczynskiego (BKD 45) z Redcza Wielkiego na Kujawach). Babka wstawiała codziennie o piątej i kładła się ostatnia, po sprawdzeniu, czy wszystko jest w porządku i cisza panuje w całym domu. Dopiero wtedy klekała do długich żarliwych modłów przed ołtarzykiem, przed którym dzień i noc paliła się lampka oliwna. Bezsprzecznie była wzorem prawdziwie chrześcijańskiej niewiasty, takiej, jaka znamy ze Starego Testamentu, który zresztą - rzecz wówczas rzadko spotykana⁵¹

⁵¹ Uwaga ta sugeruje jakby, nieznajomość Starego Testamentu była winą małej gorliwości wiernych. Jest to typowe kretactwo Kościoła katolickiego. Nieznajomość biblii wśród katolików pochodziła z tego, że przez stulecia na czytanie bibli trzeba było mieć specjalne zezwolenie biskupa, co obecnie Kościół chętnie przemilcza. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

często odczytywała i niejednokrotnie cytata z niego czerpniętymi usprawiedliwiała swoją postawę, niekiedy przez młodych uważana za zbyt surową. Za to dziadek był zawsze pogodny, wesoły i wyrozumiały, i musieliśmy być na jego stronie. Pamiętam doskonale, choć to przecież tak dawno, jak zawsze po skończonym obiedzie, wołał nas do siebie i z wyciągniętej szuflady wyjmował 2 albo 3 cukierki, obdarzając nas odpowiednią ich ilością w zależności od tego, jak grzecznie zachowywaliśmy się przy stole. Był znakomitym gospodarzem⁵², na którego metodach uprawy, szczególnie buraków cukrowych, wzorowała się cała okolica. Gdy myślę o nim, to widzę go poruszającego się tylko o dwóch laskach, jeżdżącego po podwórzu i polach wygodną jednokonką. - W młodości uległ poważnemu wypadkowi⁵³ i stąd jego późniejsze kalectwo.



40. Ludzisko, Ludwika (BKD 490), Zota (BKD 59), 1^{ov}, Rembowska, 2^{ov}. Unruzyna i Franciszka (BKD 488) Damskie.



41. Janina (BKD 622) z Damskich i Bogdan (BKD 623) Trzebiny, Zofia (BKD 59) z Damskich Unruzyna, oraz Józefa (BKD 57) z Damskich i Andrzej (BKD 58) Suchorscy.

Dom ludziski był duży - nawet bardzo - ogromny jadalny pokój, który zapamiętałam głównie, dlatego, że w każdym jego narożniku na specjalnych postumentach stały popiersia: ks. Józefa Poniatowskiego, Kosciuszki, Mickiewicza i Słowackiego. Wiedząc, kim byli ci sławni Polacy przyglądałam się im z prawdziwym nabożeństwem i z podziwem. Z obszernej sieni wchodziło się na prawo do gabinetu, gdzie na co dzień najwięcej czasu spędzali dorośli, a my dzieci rzadko tam bywaliśmy. Za tym gabinetem był olbrzymi salon, gdzie prócz fortepianu, stały pod ścianami tylko wąskie kanapki, aby było jak najwięcej miejsca dla танцующих. Prócz tego salonu, a właściwie sali balowej był jeszcze drugi salon mniejszy, przytulniejszy, gdzie stał również fortepian i wygodne meble. Był on przeznaczony na mniej uroczyste okazje.



42. Dwór w Chytrowie.



43. Dwór w Chwalecicach.

⁵² Z pamiętnika Józefy z (BKD 57) Damskich Suchorskiej z Chwalecic: - Rodzice objeśli Ludzisko bardzo obdłużone. Ojciec wspominał nam, że nikt z znajomych nie wrócił mu długiego w Ludzisku pobytu „wyjechać musi, to trudno” a jednak praca usilna, i oszczędnością długich lat dokazali, że w chwili śmierci Ojca mego w roku 1907, a więc po 35 latach pracy, Ludzisko było czyste, bez długu, wybudowane, w kulturze, w porządku takim, „ze gwoździa wbic nie było potrzeba”.

⁵³ Ponownie z pamiętnika Józefy z (BKD 57) Damskich Suchorskiej z Chwalecic: - Ojciec mój Antoni Damski ur. w Konarach 1843 roku, jako mały chłopiec złamał nogę bawiąc się na podwórzu w Konarach (spadł z pługa) pod opieką rzadcy. Rządca bojąc się wymówek Babki, dał dziecku szczyryk żeby w nic w domu nie mówił — obiecał, że nie powie, więc nie powiedział, czemu noga go boli. Gdy się sprawa wydała, było już za późno, bo zrosła się krzywo i kaleka o jednej nodze krótszej był Ojciec mój przez całe życie. Gdym była dzieckiem, chodził Ojciec mój podpierając się jedną laską, w późniejszym wieku używał dwóch lasek, a w ostatniej chorobie chodził o krokwiach (kulach).

Później, gdy najmłodsze ciotki (BKD 57) Juta⁵⁴ i (BKD 59) Zota⁵⁵ dorosły, otrzymały ten właśnie pokój dla siebie. Prócz opisanych tu pokoi, był jeszcze pokój dziadków, obok mały przeznaczony dla najmłodszej latorosli (BKD 62) Stefana⁵⁶, wreszcie kancelaria dziadka, kredens i część gospodarcza i oczywiście kilka pokoi gościnnych na górze. Jednak najbardziej atrakcyjną była oranżeria, do której schodziło się wprost z jadalni. Dla nas był to prawdziwy raj, szczególnie zimą, kiedy to nie zawsze można było bawić się w ogrodzie, tymczasem tutaj wolno nam było biegać po kretych drózkach wśród palm, drzew pomarańczowych i innych cieplarnianych roślin i krzewów. Drugim nie mniej, a może nawet jeszcze bardziej atrakcyjnym miejscem, było tzw. „schowanie”, bezkonienny dość duży pokój przylegający do sypialni dziadków, pełen półek, szafek i skrytek, gdzie od czasu do czasu, w nagrodę za złośliwe zachowanie się, wolno nam było gospodarować. Iż tam zawsze było niezwykłych skarbów.



4.4. Ludzisko, - cioteczne i stryjeczne rodzeństwo, w „młyńskim kole”.

Nie można też zapomnieć olbrzymiego strychu, pełnego przedziwnych tajemniczych skrzyń i kufrów po babkach i prababkach. Gdy się je uchylilo, ukazywały się naszym ciekawionym oczom prawdziwe skarby, np. atlasowe białe pantofelki, ślubne suknie i zasuszone bukiety, bajeczne wachlarze ze strusich piór, jednym słowem najprzeróżniejsze cudowności.

Na tym strychu mogliśmy, mimo, że cokolwiek straszły ukazujące się od czasu do czasu szczury, których przecież na żadnym strychu starych dworów nie brakło, przesiadywać całe dni. Jednak owo buszowanie po zakamarkach ogromnego, ludzkiego dworu, a także strychu, miało miejsce wtedy, gdy Boże Narodzenie spędzaliśmy u dziadków, natomiast latem zapominaliśmy o wszystkich tego rodzaju atrakcjach, spędzając całe dni w ogromnym parku, gdzie nie tylko były piękne drzewa, choćby długa lipowa aleja prowadząca do pięknego dużego jeziora otaczającego park od południowej strony, ale i kolorowe klomby, różne tajemnicze zakamarki i altany, a samym końcu pięć rybnych stawów, połączonych przepustami i oddzielonych od siebie wąskimi groblami. Całość kończył stary drewniany młyn z olbrzymim zawsze wilgotnym kołem. Za młynem już w stronę wsi był bardzo duży staw z wyspą po środku, na której rezydowały labedzie. Już od samego rana wypatrywaliśmy chwili, kiedy w drzwiach kuchennych ukaze się dziewczyna niosąca w szondach⁵⁷ dwa olbrzymie wiadra klusek kartoflanych. Biegliśmy, co tchu za nią, aby asystować uczcie labedzi, które już zastaliśmy czekające cierpliwie na brzegu jeziora. W ogóle atrakcji w Ludzisku nigdy nam dzieciom nie brakło. Zaliczaliśmy do nich odwiedzin u ciotki (BKD 49) Nuchny, najstarszej siostry mojej matki w tak zwanym Belwederku. Ciotka była ulomna, ale miała ładną i pełną wyrazu twarz.

⁵⁴ Wydaje się, że to była ciotka Juta (BKD 57) Suchorska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁵⁵ Zofia, P v. Rembowska, P v. Unrug. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁵⁶ Stefana (BKD 62) Damskiego z Rudnej. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Ba, 98-05-09).

⁵⁷ Nosidlach. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



45. Janina (BKD 622) Józefa z Dambskich Trzebińska.



46. Janusz (BKD 85) Dambski.



47. Ludzisko. Dwór w zimie.

Był to okres, kiedy oczekiwano ukazania się komety Haley'a. Spalam na kanapie w pokoju babki, podekscytowana oczekiwanym przez wszystkich niezwykłym zjawiskiem. Obudziwszy się w nocy spojrzalam w okno ujrzałam nagle jakies swiatlo. Przerazona pobiegłam do babki, schowałam się za nią pod jej koldre krzyczac: „kometa, kometa” i czekajac az zacznie się zapowiedziany koniec swiata. Ledwo babka zabrała mnie uspokoić, wyjasniajac, że owa kometa była latamia, która niósł w reku stróż nocny. W kazdym razie wstrzas był silny. Jeszcze dzis po 70-ciu latach ilekroć jest mowa o kometach, zawsze przypominam sobie tamto przeżycie.

Niestety odwiedziny Ludziska skonczyły się raz na zawsze kiedy to w 1911 roku piękny ten majątek przeszedł w ręce Janusza (BKD 85) Damskiego, ukochanego bratanka mojej babki. Po śmierci dziadka w 1907 r. powierzono mu, jako doskonalemu rolnikowi administrację majątku. Ciotka Anka zlikwidowała Belwederek i przeniósłszy się do dworu zajęła się ksiązkowoscia, była właściwie można by to określić, głównym menedżerem całego, a że i tak miała wielki wpływ na matkę i rodzeństwo, więc rządziła w sposób apodyktyczny⁵⁸. Kiedy Janusz zareczył się z hr. Czarnecką (BKD 86) z Golejwka, uradzono, że sprzeda się Ludzisk, bo najstarszy wuj (BKD 48) Kazimierz⁵⁹ już swą część otrzymał, kupiono mu majątek Lenartowo, Stefan (BKD 62) jest za młody, aby móc gospodarować na tak dużym obiekcie. Babka kupiła sobie odpowiednie mieszkanie w Poznaniu i tam z córkami się ulokuje. Okazało się wkrótce, że pomysł był fatalny, tym bardziej, że wkrótce wybuchła wojna. Pieniądze przeznaczone na posagi dla córek, kupno odpowiedniego majątku dla Stefana (BKD 62), gdy dorosnie, a przede wszystkim nabycie odpowiedniego mieszkania w Poznaniu, szybko się zdewaluowały. Można by dużo napisać na ten przykry temat. Zajęłoby to jednak zbyt dużo miejsca i czasu, zresztą dzis już nie żyje żadna z tych osób, które brały udział w tej przykłej historii. Wtedy jakos nikt nie uprzytomnił sobie, czym będzie dla babki opuszczenie domu i wszystkiego, czym żyła od siedemnastego roku życia, kiedy wydano ją, zresztą wbrew jej zamiarom gdyż chciała zostać zakonnica, za ciotecznego brata, Antoniego (BKD, 46) Damskiego, jaka tragedia będzie zegnaniem się ze wszystkim, co tu przeżyła, co stworzyła, w co włożyła serce i pracę całego życia. Gdy termin wyprowadzki się zbliżał, a zamierzonych projektów nie zdołano zrealizować, babka zamieszkała niby to na razie w Mleczach, folwarku należącym do jej siostry Aleksandry (BKD 82) Witoldowej Zakrzewskiej z Linówca. Wszystkie projekty do reszty unicestwiła przeciągająca się wojna, a gdy się wreszcie zakończyła, babka zmęczona i gniebiona wyrzutami sumienia, że zgodziła się na krok tak brzemienny w fatalne następstwa umarła w Mleczech w 1919 r.

Opisując moją przygodę z domniemaną kometa, Haley'a i stróża, którego latarka tak mnie przestraszyła, muszę dodać, że ów stróż, wieczorami zjawiał się w kuchni, gdzie i nam udawało się znaleźć, aby słuchać mrozącej krew w żyłach historii, która zaklinając się, że była najprawdziwszą prawdą opowiadał, że od czasu do czasu o północy zjawiał się zajeżdżając przed ganek poszóstna karoca pan Besiekierski i zatrzymawszy się na chwilę ruszył dalej w niewiadomym kierunku. Prócz owej historii miał wykłady z kosmografii, twierdził, że najgłębszym przekonaniem, „że ziemia ma kształt podobny do talerza wspartego na słupie”, na czym by jednak ten słup miał spoczywać nie wyjasniał, zostawił słuchaczom pole do domysłów. W kazdym razie pamiętam, że przez dość długi czas byłam świeżo przekonana, że właśnie tak te sprawy wyglądają.

Zasadniczo poza wyjazdem do Ludziska rzadko wyruszyliśmy na dłużej z domu. Raz zdarzył się wyjątek, kiedy to lekarz zalecił matce, aby zawiózła dzieci do Ciechocinka, dla przeprowadzenia odpowiedniej kuracji. Pojechalismy tam oczywiście koniami, bo przecież żadnych innych możliwości komunikacyjnych nie było, oczywiście z boną i kucharką, bo wtedy można było wynająć odpowiednie locum, ale każdy prowadził własne gospodarstwo. Należało załadować na wóz nie tylko prowianty, ale też posciel, naczynia kuchenne itd. Pamiętam, że Rodzice wynajęli niedużą drewnianą wille niedaleko źróźni i łazienek. – W ogóle z tego pobytu jakos niewiele sobie przypominam, chyba tylko to, że roilo się tam od niesłychanej ilości wszelkiego wieku Żydówek i Żydziatek. Trzeba, bowiem wiedzieć, że Żydzi bardzo dbali o swoje i swych rodzin zdrowie, to też nawet zupełnie skromnie sytuowani przyjeżdżali tutaj by za uciulane przez cały rok grosze pozbyć się reumatyzmów i różnego rodzaju dolegliwości. Ogromnie mnie to dziwiło gdyż widziałam, jak stare Żydówki w wielkich perukach na głowach dopytywały się w sklepach czy będzie tam można dostać prawdziwe drapaczki. Do czego miała służyć nie mogłam się domysleć, aż wreszcie matka wyjasniła mi cel owych tajemniczych dla mnie przyrzadów.

Ponieważ Aleksandrów, najbliższa stacja kolejowa, gdzie była również największa komora graniczna był od Ciechocinka niedaleko, matka postanowiła wykorzystać możliwość łatwego znalezienia się na terenie poznańskiego, by odwiedzić wujostwa Trzebinskich, za którymi się steskniała. Zwinęła, więc nasze ciechocinskie gospodarstwo i wyprawila cały kram wraz z kucharką do domu, a my razem z boną wyruszyliśmy do trowa. Piszę o tym, dlatego, aby przy okazji pokreslić, co może zrobić odpowiednie wychowanie i konsekwentne egzekwowanie założonych celów.

⁵⁸ Wiele z tym razem nie były to knowania podstępnych Żydów, tylko nieudolne kombinacje romantycznej, ale za to przemadrzałej i „niezaspokojonej” pani, które zniszczyły dalszą pełną pamiętek rezydencję rodową. Podobno ówce Janusz Damski „rozkochał w sobie” ciotkę Anne, której robił „różne nadzieje” i która była całkowicie mu powolna. Ponieważ z kolei cała rodzina miała ją za „guru” i ulegała ślepo jej radom, doszło do sprzedaży Ludziska, na której skorzystał przede wszystkim ówce Janusz Damski. Jednym słowem Babka Bartoszewiczowa miała niezbyt „udaną” siostrzyczkę. Natomiast wydaje się, że jedyną zaletą prababki, była jej wzorowa pobożność. Poza tym była naiwna, nie znała się na ludziach i zamiast sama kierować swą córką, ulegała jej wpływom i fantazjom. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁵⁹ Dr Kazimierz (BKD 48) Damski, po utracie Lenartowa rezydent w Włocławku, tzw. „Wuj Kazio”, człowiek gołębiego serca. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



48. Budynek stacji granicznej w Aleksandrowie Kujawskim przed I wojna światowa.

Wiemy niestety, że uczciwość jest raczej cechą u Polaków dość rzadką i wszelkiego rodzaju mniejsze i większe kradzieże⁶⁰ są na porządku dziennym, a tymczasem Niemcy przynajmniej ci dawni, byli wyjątkowo uczciwi i potrafili nauczyć tej cnoty także Polaków i to dość trwale tak, że nawet jeszcze dzisiaj Poznaniacy cieszą się opinią ludzi solidnych i uczciwszych od reszty mieszkańców Polski. Otóż w pociągu, do którego wsiadaliśmy w Aleksandrowie, zostawiliśmy przez zapomnienie ukochany Mamy budzik, z którym się nigdy nie rozstawala. Była ogromnie zmartwiona. Wsiadając z pociągu powiedziała o stracie konduktorowi, na co ten uspokoił „Gnädige Frau”, że budzik na pewno się znajdzie. Matka nie bardzo w to wierzyła, tym bardziej, że budzik był rzeczywiście bardzo ładny. Jakież było jej zdziwienie, gdy po kilku dniach nadeszła przesyłka z owym zdawało się już na zawsze straconym budzikiem. Bardzo wątpliwe, czy podobny wypadek mógłby się wydarzyć w którejś innej dzielnicy naszego kraju⁶¹.

Ciotka Janina (BKD 622) Trzebińska, zawsze pełna humoru umiała stworzyć miłą i beztrudną atmosferę, a wuj Bogdan (BKD 623) należał do jednego z najbardziej lubianych członków rodziny, to też czas tam spędzony tak wówczas jak i później, bo szczególnie po stracie Ludziska jeszcze częściej tam jeździliśmy, jeszcze dzisiaj bardzo miło wspominać. Tam nauczyłam się słuchania najpiękniejszych oper i koncertów wielkich mistrzów, gdyż wuj Bogdan ogromnie lubił tego rodzaju muzykę, a ponieważ do Berlina, gdzie miałby możliwość słuchania jej „na żywo”, trudno było zbyt często jeździć, kupił znakomity gramofon szafkowy, co było wówczas jeszcze z elną nowością. Mogliśmy, więc niejedną wieczór spędzić słuchając w ciszy i spokoju pięknych utworów i to w najlepszym wykonaniu. Tu muszę napisać, że podróż z Ciechocinka do Chytrów pociągiem nie była już dla mnie czymś nadzwyczajnym, jak gdy pierwszy raz jechałam koleją żelazną do Lesna⁶² majątku wujostwa Sikorskich⁶³ (BKD 478 i 479) w powiecie Chojnickim, gdzie, jako najstarsza z dzieci, mnie tam jadąc z wizytą zabrali. Byłam przekonana, że wszyscy pasażerowie jadący w tym samym, co i my kierunku są oczywiście zaproszonymi przez wujostwo gośćmi i z niepokojem pytałam, w jaki sposób zdołają ich tyle pomieścić. Również wtedy po raz pierwszy w życiu nocowałam w hotelu, a to, dlatego, że nasza depecha z prośbą o przysłanie po nas koni na stację nie doszła na czas, tak, że byliśmy zmuszeni przenoćować na miejscu.

Wskazano nam najlepszy w całym mieście hotel. Jego właścicielka niesłuchanie uprzejmie, zaprowadziła nas do najparadniejszego z hotelowych pokoi, z dumą pokazała łóżko z nieprawdopodobną ilością poduszek i piernatów (był to rodzaj grubych pierzyn, które kładło się na materace, gwałtowniejszej wygody).

⁶⁰ Pochwałę złodziejstwa wygłosił prymas Polski kardynał Kempf oświadczając w czasie kazania na Jasnej Górze (15. VIII. 1982), że: „Rozdawanie chłopom ziemi obszarowej było znakiem wolności”. (Więź 14. VI. 1987 r., nr 24, Wizyta dobrych nadziei). Znak wolności! No cóż, jedni pamiętają kapitulację Niemców, drudzy - przede wszystkim manifest PKWN, ogłoszony przez niemiecki rząd ... natomiast prymas Polski (Glemp) o dobrze rozwiniętym instynkcie klasowym, miło wspomina jak jego kuzyni rabowali swych współobywateli, nie zająkawszy się nawet o siódmym i dziesiątym przykazaniu dekalogu. Oto Kosiół katolicki, oto jego hierarchia. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁶¹ Na pewno nie, tak długo dopóki polska hierarchia kościelna nie wytlumaczy się z tego rodzaju potłuczek, złodziejstwo zacznie nazywać złodziejstwem, a w ten sposób skompromitowani hierarchowie zostaną skłonieni do ustąpienia ze swych stanowisk. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁶² Główna siedziba rodu Sikorskich w tej okolicy był majątek Chelmy Wielkie. Oto opis Lesna przez innego autora: „W pobliżu Chelmów, w Lesnie gospodarzyli również Sikorscy; najpierw brat dziadka Paweł, żonaty z Antonina Donimirska z Czernina (Hohendorfu, też spokrewnieni z autarką), a potem jego syn Edmund (BKD 479), żonaty z Julią (BKD 478) Dambską. Z Lesnem utrzymywaliśmy dość bliskie kontakty, ale pod względem gospodarki nie chciałbym naszych majątków porównywać. Lesno pozostawało zdecydowanie w tyle z powodu braku przedsiębiorczości oraz braku zaangażowania właścicieli zarówno w gospodarkę własną, jak i w działalność społeczną”. Jan Sikorski ZIEMIANIN BEZ KOMPLEKSÓW. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Gdansk 1990. Str. 24. Opiswany hotel znajdował się najprawdopodobniej w Koscierzynie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁶³ Sikorscy z Chelmów Wielkich, nie byli spokrewnieni z gen. Władysławem Sikorskim, prymierem rządu emigracyjnego ani z obecnym ministrem spraw zagranicznych Radekim Sikorskim. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 13-06-04).

W owych czasach w każdym szanującym się domu na całym obszarze Księstwa Poznańskiego i Pomorza owe piernaty były w użyciu. Moja Matka dostała ich kilka do wyprawy (no i oczywiście kilka wspaniałych pierzyn). Gdy Matka zobaczyła to wszystko, a była pełnia upalnego lata, poprosiła gospodynie, by zechciała zabrać przynajmniej część poduszek i przede wszystkim pierzyny, których nota bene nigdy się u nas nie używało. Właścicielka z największym zdumieniem i pełna dezaprobaty poleciła służącej zastosować się do życzenia tej dziwnej „Grädiger Frau”, nieumiejącej docenić tego wszystkiego, czym ona się chlubiła. Tu skorzystam z okazji i podzielenia się wrażeniami z tej pierwszej i ostatniej mojej bytności w Lesnie. Choć to było tak dawno, doskonale pamiętam jak cudownie położona była ta miejscowość. Przede wszystkim sam dwór - stare drewniane domostwo z rozlicznymi przybudówkami, pokryty gontami, o kilka kroków starenki uroczy, naturalnie również drewniany kościółek, całość oblana dużym jeziorem otoczonym starym lasem. Po jeziorze pływały oswojone labedzie. Po prostu widok jak na pięknym obrazie, to też nic dziwnego, że do dziś zachowałam go w pamięci. Wszakże wszystkie opisane przed chwilą wyjazdy, były raczej rzadkością i czymś raczej ekstraordinaryjnym, natomiast pobyt przynajmniej dwukrotnie w ciągu roku i to dłuższy w Ludzisku był rzeczą, której niezawodnie byliśmy pewni i na co zawsze jednakowo się cieszyliśmy.



49. BKD 35 Józefa z Mittestaedtów Dąbska *1813 † 1890. Nekrolog w Dzienniku Poznańskim z 19 grudnia 1890 r.



50. BKD 47 Maria z Mittestaedtów Dąbska *1850 † 1919. Nekrolog w Dzienniku Poznańskim z 19 (?) maja 1919 r.

Tu następuje przerwa w relacjach.

11. K R A K Ó W i Z A O L Z I E

.....

Ojciec nie spieszył się z powrotem. Mieliśmy dużo wolno czasu, wędrowaliśmy po sąsiednich Błoniach, wsłuchując się w głosy niezliczonych dzwonów krakowskich kościołów wzywających na południowy czy wieczorny Anioł Pański. Do dziś brzmi mi w uszach ten wspaniały niezapomniany koncert. Odwiedzaliśmy też często moją Matkę chrzestną, babkę Grabską (BKM 68) z Borowa, która przekazawszy majątek wujowi Władysławowi (BKM 206), kupiła niewielki, ale miły domek na Białym Pradniku, a więc w pobliżu najmłodszej córki (BKM 207), która otaczała ją opieką, a potem na jakiś czas przeniosła się na Śląsk i zamieszkała u wujostwa Kiedroniów (BKM 205 i 466). Tam też zmarła - pochowana jednak jest w Krakowie.

Zbliżało się Boże Narodzenie, trzeba było wracać do domu. Ojciec jednak chcąc wykorzystać okazję, że z Krakowa na Śląsk jest stosunkowo niedaleko, zdecydował się na odwiedzenie wujostwa Kiedroniów. Ciotka Zosia, (BKM 205), starsza siostra ciotki Brzezinskiej, (BKM 207), primo voto Kirkorowa, wyszła po raz drugi za mąż za inżyniera Kiedronia, (BKM 206), który pracował w górnictwie w kopalniach śląskich. Pojechalismy, więc na Śląsk Cieszyński. Znowu zupełnie nowe krajobrazy i wrażenia, dyskusje na tematy polityczne. Oboje wujostwo włączyli się bardzo aktywnie w ruch narodowosciowy. Chodziło o budzenie ducha polskiego w środowisku, gdzie sympatie - jak pro czeskie jak i pro niemieckie były dość silnie zakorzenione. Zaprzyjaźniłam się też ze Stasiem (BKM 472) Kirkorem, synem ciotki z pierwszego małżeństwa. Z jego ojcem (BKM 465) ciotka poznała się w głębi Rosji, gdzie oboje byli zesłani za udział w antyrządowej działalności. Polubiłam też obu młodszych (BKM 470 i 471) ode mnie synów ciotki z jej drugiego małżeństwa. Do jednego z niezapomnianych wrażeń związanych z pobytem na Śląsku Cieszyńskim, było zjechanie z wujem do jednego z niższych korytarzy kopalni, skąd wózkami ciągniętymi przez konia wywozono urobek.

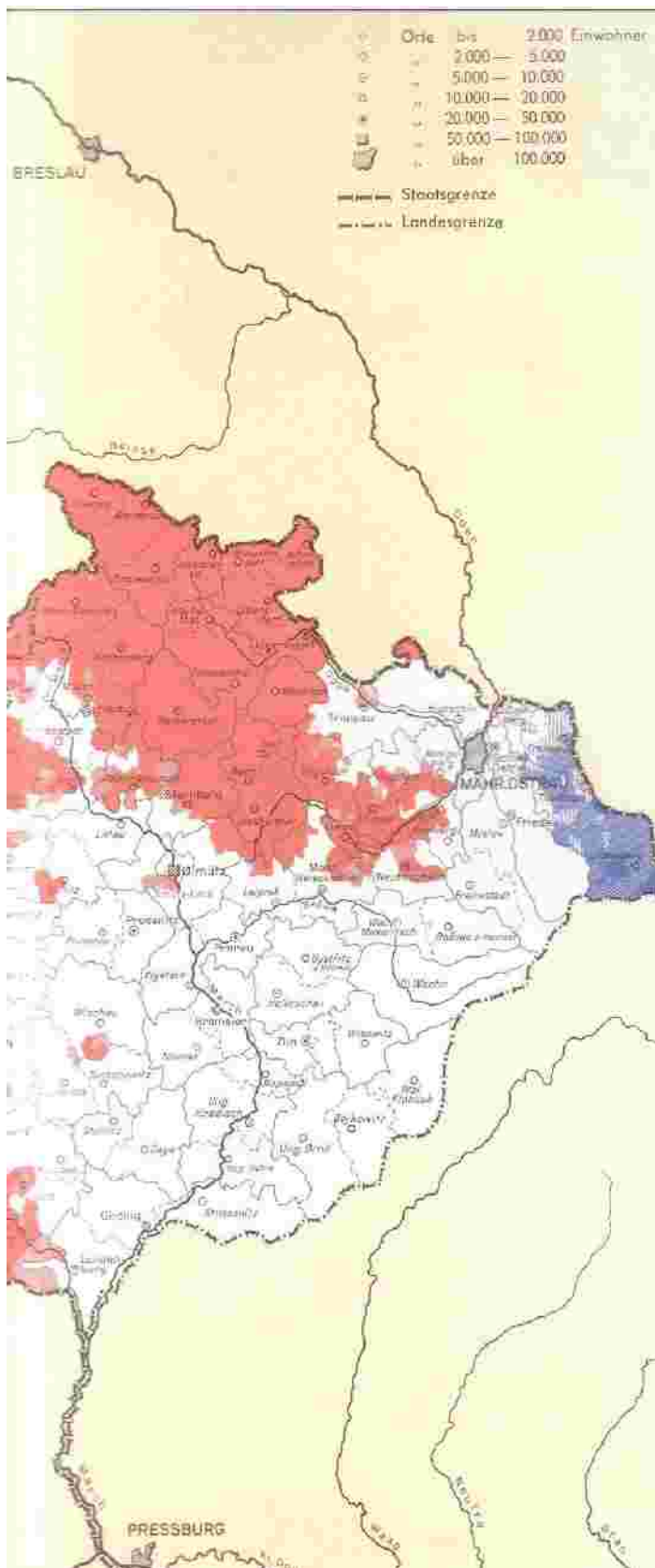
Trzeba było jednak w końcu wracać do domu - nigdy nie zapomne przeżycia z tym związanego. Gdy wreszcie po tak długiej nieobecności znaleźliśmy się w domu i gdy wszedłszy do pokoju witałam się z Matką, pewna, że wyda okrzyk podziwu zobaczywszy mnie całkowicie wyekwipowaną i do tego z okularami na nosie, z których była dodatkowo dumna (sam dr Wicherkiewicz mi je zapisał i nosiłam je później przez dobrych kilkanaście lat) Matka zalamana rece wołała: „Dziewczyno jak ty wyglądasz”. Tu trzeba wyjaśnić, że Matka prosiła ciotkę Zotę, (BKM 205)⁶⁴, aby korzystając z tego, że będzie w dużym mieście kupiła mi płaszcz i obuwie, a także - jak mówiła - suknie. Miała, bowiem pełne zaufanie do jej gustu, a że zawsze cieszyła się bujną imaginacją, wyobraziła sobie, jak będzie w tym nowym ekwipunku wyglądać. A tymczasem zobaczyła dziewczynę w płaszczu z pelerynką (ostatni wówczas krzyk mody) zupełnie na prowincji nieznaną, w czerwonym dużym kapeluszu, na niesłychanie bujnej fryzurze. Miałam zawsze raczej niedługie, ale szalenie krecące się włosy i do tego okulary, które rzeczywiście nie zdobiły zresztą niezbyt ładnej dziewczynki. Ten okrzyk wyrażający całkowitą dezaprobatę, tak mnie przygnębił, że jeszcze dziś po 67-miu latach doskonale cały ten ewenement pamiętam. Tu miejsce na wyjaśnienie, że taka kupiona w krakowskim magazynie garderoba, była nie lada w porównaniu, bowiem dotąd wszystko, co było dzieciom potrzebne szyla na miejscu tak zwana Panna, czyli osoba, której głównym zajęciem było obszywanie dzieci i w ogóle cerowanie i naprawianie garderoby domowników, a obuwie robił na obstalunek szewc w Izbicy. Z czasem Matka przyzwyczaiła się do owej kupionej w Krakowie garderoby - a nawet polubiła ją podobnie jak pogodziła się z okularami na Marychny perkatym nosie.



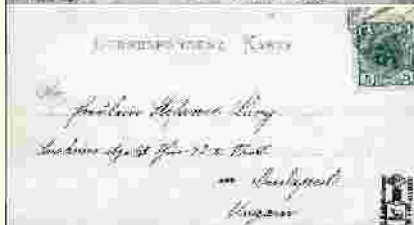
51.

Granice Zaolzia

⁶⁴ Kiedroniowa. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



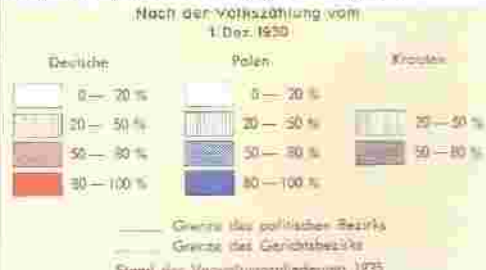
Die sudetendeutschen
Siedlungsgebiete in
Böhmen und Mähren
Maßstab 1 : 1.250.000



Przez ten list wyrażam swoje serdeczne powitanie i wyrażam nadzieję, że w najbliższym czasie uda się mi odwiedzić Państwa Ojczyznę i zobaczyć ją z bliska. Jestem bardzo zainteresowany, jak tam wszystkim i jak się panowie mają. Proszę o odpowiedź, jeśli będzie to możliwe. Z wyrazami szacunku i przywiązania
 Adolf...



Przepraszam, że nie mogę odpowiedzieć wcześniej, ale jestem bardzo zajęty. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie uda się mi odwiedzić Państwa Ojczyznę i zobaczyć ją z bliska. Jestem bardzo zainteresowany, jak tam wszystkim i jak się panowie mają. Proszę o odpowiedź, jeśli będzie to możliwe. Z wyrazami szacunku i przywiązania
 Adolf...



52. Stosunki etnograficzne na Śląsku Zaolziańskim wg spisu powszechnego z 1 grudnia 1930 r.

15. ŻYCIE SĄSIEDZKIE

Wracając pamięcią do tamtych lat nie mogę nie wspomnieć dwu wielkich wydarzeń w rodzinie, dzięki którym miałam okazję zobaczenia wielu znanych mi tylko z opowiadania ciotek i wujów.

Okazją do tego były bardzo uroczyste obchodzone srebrne gody dziadków Damskich (BKD 64 i 65) ze Szczkowa. Ponieważ dom tamtejszy nie był w stanie przemocować tak licznie zapowiadających się gości, część z nich zatrzymała się u nas. Mnie zabrano tylko do kościoła. Nie wiele pamiętam z uroczystości kościelnych, utkwiła mi tylko w pamięci srebrzysta suknia „oblubienicy”. Nigdy jeszcze nie widziałam jej w tak uroczystej sukni, a także wspinała biskupiego koloru roba babki Weroniki (BKD 100 i 101) Damskiej z Ciazienia, która wtedy widziałam po raz pierwszy. Zafarbowały mnie wspaniałe klejnoty, które dodawały splendoru i tak już imponujące toalecie. Zresztą cały prawie kościół był pełen uroczystości na taką okazję ubranych krewnych, z których większość - jak przed chwilą podkreśliłam - widziałam po raz pierwszy w życiu, a wielu z nich po raz ostatni, gdyż wkrótce wybuchła I Wojna Światowa, która uniemożliwiła utrzymywanie kontaktów z wieloma członkami rodziny, szczególnie z tymi, którzy mieszkali daleko. Drugą podobną do tej okazji spotkania się z niektórymi członkami dalszej rodziny był bal, który w 1912-ym roku wydał Rodzice dla obu najmłodszych siostrzeńców mej Matki. Obie te dorosłe już panny po sprzedaży Ludziska, nie miały właściwie domu, gdyż jak już poprzednio pisałam pieniądze, jakie uzyskano ze sprzedaży majątku, a które miały być częściowo zużyte na kupienie odpowiedniego dla babki i jej najmłodszych córek mieszkania w Poznaniu, zostały zamrożone w banku. Ciotka Anna (BKD 49) ludziła się nadzieją na odkupienie Ludziska, babka (BKD 47) mieszkała „na razie” w Mleczach, a ciotki „tulaly się” to znaczy przebywały częściowo w Chytrowie i Wiecininie, czasami w Redczu, gdzie spotykały się z bardzo zaprzyjawnionymi stryjecznymi siostrami, Franiami (BKD 488) i Isią Damskimi, siostrami ciotki Wandy Tabaczynskiej. Cała rodzina uważała, że czas najwyższy, aby obie panny „wprowadzić w świat” - dać im możliwość poznania odpowiednich młodych ludzi, to znaczy odpowiednio sytuowanych, aby móc założyć rodzinę. Rodzice zaproponowali urządzenie takiego balu w Wiecininie, był obszerne, salon dopiero, co odnowiony, było, więc gdzie tańczyć i ulokować nawet licznych gości, tym bardziej, że nas na cały tydzień wywieziono do Szczkowa, więc pokoje dziecięce były dodatkowo do dyspozycji. Aby móc nas zaprezentować licznie przybyłej rodzinie, przywieziono Ninę (BKD 498) i mnie (BKD 52) na kilka godzin do domu. Wiem ze słyszanych później opowiadań, że bal udał się znakomicie. Bawiono się ochoczo do białego rana, a jeśli chodzi o konkretny skutek, to znaczy o nawiązanie znajomości, które zakończyć się miały małżeństwem, to były dwie pary: ciotka Juta (BKD 57) Damska i Andrzej (BKD 58) Suchorski, oraz ciotka Zosia (BKD 263) Mittelstaedt z Łuszczewa z Teodozjuszem (BKD 309) Wierzchlejewskim z Karsnic. Ślub wujostwa Suchorskich miał miejsce w Chytrowie, w sierpniu 1913 r. Uroczystość ta poprzedziła o dwa dni następną, jaką była moja pierwsza Komunia św., bowiem Matka zdecydowała się wykorzystać okazję, że w związku ze ślubem ciotki Juty zjechała się najbliższa rodzina, będzie więc znakomita sposobność usświetnienia tak ważnego i uroczystego dnia w moim życiu. Tu muszę wyjaśnić, że przygotowywałam mnie do tego Sakramentu proboszcz z Chytrowa, wielki przyjaciel nie tylko wujostwa Trzebiskich, ale i całej rodziny. Ponieważ z Wiecinina do Brdowa, gdzie była nasza parafia było prawie 7 km i to fatalnej drogi, więc dojeżdżanie tam kilka razy w tygodniu na lekcje religii byłoby bardzo uciążliwe. Dlatego więc Matka zwróciła się z prośbą do chytrowskiego proboszcza, aby zechciał mnie przygotować do spowiedzi i pierwszej Komunii św., Wobec czego, ponieważ oboszcz się na to zgodził, Rodzice zawieźli mnie do Chytrowa na dwa miesiące. Pobyt ten bardzo miło wspominam. Dodatkową atrakcją było asystowanie przygotowaniom do mającego się wkrótce odbyć wesela wujostwa Suchorskich. Z mnóstwa wrażeń związanych z tym dniem, najlepiej pamiętam fakt zaproszenia mnie do tańca przez Tadeusza Krajewskiego, sąsiada z Chytrowa, którego często tam widywałam i w którym się skrycie podkochiwałam. Żeby uzupełnić moje relacje związane z życiem towarzyskim w najbliższym sąsiedztwie moich Rodziców muszę powrócić do wspomnień sprzed I Wojny Światowej, gdyż ta ostatnia nawet i w tej dziedzinie przyniosła znaczne zmiany. A więc najbliższy kontakt utrzymywano z dziadkami Damskimi (BKD 64 i 65) ze Szczkowa, a także z wujem Rajmundem (BKD 102) Damskim z Bierzwienej.

Stryja (BKD 64) ze Szczkowa Matka bardzo kochała i wzajemnie, to też cieszył się zawsze bardzo na niedziele, (co druga), kiedy to przyjeżdżali oboje do nas, tym bardziej, że właściwie w domu się nudził, gdyż jego żona była rzeczywiście zupełnie nieatrakcyjna, raczej nudna. Mieli dwie córki. Młodsza Anielka umarła, jako młoda dziewczyna na gruźlicę (nazywana wówczas choroba piersiowa, albo suchotami). Starsza Halina (BKD 66)⁶⁵ była wówczas na pensji u SS Urszulanek w Krakowie. Dziadek, który ogromnie lubił preferansę, często wyrwał się do sąsiadów na partyjkę, a w niedziele, do Wiecinina po drodze zatrzymując się w Izbicy dla wysłuchania Mszy św., po czym wstępował do jedynego w miasteczku niezydowskiego sklepu, należącego do p. Grajewskiego, aby kupić zawsze te same cukierki w ilości jednego funta. Po przyjeździe do Wiecinina kładł dyskretnie paczuszkę na parapecie okiennych drzwi. Zawsze z taką samą niecierpliwością czekał, aż starsi opuszczą sieni, aby móc zabrać cukierki, które następnie ja, jako najstarsza dzieliłam sprawiedliwie, z tym, że każde z nas powinno było dostać równą ilość podłużnych, które uważaliśmy za daleko lepsze niż kwadratowe. Rodzice odwiedzali Szczkowsko stosunkowo rzadko. Najczęściej wtedy, gdy dziadkowie spodziewali się jakichś bardziej ceremonialnych gości. Babka jak przed chwilą wspomniałam była nie tylko na co dzień nudna, ale tym bardziej nie potrafiła „bawic” gości, w czym znów Matka była prawdziwą mistrzynią, to też skwapliwie wzywano ją na ratunek. Drugim domem, z którym łączyły Rodziców serdeczne stosunki była Bierzwienna, własność stryjecznego brata matki, Rajmunda (BKD 102) Damskiego, zwanego ogólnie, Mundasem.

⁶⁵ Ciotka Halina z Damskich, Donimirska z Kozuszek.

Był starym kawalerem i to bardzo zamożnym, nie troszczył się też zbyt o gospodarstwo, powierzając je rządcom. Prowadził życie prawdziwego sybaryty. Wstawał około południa, jadł dużo i dobrze, sporo czytał, a gdy mu było w domu zbyt nudno, jechał na kilka dni do Warszawy, aby pojechać do ołki, którą bardzo lubił. Ogromnie się cieszył, jeżeli udało mu się spotkać znajomych lub krewnych. Zapraszał ich wtedy na wyszukany obiad w Hotelu Europejskim, rad, że nie będzie musiał jesc go sam, czego bardzo nie lubił. Kiedy jego stryjeczny brat Stanisław (BKD 614) Dąbski był zmuszony sprzedać Mohelek i znalazł się w dość kłopotliwej sytuacji finansowej, zaprosił go na stałe do Bierzwiennej. Mieszkał tam do końca życia i tam też zmarł. Obaj starzy kawalerowie prowadzili dość monotony tryb życia, to też byli zawsze ogromnie radzi, gdy ktoś ich odwiedził. Ojciec zaglądał tam dość często. Kiedyś wróciwszy stamtąd opowiedział nam, co go tam spotkało. Otóż siadając do stołu zauważył, że Stas ma jakąś kwasną minę. Pyta o powód, na co Stas zwykle spokojny tym razem odpowiedział z prawdziwym oburzeniem: „jakżeś nie mam być markotny, kiedy ta głupia Gabriela (była znakomita kucharka i umiała dogodzić wymagającym smakoszom) wiedząc, żeś przyjechał, nie dorobiła czegoś dodatkowego do obiadu. Jakże obdzielimy się tym jednym indykiem” ... Nic, więc dziwnego, że przy takich apetytach obaj panowie byli pokaznej tuszy. Wuj Rajmund bardzo lubił francuskie wino, był ich wielkim znawcą i posiadał dobrze zaopatrzoną piwnicę. Od dawna przemyślał nad tym, co należałoby zrobić, a to zawsze mieć pod ręką wino o pokojowej temperaturze, tak, aby nim móc poczęstować milego gościa. Wreszcie wpadł na pomysł urządzenia odpowiedniej szafy, która ustawiona w pokoju, zapewniałaby właściwą „pokojową” temperaturę wymaganą przez wina francuskie. Szafa ta miała ściany z żelaznych pretów, co umożliwiało odpowiednie krążenie powietrza, a co za tym idzie równomierną temperaturę. Wuj był ogromnie dumny z tego, jak to określił „genialnego pomysłu”. Do Wiecinina przyjeżdżał, co druga niedziela (mijanka ze Szczekowem) na obiad. My dzieci nie lubiliśmy tych niedziel, gdyż wtedy zamiast jak być powinno w niedzielę, lepszej niż w inne dni tygodnia leguminy, podawano kompoty, których nie lubiliśmy, a które wuj uważał za jedynie odpowiednie zakończenie obiadu.

Jak tylko sięgnę pamięcią, zawsze w dniu 31-go sierpnia, a więc w dniu imienin wuja Rajmunda, nie tylko Rodzice, i wszyscy mieszkający bliżej krewni, a także sąsiedzi i to razem z zonami (robiono ten wyjątek tylko na imieniny ogólnie lubianego Pana Mundasa, gdyż wówczas przestrzegano zwyczaj, że panie nie bywały w kawalerskich domach) - jednym słowem wszyscy, którzy umieli docenić nie tylko dobrą jakość i przednie wina, ale nade wszystko wesół i beztroski nastrój, jaki panował w gościnnej Bierzwiennej, spieszyli z bliska i z daleka, niekiedy rozstawnymi koniami, złożyć życzenia ogólnie lubianemu solenizantowi.

Stosunkowo często zaglądali rodzice do Ozorzyna; szczególnie Ojciec wpadał tam konno przynajmniej raz w tygodniu, szczególnie po śmierci uwielbianej jedynaczki 17-letniej Halinki. Osieroceni rodzice odsunęli się od świata, by całkowicie oddać się swemu żalowi i smutnym rozpamiętywaniom. Dopuszczali jedynie odwiedziny Ojca, z którym byli nie tylko spokrewnieni, ale i zaprzyjazznieni. Prócz wyżej wymienionych krewnych, z którymi utrzymywali zazwyczaj stosunki, byli jeszcze wujostwo Tabaczynscy, z Redcza Wielkiego. Ciotka Wanda (BKD 44, BKM 225) była stryjeczna siostra Matki i prawie jej rówieśnica, a jej obie córki, Hela (BKM 516) późniejsza Jaholkowska i Marietta, (BKM 517), która wyszła za Cezarego (BKM 863) Bacciarelliego⁶⁶ były prawie w naszym wieku, to też ilekroć Rodzice tam jeździli zabierali nas zawsze ze sobą. Szczególnie hucznie były wyprawiane imieniny ciotki w dniu 23 czerwca. Zresztą jeździło się tam raczej latem, gdyż w innych porach roku, trudno było tam dojechać, szczególnie droga z Lubranca do Redcza bywała wprost nie do przebycia. Przypominam sobie jak to kiedyś wujostwo zaprosili cały Wiecinin razem z licznymi spędzającymi u nas Święta Wielkanocne gośćmi, na obiad w drugi dzień Wielkanocy.

⁶⁶ Bogusław Bacciarelli (1889 – 1965), maj. Waganiec.

Cezary Bacciarelli (1896 – 1982), maj. Miechowice.

Kazimierz Bacciarelli (1900 – 1982), maj. Jadrowice. – Ziemiańskie Polscy XX w. Cz. 5. DIG, W-wa 2000 Str. 3 i 4.

- Bacciarellowie po wybuchu II Wojny Światowej, aby uniknąć wysiedlenia ogłosili się Włochami. Największy kłopot powstał po „zamachu” Badoglio. Podobno Niemcy zmusili ich do tego, aby publicznie nałożyć u siebie w Kole przysięgali na wierność Mussoliniemu. Po wojnie pozostali w Polsce. (Taka historia słyszałem po wojnie i podałem ją w wydaniu wspomnień z kwietnia 2001. Prawda była jednak najprawdopodobniej inna. Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

- Zachowanie się w czasie wojny trzech braci Bacciarellich wymaga odrębnego opisu. Bedac mianowicie pochodzenia włoskiego (od XVIII wieku), lecz całkowicie spolonizowani, mający całe pokolenie „po kadzieli” szlachecko-polskie, w godzinie próby, w 1939 roku, tej polskości się wyparli, podając się za „Volksitalienische” i w ten sposób umożliwili sobie i swoim rodzinom lepsze losy w czasie okupacji. Oburzenie sąsiadów, ziemian polskich, na takie postępowanie było początkowo ogromne, lecz z biegiem czasu zaczęło ich postępek, jako nieszkodliwie moralnie oszustwo wobec władz okupacyjnych (wykorzystanie włoskiego pochodzenia), co łatwiej przyszło, ze zachowanie ich w czasie okupacji wobec ludności polskiej było wręcz nienaganne. Tadeusz Czapllicki. Szlacheckie Ostatki. PAX Warszawa 2001. str. 82/83.

- Jestem Kujawianką z dziada, pradziada, u schyłku życia (wiek i choroba raka) i przed śmiercią, uważam za swój Święty Obowiązek, napisania prawdy o Bacciarellich, ... aby wszyscy ziemianie mogli przeczytać, natomiast potomkowie Bacciarellich dumnie do góry głowy nosić. Otrzymałam z Polski książkę napisaną przez Tadeusza Czapllickiego „Szlacheckie Ostatki”. Zupełnie niepotrzebnie i bardzo żłosliwie autor wyraził się o Działalności Bacciarellich.

W czasie wojny Kujawy wcielone zostały do Niemiec i tak ja, jak i moja rodzina cała wojnę byliśmy we wrocławskim i należeliśmy do AK. Pan Bóg się nami opiekował i Niemcy pozwoili Bacciarellim zostać w ich domach. Okupanci wprowadzili straszny rygor, traktowano nas jak niewolników, zwinność na kartki była znikoma. Bacciarellowie byli pod obserwacją niemiecką. Po prostu Niemcy im nie ufali, a pomimo to postawa ich była bohaterska. Zaopatrywali w żywność potrzebujących, przechowywali uciekinierów.

Pamiętam jak zawiozłam do Waganca do Bogusława Bacciarelli kolega, który uciekł z więzienia. Moim trzem kolegom z AK udało się uciec z transportu do Niemiec, znaleźli schronienie u Cezarego Bacciarelli. Wszyscy z AK wiedzieli, że jak się „pali pod nogami” Bacciarellowie pomogą i zawsze można na nich liczyć. Takich przykładów mogłabym podać jeszcze wiele. Niestety nikt z tych osób już nie żyje, bo tych, co przeżyli okupację, w większości wykonało UB i tylko nieliczni zdolali uciec. Bacciarellowie przez całą okupację narazali swoje życie, by pomóc innym i tu należy się im medal za odwagę.

Buffalo, maj 2002

Maria Taylor. Biuletyn Ziemiański. Lipiec – grudzień 2002. Str. 47.

Dojechanie tam karetami, czy choćby tylko bryczkami było niemożliwe, to też wybraliśmy się drabiniastymi, pięknie umajonymi wozami, co zresztą stanowiło dodatkową atrakcję całej wyprawy. Prócz wyżej wymienionych domów, z którymi łączyły nas więzy pokrewieństwa, było jeszcze kilka sąsiedztw, z którymi utrzymywano stosunki, więc pp. Szamoccy z Mchowa, Zaborowscy z Mchówka, pani Jezierska z Bogusławic, pp. Topinscy, z którymi szczególnie przyjaznił się Ojciec. Łączyła ich miłość do koni i wszystkiego, co z tą pasją było związane. Jednak chyba największą sympatią łączyła nas, szczególnie od momentu wybuchu wojny z pp. Szczesniewskimi. P. Kazimierz, jeden z najsympatyczniejszych i najwartościowszych ludzi, których w moim długim życiu znałam, był mężem siostry wuja Tabaczynskiego z Redcza. Bedac rejentem mieszkał w Kole. Tak pani Zofia jak i jej mąż byli ludźmi bardzo gościnnymi, to też prawie za każdą naszą bytnością w Kole bywaliliśmy przez nich zapraszani na obiad. Ich syn Witold (BKM 1054) przyjaznił się z moim bratem, większość wakacji spędzał w Wicininie, tym bardziej, że tylko tam miał możliwość jeżdżenia konno. Uczestniczył też w niejednej dalszej wyprawie konnej z Ojcem (BKM 203, BKD 51) i Januszem (BKM 438, BKD 500).

Dowiadykując się o licznych kontaktach towarzyskich Rodziców, można by sadzić, że ówczesne ziemianstwo poświęcało im zbyt dużo czasu⁶⁷, trzeba jednak uprzytomnić sobie, że wówczas mieszkańcy nie mieli żadnych atrakcji. Przecież takie rzeczy jak radio czy telewizor były czymś, o czym się komu nawet nie śniło. Odległość do Warszawy, jedynej miasta, gdzie można było się zrelaksować, pójść do teatru itp. była ogromna, komunikacja na ogół fatalna, do najbliższej stacji Chodcza było z Wicininą około 28 km i to jak już poprzednio pisałam fatalnej drogi, a do tego pociąg osobowy tylko jeden na całą dobę. W razie spóźnienia, co przy takiej odległości i do tego złej drodze mogło się łatwo zdarzyć, trzeba było na następny pociąg czekać 12 godzin (chyba 24). Wobec tego jeżdżono tam najwyżej dwa razy w ciągu roku, a przecież wśród ziemian było sporo ludzi, którzy pragnęli choćby od czasu do czasu zrelaksować się, potańczyć, lub choćby pogadać czy nawet poplotkować, względnie pograć w karty - poza tym takie odwiedziny były okazją do pochwalenia się osiągnięciami gospodarskimi, udaniem przychówkiem inwentarza, względnie dawały możliwość zasięgnięcia życzliwej rady, bardziej doświadczonych sąsiadów, lub sąsiadki. Nie neguję, że były i takie domy, gdzie jeżdżano się jedynie po to, aby grać w karty i to niekiedy bardzo wysoko. Trwało to nieraz całą noc. Na szczęście w naszej najbliższej okolicy takich domów prawie, że nie było. Ojciec nigdy w karty nie grał, Matka - podobnie jak wszyscy Dambscy - lubiła te rozrywki. Jednak Rodzice unikali domów, w których uprawiano hazardowe gry. Naturalnie ilekroć z racji jakiegoś liczniejszego przyjęcia zjechało się więcej gości, to zawsze w jakimś bocznym saloniku lub gabinecie rozstawiano zielone stoliki dla starszych pan i panów, którzy nie mogąc tańczyć urozmaicali sobie w ten sposób towarzyskie spotkania. Niestety nie można negować, że wśród ziemian zdarzali się i nalogowi karciarze. Znalazłam nie tylko z opowiadania, ale osobiście kilku takich, którzy potrafili przegrać w karty nawet duże fortuny, były to jednak ogólnie potępiane w atki. Najgorsze to, że folgując swej namietności rzucali cieniem na warstwę, którą reprezentowali, zaś pamięć o ich wybrykach trwała znacznie dłużej niż wspomnienie pozytywnych cech ich charakteru.

Decydując się na pisanie moich wspomnień, pragnęłam opisać się na własnych spostrzeżeniach zaczerpniętych z mojego długiego życia, a przedłużonych jeszcze o całe ćwierćwiecze dzięki zapamiętanym opowiadaniom Ojca, dając możliwie wierny obraz życia, warunków egzystencji i tego wszystkiego, co składało się na życie ówczesnego ziemianstwa, czyli jak ich wtedy nazywano „obywateli ziemskich”, to znaczy właścicieli średniej wielkości majątków ziemskich, a zatem dość zamożnych, w każdym razie świadomych swej niezależności materialnej i patrzących względnie spokojnie w przyszłość tak swoją jak i ich dzieci, byli, bowiem przekonani, że tak długo jak tylko będą mieli swój kawałek ziemi, bieda a tym bardziej niedza nie zajrzy im nigdy w oczy. Ojciec mój zawsze powtarzał: „pamiętajcie, że gdyby się wam kiedykolwiek udało wygospodarować jakiś większy grosz, nie lokujcie go nigdy w żadnym banku, lub jakichkolwiek obligacjach, bo jedynie pewna lokata jest ziemia. Tej wam nikt zabrać nie może” - Jakże się mylił. To też nie przestaje Bogu dziękować, że zabrał go z tego świata, zanim ta rzecz, tak w jego pojęciu jak i w podobnie jemu myślących niemożliwa, stała się nieodwracalnym faktem. Bo choć ostatnie cztery lata życia przeżył, jako bezdomny wysiedleńca, to jednak ani przez chwilę nie wątpił, że gdy tylko wojna się skończy wszystko powróci do dawnego stanu, bo przecież ziemia, która była jego niezaprzeczalną własnością, w żadnym wypadku nie może być „dana” komus innemu.

⁶⁷ Działalność kulturalna, która wielu ziemian prowadziła była niemożliwa bez wzajemnych kontaktów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

16. P R A C O W N I C Y F O L W A R C Z N I

Stosunki między dworem, a pracownikami zatrudnionymi w gospodarstwie, układały się do czasu wybuchu I Wojny Światowej, a nawet po jej zakończeniu w sposób raczej patriarchalny. Specjalnych zgrzytów nie było, to znaczy, jeśli dziedzic wypłacał tak zwane „zasługi” uczciwie, podobnie jak ordynarie i wszelkie inne świadczenia, to zyskiwał opinie dobrego i nie miało don specjalnych pretensji. Panowało ogólnie ugruntowane przez wieki przekonanie, tak u chłopów jak i u panów, że świat jest od wieków tak urządzony, że wszędzie i zawsze panowała i panuje nierówność, jedni urodzili się panami, a drudzy chłopami, zatem nie ma i być nie może równości w ogóle. Najważniejsze jest, żeby każdy robił, co do niego należy, to znaczy, żeby pan rządził, a chłop słuchał, a wtedy wszystko będzie w najlepszym porządku. Najważniejsze, aby ów pan rządził dobrze, aby gospodarstwo było dobrze prowadzone, ziemia należycie uprawiana, bo przecież „jak się urodzi, ma pan i złodziej”. Jeśli chodzi o kradzież, to określenie to odnosiło się właściwie tylko do pieniędzy, ewentualnie do rzeczy za nienabytych, takich jak ubranie, domowizna itd. natomiast, jeśli się ukradło z pola, lasu czy z ogrodu, to nie nazywano się to kradzieżą „przeciem nie ukradł, jeno wzionem”, wyglądało na to, jakby w ich mniemaniu wszystko to, o co żyło i rosło za łaską Bożą, było właściwie własnością ogólną, a wobec tego każdy mógł wziąć sobie to, co mu było potrzebne i nikt nie powinien mieć o to do niego pretensji. Tu przypominałam sobie pewną rozmowę Ojca z naszym sąsiadem p. Leonem Sztylterem z Radoszewic. Przechodząc razem z nim przez podwórze zauważyliśmy leżącą na środku ogromną stertę galezi i tzw. dragowizny. Na pytanie Ojca, dlaczego to tam leży p. Sztylter z całym spokojem wyjaśnił: „Czyż Pan prezes nie wie, że każdy chłop wracając wieczorem do domu, powinien zgodnie z utartym zwyczajem cośkolwiek przynieść. Jeżeli wróci z pustymi rekoma, żona nazwie go „niedojdą”, tak, wie pani już nic innego się nie trafia, to trzeba wyrwać choćby sztachetę z plotu. To też ja, świadomy tego zwyczaju, staram się zawsze przywieźć z lasu choćby te jak Pan widzi galezie i tak chłop bez trudu może coś znaleźć do wzięcia, choćby owe parę patyków, żona zadowolona, a ja mam wszystkie ploty w porządku”. Najwięcej pretensji było o opał. Torf, który do tego służył, powinien być jak najsuchszy, co nie zawsze było możliwe, jeśli to trafiło się deszczowe. Wtedy narzekaniom i lamentacjom nie było końca, czemu dziwić się nie trudno, tym bardziej, że przy torfie piekło się i chleb. Lasu nie było, więc o drzewie nie było można nawet marzyć. W tamtych czasach praca zaczynała się i kończyła, tak jak Bóg przykazał, że wschodem i zachodem słońca. Fornale musieli wstawać o dwie godziny wcześniej, aby zdążyć odpasć konie, tak, aby już były najedzone na „dzwonek”, czyli sygnał wzywający do ruszenia w pole. Zasadniczą funkcję dzwonienia pełnił włodarz. On także dzwonił oznajmiając początek i koniec przerwy obiadowej. Pilnowano, aby jej czasem nie skracał; jeśliby to robił, mógł się spodziewać, że podczas „Wencowego” usłyszy przyspiewkę „Włodarzowi kacze jaje, bo południe krótkie daje, plon niesiemy plon”. Owa przerwa obiadowa powinna latem trwać dwie godziny, a w czasie pozostałych pór roku półtorej, śniadanie i podwieczorek półgodzinne zanoszono pracującym z domu w koszyku: pajdę chleba posmarowaną smalcem, a jeśli coś atrakcyjniejszego dodano to świadczyło o tym, że żona dba o męża, względnie jest niedawno poślubiła małżonka i stara się „przypochlebić” swemu panu. Urządzenie dozynek obowiązywało bezwzględnie. Wtedy wszyscy pracownicy z rodzinami, a przede wszystkim dziećmi, dla których to święto plonów było jedną z nielicznych atrakcji, w której mogły, choć tylko w bierny sposób brać udział, zbierali się przed gankiem dworskim, na którym „panstwo” oczekiwali wraz z wszystkimi domownikami i zaproszonymi na te okazje gośćmi nadejścia wesolego korowodu, wysłuchania przyspiewek, adresowanych osobno do jasnie pana, do jasnie pani, służby dworskie, rządcy i włodarzy. Niektóre były pochlebne; porównywano zawsze jasnie panią do kwitnącej róży, a jasnie pana przedstawiano, jako czulego męża siadającego na kolanach pani, aby ją móc serdecznie ucałować. Poza tym z treści tych przyspiewek można było wywnioskować, kto z oficjalistów cieszy się ogólną sympatią, a komu przy okazji chciały śpiewaczki przypięć złośliwą nagane. Każda przyspiewka kończyła się refrenem: „Plon niesiemy plon, jasnie Panstwu w dom, dajby Boże plonowało, - po sto korcy z mendlą dało. Plon niesiemy plon, jasnie Panstwu w dom”. Pięknie wystrojone w kujawskie stroje przodownice, wreczaly chlebobawcom wspaniałą wieniec upleciony z czterech zasadniczych zbóż, przybrany mnóstwem kolorowych wstążek, pozłotkiem i włosami anielskimi. Odpowiednio obdarzone z pięknym dygiem zapraszały Panstwo do tanca, do którego po chwili włączała się reszta zgromadzonych. Jeżeli wśród osób siedzących na ganku zadowolony się panie, wówczas, co śmielsi kawalerowie zapraszali je do tanca, obowiązkowo ocierając przedtem wierzchem dłoni usta i całując wybranke w reke. Zapomniałam dodać, że pani dziedziczka, po przetanczeniu pierwszego kujawiaka z przodownicą, powinna była następną przeznaczyć najstarszemu ze zniwiarzy. Obowiązkowa atrakcją była para parobczaków zebranych za Żyda i Żydóweczkę. Należało do nich rozmieszanie zebranych różnymi sztuczkami i rymowanymi dowcipami. Szczególnie dzieci, jak najpiękniej na te okazje ubrane, oblegaly uciésznych Żydów, oczywiście nam także pozwalano się do nich przyłączyć. Gdy już zmęczony się tancami, szczególnie starsi, coraz częściej spoglądali w stronę zastawionych stertami bułek i necacych porcjami kielbas stolów, nie mówiąc już o licznych butelkach wódki i beczulkach piwa. W końcu dawano hasło do przerwania tanców i zajęcia się poczęstunkiem. Wieczorem zabawa przenosiła się do jakiegoś nadającego się do tanca pomieszczenia, najczęściej do spichrza, gdzie dobra podłoga zapewniała odpowiednie do tanca warunki. Były jeszcze i inne okazje, kiedy to „naród” gromadził się przed dworem, a mianowicie z okazji wesela na tak zwane „dzień dobry”. Wesela trwały w tamtych czasach, co najmniej dwa dni, a czasem i trzy. W każdym razie około południa drugiego dnia, panstwo młodzi wraz z gośćmi weselnymi, przychodzili zaprezentować się chlebobawcom, którzy po złożeniu życzeń szczęścia i pomysłności obdarzali ich odpowiednią sumą „na zagospodarowanie się”. Zdarzało się też niekiedy, że wykorzystywano te okazje do ofiarowania pannie młodej krowy, szczególnie, jeśli młody dziedzic poczuwał się do obowiązku wyrównania krzywdy, której dziewczyna być może padła ofiarą, co uważane było przez ogół, za jak najbardziej słusze i „sprawiedliwe”.

Dziedzic przetanczyc powinien kilka kawalków z panna młoda, natomiast pan młody zapraszał do tanca pania dziedziczkę, co nie było zwykle zbyt przyjemne, zwłaszcza, gdy od młodych załatwiano zwykle niezbyt miło, wypita wódka. Całość urozmaicała para znanych z poprzednio opisanego wiencowego „Zydów”, wreszcie Ojciec donosnym głosem proponował muzykantom zagranie marsza i przy jego dźwiękach, orszak weselny wracał na wies, aby w dalszym ciągu jęść i pisać, no i oczywiście tanczyć. Pragnę też przy tej sposobności przypomnieć zwyczaj, który mało już, kto dziś pamięta - chodzi mi mianowicie o tzw. „zaproszenie”. Odbывало się to w następujący sposób: nazajutrz po ogłoszeniu w kościele zapowiedzi zjawiał się we dworze odświętnie ubrany starszy druhna, w asyście młodszego druhny, trzymając w ręku pięknie przybrany kolorowymi wstawkami bat czterokonny. Wprowadzany był zwykle do jadalnego pokoju, gdzie stojąc wygłaszał długą kwiecistą mowę, uroczystym, niejako obrzędowym tonem, w której zapraszał państwa do wzięcia udziału w mającej nastąpić uroczystości, prosił równocześnie o odpowiednią ilość wozów i koni potrzebnych do zawiezienia orszaku weselnego do kościoła. Nie pamiętam oczywiście słów owego uroczystego zaproszenia, zapamiętałam tylko wezwanie skierowane przez druhnę do druhny: „druhny, druhniczki, podwiążujcie spódniczki”, dalszego ciągu już sobie nie mogę przypomnieć, wiem tylko, że nas dzieci, które z przejęciem asystowały całej ceremonii bardzo te strofy bawily. Całość konczyły zawsze te same zdania: „Nie gniewajcie się państwo na nasze prośnienie, bosmy się nie uczyli w szkole, tylko przy cepa i topole”. Jak zaznaczyłam na początku, mówca obowiązywało wypowiedzenie całej oracji w specjalnym uroczystym tonie. Zwykła intonacja była niedopuszczalna. Wreszcie po zapewnieniu, że otrzymają odpowiednią ilość wozów i koni, życzeniu dobrej zabawy i kieliszku wódki owa delegacja kłaniając się nisko opuszczała pokój krokiem uroczystym, zadowolona ze spełnienia wstępnego obowiązku, jaki na nich ciążył, bo było ich jeszcze wiele, którym my jednak nie asystowaliśmy, zadowolając się ukryciem w żywopłocie, którym od strony dwunastoraka był obsadzony sad, wysłuchiwanie mowy pożegnalnej, która stojąc na odwróconej dnem beczce wygłaszał starszy druhna w imieniu panny młodej, dziękując rodzicom przed wyjazdem do kościoła za wychowanie i opiekę. Wreszcie, gdy już orszak weselny wyruszył z możliwie najgłośniejszym trzaskaniem z batów przez druhnów i wozniców nasłuchiwalismy „krzykani” druhnów towarzyszących pannie młodej do kościoła. Powinno to być robione możliwie najciszej i najgłośniej. Należało to do ich głównych obowiązków. Na szczęście nie było u nas ani w najbliższym sąsiedztwie karczmy, tego głównego źródła demoralizacji i pijanstwa, co było zresztą rzeczą powszechną w zaborze austriackim (propinacja). Ludzie bawili się i oczywiście upijali na tak zwanych „muzykach” tj. swego rodzaju wieczorkach tanecznych, urządzanych od czasu do czasu, szczególnie w zapusty u tego, kto miał większą izbę. Inna okazja dostarczająca mieszkańcom wsi rozrywki, a także możliwości spotkania znajomych, załatwienia niejednego interesu. Oczywiście, gdy chodziło o rzecz poważniejszą, np. sprzedaż lub kupno krowy, zakończony poczęstunkiem w obergery właściwym miejscem był jarmark, po którym wracano do domu często dość chwiejnym krokiem.

My naturalnie na jarmarku czy targu nie jeździliśmy, ale za to z wielkim zaciekawieniem przysłuchiwalismy się opowiadaniom służby, która od czasu do czasu Matka w tym celu zwałniała, jeśli potrzebowali coś poważniejszego kupić. Matka opowiadała mi jak to niania, która zgodziła, gdy urodziła się Nina, gdy zobaczyła, że dziecko spi w łódeczku, a nie w kołysce „kolibce” oświadczyła stanowczo, że ona dziecka „w takim czymś” chować nie będzie i wbrew zakazowi Matki, która uważała, że dzieci powinny sypiać w łódeczku, poszła na jarmark do Izbicy i kupiwszy za własne pieniądze kołyskę, przytąszczyła ją na plecach do domu owe 7 km drogi. Wobec tak nieugiętej postawy niani, Matka, nolens volens musiała się jednak na kołyskę zgodzić. Zresztą reszta mego rodzeństwa także się w niej wychowała. Tak, więc tylko ja spałam w łódeczku. Było z jasnego lipowego drzewa, a gdy spodziewałam się mego pierwszego dziecka, sprowadziłam je do Paniewa, tak więc nie tylko Kazio, ale i Anusia się w nim wychowali.

Wracając do warunków między właścicielami majątków, a pracownikami, tak zwanymi „ludźmi”, to należy sobie zdac sprawę, że bardzo ważną rolę w tej dziedzinie pełniły dziedziczki, które interesowały się zdrowiem, udzielały im rad i dawały leki. Nie zapominajmy, że do najbliższego miasteczka, gdzie ewentualnie mógł być lekarz, najczęściej jedynie felczer, było daleko, zresztą owi medycy nie cieszyli się zbyt wielkim zainteresowaniem okolicznej ludności. W takiej sytuacji życzliwą pomocą była rzecz bardzo cenna. Jeżeli w dodatku zatroszczono się o zorganizowanie nauczania działy wiejskiej lub, co niesłychane było, rzecz raczej rzadka, zorganizowano i utrzymywano ochronkę (taka doskonale prowadzona placówka założyła w Bogusławicach pani Jezierska) to stosunki układały się raczej poprawnie, a czasem były nawet serdeczne i bliskie. Jeżeli chodzi o moich rodziców, to doskonale pamiętam, że jeżeli ktoś chodził o jakieś specjalne względy, czy o darowanie poważniejszego przewinienia, to udawano się zawsze do Matki z prośbą, „aby przemówiła” za pośrednictwem do surowszego niżli ona jasnie pana. To też, gdy Matka umarła zebrani na jej pogrzebie wszyscy mieszkańcy Wiecinina, zgodnie żalowali, że odeszła „prawdziwie dobra pani, która miała serce dla każdego” i to było chyba najcenniejszą pochwałą, na którą zresztą całym swym życiem zasłużyła.

Tu należałoby przypomnieć, że na ogół fornale (najważniejsi pracownicy), jak zresztą większość ludzi zatrudnionych w danym majątku, traktowała go, jako coś niejako wspólnego, to też nigdy nie mówiono inaczej jak „nasze zboże”, „nasze konie” itd. i gdy ktoś chwalił urodzaje, bydło, czy cokolwiek, co składało się na całość gospodarstwa, to czuli się niejako dumni i zadowoleni. Gdy przenosili się do innego majątku to zawsze starali się znaleźć pracę tam, gdzie dobrze gospodarowano, uważając, że pewna część splendoru takiego majątku także i na nich spada.

To, że stosunki między dworami a pracownikami układały się raczej „sielsko anielsko”, należałoby przypisywać przede wszystkim jak już uprzednio podkreślałam, konserwatywnemu nastawieniu tak jednej jak i drugiej strony, względnej zamozności panującej w tej części kraju, a przede wszystkim temu, że nie dotarła tam jeszcze agitacja socjalistyczna i nie pojawili się jeszcze ci, co jątrzyli i podsycali pretensje pracujących, zresztą przynajmniej, że w wielu wypadkach słuszne, wyolbrzymiając równocześnie winy i ewentualne złe traktowanie i krzywdzenia „świata pracy”⁶⁸.

⁶⁸ Zresztą zastanówmy się, jakie były efekty tzw. reformy rolnej 1944/45, która zlikwidowała ziemianstwo i miała rozwiązać „kwestię rolną”. Po 45 latach komunizmu i intensywnym subwencjonowaniu rolnictwa, (w jakim stopniu komunistycy subwencjonowali rolnictwo przekonano się, gdy po ich upadku polska wieś przeżyła znacznie większy kryzys niż inne galezie gospodarki) i po prawie 10 latach rozwoju postkomunistycznego, jeszcze dzisiaj (1998), prawie 27 % ludności zamieszkującej na wsi wytwarza jedynie około 5% krajowego PNB. Natomiast w Niemczech, których strukturę rolną można było porównać do Poznańskiego i Pomorza nastąpił rozwój. Powazny błąd popełniają ci, którzy mechanicznie porównują warunki przedwojenne (1939) do obecnych. Wszystko się rozwija, a i w Niemczech stosunki na wsi w 1939 r. różniły się bardzo od obecnych. Ale jak tu można było dyskutować np. z kardynałem Wyszyńskim, który pisał, „ze ustrój taki, jaki był ostać się nie mógł”, a dlaczego? Na Zachodzie „ostał się” ze znakomitym wynikiem. W Polsce natomiast zmiana pogłębiła jeszcze istniejący niezadowolający stan rzeczy. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

17. Z Y C I E R E L I G I J N E

Podobnie także i dawne podejście do spraw związanych z religią zaczęło ulegać zmianie. Wszystkie te nowe prądy przenikały powoli na wieś, było, więc rzeczą naturalną, że także przynajmniej część inteligencji żyjącej na prowincji, a więc przede wszystkim ziemianie zarzucili się zataczającym coraz szersze kregi indyferentyzmem religijnym⁶⁹. Religia stawała się coraz mniej potrzebna duchu, a stawała się czymś, co obowiązywało raczej zewnętrznie, tak zwanego przyzwoitego człowieka i do tego stojącego na świeczniku, a zatem zobowiązanego do świecenia dobrym przykładem „narodowi”. Jeśli chodzi o postawę religijną moich Rodziców, to Ojciec (BKD 51), który wychowywał się w Warszawie, w czasie, kiedy się budził i dość szybko zataczał coraz szersze kregi wśród inteligencji pozytywizm, był tak jak większość jego rówieśników pod jego wpływem. To też jego stosunek do religii pokrywał się z tym, co powyżej napisałam na ten temat. Z czasem pod wpływem żony⁷⁰ zaczął zmieniać powoli swoje nastawienie do tych spraw ale mimo to pamiętam jak mówił: „Nie mam zamiaru brać udziału w jakichkolwiek dyskusjach na tematy religijne, ani też w nie się zagłębiać, gdyż obawiam się, że mógłbym wtedy całkowicie stracić wiarę, a tego nie chcę”. Natomiast matka, (BKD 50), jako kobieta a przy tym cła wyjątkowo pobożnej osoby, jaka była babka (BKD 47), miała zwyższy stosunek do Boga i Jego spraw, szczególnie później, podczas wojny, słysząc i widząc jej straszne skutki, a przy tym będąc pod wpływem ciotki Anny (BKD 49), która po przebytej niedawno tragedii osobistej i rodzinnej, która sama się w dowodowała, postanowiła resztę życia poświęcić na odpokutowanie swoich win⁷¹. Była jak już poprzednio pisałam kobietą bezkompromisową, raczej krancowa, to też teraz popadła w rodzaj bigoterii. Matka, która ja zawsze bardzo kochała i zawsze była pod jej przemożnym wpływem, zaczęła pogłębiać swój stosunek do Boga⁷². Stawała się coraz bardziej chrześcijańska z ducha i czynu, a nie tylko formalna córka Kościoła. Zanim jednak do tego doszło, w domu naszym życie religijne było zwyższym tępem, niż w domach naszych sąsiadów. Ponieważ do kościoła było daleko, jeździliśmy przeważnie do Izbicy, bo tam można było przy tej okazji załatwić różne sprawunki; dokąd tak jak i do Brdowa, gdzie była nasza parafia, było 7 km, więc oczywiście trzeba było jechać koniami, a że Ojciec przeznaczał na ten cel w każdą niedzielę czy święto jeden ekwipaż, oczywiście taki, w którym mogło się pomieścić jak najwięcej osób, więc tzw. „budka” kryty pojazd, znacznie lepszy od karety, to też część osób pozostawała w domu i nie mogła uczestniczyć w Mszy św. Dla nich to urządzano się przed domowym ołtarzykiem niedzielna modlitwa, odczytywało się przypadająca na ten dzień Ewangelia św. Podobnie działo się w czasie Wielkiego Postu. Wszyscy domownicy⁷³, a także służba schodzili się, aby przed ołtarzykiem, na którym stawiano duży, piękny herbaciany krzyż z artystycznie wyrzeźbioną w kości słoniowej postacią Chrystusa. Krzyż jak tylko pamięć sięgam wisiał u Ojca nad łóżkiem. Gdy w 1945 roku wybrałam się do Wicininia, jednym z głównych powodów, dla których mimo przeróżnych trudności to zrobiłam, było pragnienie odszukania owego krzyża. Niestety już go nie było. Podobno skradła go pokojówka. Nabożeństwu wielkopostnemu zawsze przewodniczyła Matka, a w razie jej nieobecności, szczególnie, gdy podrosłam często ja zastępowałam. Odmawialiśmy litanie o Mece Panskiej, śpiewaliśmy pieśni wielkopostne itp. Ojciec bezpośrednio nigdy nie uczestniczył w tych nabożeństwach. Wlazał się w nie kłęcząc w sąsiednim pokoju. Ponieważ nie można było zbyt często jeździć na nabożeństwa majowe, więc wolno nam było pójść wieczorami pod krzyż, gdzie zbierała się cała młodzież wiejska, aby śpiewać litanie do Matki Boskiej i najrozmaitsze pieśni maryjne. Później, gdy Rodzice postawili na drugą stronę zabudowan gospodarskich piękna figurę Matki Najświętszej i gdzie z czasem na zmianę z poprzednim miejscem, gdzie w tym czasie odbywały się owe majowe nabożeństwa, tutaj zaczęto się schodzić, Matka powierzyła nam troskę o okalającą figurę krzewy i rośliny, a także przystrojanie figury przyniesionymi z ogrodu kwiatami. Jeśli zaś chodzi o owiązujące każdego wiernego praktyki religijne, taki jak np. spowiedź wielkanocna, to po uzgodnieniu z proboszczem odpowiedniej daty wszyscy pracownicy byli zwalniani z codziennych obowiązków, aby zadoskuczynić temu obowiązkowi każdego przykazaniu kościelnemu. Rodzice ustawiając w ten sposób swoje obowiązki religijne, mieli pod tym względem spokojne sumienie. Byli przekonani, że postępują i żyją zgodnie z przykazaniem Bożymi. Dopiero później, kiedy wojna i jej następstwa przeorały dusze ludzkie i zmusiły do większego samokrytycyzmu, najpierw matka,

⁶⁹ Oczywiście moja Matka osoba o niekwestionowanej sylwetce moralnej i społecznej, a przy tym głęboko wierząca uległa w tym miejscu propagandzie Kościoła, starającej się wmówić, że większość nieszczęśliwych spadłych na Polskę ma swe źródło w zaniku „religijności” społeczeństwa. O co właściwie chodzi? Chodzi o materialny i cywilizacyjny poziom życia ludności, który przez lata panowania komunizmu cofnął się o około 50 lat. Kościół, którego hasła społeczne pokrywają się w znacznym stopniu z komunistycznymi popierał od początku budowę tego ustroju, co opisał i uzasadnił kardynał Wyszyński, a następnie on sam bronił jego interesów, co z kolei opisał Kazimierz Kakol. Kościół jest, więc współwinni z komunizmem za zaistniałą sytuację i wiele innych popełnionych błędów, powinien być tego przynajmniej milczeć. Nigdy w żadnym z krajów, w którym Kościół katolicki, miał względnie małe przeważające wpływy nie wybudowano ani do obywateli ani do demokracji. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷⁰ Jakże Babka, która nie miała zainteresowań intelektualnych mogła przekonać Dziadka, który był, bądź, co bądź człowiekiem wykształconym. Wydaje mi się, że wielu mężów takich wypadkach ulegało żonom dla świętego spokoju. Poza tym presja Kościoła i środowiska w tym kierunku była w Polsce tak wielka, że trzeba było niezwykłego hartu ducha i znajomości odpowiedniej literatury, (na co wielu nie miało czasu), aby reprezentować nie tylko ateistyczne, ale choćby tolerancyjne stanowisko. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷¹ Zamiast rzeczywiście „pokutować”, zatruwała beznamiętnie jadłem religijny umysł, wprowadzając historyczną atmosferę. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷² A więc nie były to jakieś studia czy rozważania nad religią, tylko frazesy, uczucia, ekstaza i klepanie paciery. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷³ Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś z domowników mógł odmówić udziału w tych „dobrowolnych” modlitwach. Presja katolicyzmu w kregach prywatnych w Polsce była tak wielka, że odczuwałem ją, jako nieprzebraną nawet w czasach komunistycznych. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

później Ojciec przemysleli na nowo i spojrzeli krytycznie na wiele spraw, a także na własne nastawienie do zagadnień religijnych i społecznych i zrozumieli, że jednak wiel rzeczy w tamtym świecie, który powoli mijal i w którym upłynęła większa część ich życia, nie były idealne i że już dawno wcześniej należało zabrać się do prowadzenia wielu zmian i reform⁷⁴ tak w mentalności ludzkiej jak i w postępowaniu wielu, którzy w swym mniemaniu mieli wszystkie dane i wartości dające im prawo do kierowania i rządzenia krajem. Ten brak samokrytycyzmu i umiejętności wyciągnięcia odpowiednich wniosków ze zmieniającej się gwałtem sytuacji doprowadziło do nieodwracalnych zmian w mentalności wszystkich i w konsekwencji do całkowitego przewrotu nie tylko w sposobie myślenia, ale i w normach kierujących życiem, do odrzucenia raz na zawsze istotnych i cennych wartości przechowywanych i na ogół praktykowanych w środowisku ziemskim.

Nasz kościół parafialny w Brdowie był jak na tak stosu – owo niewielka parafia duży z wysoka wieża, przypominająca czeszcuchowska, co było zrozumiałe, gdyż osadzono tu już dawno temu OO. Paulinów. Cudowny obraz w głównym ołtarzu, był otoczony wielką czcią, odsłaniano go tylko na czas Mszy świętej. Obraz ten rzeczywiście bardzo piękny w stylu bizantyjskim miał być jakoby ofiarowany przez króla Władysława Jagiellonczyka, a niektóre ornaty były wyszywane złotymi niciami i ozdobione drogocennymi kamieniami i perłami, darami możnych panów czczących cwałną Matkę Boską Brdowską. Wiele wotyw widniało na purpurowym adamaszkowym tle, którego centralnym punktem była Madonna trzymająca dzieciątko w ramionach. Do Czeszcuchy było daleko. Nie każdy zdobywał się na wzięcie udziału w organizowanych corocznie pielgrzymkach na Jasną Górę, w zamian za to w dniu najszczytniejszej świętej Matki Boskiej Czeszcuchowskiej, a więc dnia 26-ego sierpnia, odbywał się 8-ego września wielki odpust, który gromadził rzesze wiernych nawet z odległych parafii dających licznymi kompaniami z księżmi, chorągwiemi i feretronami, uczestniczyć w uroczystych nabożeństwach. W tym dniu odwiedzano również korzystając z okazji krewniaków, tak, że nawet ci, którzy na cały rok wyjeżdżali „na Saksy”, czyli na zarobek do Niemiec, starali się na ten właśnie dzień uzyskać zwolnienie z pracy, aby móc odwiedzić swych najbliższych. Kościół był zapewne jak większość naszych świątyn wielokrotnie przebudowywany, tak, że zatracił swój pierwotny kształt. Świadcza o tym odkryte niedawno fragmenty starego muru prezbiterium, a także odsłonięte artystyczne malowidła ściennie, nie wiadomo, kiedy starannie zamalowane. Jedynie budynek klasztorny, który po kasacie wszystkich, istniejących na terenie Kongresówki zakonów i wymarcu pozostałych tamże zakonników, został wykorzystany, jako plebania i mieszkanie dla służby kościelnej. Budynek ten, choć obszerny był jak wszystkie w owych czasach tego rodzaju budowle ciemny i wilgotny, co oczywiście przyczyniało się do butwienia przechowywanych tam owych pięknych ornatów, o który przed chwilą pisałam. Gdy chyba w roku 1957-ym pojechałam do Brdowa na groby mej Matki i dziadków Bartoszewiczów, dowiedziałam się, że Niemcy wkrótce po wkroczeniu do Polski znalazł się w Brdowie, kazali powynosić na dziedziniec otaczający kościół wszystkie paramenty kościelne: chorągwie, niektóre bardzo ładne i oczywiście wszystkie cenne wolumina bardzo starej klasztornej biblioteki, która mimo kasaty klasztoru jakos szczęśliwie ocalała. Nie mogę sobie darować, że w swoim czasie nie zainteresowałam się bliżej ową biblioteką i nie przyjrzałam się dokładnie pięknym starym ornamentom. Ilez to dowodów naszej starej kultury zostało w tamtych tragicznych latach na zawsze zaprzepaszczonych przez owych „Kulturträgerów”⁷⁵. Nie tylko kościół był ładny, ale jego usytuowanie wyjątkowo korzystne, był, bowiem od zachodniej strony obłany długim czterokilometrowym jeziorem, właśnie najszerszym tutaj, naprzeciwko kościoła, a widoczna ze znacznej odległości wysoka biała wieża, była punktem orientacji zagubionych wędrowców. Przypominam sobie jak pewnego razu Ojciec uśmiechając się opowiadał, że wybrałszy się na dłuższy spacer z wujem Kazimierzem (BKD 48) Damskim stracił orientację i na zapytanie skierowane do swego warzysza: „Kaziu, gdzie my to właściwie jesteśmy?” taką otrzymał odpowiedź: „czekaj, czekaj, zaraz się rozejrzę; idziemy prosto w kierunku na wieżę kościoła w Brdowie”, a po chwili „o to nietrudno, bo wieżę tę widac z każdego miejsca w obrębie kilkunastu kilometrów”. Nie przypominam sobie, kiedy umarł, wieloletni proboszcz parafii brdowskiej ks. Gniazdowski, który zresztą chrzczył nas wszystkich. Na jego miejsce przysłał ks. Jaroskiński, kapłana bardzo gorliwego pobożnego, do tego rozmówianego w poezji, szczególnie patriotycznej. Nie było kazania, w którymby nie przytaczał wierszy naszych poetów mówiących o miłości ojczyzny. Dawał temu wyraz przy każdej nadarzącej się ku temu sposobności. Wypadło to szczególnie uroczystość w roku 1916-ym, kiedy wojska rosyjskie opuściły Polskę i nie było nikogo, kto by zabraniał obchodzenia w uroczysty sposób rocznic powstania narodowych⁷⁶. Do zmanifestowania uczuć patriotycznych dała impuls znajdującą się na cmentarzu w Brdowie ogromna mogiła kryjąca prochy 60-ciu powstanców, którzy poległi w 1863 r. w bitwie stoczonyj w okolicach Brdowa.

⁷⁴ Wydaje mi się, że myśli te przypisywane Dziadkom powstały w głowie Matki, pod wpływem propagandy kościelnej, dopiero po II Wojnie Światowej. Przekonanie o konieczności reform było tak wielkie, że aby usunąć możliwy konflikt sumienia przy rozległej nacjonalizacji mienia koniecznej przy budowie komunizmu Kościół w Polsce zawiesił działanie swego i dziesiątego przykazania dekalogu. Wynikający z tego lekceważący stosunek do cudzej własności pokutuje w Polsce do dzisiaj. Np. rozległe fałszerstwa i oszustwa celne księży przy imporcie samochodów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷⁵ Nie należy zapominać, że po wojnie Polacy przy okazji tzw. „reformy rolnej” 1944/45 r. i innych współczesnych wydarzeń zniszczyli bądź bezmyślnie, bądź złośliwie znacznie więcej niż Niemcy, tym razem swoich własnych polskich dóbr kulturalnych. Niemcy niszczyli tym wypadku tylko dobra kulturalne wroga. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷⁶ Po pierwsze wojska rosyjskie nie „opuściły” Polski tylko zostały przegrane przez Niemców, którzy XX w. dwa razy spowodowali „opuszczenie” Polski przez Rosjan, bo Polacy sami nie zdołaliby tego zrobić. Po drugie Niemcy byłiby w stanie zabronić Polakom obchodzenia rocznic patriotycznych tak samo jak to robili Rosjanie, a nawet bardziej skutecznie, ale prowadzili oni wtedy w stosunku do Polaków wyjątkowo tolerancyjną politykę. Tak fałszuje, względnie nagina się historii. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Poległ tam wówczas również dowodzący oddziałem oficer ochodzenia francuskiego, Jung von Blankenheim⁷⁷. Postawiono mu poblizu owej mogily murowany nagrobek. Tak mogila jak i ów nagrobek, choc wiedziano, kto zostal tu pochowany byla ogromnie zaniedbana, porosnieta chwastami, a nawet dosc juz rozrosnietymi krzewami. Ks. Jarosinski postaral sie o jej uporządkowanie. Wystawiono na niej zy drewniany krzyz i tabliczke z odpowiednim napisem. Zapowiedziano uroczyste nabozenstwo za dusze powstanców, by po nim w uroczystej procesji z choragwiami udac sie na cmentarz, gdzie przy spiewach patriotycznych piesni mialo nastapic poswiecenie wspomnianego przed chwila krzyza. Aby uswietnic ta niezwykla uroczystosc, do obchodu wlaczył sie p. Henryk Slubicki z rzyzna (wies ta i jej najblizsza okolica nalezaly jeszcze wówczas do parafii brdowskiej, dopier późnij zostala erygowana parafia w Babiaku) z niedawno powstalym oddziałem ochotniczej strazy pozamej. Jako czlowiek zamożny, mógł sobie pozwolic nie tylko na zbudowanie w nowo powstalej parafii kosciola, a takze na poniesienie dosc znacznych zreszta kosztów związanych z umundurowaniem strazaków, zakupem sprzetu przeciwpozarowego, do tego undował wcale dobra orkiestre, która zaopatrzyl we wspaniale instrumenty muzyczne. Trzeba bylo miec odpowiednio wye powany wóz i zapewnic dostarczenia w razie alarmu czwórki silnych i smiglych koni. Dzieki stalej trosce o własci nienie obowiazków spoczywajacych na tego rodzaju organizacji, Straz Ochotnicza z Babiaka zdobyła pierwsza lokate na renie calego powiatu. Dzieki temu zostalo uratowanych wiele zagród i domostw zagrozonych przez czeste wówczas poza Sam komendant, czlowiek juz starszy, przy tym ogromniej tuszy, wspaniale wygladal w paradnym mundurze strazackim i blyszczacym helmie, kiedy z duma i zrozumiala satysfakcja spogladal na „swoich strazaków”. Wracajac do wspomnien związanych z wyzej opisana uroczystoscia, przypominam sobie jak podziwiano usmiechnietego dobrodusznie komendanta, lustrujacego z dobrze uzasadniona duma pieknie udekorowany wóz strazacki, a na nim dmaca z zapalem w blyszczace instrumenty orkiestre i dziarskich strazaków. Widok ten bud ogólny podziw, szczególnie wśród rozentuzjasmowanej mlodziezy, która odtad marzyla o tym, aby zostac strazakami i móc paradowac w tak wspanialych mundurach. Uroczystosc ta a poczatek corocznemu zwyczajowi nabozenstwa za dusze spoczywajacych na cmentarzu powstanców, zakonzonego odwiedzeniem ich mogily. Dzieci szkolne byly zobowiazane do utrzymywania jej w nalezytym porzadku i obsadzania kwiatami i kwiatami. Ks. Jarosinski nie tylko kochal poezje, ale potrafil wykorzystac kazda sposobnosc, aby stworzyc piekna opra e do kazdej uroczystosci religijnej. Jeszcze dzis, gdy nadchodzi dzien Bozego Ciala wspominam z rozrzewnieniem prowadzone przez niego procesje. Brdów to mala osada otoczona z jednej strony wspomnianym przed chwila jeziorem - dookola ciagna sie pola zaczynajacego juz o tej porze dojrzewac zboza, a wśród tych pól waska droga, posuwal sie powoli tłum ozpiewanych parafian niosacych barwne choragwie, feretrony i obrazy. Na przedzie szedl powoli proboszcz unoszac w góre piekna pozlocista monstrancje. Wydawalo sie patrzacym, jakby sama plynela wśród zlocacych sie pól, a utajony w niej Chrystus bogoslalil wszystkim i wszystkim. Po ostatniej wojnie oddano parafie w Brdowie OO. Paulinom. Bedac tam przed kilku laty zastalam kilku zakonników - kosciól byl dziwnie pusty; nie zdolano uzupelnic i naprawic szkód, jakie Niemcy t poczynili, braklo tez lawek, choc z przyjemnoscia zobaczylam, ze jakos uchowala sie ogromna debowa lawka, która Matka⁷⁸ zamówila u bardzo dobrego stolarza z Kola, p. Rydzewskiego. Ten, jako prawdziwy artysta przed rozpoczeciem pracy z wil sie w Brdowie, aby sie przekonac, jaka powinna byc lawka, która by harmonizowala z caloscia swiatyni. Praca sie ala, a gdy ja ustawiono w poblizu oltarza, stanowila ozdobe prezbiterium.

⁷⁷ Typowe ciagoty endeckie, przypisujace czlowiekowi noszacemu nazwisko i imie typowo germanskie, pochodzenia „francuskiego”, jakby nie istnialo wielu powstanców polskich pochodzenia niemieckiego. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁷⁸ Teraz, kiedy „zlikwidowano” ziemian, dalsze lawki zostana niewatpliwie ufundowane przez chlopów, którzy wg kardynala Glempa w ramach „festiwalu wolnosc” zostali obdarowani „ziemia obszarowa”. Nowe instrumenty dla orkiestry strazy pozarnej zostana zakupione z dochodów za „wódke strazacka”, jak to uchwalil na wniosek premiera Waldemara Pawlaka, jeden ze swobodnie wybranych Sejmów postsolidarnosciowych. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



53. Mogiła z prochami Karola Libelta i powstanców z 1863 r. na cmentarzu w Brdowie.



54. Tablica na grobie plk. Junga v. Blankenheim na cmentarzu w Brdowie.

18. WYBUCH I WOJNY ŚWIATOWEJ

Zbliżało się lato poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej. Ci, którzy śledzili wszystko, co działo się w polityce, szczególnie po wydarzeniach w Sarajewie zaczęli przypuszczać, że temu wszystkiemu położy kres jakaś ogólna rozprawa, która niezawodnie zakończyć się musi zmianami w układzie sił politycznych Europy, co w rezultacie sprawi, że Polska uzyska niezależny byt i wróci na mapy świata. Nim jednak to nastąpiło koncem 1918 r., I Wojna Światowa przynajmniej w pierwszych latach jej trwania nie wniosła specjalnie farysujących zmian w dotychczasowych stosunkach i życiu ziemianstwa. Płynęło ono nadal ustalonym od dawna trybem, mimo trudności spowodowanych zmianami politycznymi i kłopotami aprowizacyjnymi. Powoli jednak ludzie zaczęli sobie zdawać sprawę, że na skutek olbrzymiego wstrząsu, jakie przeżywa cała Europa, musza siła rzeczy nastąpić zmiany w układach sił społecznych i że świat, który się wyłoni z odmetów wojny, nie będzie już taki sam, jak ten, który odchodzi.

Wróćmy jednak do tego, co działo się w Wiercininie owego pamiętnego sierpnia, 1914 r. Jakos w lipcu Matka (BKD 50) od pewnego czasu niedomagająca, zapadła, więc decyzją, że pojedzie na kurację do Kudowy. Cieszyła się na ten wyjazd, gdyż wybierali się tam również w tym czasie wujostwo Henrykowie Mittelstaedtowie (BKM 85 i 258) z Luszczewa i obie jej siostry, ciotka Janina (BKD 622) Trzebińska i Józefa (BKD 57) Suchorska. Mnie, jako najstarszej z dzieci Matka powierzyła dopilnowanie kuracji Janusza (BKD 500) (był jeszcze wtedy stale pod opieką lekarską). Byłam bardzo dumna, że miała do mnie takie zaufanie. Pamiętam, że jeszcze po wielu latach pokazywała mi otrzymywane przez nią listy z relacjami o stanie zdrowia mego brata. Pewnego dnia zdaje się, że to był środy czwartek lipca, zaalarmowała wszystkich wiadomością, że zarządzono mobilizację w całym państwie. Przed chwilą pomniałam, że dorośli interesujący się polityką przewidywali możliwy wybuch wojny, jednak my dzieci, a nawet ja mimo mej pewnej dorosłości, nie interesowaliśmy się polityką. Dopiero wiadomość o mobilizacji, potem powołanie do wojska kuzyna oraz kilku pracowników, wywołała pewien szok. Ojciec zaczął się niepokoić, czy Matka nie będzie miała trudności z powrotem do domu, gdyby wojna wybuchła. Pocięczał się, że w Kudowie nie jest sama i że na pewno równie przyjdzie jej z pomocą. Wtem dowiadujemy się, że wojna została wypowiedziana przez Niemcy państwu Ententy, a równocześnie poczta pantoflowa, jedyna, jaka od kilku dni funkcjonowała dzięki Żydom, którzy stale krecili się po kraju i mieli bardzo dobrze zorganizowane powiązania handlowe i rodzinne, wojska niemieckie przekroczyły granice w pobliżu Kalisza, który zbombardowali, a potem podpalił i że ludność całkowicie zaskoczona i przerażona rozszerzającym się ogniem została wszystko i ucieka wszelkimi dostępnymi środkami lokomocji, a nawet pieszo, ciągnąc na wózkach resztki ocalałego dobytku, no i oczywiście dzieci, chorych i starców. Początkowo nie dawano wiary tym nieprawdopodobnym wieściom, aż dopiero kiedy i do nas, mimo przecież znacznej odległości, zaczęli docierać nieszczęśliwi uchodźcy, opowiadając o tym, czego byli naoczni świadkami uwierzyliśmy w to, co do nas dochodziło owa pantoflowa poczta. To nie były bajki, ale niestety tragiczna prawda. W każdym razie Niemcy osiągnęli zamierzony cel, rzucili postrach na wszystkich, a szczególnie na ludność mieszkającą w pobliżu granicy. Wkrótce i u nas pojawili się żołnierze w groźnych pickelhaubach. Błady strach padł na wszystkich. Sytuację ratowało to, że Ojciec mówił doskonale po niemiecku i dzięki temu dawał sobie lepiej z Niemcami radę, niżli wszyscy nieznający tego języka. Komenderujący oddziałem oficer zażądał, aby jak najprędzej dostarczone mu dobrze utuczone i należycie sprawione tuczniki. Zwykle funkcje sprawiania przeznaczonych na zabicie tuczników pełnił kowal. Robił to zawsze wyjątkowo marudnie. Tym razem jednak całe zadanie zostało wykonane w sposób błyskawiczny. Nikt nie wyobrażał sobie, że ów maruda potrafi zdobyć się na takie tempo. Co to strach może! Kilku żołnierzy weszło do kuchni, gdzie zgromadziła się przerażona służba, do której i my przyłączyliśmy się. Pamiętam jak na widok, zresztą w bunczucznie błyszczących Pickelhaubach wyglądających żołnierzy, wspomniana poprzednio starowina ogólnie ciotka padła na kolana wołając w największym przerażeniu. „Cysarzu nie zabijaj mnie”.

Od Matki ciągle nie mieliśmy wiadomości, aż dopiero w pierwszych dniach września wróciła cała i zdrowa via Chytrówo i Luszczewo do domu. Tymczasem mijal tydzień za tygodniem, a zapowiedzianego przez Kaisera błyskawicznego końca wojny nie można się było doczekać. Ofensywa niemiecka została zatrzymana. Rosjanie odnosili zwycięstwa tak na północnym jak i na południowym froncie. Sytuacja polityczna komplikowała się i gmatwała coraz bardziej i trzeba było przygotować się na to, że wojna nie skończy się tak szybko jak wszyscy tego pragnęli. Trzeba było zadowalać się pocztą pantoflową. Wiadomości dzięki niej otrzymywane, rzadko pokrywały się z komunikatami ukazującymi się w oficjalnej prasie, stale głoszącej, że niemieckie wojska zwyciężają na wszystkich frontach. Ojciec zdecydował się pojechać do Poznania do dr Stasińskiego, aby próbować raz jeszcze ratować coraz to pogarszający się stan oczu. Oczywiście Matka musiała mu towarzyszyć, a nawet i mnie zabrali, aby zasięgnąć porady okulisty. Rodzice chcieli przy tej okazji odwiedzić wujostwa Trzebińskich (BKD 622 i 623), z którymi od dawna nie mieli kontaktu. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyliśmy na własne oczy tragiczne zniwo wojny. Czekając na nadejście pociągu, staliśmy na peronie, z którego właśnie odchodził pociąg, wiozący nowe zastępy, już teraz nie tak bunczucznie, jak na początku wojny wyglądających żołnierzy, raczej minorowo nastrojonych młodych na front francuski. Aby im dodać ducha, orkiestra wojskowa wygrywała skoczne melodie, a w przerwach jakiś wysokiej rangi wojskowy wygłaszał płomienne mowy, mające na celu podtrzymanie wiary w niezawodne zwycięstwo naszej, bohaterkiej armii, a żony i matki odjeżdżających bohaterów obdarzały ich uśmiechami i wiankami kwiatów, choć na pewno pełne były niepokojów i niejedna z nich ukrywała łzy żegnając młodszych braci tych, których już nigdy nie miały powitać. A tymczasem na drugiej stronie dworca stał długi pociąg, z którego wyladowywano przywiezionych z pod Verdun rannych żołnierzy. Wielu z nich nie miało rąk lub nóg, a niektórzy byli tylko tragicznymi kadłubami. Lekarze i pielęgniarki uwijały się dookoła tych ofiar wojny.

Widok był wstrzasający szczególnie w zestawieniu z tamtym stojącym na drugim peronie pociągiem. A tymczasem powoli zaczęły dochodzić wieści o formujących się w Galicji Legionach. Pobudzały one wyobraźnię, a przywożone od czasu do czasu piosenki legionowe śpiewali prawie wszyscy z zapalem, szczególnie młodzież entuzjastycznie się każdą nowością nie rozstawała się z ulubionym: „O mój rozmarynie rozwijaj się”, albo „Komendancie miły wodzu mój”. Ojciec, jako zagorzały endek, niezbyt entuzjastycznie się tym, co działo się w Krakowie, nie wierzył, aby akcja zainicjowana przez Piłsudskiego - socjalistę mogła w jakikolwiek sposób przyczynić się do odzyskania niepodległości. Bo że taka chwila zbliża się nieuchronnie, wszyscy bez wyjątku Polacy nie wątpili. Oczywiście były najróżniejsze koncepcje i domysły odnośnie tego, w jaki sposób do tego dojdzie, ale wiara w zwycięstwo i odwagę była powszechna. Wreszcie nadeszła wieść zupełnie nieprawdopodobna, w którą przez dłuższy czas nikt nie chciał uwierzyć. W Rosji wybuchła rewolucja i obaliła cara Mikołaja II. Szczególnie chłopcy jeszcze długo po tym, gdy już powszechnie wiadomym było, że te niezwykle wiadomości były prawdziwe, absolutnie nie dopuszczali możliwości upadku caratu⁷⁹. Czuli się z nim związani i byli wdzięczni za zniesienie poddaństwa. Wszak nie, kto inny jak car Batiuszka obdarzył ich wolnością, a nawet starsi pamiętali czasy poddaństwa, to też bali się, że gdyby może te nieprawdopodobne wieści mogły być prawdą to znów stana się gleba adscripti⁸⁰. Jeszcze przez długi czas, kiedy to nie tylko carska Rosja przestała istnieć, a car i jego rodzina została wymordowana, nie chcieli wierzyć, że jest to możliwe.

⁷⁹ Widac tu tradycyjną wśród chłopów sympatię do Rosjan, oraz fakt, że wyżej cenił swe interesy klasowe niż niepodległość Polski. Mało było takich jak Adam Bien, którzy wiedzieli, że ściśle rzecz biorąc, poddaństwo zostało zniesione dekretem Rządu Powstania Styczniowego, który jednak po pierwsze nie posiadał siły, żeby ten dekret wprowadzić w życie, a po drugie, chłopcy nie wierzyli, żeby panowie do tego dopuścili. Według nich przeprowadzić coś takiego mógł tylko wróg panów, a tym byli zaborcy. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁸⁰ Przypisani do ziemi. Prawo na podstawie, którego szlachcic, sprzedawał swój majątek łącznie z zamieszkałymi tam chłopami pańszczyźnianymi. Wg Witosa podobne obawy odnośnie niepodległej Polski żywił w 1918 r. także chłopcy w Galicji. Nota bene za czasów komunistycznych np. w Czechosłowacji zmiana miejsca pracy była możliwa tylko za zgodą np. dyrekcji danej fabryki, nie mówiąc już o emigracji zarobkowej. W chwili obecnej już w roku 2001 przy sprzedawaniu fabryk (na Zachodzie) sprzedaje się je razem z maszynami i pracownikami, względnie pracownicy domagają się tego, aby nowi właściciele ich przejęli i nie zwalniali. Przy podziale fabryk nowi właściciele zawierają tajne prawnie zabronione umowy zabraniające przejmowania pracowników. A więc pomimo całego postępu społecznego w świecie nic się nie zmieniło, metody pozostały w zasadzie te same tylko teraz nie ma „znienawidzonych” ziemian (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

19. EDUKACJA W WIECININIE

Ale wróćmy do roku 1915-go, kiedy to zaczęto tracić nadzieję, że wojna szybko się skończy, to też możliwość projektowanego umieszczenia Niny (BKD 498) i mnie (BKD 52) w zakładzie SS. Niepokalanek w Szymanowie, trzeba będzie odłożyć na czas dłuższy, wobec czego nie pozostawało nic innego, jak postaranie się o odpowiednią nauczycielkę. Znaleźć taką można było tylko w Warszawie, to też Matka, (BKD 52) wybrała się tam w tym celu, oczywiście koniami, bo przecież innej możliwości wówczas nie było. Towarzyszył jej wuj Rajmund (BKD 102) Dąbski. Udało im się bez większych przygód dojechać do celu, a pomocą była doskonała znajomość języka niemieckiego obojga podróżnych. Po usilnych staraniach, Matka znalazła odpowiednią nauczycielkę, która podjęła się nauczania nie tylko nas obu, ale także i Janusza, (BKD 500). Znała dobrze francuski i trochę niemiecki, poza tym nie grała na fortepianie, co było rzeczą ważną, gdyż rodzice życzyli sobie abym przynajmniej ja potrafiła trochę grać na tym instrumencie. Panna Zofia Gay wykazała przy tym dużą odwagę, nie bojąc się wyruszyć tak daleko koniami i to w tak niespokojnym czasie. Spędziła w Wiecininie 2 lata, bardzo się z nami zżyła, a po powrocie do Warszawy utrzymywała z nami stały kontakt listowy. Widocznie dobrze nas wspominała, skoro będąc w 1949 roku na Wybrzeżu, dowiedziawszy się przypadkiem, że mieszkamy w Malborku, przyjechała nas odwiedzić. Osobiście dużo jej zawdzięczam, starała się poszerzyć moje zainteresowania, szczególnie literaturą francuską. Dzięki niej poznałam najważniejsze arcydzieła, a także geografie, do której zawsze miałam dużą predylekcję. Będąc osobą niezamezną, a zatem nieobciążoną żadnymi rodzinnymi obowiązkami, coroczne wakacje spędzała podróżując po bezkresnych krajach europejskich. Przywoziła stamtąd mnóstwo pocztówek i folderów, których przedanie stanowiło dla niej przez całą jesień najmiłą rozrywkę, a od nowego roku zaczynała projektować i układać plany na następną podróż. Dzięki temu, że opowiadała mi dużo o tych wszystkich krajach, które zwiedzała, miałam daleko więcej wiadomości z geografii niż moje koleżanki i dość długo myślałam, że to ja zwiedzałam te kraje, o których była podczas lekcji mowa. Panna Zofia, ogólnie biorąc, dostatecznie przygotowana do uczenia dziewczynek w zakresie klasy czwartej i piątej, miała jednak dwie słabe strony, to znaczy nie była bardzo kompetentna w zakresie nauk ścisłych, głównie w matematyce, a także nie była zbyt biegła w niemieckim, to też jak tylko rodzice dowiedzieli się, że w naszej okolicy ukrywa się pewien młody człowiek, który studiował na uniwersytecie w Niemczech, a obecnie chciał uniknąć wcielenia do armii niemieckiej - chciałby po prostu zachować incognito, tak, aby o nim zapomniano, zaproponowali mu mieszkanie w Wiecininie, za co on w zamian uczyłby mnie matematyki i niemieckiego. Nie lubiłam tych obu przedmiotów, natomiast profesor zainteresował mnie bardzo nie tylko literaturą niemiecką, ale i filozofią, to też bardzo chętnie skracal lekcje przedmiotów także przez niego niezbyt lubianych, a później indagowany przeze mnie o wyjaśnienie założeń filozoficznych Kanta, czy Nietschego z zapalem i swadą zapuszczał się w ulubione rejony. Było to oczywiście daleko ciekawsze niż matematyka, wskutek czego nie zrobiłam większych postępów w tej dziedzinie i w rezultacie przez całe życie nigdy nie byłam w zgodzie z tą dziedziną wiedzy. Gdy wiele lat później mój brat cioteczny Felek, (BKM 431) Wisniewski z Łazina, entuzjasta nauk ścisłych, które studiował na Sorbonie, usiłował mnie przekonać, że matematyka jest nie tylko królową wszech nauk i do tego najbardziej ze wszystkich poetyczna i wzniosła, mimo całej swej elokwencji, której użył w tym celu, nigdy nie udało mu się mnie przekonać, o słuszności jego poglądów.

Wracając do profesora Golabka, to zaprzyjaźnił się, z p. Zofią i towarzyszył nam na codziennych obowiązkowych spacerach, ucząc poznawania rozmaitych ziół i ich własności leczniczych, poza tym, ponieważ był purystą języka polskiego, przywiązywał ogromną wagę do posługiwania się czystą polszczyzną, usilnie nakłaniał nas do unikania wszelkich niegramatycznych sposobów wyrażania się i makaronizmów. Ta dbałość o czystość pięknej mowy pozostała mi na całe życie, to też także i dzisiaj drażni mnie, gdy ktoś kłopotliwie się wyraża. Najbardziej dłużyły się jesienne i zimowe wieczory. Aby je wykorzystać Matka zainicjowała wspólne ich spędzanie. Zbieraliśmy się w jadalni dookoła dużego stołu, nad którym wisiała duża, oczywiście naftowa, lampa. Ojciec zasiadał do łóżka fasoli, której ogromna taca zawsze zastawała przygotowana, a pani, to znaczy Matka, p. Zofia i ja, haftowałyśmy serwety i tzw. laufry wchodzącym wówczas w modę haftem Richelieu, względnie cerowałyśmy i naprawiałyśmy wymagającą tego gatunku. Profesor, który miał jeszcze tę dodatkową zaletę, że bardzo ładnie czytał spełniał rolę lektora. Czytało się wtedy ta e arcydzieła literatury jak „Chłopi” Reymonta, dzieła Żeromskiego i jeszcze innych. O nowości literackiej było trudno, ale Matka zainicjowała utworzenie czegoś w rodzaju latającej biblioteki, to znaczy kilka domów zakupywało książki, które następnie, co miesiąc wymieniano wśród zainteresowanych między sobą. Osoby, które miały możliwość pojechać do Warszawy były zobowiązane do kupowania nowo ukazujących się wartościowych pozycji. Choć na świecie szalała wojna, tutaj życie płynęło względnie cicho i spokojnie. Ludzie byli sobie życzliwi, „ciało pedagogiczne”, jak nazywano naszych nauczycieli, bardzo lubiło i ceniło moją Matkę, która potrafiła swym pogodnym humorem zawsze rozproszyć zbierające się na czołach nudzących się jednak w ciszy wiejskiej pedagogów chmury, mimo że ułożony przeze mnie slogan: „Golabek grucha w Gaju” (nazwiska obojga) był zdaje się do pewnego stopnia aktualny.

20. WIECININ W CZASIE I WOJNY ŚWIATOWEJ

Od czasu do czasu zaglądał któryś z sąsiadów, aby podzielić się z Ojcem nowo zasłyszonymi wiadomościami „de publicis” i aby takowe spokojnie przedyskutować zamykali się w kancelarii, a gdy ja opuszczali, widząc przygnębiony wyraz twarzy Ojca, wiedzieliśmy, że wiadomości nie zwiastowały żadnych pomyslnych zmian. Wojna się przedłużała, trudności aprowizacyjne były coraz większe, tak np. kaszki mąki brakło w sklepach zupełnie, a przecież na wsi było dużo dzieci, które jej potrzebowały, to też Ojciec od czasu do czasu robił dalekie wypadki do znajomych młynarzy, a przywieźć, choć kilkanaście kilo owej tak potrzebnej kaszki i to w wielkiej tajemnicy. Brak było także płótna na opatrywanie ran i skaleczeń. Matka, jako osoba gospodarna, niczego choćby to było na razie niepotrzebne nie wyrzucała, to też na poddaszach były wielkie kufry i kosze pełne najrozmaitszej używanej garderoby, podniszczonej bielizny itp. Były także modne niedawno pluszowe portiere, które zasłaniały jeszcze niedawno w ciowe drzwi we wszystkich pokojach. Teraz służyły do uszycia ubrań dla kilkanastorga dzieci. Wszystko, co się w czelusiach owych poddaszy znajdowało, Matka rozdała do ostatniego skrawka, tak, że gdy się wojna skończyła kufry były całkowicie opróżnione. Gdy mowa o zaopatrywaniu w czasie wojny spóźniami w nieosiągalne wówczas produkty, to przytoczę pewne charakterystyczne wydarzenie. Zbliżały się pierwsze wojenne Święta Bożego Narodzenia. Powstał dylemat, gdzie można by zdobyć pierniki, bez których trudno było sobie Gwiazdke wyobrazić. Tu muszę wyjaśnić, że u nas nigdy pierników nie piekło się w domu. Kupowano je u p. Grabowskiego, w jedynym, jak się to wówczas nazywało „kolonialnym” sklepie (w Izbicy). U niego też zaopatrywało się w potrzebne produkty okoliczne ziemianstwo i duchowienstwo. Pierniki, które oferował zawsze niezwykle przejęmy właściciel, „elitarnego” jakby to dziś określono sklepu, były nie tylko smaczne, ale i pięknie opakowane w różnobarwne bibułki, co dla nas dzieci stanowiło dodatkową atrakcję. Jak już poprzednio zaznaczyłam, Ojciec był wielkim tradycjonalistą, to też różne uroczystości musiały mieć bezwzględnie zawsze tę samą formę. Szczególną wagę przywiązywał do Gwiazdki. Choinka musiała być oczywiście „do sufitu”, ozdobiona jedynie tym, co sami zrobiliśmy, to też cały adwent pracowicie spedzaliśmy przygotowując mnóstwo czasem nawet bardzo ładnych ozdób, wielometrowe lancuchy itp. Choinka ubierano w sekrecie w zamkniętym na klucz salonie. Chodziło o to, by dzieci najdłużej wierzyły, że to Gwiazdor ja przyniósł. Drzwi salonu, gdzie wygaszano wszystkie lampy, otwierano dopiero po wieczery wigilijnej. Dzieci drżące ze strachu na widok groźnie wyglądającego Gwiazdora, musiały najpierw wyrecytować błędnie pacierz i po stwierdzeniu przez Rodziców, że były grzeczne, następowało śpiewanie koled i rozdawanie prezentów. Wieczera musiała obowiązkowo składać się z siedmiu, lub dziewięciu potraw, koniecznie nie do pary natomiast osób siadających do stołu powinno być do pary. Z rybami nigdy nie było kłopotu, ponieważ rybak dzierzawiaczy część jeziora należącego do Wiecinina, był zobowiązany do dostarczania tygodniowo określonej ilości ryb, a na Święta specjalnie doborowego „wymiaru”. Zwykle na 2-3 tygodnie przed nimi zjawiał się rybak - p. Leczycki na specjalną naradę. Chodziło o ustalenie, jakie gatunki ryb będzie mógł dostarczyć. Zależało to od tego, czy jezioro będzie już zamrożone. Najważniejszą rolę w tym czasie grał szczupak, którego podawano „z pieca” tzn. obłany gęstym sosem chrzanowym i pieczony w piecu chlebowym, drugim bywał leszcz z wody, a leszcze bywało w naszym jeziorze ogromne, nie rzadko 30-to kilku centymetrowej szerokości. Podawano się je z topionym masłem i łazankami, następnie lin w sosie rodzynekowym ewentualnie posypany drobno posiekanym jajkiem na twardo. Najsmaczniejsze ze wszystkich były karasie smażone, podawane z modrą kapustą doprawianą suszonymi grzybami. Karasie łowiono w stawie za podwórzem. Rosły tam wspaniale. Doskonale pamiętam jak zawsze w przedpołudnie wigilijne zjawiał się p. Leczycki z sieciami. Towarzyszył mu młodszy syn, który wówczas miał chyba około 5 lat. Któregoś zimy mróz był wyjątkowo srogi. Mimo to chłopak czerwonymi jak raki rekoma pomagał ojcu wybierać z sieci złowione karasie, co widząc Ojciec powiedział do rybaka: „Józwa nie pozwól dzieciakowi grzebac w tej lodowatej wodzie golymi łapskami” - na to rybak: „Niech się przyzwyczajają od malenkości, przecież i on będzie kiedyś rybakiem”. Ojciec zawsze asystował przy polowie, jak również i my, a także chmara dzieciaków, specjalnie zainteresowanych tym, aby daj Boże polów był obfity, gdyż wszystko, co tego ranka złowiono, poza tym, co poszło do dworskiej kuchni, było przeznaczone „dla ludzi” (tj. pracowników majątku), więc od obfitości polowu zależała wielkość przydziału na każdą rodzinę.

Wracając do menu wigilijnego, to pod żadną postacią nie podawano się kartofli. Na zakończenie powinien być kompot z suszonych owoców, mak z kruchymi ciasteczkami, no i oczywiście wszelkiego rodzaju bakalie, to znaczy różne suszone egzotyczne owoce, a więc figi, daktyle, prunelki, marcepany itp. Ojciec wymagał, aby każdy zjadł choć trochę z każdej podanej potrawy. Oczywiście zanim zasiadło się do Wiec, rozdzielono się oplatkiem, także ze służbą, która obsługiwała przy stole, z pozostałą dzielili się poprzednio Matka, obdarzając każdego stosownym presentem, słodyczami, jabłkami itd. Podczas wojny o bakaliach nie mogło być mowy, choć czasami zdarzało się, że jakiś obrotny kupiec Żyd oczywiście, w sekrecie dostarczał takowe. W Izbicy najlepiej zaopatrzony „we wszystko” był sklep należący do Szlamowicza. Były to czasy, gdy każdy szanujący się kupiec, nie powinien się nigdy przyznać, że u niego czegoś nie ma. Pewnego razu Ojciec w przystępie dobrego humoru, przejeżdżając koło sklepu o Szlamowicza kazał przystanąć, co widząc kupiec wybiegł w podskokach pytając czego by sobie p. Dziedzic życzył. Na to Ojciec polecił przynieść ćwierć funta pistacji, Szlamowicz usłużnie usmiechnięty w lansadach zniknął w czelusiach sklepu i dopiero po dość długiej chwili wrócił bardzo skonfundowany mówiąc: „Moja żona nie wie, co to jest pistacja”.

Wracając do kłopotów związanych z nabyciem na Boże Narodzenie w 1914 roku pierników, opowiem, w jaki sposób Ojciec wybrał z tej trudności. Przypuszczając, że chyba za granicą (ówczesna) w najbliższym miasteczku Strzelnie pierniki na pewno się znajdą zdecydował się tam pojechać. Odległość nie stanowiła przeszkody.

Gożej było z koniecznością przedostania się przez owe granice. Jednak Ojciec, który doskonale orientował się w topografii miejsca, w którym zamierzał ją przekroczyć, lecił Andrzejewskiemu zabrac łopate. Gdy dojechano do upatrzonego miejsca łopata okazała się potrzebna. Andrzejewski zszedł z kozła i najspokojniej w świecie zasypał rów graniczny, poczem z całą powagą oświadczył: „zasypałem to, bo ten ten rów teraz i niepotrzebny”. Zartowaliśmy później, że Andrzejewski pierwszy zlikwidował granice między oborami. Oczywiście pierniki w Strzelnie były i dzięki temu nie zabrakło ich na wigilijnym stole. Bieda, a właściwie głód odczuwały najwięcej większe miasta, a szczególnie Łódź, gdzie nagle tysiące robotników zostało pozbawionych pracy i za tym idzie chleba. Chcac ratować swoje rodziny, masowo wędrowali do odległych nawet miejscowości, prosić o chleb i poratowanie. W tym okresie chyba w każdym dworze gotowano codziennie kociol pożywej zupy z dodatkiem o owiednich porcji chleba, aby mieć, czym nakarmić nieszczęsnych głodomorów. Największe współczucie budziły dzieci, to też powstawały odpowiednie komitety, których zadaniem było organizowanie rozmieszczenia po dworach dzięki działwy, do czasu, kiedy sytuacja fabrycznej Łodzi ulegnie poprawie. Oczywiście Matka jedna z pierwszych parła te akcje i ofiarowała 5 dzieciom gościne. Dzieci te przebywały dość długo, szczególnie dwóch braci, z których starszy okazywał się zainteresowanie pracami w ogrodzie, a ze nazywał się Pietruszka, uważano ogólnie, że predestynuje go to do zawodu ogrodnika. Chłopak miał w ten sposób możliwość zarobienia trochę pieniędzy, więc nawet, kiedy większość łódzkich dzieci powróciła do swych domów, on, jako ogrodniczyk był u nas chyba dłużej niż dwa lata. Jego brat, chłopiec chorowity, wymagał troskliwej opieki, pokryty skrofulami musiał sypać osobno, aby nie zarazić reszty swymi dolegliwościami, a gdy Matka doszła do wniosku, że stosowane przez nią środki jakos nie pomagają, zabrala chłopca do Poznania, aby u sławnego dziecięcego lekarza zasięgnąć odpowiedniej porady. Kuracja przez niego zalecona okazała się skuteczna, tak, że gdy ojciec przyjechał, aby zabrac chłopców do domu, Adas już był zupełnie zdrowy. Trudności tzw. „zycia” w Łodzi sprawiły, że zjawił się w Wicininie człowiek który związał się z nim do końca życia, tak, że myślar o domu mimo woli n przychodzi mi na myśl. Był nim Marcin Morawski wuj Stanisława, który od pewnego czasu pełnił funkcje tzw. lokajczyka, to znaczy robił to wszystko, co zupełnie alnie należało do obowiązków pokojówki, sprzątał część pokoi, podawał do stołu, obsługiwał Ojca i domowników płci męskiej. Rodzice doszli do wniosku, że będzie na pewno lepiej i bezpieczniej, jeśli te rzeczy robić będzie osobnik płci męskiej. Otóż mniej więcej w tym samym czasie ów Stanisław poprosił o zwolnienie. Miał inne plany życiowe, proponując na swe miejsce swego bezrobotnego wuja z Łodzi. Zgodzono się na próbe, ale gdy wkrótce okazało się, że nie tylko kandydat, ale i Rodzice są z tego układu zadowoleni, Morawski sprowadził rodzinę i lokował ją w dwupokojowym mieszkaniu, w domu, w którym mieszkał rzadca, a on sam, aby być pod ręką otrzymał niewielki pokój obok kredensu. Z siebie, że ta częściowa separacja z rodziną była mu na rękę, bo nie zauważyliśmy, aby częściej niż w niedzielne popołudnie ją odwiedzał. W swoim pokoju czuł się doskonale. Codziennie wieczorem, po zakończeniu „służby” widywało się go, jak przy niedomkniętych drzwiach stał pod ciepłym piecem, paląc ulubioną fajkę i popijał małymi łyżkami wódkę ze stojącej obok butelki. Odnosiło się wrażenie, że w ciszy i spokoju swego locum czuł się zupełnie dobrze. Lubiliśmy go wszyscy bardzo i nie wyobrażaliśmy sobie domu bez niego. Cieszył się sympatią nie tylko wszystkich domowników, ale także gości. Zawsze usłużny i gościnny, ale nigdy nie służalczy. Pomógł Ojcu w porannej toalecie, zabierał się do sprzątania łóżeczek w jego gestii pokoi. Około jedenastej ginał u siebie, by punktualnie o 11:30, świeżo ogolony i przebrany zabrac się do nakrywania łu. Może nie z takim namaszczeniem jak sławny Jan z Łuszczewa, o czym zamierzam wspomnieć przy innej okazji, nie mniej bardzo nie lubił, gdy mu w tym przeszkadzano, a gdy już wszystko było do obiadu przygotowane zdejmował biały fartuch i już całkowicie gotowy, w czarnym garniturze i białych rękawiczkach uderzał w gong wiszący w holu na znak, że pora zjawić się w jadalni. Cieszył się całkowitym zaufaniem nie tylko Rodziców, a i nas wszystkich, nawet wtajemniczyliśmy go w różne nasze tajemnice, wiedząc, że nigdy nie zdradzi zaufania, które go darzyliśmy. Do Matki naszej był bardzo przywiązany, a w ostatnich tygodniach jej życia, pomagał mi w różnych czynnościach pielęgnacyjnych, z którymi sama nie mogłam sobie dać rady. Posiadał wiele talentów bardzo w codziennym życiu potrzebnych. Szczególnie był artystą w pakowaniu np., gdy dziadek Damski (BKD 64) urządził 19-ego marca huczne imieniny, na które „wypożyczał” Marcina. Krótko przed tym terminem zjawił się w Szczkowie razem z olbrzymim koszem pełnym porcelany i szkła, potrzebnego przy tej okazji. Nigdy przez te kilkanaście lat nie zdarzyło się, aby cokolwiek się stłukło. Marcin brał zawsze udział w naszych smutkach i radościach i był uważany raczej za członka rodziny, a nie za kogoś ze służby.

2 1 . S Z Y M A N Ó W

Zaczęły się wielkie wakacje w roku 1916-ym. Wojna trwała nadal i końca jej widac nie było, trza było pomyslec o znalezieniu odpowiedniej dla nas obu szkoły. Matka projektowała umiescic nas w Nowym Saczu lub w Jarosławiu, gdzie SS. Niepokalanki prowadziły renomowane zakłady wychowawcze dla panienek pochodzących ze sfer ziemianskich. Obecnie w czasie wojny nie mogło byc o tym mowy. To też Matka zdecydowała się na umieszczenie nas w Szymanowie pod Warszawa, gdzie te same Niepokalanki w roku 1907 założyły pierwszą w zaborze rosyjskim średnią szkołę żeńską.



55.

Maria Halina (BKD52) z Bartoszewiczów Karnkowska. Data zdjęcia jest nieznana.
Tak mogła wyglądać autorka w Szymanowie.

Po nawiązaniu kontaktu z Siostrami zaczęło się przygotowywanie wyprawek. Tymczasem Matka, która oczywiście chciała nas odwiedzić, pielęgnując chorych na tyfus, sama się nim zaraziła i leżała poważnie chora, wobec czego odwiedził nas Ojciec, mnie do klasy szóstej, a Ninę do trzeciej.

Początkowo czułyśmy się obco w nowym dla nas otoczeniu, tym bardziej, że niepokoiłyśmy się bardzo zdrowiem Matki, ale później przyzwyczailiśmy się dość szybko do nowego trybu życia.



56.

Szymanów – budynek głównej szkoły żeńskiej.



57.

Szymanów – kościół.

Pokochałam wiele siostr i zaprzyjaźniłam się z kilkoma koleżankami, z którymi utrzymywałam dość długo serdeczne stosunki. Nauka stała tam na dość wysokim poziomie, szczególnie, jeśli chodzi o języki obce. Uczyliśmy się przeważnie z podręczników opracowanych przez siostry. Wszystkie przedmioty wykładaly zakonne z wyjątkiem jednej, znakomitej zresztą nauczycielki p. Wolowskiej, której powierzono dwie ostatnie klasy. (Jej córka p. Zofia Wolowska była założycielką i aż do wojny 39-ego roku dyrektorką seminarium dla nauczycielek w Warszawie). P. Wolowska była osobą niesłychanie miłą, wszechstronnie wykształconą, potrafiła swoje uczennice zainteresować wieloma sprawami. Za zgodą Sióstr wprowadziła w ostatniej klasie nowy przedmiot, mianowicie historię wnetrz, stylów, mebli, ubiorów itp.

Sama do nauki tych przedmiotów ułożyła bardzo interesujące podręczniki. Mnie osobście pasjonowały te zagadnienia to też p. Wolowska ofiarowała mi jedną godzinę tygodniowo podczas której poszerzała zakres moich zainteresowań, jednym słowem jej to zawdzięczam, że byłam jak na mój wiek dość umysłowo rozwinięta istota. Z prawdziwą wdzięcznością wspominam tę przemilną osobę i doskonałego pedagoga.



58.

Szkoła żeńska w Szymanowie jest tak znana, że Poczta Polska wydała okolicznościową kopertę „pierwszego dnia obiegu” FDC; - lipiec 1999 r.

Matka Darowska, założycielka zgromadzenia SS. Niepokalank, które rozwinęło się wspaniale rozszerzając swoją działalność głównie w Galicji, gdzie posiadało znane w całej Polsce doskonale prowadzone Zakłady Wychowawcze, takie jak dom macierzysty w Jazłowcu i dalsze w Nowym Saczu i Jarosławiu, dążyła usilnie do tego, aby móc ufundować podobny na terenie Królestwa Kongresowego. Mogła to zrealizować dopiero w 1907 r., kiedy to po rewolucji 1905 r. zelżał chociażby ucisk rusyfikacyjny. Po szeregu perypetii i pokonaniu trudności kupiła od XX. Lubomirskich pałac w Szymanowie i poczyniła konieczne przeróbki, tak, aby go przystosować do nowych potrzeb, to też cały gmach przedstawiał się okazale. Był otoczony dużym starannie utrzymanym parkiem, gdzie panienki mogły odbywać długie spacerunki i zazywać ruchu, tak potrzebnego dla rozwoju młodych organizmów. Nie tu miejsce na szersze opisywanie życia uczniów szzymanowskich. Jeśli chodzi o mnie to wyniosłam stamtąd jak najlepsze i najmiłsze wspomnienia, do których zawsze z przyjemnością wracam. Wojna trwała nadal, wiele uczennic kończących ostatnią klasę nie miało widoków na dalsze kształcenie się. W Warszawie; nie było jeszcze po temu możliwości. Siostry postanowiły zorganizować dodatkową klasę ósmą, która choć nie dawała żadnych uprawnień, program jej tak był pomysłany, aby łącznie z indywidualnymi zainteresowaniami uczennic, dać im możliwość pogłębienia i poszerzenia tychże, a przy tym doskonałą znajomość języków obcych. Perspektywa spędzenia jeszcze jednego dodatkowego roku w miłym sercu Szymanowa, bardzo mi odpowiadała, to też Rodzice zgodzili się na to i po wakacjach, wróciłam do klasztoru, projektując po ukonczeniu szkoły rozpocząć naukę na Kursach Pszczelarsko-Ogródniczych w Warszawie.

Chodziło mi, bowiem, aby po ich ukończeniu móc prowadzić właściwie wieciniński ogród. Jest to jednak już dalsza historia trzeba, bowiem wrócić do tego, co się działo w domu po naszym, tj. Niny i moim wyjeździe do Szymanowa. Janusz (BKD 500) uczył się w gimnazjum wrocławskim, gdzie nauka języków była na bardzo niskim poziomie tak, że trzeba było pomyśleć o tym, aby choć podczas wakacji musiał mówić po francusku tak, aby nie wyjść kompletnie z wprawy. Nam także stała konwersacja w tym języku na pewno by się przydała, to też Matka wybrała się do Warszawy, aby znaleźć odpowiednią osobę, to znaczy Polkę mówiącą po francusku z dobrym akcentem. O rodowitych Francuzkach nie mogło przecież w czasie wojny być mowy. Na szczęście znalazła taką osobę, której szukała, mianowicie panią Wiktorie Gentill Tippenhauer, przemilnego człowieka, z którą zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, a z jej najstarszą córką Wandą, aż do jej śmierci, w roku 1965 utrzymywałam zawsze bliski kontakt.

P. Gentill-Tippenhauer była córka bogatych przemysłowców łódzkich Gajerów i usilnie pragnęła poświęcić się studiom uniwersyteckim, ale ponieważ wówczas w Polsce nie przyjmowano na uniwersytety kobiet, udała się do Zürichu w Szwajcarii. Tam też zakochała, więc w niej bez pamięci była ładna i pełna uroku) studiujący na tamtejszej politechnice syn bardzo bogatych przemysłowców niemieckich z Marburga (oryginał napisano Mamburga). Panna Tippenhauer była wprost fanatyczna patriotka i nie chciała słyszeć o tym, aby wyjść za Niemca. W końcu jednak uległa błaganiom zresztą podobno przemiłego i bardzo przystojnego młodzieńca. Ślub odbył się w Łodzi, dokąd zjechała rodzina narzeczonego, a gdy się okazało, że jego babka nazywała się Gentill, gdyż była Francuzka, młoda malzonka uprosiła, aby mąż dodał do swego tak niemile dla niej - bo niemiecko brzmiącego nazwiska, francuskie nazwisko jego babki. Młode małżeństwo wyjechało wkrótce potem na Haiti, gdzie młodemu energicznemu i z Inemu inżynierowi powierzono wybudowanie pierwszej na tej wyspie linii kolejowej. Młoda pani otoczona miłością meżowską, nieznanym jej dotąd komfortem, w pięknym egzotycznym klimacie, szybko zaaklimatyzowała się. Wkrótce przyszedł na świat pierwsza córeczka Wanda, a w kilka lat później Jadzia. Nadając dziewczynkom prawdziwie polskie imiona, chciał zaznaczyć, że pragnie je wychować, jako córki narodu, do którego ich matka należy. Rozmawiała z nimi tylko po polsku i uczyła je sama wszystkich przedmiotów w tymże języku. Jeździła też z nimi, co dwa lata do Łodzi, aby mogły poznać kraj ich matki i dać możliwość stesknionym dziadkom nacieszenia się wnuczkami. Właśnie w roku 1914 wybrała się z nimi najpierw do Francji, a potem do Polski. Od momentu rozpoczęcia wojny, została pozbawiona możliwości nawiązania kontaktu z mężem, który nie mógł wysłać jej pieniędzy. Została skazana na własne siły, a że była bardzo ambitna nie chciała korzystać z pomocy rodziny. Przez pewien czas utrzymywała się z dziewczynkami sprzedając biżuterię i cenniejszą garderobę. Dawała lekcje francuskiego. Wszystko to jednak wystarczało jedynie na bardzo skromne utrzymanie. O wyjeździe latem dla poratowania zdrowia - chodziło szczególnie o Jazdę, który był dzieckiem wiatrym marzyć nie było można. To też, gdy przypadkowo poznała Matkę i dowiedziała się, że szuka na letnie miesiące nauczyciela francuskiego dla trójki dzieci, z prawdziwą radością przyjęła propozycję i wkrótce zjawiała się w Wiercinie, na razie tylko z Jazdą, niby to na dwa letnie miesiące, a tymczasem pozostała u nas dłużej niż dwa lata. Zaprzyjżniła się z Rodzicami, którzy nie dopuszczali myśli, aby mogła opuścić Wiercin i borykać się z coraz trudniejszymi warunkami życia w Warszawie. Wszyscy bez wątku byli pełni podziwu, że to właśnie ona, osoba, która miała chyba największe prawo do popadania w melancholie i zniechęcenie, rozdzielona od tak dawna z mężem, niepewna losu swego i córek pozbawiona luksusu, do którego przecież tam za oceanem przywykła, właśnie ona dodawała otoczeniu ducha, utrzymując z najgłębszym przekonaniem że wojna skończy się wkrótce i wszystko ułoży się pomyślnie.

22. PRZEBUDOWA DOMU W WIECININIE

Jak już poprzednio wspomniałam, Matka od dość już dawna nosiła się z zamiarem przebudowania domu, aby mógł być bardziej reprezentacyjnym. Początkowo Ojciec był temu przeciwny, aż wreszcie dał się przekonać. Zapadła decyzja, aby nie czekając końca wojny, zabrac się do tego jak najprędzej.



59. Dom w Wecininie po przebudowie. Powóz przygotowany do wyjazdu. Z lewej: prawdopodobnie wuj Kazimierz (BKD 48) Dambski, NN, stangret, Dziadek Jan Bartoszewicz, Aleksandra (BKD 503) Bartoszewicz (?), Maria (BKD 52) Bartoszewicz (autorka), Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz), pokojówka.

Przede wszystkim trzeba było zacząć od zburzenia starej oficyny, a co za tym idzie wybudowania nowej. Stanela wkrótce dyskretnie ukryta za masywami drzew. Znalazły tam pomieszczenia: kuchnia dla służby, dla niej pokoje, bardzo duża izba przeznaczona na razie na szkołę, pokój dla praktykanta i gościnny dla tak zwanych „drugostolnych gości”, tzn. dla szoferów, kontrolera obory itp. Wprost z warzywnego ogrodu było wejście do mieszkania dla znanego ogrodnika, a więc dwupokojowe z kuchnią itd. Wejście do tego budynku było tylko od podwórza, dzięki temu unikano się nawoływania i hałasów, właściwych dla życia większej ilości osób, szczególnie ze strony kobiet, które tam mieszkaly, były przeważnie obciążone kilkorgiem dzieci. Przypominam sobie jedną z nich, miała ich 7-oro. Matka przyjechała do niej, gdy nigdzie nie mogła znaleźć pokoju, a właśnie z powodu tak licznej gromady dzieciarni. W sobotę wytaczała przed oficynę ogromną balie i po kolei szorowała wrzeszczące dzieciaki. Czekając na swoją kolej, uciekały nagle jak najdalej w nadziei, że w ten sposób unikną niemiłej operacji, jednak matka nie darowała żadnemu z nich przynajmniej, że te sobotnie ablucje są jednym z najważniejszych wobec nich obowiązków.

Dopiero, gdy zaczęto burzyć starą oficynę, przekonano się, jak solidnie była zbudowana. Oskardami trzeba było rozwalac ściany, choć przecież były z niewypalanej cegły z tzw. „surówki”. Dom przebudowano według planu sporządzonego przez architekta Kota (znanego z naszej dalszej sasiadki Teresę Kurnatowską). Trwało to dość długo. Było to nie tylko kosztowne, ale i kłopotliwe, gdyż brakło wówczas wielu potrzebnych materiałów budowlanych. Ojciec zniechęcony trudnościami i wydatkami, często narzekał, że załuje, że uległ prośbom Matki, która aby zdobyć pieniądze na niekonczące się wydatki związane z przebudową domu, postanowiła pojechać do Polesia i sprzedać piękne butony (kolczyki z jednym dużym brylantem). Gdy wróciła z uzyskanymi za nie pieniędzmi Ojciec nie chciał ich przyjąć, zadając, aby kupiła za nie coś równie wartościowego jak owe brylanty. Matka zdecydowała się na kupno sobolowej etoli.

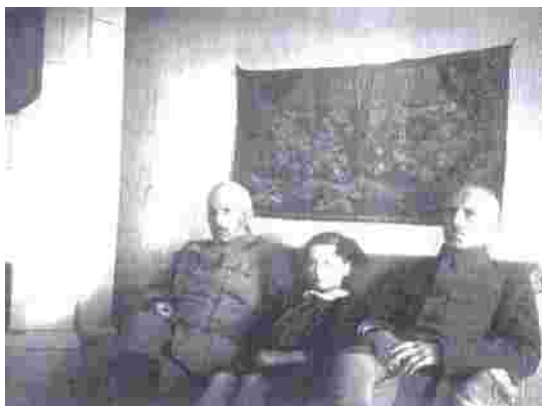


60. Stanisława (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowa w tzw. pokoju zielonym. Na ścianie widac oryginalny portret pędzla prof. Krzyżanowskiego. Na portrecie tym, Babka ma na sobie wspomniana etola sobolowa. Wdca z tego, że reprodukowana kopia pędzla p. Wdiger została trochę „skrócona”. Z sufitu zwisa również wspomniany w opisie zyrandol.

Została w niej uwieczniona na portrecie, który wkrótce po tym namalował prof. Krzyżanowski. Ta piękna etola dodawała uroku każdej nawet najskromniejszej sukni. Tu muszę zaznaczyć, że Matka ubierała się zawsze z dużym gustem, choć wydawała na swoją garderobę bardzo niewiele. Co dwa lata zamawiała kostium zawsze granatowy, kroju tzw. angielskiego, do którego nosiła tylko białe bluzki. Prócz kostiumu miała zawsze raczej ciemną wizytową suknię, a z okazji jakiejś specjalnej uroczystości, kupowała w Warszawie suknie balowa. Pamiętam trzy. Najdawniejsza z zielonej tafty, żółta adamszkowa, w której Matce było wyjątkowo ładnie i ostatnia czarna aksamitna, w której została sportretowana. Matka nie była piękna w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, jedynie bardzo rzystojna, o regularnym rasowym profilu, pięknie wykrojonych ustach i lekko falujących ciemno blond włosach o złotym połysku. Ruchy miała lekkie, trzymała się zawsze prosto, twarz miała pogodnie uśmiechnięta i życzliwe ludziom spojrzenie. Rece miała ładne i starannie utrzymane, zawsze nosiła rekawiczki, ale tylko skórkowe, nigdy wełniane, lub bawelniane, zimą używała mufki, których miała kilka. Jedną z nich piękna sobolowa stanowiła komplet z etola. Ojcu zależało na tym, aby żona była ładnie i odpowiednio okoliczności ubrana, a choć sam z powodu coraz to pogarszającego się stanu wzroku, nie mógł już tego stwierdzić zawsze był rad, gdy usłyszał, że „Pani Stachna pięknie wygląda”. Przypominam sobie jak kiedyś w Chytrowie, gdy byłam tam na imieninach wuja Bogdana Trzebinskiego, przyglądając się Matce grającej w sąsiednim pokoju bridge'a pomyślałam: „nie pojmuję, dlaczego Matka tak ładnie się ubiera”. (Miała wtedy na sobie owa wspomniana przed chwilą czarna aksamitna suknie ozdobiona piękną czerwoną różą) „przecież jest już taka stara”. A miała wtedy niecałe 40 lat.

Ale wracam do przebudowy domu. Trwało to dość długo, w rezultacie jednak całość wypadła zupełnie zadowolająco. Dom wyglądał teraz rzeczywiście reprezentacyjnie, dach został podwyższony i pokryty nową a czerwoną dachówką, a dawniejszy skromny ganek zastąpił oparty na czterech kolumnach obszerny podjazd. Wchodziło się z niego do przedpokoju, gdzie była szatnia, a stamtąd do dużego hallu, skąd szerokie schody z ładną balustradą prowadziły do górnego hallu a z niego do 5 gościnnych pokoi i licznych schowanków, obszernych spiżarni na przechowanie zapasów itp. Z hallu wchodziło się na prawo do bardzo dużej jadalni, a z niej do kredensu i dalszych części gospodarczych, a także przez pokój najpierw Janusza (BKD 500), a później wuja (BKD 48) Damskiego na mały wewnętrzny korytarzyk, skąd było wejście do pokoju Matki (BKD 50) i sąsiedniego pokoju Ojca (BKD 51), gdzie był telefon. Na końcu korytarzyka była łazienka i WC., a także przejście do głównego korytarza gospodarczego. Z hallu na lewo był korytarz, niezmienny, obok salonik i kancelaria, a dawny jadalny został przekształcony w rodzaj czytelni. Dzisiaj nazwaliby się taki pokój „living room'em”.

Był to pokój, w którym przebywało się najwięcej, tym bardziej, że z niego było wyjście na taras i do ogrodu. Taras ten miał być znacznie powiększony jednak nie udało się tego zrobić od razu, a po śmierci Matki zabrakło osoby, która by dopilnowała wykonania całości zgodnie z planem architekta. Ów pokój zwany z powodu koloru obicia mebli zielonym, był rzeczywiście bardzo miły. Otaczały go dookoła szafy białe, w środku stał duży stół, a na nim leżały najrozmaitsze pisma, atlasy, słowniki z Larousse'm na czele, albumy itp., a w narożniku, blisko pieca z kominkiem wygodna kanapa i kilka foteli, które poprzednio stały w saloniku, obecnie zostały zastąpione przez komplet mebli empirycznych. Pokój ozdabiał dwa duże lustra z konsolami, bardzo ładny dywan perski i wspaniałe drewniane złocone, empiryczne zyrandole. Za pokojem zielonym, był mój, a kiedy po śmierci Matki przeniosłem się do jej pokoju, Ojciec zajął ten, a Janusz przeniósł się do tego, który dawniej należał do Ojca. Prócz głównych schodów były drugie, służbowe prowadzące z górnych pomieszczeń do głównego korytarza i na parter, skąd schodziło się do podziemi, gdzie była kuchnia, pralnia i kilka piwnic, na przechowywanie zimą owoców, wina, warzyw, koks i węgiel. Dzięki wszystkim zmianom, dom stał się nie tylko reprezentacyjny, ale i wygodniejszy, a przy tym obszerniejszy niż przedtem. Prace z tym wszystkim związane byłyby się przedwcześnie zakończyły gdyby nie choroba Matki. Musiała się w Warszawie poddać operacji, po której rekonwalescencja trwała dość długo, tak, że dopiero wtedy, gdy odzyskała siły i dawną energię mogła skutecznie stymulować rozpoczęte prace.



61. Na fotografii z lewej: Jan (BKD 51) Bartoszewicz, Aleksandra (BKD 503) Bartoszewicz i Joachim, (BKD 202) Bartoszewicz (senator), w pokoju zielonym. Na ścianie wisi wspomniany w opisie perski dywan.



62. Z pokoju „zielonego” prowadziło wyjście na taras i do ogrodu. Na fotografii z lewej: Janina (BKD 498) Bartoszewicz, później za Tadeuszem (BKD 499) Karłowskim, i Maria Halina (BKD 52) Bartoszewicz, później za Teodorem (BKD 53) Kamkowskim z Paniewa.

23. POBYT w WARSZAWIE i WOJNA 1920 r.



63. Warszawa, tak jak ją widziała autorka po I wojnie światowej, od strony Pragi z częściowo zniszczonym mostem Kierbedzia

Wracam do okresu konczacej sie wojny. Po pozegnaniu sie z prawdziwym zalem z Szymanowem zapisalam sie na Kursy Pszczelarsko-Ogrodnicze z siedziba mieszczaca sie na ulicy Wiejskie zw. Pszczółki.

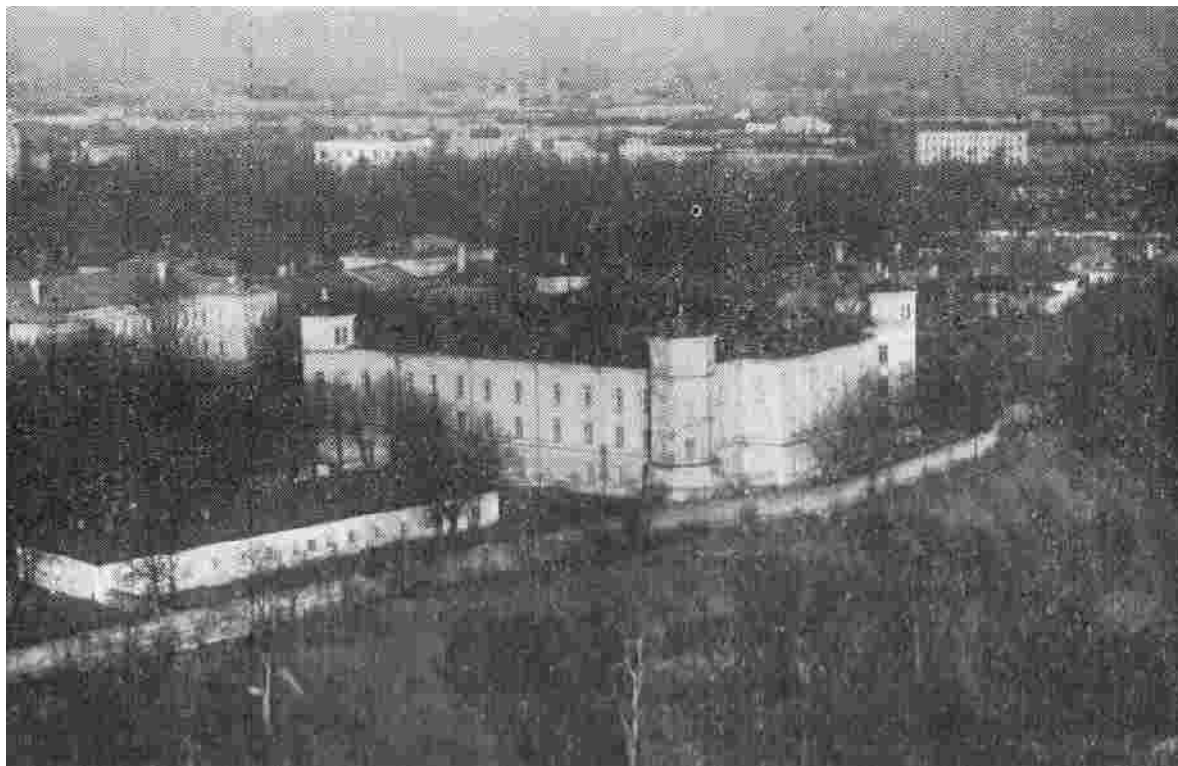


64. Uczestniczki ostatniego kursu Pszczelarsko-Ogrodniczego w Warszawie tzw. Pszczółki, na wiosne w 1920 r. Pierwsza od lewej autorka.

Zawsze pragnelam byc dobrym ogrodnikiem. Mialam zdecydowane zamirowanie w tym kierunku i juz bardzo wczesnie interesowalam sie wszystkim, co wchodzilo w zakres ogrodnictwa.



65. Widok zamku i koszar Ujazdowskich od strony gošcinca. Akwarela Z. Vogla, ok. 1790 r.



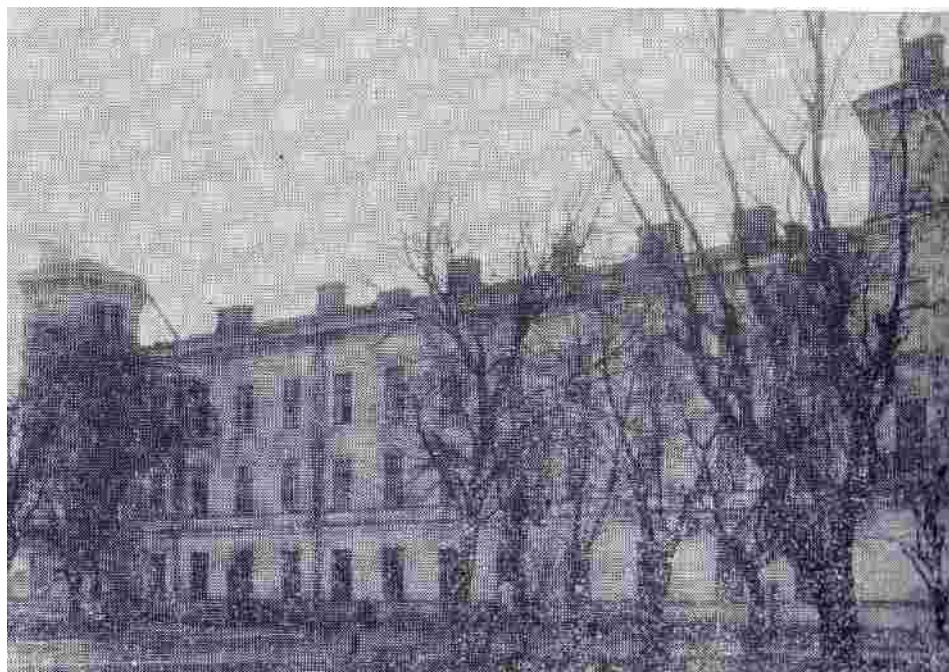
66. Szkoła podchorążych sanitarnych, oraz Szpital Ujazdowski.

ZAMEK UJAZDOWSKI — SIEDZIBA SPS

W Warszawie na połowie drogi między Placem Trzech Krzyży i Łazienkami między Alejami Ujazdowskimi i Wisłą mieściła się siedziba SPS — Zamek Ujazdowski.

Zamek Ujazdowski powstał w pradawnych czasach słowiańskich prawdopodobnie na długo przed datą chrztu Polski. Powstał, by bronić brodu, nad otoczona lasami Wisłą. Prawdopodobnie rozpoczął swoje istnienie, jako strażnica na starym szlaku handlowym łączącym Bałtyk z południowymi krajami ówczesnej Europy.

Przytaczam pierwszą część historycznego opisu wymienionego w Lek. Wojsk. 1927:
(Dr Hubicki Stefan, plk-lek., Komendant Szkoły „Przeszłość Zamku Ujazdowskiego”).



67. Szkoła sanitarna, oraz Szpital Ujazdowski – Późniejsza Szkoła Podch. Sanitarnych (Elewacja półn.-boczna).

Jako kilkunastoletnia dziewczynka miałam już swój ogród – a czy kilka dużych zagonków leżących osobno na skraju ogrodu, w którym uprawiałam wszelkie jarzyny, które Matka potem kupowała ode mnie na użytek domowy. Pieniądze za nie, uzyskane przeznaczałam na prezenty imieninowe dla Rodziców i rodzeństwa. W tym ogródku musiałam sama wykonywać wszystkie prace łącznie z kopaniem i to bez niczyjej pomocy. Dumna byłam, gdy dostarczone przeze mnie jarzyny dorodniejsze były niż te, które wyhodował ogrodnik. Z prawdziwym zainteresowaniem chłonełam wszystko, czego nas na kursach uczono, lubiłam profesorów, wśród których były takie powagi, jak sławny Brzóska, autor wielu doskonałych książek na temat pszczelarstwa, Piotr Hozer, znany dendrolog i wielu innych znakomitych specjalistów. P. Zebrowska, wieloletnia dyrektorka cieszyła się ogólną sympatią uczennic. Koleżanki były mile, pochodzące przeważnie z rodzin ziemskich, z kilkoma z nich przez dość długo utrzymywałam dość bliskie kontakty. Zapaliłam się też do pszczelarstwa, nosząc się z zamiarem założenia w Wiecininie dużej pasieki, to też gorliwie uczestniczyłam we wszelkich pracach związanych z hodowlą pszczoł, byłam przez nie niejednokrotnie pogryziona i opuchnięta twarzą. Kursy jednak nie pochłaniały całego dnia, to też mogłam dość często korzystać z różnych rozrywek, jakie dostarczała stolica. Znajomi zapraszali mnie raz po raz to do teatru, to na koncerty do filharmonii. Korzystałam też z wielkim zapałem z wykładów zorganizowanych przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Wiedziałam, że prawdopodobnie już nigdy więcej nie będę tak długo przebywać w Warszawie, więc chciałam wykorzystać wszelkie możliwości, jakich dostarczał pobyt w stolicy. Był to rok 1920. Trwała kampania kijowska, szpitale zaczęły wypełniać się rannymi, przywozonymi z frontu ukraińskiego. Ponieważ prawie cały dzień miałam wypełniony zajęciami na Wiejskiej, nie mogło być mowy o tym abym mogła podjąć, choćby tylko prace pomocnicze w jakimkolwiek szpitalu, zresztą nie miałam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, natomiast, gdy zgłosiłam się do naszej dzielnicowej organizatorki pomocy służby sanitarnej w szpitalu Ujazdowskim powierzono mi rozdawnictwo darów wśród rannych i rekonwalescentów przekazywanych przez U.N.R. Choćby tylko raz w tygodniu w niedzielę, a także, co może było ważniejsze poświęcenie przy tej okazji, choć kilka godzin na pogawędki z żołnierzami, którzy jakoby mieli być bardzo zżaknieni kontaktem z kimś innym, niż personel szpitala. Te niedzielne wyprawy do szpitala dawały mi dużą satysfakcję. Było mi miło, że mogę, choć trochę urozmaicić rannym nudy szpitalne, a przy tym widzieć radość, z jaką witali sprawiedliwie rozdzielane amerykańskie (a więc w ich przekonaniu najlepsze) dary, głównie czekoladę, podobno wspaniałą. Miałam owej czekolady ogromne ilości, po prostu zapchana cała szafka – a znanej ogólnie amatorki stanowiło niemalą pokusę. Udalało mi się ją opanować, to też z prawdziwą satysfakcją, gdy przyszło mi zdawać mej następczyni pozostałe zapasy stwierdziła, że nie uszczknelam ani kawaleczka. Zbliżało się zakończenie kursów i trzeba było wracać do domu, a zatem pożegnać się z „moimi żołnierzami” co było dla mnie prawdziwą przykrością. Miałam wrażenie, że i oni ogólnie żalują „swojej” opiekunki. Wojna trwała nadal. Rannych przybywało, to też i na przykład przygotowano się do ich przyjmowania. W naszym powiatowym mieście kole dr Fijałkowski, zresztą doskonały chirurg i lekarz, zorganizował w podległym mu szpitalu specjalny kurs dla osób pragnących nabyć choćby tylko podstawowe wiadomości z dziedziny pielęgniarstwa, tak, aby, móc pomagać personelowi szpitalnemu przeciążonemu pielęgnowaniem rannych. Gdy tylko dowiedziałam się o tym, natychmiast zgłosiłam się na ów kurs i zatrzymawszy się cały czas trwania w gościnnym domu pp. Szczesniewskich w naznaczonym dniu stawiałam się wraz z innymi ochotniczkami w szpitalu. W związku z tym przypominam sobie zabawny incydent: jedna z kandydatek wszedłszy do sali, gdzie wszystkie czekały na doktora, zobaczywszy szeregiem pan w białych fartuchach, zemdlała z wrażenia, co zobaczywszy nasz szef wyprawił ją, czym prędzej do domu, stwierdziwszy już na samym wstępie nieprzydatność jej pracy, której zamierzała się poświęcić. Co do mnie, to może dzięki temu, że już wielokrotnie pomagałam Matce przy zakładaniu opatrunków i innych zabiegach pielęgniarstwa, widok nawet odrażających i cuchnących ran nie przerazał mnie, to też dr Fijałkowski zorientowawszy się, że nie jestem zupełnie nowicjuszka zawsze zadawał, żebym mu asystowała przy zakładaniu opatrunków itp. zabiegach tak, że po pewnym czasie z całym przekonaniem stwierdził, że powinnam być zamiast poświęcać się ogrodnictwu przejść na medycynę, gdyż jego zdaniem mam wybitne zdolności w tym kierunku. Może miał rację, bo później niejednokrotnie mogłam stwierdzić, że istotnie dysponowałam znaczną dozą intuicji i potrafiłam trafniej niż lekarze wykryć chorobę u moich bliskich, lub dzieci szkolnych powierzonych mojej pieczy, gdy byłam higienistką szkolną w Malborku.

Wracam jednak do wspomnień warszawskich. Matka od dawna projektowała zamówienie swego portretu u naprawdę dobrego artysty, zwróciła się do Wandy Tippenhauer (co naszej milej Tip-topki), która właśnie skończyła szkołę Sztuk Pięknych i powinna być lepiej niż ktokolwiek spośród znajomych porozić, do kogo można się zwrócić w tej sprawie. Wiedzieliśmy, że była zaprzyjziona z jednym z profesorów Akademii. Zdaje się, że jej dyrektorem był Stabrowski i że nawet odwiedzała go latem w jego posiadłości w łomżyńskim. Tak, więc rzecz została omówiona i ustalona, że jesienią, gdy profesor wróci do Warszawy, zacznie portret malować Tymczasem dowiedzieliśmy się, że profesor zmarł właśnie wtedy, gdy Wanda tam była. Opowiadała, że przewidywał najdokładniej nawet, co do minuty godzinę swej śmierci, że był człowiekiem głęboko religijnym, przygotowawszy się należycie i pożegnawszy otoczenie zamknął oczy na zawsze punktualnie o zapowiedzianej godzinie. Matka jednak nie zrezygnowała z portretu i też za radą Wandy porozumiała się z prof. Konradem Krzyzanowskim. Ustalono terminy dogodne dla obu stron zaczęło się pozowanie. Działo się to wszystko w czasie, gdy uczęszczałam na Kursy Ogrodnicze, więc korzystając z chwil wolnego czasu kilkakrotnie asystowałam owemu pozowaniu. Miało ono miejsce w mieszkaniu malarza, zresztą zawsze pełnego gości. Prof. Krzyzanowski, człowiek bardzo zacny i niesłychanie gościnny, nie potrafił nikomu odmówić, kto go poprosił o przenocowanie choćby na jedną lub kilka nocy.

Nie można zapominać, że nie tylko w owym 1919-ym roku, ale jeszcze przez kilka następnych lat mnóstwo Polaków, szczególnie inteligencji i ziemian, opuszczało często w popłochu, bez pieniędzy i najkonieczniejszych rzeczy tereny należące do byłego Imperium rosyjskiego. Decydowano się na tułaczkę i biedę, a często nawet i niedzę, byleby tylko oddalić się od owego „czerwonego raju”. Część owych uciekinierów zatrzymywała się w Warszawie – gdzie wielu z nich miało rodziny, lub znajomych, na pomoc, której liczyli. Większość jednak, zanim się, jako tako urządziła szukała możliwości zatrzymania się choćby na kilka dni u kogokolwiek, byle mieć przynajmniej na razie dach nad głową. Tu trzeba sobie uprzytomnić, że Warszawa, która podczas wojny była w stanie zupełnegoastoju gospodarczego prawie się nie rozbudowywała, a ludności stale przybywało, po prostu pekała w szwach. Mieszkania były na ogół przepelnione, nie mówiąc już o hotelach i pensjonatach, gdzie wynajęcie pokoju było nieziszczalnym marzeniem. To też tacy zyczliwi ludziom posiadacze, jako tako obszernego mieszkania, niewzdragający się przed zapchaniem takiego do granic wprost niewyobrażalnych, byli nieocenieni. Ilekroć Matka zjawiała się w salonie profesora, gospodarz prawie zawsze zaczynał od usprawiedliwiania się, że taki balagan, ale nie zdążył posprzątać, bo właśnie przed chwilą opuściła pokój gromada uciekinierów z Kijowa lub Podola. Malarz zaczynał zwykle seans od rozmowy na różne tematy, obserwując wyraźnie twarz Matki, zresztą żywo reagującej na poruszane przez artystę zagadnienia. Zdarzało się niejednokrotnie, że przeznaczone na pozowanie dwie godziny upływały na zresztą bardzo interesującej rozmowie, ale przez cały ten czas malarz nie wiał pędzla do ręki, a gdy Matka w możliwie najdelikatniejszej formie pytała, czy nie szkoda tyle czasu poświęcać na rozmowę, zamiast poświęcić prace nad portretem dalej, Krzyżanowski odpowiadał: „To nie jest prośba Pani czas stracony, bo ja ciągle o serwowalem, w jaki sposób odbija się na Pani twarzy wszystko, o czym Pani mówi, a ja czuję”. Za to następnego dnia, nie odezwał się ani słowem, tylko zawzięcie malował. W każdym razie portret został ukończony w zaplanowanym czasie i był rzeczywiście doskonały. Pamiętam chwilę, gdy po wypakowaniu portretu i powieszeniu go w salonie, rozpakowujący go stelmach i Marcin zawołali obaj z uznaniem „Nasza Jasna Pani tutaj jak żywa”, bo rzeczywiście artysta znakomicie uchwycił rysy modry, ale i jej cokolwiek enigmatyczny uśmiech i zyczliwe ludziom spojrzenie. Tu zjawisko charakterystyczne dla tamtego czasu egzystencji mieszkańców Warszawy, którym brakło najbarziej podstawowego – jak się to dziś nazywa – zaopatrzenia, szczególnie mięsa i jego przetworów. Złatwiano, więc honoraria za wykonaną pracę towarem, tak, że prof. Krzyżanowski był bardzo usatysfakcjonowany, gdy Matka z pewnym wahaniem zaproponowała mu zapłacenie honorarium szynkami i innymi wędlinami.

Zbliżały się wakacje, więc trzeba było pożegnać Warszawę, tym bardziej, że coraz to groźniejsze chmury zaczęły zagrozić dopiero, co wskrzeszonemu po przeszło stuletniej niewoli młodemu państwu polskiemu. Wojna z wschodnim sąsiadem początkowo zwycięska, bo przecież wojska nasze zajęły nawet Kijów, zaczęła przybierać coraz groźniejszy dla nas obrót. Cofające się w zupełnym nieładzie wojska bolszewickie, zaalarmowane zwycięstwem Polaków zaczęły gwałtownie reorganizować i z zupełnie nieoczekiwanym zapalem ruszyły na zachód, szczególnie armia południowa dowodzona przez Budionnego zaczęła wkrótce odzyskiwać utracone tereny, a nawet zbliżyła się w błyskawicznym marszu do Warszawy. Zachecone tym przykładem armie północne ruszyły także naprzód, tak, że zaczęły one zagrozić Warszawie od północy, a nawet wkrótce i od zachodu, jeśli by udało im się przejść Wisłę dajmy na to we Włocławku, gdzie był odpowiedni most, którym ewentualnie można by przeprowadzić wojsko i artylerię. Przerazenie ogarnęło cały kraj. Czyżby dopiero, co uzyskana wolność miała trwać tak krótko i zakończyć się nową niewolą, tym razem bolszewicką, a jak ów bolszewicki raj wygląda wielu widziało na własne oczy. Warszawa postanowiła bronić się do upadłego. Kto tylko czuł się na siłach zgłaszał się, jako ochotnik do formujących się formacji, nawet kilkunastoletni chłopcy i księża jak ks. Skorupka, który sam dając przykład bohaterstwa zagrzewał ludność cywilną do walki i stawiania oporu „do ostatniej kropli krwi”. W całym kraju zgłaszał się, kto mógł. Mężczyźni do wojska, kobiety do pracy w ambulatoriach wojskowych i szpitalach. Misja francuska mająca siedzibę w Warszawie pomagała w zorganizowaniu obrony. Przesyłano z Francji instruktorów i bron kraj gotował się do walki, pełen entuzjazmu, ale i obaw, co dzień następny przyniesie. Ojciec oczywiście będąc niewidomym, nie mógł zaciągnąć się do wojska, Janusz miał zaledwie 14 lat, więc o wzięciu udziału w jakiegokolwiek czynnej akcji nie mogło być mowy, trzeba było raczej myśleć o uniknięciu, o ile to tylko będzie możliwe, spotkania z bolszewikami, na co oczywiście nikt nie miał ochoty. Owszem podobno były wypadki, że w powiatach granicznych z państwem bolszewickim sympatyzowano z wrogiem, a nawet z pewnym utęsknieniem wyglądano jego ukazania się. Spodziewali się, bowiem że z chwilą zwycięstwa bolszewików zaistnieje możliwość odebrania panom ziemi, tak jak to miało miejsce na obszarach całej Rosji. Jednak u nas gdzie agitacja bolszewicka jeszcze nie dotarła, tego rodzaju nastawienie zdarzało się raczej rzadko. Panował jednak ogólny niepokój i oczekiwano z napięciem, co nadchodzący dzień przyniesie. Jeśli chodzi o nas Rodzice zdecydowali, że z chwilą przekroczenia przez Rosję Wisły we Włocławku, natychmiast dla uniknięcia spotkania z wrogiem wyruszymy na zachód do Wyszakowa lub Chytrów i tam będziemy czekać na rozwój wypadków. Nikt przecież nie wątpił, że uda się zatrzymać wroga. Ponieważ z Włocławka do Wicininia było ca. 35 km, więc na pokonanie tej niewielkiej odległości, dla konnych oddziałów, wystarczało około dwu godzin. To też stały przed podjazdem 2 wozy załadowane najcenniejszymi rzeczami zaprzężone w czwórki najscislejszych i najwytrwalszych koni. Siedzieliśmy w hallu gotowi do wsiadania na wozy z chwilą, gdy Ojciec dyskurujący stale przy telefonie dowiedział się, że bolszewicy weszli do Włocławka.

Ponieważ z fomalni nie zdecydował się na rozstanie się z rodziną i ruszenie w świat nie wiadomo na jak długo⁸¹, postanowiono, że Janusz (BKM 438) i jego przyjaciel Witold, (BKM 1054) Szczesniowski, który właśnie u nas spędzał wakacje, będą powozili. Chłopcy uradowani i dumni, że darzono ich tak odpowiedzialną i ważną funkcją, krążyli wokół wozów nie rozstając się ani na chwilę z czterokonnymi elkami batami widowymi oznakami szczytu, który ich spotkał. Stałe sprawdzali, czy aby wozy należycie nasmarowane i odpowiednio załadowane, a najmłodsza moja siostra (8 lat), fanatyczna miłośniczka zwierząt pełna obaw, że może w ostatniej chwili zostanie zapomniany koszyk z rodziną kotką będącą pod jej opieką, już zawnieszczyła ów cenny bagaż na jednym z wozów. Był to dzień 15 sierpnia, nawiasem mówiąc, wszyscy zapomnieli, że tego dnia były moje imieniny, z które uroczystość obchodzone, starsi zgnębieni i zdenerwowani, oczekujący z największym niepokojem tego, co najbliższy dzień przynieść może. Nagle rozległ się klakson zbliżającego się samochodu i na załamanym słońcem podjeździe ukazuje się warty wóz, a w nim stryjostwo Joachimowie w towarzystwie p. Smólskiego; wszyscy oni stoją w samochodzie, głośno wołając: „Warszawa wolna, bolszewicy uciekają w popłochu”. Łatwo sobie wyobrazić naszą radość i to uczucie niewymownej ulgi, że zniknął koszmar, który nas gnębił przez ostatnie tygodnie i nie tylko nas, ale cały kraj. A to wszystko stało się w dniu święta Matki Boskiej. Zaczęliśmy płacząc z radości sciskać się i całować, że to Ona, Królowa Polski, uprosiła cud⁸². Niezapomniane to wydarzenie przeszło do historii, jako Cud nad Wisłą. Jedynie chłopcy nie podzielali ogólnej radości. Musieli zrezygnować z oczekującej ich niezwyklej przygody, w której mieli tak ważną odegrać rolę, to też z prawdziwym żalem rozstawali się ze wspaniałymi czterokonnymi batami. Koszyk z kotką rodziną powędrował na swoje miejsce, a kociaki nieswiad tego, że zostały pozbawione możliwości odbycia pierwszej z życia podróży, musiały się pocieszyć dodatkową porcją mleka. Wozy zostały rozładowane w błyskawicznym tempie, życie zaczęło wracać do normalnego stanu. Stryjostwo opuściwszy pośpiesznie Wiecinin ojechali do Warszawy, gdzie zresztą wkrótce zamieszkali. Stryj (BKM 202) wkrótce został senatorem z ramienia Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego⁸³. Poprzednio po powrocie z Paryża, gdzie, jako sekretarz generalny Delegacji Polskiej na Konferencję Pokojową brał czynny udział w jej pracach zamieszkali krótko w Poznaniu, gdzie ich syn Włodzimierz, (BKM 434), który już wcześniej opuścił Paryż, aby wziąć udział w wojnie z bolszewikami, zaczął studiować prawo i ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim.

⁸¹ Chodziło instynktownie o to by być na miejscu, kiedy padnie hasło do rabunku. Tak było w Rosji i tak powtórzyło się w Polsce. Wiosna zniszczyła kapitał, a teraz narzeka, że jest niedoinwestowana i nie ma gdzie pracować. Przyczyn oczywiście nikt nie zna, ani o nie nawet, nie pyta. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁸² Jakżeś naiwna jest ta wiara w cuda, ale wtedy tak było, a twórcą i beneficjentem tych legend był Kościół. Przecież, jeśli Bóg wszechmogący istnieje to rządzi światem optymalnie i nie zmienia swych decyzji zależności od mniej lub bardziej gorliwych względnie „przekonywujących” modlitw. Przecież Bóg wszechmogący nie może kierować się ludzką logiką i posiada znacznie lepsze rozeznanie tego, co jest właściwe i dobre. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁸³ Senator w latach 1921-1927. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

24. WIECININ po WOJNIE 1920 r.

Tymczasem życie w Wecininie zaczęło się układać względnie spokojnie, a nawet było dość urozmaicone dla mnie, która byłam już dorosła (18 lat). Przede wszystkim zabrałam się do wykorzystania wiadomości nabytych na kursach ogrodniczych i zaczęłam organizować przestawienie naszego ogrodu na taki, który mógłby przynosić określone dochody.



68.

Tak mniej więcej wyobrażam sobie moją Matkę w latach 20-tych,
tj. w chwili przejmowania „rzadów” w Wecininie

Ponieważ nie było w pobliżu jakiegos większego ośrodka miejskiego zapewniającego zbyt na owoce i warzywa, zdecydowałam się na spróbowanie uprawy roślin leczniczych, a następnie zaczęłam próbować hodowli nasiennej. Posrednikiem w zawieraniu kontraktów z nabywcami roślin lekarskich, był pewien sprytny i zresztą zupełnie kulturalny⁸⁴ Żyd gospodarujący na niedużym majątku w naszym dalekim sąsiedztwie, który dzięki uprawie na dużą skalę roślin lekarskich doszedł do podniesienia i to znacznego dochodowości swego majątku. Z uprawy owych roślin miałam różne przygody i kłopoty, co w rezultacie zniechęciło mnie do nich. Dla ilustracji przytoczę jedną z nich: mianowicie posadziłam walerianę. Gdy tylko podrosła, nie wiadomo, jakim sposobem dowiedziały się o tym wszystkie chyba okoliczne koty i całe noce okropnie miaucząc wygrzebywały z ziemi jej korzonki, bijąc się żarcie między sobą o każdy choćby najmniejszy kawalek. Kotów nigdy nie lubiłam, a po tych nalotach i stratach zdegustowałam się do nich definitywnie i zrezygnowałam raz na zawsze z uprawy waleriany, zresztą bardzo popłatnej. Woliałam znacznie poświęcić się hodowli nasion ogrodniczych, której zresztą pozostałam wierna i w Paniewie.

⁸⁴ Oto obraz podwójnej moralności. Jak potrzeba landrynek w Izbycy, to bron Boże nie kupuje się ich u Żyda. Jak potrzeba kontaktów handlowych to nagle Żyd jest dobry, zycliwy i o dziwo nawet „kulturalny”. Dlaczego zresztą Żydzi mieliby być „mniej kulturalni” od Polaków? Żydzi w swej masie byli znacznie bardziej kulturalni, bo choćby od tysięcy lat wszyscy umieli czytać i pisać, a liczni Polacy nie. Zasługi Żydów dla rozwoju polskiej i światowej kultury są niewymierne. Oto rezultaty urabiania pejoratywnego obrazu Żyda przez Kościół katolicki.

Jednym z najmilszych wspomnień związanych z pracami w ogrodzie, w których Matka odgrywała dużą rolę, było jesienne odbieranie przez nią tzw. wymiaru, tj. uzgodnionej z dzierżawcą sadu ilości owoców, jakie winien był dostarczyć w zamian za korzysci, jakie czerpał z dzierżawy sadu. A były to ilości niemałe. O ile dobrze pamiętam powinien dostarczyć 8-10 korcy (100 kg) gruszek, 12-15 korcy jabłek tej gatunki, których Matka zadawała i to sam wybór. Sliwki i inne owoce jak czereśnie, wiśnie itp. powinien przynosić w ciągu lata w miarę ich dojrzewania: Jak już wspomniałam piwnice mieliśmy duże, więc było gdzie owoce przechowywać, amatorów na nie nigdy nie brakło, trzeba też było niejednokrotnie posłać różnym znajomym koszyki gruszek, lub jabłek. Matka uważała, że ta ilość, szczególnie zimowych jabłek nie będzie za wielka.

Odbieranie owego wymiaru, zaczynało się o ile tylko pozwala sprzyjała, zaraz po jesiennych suchych dniach, więc mniej więcej w ostatniej dekadzie września.

Po wybieleniu i wywietrzeniu piwnic, przygotowaniu odpowiedniej ilości koszyków i dużych koszy, w których przenosiło się owoce do piwnic przed południem, kiedy to już jesienią rosa opadała z drzew, Matka zasiadała w wygodnym fotelu na kilka długich godzin, by ostrożnie sortować przynieszone w koszykach i składane na dużych stosach obok niej owoce. Z tego stosu biorąc każdą sztukę do ręki obejrzała, czy nie ma skazy albo plamy, które by podczas długiej zimy mogły spowodować gnienie owocu, składała je do owych wielkich płaskich koszy, które w miarę jak się zapełniały odnoszono pod moją eskortą do piwnic, gdzie następnie układałam je na półkach i półkach ogonkami do góry. Rzadko, kiedy nadawałam za tą robotą i najczęściej długie jesienne wieczory spędzałam w piwnicy, aby opróżnić kosze na dzień następny. Ilekroć później przechodziłam obok sadów, gdzie jesienią zrywano owoce, przypominałam sobie, jak tę czynność wykonywano u nas i zamknawszy oczy widziałam Matkę w chusteczce na głowie siedzącą pod rozłożystą jabłonią, chroniącą ją od bardzo jeszcze o tej porze gorących promieni słonecznych, a dookoła niej piętrzyły się stosy kolorowych owoców. W glebi migaly sylwetki zrywających owoce, rozesmiane twarze chłopaków, a także sadowego i ogrodnika niosących już zerwane i zsypanych je jak najostrożniej na stos okalający Matkę. Bardzo żałuję, że nie znalazł się nikt, kto by namalował lub przynajmniej sfotografował owocobranie. Byłby to na pewno ładny obrazek sielsko-anielski.

Jak już poprzednio pisałam przebudowa domu zgodnie z planem znakomitego architekta, późniejszego profesora architektury, wypadła zadowalająco, mimo, że nie udało się zmienić werandy od południowej strony na projektowany duży taras. Obecnie dom z frontowej strony niczym nie przypomina dawniejszego, tym bardziej, że nie było już dawnej wygodnej, a przecież szpecącej całość oficyny, zastąpił ją trawnik, a na nim różne kwiaty i byliny. Obecnie przed wejściem do domu ujętym czterema kolumnami był obszerny, okrągły plac także duży, by można było objechać swobodnie pojazdem zaprzężonym w czwórce koni.



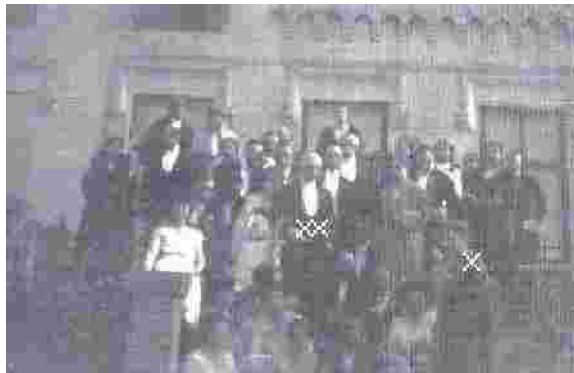
69. Tak wyglądał podjazd pod dwór w Węciminie w 1998 r. Tętno zupełnie zdziczało. Zdjęcie wykonane przez wnuka autorki, Stanisława Górskiego w listopadzie 1998 r.

Otaczały go grupy pięknych rzadkich iglaków, między nimi wspaniałe ogromne zlocisty cis, egzotyczne jodły, a także ogólnie lubiane dla swych licznych drobnych czerwonych kwiatostanów krategusy. Między tymi drzewami kryła się brama, przez którą wjeżdżało się na podwórze, a obok niej między dwoma akacjami mała laweczka, na której Ojciec bardzo lubił siadywać, tym bardziej, że tam nie obowiązywał zakaz palenia papierosów. Ojciec bardzo często siadał tam w porze, kiedy konie i bydło wracało wieczorem do domu, a miał tak wyostrzony słuch, że poznawał po na ogół nieuchwytnych dla ludzi dźwiękach, co się na całym podwórzu dzieje. Z owym placem przed domem wiąże mi się wiele wspomnień. Latem bywało w Wicininie prawie zawsze dużo osób, spędzali oni przed domem w różny sposób, ale ponieważ obiad był zawsze 12-ej, więc już mniej więcej na pół godziny przedtem można było spotkać domowników wracających na obiad i zatrzymujących się na chwilę przed domem dla podzielenia się „ostatnimi wiadomościami”. Wtedy jakby specjalnie na ten moment czekał, ukazywał się zaszyty dotąd w okalających plac krzewach osioł emeryt i wsuwał długie ucho między rozmawiających, mówiło się wtedy: „patrzcie osioł przyszedł na plotki”.

Dom po przebudowaniu znacznie się powiększył. Przede wszystkim przybył obszerny hol, z którego szerokie schody z ładną balustradą prowadziły do cokolwiek mniejszego niż tamten górnego hallu, gdzie stał stół, kanapa i kilka foteli. Z hallu rozchodziły się korytarze prowadzące do pięciu pokoi gościnnych i służbowych schodów, a także do kilku mniejszych i większych schowanek, i do spiżarni gdzie przechowywano zapasy maki, cukru itp. Z dolnego hallu wchodziło się na prawo do pokoju jadalnego, gdzie oprócz dawnego ogromnego stołu, krzesel i kredensu stała niewielka debowa szafka, w której przechowywano bieliznę stołową i kilka podrecznych butelek z alkoholem, pudełka różnych słodczych itp. Pokój ten ozdabiał dwa duże na całą wysokość pokoju lustro w debowych ramach z niskimi konsolami. Z jadalnego były drzwi do małej dyskretnie ukrytej spiżarenki i do kredensu, czyli do pomieszczenia przeznaczonego na zmywanie naczyń. Tu była też winda, która wciągano z kuchni znajdującej się w suterenu półmiski z potrawami, gotowymi do podania na stół. W hallu oprócz ładnej i wygodnej kanapy i stołu oraz kilku krzesel i dwóch foteli nie było żadnych innych mebli, chyba, że zaliczymy do nich ogromny żelazny tzw. Dauerbrand, czyli stale grzejący piec opalany koksem. Dosypywano się do niego dwa razy na dobę ściśle określona ilość koksu i piec rozgrzewał się tak bardzo, że zapewniał wystarczającą temperaturę nie tylko w pokoju jadalnym, ale i w salonie, a także w górnym hallu. Na lewo z drugiej strony hallu był salon, który nie uległ zmianie. Był niedawno przemalowany i meble pokryte pięknym adamaszkiem. Przybyły tylko cztery kinkiety, dwa ogromne alabastrowe wazony i naprawdę wyjątkowo piękna mahoniowa intarsjowana etazerka, na której Matka ustawiła kilka wartościowych bibelotów. Z salonu przechodziło się do dawnego saloniku, który jednak wyglądał obecnie inaczej niż poprzednio. Stały w nim empiryczne meble, pokryte amarantowym jedwabiem. Pod ścianami stały dwa szerokie lustro w złożonych ramach. Na podłodze leżał piękny perski dywan. Tu też początkowo stał portret Matki. Dopiero po jej śmierci przewiesiliśmy go do sąsiedniego pokoju tzw. zielonego (od koloru obicia mebli tych samych, które dawniej stały w saloniku), gdzie najwięcej spędzaliśmy czasu. Chcieliśmy żeby nam, jeżeli już inaczej być nie mogło, towarzyszyła, choć z portretu. Pokój ten był przez nas wszystkich najbardziej lubiany. Na środku stał duży stół, na którym leżały abonowane pisma i tygodniki, a także mapy, słowniki z Larousse'em na czele, znajdowały się przybor do pisania, gry itp. Dookoła ścian stały szafy biblioteczne pełne książek, a w narożniku koło pieca z ładnym kominkiem stała arcywygodna kanapa i kilka foteli, a także niezbyt duży stół z wazonem świeżych kwiatów. Dodatkową atrakcją tego pokoju było bezpośrednie wyjście na werandę, a z niej do ogrodu. Zapomniałam dodać, że największą ozdobą saloniku był wyjątkowej urody drewniany złożony pirowy zyrandol. Równie ładnego nigdzie nie widziałam. Z zielonego pokoju przechodziło się przez mój pokój, dawniejszy sypialny Rodziców, do następnego, Janusza, z niego do małego korytarzyka, na końcu którego była łazienka, W.C. i dwa pokoje mniejszy Młodego i starszego Ojca, gdzie był telefon. Z tego korytarzyka przechodziło się do głównego korytarza, a z niego do kredensu, spiżarni i pokoju Marcina. Stąd też było zejście na dół do suterenu, gdzie znajdowała się kuchnia, pralnia, piwnice na owoce, wino i węgiel. Na końcu korytarza było wejście, z którego wszyscy domownicy korzystali. Interesantów Ojciec przyjmował w niezmięnionej dawnej kancelarii, do której prowadziły drzwi z saloniku, a z zewnątrz wchodziło się osobnymi schodami prosto z ogrodu.

Tak, więc dom był nie tylko bardziej reprezentacyjny, ale przede wszystkim obszerniejszy, to też Matka była zadowolona, a Ojciec, gdy już skończyły się kłopoty związane z przebudową, poszukiwaniem materiałów budowlanych no i przede wszystkim niekonczącymi się wydatkami, jakie ta impreza soba pociągała, był rad, że mimo braku wzroku mógł zakończyć zamierzoną inwestycję. W chwilach szczeroci powtarzał: „przynajmniej pozostawie po sobie widomy znak”. Dodatkowo Rodzice byli radzi, że teraz, kiedy jedna z córek jest już dorosłą panną, a druga też wkrótce nią będzie, mają odpowiednio urządzony dom, w którym będzie można przyjmować liczniejsze grono gości, a także urządzać taneczne zabawy, czyli prowadzić tzw. „dom otwarty”. Zaczął się dla mnie okres bywania. Moim pierwszym, białym, (1920 r.) urządzany przez 15-ty pułk ułanów Wielkopolskich, w którym służył wuj Stefan (BKD 62) Dambski, brat mojej Matki. Bal miał być oczywiście w Poznaniu, w białej sali Bazaru, w okresie karnawału. Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. A żeby dostać się do Poznania, trzeba było dojechać do Łuszczewa, aby tam wsiąść na stacji Gopło do pociągu jadącego do stolicy Wielkopolski. Dopiero chyba w roku 1921-ym lub 1922-gim skończono budowanie nowej trasy kolejowej łączącej Warszawę z Poznaniem. Wtedy najbliższa stacja było Kolo. Jednak na początku 1919 roku najwygodniej było wykorzystać możliwość zatrzymania się w Łuszczewie. Bardzo lubiłam te „przerwy” w podróży do Poznania, owa konieczność zatrzymania się w gościnym domu dziadków Mittelstaedtów. Dom Łuszczewski był obszerny, nie to dwór ni pałac, niezbyt ładny, ale za to pięknie położony nad rozległym jeziorem Gopłem, otoczony starym pięknym parkiem, gdzie nawet spacerowały pawie roztrzaskując barwne ogony.

Jednak najwięcej fascynowały mnie liczne wiszące w jadalni portrety prababek w pięknych dekolowanych sukniach z piórami wpiętymi w misternie ułożone fryzury, a takżeereg marsowych postaci pradziadków w barwnych mundurach różnych formacji wojskowych. Ogromnie też lubiłam starego służącego Jana i zawsze ogromnie mnie bawił sposób, w jaki nakrywał do stołu. Był to, bowiem tajemniczy obrządek, w którym bron Boże nie pozwolił sobie przeszkadzać, mrużąc, że mu się wszystko pomyli. Jan, bowiem nie kładł nakryć jeden po drugim, tylko biegł dookoła stołu stawiając talerze to tu, to tam. Wreszcie wykorzystując jego dobry humor poprosiłam niesmiało o wyjaśnienie tych skomplikowanych zabiegów. Zdziwiony moim brakiem domyslności wyjaśnił z powagą, że czynność tę należy wykonywać uwzględniając godność osób mających wziąć udział w posiłku i gdyby zaniedbał tego obowiązku byłoby to równoznaczne z uchybieniem godności danej osoby. Miał też jeden zabawny zwyczaj, który kiedyś poatrzymałam zszedłszy wcześniej do jadalnego pokoju. Ponieważ Jan wiedział, że dziadek przywiązuje dużą wagę do punktualności, wobec tego, jeśli np. nie zdążył przygotować wszystkiego na wyznaczoną godzinę, spojrzawszy na zegar wskazujący spóźnienie, szybko wskakiwał na stojący obok tabor, nastawiał zegar dajmy na to na godzinę dziewiątą, następnie otwierał drzwi do pokoju dziadka, oznajmiając, że podano do stołu. Dziadek stając na progu jadalni rzucał okiem na zegar i widząc, że wskazuje właściwą godzinę stwierdzał z uznaniem: „Muszę Jana pochwalić za tak wzorową punktualność”. My, którzy byliśmy świadkami manipulacji poczwierzęcą, dusiliśmy się dyskretnie ze śmiechu, ale nigdy nie zdradziliśmy jego tajemnicy. Po tej dygresji wracam do mego pierwszego balu. Jak przed chwilą wspomniałam zima była wyjątkowo mroźna i śnieżna, jechało się, więc do Gopla⁸⁵ saniami. Twarze z obawy przed odmrożeniem miałyśmy okutane ciepłymi szalikami, zostawiając jedynie niewielki otwór dla umożliwienia dostępu powietrza. Jednak widocznie mój otwór był za duży, na skutek, czego odmroziłam sobie fatalnie policzek. Przyjechawszy do Bazaru, gdzie miałyśmy zarezerwowany pokój, zaczęłyśmy stosować wszelkie możliwe środki, aby jakos te czerwona plama zatuszować. Pozostała mi do dzisiaj, tak, że gdy spojrzę na nią, przypomina mi się to wszystko, co przed 61 laty w związku z nią przeżyłam. Otóż casus ten, choć blaha była złą wróżbą. Pierwszymi w odzyskanym po wojnie Poznaniu i to wyprawiany przez odkrytą chwałę za udział w zwycięskich walkach zwalczanych z obroną a następnie odbiciem Lwowa Ukraincom, pułk ulanów poznańskich skończył się fatalnie. W momencie, gdy zabawa na dobre się rozkreciła, usłyszeliśmy kilka głośnych strzałów. Powstało zamieszanie, dopytywano się z niepokojem, co się stało? Okazało się, że pewien oficer mający jakieś osobiste porachunki z kolegą, zaprosił go do swego pokoju i po gwałtownej sprzeczce oddał do niego kilka śmiertelnych strzałów. Oczywiście bal został przerwany, organizator przeproszając gości za zawód, jaki ich spotkał, starali się jak najprędzej się ich pozbyć, zanim policja wkroczy na salę. W kilka miesięcy później, jako rewanż za poprzedni nieudany bal, ulani 15 pułku urządzili tym razem bal, ale już nie w Warszawie, tylko na zamku, dawniejszej rezydencji cesarza Wilhelma dzisiejszej Filharmonii Poznańskiej. Tym razem wszystko udało się jak najbardziej, bawiłam się bardzo dobrze, tak, że wróciłyśmy zadowolone i pełne wrażeń.



70. Uczestnicy jednego z „balów” w Wecininie, na tarasie wychodzącym na gród. Maria (BKD 52) Bartoszewicz, późniejsza Karnkowska została oznaczona (X), a Dziadek Jan (BKD 51) Bartoszewicz (XX).

Miałam już 19 lat. Czas było - jak się to mówiło - „wprowadzić mnie w świat”, to też Rodzice zdecydowali wydać bal. Jako pretekst użyto daty imienin Matki, dzień św. Stanisława, a więc 8 maja. Dom obecnie nadawał się jak najbardziej na przyjęcie licznych gości. Trzeba, bowiem pamiętać o tym, że wielu z nich nocowało, przyjeżdżali nieraz z daleka i z konieczności trzeba było im umożliwić choćby jednodniowy odpoczynek. Było to szczególnie istotne dla tych, którzy przybywali z poznańskiego, bo zgodnie z ówczesnym obyczajem zapraszało się na zabawy taneczne nie tylko młodzież, ale także starszych członków rodziny. Oczywiście nie zapomiano o sąsiadach, z którymi utrzymywano bardziej zażyłe kontakty. Obmyślając i projektując całą imprezę było trzeba koniecznie zastanowić się, czy stosunek ilości młodzieży meskiej do ilości zaproszonych panien będzie właściwy, tak, aby panny nie musiały siedzieć znudzone pod ścianami, z niepokojem wypatrując ewentualnego dansera. Miano też na uwadze, by zapraszać młodych ludzi tzw. heiratsfähig, czyli mających warunki do założenia rodziny. Trzeba też było przewidzieć czy wśród zaproszonych gości znajdzie się odpowiedni kandydat na wodzireja.

W tamtych czasach tanczono przede wszystkim szczególnie w naszej okolicy ulubionego kujawiaka, mazura i figurowego walca. Tance te wymagały odpowiednio utalentowanego wodzireja.

⁸⁵ Gopło, to była także nazwa stacji kolejowej w pobliżu Gopłowa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Matka te wszystkie rzeczy miała w głowie. Było, więc, czym myśleć o i co się starać, aby całość imprezy wypadła możliwie najlepiej. Tapera zamówiono z Warszawy, „pożyczono” dwu kucharzy, jednego z Wyszakowa (ciotka Zota (BKD 59) Rembowska, II^v. Unruzyna) i drugiego z Ozorzyna (babka Słubicka), a także dobrze się orientujących w czekających ich funkcjach z okazji takiej galowej imprezy, kilku służących. Wszystko udało się doskonale, młodzież wytanńczyła się przy dobrej muzyce do białego rana, kucharze spisali się bez zarzutu, nawet i starsi goście nie nudzili się, mając możliwość zagrania paru partyjek preferansa lub bridge’a w zacisnej kancelarii, gdzie ustawiono kilka stolików do gry, a także parę wygodnych foteli dla ewentualnych kibiców. Dzień był pogodny i ciepły, to też wiele osób wykorzystywało sposobność przejścia się po ogrodzie i podziwiania jego uroków. Pamiętam, że jeszcze rano po białym mazurze, większość młodzieży wybrała się dla ochłody na dłuższą przechadzkę po ciętych szpalerach.

Dodatkową atrakcją był mój brat stryjeczny Włodzimierz (BKM 434) Bartoszewicz, który biorąc tak niedawno udział w pracach swojego ojca Joachima Bartoszewicza, w czasie konferencji pokojowej i jej zakończeniu w Paryżu, przywiózł stamtąd wiele zupełnie u nas nieznanych piosenek, które zresztą śpiewał doskonale i tak sugestywnie, że wkrótce większość zebranych mogła mu towarzyszyć śpiewając razem przynajmniej niektóre melodyjne refreny. Przytaczał też najrozmaitsze dowcipne „powiedzonki” i dowcipy, a robił to z takim wdziękiem i prawdziwym talentem aktorskim, że oczarował wszystkich. Pamiętam doskonale, jak by to było wczoraj, gdy nazajutrz po balu, kiedy wszyscy pozostali, jeszcze na miejscu goście, zmęczeni po wczorajszych tańcach rozsiedli się na wygodnych rozłożystych kanapach, aby trochę poplotkować i podzielić się wrażeniami z ubiegłej nocy, wtedy ciotka Zota (BKD 59) ziewając dyskretnie oświadczyła stanowczym tonem „Tak się wczoraj wytanńczyłam, że nie ma siły ludzkiej, która by mogła zmusić mnie do wstania z tej tak wygodnej kanapy”. W momencie, kiedy to mówiła stryj Joachim podszedł do fortepianu zagrał kilka taktów najbardziej przez wszystkich lubianego kujawiaka i to z takim zyciem i werwą, że zanim ktokolwiek zorientował się w tym, co się dzieje wszyscy już wirowali po wspaniale wyslizganej poprzedniej nocy posadzce. Dopiero po chwili, gdy zwabieni z dalszych pokoi pozostali goście staneli w drzwiach salonu i widząc, co się dzieje, wybuchnęli gromkim śmiechem, pełni zdumienia, co może zrobić muzyka pełna tak niezwykle „fajeru”. Wszyscy zaczęli gratulować stryjowi, że swoim kujawiakiem udało mu się poderwać do tańca na pół drzemiacie i zbalowane towarzyszyki.

W każdym razie Rodzice mogli być zadowoleni, bo wszystko wypadło doskonale i jeszcze długo potem wspomniano udaną zabawę w Wiecininie. Następne dwa lata były najbardziej roztanconym okresem w moim życiu. Rodzice panien, które były zaproszone do nas czuli się w obowiązku zrehabilitowania się za pamięć i z kolei zapraszali nas przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Nina (BKD 498), moja młodsza siostra była jeszcze w Szymanowie. Ojciec nie mogąc z powodu utraty wzroku brać udziału w tego rodzaju spotkaniach rzadko nam - to jest Matce i mnie - towarzyszył. Tak się składało, że właśnie w okresie najbliższych dwu lat kilka moich kuzynek wyszło za mąż.

.....

(brak strony)



71. Joachim (BKM 202) Stefan Bartoszewicz, senator II RP.

Matka (BKD 50), która była bardzo przywiązana do swojej rodziny, starała się o ile to było możliwe odwiedzać swoje siostry, szczególnie ciotki Janine (BKD 622) Trzebińska w Chytrowie i Zote (BKD 59) Rembowska w Wyszakowie. Zwykle jeździliśmy razem, bo i ja również bardzo obie ciotki lubiłam. Okres wakacyjny bywał u nas bardzo wywiony, gdyż Matka pomyślała zawsze o tym, abysmy mieli jakichś miłych gości w naszym wieku. Przyjeżdżały bardzo ładne i mile nasze kuzynki Brzezinskie z Krakowa, Ada (BKM 481) późniejsza Laszczkowa i pełna życia Stasia (BKM 820), późniejsza Bujalska⁸⁶, w której po kolei kochali się wszyscy kuzyni.

Odwiedzała mnie też moja koleżanka z Szymanowa Lidka L., z którą utrzymywałam bliższe stosunki, przyjeżdżały od czasu do czasu obie Tabaczynskie z Redcza, najczęściej jednak Hela, późniejsza, Jaholkowska, rzadziej Gabrynia Karczewska z Czamanina, późniejsza Karłowska. Jeśli chodzi o młodzież meska, to była sprawa trochę trudniejsza, Janusza koledzy byli jeszcze tak jak i on sam niedorośli chłami, to też ci młodzi ludzie, co przyjeżdżali byli to przeważnie koledzy Włodzimierza jeszcze z kijowskich czasów. Zawsze podczas letnich miesięcy bawili u nas stryjostwo Joachimowie, którzy byli zawsze jak najbardziej pozadanymi gośćmi, szczególnie stryj, człowiek, którego chyba najbardziej po moim Ojca kochałam. Był nie tylko wybitnie mądry i wykształcony, ale jeszcze do tego niesłychanie miłym i uroczym człowiekiem. Nie znam nikogo, kto by go nie lubił i nie cenił. Miał przy tym cechy właściwe ludziom mądrym, to znaczy był w obcowaniu bardzo bezpośredni, a przy tym niesłychanie wyrozumiały, umiejący się dogadać z każdym, nie tylko równym mu intelektem i wykształceniem, ale i najgłupszym, a po skończonej rozmowie, każdy interlokutor odchodził z przekonaniem, że został przez pana senatora należycie oceniony i zrozumiany.

⁸⁶ Iv-to Narkowiczowa (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 2012-07-17).



72. Dziadek, Jan (BKD 51) Bartoszewicz na schodach domu w Mecininie, schodzących do ogrodu, z Ada (BKM 481) Brzezinska późniejsza Laszczkowa.



73. Ta sama partia wiecininiego dworu na fotografii z 1996 r., po 50 latach użytkowania go przez „kulturalnych” Polaków. Wg prymasa Wyszyńskiego „taki ustrój, jaki był nie mógł się ostać”.

Stryj również lubił przyjeżdżać do nas, bo jedynie tu mógł jeździć konno, co zawsze dla niego było niczym niedająca się zastąpić przyjemnością. Jego obecność była dla nas młodych szczególnie pożądana, gdyż znakomicie grał do tańca i mógł bez zmęczenia robić to cały wieczór. Miał też znakomity słuch. Bywało, że jak ktoś zanucił, nawet nieudolnie, nieznaną mu przedtem melodię, momentalnie dobierał odpowiedni akompaniament i nowy „kawalek” przybywał do wieczornego repertuaru. To też nie było wieczoru, aby w salonie nie rozlegały się dźwięki ulubionych kujawiaków, czy węgierskich czardaszów. Amatorzy poważniejszej muzyki, mieli możliwość przysłuchiwania się przed południem muzykowi stryjce, która codziennie poświęcała dwie godziny, na konieczne dla każdego wykonawcy muzyki poważnej ćwiczenia. Grywała też Chopina, a także nowych mistrzów. Jeśli o mnie chodzi, to specjalnie lubiłam Rachmaninowa. Można też było prosić o zagranie specjalnie preferowanego utworu, chętnie czyniła zażycie prośbie, rada, że może zrobić komuś przyjemność. Dużo czasu spędzaliśmy na grze w tenisa, dalekich spacerach, jeździe wieczorem łódka po jeziorze, co zawsze było bardzo romantyczne i jeśli to było możliwe, towarzyszyliśmy Ojcu lub stryjowi w ich konnych przejazdach, a nawet i w dalszych wyprawach. Wymyślano coraz to nowe urozmaicenia. Pamiętam, że jeden z nowych pomysłów wywołał nie lada sensację. A było to tak. Przy drodze prowadzącej do Mchowa (należy do państwa Wacławostwa Szamowskich) rosła rozłożysta dzika grusza, obsypana jesienią mnóstwem słodkich ulegalek. Nie wiem, co było przyczyną, że to miejsce cieszyło się sławą. Twierdzono ogólnie, że pod gruszą straszy. Aby utrwalic legendę, zainscenizowaliśmy rzecz następującą: pewnego letniego wieczoru, kiedy zazwyczaj wszyscy mieszkańcy wsi, a nawet starsi, wychodzili po kolację na dwór, aby zaznać trochę chłodu, a dzieciaki kreciły się jeszcze wszędzie, zatem nie ulegało wątpliwości, że zamierzone przez nas poczynania zostaną zauważone. Po przebraniu się w odpowiednie dla nocnych zjaw szaty, a więc przescieradła, derki itp. i włożywszy na głowy jakieś fantastyczne nakrycia, ukryliśmy się w zalesionym z gruszą zagajniku. Kiedy zmrok zapadł, uzbrojeni w kosy, kije i rozmaite groźne narzędzia zaczęliśmy pojedynczo opuszczać zagajnik, aby powoli zasiasc koło drzewa, na niby to naradę, staraliśmy się oczywiście tajemniczo pomrukiwać, a nawet jęczeć zażalnie. Gdy wreszcie ściemniło się zupełnie zaczęliśmy podnosić się kolejno i iść powoli w kierunku jeziora, a raczej tzw. zalki leżącej na skarpie do niego przylegającej. Tu trzeba wyjaśnić, że owa zalka to był rodzaj cmentarza starosłowiańskiego, czyli tzw. „zalanik”. Dziwne, że mógł ocalać przez prawie 1000 lat. Rosło tam trochę karłowatych sosen i od czasu do czasu wykopywano tam różne rekwizyty z epoki kamiennej. Mam dotąd kamienny młotek⁸⁷, pięknie wygładzony, który z tej zalki pochodzi. Poniżej nie tylko zalkę, ale i ścieżkę do niej wiodącą można było dostrzec nawet w mroku, więc dziwne, że nasze tajemnicze postacie wzbudziły zainteresowanie.

⁸⁷ Młotek ten przekazała autorka synowi Kazimierzowi Karnkowskiemu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



74. Fotografia kamiennego młotka, znalezionej w pobliżu Wicininina i oferowanej autorce.

Po chwili dojrzelismy już spora gromadę ciekawskich. Nikt jednak nie odważył się zbliżyć, aby się przekonać, czy owe tajemniczo wyglądające postacie są naprawdę duchami. Widocznie zdecydowano, że lepiej się do nich zbytnio nie zbliżać, to też, gdy noc zapadła mogliśmy, zdjawszy nasze tak tajemniczo wyglądające stroje, wrócić niepostrzeżenie do domu. Nazajutrz staraliśmy się dyskretnie dowiedzieć, co wiesz myśli na temat całej tej historii. Odpowiadali niechętnie, w przekonaniu, że „lepiej z tego nie ruszać”. Byliśmy zadowoleni, że udało się nam jeszcze na czas jakiś utrzymać miejscowy mit o pojawiających się pod gruszą duchach.

Rodzice podobnie jak dziadkowie z Ludziska uważali, że najlepiej utrzymywać bliższe kontakty z osobami należącymi do rodziny, lub najwyżej mieszkającymi w sąsiedztwie, czego skutkiem sadze, były liczne małżeństwa między członkami rodziny, to też właściwie chyba nigdy nie wyjeżdżałam domu, aby odwiedzić koleżanki. Jedynym wyjątkiem był mój wyjazd do Lidki Łosiówny, która mieszkała w garwolińskim.

Spędziłam tam kilka miłych dni urozmaiconych pięknymi koncertami, cała, bowiem rodzina pp. Łosiów, składająca się z rodziców i siedmiorga dzieci, była wyjątkowo muzykalna.

Nie tylko rodzice, ale i każde z ich dzieci grało na fortepianie, a oprócz tego jeszcze na jakimś instrumencie, tak, że jeśli się tak zdarzyło, że wszyscy byli w domu, urządzali naprawdę wspaniałe koncerty, pod batutą p. sia do, około 1925 r.

Lidka wkrótce potem wyszła za mąż za Bolesława Podhorskiego, oficera polskich formacji wojskowych na Wołyniu. Po zakończonej w 1921 roku walce z bolszewikami i definitywnej utracie rozległych dóbr na dalekich kresach wschodnich, zdecydował się na przyjęcie rozdawanych wówczas byłym wojskowym dość nawet dużych działek ziemi, z tym, że powinny być właściwie zagospodarowane, na co nawet dawano im niezbyt duże, ale niezbędne na kupno inwentarza i sprzętu gospodarskiego pożyczki. W roku 1926-ym zaproszona serdecznie przez młodą parę wybrałam się by ich odwiedzić. Jechałam na Wołyn tym chętniej, bo od dawna marzyłam o poznaniu naszych kresów. Z wyprawy tej wyniosłam jak najlepsze wspomnienia. Osada Krechowicka była położona na dawnym poligonie wojskowym, a więc żadnych zabudowań osadnicy nie zastali i musieli początkowo mieszkać w ziemiankach z koniami, które opuszczając wojsko otrzymali i które tutaj po raz pierwszy były do pracy na roli zaprawiane. Podhorski zaczął od tego, że sprowadził rodziców, ludzi już starszych, ale jeszcze na tyle sprawnych, że mogli służyć synowi nie tylko radą, ale i pomagali we wszystkim, szczególnie przy budowie domu, co pozwoliło mu sprowadzić żonę. Wtedy, gdy tam miałam wszystkie konieczne budynki gospodarskie już wykończone, dość duży ogród starannie utrzymany, piękny inwentarz, nawet stosunkowo liczny, ale ponieważ wołyńska ziemia jest bardzo żyzna, gospodarze byli pewni, że paszy dla niego nie zabraknie. Widząc to wszystko nie mogłam się nadziwić, skąd znajdowali czas i siły, żeby podjąć ogromu pracy, choć przecież nie byli do niej zaprawieni. Podziwiałam Lidkę, że odważyła się zaangażować w życie i warunki tak bardzo różne, od tych, w których się wychowała i do których przywykła, ale widząc ją jak jest szczęśliwa i promienna, jeszcze raz przekonałam się, że miłość i wzajemne zrozumienie, mogą wynagrodzić wszelkie braki i niedogodności. W ogóle byłam pełną podziwu dla tamtejszych osadników, którzy mimo ciężkiej pracy potrafili jeszcze znaleźć czas i siły na zorganizowanie życia kulturalnego, prowadzenie różnych kursów doszkalających, szczególnie w zakresie rolnictwa, bo tamtejsi gospodarze byli z małymi tylko wyjątkami analfabetami w zakresie rolnictwa czy hodowli, to też ci, którzy mieli więcej wiadomości i doświadczenia uważali za swój obowiązek dzielenie się nimi z nowicjuszami. Urządzono także święta, gdzie można było zapoznać się z prasą, spotkać z sąsiadami czy urządzić potancówkę. Pojechalismy też w niedzielę do kościoła, mijaliśmy duże plantacje chmielu, rośliny u nas nieznanego, wsie zamieszkałe przez Rusinów z kopalniami cerkiewkami i tonacami w sadach. Droga wiodła czesciowo brzegiem malowniczo wijącego się wśród lasów Horynia. Słyszałam tam nieprawdopodobnie ilości konwali, tak, że miało się wrażenie, że właśnie spadł świeży oslepiający biały śnieg. I do tego ten odurzający zapach! Żałowałam, że zabrakło czasu, aby dojechać do Korca i móc zobaczyć tamtejszą sławną wytwórnię porcelany. Było mi tam tak miło i dobrze, że obiecywałam sobie odwiedzić uroczych gospodarzy niedługo, nacieszyć się urokami kresowej ziemi, niestety tak się złożyło, że już nigdy tam więcej pojechać nie zdołałam.

25. CHOROBA I ŚMIERĆ MATKI

Po tej dygresji czas wrócić do Wecininina. Była wiosna 23 roku. Matka, która po udanej przed pięciu laty operacji organów wewnętrznych zaatakowanych przez raka, czuła się tak dobrze, że zlekcewazyła zalecenia lekarzy, aby co pół roku poddawać się naswietlaniom radem, zabezpieczającym przed nawrotem choroby. Tej wiosny zaczęła jakos niedomagac, narzekała na ogólne osłabienie, co przypisywała przeciążeniu różnymi zajęciami i obowiązkami. Postanowiła pojechać do Wyszakowa, aby tam odpocząć w milej i pogodnej atmosferze. Jednak nie wpłynęło to na polepszenie jej samopoczucia. Czowała się raczej coraz gorzej, wreszcie ulegając prośbom Ojca i moim zdecydowała się pojechać do Warszawy do kliniki, gdzie ją operowano, aby poddać się koniecznym badaniom. Pojechałam z nią. Niestety okazało się, że rak tak gwałtownie opanował cały organizm, że jakiegokolwiek leczenia względnie operacja nic już pomóc nie mogą. Wróciliśmy do domu. Matce codziennie siła ubywało, ale mimo tego nie chciała odwołać zapowiedzianego już dawno balu w dniu 15-ego sierpnia, a więc w dniu moich imienin i wiele osób, nie wiedząc o chorobie Matki zapowiedziało swój przyjazd. Nina (BKD 498) moja siostra kończyła właśnie 18 lat i Matka postanowiła wprowadzić ją w świat jeszcze za swego życia. Wiedziała przecież, że już długo życia nie będzie. Zjechało się, jak co roku dużo młodzieży, między innymi Tadeusz (BKD 499) Karłowski z Piask pod Rawiczem, przyjaciel wujka Stefana, (BKD 62) Damskiego, który od momentu, kiedy ją zobaczył z miłością tak się w Ninie zakochał, że gotów był choćby zaraz poprowadzić ją do ołtarza. Matka chciała ukryć swe fatalne samopoczucie zażywając, co parę godzin środki wzmacniające i choć wysiłek, na który musiała się przez całą noc zdobywać dużo ją kosztował, jednak tak potrafiła się opanować, że nikomu z zebranych nawet na myśl nie przyszło, że jest śmiertelnie chora. Zaloty Tadeusza, może cokolwiek zbytnio rzucające się w oczy, nie bardzo jej się podobały, zresztą uważała, że Nina jest zbyt młoda, aby wychodzić za mąż to też raczej chłodno przyjmowała aluzje i niebedącego po jej myśli konkurenta. Nie była to odpowiednia pora, aby myśleć o tym. Po naradzie z ciotkami zostało zdecydowane, że pojedziemy do Poznania, aby umieścić Matkę w szpitalu Elżbietanek, gdzie Rodzice mieli nadzieję, że sławny chirurg dr ... podejmie się operowania chorej. Niestety po przeprowadzeniu wszystkich badań okazało się, że jakiegokolwiek zabiegów chirurgicznych są bezcelowe, gdyż choroba jest już zbyt zaawansowana. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że przebywa w Poznaniu człowiek, który leczy z doskonałym skutkiem chorych skazanych przez lekarzy na śmierć i że udało mu się uratować kilka osób, chorych na raka. Rodzice postanowili zwrócić się do owego cudownego uzdrowiciela z prośbą, aby podjął się leczenia Matki. Nie mogło być mowy o tym, aby wpuszczono go na teren szpitala, gdyż lekarze traktowali go, jako szarlatana i usilowali za wszelką cenę pozbyć się go z Poznania. Przewieziliśmy, więc naszą chorą do pensjonatu gdzie nazajutrz zjawił się p. Wojnowski. Sprawę postawił jasno. Całe badanie sprowadzało się do badania linii dłoni: „Państwo wie, jaki wyrok zapadł. Jeśli chodzi o mnie to nie daję żadnej gwarancji wyleczenia chorej, gdyż choroba jest bardzo zaawansowana. Spróbować jednak można tym bardziej, że nie macie państwo nic do stracenia”. Rodzice zgodzili się na jego propozycję, a ponieważ Wojnowski uprzedził ich, że lada dzień musi wyjechać do Warszawy, trzeba było iść tam udac. To też wprost z Poznania pojechalismy do Warszawy, gdzie Matka i ja zatrzymaliśmy się u wujostwa Kiedroniów, którzy gdy dowiedzieli się o tak poważnej chorobie Matki bardzo pocziwie zaofiarowali nam gościny, w swym na szczęście obszernym mieszkaniu na Elektoralnej. Ojciec musiał wracać do domu dla zalatwić szereg niecierpiących zwłoki spraw. Zaczęła się kuracja. P. Wojnowski⁸⁸ przychodził codziennie. Było to możliwe tylko dzięki temu, że nie zatrzymaliśmy się w hotelu lub pensjonacie, bo i tu był niepokojony przez lekarzy i musiał się ukrywać. Po czterech tygodniach leczenia jedynie przez niego preparowanymi wyciągami z ziół, Matka, która w chwili przyjazdu do Warszawy była tak słaba, że z trudem podnosiła się z fotela, teraz mogła sama bez niczyjej pomocy przejść przez Ogród Saski odległość dzielącą Elektoralną do sklepu Hersego, znajdującego się naprzeciw aż na Marszałkowskiej. Ten z małą cudowny przebieg kuracji, napelniał wszystkich nadzieją, że Matka zostanie uratowana. Niestety wkrótce potem pojawiła się gorączka i inne niepokojące objawy. P. Wojnowski zaczął usilnie namawiać byśmy wróciły do domu, utrzymując, że przebywanie na wsi chorej dobrze zrobi. Obiecywał, że od czasu do czasu będzie ją odwiedzał, aby kierować dalszą kuracją. Jestem przekonana, że widząc tak nagle pogorszenie, zorientował się, że choroba powróciła i że teraz nie może być mowy o uratowaniu Matki i dla niego będzie znacznie lepiej, jeśli Matka wyjedzie. W każdym razie nie mieliśmy do niego żadnych pretensji, bo przecież na samym początku lojalnie oświadczył, że nie daje gwarancji wyleczenia chorej, zostawiając Ojcu decyzję ewentualnego rozpoczęcia proponowanej przez niego kuracji. Postanowiliśmy jechać do domu, gdyż jeszcze przez pewien czas Matka czuła się, jako tako, jednak z początkiem grudnia jej stan tak się pogorszył, że nikt już nie miał złudzeń, że są to ostatnie tygodnie jej życia.

⁸⁸ Oto słowa świadka Zofii Kirkor-Kiedroniowej: „Nie wierzyłam w Wojnowskiego i w jego zioła, rzekomo przywiezione z Indii, nie miałam wolnego pokoju, by umieścić w nim chorą - lecz jakże odmówić takiej prośbie, skoro oni wierzyli? Węc oddałam Stachnię i jej córcę (Marii z Bartoszewiczów Karnkowskiej) nasz sypialny pokój, mąż przeniósł się do Władzia, a ja sypiałam w przechodniej ciemnej jadalni na kanapie.

Wojnowski zrobił na mnie bardzo złe wrażenie. Jego bezgraniczna pewność siebie nie zaimponowała mi, a we wzroku jego czułam coś tak niedobrego, że mnie to aż przerażało. Nie mogłam zrozumieć, że ludzie - i to mądrzy - mu wierzyli (do czasu). Prawda, że zwracano się do niego wtedy, gdy wszystko inne zawiodło. A tonacy brzytwy się chwytła.

Z początku wydawało się, że siła Stachnię przybywa, wstała na parę godzin, raz nawet spacerowała trochę w Saskim Ogrodzie. Ale ta poprawa trwała krótko. Czy biedna moja kuzynka ufała dalej w wyzdrowienie, czy zwątpiła? Nie wiem. Zachowywała wciąż spokój i pogodny uśmiech. Śmierci się nie bała, bo wiara jej żywa była.

Kiedy po kilku tygodniach Janek (Jan Bartoszewicz) zabierał żonę do Wecininina, Wojnowski zapowiedział, że przyjedzie na Boże Narodzenie i będzie z nią tańczył mazura. Gdyby istotnie był pojechał trafiłby na pogrzeb”. (Podano za: Zofia Kirkor-Kiedroniowa WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom III, str 102/ 3). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

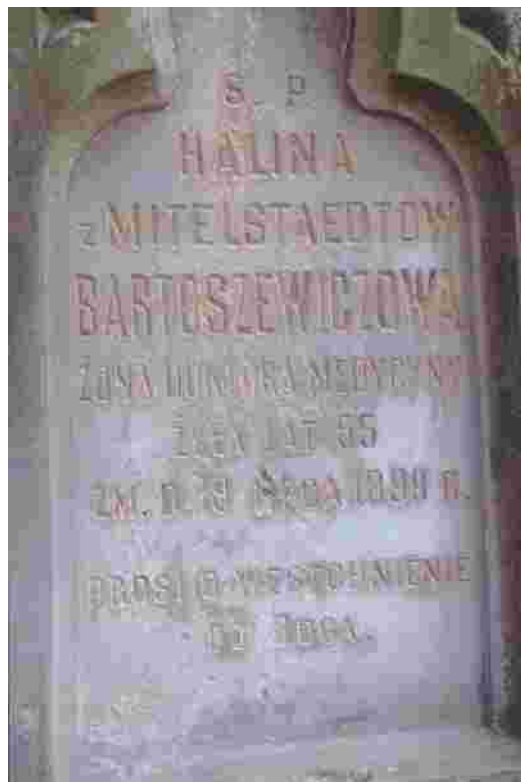
Mimo, że były dni, kiedy bardzo cierpiała, nie chciała używać żadnych środków znieczulających. Twierdziła, że widocznie Bóg tak chce, by już tutaj odpokutowała za swoje winy. Jeśli chodzi o mnie, to na czas jej choroby wyłączyłam się całkowicie ze wszystkiego, co się w domu działo, cały czas przebiegając w jej pokoju i sama czyniąc zadania wszystkim zabiegom pielęgnacyjnym, jakich tak ciężko chora potrzebowała. Ojciec zdając sobie sprawę z tego, że muszę być tym tak długo trwającym czuwaniem i pielęgnowaniem Matki zmęczona, sprowadził fachową pielęgniarkę z Poznania. Nie wpuszczałam jej jednak do pokoju Matki, utrzymując, że nie zmienię decyzji pielęgnowania chorej do końca. Ojciec widząc, że nie ulegnę odesłaniu pielęgniarki z powrotem.

Tadeusz (BKD 499) Karłowski pod różnymi pozorami zaglądał do Węcina, a cwidując Ninę (BKD 498), był też i wtedy, gdy widocznym było, że nadchodzi moment odejścia Matki. Prosił o możliwość widzenia się z nią. Przyszli oboje Nina, o której reke prosił. Matka (BKD 50) wyraziła zgodę, prosząc go równocześnie, aby dla młodej nieznaną życia dziewczyny był zawsze troskliwym opiekunem. Tego wieczoru w niedzielę 23 grudnia 1923 roku, Matka spokojnie, gdyż bóle ustąpiły, umarła we śnie. Na krótko przedtem przyjechała ciotka Nuchna (BKD 49) Damska, aby choć trochę pomóc mi w pielęgnowaniu chorej.



75.

Grobowiec rodziny Bartoszewiczów
na cmentarzu w Brdowie.



76.

Grobowiec rodziny Bartoszewiczów
na cmentarzu w Brdowie, zbliżenie.



77.

Tablica nagrobkowa Stanisławy (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowej, na cmentarzu w Brdowie.

byli też stryjostwo, no i Tadeusz dysponujący samochodem, co ogromnie ułatwiało załatwianie szeregu spraw, tym bardziej, że trzeba było się spieszyć, bo przecież Boże Narodzenie było tuż, a pogrzeb miał się odbyć w trzecie święto.

Spodziewaliśmy się dużego zjazdu rodziny, trzeba było przygotować gościnne pokoje, tym zajął się Janusz. Gdy nadeszła chwila wyniesienia trumny z domu, ksiądz po pokropieniu jej wodą święconą, pożegnał serdecznie zmarłą zaczynając zdaniem: „Zegnamy dziś prawdziwie wielką Panią o chrześcijańskim sercu czułym na potrzeby i biedy każdego”.

Zaczynała się właśnie wtedy groźna zima, która trwała bez najmniejszej przerwy do maja. Mróz już w dniu pogrzebu był tak silny, że ciotki z obawy przed odmrożeniem głowy, kładły gazety pod krepowe kapelusze. Do Brdowa, dokąd było prawie 7 km nikt prawie iść się nie odważył. Za trumną szli wszyscy, ale tylko do granicy majątku. Potem szli tylko: wuj Kazimierz (BKD 48) Dambski, p. K. Szczesniowski, wielki Matki przyjaciel (podpierający się łaską, gdyż był kulawy, na skutek złamania przed kilku laty nogi), Janusz, (BKD 500) i ja (BKD 52). Liczni członkowie rodziny, łącznie z Ojcem, (BKD 51), który jeszcze był bardzo słaby po niedawno przebytej bardzo poważnej operacji wewnętrznego wrzodu, Nina, (BKD 498), która właśnie w przeddzień pogrzebu bardzo bolesnie zwichnęła nogę, jechali noga za nogą za trumną umieszczoną wysoko na przybranym zielonym wozie. Konduktowi towarzyszyli chyba wszyscy mieszkańcy Wiecinina, a także wielu ludzi z pobliskich miejscowości. Po pogrzebie goście rozjeżdżali się szybko, bojąc się, że z powodu mrozu i śniegu pociągi przestaną kursować. Tadeusz musiał do wiosny zostawić samochód, gdyż nie było mowy by mógł nim wyruszyć do domu.

26. WIECININ po ŚMIERCI MATKI

Zostaliśmy sami, z tym, że Ojciec, (BKD 51), jeszcze przez dość długo nie mógł przyjść do siebie. Nina, (BKD 498), także tygodniami musiała leczyć zwichniętą nogę, a mnie, (BKD 52) męczyły bardzo dokuczliwe bóle krzyża, tak, że mogłam siedzieć jedynie w fotelu i to podparta kilkoma poduszkami. Byliśmy wszyscy takimi laikami, jeżeli chodziło o sprawy związane z chorobami i ich leczeniem, że nikomu nie przyszło do głowy, aby zasięgnąć porady lekarza i zabrać się do koniecznej kuracji. Kładziono to wszystko na karb przemeczenia skutkiem tyle miesięcy trwającego pielęgnowania Matki, (BKD 50), podnoszenia jej itp. Uważano, że na pewno, powoli wszystko przejdzie i rzeczywiście po kilku tygodniach ból zaczął się zmniejszać; z tym, że odtąd ilekroć zdenerwowałam się, lub zmęczyłam, ból się odzywał. Jestem pewna, że ówczesne zaniedbanie (prawdopodobnie przesunięcie się kręgow, co spowodowało skrzywienie się kręgosłupa) sprawiło, że na szczęście dopiero w wieku 72 lat, kiedy to nie miałam już żadnych specjalnych obowiązków, powaliła mnie trwająca już prawie sześć lat bardzo ciężka i nieuleczalna choroba, która unieruchomiła mnie zupełnie.



78. Niedługo po śmierci Matki, Janina, (BKD 498) Bartoszewicz wyszła za mąż za Tadeusza, (BKD 499) Karłowskiego.

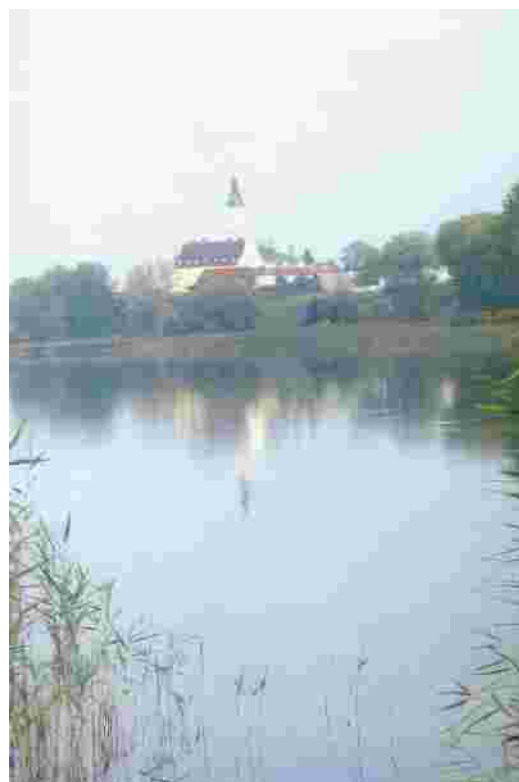


79. Janina, (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowska.

Zbliżała się powoli wiosna, trzeba się było jakos przemóc, i zacząć myśleć o ślubie Niny, (BKD 498), gdyż Tadeusz (BKD 499) naglił, aby się mogli pobrać jak najprędzej, przynajmniej w ostatnich dniach kwietnia. Należało, więc spieszyć się z zamówieniem wyprawy dla Niny, to znaczy kazać uszyć nie tylko kołnierzyki osobista, (gotowej się wówczas nie używało), ale i poscielowa, wyhaftować monogramy na obrusach i całej pozostałej bieliznie. Wybraliśmy się do Warszawy, aby skorzystać z rad stryjenki Bartoszewiczowej. Zdecydowano powierzyć wszystkie te prace renomowanej szwalni na Powislu, prowadzonej przez zakonnice. Zakład wywiązał się z powierzonego mu zadania bez zarzutu, praca była wykonana niesłychanie starannie, a w dodatku punktualnie, na czym nam bardzo zależało. Nieważ na skutek przeciągającej się choroby Ojca powstało szereg niezalutwionych spraw i niecierpiących zwłoki terminów, trzeba było dość często jeździć do Kola, oczywiście tylko saniami, gdyż śniegi były tak ogromne, że pozasypywały całe wsie. Jedynie cienkie smutki dymów wznoszące się z kominów świadczyły o tym, że żyją tam jeszcze nie całkowicie zasypiani ludzie.



80. Brdów. Kościół parafialny członków rodziny Bartoszewiczów z Wecinina. Zdjęcie z lipca 1999r.



81. Kościół w Brdowie leżał w najszerszym miejscu jeziora. Zdjęcie z 6 października 2000 r.

Ślub Niny (BKD 498) odbył się 29-go kwietnia, czyli właściwie w pełni wiosny, a tymczasem było tak zimno, że musieliśmy jechać do kościoła włożyć futra. Ziemia była tak przemarznięta, że orki wiosenne można było zacząć dopiero z początkiem maja, i dopiero wtedy zaczęły się ukazywać pierwsze listki na drzewach. Z powodu załoby ślub miał być cichy, zaproszono też tylko najbliższą rodzinę. Ślubu udzielał starszy brat Tadeusza ks. Kazimierz Karłowicz. Jednak o małżeństwo mogliśmy mieć przedtem pogrzeb trzech jedynaków: pana odeggo (miał tylko siostry i brata księdza) Włodka (BKM 434) Bartoszewicza i mego brata (BKD 500) Janusza. (BKD 499) Tadeusz na kilka dni przed zakończeniem swego kawalerskiego żywota, zaprosił owych dwóch młodych ludzi do Piask na tzw. „obłanie kawalerskich gości”. Na drugi dzień po prawdopodobnie zbyt obfitej libacji wrócili jeszcze nie zupełnie trzeźwi do Wecinina i gdzieś w pobliżu Kościelca stoczyli się z szosy do przydrożnego rowu. Gdy oprzytomniawszy wydostali się spod do góry kołami wywróconego wozu, podziękowali Bogu, że choć potłuczeni i podrapani, są jednak żywi i zdrowi, samochód jednak nie nadawał się do dalszej drogi i nie pozostawało nic innego jak zatelefonować do Wecinina – prośba o przysłanie po nich i samochód koni. Oczywiście Tadeusz, aby nie niepokoić Wecinina i czekających cierpliwie na ich powrót zdecydował nic nie mówić o przyczynie katastrofy wspominał tylko, że samochód się zepsuł i potrzebuje naprawy. Gdy wreszcie pojawili się zastanowiono nas, że wszyscy jakos niechętnie stają w świetle lampy. Dopiero po chwili okazało się, że są mocno posiniaczeni i podrapani. Zaczęło się pilne przykładanie kompresów i smarowanie jrozmaitszymi maseczkami, aby lekkomyślnych młodzieńców, a szczególnie pana młodego doprowadzić do jakiegoś takiego stanu. Wkrótce po uroczystościach ślubnych państwo młodzi pojechali do Biarritz, gdzie zamierzali spędzić miodowy miesiąc.

W domu zapanowała cisza i spokój. Janusz, (BKD 500) wyjechał do szkoły rolniczej w Gembloux w Belgii. Zaczynał się w moim życiu nowy okres, pełen przeróżnych problemów i konieczności sprostania wielu nielatwym obowiązkom. Przez ostatni rok, kiedy Ojciec, (BKD 51) był zaabsorbowany chorobą Matki, (BKD 50), a potem po przebytej operacji długo nie mógł sam przyjść do siebie, wreszcie różne sprawy związane z zamążpójściem Niny i wyjazdem Janusza zagranicę, wszystko to sprawiło, że nabrało się wiele zaniedbanych spraw i interesów, które teraz należało załatwić, to też dość często jeździliśmy do Warszawy dla ich sfinalizowania.



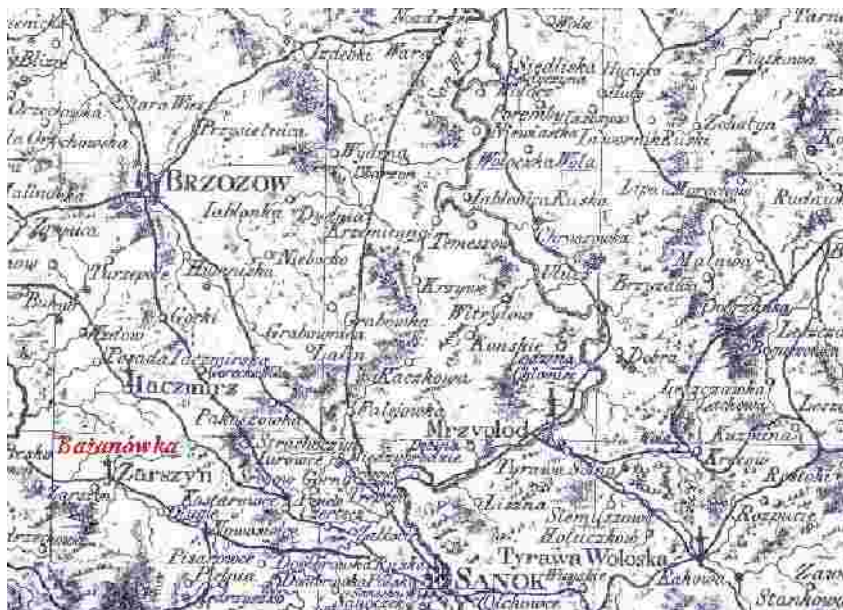
82. Tadeusz Karłowski, (BKD 499) maz Janiny, (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowskiej.

Zatrzymywaliśmy się u stryjostwa, którzy mieli na Brackiej dość obszerne mieszkanie, co pozwoliło im na wygodne ulokowanie nas nawet na kilka dni. Stryj, (BKM 202) był wówczas bardzo zaangażowany w działalność polityczną. Jako jeden z senatorów reprezentujący Stronnictwo Narodowe, musiał z konieczności utrzymywać ożywione stosunki z szeregiem i wybitnych jednostek czynnych w ówczesnym życiu politycznym. Celem uniknięcia codziennych odwiedzin, stryjostwo zdecydowali się na zapraszanie raz w miesiącu na tzw. „five” te osoby, z którymi utrzymywali stosunki towarzyskie. Bywało wtedy u nich czasami po kilkadziesiąt osób. Staraliśmy się nasze wyjazdy tak ułożyć, aby móc brać udział w owych „five’ach”. Była to niczym niedająca się zastąpić okazja poznania wielu wybitnych ludzi, zetknięcia się ze zgoła innym niż nasz, wiecinowski świat. Korzystając z dość częstych odwiedzin w stolicy, Ojciec odnowił zaniedbane od lat, dawniej bardzo bliskie stosunki z Wujostwem Władysławostwem Grabskimi. Wuj, (BKM 206) był wówczas premierem i równocześnie ministrem skarbu.

Prócz nich byli jeszcze wujostwo Kiedroniowie (on, (BKM 466) był wtedy ministrem górnictwa), z którymi złożyliśmy się podczas choroby Matki, to też nie brakło domów, gdzie nas serdecznie zapraszano i gdzie miałam możliwość poznania wielu ludzi, którzy odegrali znaczną rolę w życiu politycznym kraju.

Wtedy to powstał projekt, którego zapewne autorką była ciotka Grabska, (BKM 473) (wiem, że bardzo lubiła swą ciotkę) mego małżeństwa z panem Rodicz-Laskowskim, osobistym sekretarzem premiera, bardzo przez niego cenionym i lubianym również przez jego żonę. Był to bardzo miły, elegancki, mniej więcej 40-letni człowiek, który poświęcił się karierze politycznej. Miał także ofiarowany mu przez jego bliskich krewnych niewielki majątek w ziemi sanockiej, Bazanówce. Jesienią 1924 roku przyjechali z nim wujostwo Grabscy, (BKM 206 i 473) na kilka dni urlopu wujów, wtedy to miały miejsce oświadczenia, które przyjąłem, a nawet wymieniliśmy pieczęć. Boże Narodzenie tego roku spędziliśmy w Piaskach wraz z narzeczoną, a następnie pojechalismy do wujostwa Trzebińskich, (BKD 622 i 623) do Chytrów, aby go im zaprezentować. Ojciec, (BKD 51) zdecydował, że powinniśmy wybrać się do Bazanówki, aby móc dać sposobność opiekunom i wychowawcom mego narzeczonego poznać mnie. Oboje byli to już ludzie starzy i bardzo schorowani, dla których wybranie się do Wiecinina z tzw. „podziękowaniem” za przyszłą synową byłoby bardzo uciążliwym przedsięwzięciem. Przy sposobności zaprezentowania się starszemu państwu, miałabym możliwość poznania domu i warunków, w których żył mi przyjdzie, przynajmniej przez część roku, bo projektowaliśmy, że choć będziemy musieli przebywać większą część roku w Warszawie, gdzie mój naręczony miał zamiar dalej pracować w ministerstwie, tym bardziej, że praca na roli niezbyt go pociągała, to jednak ja będę częstym gościem w pięknej wioskowej, która mi się podobała.

Był tam modrzewiowy dwór, kryty gontem, pięknie umeblowany, pełen starych rodzinnych portretów i wiele pięknych artystycznych rzeczy, co wszystko razem mogło być dla mnie prawdziwym magnesem. Ponieważ jadąc do Bazanówki mieliśmy prawie po drodze Rudną, gdzie mieszkali wujostwo Stefanowie, Dambscy (najmłodszy brat (BKD 62) mojej Matki (BKD 50), który ożenił się niedawno z panną Zofią, (BKD 63), również jak on Dambska, tylko, że z linii małopolskiej, właścicielką pięknego majątku Rudna pod Rzeszowem).

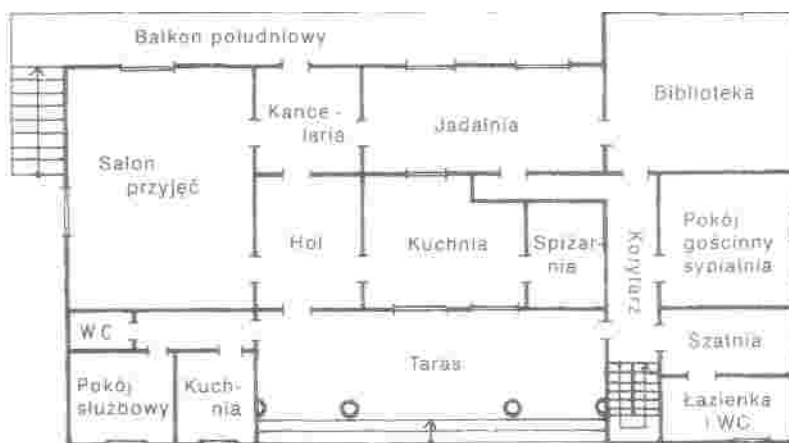


83. Bazanówka, majątek p. Rodicz-Laskowskiego, pierwszego narzeczonego Marii, (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowskiej.

Wybraliśmy się we trójkę, bo dołączył do nas dziadek J ef, (BKD 64) Damski ze Szczkowa, który chciał koniecznie odwiedzić najmłodszego bratanka.



84. Dwór w Bazanówce, na początku XXI w.



85. Rozkład pomieszczeń dworu w Bazanówce, stan do roku 1945.

Po kilkudniowym pobycie w Rudnej, pojechalismy razem z mym narzeczonym do Bazanówki wynajętym przez niego samochodem, gdyż nie istniało pomiędzy tymi dwoma miejscami żadne dogodnie połączenie kolejowe. Droga była bardzo malownicza, przez Krosno i Jasło. Oboje starsi panowie przyjęli nas bardzo gościnnie i serdecznie, mieliśmy wrażenie, że są zadowoleni z wyboru ich przybranego syna i wychowanka. A zatem wszystko zapowiadało się raczej pomyślnie, jednak ja nie mogłam jakos naprawdę zakochać się w moim narzeczonym, a bez miłości nie wyobrażałam sobie małżeństwa, aż wreszcie z ciężkim sercem, bo przecież wiedziałam, jakim to będzie dla tego zacnego człowieka ciosem i nie tylko dla niego, ale i dla obojga zacnych przybranych rodziców, którzy tak bardzo - jak miałam okazję o tym się przekonać - pragnęli tego związku, zdecydowałam się odesłać mu pierścionek; poczułam się wolna i nigdy nie żałowałam tego kroku.



86.

Kazimierz Laskowski.
Do r. 1920 właściciel Bazanówki.



87.

Baron Daniel Rodicz - Laskowski, siostrzeniec
Kazimierza Laskowskiego, w latach 1920 do
1944 właściciel Bazanówki.

W międzyczasie nastąpił fakt, który miał duże znaczenie dla nas wszystkich, mianowicie sprowadzenie się do Wiecinina pp. Topińskich, dotychczasowych właścicieli Wrzacej, z których szeroko hodowców koni. Interesy ich stały tak złe, że musieli Wrzaca sprzedać i zamierzali zamieszkać w Warszawie. Tymczasem p. Topiński stracił nagle wzrok i z finansami było krucho, ale ponieważ pani Topińskiej należała się dość poważna suma od jej szwagra p. Przyłubskiego, który za żonę dostał rodzinny majątek Trzebuchów, z tym, że miał spłacić resztę jej rodziny. Pan ten człowiek o wyjątkowo niskim morale, ani myślał wywiązywać się ze swych obowiązków finansowych. Zaczął się proces, dla którego przypilnowania, pani Topińska pragnęła być jak najbliżej spraw decydujących o ich egzystencji. Zwróciła się z prośbą do Ojca, czy nie mogłaby wraz z mężem zamieszkać na jakiś czas w Wiecininie. Ojciec w porozumieniu się ze mną zaprosił ich do Wiecinina na tak długo, jak beda tego wymagały ich interesy. Dom się ożywił, Ojciec, który od dawna przyjaźnił się z nimi, a szczególnie z panią Zofią, cieszył się, że może ich gościć u siebie. Pani Topińska starała się na różne sposoby być pożyteczna, prowadziła dom, w czasie kilkakrotnych w tym czasie dłuższych moich wyjazdów, czytywała często Ojcu i chodziła z nim na długie spacery itp. Pobyt pp. Topińskich znacznie się przedłużał, proces włócił się bez końca, tak, że gdzieś dopiero w 1928-ym roku wyjechali do Warszawy i zamieszkali na Saskiej Kępie, gdzieśmy ich dość często odwiedzali, szczególnie Ojciec, gdyż przyjazne stosunki nigdy nie zostały zerwane⁸⁹. Jeszcze przed przybyciem pp. Topińskich do Wiecinina, Ojciec zaangażował młodego człowieka, p. Piusa Trabczyńskiego, siostrzenca proboszcza z Lubotynia, który zwrócił się do Ojca z prośbą, aby wciągnął młodzieńca w arkana gospodarstwa rolnego, mając nadzieję, że ułatwi to jemu znalezienie pracy w którymś z sąsiednich majątków, bo jak twierdził, młodzieniec nie mógł kształcić się wyżej, gdyż jak to jego stryj określił - miał „zaciemnia umysł”. Rzeczywiście orłem nie był, miał natomiast wiele zalet przede wszystkim przywiązał się serdecznie do Ojca i zresztą do nas wszystkich. Czuliśmy się jak w rodzinie. My wszyscy także bardzo go lubiliśmy, co nie przeszkadzało nam przy różnych okazjach „dworować sobie” z wyjątkowo naiwnego młodzieńca. Przypominam sobie pewien zabawny epizod: Pewnego dnia towarzyszył Ojcu w codziennej konnej przejażdżce, zresztą ogromnie to lubił i był dumny, że zdobył takie zaufanie Ojca, że mu na to pozwolił. Otóż w czasie tej przejażdżki wstąpili do jednego z naszych sąsiadów, aby mu zaprezentować świetnie ujeżdżoną, piękną wierzchówkę, na której właśnie jeździł Pius. Podczas obiadu była o tym mowa i jedno z nas zapytało: „jakże się sówka p. X. podobała?”, na to Pius: „Owszem, konia pochwalił i dodał: „Ale siedzi Pan na niej, jak kot na płocie” i uważając, to powiedzenie za doskonały żart, zaczął się śmiać serdecznie. Wtedy p. Topińska z całą powagą zwróciła mu uwagę na to, że takie odezwanie było zgola obraźliwe i że powinien z tego wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Na to po chwili głębszego zastanowienia się Pius zdecydował: „Ma pani rację, zaraz tam pójde i zapytam, co miał na myśli, odzywając się do mnie w ten sposób”.

⁸⁹ Jeśli mogę sobie przypomnieć, to po wojnie w czasie naszego pobytu w Malborku, otrzymaliśmy od pp. Topińskich pomoc finansową. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Ledwie powstrzymaliśmy go do tego kroku nie chcąc, aby się biedak jeszcze bardziej osmieszył. Zajęłoby zbyt dużo miejsca przytoczenie w tych wspomnieniach wielu wprost komicznych sytuacji, w których ten zawsze usmiechnięty i wszystkim życzliwy młodzieniec, był głównym bohaterem. W każdym razie wszyscysmy go naprawdę bardzo lubili i wzajemnie, bo nawet wtedy, kiedy opuścił Wiecinin i przeniósł się do Łodzi, kilkakrotnie Ojca odwiedzał, a po wojnie odszukał mnie w Poznaniu i wiele razy mnie tu odwiedza i stale ze mną koresponduje. W każdym razie jego pobyt w Wiecininie zwalniał mnie od stałego towarzyszenia Ojcu, tak, że mogłam więcej czasu poświęcić najpierw na rozwinięcie plantacji i uprawianie roślin leczniczych, a następnie na rozpoczęcie hodowli roślin nasiennych, o czym już poprzednio wspominałam. Założyłam pasieki - o zbyt miodu kłopotac się nie było potrzeba - zawsze znajdował chętnych nabywców. Ojciec pozwolił powiększyć areal przeznaczony pod uprawę wyżej wymienionych roślin tak, że był to 3 hektarowy kawałek doskonałej ziemi dotykający ogrodu. Do pomocy miałam Stanisława Placheckiego, najmłodszą latorośl licznej rodziny, która po śmierci ich ojca wychowała się i pracowała tylko w wiecininie, pełniąc szereg najrozmaitszych funkcji. Jeden z jej przedstawicieli Andrzej był przez szereg lat furmanem, kiedy to Andrzejewski z powodu wieku musiał zrezygnować definitywnie z pełnienia tej szczytnej funkcji. Jako emeryt został tak zwany pisarzem, czyli osobnikiem, który miał klucze od spichrza, wydawał obroki, pilnował niewiast, które były krowy, a w godzinach wolnych od swych zasadniczych obowiązków szuflowały zboże leżące w dużych przyzmacach, młynkowały takowe itp. Trzecim rzędu był Ignac. Najpierw był lokajczykiem, a następnie forysem, a po śmierci swego brata przejął jego funkcje. Stanisław od najmłodszych lat pracował w ogrodzie i pod moim kierownictwem doszedł do tego, że został zupełnie dobrym ogrodnikiem, a w szczególności zapalonym pszczelarzem, co sprawiło, że po wojnie dorobiwszy się własnej dość dużej pasieki, sprzedawał znaczne ilości doskonałego miodu nawet i w Poznaniu. Stanisław był wyjątkowo inteligentny, interesował się historią i geografiami, stale pożyczał mi książki, szczególnie dzieła Sienkiewicza, które wprost namietnie pochłaniał, a gdy ożenił się z córką naszego kochanego Marcina, jeszcze bardziej związał się z nami.

Na moją prośbę Ojciec zbudował nowe bardzo porządne kurniki z dużym wybiegiem. Drób mógł sam wychodzić i wchodzić z kurników przez znajdujący się tuż nad ziemią otwór. Pozwoliło mi to na prowadzenie racjonalnej hodowli drobiu, z kontrolą nosności. Tutaj moja prawa reka była już niemłoda, ale ogromnie energiczna niewiasta - p. Jaronska, zwana ogólnie „Jarosia”. Była całkowicie oddana powierzonym jej plectwu. Opowiem rzecz, która wydaje się być nieprawdopodobna, zareczam jednak, że jest jak najbardziej prawdziwa. Chodzi o to, że stale ginęły z kurnika jajka. Nie wiadomo było, co się z nimi dzieje. Pewnego dnia ukrytymi drzwiami kurnika Jaronska daje mi tajemnicze znaki wzywające do przyjścia. Zbliżyłam się po cichu i ku memu zdziwieniu zobaczyłam rzecz następującą. W otworze, przez który kury wychodziły do ogrodzenia ukazał się szczur. Mielismy w tym czasie prawdziwą ich plagę. Leżał na plecach, trzymając ostrożnie w łapkach jajko, a drugi ciągnął go za ogon aż do siatek. Szybko wydrapał pod nią wystarczająco duży otwór, którym po chwili przeciągnął czekającego na to szczura z jajkiem, poczem obaj w błyskawicznym tempie zniknęli w pobliskich zarosłach. W ten to przemysłowy sposób troskliwie szczurze matki dostarczały swemu potomstwu smakowity i pożywny posiłek. Kiedy indziej Jarosia wypatrzyła jak ta sama droga lasica wynosiła jajko trzymając je jak najostrożniej w swych przecież długich i tak bardzo ostrych zabkach. W ogóle p. Jaronska była bardzo dociekliwym obserwatorem. Przekonałam się o tym niejednokrotnie. I tak np. osioł, o którym już kilkakrotnie pisałam, który był już na tak zwany laska chlebiec, a zatem został zwolniony z wszelkich obowiązków z wyjątkiem jednego: w południe to jest w porze, w której należało odwiedzić do znajdującej się we wsi mleczarni świeżo udojone mleko i trzebaby w tym celu oderwać od południowego obroku jednego z fomalskich koni, Ojciec kazał posługiwać się w tym wypadku osłem. Ten jednak bardzo tego nie lubił i czując, że zbliża się pora, kiedy zaprzęgna go do mleczarskiego wózka, ginał tak dokumentnie, że nie było sposobu go znaleźć, aż wreszcie zniecierpliwiony fomal rezygnował z daremnych poszukiwań, zaprzęgał pierwszego z brzegu konia i mleko odwoził. Gdy już na podwórzu zapanowała cisza, osioł najspokojniej zjawił się i z tryumfalną miną kierował się w stronę ogrodu. Nieoceniona p. Jaronska któregoś dnia wypatrzyła, że gdy nadchodzi południe osioł dyskretnie przemykał się wzdłuż kurników i po chwili w nich ginał⁹⁰, a gdy niebezpieczeństwo, którego chciał uniknąć minęło, z najniewinniejszą miną wychodził z ukrycia. W ogóle osioł ten miał wiele mniej lub bardziej zabawnych przygód, z których dzięki wrodzonemu sprytowi wychodził zawsze obronna reka, to też uważam, że powiedzenie: „jesteś głupi jak osioł” jest jak najzupełniej nieuzasadnione, co może potwierdzić choćby historia, która chce tu przytoczyć. Pewnego majowego dnia, osioł wybrał się na dłuższy spacer i doszedłszy do pola wonnej lucerny, zaszył się w jej gąszczu i nie zważając na możliwość fatalnych skutków najadł się jej do syta. To też w doskonałym humorze po tak znakomitym posiłku wracał drobnym truchtem do domu. Tymczasem wilgotna po porannym deszczu lucerna zaczęła fermentować, na skutek czego niefortunny lakomczuch tak się wzdalał, że wyglądał jak balon. Powstał alarm, tak, że Ojciec w obawie, aby osioł nie padł posłał po specjalistę, aby nieszczęsny brzuch osła przebił. Tymczasem osioł nie czekając na ten jakby nie było przykry zabieg, zaczął energicznie sam się ratować. Najpierw zaaplikował sobie solidny masaż, kulając się po twardo udeptanej ścieżce, a następnie drobnym truchcikiem pobiegł do sadzawki znajdującej się na środku podwórza, wlał w sam jej środek i stał tam bez ruchu okrągła doba. Gdy Ojciec zaniepokojony tą dziwną kuracją, kazał chłopakom kamieniami go stamtąd wypędzić, absolutnie na to nie reagował, a dopiero, gdy minęły wspomniane 24 godziny, osioł smukły i bardzo zadowolony sadzawkę opuścił.

⁹⁰ Zamykając drzwi, które od środka przypierał własnym cięciem tak, że nikt już tam nie zaglądał, myśląc, że drzwi zostały zamknięte lub, że się zacięły. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Dalszym „trickiem” osła było to, że „z upodobaniem” pasł się pod jablonkami, na których dojrzewały jabłka. Kiedy nikt nie widział obrzasał owoce trąc się o pien drzewa, a następnie udawał, że szczypie tylko trawę wyjadając leżące w niej jabłka (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Prócz liczego stada karmazynów hodowałam także duże ilości kaczek, które miały w Wicininie znakomite warunki, dzięki obfitości wody i to tuż przy kurnikach (ów piek taw na koncu podwórza, o którym już wspominałam). Którejś jesieni zauważyliśmy z p. Jaronską, że kaczki zamiast przybierać na wadze widocznie chudną i są jakies nieswoje. Mimo usilnych dociekań, nie można było odgadnąć, co jest tego przyczyną. Az pewnego dnia p. Jaronska wyprowadza mnie za stodołę i nic nie mówiąc wskazuje na kaczki krecące się dookoła ogromnych wierzei zamkniętej o tej porze stodoły. Z największym zdumieniem zobaczyłam jak kaczki ustawiają się w długi szereg, z którego pierwsza kaczka stoi na ogromnym kamieniu leżącym przy dziurze obok zamkniętych wrót stodoły, po niej wdrapuje się następna tak, aby móc dosięgnąć owej upragnionej dziury, w której po chwili znika. Ta droga jedna za drugą dostają się kaczki do stodoły, aby po przejściu chyba osmiu bardzo głębokich sasieków i klepisk znaleźć się a koniec w ostatnim, gdzie po ostatniej młócce maku leżało go jeszcze dość dużo⁹¹. Kaczki rzucały się na lapczywie, aż wreszcie kompletnie odurzone i zataczające się wydostawały się przez uchylone wrota na podwórze, do którego zasadniczo nie miały wstępu. Przemykając się pod ścianami wracały na swoje kurze podwórko. Tak wydała się tajemnica, dlaczego kaczki są coraz chudsze. Trzeba było czym prędzej wszystkie je sprzedać i to po bardzo niskiej cenie.

Tak, więc zajęcia mi nie brakło, tym bardziej, że codziennie po skończonej poobiedniej drzemce⁹² dwie godziny poświęcałam na czytanie Ojcu, pragnącemu dowiedzieć się, co na świecie słychać. Jesienią i zimą, kiedy dni były krótsze i trzeba było je wykorzystywać do przypilnowania prac w ogrodzie czy gospodarstwie, rezygnowaliśmy z poobiedniej lektury, poświęcając jej za to całe długie jesienne i zimowe wieczory. Siadaliśmy w hallu, gdzie było najcieplej, ja z książką lub gazetą, Ojciec z dużą tacą pełną straków fasoli, która luskala cały wieczór. Czytaliśmy dużo, przeważnie pozycje związane z historią np. dwa ogromne tomy Gibbona. Zwykle rozchodziliśmy się po 10-jej kazdy do siebie, aby się nazajutrz spotkać przy śniadaniu.

Po wyjeździe, p. p. Topińskich i póki Janusz, (BKD 500) nie wrócił z Gembloux, a potem praktyki w Lenartowie u Witolda Maringe'a, spędziliśmy w ten sposób kilka lat. Jednak czasami, gdy udało się zdobyć specjalnie pasjonującą książkę, jak np. „La vierge rouge de Kremlin” pamiętniki sławnej kobiety - szpiega działającej na terenie Rosji bolszewickiej (nie mogę przypomnieć sobie nazwiska autorki) książka była tak pasjonująca, że nie mogliśmy się od niej oderwać. Mnie głośne czytanie nie męczyło zupełnie, to też książkę tę czytałam całą noc, póki jej nie skończyłam. Tak Ojciec, jak i ja, lubiliśmy czytać książki francuskie. Sprawa jednak była trudniejsza, jeżeli polecono nam jakąś specjalnie interesującą pozycję w języku niemieckim, którego ja prawie, że nie znałam. Pewnej zimy zarekomendowano Ojcu jakąś dwutomową dzieło w tym języku. Rzecz miała być podobno niesłychanie interesująca. Postanowiliśmy spróbować czy nie uda nam się jej przeczytać, no i jakos się udało. Początkowo właściwie rozumiałam jedynie pojedyncze słowa, to też Ojciec musiał zdobyć się na maksimum cierpliwości, żeby wytrzymać moje dukanie, ale gdy widzieliśmy, że idzie coraz lepiej, niezniechęceni początkowymi trudnościami przeczytaliśmy oba tomy, a bardzo warto, bo istotnie książka była bardzo wartościowa. Trudne to zadanie ułatwił fakt, że coraz lepiej rozumiałam to, co czytałam, a gdy ją skończyłam, to nie rozumiałam jedynie, pojedynczych słów.

⁹¹ Prawdopodobnie był to mak jeszcze niewymłócony, z makowinami, w których znajduje się opium. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁹² Matka musiała się zawsze po południu zdrzemnąć. Wnioskuję z tego, że miała podobnie jak ja narkolepsję, pod jakąś lekką postacią. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

27 . P O D R Ó Ż E K S Z T A L C A

Ojciec nie chciał, abym zupełnie zdziczała w wieciniejszej samotni, zresztą sam był bardzo towarzyski, chętnie przyjmował zaproszenia sąsiadów nawet dalszych, czy to z racji imienia, polowan, świat czy z jakiejś innej okazji. Ponieważ był bardzo miłym i ciekawym gościem i ogólnie lubianym gościem, więc okazji do zobaczenia ludzi i nowych twarzy nie brakło. Pamiętam szereg znajomych salonów, gdzie Ojciec zawsze otoczony gronem pan, siedząc w wygodnym fotelu i popijając niesłychaną ilość filiżaneczek mocnej kawy z dodatkiem dobrego francuskiego likieru zabawiał otoczenie nawet czasem frywolnymi tematami i dykteryjkami, przeznaczonymi tylko dla „dorosłych” uszu. Zawsze też przynajmniej raz do roku odwiedzaliśmy wujostwo Wisniewskich w Łazinie (ciotka Mania (BKM 200) była siostra Ojca, (BKD 51) i Stefanostwo, (BKM 756 i BKM 432) Chadzyskich w Orłowie. Było to bardzo bliskie sąsiedztwo Łazina, zresztą Halina Chadzyska, ich córka, Ojciec mój bardzo kochał. Jeździliśmy też od czasu do czasu do Chwałecic do wujostwa Suchorskich, (BKD 57 BKD 58), a po drodze zatrzymywaliśmy się na jeden do dwóch dni w Brudzynie, gdzie mieszkał przyjaciel Ojca p. Ignacy Kozuchowski, z którym dyskutowaliśmy na interesujące ich o tematy. Dodatkowym magnesem była jesienią profuzja znakomitych winogron, ulubionego owocu Ojca. Próbowano i oceniano także rozliczne gatunki win owocowych, które p. Ignacy z wielkim zapałem i zapalem, co roku całe beczki robił. Z Brudzynie graniczyło Brudzewo, gdzie mieszkały przemiłe siostry, panny Kurnatowskie, z których najstarsza Cesia, była fanatyczna, miłośniczka i hodowca koni. Rokrocznie dostarczała znakomite remonty dla wojska. Konie odwzajemniały jej miłość, którą ona je darzyła. Gdy Cesia umarła, wzdłuż drogi, która prowadziła z dworu do kościoła, stały po jej stronach trzymane przy uzdzie wszystkie wyhodowane przez nią konie. Gdy ukazała się trumna ze zwłokami ich pani, wszystkie jakby na komendę pożegnały ją żalosnym rżeniem. Nawet małej wrażliwości świadkowie tej sceny długo byli pod wrażeniem. W sąsiedztwie Brudzyna mieszkali wyjątkowo mili i wartościowi ludzie pp. Maringe'owie⁹³. On był wielkim społecznikiem. Stałe zaangażowany w jakieś nowe imprezy gospodarcze. Np. p. Tadeusz (Witold?), wspólnie z Ojcem i jeszcze kilku bardziej rzutkimi ziemianami nie tylko zainicjowali, ale i doprowadzili do wybudowania kilku wielkich spichlerzy zbożowych w Kole, gdzie można było przechowywać w odpowiednich warunkach skupione od producentów zboże, do chwili, gdy zostaną ustalone odpowiednie ceny.

Wszystkie wymienione domy były odległe od Wiecinina o wiele mil, czasem trzeba było jechać roztwornymi koniami. Właśnie w czasie tych trwających nieraz cały dzień jazd, Ojciec opowiadał mi o bliższych i dalszych krewnych, o szeregu dalszych sąsiadów, którzy dzięki zbiegowi różnych okoliczności przestali już nimi być. Rozparcelowali swe majątki i przenieśli się do miasta, gdzie nie zawsze znajdowali to, czego się spodziewali, tzn. łatwiejsze i bardziej urozmaicone życie, niż to, które dotąd prowadzili. Z wielkim zainteresowaniem słuchałam tego wszystkiego, co powoli stawało się już tylko historią. Jak już poprzednio wspomniałam najbliżej żyliśmy z Jurkami Pestkowskimi. On odziedziczył po swej ciotce Słubickiej Ozorzyn, a ona była przyrodną siostrą Stefana Chadzyskiego. Ojciec i ja także bardzo lubiliśmy ich oboje. Przyjazd ta trwa dotąd, bowiem Hanka Pestkowska przynajmniej raz do roku przyjeżdża do Poznania, aby mnie odwiedzić. Z Bierzwinna, po ożenieniu się wujem Rajmunda (BKD 102) Damskiego z jego dalszą kuzynką (BKD 103) niezbyt sympatyczną, stosunki bardzo ochłodły, ograniczając się do odwiedzin najwyżej dwa razy w roku. Dziadek Józef (BKD 64) Damski ze Szczekowa, który zmarł w 1928 roku, także raz po raz zagadał do nas, a my do niego. Jak zawsze urządzał na swoje imieniny ogromne przyjęcie, na które jeździli się wszyscy dalsi i bliżsi sąsiedzi. Uważano go za seniora całej okolicy i każdy poczuwał się w obowiązku złożenia mu życzeń w dniu jego patrona 19-go marca. Ponieważ dziadek prowadził dom raczej kawalerski, żona jego dawno już nie żyła, a jedyną córką Halina Donimirska⁹⁴ mieszkała w Kozuszkach pod Warszawą, a więc stosunkowo daleko, trzeba mu było pomóc w urządzaniu tego święta, do czego zresztą przywiązywał wielką wagę. To też na kilka dni przed 19-tym marca jechałam do Szczekowa, aby omówić menu kolacji i ustalić listę potrzebnych na te okazje zakupów. Narada trwała zwykle długo, tym bardziej, że musiałam przynosić z piwnicy wino i po próbowaniu zawartości rozmaitych pekatych gasiorków i innych butelek wybrać takie, które by mogły najbardziej uszczęśliwić przyjęcie. Zakupy załatwiał we Włocławku sam dziadek, a gdy już wszystko było na miejscu, jechałam do Szczekowa razem z Marcinem, z wielkim koszem pełnym porcelany i szkła, w co dom nasz był w przeciwieństwie do kawalerskiego domu dziadka bardzo zasobny, no i oczywiście kucharzem, jako jedna z najważniejszych figur, bez której o właściwym przygotowaniu porządnego przyjęcia nie mogło być mowy. Dziadek był niesłychanie gościnnie. Cała noc krążył między gośćmi, sprawdzając czy każdy jest należycie obsłużony i odpowiednio ich rozsadzał, dbając o to, aby każdy był zadowolony z przeznaczanego mu towarzystwa.

⁹³ Maringe'owie byli przez Orzechowskich spokrewnieni z Karnkowskimi. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Witold Maringe absolwent Szkoły Rolniczej (?) w Grenoble, wybitny rolnik i organizator był przyjacielem Teodora Karnkowskiego, meza autorki, z którym łączyły go podobne koncepcje społeczne i wizje zapowiadające upadek klasy ziemianskiej. Jego żona, Antonina Maringe, była w czasie wojny w Warszawie, bardzo czynna w konspiracji, co zostało udokumentowane w wielu wspomnieniach z tego okresu.

Po wojnie, Witold Maringe postawił swe umiejętności do służby Ojczyźnie podejmując prace w Państwowym Zarządzie Nieruchomości Ziemi. W okresie stalinowskim został oskarżony o „obszarniczy sabotaż” ludowej polityki rolnej i uwięziony.

W okresie „po stalinowskim” zrehabilitowany, uzyskał stanowisko radcy w Ministerstwie Rolnictwa, oczywiście bez uprawnień decydenckich. Było to, więc „zadosucczynienie pro forma”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁹⁴ Po wojnie mieszkali w Malborku, mieli sklepik „To-tu” i po nich autorka z rodziną przejęła dom na ówczesnej ulicy Stalina nr 43, w którym zmarł jej mąż Teodor Karnkowski. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Choc sam tak bardzo lubił partyjke preferansa lub brid a jednak tego wieczora do stolika nie siadywal. Wszedzie byl obecny, obdarzając kazdego goscia milym i zyczliwym usmiechem, zawsze zainteresowany sprawami i kłopotami ludzkimi, nie z ciekawosci tylko, ale z mysla udzielenia rady cz omocy tym, którzy tego potrzebuja.

Jak juz wspomnialam do Warszawy jezdzilismy dosyc czes Tam magnesem byl dom stryjostwa, którzy w miedzyczasie zmienili mieszkanie i przeniesli sie na Filt wa. Duzo milych wspomnien zwiazanych jest z tym nowym ich domem, jednak wiekszosc nalezy juz do późniejszego okr



88. Prof. Stanislaw (BKM204) Grabski, przed swym domem we e, na koniu „kobyłe Grabskiego”, na której dojeżdzał na Uniwersytet.



89. Zofia ze Smolików, Stanislawowa Grabska, z córkami Halina i Stanisława.

Jedna z dalszych wypraw byl wyjazd do Lwowa. Ojciec chcial odwiedzić wujostwo Stanisławów, (BKM 204) Grabskich. Wuj wykladal na tamtejszym uniwersytecie. Mieszkali poza miastem w duzym ladnym domu, własciwie byl to duż rewniany dwór otoczony ogrodem i polozony nad korytem Peltwi. Spedzilismy tam prawie cały tydzień. Korzystając z okazji, staralam sie zwiedzić, co sie tylko dalo, koscioly, a w tym bar o ladny ormianski (katedra), liczne wspaniale muzea, widzialam tez po raz pierwszy w zyciu wycigi konne, w których brali udział przedstawiciele ziemianstwa i kresowej arystokracji. Poznalam tam kilka milych osób, w ogóle pobyt ten byl bardzo ud y. Dom wujostwa nieslychanie goscinny, wieczorem przy stole zasiadalo zawsze duzo mlodziezy. Gdy zapytalam wuja, kim byli ci chlopcy i dziewczeta wuj odpowiedzial: „tak na prawde to nie bardzo wiem, kim oni sa, ale to wszystko sa kol zy i kolezanki moich dzieci”, a mial ich trzy córki i dwóch synów z pierwszego malzenstwa, a później dwie córki z ugiego. „Powiedzialem im, ze moga zaprosic zawsze na kolacje tych, o których wiedza, ze nie stac ich na porzadny posilek, a tu u mnie zawsze sie cos znajdzie”. Z prawdziwym zalem opuszczalam uroczy i goscinny Lwów, obiecuj obie, ze musze tu jeszcze przyjechac. I rzeczywiscie w jakies dwa lata potem zdarzyla mi sie okazja nie tylko odwiedzenia Lwowa, ile poznania jednego z najpiekniejszych zakatków ziemi lwowskiej. Organizowano w Jazlowcu (dom macierzysty Niepokalanek) zjazd wychowanek tego zgrupowania. Gdy tylko dowiedzialam sie o tym, natychmiast zglosilam swój akces i w oznaczonym terminie via Warszawa, gdzie spotkalam wiele kolezanek z Szymanowa pojechalismy do Jazlowca. Ten, kto nigdy nie widzial galicyjskiego Podola nie moze sobie wprost wyobrazic, jaki to piekny, malow zy kraj, szczególnie w porze, kiedy juz zaczynaja zlocic sie ogromne pola pszenicy, przerywane tylko od czasu do czasu glbokimi jarami, w których glebi widnieja szeregi bielonych lub niebiesko pomalowanych chat. Kazda z nich tonie w duzym sadzie, no i oczywiscie wszedzie ule, bo gdzie jak gdzie, ale tam włascie lezy kraina miodem plynaca. To tez roje dajace przeszło 100kg miodu rocznie, nie sa niczym nadzwyczajnym, podczas kiedy np. u nas mozna sie spodziewac najwyzej przecietnie okolo 25kg z ula. Przekonalam sie o tym zwiedzając w Jazlowcu gospodarstwo sióstr, gdzie włascie trafilam n od centryfugowanie pierwszego wiosennego miodu. Plynal nie struga, ale szeroka wonna zlocista rzeka.

Jazlowiec jest pieknie polozony. Dosc wysokie wzgórze plywa niewielka, ale toczaca wartkie wody rzeczka, a na jego szczycie otoczony szerokimi walami lezy rozlegly zamek, dawna rezydencja Poniatowskich, odpowiednio przerobiony i dostosowany do potrzeb zakonu. W 1863 roku zostal tu zalozony przez matke Marceline Darowska Zakład Wychowawczy. Wienczacy waly mur jest tak szeroki, ze mozna przejechac po nim wozem zaprzezonym w czwórce koni, a wspaniala imponujaca wielkoscia majestatyczna brama, stanowi jedynie miejsce, przez które mozna wejsc na obszerny dziedziniec, pelen dekoracyjnych drzew i pieknych starannie utrzymanych klombów i rabat.

Gdy po raz pierwszy zobaczylam te brame, przypomniała sie opowiedziana nam uczennicom Szymanowskim przez S. Marie historia, wyjasniajaca, w jaki sposob, ona Irlandka trafila do tego wylacnie polskiego zgrupowania, Otóz opowiadala, ze poniewaz juz dwie jej siostry byly jako cami, nie chciala pójsc w ich slady i zwiedzając wraz z rodzicami

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Włochy, gdzie przecież jest pełno klasztorów słynących wspaniałymi dziełami sztuki, które każdy turysta czuje się w obowiązku zobaczyć,

ona nigdy do żadnego klasztoru nie wchodziła, bojąc się, aby nie poznała w nim tego, o którym kiedyś sniła, że do niego wstąpi. W jednej podróży rodzice jej zaprzyjznili się z pewną polską rodziną i zostali przez nich zaproszeni do ich posiadłości, która była położona niedaleko Jazłowca. Z dzając okolice podjechano pod mury klasztoru, zatrzymano się przed bramą i młoda Irlandka stwierdziła z przerażeniem, że jest to właśnie ta brama, która kiedyś we śnie widziała. Po chwili wahania doszła do wniosku, że widocznie Bóg życzy sobie, aby właśnie tutaj mu służyła. Przeszła owa brama z decyzją wstąpienia do tego zupełnie jej dotąd nieznanego Zgromadzenia. Na nasze pytania, czy nigdy nie żałowała tego kroku, odpowiadała, że zawsze była i jest nadal szczęśliwa i rada, że właśnie tutaj Pan skierował jej kroki. Z Buczacza, najbliższej stacji kolei żelaznej jechaliśmy do Jazłowca wynajętymi w tym celu przez siostry wozami, na które załadowane były bagaże wszystkich, którzy mieli brać udział w rekolekcjach, a więc i arcybiskupa Teodorowicza, wielkiego przyjaciela Zgromadzenia, którego siostry zaprosiły, aby rekolekcje prowadził. Gdy znaleźliśmy się w przeznaczonych dla nas sypialniach i zaczęły rozpakowywać walizki, z największym zdumieniem zobaczyłam, że zamiast mojej garderoby znajdują się w niej arcybiskupie fiolety. Równocześnie wpadł zaferowany sługa arcybiskupa, czy nie ma u nas walizki Jego Eminencji. Z ulgą dowiedział się, że właśnie to ja ją otworzyłam, bo były do siebie zupełnie podobne.

Rekolekcje wygłoszone przez tak wybitnego człowieka, a przy tym znakomitego mówcę, pozostawiły po sobie niezapomniane wrażenie, co uzupełnił specjalnie serdeczny nastrój i niebывал prawdziwie staropolska gościnność, która zresztą panowała we wszystkich domach tego zgromadzenia. Ponieważ wyjechałam wtedy na czas bliżej nieokreślony, więc nie byłam skrepowana ścisłym terminem powrotu, a przy tym pozostało mi trochę pieniędzy, zdecydowałam się na wykorzystanie okazji i pojechałam do Worochty i Jaremcza, o których zobaczeniu zawsze marzyłam. Usilnie namawiałam moje koleżanki, aby pojechały ze mną, ale jakos żadna z nich nie zdecydowała się mi towarzyszyć. Wobec tego z chwila, gdy dojechalysmy do Stanisławowa, gdzie należało się przesiąść do pociągu idącego na południe do Worochty, ostatniej stacji granicznej, sama jedna to zrobiłam, podczas gdy wszystkie uczestniczki rekolekcji pojechały wprost do Lwowa i dalej. Przyznam się, że przez pierwszych kilka kwadransów czułam się trochę speszona, zostawszy sama w zupełnie obcej i tak różnej od tego, co dotąd znałam okolicy. Szczególnie miałam pewne obawy na temat ewentualnego noclegu w Worochcie. Wieczór się zbliżał, trzeba się było na coś zdecydować. Gdybyśmy były, chociaż we dwie, byłoby różnie. Balam się trafić w jakiś nieodpowiednie miejsce. Wreszcie poprosiłam o radę jadącego w tym samym, co i ja przedziale policjanta. Nie zawiódł mego zaufania. Przenocowałam w jakimś skromnym, ale przyzwoitym pensjonaciku, aby wstawszy równo ze słońcem dla wykorzystania długiego dnia zwiedzić Worochtę i móc jak najdłużej podziwiać otaczające ją, wysokie już tutaj Karpaty. Pogoda była wyjątkowo piękna, to też zdecydowałam się nie zjeżdżać do Jaremcza kolejką, a zejść w dół pieszo doliną Prutu. Droga była wprost cudowna. Z jednej strony dość wysokie i strome zbocza górskie dochodziły prawie do koryta rzeki. Po drugiej stronie tor kolejowy, szosa, a za nią ścieżka tuż nad płynącym z głośnym szumem i hukami, toczącym ogromne głazy Prutem. Ponieważ dno rzeki stanowi skaliste podłoże, woda jest tak niesłychanie czysta i przezroczysta, iż zdaje się, że można by w niej bez trudu odnaleźć rzuconą piłkę. Bezpośrednio ze ścieżki graniczna lasy bukowe, właśnie o tej porze najpiękniejsze, gdyż listki są jeszcze czerwone, pokryte srebrzystym nalotem, a gdy dodać do tego mnóstwo nieznanych w naszych stronach wonnych ziół, z których większość właśnie kwitła, no i wspaniały koncert najrozmaitszych ptaków, wszystko to razem utrwaliło w mojej pamięci niezapomniane wrażenie. Opuszczając Buczacze kupiłam przezrocznie bilet do Warszawy, aby na wszelki wypadek móc dojechać do domu, a że jak już mówiłam pieniędzy miałam niewiele, postanowiłam nie zaopatrywać się w żadne wiktuały, licząc, że po drodze będę mogła pożywić się kromką chleba i kwasnym mlekiem u mijających po drodze gospodarzy. Rzeczywiście gdzieś nie odmówiono mi tak skromnego posiłku, a nawet w większości wypadków nie chcąc przyjąć żadnych pieniędzy, jednak w każdym razie, kiedy pod wieczór wsiałam do pociągu w Jaremczu i po kilku godzinach znalazłam się na dworcu w Lwowie, z przyjemnością zjadłam porządny sznycel, który wyjątkowo smakował po całodziennej wędrowce. Jeśli chodzi o Jaremcze, to było ono jednym z najbardziej atrakcyjnych uzdrowisk, zawsze pełne gości. Szczególnie mieszkańcy Lwowa najchętniej tam spędzali letnie miesiące. Co do mnie, to byłam niezmiernie rada, że zdecydowałam się na wykorzystanie tej, jak się później okazało jedynej okazji, aby móc zobaczyć tę chyba najpiękniejszą część Polski, tym bardziej, że wkrótce potem wyszłam za mąż i nie miałam możliwości zwiedzania kraju, no a potem wybuchła wojna, po której, chyba już niestety na zawsze, ziemie te zostały dla Polski stracone.

Gdy wreszcie znalazłam się w domu i opowiadałam wszystkim, co przeżyłam w ciągu tych kilkunastu dni, Ojciec był niezmiernie zadowolony, że umożliwił mi poznanie nie tylko Jazłowca, ale i całej tej przepięknej krainy.

Ponieważ nie byłam jeszcze nigdy na Jasnej Górze, na którą od dawna się wybierałam, dowiedziawszy się, że panie Kurnatowskie z Brudzewa organizują kilkunastoosobową pielgrzymkę pieszą do Częstochowy, pospieszyłam skorzystać z tej okazji i dołączyłam się do niej. Droga była dość daleka, bo przeszło 130 km. Nie chciałyśmy się obciążać niesieniem furazu i bagazy, to też z wdzięcznością dowiedzieliśmy się, że pani Kurnatowska ofiarowuje nam wózek zaprzeczony w parę koni. Byłyśmy jej niezmiernie wdzięczne, gdyż ułatwiło to nam bardzo realizację naszego zamiaru. Jeśli chodzi o mnie, to byłam całkowicie niedoświadczonym piechurą, jako że w Więci nie jeździło się raczej, niż chodziło na wszelkie wycieczki. Wyobraziłam sobie, że wygodniej będzie wędrować w sandałach. Pomysł był fatalny, bo primo będąc przyzwyczajoną do obuwia na względnie wysokim obcasie, czułam się okropnie na płaskiej podeszwie i do tego w nowych sandałach, to też zaraz pierwszego dnia zrobił mi się pod stopą ogromny bąbel, który mi przez całą drogę ogromnie dokuczal. Do tego miałam na sobie bluzkę z krótkim rękawem, na skutek czego, po pięciodniowej wędrowce w pełnym słońcu i wietrze, skóra na rękach była tak spalona, że zdzieralam ją całymi płatami. Moje towarzyszkę wielokrotnie proponowały, aby skorzystać z wózka i zrezygnować z dalszej pieszej wędrowki, nie dałam się jednak skusić i dotrwałam do końca.

Noclegi były bardzo różne, czasem w stodole, a niekiedy, jeśli się trafiło na gościnnych gospodarzy i w chalupach, gdzie ofiarowywano nawet własne łóżka, podczas kiedy gospodarze przenosili się na te noc do stodoly. Szliśmy z Brudzewa przez Dobra, Sieradz, Burzenin, Siemkowice i Działoszyn, przechodząc codziennie mniej więcej 30 km. Okolica była biedna. Ziemia licha, a miasteczka zasydzone. Nie zapomnę widoku Dobrej. Mieszkali tam chyba sami Żydzi i to wyjątkowo biedota, której żywicielkami były kozy. Było ich tam tyle, że otaczające miasteczko mizernie pastwiska wprost bielily się od tysięcy pasących się na nich kóz, tych wyjątkowo nieurodzivych choć nie przeczę, że pożytecznych zwierząt. Gdy dochodziliśmy do Siemkovic, jedna z uczestniczek naszej pielgrzymki proponowała, abysmy zrobiły jednodniową przerwę w naszej wędrówce i zatrzymały się u jej krewnych pp. Karsznickich (ona Karczewska z Cienina) na jeden dzień. Zgodziliśmy się chętnie, rade, że przy tej okazji będziemy mogli poznać właściciela Siemkovic, znanego dziwaka i fanatycznego amatora zwierzyny, której miał w swych ogromnych lasach wyjątkowo dużo i to nie było, jakiej, bo prócz sarn, danieli i jeleni nie mówiąc już o dzikach. Sama rezydencja pp. Karsznickich była tak niezwykła, że dla niej samej warto było zrobić przerwę w pielgrzymce.



90.

Dwór w Siemkowicach, na północ od Kłobucka.

Nie był to żaden dwór ani pałac, ale zgoła średniowieczny zameczek usytuowany na niewielkiej wysepce oblanej wodą i połączony ze stałym lądem mostem zwodzonym. Wysepka była tak niewielka, że wody jeziora dochodziły tak blisko murów, że można je było obejść jedynie niezbyt szeroką ścieżką, a właściciele, aby mieć możliwość wyszedziny z domu gdzieś usiąść, kazali zrobić rodzaj drewnianego pomostu, na którym pod parasolem stał stół i kilka drewnianych foteli. W zameczku były tylko trzy wielkie izby, jedna mniejsza, służąca gospodarzom za sypialnię i niewielka kuchnia. Ściany były tak grube, że każda framuga okienna tworzyła rodzaj niewielkiego gabineciku, w którym od ścianami stały wąskie wyscielane kanapki. Największa była sala jadalna, której białe ściany były całe obwieszane wspaniałymi trofeami myśliwskimi, wypchanymi ptakami, a wśród nich nawet kilka orłów, zbrojami, broń i inne rekwizyty. Następna, co do wielkości była sala balowa, bardzo skąpoumeblowana, aby tancerzom zostawić więcej miejsca i wreszcie mniejsza od pozostałych pomieszczeń, ale także duża sien. Wszystkie pomieszczenia gospodarcze, także gościnne pokoje znajdowały się w oficynach już poza zasięgiem wyspy. Można sobie wyobrazić, ile musiała nabiegać się pani domu, a także służba, aby zadoskuczyc obowiązkowi. Pan domu wyjątkowej uwagi dla nas gości wioził nas osobiście swoim sławnym wózkiem gdzieś prócz prymitywnych siedzeń piętrowych dla nas tajemniczych utensylii myśliwskich. Zagrawszy na rogu myśliwskim, aby swoim zwyczajem zasygnalizować służbie lesnej, że już zaczął swój codzienny objazd obwoził nas po jego zdaniem najciekawszych partiach lasów i wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu zobaczyłam stado płochliwych jeleni.

Opowiadano, że pan Karsznicki pewnego razu obwoził po lasach swego szwagra Karczewskiego, który przyjechał do niego specjalnie po to, aby móc oddać strzał do tych rzadkich zwierząt, w momencie, kiedy podszedł na tyle blisko stada, aby móc złożyć się do strzału p. Karsznicki nagle kichnął tak głośno, że spłoszone zwierzęta znikły nagle w głąbi lasu. Gość był tak oburzony na te złośliwość, że zerwał ze szwagrem wszelkie stosunki. P. Karsznicki z największym oburzeniem opowiadał nam o „klesce”, która Siemkowicom grozi, a chodziło o majaca się wkrótce rozpocząć budowę magistrali węglowej ze Śląska przez Inowrocław do Gdyni, rzecz niezmiernie wagi i to pod każdym względem, no a dla tamtejszej okolicy pozbawionej dotąd jakiegokolwiek połączenia kolejowego z resztą kraju, wprost nieoceniona, to też, gdy zdziwione takim postawieniem sprawy zwróciliśmy uwagę apodyktycznemu gospodarzowi,



91. Dwór Karsnickich, w Siemkowicach, wiosna 1932 r. Baszta została zburzona w 1951 r. Powyższe jak i następne zdjęcia dworu w Siemkowicach, piwowano z książki DAWNIEJ NIZ WCZORAJ.



92. Dwór Karsnickich, w Siemkowicach, od strony zajazdu 1938 r.



93. Zofia z Karczewskich i Ignacy Karsniccy na schodach dworu w Siemkowicach 1933 r.



94. Dwór w Siemkowicach 1932 r.

ze dzięki inwestycji, majątki jego dużo na tym zyskają, wykrzyknął: „Ale co się stanie z moją zwierzyną, gdy zaczną rabac las i robotnicy będą się wszędzie włóczyć?”

Historia nie wyjaśniła dotąd genezy powstania tego obrębnego zameczku w Siemkowicach, domysłano się tylko, że zbudował go ktoś z niemieckich rycerzy-rabusiów z niedalekiego Śląska, skąd przedsięwziął grabieżcze wyprawy w głąb kraju, bezpieczny w swej otoczonej jeziorem i niedostępnymi bagnami kryjówce⁹⁵.

Po tym krótkim, ale pełnym wrażeń odpoczynku, dotarliśmy wreszcie na Jasną Górę, gdzie byłam po raz pierwszy. Wszystko, co tam wówczas przeżyłam, wywarło na mnie dużo większe wrażenie, niż kiedy tam byłam później z Ojcem, a potem sama. Może sprawiło to to, że jednak piesza wędrownica, pełna trudu i wysiłku, przydaje uroku całemu przedsięwzięciu i robi dużo większe wrażenie, niż zwykle dotarcie tam po prostu koleją. Ażeby zakończyć relację o dalszych wyprawach, opiszę jeszcze wspólnie z Ojcem i p. Szczesniewską, odwiedzinę mojej kuzynki Heli, (BKM 516) Tabaczynskiej z Redcza, która wkrótce po zakończonej wojnie z bolszewikami, wyszła za mąż za dziarskiego oficera, kawalerzystę, którego poznała pełniąc służbę sanitarną w szpitalu polowym we Włocławku. Młodzieniec (BKM 861) ów, zresztą bardzo sympatyczny, a przy tym ogromnie impulsywny, wprost „porwał” ładną, wesołą i również pełną życia Kujawiankę, bez dłuższych ceregieli oświadczył się rodzicom Heli, dodając z fantazją, że gdyby mu jej odmówili to i tak zostanie jego żoną, bo on ją po prostu porwie. Na takie stanowcze dictum, wujostwo wiedząc, że Hela jest również w ognistym kawalerzystę zakochana, nie odmówił przyzwolenia i wkrótce wyprawiono huczne wesele, na którym byliśmy razem z Rodzicami. Młodzi państwo zamieszkali w niewielkim majątku Jaholkowskich na Polesiu. Hela jednak czuła się obco w dalekim pruzanckim powiecie i dość często odwiedzała rodziców, zaglądając zawsze przy tej okazji do Wicininia. Jak już poprzednio pisałam Ojca mego bardzo lubiła i wymogła na nim przyrzeczenie, że odwiedzi ją w jej dalekiej siedzibie. W międzyczasie Hela uległa fatalnemu wypadkowi. Jej sasiadka, z którą w czasie polowania stała na stanowisku, obchodząc się nieuważnie z bronią, przestrzeliła jej tak fatalnie nogę, że mimo szeregu operacji i długotrwałej kuracji pozostała do końca życia kaleką. Nigdy już odtąd nie mogła jeździć konno, co tak bardzo lubiła, ani brać udziału w polowaniach, czy jakichkolwiek sportach, którym przedtem z zapalem się oddawała. Będąc teraz unieruchomiona była tym bardziej spragniona kontaktów nie tylko z sasiadami, z którymi z czasem bardzo się zaprzyjaźniła, ale i z rodziną. To też przypominała Ojcu dane obietnice, że ją na pewno odwiedzi. Prosiła też, aby zaproponował jej ciotce p. Szczesniewskiej wspólnie wyprawę na dalekie Polesie, dokąd nieźle odważna niewiasta sama była się pojechać.

Postanowiliśmy się wybrać na 22-go maja, kiedy to wypadali imieniny Heli. Ojciec cieszył się na tę wyprawę, ciekaw egzotycznego dla nas Kujawiaków dalekiego Polesia. Droga z Warszawy daleka i dość monotonna, krajobraz niezbyt ciekawy. Jechało się linią kolejową prowadzącą przez Brzeszczynę do granicy i dalej. My przesiadaliśmy się w Brzeszczynie na mały samowarek, który dowiózł nas do Pruzan, skąd oczywiście konno na miejsce. Spędziliśmy tam przeszło tydzień, bardzo miło i wesoło, gdyż gospodarze ludzie bardzo towarzyscy i gościnni cieszyli się sympatią sasiadów, to też na imieniny ogólnie kochanej Pani Heli zjechali licznie, najwięcej jednak było oficerów z macierzystego pułku gospodarza, stacjonującego w niedalekich Pruzanach, to też dżentelmeni nie brakło. Aby gościom urozmaicić i uprzyjemnić pobyt zorganizowano kilka atrakcyjnych wycieczek, najpierw autobusem do Białowieży, aby zobaczyć jak wygląda ów sławny kompleks leśny i obejrzeć w tamtejszym muzeum wspaniałe eksponaty puszczańskie fauny i flory. Wyprawa ta zabrała nam cały długi majowy dzień. Mielismy też kilka zabawnych przygód, których tu już opisywać nie będę. Zajęłoby to zbyt wiele czasu i miejsca, które chcę poświęcić na zrelacjonowanie moim zdaniem daleko ciekawszej wyprawy do puszczy różańskiej, tym bardziej, że Ojciec bardzo pragnął usłyszeć toki głuszców, lub choćby cietrzewi. Obiecywano sobie, że o tej porze roku tylko tam będzie to możliwe. Żeby je usłyszeć powinno się być na stanowiskach przed wschodem słońca, gdyż tylko o tej porze ptaki tokują. Trzeba więc było wyruszyć w przeddzień tak, aby o właściwej porze tam się znaleźć. Ponieważ Jaholkowscy mieli tam znajomego leśniczego, Moroza, który mieszkał na skraju puszczy postanowiono zatrzymać się u niego, żeby przespacerować się i doczekać przedświt. Droga była dość daleka, należało o drodze gdzieś odpocząć, zjeść obiad, a przede wszystkim nakarmić konie. Miła sasiadka naszych gospodarzy pani Kraszewska, właścicielka majątku Kraszewo, gdzie się urodził i przez wiele lat mieszkał jej dziadek, pisarz Ignacy Kraszewski⁹⁶ zaprosiła nas na obiad, obiecując przy tym towarzyszyć nam w tej atrakcyjnej wyprawie. Nie mogę sobie przypomnieć, jak ten dziś już historyczny dom wyglądał, pamiętam za to doskonale, że w starym dużym parku, który go otaczał, były wprost niewyobrażalne ilości wron. Gdy spojrzano się w górę to nie było widać nieba, tak było ciemno od nieprzeliczonych gniazd tych przyznam się niezbyt miłych ptaszek, a krakały tak głośno, że wprost zagłuszały każdą rozmowę. Gdy zdumiona pytałam jak gospodyni może znosić to nieustanne krakanie,

⁹⁵ Losy zameczku po II Wojnie Światowej, opisano w książce DAWNIEJ NIZ WCZORAJ, Teresa Karsnicka Kozłowska, wyd. ARCANA, Kraków 2008. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden 2012.07.17).

Pamiętam, że w ostatnim okresie naszego pobytu w Wieckowicach, pp. Jordanowie przyjęli, jako uciekinierki dwie panienki w wieku ok. 18 lat. Panienki te w początkowym okresie wojny dostały się pod okupację sowiecką i były deportowane do Kazachstanu. Po napadzie Niemiec na ZSRR, korzystając z zamieszania uciekły stamtąd i posuwały się na zachód w ten sposób, że front przesunął się „nad ich głowami”. Były to podobno córki pp. Karsznickich, lub ich bardzo bliskie krewnie. Pamiętam to, bo w związku z tym Matka opowiadała mi po raz pierwszy o zameczku w Siemkowicach. (Niestety w książce DAWNIEJ NIZ WCZORAJ, nie natrafiłem, na potwierdzenie istnienia tych panienek). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 12-07-17).

⁹⁶ Wkradła się tu jakaś pomyłka. J. I. Kraszewski, urodził się w Warszawie w 1812 r., państwo spędził wraz z matką, w majątku swoich dziadków w Romanowie, gdzie znajduje się muzeum poświęcone jego pamięci. Romanów 25, 21-518 Sosnowka. (Przyp. Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 2011-12-17).

odpowiedziała z całym spokojem, że tak do niego od dzia przywykła, że po prostu go nie słyszy.

Zasadniczo była to eskapada konna, gdyż większość jej uczestników jechała konno, jedynie panna Kraszewska, Hela i ja korzystaliśmy z bryczki, tak zwanej kalamaszkii. Przy tej okazji mogłam stwierdzić, jak wyglądają drogi w tamtych stronach. Mimo, że pełno tam drzewa, mostów nikt nie naprawia, przejeżdżając przez nie można w każdej chwili narazić konie na złamanie nóg, to też zamiast owych niebezpiecznych mostów wybiera się raczej dogodnie brody, dla przeprawienia się przez niezliczoną ilość rzeczek i rzeczulek, dających cierpliwie i leniwie na południe, aby swymi wodami wzbogacić odległą Prypec. Dojechalismy wreszcie do chaty Moroza, który przyjął nas bardzo gościnnie, ofiarowując największą ze swoich izb, abysmy czekając na właściwą porę mogli się przespać. Stało tam jedno olbrzymie łóżko, które gospodarz zaproponował pułkownikowi, ten jednak stanowczo odmówił, twierdząc, że będzie mu najwygodniej na szerokiej ławie stojącej pod ścianą. Wyjaśnił, że wie z własnego doświadczenia, że nie tylko łóżko, ale i tamtejsze chaty roją się od pcheł i wszelkiego robactwa gdyż na ogół tamtejszy „naród” nie kocha się w czystości, to też z prawdziwą ulgą zauważyliśmy, że ordynansi przynoszą świeżo zebrane siano, aby go rozelać na podłodze. Zapamiętałam przed chwilą dodać, że pułkownik, zresztą przyjaciel Nikodema, bardzo uprzejmie ofiarował Ojcu na czas pobytu w tamtejszej okolicy odpowiedniego dla niego wierzchowca, co stanowiło dodatkowy atut tej zresztą tak atrakcyjnej wyprawy. Wracając do owej nocy spędzonej w gościnnej chacie Moroza, prawie nikt z nas nie mógł zmrużyć oczu choćby na chwilę, gdyż jeden z panów chrapał tak przeraźliwie, że, mimo iż go ciągle budzono, zasypiał za chwilę znowu przy akompaniamencie swego przeraźliwego chrapania. Nikt jednak z obecnych nie miał mu tego za złe. Wszyscy byli w tak doskonałym humorze, że reagowali na owe chrapanie jedynie zartami i śmiechem. Na sygnał Moroza, zerwalismy się momentalnie, a że poranna toaleta nie mogła w tamtejszych warunkach zajmować zbyt wiele czasu, więc po kilku minutach byliśmy gotowi. Aby dojechać do skrajnej puszczy trzeba było przejść przez rozległe bagno, porośnięte nieprawdopodobnie bujną szmaragdową trawą. Pod tym cudownym dywanem kryła się głęboka, zdradliwa topiel, po której stąpienie groziło nieuchronnym utopieniem. Aby więc można było dostać się do puszczy, ułożono długą kładkę z grubych debowych bali, bez poręczy, to też trzeba było niemniej zrecznosci, aby przez oslizgłe od stałej wilgoci bale przejść bez szwanku na drugą stronę. Na szczęście mieliśmy do dyspozycji uprzejmych panów oficerów⁹⁷, którzy osobom nieprzyzwyczajonym do tego rodzaju ekwilibrystycznych wyczynów, jak Ojciec i ja, służyli pełną galanterii pomocą. W każdym razie odetchnelismy z ulgą stanawszy jeszcze na twardym gruncie, z daleka dochodził nas głośny klangor zurawi, witających wschodzące na horyzoncie słońce, które powoli zaczęło oświetlać ciemniejącą w oddali puszcze.

Zasadniczo guszcze tokują tylko wczesną wiosną, więc mieliśmy niewielką nadzieję je usłyszeć. Chcieliśmy je, choć z daleka zobaczyć, to też Moroz zaprowadził nas do rozciągającej się w pobliżu najstarszej partii puszczy. Było tam kompletnie ciemno, gdyż wysokie i gęste konary drzew zasłaniały całkowicie niebo i panowała głucha cisza. Niestety nie zobaczyliśmy ani jednego guszcza, poza kilku trzepoczącymi się gdzieś wysoko. Może przygotowywały gniazda dla nowego pokolenia. Nie udało nam się również zobaczyć cietrzewi, może sploszyliśmy je niezbyt ciszymi głosami i przeniosły się gdzieś dalej, dość, że nie słyszeliśmy upragnionego tokowania, ja jednak mimo tego, cieszyłam się ogromnie, że mogłam zobaczyć prawdziwą puszcze w jej pierwotnym stanie. Posuwając się powoli wśród powalonych wicherami drzew, potykałismy się, co krok o olbrzymie konary leżące jeden na drugim, porośnięte mchami i mnóstwem nieznanymi mi pięknie o tej porze kwitnących roślin, między nimi dzikimi hiacyntami, nieczymś swym odurzającym zapachem. Spędziliśmy tam kilka niezapomnianych godzin, urzeczeni panującą dookoła ciszą, powagą wiekowych olbrzymów, cudownością okalającego nas dookoła pełnego tajemnic, nieznanego nam dotąd świata. Z prawdziwym smutkiem myślałam, że już prawdopodobnie nigdy nie będzie mi dane zobaczyć prawdziwej puszczy, takiej do której nie dotarła jeszcze cywilizacja⁹⁸, autobusy i chmary rozgadanych turystów, jak to widzieliśmy w Białowieży.

Czas było wracać do domu. Pani Szczesniewska już to przed nami zrobiła. Zdążyliśmy się, szczególnie Ojciec, zaprzyjaźnić z sympatycznymi oficerami z Pruzan, którzy usilnie prosili, abysmy im poświęcili na odjeźdnym choćby jeden dzień, tak, aby mogli nas ugościć. Znana jest gościnność kresowców, to też łatwo sobie wyobrazić jak miło i wesoło upłynął nam ostatni dzień pobytu na Polesiu. Wracaliśmy pełni wrażeń i przemilych wspomnień. Co do mnie to byłam niezmiernie рада, że zobaczyłam nieznaną mi dotąd część kraju, tak, że mogłam jak się to dziś mówi „zaliczyć” nie tylko Wołyn, Małopolskę wschodnią, Huculszczyznę, jeszcze przedtem sanockie, a teraz Polesie. Doceniłam to tym bardziej wtedy, gdy ta piękna i atrakcyjna część Polski została ograbiona na zawsze zagrabiona.

Projektowałam też stałe zwiedzenie Litwy, a przede wszystkim Wilna, dokąd mnie niejednokrotnie zapraszali znajomi, ale widocznie poznanie tego podobno niezmiernie milego i pełnego historycznych pamiątek miasta, a także pięknej nadniemeńskiej krainy nie było mi dane, bo za każdym razem, kiedy już wydawało się, że wszystkie przeszkody zostały przezwyciężone, to za każdym razem w ostatniej chwili coś zupełnie nieprzewidzianego udaremniało realizację wszystkich związanych z tym projektem zamierzeń.

⁹⁷ Niestety większość tych oficerów została niedługo potem morderowana w Katyniu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

⁹⁸ Niedługo potem dotarła i w te strony cywilizacja w postaci wszystkich i wszystko wyniszczającego komunizmu, żeby następnie ze względu na własną niewydolność rozszarpać się jak domek z kart, zostawiając liczne groby, niedze i ogólne zniszczenie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

28. WIECININ I POZNANIE TEODORA KARNKOWSKIEGO

Ale czas wrócić do Wiecinina. Zanim państwo, Topinscy opuścili Wiecinin, aby zamieszkać w Warszawie, zaprosiliśmy w charakterze stałego rezydenta, wuja Kazimierza, (BKD48) Damskiego⁹⁹, najstarszego brata mojej Matki, niemłodego już, kawalera, człowieka wyjątkowo zanego¹⁰⁰, ale prawdziwie pechowego, który po szeregu rozmaitych życiowych niepowodzeniach, utracie wcale ładnego majątku Lenarto znalazł się właściwie bez domu i pozbawiony środków do życia. Długo walczył biedak z przeciwnościami losu, aż wreszcie zmęczony stale nieudajacymi się próbami jakiegos znosnego urzędnika się, przyjął nasze zaproszenie, umówione tym, że po wyjeździe Piusa Trabczynskiego, Ojciec będzie bardzo rad, jeśli zechce go zastąpić.

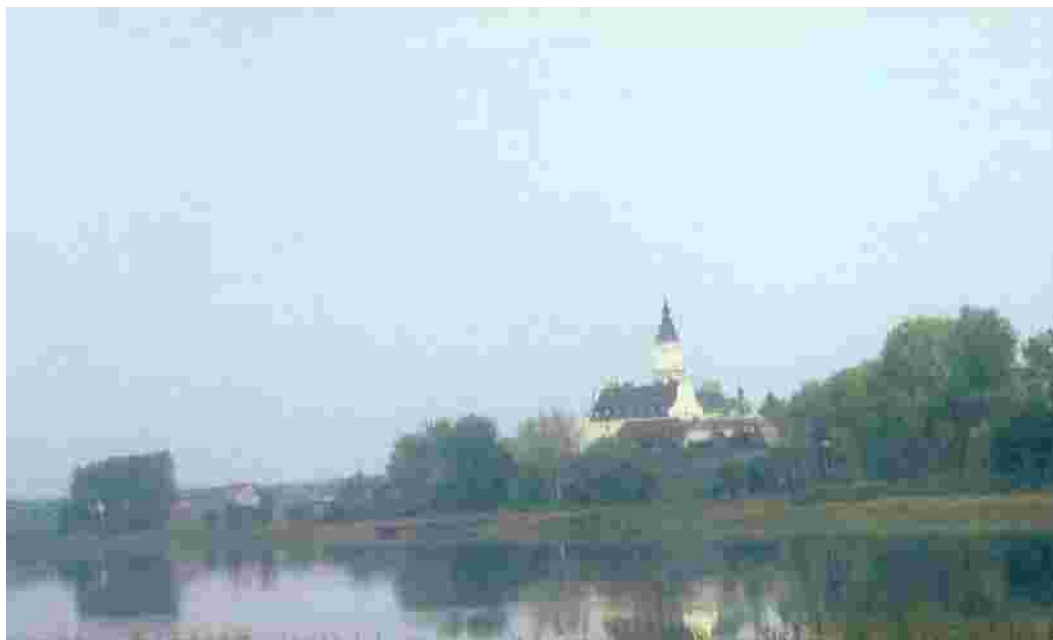


95. Na ganku w Wiecininie. Od lewej stoja: Aleksandra, (BKD 503) Bartoszewiczówna (?), Ada, (BKM 481) Brzezinska, późniejsza Laszczkowa, Jan, (BKD 51) Bartoszewicz, Joachim, (BKM 202) Bartoszewicz (senator), Henryk, (BKD 504) Wyganowski (?). Siedza dr Kazimierz, (BKD 48) Damski, brat matki autorki, Maria, (BKM 433) Magdalena z Jelowickich Bartoszewiczowa, żona senatora.

⁹⁹ Kazimierz (BKD 48) z Lubranca Damski (1874-1948) z linii z Konar. Studia: Lipsk, Zürich, Wrocław: nauki przyrodnicze, filozofia, chemia, rolnictwo; doktorat z filoz. w tym chemii roln. i rolnictwa. Własc. maj. Balice, Greziny k. Wągrowca, Lenartów k. Skulska. Powstaniec Wlkp. Por. w WP w 1918 r. Odczn.: Krzyż Wielkopolski, medal Polska Swemu Obroncy. Syn Antoniego (BKD 46), własc. Ludziska, i Marii (BKD 47) z Mittelstaedtów. Rezydent w Wiecininie. Ukochany Wuj Kazio (K. K.)

¹⁰⁰ O jego niesłychanej zaności wspominałem już uprzednio. Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Po dłuższym wahaniu przyjął naszą propozycję i zdecydował się zlikwidować swoje ostatnie samodzielne gospodarstwo na niewielkiej resztówce w południowej Wielkopolsce. Pojechałam tam, aby mu pomóc w przykrym zadaniu likwidowania owej resztówki, uratowania choćby reszty mebli i domowizny i przewiezienia jej do Wiecinina, tak, aby mógł umeblować nimi pokój, który mu ofiarowaliśmy. Spędziłam tam kilka wyjątkowo przykrych i smutnych dni, będąc świadkiem tego, z jak ciężkim sercem ten dobry i zany człowiek likwidował resztki swego mienia.



96. Wieża kościoła w Brdowie była punktem orientacyjnym. „Kaziu powiedz mi gdzie jesteśmy” za-pytał niewidomy Jan (BKD 51) Bartoszewicz swego szwagra Kazimierza (BKD 48) Dambskiego, z którym „obchodził” pola. „Zaraz, zaraz ...”. Odpowiedział zapytany „... Idziemy prosto na wieżę kościoła w Brdowie”.

Większa część mebli trzeba było sprzedać, oczywiście po niskiej cenie. Z czasem urządziwszy się, jako tako w swym pokoju (obok pokoju Ojca) pogodził się ze swą sytuacją i nie było mu w Wiecininie źle, tym bardziej, że mimo najrozmaitszych dziwactw i śmieszności, wszyscy go bardzo lubili i okazywali serdeczność i życzliwość, której tak mu w jego nieudanym życiu brakło. Dopiero wojna zmusiła go do opuszczenia Wiecinina i skazała na trzyletnią tułaczkę zakończoną w domu Opieki we Wrocławiu. Przebywał tam jakiś czas pogodzony z losem i spokojny. Takim widziała go ostatni raz przed jego śmiercią, odwiedzająca go kilkakrotnie najmłodsza jego siostra Zofia (BKD 59) Unrug. Janusz (BKD 500) po powrocie z Gembloux i praktyce u znakomitego rolnika Witolda Maringe'a w Lenartowie, przejął gospodarstwo w Wiecininie, którym zajął się bardzo gorliwie. Zawsze był i jest do dzisiaj mimo wieku bardzo pracowity i zawsze czynny¹⁰¹. Gospodarstwo pozbawione od szeregu lat przysłowiowego „panskiego oka” i zdane na mniej lub bardziej sumiennych rządców, potrzebowało na gwałt gospodarza z prawdziwego zdarzenia. - Ojciec przecież poza ogólnym kierownictwem nie był w stanie sprawdzić, czy wydane przez niego dyspozycje były właściwie wykonane.

Wakacje podobnie jak za życia Matki, były u nas zawsze gwarne. Przede wszystkim - jak już pisałam - spędzali je u nas prawie zawsze stryjostwo Joachimowie. Włodek przywoził niejednokrotnie któregoś ze swych bliższych kolegów, jednak zawsze największą atrakcją były już tradycyjnie hucznie obchodzone moje imieniny, kiedy to zjeżdżało się kilkadziesiąt osób, przeważnie młodzieży, pannom ówczesnym zwyczajem towarzyszyli rodzice, radzi, że przy tej sposobności będą mogli spotkać znajomych, pograć w bridge'a, po prostu rozerwać się w miłym towarzystwie. Jednak raz zabawa o mało się nie udała. Jak zawsze to robiłam, zawczasu zamówiłam w Warszawie tapera, aby nie kłopotać się szukaniem gdzieś w pobliżu grajka. Pamiętam doskonale moje przerażenie, gdy zobaczyłam, że wysłana po owego tapera bryczka wróciła bez niego. Zachodziłam w głowę, jaka może być przyczyna, że człowiek cieszący się opinią solidnego, mógł zrobić taki zawód. Byłam w strasznym kłopotcie. Dom pełen gości, przede wszystkim młodzieży, która przecież po to przyjechała, aby się wytanczyć, a tu nie ma nikogo, kto by się podjął grać do tanca i to przez całą noc.

¹⁰¹ Po osiedleniu się w drugiej połowie lat 40-tych na Wybrzeżu, początkowo w Oliwie a następnie w Sopocie miał się różnych zajęć, od woznicy po przedstawiciela handlowego, z wynikami pozwalającymi mu na „normalne” życie. Jego żona Ewa (BKD 501) z d. Luniewska pracowała, jako księgowa w Akademii Medycznej w Gdańsku. Utrzymujący z nim stały kontakt siostrzeniec Jan (BKD 634) Karłowski stwierdził (1996), że do końca życia zachował w swych interesach niezwykle elastyczność i zdolność przystosowania do ciągle zmieniających się warunków. Przez całe życie był niesłychanie delikatny i gotów do pomocy organizacyjnej, rzeczowej i finansowej tak swej siostrze A. Wyganowskiej, jak i drugiej siostrze Marii Karnkowskiej i jej rodzinie. Uczucie dożgonnej wdzięczności względem Niego uważam za swój zaszczyt i miły obowiązek. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Wybawil mnie z kłopotu stryj Joachim, mówiac: „Nie trap sie. Ja bede gral i jakos tam bedzie“. Obietnicy dotrzymal, gral cala noc do bialego rana ku ogólnemu aplauzowi.



97. Jan (BKD 500) Bartoszewicz, brat autorki.



98. Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa.



99. Aleksandra, (BKD 503)
z Bartoszewiczów Wyganowska.



100. Aleksandra, (BKD 503),
z Bartoszewiczów Wyganowska.

Wszyscy unisono stwierdzili, że przy tak znakomitej muzyce nigdy jeszcze nie tanczyli, to też, gdy świt pobielił okna, urządzono Senatorowi burzliwa owacje, podziwiając nie ko gre, ale i sily. Gral przeciez cala noc i to z nieslychanym zyciem. Sekundowal mu niejednokrotnie Tomek Glinski, slawny na cale Kujawy danser i ró ocześnie kompozytor niejednego kujawiaka, gral przy tym z tak fantastyczna werwa, że nie bylo nikogo, kto by mógł sie oprzec zatanczeniu granego przez niego kujawiaka. Tej nocy gral wielokrotnie ze stryjem na cztery rece, a ze obaj panowie mieli wprost niezwykle sluch, wiec na poczekaniu improwizowali nowe kujawiaki. Jesli chodzi o Tomasza Glinskiego, to własciwie dzięki temu talentowi udalo mu sie po wojnie niezle urzadzic USA. Zostal tam dyrygentem wielu popularnych zespolów tanecznych lansujac stale nowe, a wiec modne kujawiaki.

Jesli chodzi o mozliwosci potanczenia, nie wszyscy mieli ochote i warunki pozwalajace na urzadzenie zabaw u siebie, a przeciez mlodziez, a przeciez mlodziez jak to zawsze mlodziez - chcieli sie bawic przynajmniej w okresie karnawalu. Przeto osoby dysponujace zmyslem organizacyjnym i bardziej od innych przedsiorczy, względnie Zarząd Kola Ziemian lub Ziemianek podejmowały sie urzadzania bali względnie skromniejszych potancówek, jesli miejscowe warunki, to znaczy brak odpowiednio duzego pomieszczenia lub zaplecza na impreze na wieksza skale, nie pozwalal. Wyk zystywano tez różne okazje, które sciagaly liczniejsze grono ziemian, np. koncert urzadzany na jakis godny poparcia cel, jak np. pomoc ofiarom powodzi lub innych klesk zywiolowych. Taka własciwie okazja byl koncert skrzypcowy znanej wówczas szeroko artystki Marii Szrejberowej z Poznania, która spedzala wakacje u swej rodziny w Ozorzynie.

Na zabawie, która urządzono po zakończeniu koncertu po alam mego przyszłego meza Teodora, (BKD 53) Karnkowskiego. Ponieważ jego siostra, Zosia (BKK 264) Karnkowska z Wisniewy była moja koleżanka z Szymanowa, jej pośrednictwo ułatwiało nam następnie kontakty, które p kilku miesiącach doprowadziły do zareczyn. Projektowaliśmy pobrać się w czerwcu. Zima i wiosna zeszyły na przygotowaniach do czekającej nas zmiany w naszym życiu.



101. Fotografia z czasów studenckich. Teodor, (BKD 53) Karnkowski, pierwszy z prawej w dolnym rzędzie.



102. Teodor, (BKD 53) Karnkowski z Paniewa.
Przyszły maz autorki



103. Teodor, (BKD 53) Karnkowski z Paniewa.

Wracając jeszcze do tematu związanego z „balowaniem”, to byłam także na dwóch bardzo udanych balach w Warszawie. Jeden w Reducie Obywatelskiej, drugi w Szkole Sztuk Pięknych, gdzie wprowadził mnie Włodzimierz (BKM 434). Szczególnie to ostatnia impreza była bardzo udana i dla mnie oryginalna, zetknęłam się tam, bowiem z nieznanym mi dotąd środowiskiem artystycznym, poznałam wielu ciekawych ludzi i zdolnych młodych malarzy, których nazwiska stały się wkrótce chluba ówczesnego Rektora Szkoły Sztuk Pięknych prof. Pruszkowskiego.

W związku z zamawianiem dla mnie wyprawy i kupnem różnych rzeczy koniecznych do uzupełnienia tejże, jeździłam tej zimy dość często do Warszawy, gdzie wielokrotnie korzystałam z rad i doświadczenia Ciotki Grabskiej (BKM 473), z którą z tej okazji bardzo się zżyłam, pełna uznania dla jej zalet i charakteru. Jeszcze wtedy, gdy była żoną ministra, a potem premiera, oznaczała się niezwykle skromnością i wybitnym taktem, tak, że przecież znani z krytycyzmu warszawiacy nigdy nie przypinali jej złośliwych etykietek, jak to miało miejsce, gdy chodziło o panią Helene Paderewską, lub prezydentową (BKM 795) Wojciechowską.

Pochodząc z tak zwanych dolów społecznych (jej matka była praczką w Piatku) najbliższym miasteczku Borowa, gdzie mieszkali dziadkowie Grabscy i gdzie służyła, jako pokojówka, teraz, gdy była żoną człowieka stojącego na świeczniku mogłaby jakby to zresztą zrobiła w tej sytuacji większość kobiet, zadzierać nosa. Kryła się zawsze w cieniu męża, nigdy nie wysuwając swej osoby na plan pierwszy. Dom premierostwa był prowadzony bardzo skromnie i choć mieli niekwestionowane prawo do posiadania służącego, żądawa i się zwykła służąca i kucharka. Wielekroć widziałam jak ciotka osobiście przygotowywała mężowi na odpowiednią okazję, która go czekała, strój, tak, aby, gdy przyjdzie na obiad miał czas choćby na krótki odpoczynek, wiedząc, że żona zawsze pomyśli o wszystkim, co może mu być potrzebne.

Nigdy też, jeśli potrzebowała załatwić coś na mieście, nie korzystała z przysługującego jej urzędowego samochodu. Jeździła tramwajami lub autobusami, względnie taksówką, uważając, że korzysta ze słabego samochodu tylko wtedy, kiedy jedzie oficjalnie, jako żona ministra, czy późniejszego premiera. Ojciec będąc na ogół dość powściągliwy, jeśli chodzi o całowanie panów w rękę w wypadku ciotki Grabskiej mówił: „całuję ją w rękę z całym przekonaniem, bo zasługuje na to w pełni”.

Skorzystam ze sposobności, by zrobić przy tej okazji małą dygresję i opowiedzieć o wydarzeniu, o którym już chyba wie bardzo niewiele osób, a które sama znam z opowiadania Ojca. Bywając często u swych wujostwa w Borowie, był świadkiem następującej sceny: Właśnie tego dnia pani, Feliksowa, (BKM 473) Grabska oczekiwała prezentacji przez jej najstarszego, zresztą ulubionego syna, (BKM 204) Stanisława żony, (BKM 448), której dotąd nie uznawała i nawet poznać nie chciała. Dla wyjaśnienia trzeba powiedzieć, że tenże Stanisław, młody człowiek bardzo obiecujący, wybitnie przystojny, tyle, że zacięty socjalista, z której to przyczyny nie pozwolono mu na studia w państwie Rosyjskim, a następnie w Niemczech, tak, że wreszcie jedynie mógł studiować na uniwersytecie w liberalnej Szwajcarii. Tam poznał swą przyszłą żonę, także studentkę (Ludmiła BKM 448 Rozen), dziewczynę podobno bardzo ładną i miłą, ale jakoby wyjątkowo nieładną, a w dodatku ubogą, tak, że nie miała żadnych szans na wyjście za mąż. Wuj wyjątkowo dobrym sercem, ocenił zalety brzyduli i zaproponował jej małżeństwo. Ciotka Grabska osobą dość apodyktyczną, a przy tym projektującą „odpowiednie” jej zdaniem małżeństwo dla ukochanego pierworodnego, zagroziła, że jeśli nie zaniecha swych planów, to się go wyrzeknie, a przede wszystkim cofnie wypłacaną mu dość okazałą pensję. Stanisław jednak nie ulakł się gróźb matki, ożenił się z niechcianą przez nią panią, a ponieważ na szczęście ukończył studia, mógł już zacząć sam zarabiać na życie. Ale teraz już nie tylko dla siebie, ale i dla szybko powiększającej się rodziny. Dzieci sypały się jedno po drugim (5). Ponieważ o zdobyciu jakiegokolwiek stanowiska w Kongresówce nie mogło być mowy - był przecież, jako niepoprawny socjalista, persona non grata - zamieszkał wraz z rodziną na Podkarpaciu w góralskiej chacie i z konieczności, ponieważ nie stać go było na służącą, a żona była słabego zdrowia, sam musiał pracować pieluszką w Dunajcu (tak przynajmniej utrzymywali przyjaciele, którzy odwiedzając go, niejednokrotnie zastawali go przy tym zajęciu). Wreszcie matka zmieknęła i pozwoliła przedstawić sobie synowi. Po tej wyjaśniającej sytuacji dygresji, wracam do momentu, kiedy to ojciec był świadkiem następującej sceny: właśnie po krótkiej raczej ceremonialnej prezentacji Stanisławostwo oddalił się od ganku, na którym siedziała ciotka, Władysław, (BKM 206) jej młodszy syn i Ojciec (BKD 51). Ciotka powiedziała: „jakże ona brzydka i chyba chorowita. Już z dwójgą złego wolalabym, abys się ożenił z tą choćby Kasią. Przynajmniej ładna i zdrowa dziewczyna”. Właśnie Kasia przechodziła w pobliżu. Gdy to usłyszał Władysław, nie wiele się namyslał, zdecydował się na poslubienie owej Kasi, do której od dawna podobno nawet nie platonicznie wzdychał. Po ślubie zabrał ją z sobą do Petersburga, gdzie zamieszkiwał z chwilą, gdy został członkiem Dumy. Postarał się o odpowiednich nauczycieli, których zadaniem było nie tylko nauczenie jej najkonieczniejszych rzeczy, ale także odpowiednich form towarzyskich, a także francuskiego, bez którego znajomości w owych czasach razilaby w towarzystwie, do którego mąż zamierzał ją wprowadzić. Po dwóch czy trzech latach, kiedy młodzi państwo Grabscy przyjechali do Warszawy, pani Katarzyna niczym nie razila, stała się zupełnie „comme il faut”, a że przy tym była miła, dobra i uczynna, cieszyła się ogólnym uznaniem i sympatią. Wuj Władysław absolutnie nie zamierzał ukrywać pochodzenia żony, czego najlepszym dowodem jest fakt, że kiedy w Piatku zmarła skromna praczką, matka jego żony i babka trzech dorodnych synów, osobiście wraz z nimi wziął udział w pogrzebie, choć przecież mógł bez trudu swą nieobecność jakos usprawiedliwić.

29. MAJATEK PANIEWO (opis oficjalny)

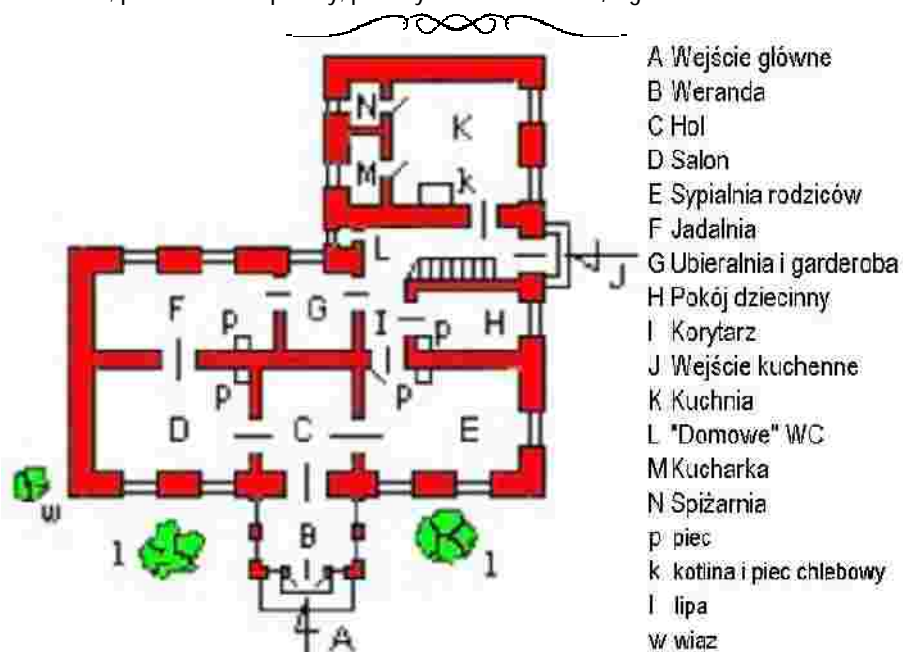
Tak mieszkali „obszarnicy” w „jasniepanskiej Polsce” wykorzystując chłopów, którzy „musieli” na nich pracować. Znany Niemiec, zobaczywszy tę akwarelkę, powiedział koczony, przecież to jest „chalupa”, po niemiecku, (die Kchate). „Dziedzice” żyli z wyzysku, w luksusie, 20 km od najbliższej stacji kolejowej, w chalupie z niewypalanych cegieł, bez elektryczności, bieżącej wody i kanalizacji. Miejsce związane z najczulszymi wspomnieniami zasługuje na krótki opis.



104. Dworek w Paniewie, akwarela pędzla Wandy Gentil-Tippenhauer, stan 1938 r. Dworek ten został zburzony w latach 60-tych przez obywateli polskich, aby jak ci oświadczyli, „Masciciele już nigdy nie mogli tu wrócić”. Miejscowość nie posiada nawet tablicy drogowej.

PANIEWO, pow. Słupca S.G.K.P., Tom 7, str. 839. - Mapa nr - 73 A

Paniewo, ws i fol. i P. lit. A, os. nad jez. Skulskim, pow. słupecki, gm. Skulska Wies, par Skulsk, odl. od Słupcy 28 w. Ws ma 1 dm., 14 mk.; fol. 2 dm., 31 mk.; os. 6 d., 15 mk. Fol. P. rozl. mr 295; gr. or. i ogr. 136, lak mr. 20, wody mr. 133, nieużytki mr. 6; bud mur. 9; plodozmian 11-polowy; pokłady torfu. Ws P. os. 6, z gr. mr. 6.

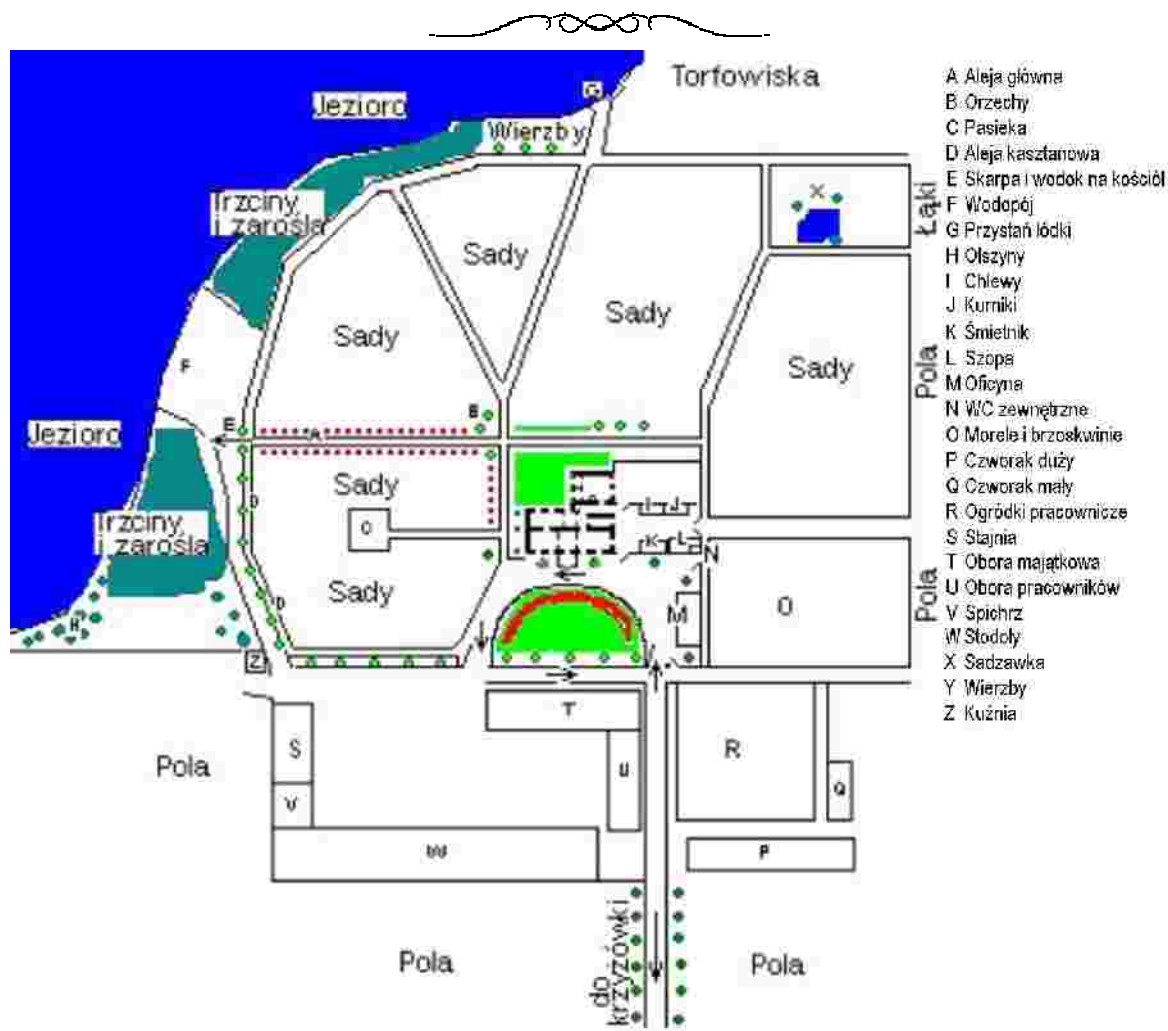


105.

Szkic pamięciowy rzutu parteru dworku w Paniewie

Majątek Paniewo był do 1939 r. własnością Teodora, (BKD 53) i Marii, (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowskich. W ramach reformy rolnej w 1945 r., został rozparcelowany. Zgodnie z protokołem reformy rolnej ogólny obszar majątku wynosił 235.81 ha. Z tego grunty orne 149.66 ha; laki jednokosne 5 ha; laki dwukosne 2.50 ha; ogrody warzywne i sady 2.0 ha; torfy eksploatowane 1.00 ha; podwórza zabudowania drogi 4.00 ha; jezioro 70.00 ha; nieużytki 2.40 ha.

Wartość hipoteczna 380 tys. zł.



106.

Szkic pamięciowy ogrodu i zabudowań gospodarczych w Paniewie

30. NAUKOWCY z UW w PANIEWIE w lipcu 1918 r.

Przy porządkowaniu papierów po zmarłym prof. Janie Czeńskim (1882-1965), znaleziono opis wycieczki studentów Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem prof. J. Sosnowskiego, nad jeziora Kujawskie. Opis ten zawiera dedykację, uczestnika tej wycieczki dr Wł. Polńskiego dla prof. Czekanowskiego.



107.

Wycinek z publikacji U. W., opisujący wycieczkę studentów nad jezioro Paniewskie i wyniki przeprowadzonych badań.

Obiektem tych badań było między innymi jezioro w Paniewie, które należało łącznie z majątkiem do rodziny Karnkowskich, którym autor notatki składa podziękowania za gościnę i pomoc. W wycieczce brali udział: Prof. Jan Sosnowski i pp. W. Applówna, E. Bobińska, J. Domaniewska, I. Domaniewski, Kazimierz Karnkowski (brat T., (BKD 53) Karnkowskiego), J. Stefańska, dr. W. Stefański, Jan Zabinski, dr. Władysław Polinski i Kazimierz Demel.

Uczestnikami tej wycieczki byli między innymi ówczesny student Jan Zabinski (późniejszy twórca warszawskiego ZOO), oraz Kazimierz Karnkowski (brat T. Karnkowskiego, (BKD 53)). Do 1939 r. Paniewo, należało (od 1928) do Teodora, (BKD 53) Karnkowskiego.

Wycieczka obejmowała również Jezioro Mikorzynskie, własność pp. Mierzynskich.

Wycieczka miała miejsce w dniach 13 – 23 lipca 1918 r., tzn. jeszcze przed proklamowaniem niepodległości Polski, przed prawie 100 laty i ma znaczenie pewne znaczenie historyczne. Wykazuje, że także w tych niespokojnych czasach młodzież gamela się do nauki i badań, oraz, że rodzina Karnkowskich już wtedy interesowała się nauką, miała kontakty z Uniwersytetem Warszawskim. Podróż z Warszawy na te tereny pod koniec I wojny światowej była uciążliwa, bowiem linia kolejowa dochodziła jedynie do Kutna.

Z notatki wynika, że już wtedy między rodzinami Zabinski i Karnkowskich istniały serdeczne kontakty.



108. Tereny badane na mapce z r. 1918.



109. Tereny badane na mapce z r. 2006. Na wschód od Konina, Szczepidło miejsce zamieszkania p. K. Mejer, autorki listów o życiu w Paniewie.



110. Jedna z uczestniczek wycieczki nad brzegiem jeziora w Paniewie. Na przeciwnym brzegu jeziora widac sylwetkę wiatraka.



111. Nad brzegiem jeziora Paniewskiego, wg akwarelki z 1938 r. Po przeciwnej stronie jeziora widac sylwetkę wiatraka. We wrześniu 2007 widziałem już tylko jego ruiny (K. K.).



112.

Brzegi jeziora Paniewskiego, w lipcu 1999 r. Nad brzegiem rosła trzcina tak samo jak w 1918 r. Była tu, malownicza skarpa widokowa. Na dole tradycyjne miejsce pojenia bydła. W tym miejscu dnia 24 lutego 1936 r. rodzina Karnkowskich wybrała się po łodzi do widocznego w oddali kościoła w Skulsku (na Kępie). W miejscu widocznej powyżej na fotografii trzciny, wpadła do przerebła, oraz jak opisuje dalej w tekście autorka, została „cudownie” uratowana. Stan lipiec 1999 r.



113.

Do krzyżówki. - Paniewo w lipcu 1999 r. Po 1945 r. ukradziono nawet kamienie brukowe.

Pocytujemy sobie za miły obowiązek złożyć właścicielom Paniejewa państwu Karnkowskim, oraz państwu Mierzynskiemu z Wasoszy najserdeczniejsze podziękowanie za gościnne przyjęcie i bardzo czynne współdziałanie w naszych pracach.

Dedykacja na pierwszej stronie artykułu:

WSzPanu Prof. J. Czekanowskiemu, J. Polinski.

Notatka dodatkowa z 1928 r., po przejściu majątku Paniewo na własność Teodora ((BKD 53)) Karnkowskiego.

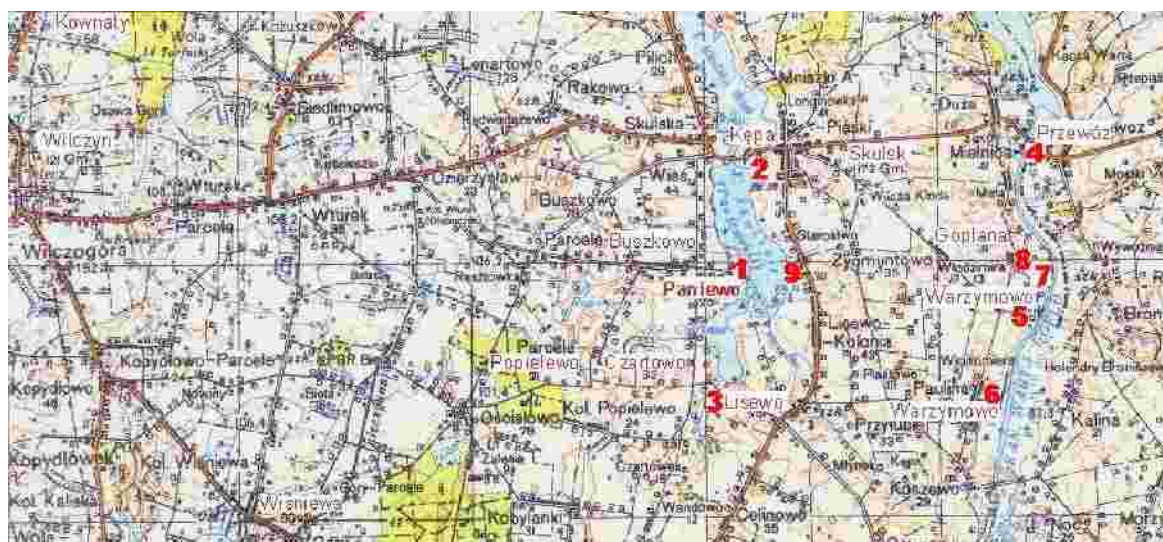
Dominium Paniewo, własność p. Teodora Karnkowskiego położone w odległości 3 kl. od Skulska, poczta Skulsk, tel. Nr. 4 Majątek leży w odległości 2 klm. od szosy Strzelno-Konin. Przez terytorium majątku przechodzi kolejka waskotorowa cukrowni kruszwickiej. Gospodarstwo okopowo-zbozowe.

Należy zaznaczyć, iż Paniewo znajduje się w malowniczym położeniu tuż nad jeziorem Skulskim. P. Karnkowski jest prezesem straży pozamej i Kółka Rolniczego w Skulsku. Majątek od 7 lat (tzn. od 1921 r.) znajduje się w rękach obecnego właściciela.

31. MAJATEK PANIEWO (rzeczywistosc)

Zbliżał się termin naszego ślubu, przedtem jednak pojechalismy z Ojcem do Paniewa. Mój narzeczony chciał koniecznie, abym się na własne oczy przekonała, jakim będzie dom, w którym zamieszkać, jego otoczenie, jednym słowem wszystko, czym tak bardzo różnił się od Wiecinina i tego wszystkiego, do czego byłam przyzwyczajona.

Choc byłam przez niego odpowiednio przygotowana, jednak, gdy zobaczyłam, w jakich odmiennych warunkach życia mi przyjdzie, zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo skromnie życie będziemy musieli, że trzeba będzie dobrze zakasac rekawy, aby móc związać koniec z końcem, tym bardziej, że majątek był bardzo zadłużony, a ja żadnego przynajmniej posagu się nie spodziewałam. Perspektywa ta jednak wcale mnie nie przerażała, byłam młoda, zdrowa i pracy się nie bałam, cieszyła mnie myśl, że dopiero teraz będę miała pole do popisu, jeśli potrafię właściwie wykorzystać moje wiadomości gospodarcze i ogrodnicze no i nabyte przez długie samodzielne gospodarowanie w Wiecininie doświadczenie. Wierzyłam, że u boku kochanego człowieka dam radę wszystkiemu. Ślub nasz odbył się tylko z udziałem najbliższej rodziny, z paradnym obiadem, obowiązkowymi mowami, tancami itd. Jednak nie zostawił mi ten dzień specjalnie miłych wspomnień, bo choć już klamka zapadła, nie mogłam pozbyć się trapiących mnie wyrzutów sumienia. Od momentu decyzji wyjścia za mąż gnębiła mnie stała myśl pozostawienia bez mojej czujnej opieki Ojca i młodszego rodzeństwa, opieki, do której przez tyle lat przywykłam.



114.

Położenie majątku Paniewo. Skarpa (1), z której widać wieżę kościoła (2) na Kępie, przedmieściu Skulska. Mostek (3) wysadzony przez polskich żołnierzy w 1939 r. w pobliżu, którego przejechał na minie wóz wracający z „ucieczki” rodziny Karnkowskich. Wysadzony w powietrze most (4) na kanale Warta-Gopło, przez który musiała się przeprawiać wracająca z „ucieczki” rodzina Karnkowskich. Dworek rodziny Serakowskich (5), którzy przyjęli do siebie rodzinę Karnkowskich po wypędzeniu ich z Paniewa. (6) Warzymowo Posiadłość braci Grochulskich, którzy otaczali stałą opieką rodzinę Karnkowskich. (7) Szkoła, gdzie uczył Teodor Karnkowski. (8) Miejsce zamieszkania rodziny Karnkowskich, po wyprowadzeniu się od pp. Serakowskich. (9) Gospodarstwo pp. Nowickich, skąd rodzina Karnkowskich wyjechała do Komaszyc pod Inowrocławiem.

Ponadto należy wyróżnić następujące miejscowości: Wisniewa - majątek Kazimierza Mscisława Antoniego Karnkowskiego i jego synów. Popielewo - majątek pp. Lisewskich, którzy udzielili wielokrotnie dużej pomocy rodzinie Karnkowskich na „wysiedleniu”. Lisewo - majątek Ciotki Niuski, Mittelstaedt z d. Leszczyńskiej. Buszkowo - majątek rodziny Zychlińskich. Kownaty - majątek Ciości Frani Taczanowskiej. Czartowo - miejsce zamieszkania pp. Kowalskich, którym rodzina Karnkowskich zawdzięcza zwrot wszystkich oddanych na przechowanie rzeczy.

Stryj widząc jak bardzo się tym trapię, starał się wytłumaczyć mi, że mam prawo do pomyslenia wreszcie o sobie, że w pełni zadośćuczyniłam obowiązkom, które po śmierci matki na mnie spadły, że w końcu nie ma ludzi niezastąpionych i że na pewno osoba, umówiona na zarządzającą domem, po moim wyjeździe do Paniewa sprostą zadaniu, którego się podjęła. Wszystkie te argumenty, choć w zasadzie słuszne nie mogły uspokoić mnie na tyle, aby ten dzień, który powinien być radosny, nie został obłany potokiem łez wylanych na szczęście tylko w obecności stryja i na tyle wcześnie, że gdy już ubrana w ślubną suknię spojrzalam w lustro nie miałam czerwonych od łez oczu.

Zaczelałam nowe życie bardzo pracowite i skromne, ale szczęśliwe, między nami panowała zupełna harmonia, nie przypominam sobie żadnych górczych sprzeczek, nie mówiąc już o ewentualnych klótniach czy wymówkach.

Owszem zdarzyło się w kilka miesięcy po naszym ślubie trochę przykre nieporozumienie. Chodziło o to, że mój mąż uważał, że powinniśmy utrzymywać stosunki z okolicznym nauczycielstwem, a także z nielicznymi przedstawicielami miejscowej to znaczy zamieszkującej bliższą okolice inteligencji. Projekt ten zupełnie mi nie odpowiadał. Byłam wychowana w środowisku, w którym uważano, że utrzymuje się stosunki towarzyskie tylko z ludźmi ze swojej sfery. Tamtym swoim środowisku, po prostu pokrywałoby się to z tym, co tak lapidarnie ujął wuj Bogdan Zakrzewski z Linowca: „kochany sąsiedzie, bywajmy u siebie”, co by znaczyło u równych sobie, jednym słowem niech każdy będzie tam gdzie mu życie wyznaczyło jego miejsce.

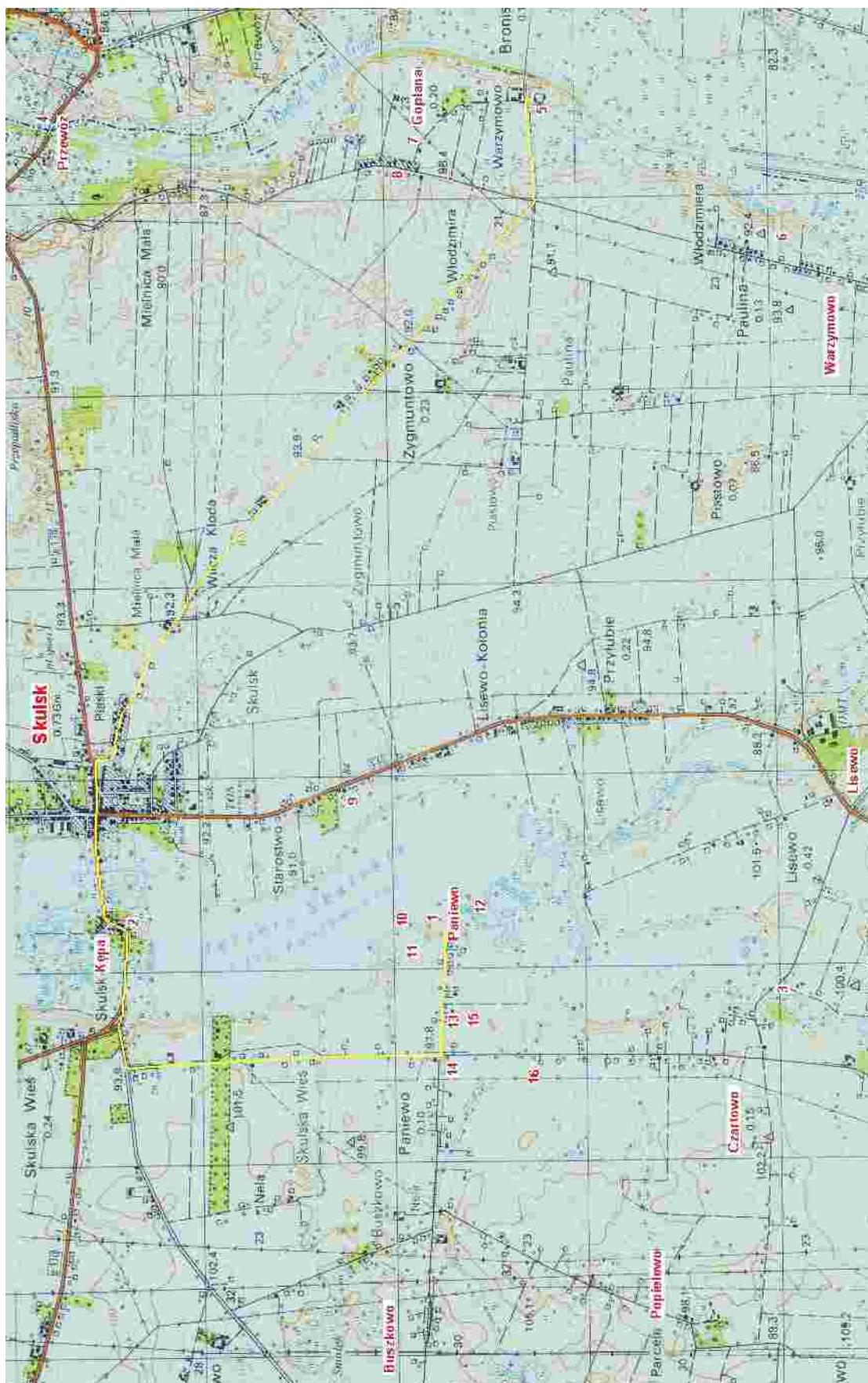


115. „Dziedzic” i



116. „Dziedziczka” z Paniewa.

Postawa taka była najzupełniej obca Totowi (takiego skrótu imienia używał). Był zdania, że własnie obowiązkiem tych, których życie, jako wybranców losu obdarzyło wykształceniem, doświadczeniem i kulturą osobistą, jest dzielenie się z tymi, którzy bez swej winy byli tego wszystkiego pozbawieni. Wszelki paternalizm tak niestety częsty wśród ziemianstwa i której Ojciec był niezaprzeczalnie przedstawicielem był mu najzupełniej obcy. Do każdego odnosił się z szacunkiem i wyrozumiałością, chętnie służył radą i potrafił porozumieć się z najgłupszym chłopem, to też mówiono o nim, że jest ludzki, natomiast u sąsiadów, a także u mojego Ojca miał opinię chłopomana. Wychowana od dziecka w środowisku o takich poglądach, byłam z początku zaszokowana postawą Toty i choć starałam się, przekonana jego argumentacją zmienić dotychczasowy pogląd na te sprawy, pozostał mi jeszcze teraz rodzaj tonu wyższości, kiedy zwracam się do osób zależnych ode mnie. Początkowo w Paniewie trochę mi brakło życia towarzyskiego, do jakiego była w Wiecininie przyzwyczajona, a szczególnie częstych kontaktów z Warszawą, gdzieśmy byli tylko raz po ślubie, trzeba było, bowiem złożyć kilka obowiązkowych wizyt u rodziny, a szczególnie u Wyganów ich w Pokrzywnicy.



Legenda. Mapa została powtórzona pod nr 186 (str. 190) i 198 (str. 198).

117. Położenie majątku Paniewo. Skarpa (1), z której widac yło wieże kościoła (2) na Kepie, przedmieściu Skulska. Mbstek (3) wysadzony przez polskich żołnierzy w 1939 r. w pobliżu którego wyleciał na minie wóz wracającej z „ucieczki” rodziny Karnkowskich. Wysadzony w powietrze most (4) kanału Warty-Gopło, przez który musiała się przeprawiać wracająca z „ucieczki” rodzina Karnkowskich. Dworek rodziny Sierakowskich (5), którzy przyjęli do siebie rodzinę Karnkowskich po wypędzeniu ich z Paniewa. Posiadłość braci Grochulskich, którzy otaczali stają o ika rodzinę Karnkowskich. (7) Szkoła, gdzie uczył Teodor Karnkowski.(8) Miejsce zamieszkania rodziny Karnkowskich, po wyprowadzeniu e od pp. Sierakowskich. (9) Gospodarstwo pp. Nowickich, skąd ro ina Karnkowskich wyjechała do Komaszyc pod Inowrocławiem. (10) Tzw. „branina” miejsce opisane w rozdziale „Topiel w przereblu”. (11) Areal przeznaczony na plantacje nasion. (12) Torfowiska. (13) Koncowa stacja kolejki wąskotorowej do przewozu buraków cukrowych do cukrowni w Kruszwicy i s sy do kiszenia wytłoków. (14) Krzyżówka. Od krzyżówki do dworu w Paniewie położony był bruk, kt y „lud” podobnie jak kolejkę wąskotorową rozebrał. (15) Areal przeznaczony pod plantacje ogórków. (16) Gospodarstwo pp. Kowalskich. Ponadto należy wyróżnić następujące miejscowości: Popielewo - majątek pp. Lisewskich, którzy udzielili wielokrotnie dużej pomocy rodzinie Karnkowskich na „wysiedleniu”. Lisewo - majątek Gotki Niuski Mittelstaedt z d. Leszczyńskiej. Buszkowo - majątek rodziny Zychlinskih. Czartowo - miejsce zamieszkania pp. Kowalskich, którym rodzina Karnkowskich zawdzięcza przechowanie wszystkich oddanych rzeczy. Żółta linia zaznaczono „szlak wypędze ” rodziny Karnkowskich z ich domu rodzinnego.

Muszka (BKK 258) Wyganowska była rodzona siostra Tota, a z sama Pokrzyw a był bardzo związany uczuciowo, gdyż spędzał tam u bardzo bliskich mu wujostwa (Kretkowskich) wielokrotnie wakacje, a prawie zawsze eta Wielkanocne. Jak najmilej je wspominał, a szczególnie baby wielkanocne - podobno bezkonkurencyjne. W Warszawie poza wizytami b smy na ulubionej Tota operze. Był to wyjątkowo miły wieczór, który zawsze ilekroć usłysze w radio piękne z niej arie na owo przezywam. Tot był znakomitym rolnikiem, a do ziemi odnosił się po prostu z miłością. Nieraz, gdy towarzyszyłam jego wędrowni, po roku ze zdumieniem słyszałam jak półgłosem rozmawia, jakby sam ze sobą. Zapytany, co by ten dyskurs miał znaczyć odpowiedział: „Wiesz tak sobie gadam z ziemią, by się dowiedzieć, co bym powinien jeszcze zrobić, aby jej dogodzić”, a gdy nadeszły czasy, w których mu ta ukochana ziemia odebrano i gdy go wówczas pytałam, czy czuje się z tego powodu bardzo pokrzywdzony odpowiadał: „Gdybym widział, że obecni właściciele źle gospodarują i ta ziemia krzywdzi, miałbym do nich żal i pretensje, ale skoro widzę, że nie na próżno uczyłem ich uczciwej pracy i że są porządnyimi rolnikami, jest mi znacznie mniej przykro, z gdyby było inaczej”.

Bedac dobrym rolnikiem nie był jednak dobrym administratorem. Mam wrażenie, że przyczyną tego był brak egoizmu. Zawsze ilekroć przyszło mu zająć jakieś konkretne stanowisko, zastanawiał się, czy aby powzięta decyzja nie zrobi krzywdy swemu kontrahentowi, a w interesach trzeba przede wszystkim myśleć o tym, aby wygrać ewentualnie swoje atuty, po prostu nie można być altruistą. Fatalnym posunięciem było odk enie od bankrutującego naszego sąsiada, pięknego kawału ziemi graniczącego z Paniewem. Tot nie dysponował gotówką, tak, że trzeba było zaciągnąć pożyczkę. iczył na dobrą koniunkturę, która pozwoli mu ją w niedługim czasie spłacić, tymczasem nadszedł czas dla rolnictwa bardzo niekorzystny. Ceny zboża były bardzo niskie, a procenty rosły i pochłaniały wszystko, co udało się wygospodarować.

Aby ulżyć mezowi starałam się postawić moje gospodarst na takiej stopie, aby osiągniętego z niego dochodami pokrywać wszystkie wydatki związane z utrzymaniem domu, płaceniem służby itd. ewentualnymi wyjazdami czy leczeniem. Ponieważ Tot stał o wiele wyżej ode mnie pod względem intelektualnym, miał szerokie zainteresowania w wielu dziedzinach, a żeby je kultywować powinien był mieć czas na czytanie, słuchanie audycji radiowych itp. Wobec tego stanął między nami taki układ: On będzie pracował nad podnoszeniem na wyższy stopień swego intelektu i ducha i dzielił się ze mną w tej dziedzinie osiągnięciami, ja natomiast wezmę na swoje barki bardziej prozaiczną dziedzinę naszego życia, tym bardziej, że nie braknie mi zdrowia ani energii, aby zadośćuczynić wymogom, jakie proza życia stawiała przed nami. Dziwiono się nieraz, że nie mam za złe, Totowi, że wstaje późno i nie śleczy dzień cały w polu czy na podwórzu, podczas kiedy ja od świtu do nocy jestem na nogach i dwoje się i troje, aby dać radę wszystkiemu.

Wyjaśniałam, że taki stan rzeczy wynika z układu¹⁰², jaki powstał między nami, że on pracuje nad podniesieniem naszego ducha, a ja natomiast wzięłam na siebie za dós uczynienie wymagań, jakie nam stawia życie. Trzeba było ułożyć plan, który by pozwolił na zrealizowanie naszych zamiarów. Postanowiliśmy zacząć od założenia ogrodu, który powinien, może nie od razu, ale stosunkowo niedługo, p nosić dochody, które pozwolą na pokrycie wydatków związanych z tak zwanym życiem. Nie ufając własnym możliwościom zaangażowałam znanego mi z Wicininą planistę p. Wilkonskiego, aby pomógł mi właściwie zaplanować projektowany ogród. Chodziło nam, bowiem o wykorzystanie wyjątkowo ładnego położenia terenu, który na ogród przeznaczaliśmy. Pocz wy staruszek nie odmówił mej prośbie i zjawił się wkrótce w Paniewie. Jak zawsze wywiązał się znakomicie z powierzonego mu zadania. Ponieważ teren, na którym miał powstać ogród

¹⁰² Niewątpliwie wpływ na taki układ miał także stan zdrowia Ojca, który chorował na angine pectoris i musiał się oszczędzać. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

W S P O M N I E N I A - C Z E R W I E C 2 0 1 3

był stosunkowo duży, byłoby w naszych warunkach luksus gdyby został przeznaczony w całości na założenie parku, to też na razie postanowiliśmy po posadzeniu w zaplanowanych miejscach drzew ozdobnych, całą przestrzeń między nimi, po przeprowadzeniu odpowiednio zaplanowanych alei zostawi przynajmniej na razie na uprawę warzyw,

a potem stopniowo na plantacje nasienne, na co bylam zasadniczo nastawiona. Na czesci terenu blizej domu i zabudowan gospodarczych zalozyliśmy sad.

Ziemia tutaj byla na calym terenie przeznaczonym pod ogród wyjątkowo urodzajna, szybko nagrzewajaca sie i przepuszczalna do tego stopnia, ze nawet po największej ulewie mozna bylo po półgodzinnej przerwie wznowic gradowanie upraw. Aby wykorzystac te walory, posadziliśmy na całej przestrzeni przeznaczonej pod jablonie jedna odmiane tj. koksę, za które nam placono najwyższa cene. Po drugiej stronie przyszłego parku posadziliśmy kilkadziesiąt jabloni tak branych, aby poczawszy od lipca miec stale dojrzewajace stopniowo te smaczne owoce. Za oficyna od południowej strony byla kwatery moreli, ogrodzona zywoplotem akacjowym, a także zagonki z warzywami rozdzielone alejkami obsadzonymi kilku odmianami brzoskwin, wielkoowocowym agrestem, porzeczkami i d. d.



Najatrakcyjniejsza osia widokowa ogrodu w Paniewie byl widok na koscioł w Skulsku, wzdluz której zostala zaprojektowana na 70 m dluga aleja, konczaca sie skarpa. Zamiast dwóch starych kasztanów posadzono dwie topole, a skarpe zabezpieczono glazami i drutem. Przestrzen po obu stronach zagospodarowano jak podano w tekście.

118. Główna aleja widokowa.

Zestawienie powyższych zdjęć obrazuje, etapy realizacji myśli przewodniej zagospodarowania ogrodu.

Jednak największa ozdoba ogrodu byla szeroka 70 m dluga aleja, konczaca sie uniwista skarpa, stromo schodzaca do jeziora. W dali widac bylo koscioł i jego biala wysoka wieze. Po obu brzegach owej alei biegł metrowej szerokosci pas trawy, nastepnie szeroka rabata kwiatowa, a za nia znów podobny pas trawy i szeroka rabata, na której rosly rozpiete na drutach karłowate grusze, a miedzy nimi różne, stopniowo zakwitajace byliny. Aleja ta zaczynala sie w miejscu, gdzie roslo kilka dorodnych orzechów, bylo tam kilka laweczek, na których siedzac mialo sie rzeczywiscie widok przesliczny, tym bardziej, ze rabaty, które znajdowaly sie miedzy pasami trawy byly obsadzone kwitnacymi stale poliantami. Aby zaslonic dosc brzydka czesc gospodarcza przylegajaca do domu posadzilam tam rzad tui, a na jego ciemnym tle cieszyly oczy najróżniejsze rosliny cebulkowe, tak dobrane, aby kwitly stopniowo.

Moja ambicja bylo sprowadzanie, co roku malo znanych odmian kwiatów, a szczególnie roslin cebulkowych, tym celu sprowadzalam wiele cenników polskich i zagranicznych, aby móc wyszukac interesujace nowosci. To tez ogród paniewski slynal z tego, ze zawsze mozna bylo znalezc w nim nowe odmiany nie tylko warzyw, owoców, ale i roslin ozdobnych, a przede wszystkim kwiatów. Najbardziej lubilam sie przejsc po ogrodzie wczesnym rankiem, kiedy to budzilo sie zycie. W trzcinach otaczajacego ogrodu jeziora odzywaly sie glosy ptaków o najrozmaitszych tonacjach, od czasu do czasu odzywaly sie bak, co robilo wrazenie, jakby byl dyrygentem tej wielkiej orkiestry.

Tu nie moge sobie odmówic podzielenia sie z czytelnikami tych wspomnien wydarzeniem, które spotkalo mnie tylko jeden raz. Pewnego ranka znalazlasy sie nad jeziorem uslyszalam nagle otaczajaca mnie jakas dziwna muzyke. Drgajace czastki eteru tworzyly przedziwna niedajaca sie opisac prawie niebianska harmonie.



119. Na zdjęciu Kazimierz, (BKD 54) Karnkowski. Zdjęcie prawdopodobnie z 1938/39 r.



120. Na zdjęciu Anna, (BKD 55) Karnkowska. Zdjęcie prawdopodobnie z 1938/39 r.



121. Krzyżówka. Alejka na lewo prowadzi w kierunku domu. Na pierwszym planie rośliny cebulkowe (tulipany, narcyze itp.), na drugim żywoplot z tui.



122. Na prawym narożniku rosły wspomniane w opisie orzechy włoskie. Na obu zdjęciach prawdopodobnie z 1938/39 Anna, (BKD 55) Karnkowska.

Stałam jak urzeczona, wsłuchując się w to coś, czego nie mogłam sobie wytłumaczyć ani pojąć, a co ro o wrażenie czegoś zupełnie niezwykłego. Trwało to kilkanaście minut i nagle ucichło. Po chwili pobiegłam do domu, aby zapytać męża, w jaki sposób, można by wytłumaczyć to niezwykle zjawisko. Po długim namyśle powiedział, iż sądzi, że sprawily to bijące z Anioł Panski dzwony w odległym o kilkanaście kilometrów kościele Broniszewie (?), w którym niedawno stroił nowo zakupione dzwony sławny ksiądz Gieburowski. Prawdopodobnie tego ranka fale powietrza, przepływające między dwoma jeziorami, znajdującymi się pomiędzy tamtym kościołem Paniewem, musiały ułożyć się w tak niezwykle sprzyjający sposób, że w rezultacie powstała owa przedziwnie brzmiąca harmonia. Od tego czasu wielokrotnie chodziłam rankami nad jezioro mając nadzieję usłyszeć ów niebiański koncert, ale niestety zjawisko to już nigdy się nie powtórzyło.

Wkrótce po ślubie postanowiliśmy postawić oficynę, gdzie byłoby, choć kilka gosiennych pokoi, bo bez nich odwiedzający nas goście musieli spać w gabinecie na kanapie. Jeśli gości było więcej, to musieli się zadowolić legowiskiem skombinowanym z foteli. W projektowanej oficynie miała być również kancelaria, gdzieby mój mąż mógł spokojnie pracować, załatwiać interesantów, wypłacać pracowników itp.



123. Dowód osobisty Teodora Karnkowskiego wystawiony w rok po ożenku. Podpisał prawdopodobnie Kazimierz Leszczynski¹⁰³, ówczesny wójt Gminy Skulska Wies, brat Marii, (BKD 563) z Leszczynskich



124. Od prawej: K. Leszczynski, Ks. M. Hoffman proboszcz w Skulsku (1908-1818), Ks. Tomasz Opasewicz (1909-1911), albo Ks. Edmund Wolski (1911-1912 – wikarzy w Skulsku, p. Sojecka, p. Sojecki z Mielnicy Dużej, Maria z Leszczynskich Mittelstaedt, N.N., C. Przyłubska (cioteczna babka Marii i Kazimierza Leszczynskich), N.N.

¹⁰³ Kazimierz Leszczynski. Zamieszkał wraz z siostrami Maria (BKD 563) Emilia z Leszczynskich Mittelstaedt oraz Urszula i Irena i cioteczna babka, Celina Przyłubska z Grabskich w Lisewie około 1912 roku. Był kawalerem, społecznikiem, organizatorem teatru amatorskiego w Skulsku, peowiak i czynny członek „Strzelca”. Przez pewien czas piastował urząd wójta gminy Skulska Wies. W grudniu 1939 r. został wysiedlony w jednym transporcie ze swą siostrą i matką, rodzina Karnkowskich i innych w Tarnowa, gdzie jego matka niedługo potem zmarła. (Tomasz Jaskulski, „HISTORIA SKULSKA i jego OKOLIC do 1945 r.”). Celina Przyłubska, miała siostry Wandę hrabine Wesierska, która wyszła za Alojzego Grabskiego herbu Wczele. Mieli oni syna Alfonsa i córki Celine. Celina poślubiła Kazimierza Leszczynskiego herbu Awdaniec. Z tego związku, przyszli na świat Maria, Irena, Urszula i Kazimierz. Występują dwie wersje nazwiska Sojeczcy i Sójeczcy, (do wyjaśnienia), (Tomasz Jaskulski 2012-07-22).

W wyniku wstawiennictwa Jana (BKD 203) Bartoszewicza, Maria (BKD 563) Emilia z Leszczynskich Mittelstaedt, została zaproszona przez Marię z Horodyskich Jordanową na okres wojny do Wieckowic, jednak wyraźnie bez brata (nie wiem, czy przyczyna tego były jego idealistycznie lewicujące poglądy). W odróżnieniu od swej siostry Marii, która do śmierci pozostała w Wojniczu, (jako polonistka), brat wrócił do Skulska, gdzie już nie demonstrował swych „postępowych” poglądów. Przypominam sobie, że podobno pracował, jako drobny urzędnik w zarządzie gminnym. Pamiętam go z tego okresu, był olbrzymiego wzrostu. Prawdopodobnie zajmował się również teatrem amatorskim. Zmarł krótko po wojnie.

Mittelstaedt'owej z Lisewa.

3 2 . P A S M O K R A D Z I E Z Y I K L E S K

Rok 1936 był dla nas fatalny. Zaczęło się od tego, że chwila, gdy już pierwszy pokój w budującej się oficynie był gotowy zabrałam się do umeblowania go, aby był gotowy na Zielone Świątki, kiedy to zapowiedziały swój przyjazd kuzynki Tota¹⁰⁴. Pokój ów wyglądał rzeczywiście bardzo miło i ładnie. meble, wesole firanki, dywaniki itp. Cieszyły mnie bardzo, a przede wszystkim świadomość, że nareszcie będziemy mogły umieścić gości w wygodnym i miłym pokoju. Po wyjeździe kuzynek padał przez dwa dni deszcz, wobec czego odłożyłam przeniesienie poscieli do chwili, kiedy się wypogodzi. Gdy to nastąpiło poszłam tam i otworzywszy największym przerażeniem zobaczyłam, że pokój jest zupełnie pusty, to znaczy nie ma tam poscieli, a dałam najładniejszą, piękne adamszkowe kołdry, ozdobiona haftem bielizna poscielowa, firanki, dywaniki i wszystko, co dało się wynieść przez okno, które nota bene zastałyśmy uchylone. Była to nie tylko duża strata, ale przede wszystkim ogromna przykra. Tak się przecież cieszyliśmy tymi pokojami. Niepowodzenia, które nas spotykały nie ograniczyły się tylko do tego. Można to było przeboleć, ale to był dopiero początek. Wkrótce zaczęły się zniwa. Cieszyliśmy się zapowiadającymi się wyjątkowo dobrze zbiorami. Właśnie dojrzało pierwsze żyto. Pogoda była piękna, to też wszyscy zwijali się ochoczo ze stawianiem w tym roku pierwszych stogów, ciesząc się, że wkrótce będzie chleb z nowego zboża. Było już prawie ciemno, gdy zakończono stawianie stogu. Mój maz, który cały dzień dozorował prace wrócił zadowolony i siadł do stołu, aby spokojnie zjeść zasłużoną kolację. Nagle usłyszeliśmy przeraźliwe krzyk: „Pali się, pali się, pali!”. Wybiegliśmy i zalamawszy bezradnie ręce patrzeliśmy na szalejący żywioł. Suche zboże paliło się jak olbrzymia pochodnia, a po chwili stogi wyglądały jak gdyby miały szklane ściany z buzującym wewnątrz rozpryskującym się na wszystkie strony przerażającym ogniem. Dookoła zgromadziła się cała wieś. Patrzono z zaniemowieniem, jak ginie w płomieniach owoc całorocznego trudu, zdawało się, że wszyscy czują już smak chleba, który miał być upieczony z tego ziarna, które teraz ginie w straszliwych płomieniach. Dla nas to była dotkliwa strata, bo przecież liczyliśmy już, ile dziur w naszym mocno nadwyznaczonym budżecie zdołamy załatać dzięki pieniądзом uzyskanym za zboże, które teraz się pali. W kilka dni później dowiedzieliśmy się, że podobny do naszego pożar miał miejsce w niezbyt od nas oddalonej miejscowości. Podobno sprawca obu był jakiś nienormalny włóczęga (piroman), któremu dok buchających płomieni sprawiał niewymowna rozkosz, coś podobnego do Nerona z QUO VADIS Sienkiewicza. Ale pożar ów był tylko jednym ogniem czekających nas tego roku strat i niepowodzeń. Po skończonych zniwach maz zapowiedział robotnikom, że tego a tego dnia zostaną wypłaceni.



125.

Skulsk. Remiza straży pożarnej, gdzie Teodor Karnkowski został okradziony z pieniędzy przeznaczonych na wypłatę pracowników po zniwach. Stan 1913 r.

Po pieniądze, które miał odebrać na poczcie pojechał do Skulsk a ponieważ tego dnia miało miejsce zebranie straży ogniowej, której był prezesem, wprost u urzędu pocztowym poszedł do remizy, aby wziąć w nim udział. Na schodach do niej prowadzących było tłoczno (złodzieje spowodowali sztuczny tłok), aby niepostrzeżenie wyciągnąć z kieszeni meza portfel, w którym obserwując go na poczcie wiedzieli, że schował tam pewną sumę pieniędzy. Dopiero wróciwszy po skończonym zebraniu do domu maz sięgnął po portfel, z przerażeniem stwierdził, że go nie było. Powstała wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja. Trzeba było odprawić z kwitkiem ludzi, czekających na odebranie należności, no i na gwałt pozyczać pieniądze, aby im takowe wypłacić. Czekali przecież na nie dość długo.

¹⁰⁴ Najprawdopodobniej były to siostry Jablonskie: Janka Jablonska, Ela Bogatkiewiczowa i Hala Radliczowa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Lecz ukoronowaniem tej serii strat, których padliśmy tego roku ofiara, było to, co nas spotkało tego roku jesienia. Była to noc 18-ego października, padał deszcz i szalała wichura tarmośca lipy z taką siłą, że prócz uderzenia galezi o dach, niczego usłyszeć nie było można. Mniej więcej około 11-ej godziny, obudziło mnie stuknięcie tuż obok łóżka. Zdawało mi się, że spadł ze stolika zegarek, który musiałam koldrażać. Zaczęłam szukać zapalek, aby zapalić świecę celem znalezienia zegarka, gdy nagle usłyszałam trzask drzwiami (od niedawna przeniesiliśmy się do dawnego jadalnego). Obudziłam męża wołając, że to chyba złodzieje zakradli się do domu. Wybiegliśmy do przedpokoju, gdzie od razu spostrzegłam brak wiszących tam naszych codziennych futer i dużej baranicy, którą okrywaliśmy nogi podczas zimnych wyjazdów. W sąsiednim pokoju leżała na podłodze otwarta moja walizka, do której prawdopodobnie złodzieje zamierzali włożyć wszystko, co mieli nadzieję ukradnąć w sypialnym pokoju. Wbiegliśmy do ubieralni. Tu na podłodze leżał stos wieszaków, z których złodzieje siali całą naszą garderobę, która znajdowała się w ogromnej szafie stojącej w ubieralni. Przepadły wszystkie wizytowe garnitury mego męża, także i z frakiem, którego nie miał na sobie od dnia ślubu, tak, że tkwiła jeszcze w kłapie biała kokardka z gałką mirtu, nie mówiąc o 24 białych koszulach bardzo eleganckich, które miał kupować zawsze tylko w Warszawie na Elektoralnej. Największą stratą były moje piękne wyprawne karkulki z dużym skunksowym kołnierzem i takimi mankietami. Liczyłam, że beda mi użyteczne chyba do śmierci. Oczywiście nie było mojej ślubnej sukni, kostiumu, no i reszty moich sukien. Cała szafa została dokładnie opróżniona, tak, że nazajutrz, była to niedziela pojechaliśmy do kościoła w codziennych ubraniach, po prostu, dlatego, że prócz nich nie mieliśmy nic innego do włożenia na grzbiet. Sytuacja była rzeczywiście niewesoła. Zima za pasem a my nie mieliśmy żadnych ciepłych okryć, a w dodatku niewiele pieniędzy na kupienie nowych. Zaalarmowaliśmy policję. Nie znaleziono niczego, prócz szufladki od mojego nocnego stolika, którą złodzieje wyciągnęli wtedy, gdy się obudziłam. Przypuszczali zapewne, że przechowuje w niej kosztowności. Znaleziono ją porzuconą na burzonym polu.

Pomyśleliśmy, że policja była chyba przez złodziei podpalona, a inicjatorem całej imprezy był prawdopodobnie pomocnik murarza, który budował oficynę. Dowiedzieliśmy się, że pochodził z niżej odległej wsi, sławnej z tego, że zamieszkiwali ją sami złodzieje, którzy na swym procederze tak się wzbogacili, że jeśli zdarzył się u nich ślub lub inna tego rodzaju uroczystość, to goście zaproszeni przyjeżdżali wszyscy samochodami i to luksusowymi. Domyslałiśmy się, że to również okradł wiosną ów gościnny pokój w nowobudowanej oficynie.

Musieliśmy przeboleć utratę naszej garderoby, najdokuczliwszym był brak zimowych okryć. Postanowiliśmy pojechać do Warszawy i żeby tam kupić zwykle kozuchy, oddały nam wiele usług, choćby te, że uratowały od utopienia następnej wiosny, a przede wszystkim ochroniły od niejednej choroby, której na pewno nabawilibyśmy się podczas wojny, a także i potem. Istnieją do dzisiaj, choć przystosowane do innych celów (przerobione na narzuty na tapczany). Nie była to ostatnia kradzież, która nas w tym czasie dotknęła. Byliśmy już tak zaniepokojeni tymi powtarzającymi się stratami, że balismy się, żeby następna nie padła pasieka. Ponieważ była dość daleko od domu, postanowiliśmy przenieść ją na zimą bliżej i ustawić u nas na trawniku przed oknami. Nastąpiły silne mrozy. Jakież było moje przerażenie, gdy wyszedłszy pewnego ranka zobaczyłam, że prawie wszystkie ulę są poutwierane, ramki powyciągane, większość z nich z powalonymi plastrami miodu znaleźliśmy na pobliskiej łące.

Oczywiście w większości pszczoły zmarzły tak, że cała tak pięknie zapowiadająca się pasieka była prawie całkowicie zniszczona. Ostatnim akordem serii owych kradzieży była strata wszystkich wedlin i słoniny, które wędziło się na okres letni wiosną w wędzarni, którą mieliśmy w pobliżu kuchni na dworcu.

Właśnie tego ranka, kiedy gospośnia miała przynieść uweźnione już mięso do spizami, otwierając wędzarnię z przerażeniem zobaczyła, że jest całkowicie pusta. Została na całe lato bez żadnych zapasów. Wszystkie te straty nauczyły nas nie przywiązywać nadmiernej wagi do dóbr tego świata, to też, gdy wkrótce staliśmy się ofiarą największej straty, jaka spotkać nas mogła, to jest utraty Paniawa w 1939 roku, ustosunkowaliśmy się do niej z większą dozą filozofii niżli wielu naszych krewnych i sąsiadów (autorka nie pisze tutaj, że największą stratą i upokorzeniem, było wypędzenie całej rodziny w 1945 r. po powrocie z wysiedlenia i obrabowanie z przedmiotów użytku osobistego tym razem przez polskich współobywateli i celowe upokorzenie poprzez wywiezienie ich wozem zaprzęzonym w woly).



126. Skulsk. Remiza strażacka.
Stan z r 2011.

33. ZYCIE I PRACA W PANIEWIE

Wróćmy jednak do poprzedniego okresu. Jak już wielokrotnie wspominałam Wanda Tippenhauer, która w miedzy czasie wyszła za p. W. Widigera, bywała częstym u nas gościem, lubiła Paniewo i nas wszystkich darzyła nieklamana sympatią. Dużo malowała.



127. Wierzby i malwy nad jeziorem paniewskim.

Na szczęście ocalało kilka bardzo ładnych widoków Pani wa z jego pięknym jeziorem, a przede wszystkim niezwykle udana kopia portretu mojej Matki malowanego przez Konr a Krzyzanowskiego, która wisi jeszcze na ścianie mego pokoju. Z ta kopia była kapitalna historia. Zaczęło się od tego, że, mimo, iż wielokrotnie prosiłam Ojca, aby zechciał mi ten portret ofiarować, stale odmawiał, twierdząc, że jego miejsce st w Wiecininie. Jednak pewnego razu rzucił myśl, że Wanda, która jest przecież malarka mogłaby ów portret skopiować. Przystaliśmy o tym myśleć, aż tu pew go dnia ujrzelismy nadjeżdżający powóz, w którym siedział Ojciec (zawsze przyjeżdżał konno), a na kozle obok Ignaca zobaczyliśmy starannie owinięty duży przedmiot, w którym domysleliśmy się portretu Matki. Ojciec wiedząc, że Wanda u nas bawi postanowił zrealizować swój pomysł i ledwo wysiadł, witając się z Wandą, oświadczył jej tonem niedopuszczającym sprzeciwu, że portret przywiózł z tym, aby go skopiowała, na co jej e 3 dni, po którym to terminie zabiera go z powrotem, bo musi wracać.

Wanda zaskoczona i zdumiona tym werdyktem zaczęła tłumaczyć, że zrealizowanie tego zamiaru jest zupełnie niewykonalne, bo primo, nie maluje portretów i do tego olejnych, że nie ma odpowiedniego płótna, a także farb koniecznych do tego, no i przede wszystkim żaden malarz nie byłby stanie skopiować portretu w tak krótkim czasie. Wszystkie te argumenty nie przekonały Ojca ona zaś wiedząc jak bardzo pragnęłam mieć ten portret, postanowiła spróbować. Okazało się, że farby jednak miała, a na płótno użyła jeden z moich mniej wartościowych obrazów, co prawda mniejszych niż portret malowany przez Krzyzanowskiego, ale ponieważ nie było boru, zdecydowała się posłużyć tym, co miała do dyspozycji.

Brak kartki.....



128. Tam gdzie kiedyś rosły wierzby i kwitły malwy „lud” posadził parę rachitycznych drzewek. Tam gdzie był sad i ogród warzywno-nasienny, zasiano kukurydze i pszenice.



129. Resztki zniszczonej skarpy widokowej.

Tak, więc prócz nieustannego czuwania nad wszystkim, co się działo w ogrodzie i na coraz to powiększającym się areale plantacji nasiennych trzeba było zaglądać do pasieki, kurników i kurników. Hodowałam wtedy duże stado Leghornów i kaczek, pięknych rasowych Pekingów, nie mówiąc o tym, że w międzyczasie przyszedł na świat syn Kazimierz, a po czterech następnych latach córka Anna. Na szczęście udało mi się zaangażować wyjątkowo ząca i oddaną osobę, siostrę jak ją nazywano, zresztą miała do tego niezaprzeczalne prawo skonczyła, bowiem specjalny kurs przeznaczony dla osób chcących się poświęcić wychowywaniu niemowląt. Mogłam ją całkowicie zaufać, to też zjawiałam się w pokoju dziecięcym tylko w porze karmienia wiedząc, że wszystko, czego dziecko potrzebuje będzie właściwie i w odpowiedniej porze zrobione. Z największą stanowczością przestrzegała wszystkiego, czego jej na tym kursie nauczono, choćby to było dla niej samej uciążliwe, np. codzienne bez względu na pogodę przynajmniej dwie godziny spędzała z dzieckiem na dworze, a jeśli nawet padał śnieg, to siedziała skulona, pod parasolem za ścianą dworu i nie można jej było namówić by ze spaceru zrezygnowała. Miała niesłychanie skromne wymagania, zależało jej jedynie na tym, aby mogła każdej niedzieli być w kościele i przy tej okazji nabyć numer Przewodnika Katolickiego. Zaczerpniętymi z niego wiadomościami dzieliła się chętnie przez cały tydzień z domowym personelem, co zresztą uważała za swój obowiązek. Gdy odchowala naszego syna do 2 i pół lat, zajęła się z kolei chrześniakiem mego meza Kazikiem Górskim, aby znów do nas wrócić, gdy przyszła na świat nasza córka Anusia, by potem powędrować do Szwajczerów, krewnych meza, gdzie zastała ją wojna. Zawsze zycliwie usmiechnięta, siwowłosa, w nieposzlakowanej czystości białym fartuchu, wzbudzała nie tylko zaufanie, ale ogólną sympatię i zycliwość. Nasz personel domowy był z powodów oszczędnościowych bardzo skromny, przez szereg lat mieliśmy szczęście do posiadania znakomitej kucharki, która nie tylko świetnie gotowała, ale jeszcze potrafiła robić to niezwykle szybko. Po prostu robota paliła jej się w ręku. Np. ponieważ wiedziała, że mąż bardzo lubi świeże pieczywo, potrafiła podać na śniadanie świeżo upieczony chleb. Ciasto zarabiała wieczorem tak, że ciepły jeszcze chleb, zresztą znakomity leżał już na stole o dziewiątej rano. Zawsze usmiechnięta, bardzo ładna Wesolowska robiła wrażenie osoby zadowolonej z życia. Nie lubiła tylko jednej rzeczy, to jest późnego kładzenia się do łóżka. To też, aby nie potrzebowała podawać wieczorem kolacji zaprowadziła zwyczaj, który szczególnie w naszej okolicy budził ogólne zdziwienie. U nas jednak przyjął się szybko, tak, że w rezultacie zyskał ogólną aprobatę. Po prostu zamiast podwieczorku podawano o szóstej kolację, a wieczorem, kiedy ja i mój mąż kończyliśmy całodzienną obowiązkową spotykaliśmy się z domownikami i gośćmi, aby razem, bez pospiechu wypić herbatę i zjeść zwykle na podwieczorek podawane ciasto i owoce. Mój mąż słuzaczka nastawiała wcześniej, szklanki i talerzyki zużyte na ów „wieczorny podwieczorek” odstawione na boczny stół myła nazajutrz. Wszyscy przyjęli to z aplauzem. My oboje byliśmy zadowoleni, że nie potrzebujemy spieszyć się i przerywać wieczornej inspekcji wykonanej przez cały dzień pracy, wakacyjni goście mieli czas na dłuższe spacerowanie, dzieci mogły jeszcze przed snem pobiegać i nabawić się do syta, a Wesolowska i słuzaczka miały cały wieczór dla siebie. Tu zaznaczę, że mieliśmy zawsze tylko jedną pokojówkę, zresztą bardzo zreczna, a przy tym poczciwa dziewczyna, niestety niezbyt urodziwa, imieniem Rozalka. Ubawiła mnie, kiedy przypadkowo usłyszałam fragment rozmowy, która miała miejsce w kuchni. Był tam właśnie młody murarz zatrudniony przy budowie oficyny. Po skończonej kolacji bawił zajęte w kuchni niewiasty „dworska” rozmowa. Usłyszałam jej fragment: „panna Rozalka gdyby róży kwiat”. Przekonało mnie raz jeszcze, jak słusznym jest twierdzenie, że „de gustibus non est disputandum”. (Jest wysoce prawdopodobnym, że ta „poczciwa” Rozalka dawała różne „wskazówki” temu człowiekowi, który i tak był podejrzany o współuczestnictwo w serii kradzieży w Paniewie. Niestety Matka i po tylu latach na to nie wpadła [K.K.]).

Podobnie nieocenionym, jak to było z Wesolowską, pracowniczką była niewiasta, której pieczywo pozostawiona była swiniarnia i kórnik - Dzwoniarkowa. Do jej obowiązków należało również odwiedzanie do mleczarni w Skulsku codziennego udoju i zalatwanie przy tej sposobności różnych codziennych zakupów i odebrania z urzędu pocztowego listów i gazet. Jeździła małym wózkiem zaprzęzonym w parę osiołków, które dostałam od Ojca. Bardzo lubiła ten sposób, nawet była z niego dumna, twierdząc z najlepszego przekonaniem, że wśród okolicznych stangretów wzbudza szczególny szacunek, czego dowodem jest to, że mleczarz od niej pierwszej ośle mleko i dlatego może być tak przedko z powrotem w domu, co specjalnie doceniał mąż, który zwykle niecierpliwie czekał na świeże bułeczki, które mu ona przywoziła, a także na gazety, które chętnie przy śniadaniu przeglądał. Przez dłuższy czas nie wiedzieliśmy, dlaczego nasza Dzwoniarkowa cieszy się takimi względami wśród odwiedzających mleko do mleczarni. Pewnym dopiero czasie rzecz się wyjaśniła. Po prostu konie wprost niesamowicie bały się ryku osłów.

Kiedys Dzwoniarkowa spotkała się na grobli prowadzącej przez lake, która trzeba było dojechać do Skulka, stangreta z sąsiedniego majątku, który wjechał na nią równocześnie wioząc, podobnie jak ona, mleko. Gdy konie, nieprzyzwyczajone do ryku osłów nagle usłyszały go, tak się przeraziły, że zaczęły uciekać w szalenczym tempie tak, że wóz się przewrócił i banki pełne mleka pospadały z wozu. Po tym niemiłym doświadczeniu, o którym ów stangret powiedział kolegom, woleli już odtąd „to babsko” wpuścić, jako pierwszą do mleczarni, aby uniknąć podobnej jak ich kolega kompromitacji. Jednak sława paniewskich osiołków osiągnęła swoje apogeum, od czasu, gdy pewnego lata oddział kawalerii, który odbywał letnie manewry w naszej okolicy wjechał na ową groblę. Na przeciwnym jej końcu znalazła się właśnie Dzwoniarkowa, wioząca jak zawsze mleko do mleczarni. Osły podniecone widokiem koni ryknęły rozgłosnie, czym przerazone konie w szalonym galopie zaczęły uciekać. Mieszkańcy Skulka i okolicy, zaczęli się wysmiewać z ulanów, którzy uciekali na widok osłów tak, że skonfundowani musieli jak niepyszni przenieść się w inną okolice, a sława Dzwoniarkowej i jej osiołków rozeszła się szeroko.

Dzwoniarkowa miała - jak już przed chwilą pisałam - pieczę nie tylko nad swiniarnią i kurami, ale także cwała nad kilkoma klatkami królików, które stały na podwórku w pobliżu domu. Kazio (wtedy około 3 lat), który po opuszczeniu przez Siostrę Paniewą krążył w otoczeniu domu, a więc i po owym podwórku, a nawet po podwórzu trochę samopas,



130. Kazio i Anusia pod (prawdopodobnie) pod opieką p. Jadzi. Paniewskie osiołki „bohaterowie” wielu anegdot.



131. Kazimierz Karnkowski, autor wielu „pomysłów” na tle domu w Paniewie.

pewnego razu zabawił się wypuszczeniem z klatek królików, które rozbiegły się. Zapytany, czemu to zrobił odpowiedział z najlebszym przekonaniem: „Chciałem je wypuscic na wolnosc. Przeciez Tatusz zawsz mówi, ze niewola to straszna rzecz”. Pod wpływem tego samego współczucia, pod nieobecność Dzwoniarkowej powyszczał „na wolnosc” wszystkie swinie. Można sobie wyobrazic, ile musiała się ich opiekunka nabiegac i nameczyc, zanim wszystkie pozganiała do chlewow. Zawolałam wtedy Kazia i kazalam mu ja przeprosic i pocalowac w reke. Przeprosil ja owszem, ale z pocalo niem reki bylo gorzej¹⁰⁵, to tez by na przyszłosc uniknac tego rodzaju niemilych konsekwencji nie kontynuowal juz swej humanitarnej akcji. Rada byla, ze udalo mi sie dobrac tak szcieszliwie mój personel, dzieki czemu mogla na nich polec, wiedzac, ze dyspozycje beda sumiennie wykonane, a ja mialam wiecej czasu by zajac sie ogrodem.

W tym miejscu pojawia się jakiś luka we wspomnieniach Matki, która postaram się jakos wypelnic¹⁰⁶.

Ogrodnikiem zostal w tym czasie p. Radziszewski, a nowa pokojówka zostala p. Jadzia¹⁰⁷⁻¹⁰⁸ O p. Radziszewskim nigdy nie slyszalem z ust Matki jakiegokolwiek najmniejszej krytycznej uwagi, natomiast uznanie, w związku opanowaniem wszyst-

¹⁰⁵ Pamietalam to jak dzis. Nie chcialo mi sie pocalowac pani Dzwoniarkowej w reke, która smierdziała wyraźnie swinskim gnojem. Pani Dzwoniarkowa tez byla zazenowana ta akcja i „szykanowaniem” mlodego panicza, wiec starala sie zazegnac sytuacje mówiac „pani dziedziczko to juz starczy”. Mama byla jednak nieustępliwa i obserwowala ze schodków dom rozwój sytuacji. Wtedy to przeprowadzilem jedna ze swych pierwszych „analiz zysków i strat”. Jesli pocaluje pania Dzwoniarkowa w reke to mi sie nic nie stanie, bede mial sprawe z glowy i bede sie mógł dalej bawic. Jesli nie, to bede narazony na dalsze konsekwencje ze strony Matki. Sprawa byla prosta pocalowalem, wiec w reke i bylem „wolny”. Na przyszłosc jednak uwazalem. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁰⁶ Nie znam przyczyny tej luki. Znam tylko przebieg wydarzen i postaralem sie dobrac do nich, prawdopodobne przyczyny. Kleski i kradzieze, jakos u staly i zniknela z Paniewa, „bardzo zreczna, a przy tym poczciwa dziewczyna, niestety niezbyt urodziwa”, pokojówka Rozalka zniknela.

¹⁰⁷ Byc jest to wytwór mojej fantazji, ale wlasnie taki byl spłot i przebieg faktów.

¹⁰⁸ Szanowny Panie,

Konin / Szczepidło 5 maja 2012.

Z ogromna przyjemnoscia przeczytalam WSPOMNIENIA Pana Mamy. Jestem pod wrazeniem bogactwa szczególow spisanych po latach przez autorce i Panskiej pracy redakcyjnej. Komentarze, zdjecia, dokumenty urealnijaja a historie Pana Rodziny.

Co prawda przeczytalam juz calosc, ale co rusz zagladam tej pieknej pracy i odnajduje, co raz to nowe ciekawosci tak historyczne, jak i kulturowe, obyczajowe. Nie wiem, jakie ma Pan plany, co do zebranych materialów, ale czy nie myslal Pan, ze warto byłoby opublikowac je w wydaniu ksiazkowym? To niezwykle swiadectwo czasow juz minionych, ale jakze istotnych dla kultury polskiej. Od lat przemieszczajac sie po kraju i spotykajac w wiekszosci niestety zrujnowane dwory ziemianskie bylo mi zal, ze tak piekne miejsca popadly w zaniedbanie. Nie raz zadawalam sobie pytanie jak te miejsca wygladaly w czasach swojej swietnosci i co sie dalej dzialo z wlasicielami.

Wstyd mi, jako Polce i zal, jako człowiekowi, ze to my sami doprowadziliśmy do tych zniszczen. Jakkolwiek nie próbowalby usprawiedliwic skutków Reformy Rolnej, choc ja usprawiedliwienia nie znajduje, to fakt pozostaje faktem - ograbiono ziemian z ich majatków i tego, co takie osobiste - domów. Za oburzajacy (i to najdelikatniejsze okieslenie, jakie przychodzi mi do glowy) uwazam fakt ogwalcenia jednego z podstawowych praw w cywilizowanym swiecie - prawa wlasnosci. Nie ma znaczenia czy mamy malo czy wiele - oba pojecia skad inad sa wzgledne - nikt nie ma prawa odbierac cudzej wlasnosci. Jakze celnie ujal Pan w przypisach nature chłopca polskiego.

WSPOMNIENIA Pana Mamy maja w mojej ocenie nie tylko wymiar historyczny; jako czytelnikowi dostarczily mi wielu emocji - byly fragmenty, które wywoływaly usmiech, takie gdzie szczerze sie wzruszylam, ale i takie gdzie bylam po ludzku zla.

Z calego serca bede Pana zachecac do opublikowania WSPOMNIEN. Mysle, ze wielu otworzylyby oczy. Z perspektywy 40-letniej kobiety z przykroscia musze stwierdzic, ze o wielkiej krzywdzie wyradzonej ziemi m po 1945 roku w tym kraju sie w ogóle nie mowi i pokolenia urodzone po II wojnie swiatowej w wiekszosci nie wiedza, jaka nasi dziadkowie wyradzili krzywde rodzinom takim jak Panska, na jak trudny los te rodziny skazano. Skutkiem tego straciliśmy bezpowrotnie duza czesc naszej kultury. „Człowiek człowiekowi wilkiem!” Milczenie zas w tej kwestii mam wrazenie, nie jest wynikiem odczuwanego wstydu, tylko przyzwolenia. Taka publikacja moze ocalic to, co minelo od zapomnienia.

Bardzo dziekuje Panu za udostępnienie mi WSPOMNIEN. Dla mnie to takze osobista podróz. Dzieki lekturze opowiesci babci ukladaja mi sie w calosc. Lepiej tez rozumialam postawe i babci i dziadka, moich rodziców.

Pamietalam opowiesc o Wandzie Gentil-Tippenhauer, autorce akwareli, dzieki której nawiazala z Panem kontakt. Babcia Jadzia zachwycala sie pieknym grubym plomieniem rudym warkoczem p. Wandy i akwarelkami wlasnie. Ten zachwyty wyrazony kiedys glosno sprawil, ze malarka jedna z nich podarowala mojej babci. Sprawdzilam kiedys, ze malarka zwiazana by Zakopanem, gdzie tez zostala pochowana. Nie wiedzialam skad wzela sie w Paniewie, a teraz juz rozumiem.

Z opowiadania babci (dziadek zmarl zanim sie urodzilam, dlatego nigdy nie slyszalam jego relacji i o nich nie wspominam w sposob bezposredni) wiedzialam, ze dworek w Paniewie nie byl wielki w porównaniu do majatku, z jakiego pochodzila Pana Mama. Babcia podkreślala takze, ze Pana Mama byla niezwykle przedsiębiorcza i pod jej kierunkiem Paniewo zaczelo rozkwitac.

kich tajemnic zawodu ogrodnika. Miał on duży udział w rozbudowie produkcyjnego potencjału ogrodu paniewskiego i jego różnorodnych dziedzin, jak: szczepienie drzewek owocowych i dekoracyjnych do obsadzania dróg, zakładanie kwater z różnego rodzaju drzewami owocowymi, pasieka z przewożeniem uli w pobliżu miododajnych roślin, oraz wytwarzanie różnego rodzaju miodu (akacjowego, lipowego itp.). Produkcja nasienna dla f-my Szukalskich w Bydgoszczy, pielęgnowanie rzadko w Polsce uprawianych roślin, jak karczochy i szparagi. Plany dalszego rozszerzenia arealu ogrodowego i założenia nowych plantacji.

P. Radziszewski ożenił się wkrótce z, panią Jadzią¹⁰⁹. Była ona osoba cicha, ale jak się okazało cieszyła się wielkim zaufaniem Matki, która powierzała jej wiele kluczowych spraw w momencie rozpoczęcia wojny, we wrześniu i do końca 1939 r. Potrafiła też zyskać sobie przychylność paniewskich gości, np. p. Widigerowej.



132.

Pokojówka w Paniewie, pani Jadzia ze Zrąbkowskich, Radziszewska.

Pamiętam opowieść babci o ucieczce we wrześniu 1939r. Paniewa, wysadzeniu mostku... jak bardzo się wtedy bała – dziadek w tym czasie, po sierpniowej mobilizacji, był na wojnie – brał udział w Bitwie nad Bzurą, gdzie trafił do niewoli. Babcia bała się nie tylko o niego, siebie, ale i o narodzone dziecko – w czasie tej ucieczki babcia była w zaawansowanej ciąży, nie wiem czy Pan wiedział (Olenka urodziła się w październiku 1939 r. niestety nie przeżyła wojny, zmarła na początku 1945r.). Po wysiedleniu Pana rodziny z Paniewa przez Niemców, babcia mieszkała w Skulsku, w swoim domu rodzinnym. Po powrocie dziadka z niewoli oboje wyjechali do Włurku koło Wilczyń, gdzie dziadek pracował, jako ogrodnik. Po wojnie cała rodzina wróciła do Skulska i w tym domu pozostali do końca życia. Tu wychowali dwoje dzieci (Bogusław ur. 1942r. i Marianna Aleksandra – moja mama ur. 1946r.) , tam wychowałam się ja i mój brat. Nadal mieszka tam moja mama, tato zmarł dwa lata temu. Po lekturze WSPOMNIENI dziękuję Bogu, że mogłam wychować się w skromnej, ale przyzwoitej rodzinie. I tu wyjaśnię, dlaczego, choć może ten fakt, jest Panu znany. Otóż przy dzieleniu majątku Paniewa mojemu dziadkowi, jako nemu ogrodnikowi Państwa, i babci, zaproponowano tzw. resztkówkę w Paniewie – mieszkanie w dworze i ziemię (te, która zajmują Laskowscy). Jednak dziadkowie odmówili. Jak przypuszczam wierzyli, że Państwo wróci, a oni nie mogliby Pana Rodzicom spojrzeć w twarz. Tak, więc pozostali dziadkowie w Skulsku. O utrzymaniu rodziny z 2 arów ziemi, która mieli nie było mowy, tak, więc dziadek wydzierżawił 1 ha ziemi od Bońskich i skromnie, ale jakos sobie radził.

Jak Pan wie dwór i jego otoczenie ja znać mogłam tylko z opowieści. Po lekturze WSPOMNIENI rozumiem, dlaczego, jak opowiadały babcia i mama, dziadek jeździł do Paniewa po wojnie niechętnie; i co miały na myśli mówiąc, że odchorowywał jak widział tym, co dzieje się z ogrodem, sadem, Państwa ziemią... w dużej mierze jak sadzę z racji tego, czym się u Pana Rodziców zajmował.

Pana samego z kolei pamiętałam brat mojej mamy, a na pewno jedną Pana wizytę u babci, zdaje się w Wielką Sobotę (?). Mówił, że przyjechał Pan motorem. Duża radość sprawił Pan ta wizyta tej prostej kobiecie, która skończyła zaledwie 6 klas szkoły powszechnej (była najsłabiej wykształcona z czwórki rodzeństwa). tu dla Pana ciekawostka, a dla mnie odkryta zagadka z babcińgo albumu. Dzieki WSPOMNIENIOM własnie. Zdjęcie Pana (oznaczone we wspomnieniach nr 121) i Pana Siostry (nr 112) już widziałam wcześniej u babci! Tylko nie wiedziałam, kto jest na tych zdjęciach, a jakos nigdy nie spytałam. Jak pojedzie do Skulska koniecznie muszę sprawdzić czy jeszcze są w babci albumie.

Dzięki lekturze rozszyfrowałam także zdjęcie, które Pa wysłałam. Posługując się opisami Pana Mamy i dokładnym obejrzeniem – to aleja, która wiodła do skarpy widokowej, ale jak sadzę albo robiona bardzo wczesna w a, albo krótko po jej założeniu – nie widac nasadzen, ale przecięte miejscami na nie pasy trawy!

No i zbiór ogórków... takie zdjęcie babcia miała, to pamiętałam na pewno i to ono własnie zostało zniszczone przez babcię w ostatnich latach jej życia. O innowacyjnym jak na owe czasy sposobie segregacji opowiano w moim domu.

WSPOMNIENIA dostarczyły mi także wiedzy nt Luszcze, którego ja nie pamiętam w dawnej formie. W latach '70 przeprowadzono remont pałacu, który był przeznaczony na szkołę, niszczyć oryginalną elewację. pamiętam, że mój tato nie raz krytykował to, co się stało z pałacem w Luszcze i późniejsze projekty rozebrania spichlerza.

Jedynie Lisowe wygląda dziś przyzwoicie. Kilka lat temu prywatny przedsiębiorca kupił pałac z przyległym parkiem, wyremontował i zrobił tam hotelik. A wydawać się mogło, że po pożarze na początku lat '90 i ten obiekt ulegnie całkowitej dewastacji.

Szanse na przetrwanie ma także dworek Mittelstaedtów w Galiszewie, który też trafił w ręce prywatnej osoby.

Bracia Grochulscy kupili dworek w Mniszkach pod Skulskiem. Grochulscy mieszkają tam do dziś. Z wnuczkami jednego z braci chodziłam razem do Liceum Ogólnokształcącego im. Kasprowicza w Inowrocławiu, – czyli tej samej szkoły, co Pan tyte, że wówczas to było Gimnazjum. Świat jest jednak mały...

Na koniec sprostuję jedną informację, która podałam we wcześniejszej korespondencji. Otóż napisałam, że w czasie wizyty w Skulsku Pana Mama (wtedy, gdy przyjechała na pogrzeb Pani Kowalskiej, kucharki z Czartowa) nie zdecydowała się na już na wizytę w Paniewie. Niezupełnie – moja opowieść w ostatnich dniach poprawiła mama. Mój tato zapytał Pana Mamę czy nie chciałaby pojechać do Paniewa. Panska Mama poprosiła „tak, ale tylko do krzyżówki. Dalej nie pojedzie Jadzia, bo by mi serce pekło.” Tak, więc tato poprosił sasiada, aby zawiózł Pana Mamę samochodem do Paniewa. (Sasiad oczywiście nie miał pojęcia, kogo wiezie i po co).

Ale słyszałam także, że kiedy Pana Siostra przyjechała kiedyś do Paniewa chcąc pokazać „TO” miejsce meżowi p. Laskowskiemu nie pozwoliła Pani Annie wejść na „swój teren”. Nawet tego nie skomentuję.

Niezwykła lektura są dla mnie WSPOMNIENIA. To podróż w czasie, taka gdzie można zobaczyć znajome miejsca oczami Pana Mamy, poznać historie najbliższej okolicy, znajomych czy bliskich osób. Wielka szkoda, że moja babcia nie żyje, jaka byłaby wzruszona i szczęśliwa!

Piękne życie, choć trudne ogromnie, miała Panska Mama. Mnie pozostaje chylić czoła. Ogromny szacunek i podziw. Ile trzeba mieć siły i wiary, aby tyle udziwnić.

Raz jeszcze DZIEKUJE, że zechciał Pan podzielić się z mną tą wyjątkową pamiątką. Pozdrawiam serdecznie, Katarzyna Mejer.

¹⁰⁹ Babcia z domu nazywała się Zrąbkowska.

Mieszkała zawsze w tym samym domu w Skulsku, który z resztą podarował jej jeszcze za życia ojciec. Do pracy w Paniewie nie trafiła z polecenia.

Pozwolle sobie trochę szerzej o tym napisać, bo myślę, że w dużej mierze uzasadnia dlaczego Pana Mama była dla mojej babci ważną osobą i skąd moje przekonanie, że Panska Mama zarówno wiele babci nauczyła, jak i była dla niej autorytetem i wzorem.

Babcia miała czworo rodzeństwa. Była przedostatnim dzieckiem moich pradiadków. Gdy miała 7 lat zmarła jej mama. Ojciec babci był kupcem i nierzadko wyjeżdżał nawet na 2-3 miesiące. W tym czasie dziećmi opiekowała się jego matka. Po kilku latach mój pradziadek ponownie się ożenił, ale relacje między macocha a dziećmi nazwałabym zaledwie poprawnymi – pełnymi szacunku, bo sama to pamiętam, ale raczej dalekim od serdeczności. Jak sadzę dlatego dziadek kupił nowy dom, w którym zamieszkał z drugą żoną, a pierwszy w umowie przedmałżeńskiej zastrzegł jako zabezpieczenie dla dzieci z pierwszego małżeństwa. Powołał w miarę dorastania starsze dzieci po ukończeniu szkoły powszechnej wyjeżdżać aby uczyć się dalej, zdobywać zawód. Nie mniej było to dużym obciążeniem dla rodziny, dlatego też moja babcia po ukończeniu szkoły pozostała w Skulsku.

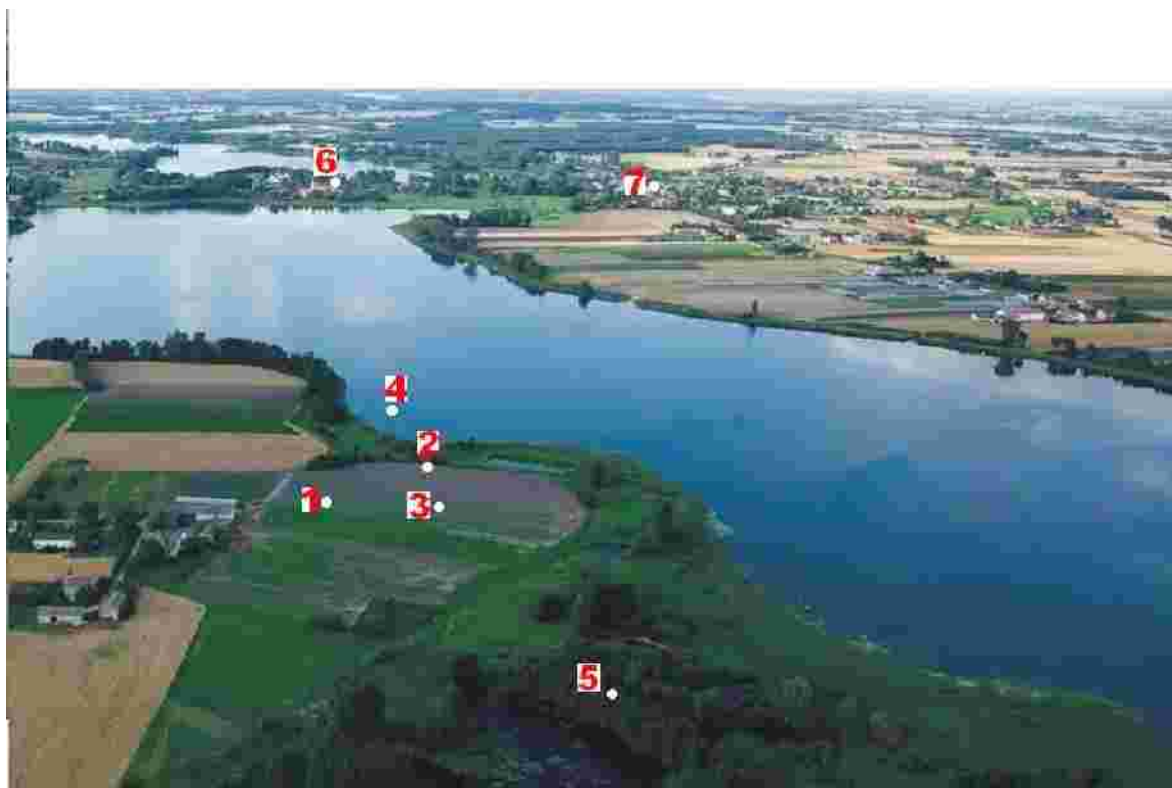
Zależało jej na usamodzielnieniu się w wieku, jeśli dobrze pamiętam ja i moja mama, 16 lat postanowiła poszukać sobie zajęcia i zacząć zarabiac swoje pieniądze.

Wybrała się do Paniewa z zapytaniem czy w majątku Pana rodziców nie znalazłoby się dla niej zajęcia. Na pewno zatrudniła ją Panska Mama do pracy w domu.

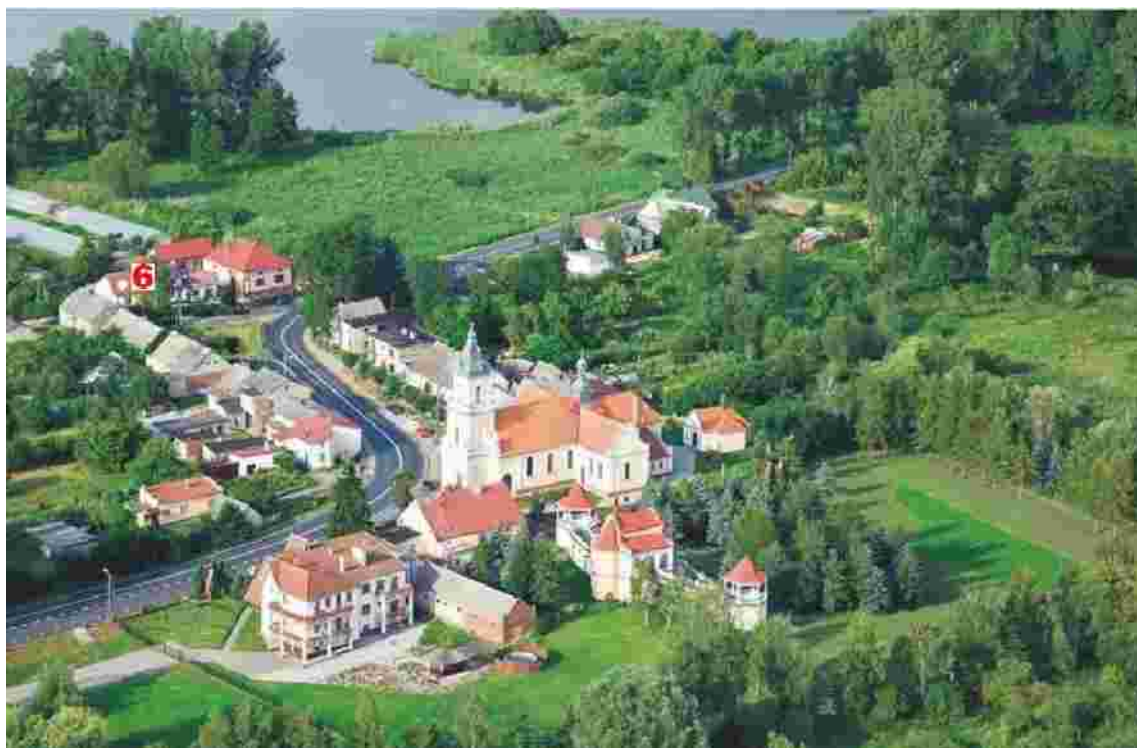
I tak babcia do 1939 pracowała w Paniewie, nadal mieszkając w Skulsku. Do Paniewa codziennie chodziła pieszo. W 1939 r. wyszła za ogrodnika z Paniewa – Czesława Radziszewskiego. Dalsza historia Pan zna, a może i nieco pamięta. Ucieczka wrześniowa, powrót, w październiku zaś babcia urodziła Olenkę. Gdzieś nawet miała zdjęcie z Paniewa z Olenką w wózku i Pana siostra podpisała „Olenka i Anusia”.

Reasumując – biorąc pod uwagę, że babcia urodziła się w 1918 roku – wychodzi na to, że do Paniewa trafiła około 1934 roku.

Pozdrawiam serdecznie, Katarzyna Mejer. Powyższe listy p. mgr Katarzyny Mejer, zostały przez siebie opublikowane za pozwoleniem autorki. K. K.



133. Paniewo i Skulsk z lotu ptaka. 1. Miejsce, na którym stał dom rodziny, Kamkowskich. 2. Skarpa z widokiem na kościół w Skulsku. 3. Teren dawnych ogrodów. 4. Miejsce topieli rodziny Kamkowskich, w 1937 r. 5. Torfowiska. 6. Dom p Jadzi ze Zrabkowskich, Radziszewskiej. 7. Własciwe miasteczko Skulsk.



134. Usytuowanie kościoła parafialnego na Skulskiej Kepie i dom pokojówki p. Jadzi ze Zrabkowskich, Radziszewskiej oznaczony numerem 6.

3 4 . G O S C I E W P A N I E W I E

W rezultacie przy wciąż rozszerzającym się gospodarstwie, byłam tak zajęta, że na życie towarzyskie wcale nie było czasu, a ponieważ nie chcieliśmy kompletnie zdzićzec, wpadliśmy na pomysł urządzenia czegoś w rodzaju letniska płatnego z tym, że proponować je będziemy tylko komus interesującemu, który wniesie coś ciekawego. Liczyliśmy, że pomoże nam w tym Wanda Widgierowa, córka pani Gentill-Tippenhauer, o której poprzednio pisałam. Ona sama odwiedzała nas dość często, czuła się w Paniewie doskonale, tym bardziej, że zaprzyjaźniła się z moim mężem, a także z Kaziem, z którym wybierała się na długie przejazdy łódka po naszym pięknym jeziorze, skąd nierzadko przyjeżdżali narecza wspaniałych nenufarów.



135. Pani Wanda, Widgierowa, Kazio i pies, na wycieczce łódka na jeziorze. W tle sylwetka kościoła w Skulsku.



136. P. W. Widgierowa, autoportret. Kopia obrazu z muzeum w Zakopanym udostępniona przez p. dr Anne Beutler z USA.



137. Teodor Karnkowski na tle domu w Paniewie.

Ułożone w kryształowej wazie cieszyły oko przez długie dni. Najważniejszym jednak było to, że Wanda wnosila ze sobą nie tylko spokojny, miły humor, ale znajdowała zawsze jakiś ciekawy temat, wywołujący ożywioną dyskusję po prostu dzięki niej mieliśmy kontakt z tym, co się działo na szerokim świecie w dziedzinie sztuki, nowych ruchów umysłowych itp.



138. Nad jeziorem w Paniewie. Akwarelka p. Wandy Gentill-Tippenhauer, oferowana p. J. Radziszewskiej.

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Ona też pomogła nam nawiązać kontakt z Profesorem Oskarem Sosnowskim, znanym architektem warszawskim, przemiłym człowiekiem. Przyjechał do nas z żoną na cały miesiąc.

Ponieważ uważał, że powinno się opisać wszystkie cenniejsze zabytki architektoniczne na terenie całego kraju, więc wykorzystywał w tym celu studentów, studiujących a jego wydziale i zadał, aby przynajmniej część wakacji poświęcili na opis i opracowanie, co cenniejszych obiektów. Pamiętam jak mówił: „Gdyby nawet jakiś kataklizm¹¹⁰ zniszczył wszystko, co piękne w Polsce, to o ile ocalałyby nasze prace, można by wszystko, co uległoby ewentualnemu zniszczeniu odbudować w dawnym kształcie”. W dwa lata później wybuchła wojna w czasie, której prof. Sosnowski stracił życie, ale pod jego kierownictwem większość jego cennego archiwum ocalała i obecnie służy przy odbudowie wielu zabytkowych obiektów.



139. Sygnatura p. p. Wandy Gentil Tippenhauer, na powyższej akwarelce.

Nie pamiętam już, co przeszkodziło tym miłym „letnikom” przyjeżdżać następnego lata. Goszciliśmy natomiast Bogatkiewiczów¹¹¹, kuzynostwo Tota, również miłych i interesujących ludzi. Jeśli chodzi o czytanie, to istotnie nie miałam już na to czasu. Wieczorami byłam tak zmęczona, że choć za adalam razem z mężem, aby choć okiem rzucić na bieżącą prasę, odczytać same się kleiły i trzeba było udać się na spoczynek, tym bardziej, że wstawalam zawsze wcześniej, około 5-tej rano. Wydawać się mogło, że jesień i zima powinny być dać okazję do wypoczynku, tymczasem jesień była niemierniej pracowita niż inne pory roku, był to bowiem czas czyszczenia nasion, przygotowania takowych

W czasie mego pobytu w Paniewie namówił nas profesor Sosnowski, aby wybrać się do Kazimierza Biskupiego. Chciał zobaczyć tamtejszą kolegiatę, na której zbudowanie użyto podobno cegły pochodzącej ze zburzonej w czasie najazdu krzyżackiego świątyni, to też pierwszej pogodnej niedzieli pojechalismy tam, jak się to mówi całym dworem, co było możliwe tylko wozem, to też cała wyprawa miała charakter wesołej majówki. Wóz umajono zielenią, a obficie wypełnione kosze potwierdzały, że i o potrzebach ciała nie zapomniano. Wyprawa udała się doskonale, przy tym była bardzo ciekawa, gdyż profesor stwierdził osobiście, że rzeczywiście prawie 2/3 cegieł zużytych na budowę kolegiaty pochodzi ze znacznie starszej budowli. Różniły się znacznie od tych, którymi dokonano budowy. My również cieszyliśmy się, że dzięki owej „majówce” mogliśmy dowiedzieć się wielu rzeczy z architektury i sztuki budownictwa.

Na szczęście kochany profesor chętnie dzielił się z nami swymi bogatymi wiadomościami z tej dziedziny, tym bardziej, że wiedział, z jakim zainteresowaniem go słuchamy¹¹².

Następnego lata spędzili u nas wakacje Bogatkiewiczowa – ona cioteczna siostra meza. Przywieźli też swoich dwóch chłopców Tadeuszowie (BKD 498 i 499) Karłowscy pod opieką sympatycznej wychowawczynie. Byli – jej więcej w wieku Kazia (BKD 54). Uważali się za prawie dorosłych i chętnie organizowali dalsze wyprawy – wyla mnie jedna z nich. Własnie stałyśmy obie, z tzw. „Pancią” przy wózku, w którym leżała kilkumiesięczna wtedy Anusia (BKD 55), kiedy usłyszałyśmy półgłosem projektowaną przez chłopców wyprawę w „nieznane”. Najstarszy Konstanty (BKD 633) półszepem sugerował: „wiejmy od tych kobiet”, na co pozostali chłopcy zgodnie pod jego przewodnictwem dyskretnie zniknęli nam, to znaczy owym kobietom, z oczu. Ciekawa byłam jak daleko zawędrowali, to też dopiero po dobrej godzinie zaczęliśmy ich szukać. Okazało się jednak, że zawędrowali dość daleko i byli bardzo niezadowoleni, gdy kazano im wracać.

Wkrótce po naszym ślubie zamieszkała prawie przez cały rok przyrodnią siostrą meza, która na skutek nieporozumienia z braćmi opuściła Wisniewe, zresztą wkrótce potem zaręczyła się z Witkiem Górskim. Zupełnie inna rodzina niż Górcy ze Świerczyna, z których pochodziła matka meza (zresztą odmiennego herbu), który administrował rozległymi dobrami państwa Mankowskich¹¹³.

Witek, jako narzeczony Zochy bywał u nas często. Zaprzyjżniliśmy się z nim bardzo, to też po ich ślubie utrzymywaliśmy jednym z licznych folwarków, gdzie rezydowali¹¹⁴, częste serdeczne stosunki. Również często odwiedzał nas Ojciec (BKD 51) i to zawsze konno, a nawet kiedyś zajrzał do nas stryj Joachim (BKM 202) na kilka dni, również

¹¹⁰ Wbrew powszechnemu przekonaniu największe szkody zabytkom kultury polskiej wyrządzili nie Niemcy, którzy przecież Polskę traktowali, jako kraj wrogi, ale polscy chłopcy i „szabrownicy”, którzy należała i należeli do tzw. „ludu”. To bezmyślne niszczenie było aktem zemsty klasowej – niszczeniu uległy w szczególności zabytki małe i średnie, zbyt małe i rozproszone, aby ich niszczenie wywołało jakiś alarm, ale liczne, które tworzyły część, tzw. kultury narodowej. Odpowiedzialność przed historią za to ponosi w szczególności PSL, jako chłopska partia klasowa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09)

¹¹¹ Ona Ela z d. Jabłonska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹¹² Z tego okresu została mi w pamięci również wycieczka statkiem po Gopie do Kruszowicy i zwiedzenie „Mysiej Weży”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹¹³ Z rodziną Mankowskich spotkaliśmy się jeszcze w II części WSPOMNIENI. Mianowicie rodzina Mankowskich odznaczała się wielką pobożnością i p. Mankowska urządziła kiedyś rekolekcje dla ziemianek, które prowadził ks. Stefan Wyszyński, i który już wtedy zrobił na Matce duże wrażenie. Prymas Wyszyński, był uczniem ks. Antoniego Bogdanskiego, proboszcza w Skulsku parafii rodziny Karnkowskich i brał udział w uroczystościach pogrzebowych ks. Bogdanskiego. Czyli prymas Wyszyński już przed wojną miał kontakty z ziemianstwem. Znal ich problemy, oraz korzyści z ich gościnności i szlachetności (Ziemianie z diecezji wrocławskiej, ufundowali mu swego czasu wyjazd zagraniczny w celach leczniczych). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 2012-01-10)

¹¹⁴ Wydaje mi się, że ten folwark nazywał się Nieswiadów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

konno¹¹⁵. W każdym razie przez całe lato dom był zawsze pełen gości. Było to możliwe dzięki oficynie, o której już wspomniałam, gdyż dom przypominał raczej większą chałupę, niż mały choćby dworek. Był zbudowany z niewypalanej cegły i pokryty trzcina, o czterech frontowych oknach i dość dużej drewnianej werandzie. Uroku dodawały mu cztery olbrzymie lipy zakrywające prawie całkowicie dach, na których kołosem czerwca i początkiem lipca od wczesnego świtu do późnego wieczora huczały tysiące pszczoł.

Pokoju było zaledwie kilka, dość duży pokój jadalny i prawie taki sam gabinet, większy sypialny, obok niewielka ubieralnia z ogromną szafą na naszą garderobę, a przez mały korytarzyk prowadzący z jadalnego do części gospodarczej - kuchni, spiżarni, pralni, pokoiku dla służby, niewielki pokój, który później przeznaczylismy dla dzieci. Przedtem był pokojem gościnnym.

¹¹⁵ Pamiętam, że odwiedził nas także wuj Matki dr Kazimierz Damski, z którym bawilem się w podróż morską, przy czym kanapa miała być statkiem. Kiedy wuj mając już dość zabawy wstąpił z kanapy zawołałem „Wujku niech Wuj uważa, przecież to morze i Wuj się utopi”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

35. ZYCIE I PRACA W PANIEWIE, c. d.

Gdy przekonałam się, jakim zainteresowaniem cieszą się moje osiągnięcia gospodarcze, postanowiłam założyć kółko gospodyń wiejskich, które szybko zyskało wielu chętnych pragnących zapoznać się z zachwalanymi przez ich mężów osiągnięciami paniewskiej dziedziczki. Niestety nie stało się czasu na rozwinięcie działalności naszego kółka. Wojna położyła kres wszelkim planom, jakie miałyśmy zamiar zrealizować.

Mam swój, jak to przed chwilą wspominałam, cieszył się dużą sympatią i uznaniem w naszej okolicy, szczególnie właśnie wśród członków Kółka Rolniczego, to też, gdy w roku 1955 doniosłam im o jego śmierci, otrzymałam list, który nie tylko zrobił mi wielką przyjemność, ale i bardzo wzruszył, gdyż prócz wyrazów współczucia pisali, że nigdy nie zapomną swego najlepszego nauczyciela. Doceniłam w pełni te wyrazy uznania i byłam im za to wdzięczna.

Jeśli chodzi o sympatię natury politycznej, to mam swój był raczej zwolennikiem Piłsudskiego i daleko bliższy ideologii socjalistów i tzw. kół postępowych¹¹⁶, tymczasem ja stykałam się właśnie z tymi ziemianami, którzy należeli do Narodowej Demokracji. Raczej byłam nastawiona zachowawczo i niechętnie ustosunkowywałam się do wszelkich innowacji w dziedzinie społecznej. Owa różnica w podejściu do wszystkich problemów i zagadnień związanych z tą dziedziną były główną przyczyną, dla której obaj panowie, to znaczy Ojciec i Tot, nie znajdowali wspólnego języka i nie czuli do siebie specjalnej sympatii. Zresztą na szczęście, chcąc uniknąć niemiłych zadrażnień, unikali poruszania drażliwych tematów. Jeśli chodzi o mnie, to z czasem przyzwyczaiłam się do odmiennego spojrzenia na wiele spraw i zagadnień, prawdziwa demokratka jednak nigdy nie zostałam i jak utrzymuje moja córka, zawsze odnosi się z pewnym dystansem do „niżej urodzonych”. Może ma rację, choć ja osobście, jak to już raz w tych wspomnieniach zaznaczałam, nie zdaje sobie z tego sprawy i wydamy mi się, że Anna nie ma racji.

Jeśli chodzi o postawę religijną mego meza, to oczywiście spełniał podstawowe obowiązki człowieka wierzącego, ale był dla spraw związanych z religią raczej obojętny, aż do czasu, gdy po śmierci dotychczasowego proboszcza, zjawił się w Skulsku ks. Antoni Bogdanski¹¹⁷. Był to kapłan zupełnie wyjątkowy, właściwie prawie święty i to nie tylko przez nas za takiego uważany. Był bez reszty oddany swoim obowiązkom duszpasterskim, np. w czasie Adwentu i Wielkiego Postu już od 5⁰⁰ rano przesiadywał w konfesjonale w nieopalanym kościele, nie zważając na to, że jest poważnie chory na zaawansowaną gruźlicę. Gdy zaniepokojeni pogarszającym się stanem zdrowia prosił, aby się oszczędzał odpowiadał z uśmiechem: „Czy nie myślicie moi kochani, że tam u Pana Boga zdolam Wam uprosić daleko więcej łask, niżli to wszystko, co mógłbym zyskać dłużej tu dla was zrobić?” a robił przecież bardzo dużo.

Ożywił życie religijne całej parafii, wielu obojętnych – nawet wrogich religii doprowadził do Boga. Ludzie przyzwyczajeni, że prawie każdy proboszcz dbał o swoje sprawy materialne, zabiegał o jak największe dochody z gospodarstwa, nie mogli wprost pojąć, że ich nowy proboszcz jest tak mało przywiązany do dóbr tego świata i że aby mieć więcej czasu na zadośćuczynienie swym duszpasterskim obowiązkom wydzierzał pole, aby nie potrzebować kłopotać się wszystkim, czego gospodarstwo wymagało. Taka postawa nie mieściła się wprost w głowach większości parafian, uważali go za dziwaka. Jednak większość była zdania, że jest człowiekiem zupełnie wyjątkowym. Tot obserwując nowego proboszcza, uległ jego niezwyklej osobowości i zdecydował się na odbycie spowiedzi generalnej z całego życia. Jak mi się później zwierzył trwała przeszło dwie godziny. Były to – jak mówił – pierwsze prawdziwe rekolekcje w jego życiu. Z właściwą sobie uczciwością i umiejętnością głębokiego przeżywania wszystkiego, co mu życie przynosiło, zmienił całkowicie swój stosunek do Boga i spraw Jego i był odtąd człowiekiem nie tylko praktykującym, ale przeżywał głęboko wszystko, z czym go odtąd życie konfrontowało, umiając zawsze i w każdych okolicznościach, a tych wkrótce nie miało mu zabraknąć, zając stanowisko człowieka głęboko i prawdziwie religijnego. Gdy go, przede wszystkim, na długie lata powalił paraliż, przyjął ten dopust Boży ze spokojem i całkowitym poddaniem się wyrokowi Pana. Od owej spowiedzi – rekolekcji starał się przy każdej okazji, a zawsze w każdą niedzielę przyjmować Komunię św., co w tych czasach, szczególnie, gdy chodziło o mężczyzn, było rzadkością.

Z księdzem Bogdanskim zaprzyjaźniliśmy się serdecznie i o ile udało się nam znaleźć czas, aby w dzień powszedni być na Mszy św., wówczas prawie zawsze zachodziliśmy na planie, aby z gościnnym proboszczem zjeść skromne śniadanie.

¹¹⁶ Ta, tzw. „postępowość”, w najlepszym tego słowa znaczeniu, nie była niczym koniunkturalnym. Już w czasie studiów w Nancy, gdzie Ojciec był członkiem 5 plutonu belgijskiej kompanii „Strzelca”, (za co został odznaczony „Medalem Niepodległości”), był jednocześnie członkiem Stowarzyszenia Młodzieży Postępowo Niepodległościowej. (Kazimierz Kamkowski, CH 54 Baden, 98-05-09). Osobście ustawiłbym Ojca politycznie raczej w pobliżu „Związku Naprawy Rzeczypospolitej”, tzw. „Naprawiaczy” byłych „Zetowców”; był też czytelnikiem pisma „ZET”. Jednak Ojciec mój demonstracyjnie do żadnej partii politycznej nie należał. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹¹⁷ Ks. Antoni Bogdanski – urodził się w 1891 r. w Maluszynie.

W szkole średniej w Warszawie związał się z harcerstwem. W 1905 r. brał udział w strajku szkolnym. W latach 1908 – 1913 studiował w Wyższym Seminarium duchowym we Włocławku. Następnie teologię we Fryburgu, Lozannie i Genewie.

W 1919 r. objął katedrę teologii moralnej w Seminarium Duchowym we Włocławku. Następnie był dyrektorem Niższego Seminarium Duchowego oraz wizytatorem szkół średnich. Przez cały ten okres działał w ruchu harcerskim, pełniąc funkcje Komendanta Hufca Harcerzy, następnie Komendanta Chorągwi Harcerzy we Włocławku.

W 1925 roku został naczelnym kapłanem ZHP (1925 - 1929). Od 1930 był członkiem Głównej Kwatery ZHP. W 1937 został proboszczem w parafii Skulsk. Nie zerwał jednak z harcerstwem, cały czas publikując swoje przemyślenia w czasopiśmie: „Harcerstwo”, „Pro Christo”, „Polak – katolik” i „Polska”. W Skulsku odwiedzał go jego uczeń Stefan Wyszyński, późniejszy prymas Polski.

Ks. Antoni Bogdanski zmarł w 1938 r. Pochowany jest na skulskim cmentarzu. Został patronem 18 drużyny harcerskiej w Szkole Podstawowej w Skulsku. 28 czerwca 1997 roku biskup Sławoj Leszek Głódz poświęcił popiersie ks. Antoniego Bogdanskiego i Izby Pamięci jego imienia.

Ksiadz miał ulubionego kanarka-przyjaciela, którego gdy wychodził, zamykał w klatce. Jak tylko wracał, pierwsza jego czynnością było wypuszczenie ulubienca na wolność, wtedy kanarek siadał mu na ramieniu przysunawszy dzióbek jak najbliżej ucha przyjaciela, szybko coś mu opowiadał. Zartowaliśmy, że zdaje relacje z tego, co się w czasie nieobecności gospodarza w jego pokoju działo.

Ostatnie miesiące życia nasz kochany ks. proboszcz był już tak słaby, że mógł odprawiać Msze św. jedynie w swoim pokoju, a wreszcie i na to nie miał sił, leżał lub siedział na łóżku pogodny i uśmiechnięty w towarzystwie swego nieodłącznego przyjaciela, który skacząc na tacy leżącej w nogach łóżka chorego, o chwila sfruwał mu na głowę, aby w wygodnej dla niego pozycji opowiadać o wszystkim, co mogło go zainteresować. Dziwililiśmy się, dlaczego na pogrzeb tego skromnego proboszcza i to pracującego tak odległej od centrum diecezji parafii, zjechało aż tylu księży, między innymi kilku profesorów wrocławskiego seminarium, a nawet ks. biskup przysłał swego przedstawiciela.

Dopiero niedawno z przemówienia naszego Prymasa z okazji jakiejś uroczystości religijnej we Wrocławiu, gdzie przecież sam kończył seminarium, dowiedziałam się, gdy wspominając tamtejsze czasy wymienił naszego proboszcza, jako jednego z najbardziej zasłużonych wówczas wykładowców i najbardziej kochanych dla swych niezwyklej zalet i rzadko spotykanej świętości. Prawdopodobnie na skutek postępującej choroby, uważał, że nie wolno mu narazić na zarazanie gruźlicą młodzieży seminaryjnej i poprosił o przeniesienie do odległej i spokojnej parafii. W każdym razie nikomu o tym nie mówił, aż dopiero tak niezwykle liczny udział w jego pogrzebie, jak się później okazało w większości dawnych jego uczniów zadziwił wszystkich, a potem pochłonięci pracą i licznymi kłopotami przestaliśmy myśleć o tym wszystkim.



140. Kościół parafialny w Skulsku, osrodek życia Karnkowskich z Paniewa.



141. Skulsk 1938-06-11. Ks. Antoni Bogdanski na loży śmierci. Modlitwy odmawia ks. prof. Miastkowski.



142. Skulsk 1938-06-15. Pogrzeb ks. A. Bogdanskiego, jako kapelana ZHP, z udziałem b-pa Radonskiego i ks. Wyszynskiego.

36. T O P I E L W P R Z E R E B L U

Relacjonując w tych wspomnieniach wszystko, co się składało na moje, a raczej na nasze wspólne przeżycia od 1932 roku, to jest od daty naszego ślubu, nie mogę pominąć wiarzenia, które nas spotkało 43 lat temu i które do dziś ilekroć zbliża się dzień św. Macieja, patrona człowieka, który właśnie tego dnia uratował życie całej naszej rodziny. Mam wrażenie, że zasługuje na to, aby je w tych wspomnieniach opisać.

Zima tego roku (1937) była wyjątkowo mroźna, to też polów zimowy odbywał się w ten sposób, że na znacznej części jeziora wyrabiano w pewnych odstępach przereble, przez które przeciągano ogromną sieć, która stopniowo pełna zagarniętych pod lodem ryb ciągnięto do miejsca zwanego branina, gdzie w wyrabanej w lodzie dość dużej wolnej od lodu przestrzeni ściągano sieć pełną złowionych ryb. Tu je wybierano i stąd owa nazwa. Sposób ten uważany był za najdogodniejszy i dający maksimum korzyści. Otóż nazajutrz po owym polowiu właśnie 24 lutego, zamierzaliśmy przekonać się jak postępuje wyrab rosnącej nad brzegiem jeziora, a przeznaczonej na wyciecie olszyny.

Tot zaproponował, aby pójść po lodzie, droga będzie gładka, a że właśnie w nocy spadł niewielki śnieg, więc ślisko nie będzie, no i Kazio mógł zabrać saneczki i ciągnąć je po idealnie równej tafli jeziora. Rzeczywiście spacer był wyjątkowo przyjemny. W pewnej chwili Tot powiedział, że trzeba będzie teraz uważać, bo prawdopodobnie zbliżamy się do owej braniny, a ponieważ śnieg ją chyba zasypał, więc możemy jej nie zauważyć. Ledwie to powiedział - już go nie było widac - zniknął w wodzie, w której po chwili i ja się znalazłam. Pierwszą moją myślą było powstrzymanie Kazia przed zbliżeniem się do nas, zaczęłam wołać żeby uciekał jak najdalej, on jednak widząc tylko nasze głowy unoszące się nad wodą, przerażony zaczął biec do nas i po chwili znalazł się także w wodzie trzymając się jedynie krawędzi lodu łapkami w czerwonych rekawiczkach¹¹⁸.

Sytuacja zdawała się beznadziejna. Lada chwila mogliśmy wszyscy pójść na dno, a także i to dziecko, które miało się zrodzić w niecałe trzy miesiące. Zaczęliśmy ile sił wołać atunek ze słabą nadzieją, że ktokolwiek nas usłyszy. Do wsi było stamtąd dość daleko, jedyną nadzieją była w tym, że może ów Maciej wycinający olszyny nas usłyszy. Okazało się, że właśnie przed chwilą zauważył, że zbliżamy się do niego, a gdy po chwili znów spojrzał w tym kierunku zauważył, że na lodzie nikogo nie widac, natomiast doszły go nasze rozpaczliwe krzyki. Rzucił siekiere i zaczął biec w naszym kierunku, co gdy zobaczyliśmy, odetchnęliśmy z ulgą, przekonani, że w jego osobie, Pan Bóg zsyła nam atunek. Cały ten czas śledziłam z największym niepokojem, czy widac jeszcze ręce Kazia w czerwonych rekawiczkach, trzymające się kurczowo krawędzi lodu. Balam się, że w każdej chwili woda wciągnie go pod lód, to też wołałam do nadbiegającego Macieja¹¹⁹, aby przede wszystkim ratował chłopca, co mu się jakos łatwo udało. Tymczasem miał niepokojąc się przede wszystkim o mnie naglił, aby Maciej zajął się mną jak najprędzej, a gdy po pewnej chwili udało się mu jakos wyciągnąć mnie poza obwód owej nieszczęsnej braniny, Kazio nieorientujący się gdzie się ona kończy, wpadł do wody po raz drugi. Chciał pomóc w wyciągnięciu dziecka na bezpieczne miejsce wpadłam do wody po raz drugi i to tak fatalnie, że jedna noga zawadziła o krawędź lodu. Wreszcie udało się przy pomocy Tota wyciągnąć nas na bezpieczne miejsce. Po chwili zdaliśmy sobie sprawę, że miejsce gdzie wyrabano owa nieszczęsna branina było stosunkowo płytkie. Dodatkowym plusem było to, że w ciągu nocy woda zdążyła się cokolwiek sciąć, tak, że była na w pół zamarznięta, dzięki czemu nasze niedawno kupione kozuchy były jeszcze na tyle lekkie, że mogły utrzymać nas przez pewien czas na owej gestawej powierzchni. Z chwilą, gdy Tot zobaczył, że jesteśmy już bezpieczni, kazał nam biec, co sił do domu. Złapałam Kazia za rękę i biegliśmy, on płacząc i biadając, że ma pełne wody buty, a ja względnie spokojna o los męża ufając, że obaj mężczyźni dadzą sobie jakos radę. Gdy znaleźliśmy się w domu przerażona gospośnia rozbierając mnie zauważyła, że noga, która uwieszała pod półmetrowej grubości lodem jest zupełnie granatowa. Wkrótce zjawił się Tot cały i zdrowy, czym prędzej położyliśmy się do wygrzanych łóżek i po wypiciu gorącej herbaty z dodatkiem porzeczki i porcji alkoholu, podziękowaliśmy Bogu za ocalenie zasnelismy kamiennym snem.

Pierwszy obudził się Kazio, zdrowy i wesół, niezdający sobie oczywiście sprawy, że naprawdę nasze ocalenie można było zaliczyć do prawdziwych cudów. Oczywiście, bowiem było, że gdyby ów Maciej nie zwrócił uwagi na to, że się zbliżamy w jego kierunku - tu trzeba nie zapominać, że na ogół chłopcy nie odznaczają się zbyt dużą spostrzegawczością - to byłibyśmy może nie wszyscy, ale Kazio na pewno, znaleźli śmierć od owa półmetrowa tafła lodu. Chyba wszyscy bez wyjątku dowiedziawszy się o naszej tak szczęśliwie zakończonej przygodzie uważali również, że był to prawdziwy cud, a lekarz, do którego wkrótce pojechałam, aby się upewnić, że mamy się urodzić wkrótce dziecku, a także mnie nic nie grozi, nie chciał wprost uwierzyć w to, co mi opowiedziałam. Dopiero widok mej granatowej nogi przekonał go, że nie koloruje. Najważniejsze jednak było to, że ta niezwykła przygoda nie pociągnęła za sobą żadnych dla nas obu niebezpiecznych konsekwencji, jedynie chyba to, że Anusia przez długie lata bała się wody i wolała trzymać się od niej z daleka.

Przez pierwszych kilka lat miałem cieszyć się dobrym zdrowiem i nigdy na nic nie narzekał, choć kilkakrotnie, wspominając swego ojca, mówił, że i on chyba umrze podobnie jak jego ojciec na dusznicę bolesną (angina pectoris).

¹¹⁸ Było to nieporozumienie. Widząc tylko głowy Rodziców wystające z wody nie mogłem zrozumieć, co się stało. Miałem wtedy 3½ roku i w takiej pozycji nigdy jeszcze Rodziców nie widziałem. Myślałem, że się po prostu przewrócili podbiegłem, żeby im pomóc się podnieść i nie rozumiałem tego, co przerażona Małka do mnie krzyczała. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹¹⁹ Był to p. Maciej Wozniak, który później został włodarzem w Paniewie, a po wojnie był jednym z głównych członków komitetu parcelacyjnego. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Przy tej okazji przypominał, jak jego Ojciec bardzo się męczył, duszać się. Było to chyba w lecie, na dwa lata przed wojną, wychodząc z domu, zachwiał się i upadł na trawnik. To wydarzenie, pozornie niepoprzedzone niczym dającym się zauważyć, dosyć nas zaniepokoiło.

Posłaliśmy do Slesina¹²⁰ po jedyne „eskulapa” w okolicy, człowieka, który właściwie lekarzem nie był, choć tytułowano go doktorem, a tylko dawnym felczerem w wojsku rosyjskim. Otóż ten życzliwy nam człowiek zaniepokoił się objawami, które mu mazał zreferował i przede wszystkim zabronił palenia papierosów, a palił od 14 roku życia, zawsze bardzo dużo, bo co najmniej 40 dziennie i to z tzw. długim paleniem - więc gdyby je przeliczyć na zwykle krótsze, byłoby ich prawie 80! Dodał, że oczywiście z alkoholem trzeba będzie się pożegnać już na zawsze. Ten ostatni zakaz był najmniej dla chorego niemiły, - pił bardzo rzadko i niewiele, przy tym jedynie koniak i dobrego burgunda. Ale sprawa papierosów - to dopiero była tragedia. Gdy wreszcie doktor zdając sobie sprawę, ile to wyrzeczeń będzie meza kosztować, pozwolił mu wypalić najwyżej 5 papierosów dziennie. Na takie dictum mazał stanowczo odpowiedział, że już z dwojga złego woli się ich wyrzucić całkowicie. Po chwili zapalił, mówiąc stanowczym głosem „to jest ostatni papieros, który w moim życiu wypalam”.



143. Dr Michał Ilczyszyn.

No i rzeczywiście dotrzymał danego sobie słowa i mimo, że go wielokrotnie namawiano na tylko „jednego” rzeczywiście definitywnie wyrzekł się tytoniu. Podziwiali go wszyscy, że mimo iż sam nabijał gilzy pięknie pachnącym tytoniem, używał tylko naprawdę dobre gatunki, nigdy nie uległ pokusie choćby zaciągnięcia się. Co nam najbardziej imponowało to, że przecież zdawaliśmy sobie sprawę, ile brak tytoniu, do którego od wczesnej młodości przywykł, musi go kosztować. Znane były nawet długie okresy złego humoru palaczy, którzy z względów zdrowotnych musieli się palenia wyrzec. Tymczasem mazał w ogóle nie dał nikomu poznać, że brakuje mu papierosów i jest w fatalnym humorze, czemu zresztą nikt z nas by się nie dziwił. Był jak zawsze pogodny i uśmiechnięty - podziwialiśmy go szczerze wszyscy. Aby mu ułatwić ów przykry okres odzwyczajania się od palenia wpadłam na pomysł, aby miał przy sobie w kieszeni płaskie pudełko z landrynkami, które lubił, toteż ilekroć sięgał z przyzwyczajenia do kieszeni po fajkę się tam znajdować papierosnice, wyjmował pudełeczko, które płaskim kształtem przypominało papierosnice i zjadał jedną lub dwie landrynki, oczywiście było to małe szustwo organizmu, ale dopuszczalne, tym bardziej, że ułatwiała odzwyczajanie się od tak dla niego szkodliwego palenia.

Jedyną ujemną stroną tej metody było widoczne przytycie - ale i to minęło; kiedy upłynęło chyba pół roku od chwili, kiedy palić przestał, wtedy powoli i od landrynek się odzwyczyla. Co do mnie, to zaczęłam palić dopiero wtedy, kiedy wyszłam za maza. Ojciec ogromnie nie lubił, kiedy panie paliły - szczególnie był przeciwny paleniu przez osoby niezamężne, nie chciałam, więc robić mu przykrości, a robić tego ukradkiem nie chciałam, choć przecież Ojciec mógł tego nawet nie zauważyć - przecież nie widział.

Wyrzekłam się papierosów wtedy, kiedy to spędzając w pierwszym tygodniu wojny kilka dni w Wicininie, usłyszałam przez radio słowa: „Warszawa zdobyta - Polska przestała istnieć, jest wymazana z karty Europy”. Słyszac ten komunikat nadawany przez opanowaną wtedy przez Niemców stację na wczasy w Warszawie¹²¹, wzburzona w największym stopniu zawolałam. „To jest ostatni papieros, którego pale - następny wypale w wolnej Polsce”.

¹²⁰ Jest to pomyłka. Rodzice nigdy nie korzystali z porad jakiegokolwiek lekarza w Slesinie, mając w Skulsku znakomitego lekarza dr. Ilczyszyna.

Dr Michał Ilczyszyn – przepracował w Skulsku 52 lata życia, zawsze gotowy nieść pomoc chorym. Michał Ilczyszyn urodził się w 1899 r. w Tłumaczu w województwie stanisławowskim i był narodowości ukraińskiej. Swoją przygodę z medycyną rozpoczął jeszcze w Gimnazjum, gdzie zetknął się z działalnością Białego, później Czerwonego Krzyża. W czasie I wojny światowej służył w armii austriackiej, gdzie na froncie włoskim służył, jako goniec w szpitalu polowym. Dwa razy został ranny.

W 1921 r. rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Karola w Pradze. Sam zarabiał na swoje studia. W 1927 r. uzyskał dyplom lekarza. Pierwszą pracę otrzymał w Poznaniu na ulicy Polnej w klinice profesora Kowalskiego. Do Skulska przyjeżdżał jeszcze, jako student odwiedzając, swojego ojca - nauczyciela.

Początkowo pracował dorywczo, ale los sprawił, że pozostał tu do końca swojego życia. W Skulsku poznał żonę Izabelę z domu Zieleskiewicz z Szyszynka. Miał dwoje dzieci: Lidie, która zmarła w dzieciństwie i Antoniego. Dr Ilczyszyn był społecznikiem. Jeszcze przed II wojną światową zaangażował się w działalność Polskiego Czerwonego Krzyża. Po wojnie organizował pierwsze posterunki tej organizacji. Był to okres walki z jaglicą, dudem brzuszny, chorobami wenerycznymi.

Doktor jeździł ze swoją żoną, pielęgniarką Adela Szasz oraz inspektorem sanitarnym Kazimierzem Pawlakiem i szczepił ludzi przeciwko dudem brzuszny, nieraz do późnej nocy. Interesował się wieloma dziedzinami medycyny, był doskonałym chirurgiem, ginekologiem i dentystą. Fascynowała go akupunktura i ziołarstwo. Zbierał zioła w skulskich lasach i łąkach. Doświadczenia wynikające z zastosowania ziół w leczeniu przekazywali Instytutowi Medycyny Wsi w Lublinie, który był korespondentem naukowym.

Proponowano mu pracę w Ministerstwie Zdrowia, ale z tej propozycji nie skorzystał. Był przede wszystkim lekarzem rodzinnym. Służył ludziom całą dobie. Dr Ilczyszyn od początku swojego pobytu w Skulsku współpracował z organizacjami działającymi na tym terenie. Miedzy innymi z OSP. Był jednym z założycieli teatru, dla którego malował dekoracje. Interesował się ogrodnictwem. Dokonywał krzyżówek roślin. Posiadał dyplom mistrzowski pszczelarza. Był zapalonym podróżnikiem, zwiedził prawie cały świat. Szczególnie interesowały go metody leczenia w krajach egzotycznych. Ukochał ziemię skulską, której pozostał wierny do końca. Zmarł w 1981 r. Spoczywa na skulskim cmentarzu.

¹²¹ Komunikat ten był przedczesny. Niemcy zajęli Warszawę dopiero w ponad dwa tygodnie później. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Jakos udało mi się dotrzymać danego sobie słowa, mimo że w ciężkich przejściach, jakie przeżywać trzeba było w czasie wojny, papierosy niejednokrotnie mogłyby mi przynieść pewną ulgę i nawet Ojciec mnie do palenia namawiał, to jednak dotrzymałam przyrzeczenia do chwili, kiedy to zamieszkaliśmy w Malborku i kiedy się stało jasnym, że stan, w jakim nasz kraj się znalazł i z którego wydawało się, że już wyjścia przynajmniej za naszego życia nie będzie, rozgrzeszyłam się i wróciłam do papierosów. Kiedy pytałam meza, że może drażni go to, że ja pale, a on robić tego nie może od wiedział: „Ależ skąd, bardzo lubię jak palisz, tylko proszę pal obre, wtedy możesz ślasc jak najblizej łózka - bede mógł zaciągac się aromatem dobrych papierosów“. Odtąd paliłam stale, ale nie dużo. Dopiero teraz jak choruje, musiałam je zarzucic, gdyż nikotyna wyraźnie wpływała na zaostrzanie się gnebiacych mnie bóli. Wracając do zalecen naszego kochanego lekarza ze Slesina, to prócz wyrzeczenia się alkoholu i papierosów zalecił, aby maz wystrzegal się wszelkich wysilków fizycznych, unikal denerwowania się i w ogóle zaczął zyc na zwolnionych obrotach, jezeli chce utrzymac dotychczasowa forme. Wlasnie ta kolejnosc zadecydowala, że odtad bardziej niz kiedykolwiek staralam się ochraniać meza przed wszystkim, co grozilo nieodwracalnymi konsekwencjami, biorac na siebie to, od czego on powinien byc odciazony, jezeli chcielibyśmy, aby mógł jak najdluzej zachowac przynajmniej, jakie takie zdrowie. Dziekowalam Bogu, że przynajmniej ja bylam zdrowa, w pelni sil i energii, co pozwolilo mi sprostatc do tego czasu podwoj j dozie obowiazków. - Sytuacja taka byla szczególnie w czasie wojny i potem szczególnie aktualna, kiedy to nikt z nas przeciez nie mial najmniejszego wpływu na bieg wypadków, choc musial ponosic wszelkie ich konsekwencje.

37. Okres przed wybuchem wojny 1939 r.

W czerwcu 38-roku umarła ciotka Wisniewska, (BKM 432). Lekkomyslnie ktos zalecił jej truskawkowa kuracje. Zastosowala ja bezkrytycznie, nie jedzac przez kilkana e dni nic prócz truskawek, to tez zatrula sie nimi. Pojechalam na jej pogrzeb do Warszawy. W czasie zalobnej mszy w kosciele na cmentarzu powazkowskim nagle z niewiadomej przyczyny spadly z lichtarza stojacego na oltarzu dwie swiece. Doslyszalam szept: „wkrótce umrze ktos z bliskiej rodziny nieboszczki”. Okazalo sie, ze przesad ten sie sprawdzil, bo juz we wrzesniu umarl i to zupełnie nagle stryj Joachim, (BKM 202). Ojciec, (BKD 51) byl wlasnie wtedy u nas. Pojechalismy, wiec razem na pogrzeb. Nigdy w zyciu nie widzialam pogrzebu równie uroczystego. Po smierci Dmowskiego stryj zostal prezesem Stronnictwa Narodowej Demokracji, to tez jego pogrzeb byl wlasciwie manifestacja polityczna. Zegnano go z wszelkimi honorami i z cala pompa, z jaka tego rodzaju uroczyste pogrzeby zwykle sie odprawia. Dla nas najblizszych byla to bolesna strata. Odszedl czlowiek przez nas wszystkich serdecznie kochany. Gdy po roku rozpetala sie wojna zrozumielismy, jaka laska byla dla niego ta bezbolesna smierc. Gdyby pozyl dluzej na pewno bylby jedna z pierwszych jej ofiar. Nie ulegalo watpliwosci, ze figurowal, jako jeden z pierwszych na liscie tych, których los byl przez wroga z góry przesadzony.



144.

Nekrolog Janiny (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowskiej.

Czekal na mnie jeszcze jeden pogrzeb w tym fatalnym dl naszej rodziny roku. W grudniu 38-go w tragicznych okolicznosciach zginela piekna, pelna uroku kobieta, moja siostra Nina, (BKD 498) Karłowska zaledwie trzydziestoletnia, matka trojga dzieci, która owdowiala nagle przed półtora rokiem. Nie miejsce tu na pisywanie wszystkiego, co Ojciec bawiacy wówczas w Piaskach i my jej bliscy przezywalismy w związku z ta tragedia.

Zaczynal sie rok 39-ty. Tego lata nie projektowalismy zapraszania platnych letników. Kazio konczyl piec i pół roku, czas najwyzszy, aby przestal biegac samopas i zaczal zanim ójdzie do szkoly, uczyc sie któregoś z obcych jezyków, co najlatwiej przychodzi, kiedy dzieci sa jeszcze male. Nie stac nas bylo na zaangażowanie Francuzki, zdecydowalismy sie, wiec przynajmniej, narazie postarac sie o bone Niemke. Byly znacznie mniej wymagajace niz Francuzki, zreszta przypuszczalismy, ze jezyk niemiecki również przyda sie mu w zyciu, tym bardziej, ze planowalismy, gdy czas na to nadejdzie wyslac go na studia za granice, najchetniej do którejs z belgijskich politechnik. Maz miał nadzieje, ze bedzie na tyle inteligentny i zdolny, ze bedac inzynierem moze osiagnac znacznie wieksze sukcesy zyciowe, niz gdyby zostal rolnikiem. Nie przewidywal, aby w tej dziedzinie nastapily jakies obiecujace perspektywy.

Od stycznia zjawila sie zreszta bardzo sympatyczna Niemeczka¹²², pochodzaca z Nowego Tomysla.

Wszyscy a przede wszystkim Kazio bardzo ja polubilismy a co najwazniejsze byla doskonala nauczycielka, tak, ze w przeciagu szesciu miesiecy nauczyla chlopca tak plynni mówic po niemiecku, ze później w czasie wojny Niemcy nie mogli sie nadziwic skad tak maly chlopiec umial tak poprawnie uzywac ich jezyka i d tego z tak dobrym akcentem. Koncem czerwca oswiadczyła, ze musi wracac do domu. Bylismy s erze zmartwieni, chcielismy ja koniecznie zatrzymac wiedzac, ze i ona takze dobrze sie w Paniewie czula, jednak nie udalo sie nam zmienic decyzji Fraulein. Dopiero później domyslelismy sie, ze juz wtedy podobnie jak wszyscy Niemcy mieszkajacy w Polsce wiedzieli, ze zanosi sie na wojne, wobec czego wolala byc razem z rodzicami w domu.

Na te ostatnie przedwojenne lato, nie projektowalismy zaproszenia letników, czyli gosci, zwracajacych koszty utrzymania za mozliwosc spedzenia kilku letnich tygodni na wsi, gdyz zapowiedzialo swój przyjazd kilka osób z rodziny, wiec musialam zarezerwowac dla nich pokoje goscinne. Spodziewalismy sie odwiedzin zony Józia Jablonskiego z trzema córkami¹²³, z którymi zreszta, szczególnie najmłodsza Kazio bardzo sie zaprzyjaznil, a takze stryjenki,

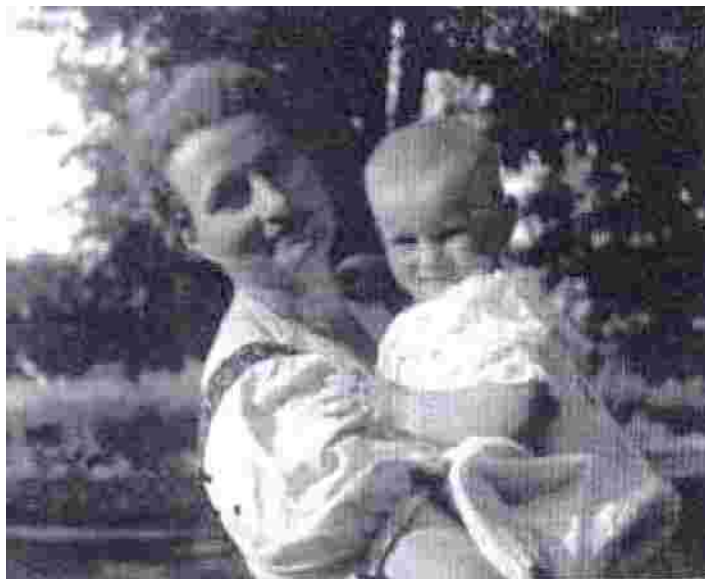
¹²² Fraulein Gertruda Saage. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹²³ Krystyna, Anna „Nulka” i Maria „Myszka”. O ile sobie p ominam, najwiecej lubilem Krysie, która prawdopodobnie najlepiej umiala „opiekowac” sie 6-letnim dzieckiem. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Joachimowej (BKM 433), która owdowiawszy ubiegłego roku, czuła się osamotniona, to też chętnie zgodziła się przyjechać na czas jakiś do Paniewa, tym bardziej, że zapewniałam ją, że mamy z obficie owocujące brzoskwinie i morele i to w najlepszych odmianach tak, że będzie mogła uraczyć się nimi do syta. Pamiętam jak zawsze ubolewała, że w Wiecinie nie ma tych ulubionych przez nią owoców. W międzyczasie otrzymałam list od Wandy Widzigerowej z prośbą czy nie zechcielibyśmy uczynić gościny na kilka letnich tygodni jej mezowi, któremu lekarz zalecił wyjazd do jakiejś letniskowej miejscowości, ewentualnie do sanatorium, ale tylko na jakiejś spokojnej, głuchej wsi. P. Waclaw był typowym mieszczuchem, nigdy jeszcze na wsi nie był.



145. Matce oprócz obowiązków „domowych” i gospodarstwa ogrodniczego przybyły dwie pociechy. Na fotografii z synem Kazimierzem (BKD 54).



146. Matka z córką Anna (BKD 55). Po lewej stronie w tle widac zarysy „domku” pasieki, a jeszcze dalej aleje kasztanów, które tworzyły „granice” parku / ogrodu. Za tą aleją znajdował się jar prowadzący do wodopoju w jeziorze, a na prawo aleja prowadziła do skarpy widokowej.



147. Kaziowi działo się w Paniewie dobrze, chodził samopas



148. i miał masę pomysłów.

Czuł się jedynie dobrze w mieście, to też bronił się przed zaleconym wyjazdem, dopuszczając najwyżej możliwość pojechania do Paniewa. Znal je z opowiadań żony, zresztą znaleźliśmy się od dawna i wiem, że mnie lubił. Oczywiście zaprosiliśmy go natychmiast i mimo, że na owej głuchej wsi czuł się cokolwiek obco; „dotrwał” w Paniewie prawie, że do ostatnich dni sierpnia (1939 r). Ledwo zdążył dojechać do Warszawy przed samym wybuchem wojny. P. Waclaw był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, a przy tym w ogóle fanatycznym kolekcjonerem antyków. Ich mieszkanie na Foksalu tak było nimi wprost zapchane, że dla ewentualnych gości zarezerwował tylko tyle miejsca, aby można było postawić tam stolik i dwa fotele. Jeśli chodzi o przyrodę, to ta dziedzina była dlań zupełnie obca, ani ją rozumiał a tym

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

bardziej kochał, czego dowodem niech będzie następujące wydarzenie: pewnego dnia wracając wieczorem z moich ogórkowych plantacji,

zobaczyłam ku memu zdumieniu p. Wacława siedzącego w bramie, obok której przejeżdżały wozy wracające z pola, za nimi krowy wzniesające tumany kurzu (była to jedyna droga prowadząca do podwórza), do tego slychac z pobliskich domów, gdzie mieszkali pracownicy folwarczni, nawoływania matek i dziecinne wrzaski. Jednym słowem było to miejsce jak najmniej nadające się na spędzenie wieczoru, to też zawołam: „Panie Wacławie, co pan najlepszego robi, siedząc tutaj w tych tumanach kurzu i nieznosnym hałasie, kiedy teraz w ogrodzie, szczególnie o tej porze jest tak pięknie”, z całym przekonaniem odpowiedział: „Tak proszę pani, może jest tam piękniej, ale tu jest cie, a to jest dla mnie o wiele atrakcyjniejsze od wszystkich uroków, które pani tak zachwala”. No trudno. De gustibus non est disputandum. Ten absolutny brak zainteresowania pięknem otaczającej go ziemy zmanifestował p. Wacław jeszcze raz, kiedy to jechaliśmy do Skulska, on, aby wsiąść w Koninie na pociąg idący do Warszawy, a ja jechałam do Poznania, aby tam sprzedać pierwszy zbiór, rzeczywiście wspaniałych moreli. Odbiorca wprost nie chciał uwierzyć, że morele mogą być tak wielkie, był przekonany, że przywiozłam mu brzoskwinie. Wyjechaliśmy dość wcześnie. Ranek był wyjątkowo piękny i gdy się obejrzałam spojrzeć na złocące się w promieniach wschodzącego słońca wielkie kopy pszenicy, widoczne z dala na tle blekitniejącego w głębi jeziora nie mogłam się powstrzymać od tego, aby nie zawołać: „Niechże Pan spojrzy, niech Pan patrzy, jaki piękny widok”. A tymczasem mój towarzysz ani myślał zareagować na moje wezwanie, tylko wzrokiem utkwił przed siebie, zafascynowany patrzył na stoją niedaleko młocarnię, dookoła której krecili się ludzie czekający na nadjeżdżające z sąsiedniego pola wozy, naladowane zbożem, które właśnie mają młócić. Zdumiona zapytałam: „Cóż Pan tam widzi tak ciekawego, niechże Pan lepiej obejrzy się za siebie. Tam, dopiero jest, na co popatrzeć”. „Ależ proszę Pani tam jest martwa natura, a tu jest życie”.

To, że zachęcałam naszego gościa by zechciał cieszyć oczy pięknem, które go otaczało, miało swoje zasadnienie. Przede wszystkim Paniewo było wyjątkowo ładnie położone; od wschodu otaczało je jezioro Paniewskie, którego przedłużeniem było mniejsze jednak bodaj bardziej mało niż jezioro Czartowskie. Nie mogłam nigdy dociec, czemu zawdzięczało ono tak brzydkią nazwę. Od północy oddzielała je od sąsiedniego Skulskiego jeziora wyspa zwana Kepa, której centralnym punktem był duży z dala widoczny dzięki wyszej wysmukłej wieży przypominającej Jasnogórska, kościół otoczony wysokim białym murem i wysokimi pięknie rozrosniętymi drzewami. Mimo dość znacznej odległości wieczorem, a szczególnie noca było doskonale slychac wybijane przez zegar na kosciele godziny. Po drugiej stronie jeziora wzrok zatrzymywał się na rosnących tam wierzbach i olszynach, a po naszej stronie jezioro dochodziło do samego ogrodu, stopniowo się od niego oddalało, a jego miejsce zajmowały laki i torfowiska, gdzie latem i jesienią wzrok zatrzymywał się na suszających się tam na słońcu symetrycznie ustawionych kupkach ciemnego torfu. Ogród leżał na łagodniej pochyłości kończącej się wspomnianą laką i torfowiskiem, od której oddzielał go rząd szeroko rozrosniętych ogromnych wierzb. Nie mogę powstrzymać się od opisanie zabawnej historii, której przypadkowo byłam świadkiem. Przechodziłam właśnie dość szeroka alejka okrajająca z tej strony ogród. Po drugiej stronie rosły wspomniane przed chwilą wierzby. Zatrzymałam się, zauważając jakieś dziwne odgłosy dochodzące od z jednej z nich i ku memu zdumieniu zobaczyłam, jak z wierzby zaczęło coś spadać do wody, co okazało się być piskletami kurki wodnej, która po kolei wyrzucała z gniazda swe potomstwo. Padając na wodę przewracały się na grzbiety, trzymając obie nóżki uniesione nad wodą. Gdy już ostatnie dziecko zostało wyrzucone z gniazda, sfrunęła i matka, a wtedy na jej rozkazującym głosem wydany okrzyk, przewróciły się małe kurki i już we właściwej normalnej pozycji popłynęły posłusznie w ślad za swą troskliwą opiekunką. Widok był tak zabawny, że zaczęłam się głośno śmiać, to też dzisiaj, gdy przypominam sobie to wydarzenie, nie mogę odmówić sobie przekazania go ewentualnym czytelnikom tych wspomnień. Jak już poprzednio zaznaczyłam cały teren przeznaczony na późniejszy park był na razie wykorzystany na cele praktyczne¹²⁴. Początkowo uprawiałam tam jarzyny, a później rośliny asienne. Zaplanowane przez p. Wilkowskiego alejki obrzeżone były trawnikiem metrowej szerokości i oddzielone od upraw rabatami kwiatowymi, co bardzo ładnie wyglądało, tym bardziej, że w dalszej perspektywie wzrok zatrzymywał się na kępach wysokich bylin, takich jak malwy, ostróżki itp.

Które posadziłam między młodymi jeszcze drzewami ozdobnymi, które w przyszłości miały stanowić główną ozdobę zaprojektowanego, przez p. Wilkowskiego parku. Na najdalszym krancu ogrodu oko zatrzymywało się na grupie dorodnych lip, a podwórze zasłaniała aleja kasztanowa. Granicząc z nią dość duża kwatere przeznaczylismy na posadzenie 40-jabloni koksów. Ziemia tam jak zresztą¹²⁵.

¹²⁴ To przeznaczenie parku „na cele praktyczne” przypieczętowało jego los, kiedy „lud zaczął wreszcie rządzić na swoim”. Gdyby park był parkiem, to może i dom zachowałby się z parkiem, jako resztkówka. Ogrodnik, zresztą wprowadzony przez Niemców, na skutek swych perswazji dostał w ramach reformy rolnej ogród wraz z dworem. Wykalkulował sobie, że otrzymując doskonale zaprowadzony ogród z pasieką, sadem znakomych drzew owocowych z gospodarstwem nasiennym, ze szkółkami drzew owocowych i ozdobnych będzie z nich sam ciągnął takie dochody jak dotychczas „dziedzic”. Przeliczył się niestety. Komunizm zlikwidował także cały rynek zbytu uszlachetnionych produktów rolnych i rynek pracy. Ogrodnik zburzył dwór, jako niepotrzebny, wyciął drzewa, zaorał alejki i zaczął siał pszenicę i kukurydzę. Rozebrano i rozkradziono nawet bruk prowadzący do majątku-dworu i kolejka wąskotorowa prowadząca do cukrowni w Kruszwicy. Walory widokowe zostały zniszczone, ze oglądając to miejsce w 1996 r. nawet plakat nie miałem sił. Komunisci przeprowadzając reformę rolną nie mieli na widoku szczęścia chłopów, tylko swe cele ideologiczne / polityczne. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹²⁵ W tym wypadku muszę wspomnieć, kilka elementów „racjonalnej gospodarki rolnej” w Paniewie. Pszczoły z ulami były przewożone (w nocy) zawsze tam gdzie rosły miododajne drzewa, lub rośliny. Majątek Paniewo mógł dostarczać różne gatunki miodu o szczególnym aromacie, np lipowy, koniczynowy, lub akacjowy itd. Kury miały przewożony kumik, który przewożono, po zżeciu zboża, żeby wybierały rozsypane ziarno. Największa „akcja” Matki była plantacja ogórków. Uzyskawszy zamówienie na ogórki konserwowe, wymogła na Ojcu wydzielanie dość dużej kwatery pola, gdzie zasiano i przerwano ogórki. Brzegi tej kwatery obsadziła słonecznikami, żeby zasłonić od wiatru a wśród tych słoneczników ustawiono ule, y



149.

Do sortowania ogórków były „dopuszczone” tylko najbardziej „zaufane” osoby. Od lewej p. Jadzia Radziszewska, żona ogrodnika, która miała różne funkcje, raz była niania w innym wypadku pokojówka, tzn. sprzątała pokoje. Wyjechała z nami we wrześniu w czasie ucieczki, a w razie wysiedlenia miało u niej zostać chore dziecko autorki. W wypadku sortowania ogórków była w tym celu „zwolniona” od innych obowiązków.



150.

Maz autorki Teodor (BKD 53) Karnkowski, pierwszy od lewej, przyszedł popatrzeć „jak idzie robota” przy sortowaniu ogórków. Druga od lewej p. Jadzia Radziszewska, następnie autorka i wielokrotnie wspomniana p. Kowalska. Jak opisano sortowanie odbywało się w wiacie, która w razie potrzeby dla ochrony przed słońcem nakrywana była trzcina, która cięto się w zimie na zamrożonym jeziorze, i która służyła w tej okolicy za tradycyjny i bardzo trwały materiał do pokrywania dachów. Była trwalsza od słomy. Dom w Paniewie był także kryty trzcina.

Tymczasem na horyzoncie politycznym zaczęły się gromadzić coraz to groźniejsze chmury. Zbliżał się początek nowej ery, nie tylko u nas w Polsce, ale i w Europie, a właściwie na całym świecie. Wiadomo, że narodziny każdego nowego istnienia są zwykle poprzedzane bólami, przeto i to „No”, nie mogło się uchylić od tej prawidłowości. Jak ciężkie były owe „bóle rodzenia” wiemy najlepiej my, którzyśmy przeżyli i doświadczyli na własnej skórze, każdy na inny sposób. Niestety bardzo wielu nie doczekało pierwszej chyba najgroźniejszej fazy, nie mniej dla tych, którzy ją przeżyli przystosowanie się do warunków, w jakich im życie przyszło było i są trudne, a nawet dla dużej części owych ocalałych z burzy Mohikanów, wprost niemożliwe, bo przecież świat, w którym im po wojnie i przez następne lata życie przyszło, jest tak diametralnie różny od wszystkiego, w czym wyrosli i z czym się żyli, że wprost mimo czasem najlepszych chęci nie są w stanie przystosować się do tak obcych im warunków i znaleźć w nim miejsce. Są jak przybysze z innej planety. Nic dziwnego, że porozumienie się młodych z tymi, których podejście do życia jest oparte na zupełnie innych przesłankach i zasadach niż te, którymi ludzie się obecnie kierują jest tak trudne, czasem wprost niemożliwe. Zakładając nawet najlepszą wolę młodego pokolenia, która niestety dość rzadko się spotyka, nie można nie przyznać racji tym, którzy mówią: „No tak to wszystko mówicie i to, co chcielibyście abysmy na waszym postępowaniu wzorowali, byłoby na pewno i dobre i piękne. Ale nasze życie układa się tak diametralnie inaczej niż wasze, że te wszystkie rady, których nam nie skapicie, padają w próżnię. Są po prostu nierealne - niewykonalne”. Jednak ci wszyscy ludzie starsi tkwiący jeszcze korzeniami w starym świecie muszą z konieczności jakos dostosować się do NOWEGO, aby móc znaleźć w nim możliwość egzystencji. Zadanie to niełatwe i nie każdy wychodzi z tej trudnej próby zwycięsko. Szczęśliwym którym się to udaje i potrafią jakos dogadać się z dziećmi i wnukami. Może, więc przyda im się przesłedzenie życia rodziców i dziadków, jak żyli i pracowali, z jakimi trudnościami przyszło im walczyć, a szczególnie od owej przełomowej daty 1939 roku, ile trudności musieli przezwyciężyć, jak musieli walczyć, od jakich rzeczy musieli się odzwyczaić, a ile nie czynić, a wtedy może spojrzeć z większą wyrozumiałością i zrozumieniem na owych Mohikanów, tak w ich rozumieniu z odległej epoki, innej formacji, w tym wypadku nie geologicznej, a

pszczoły zapylają ogórki i zbierają miód. Na środku tej kwatery ustawiono zadaszenie gdzie sortowano dwa razy dziennie zbierane ogórki. Stół do sortowania miał dla każdego z sortujących wycięte miary długości i obwodu, a na środku był wycięty otwór owalny. Ogórki konserwowe musiały przejść przez otwór owalny na środku stołu. Raz dziennie przyjeżdżał samochód ciężarowy, który zabierał ogórki konserwowe, oraz 2-ego gatunku. Ogórki pozawymiarowe tzw. „chłopasy” były rozdawane za darmo ludności. Nie tylko Rodzice, ale i okoliczna ludność mieli w ten sposób zapewnione dodatkowe źródło dochodu. Mawiano, że niedługo plantacje Matki zajmą teren całego majątku, a Ojciec ze swą produkcją zboża i okopowych zostanie wyeliminowany. Był to kierunek intensyfikacji i zwiększania dochodowości rolnictwa. Dalszym elementem intensyfikacji było założenie przez Ojca dolów silosowych do kiszzenia liści od buraków cukrowych i wyłoków zwracanych przez cukrownie, jako pasze na zimę dla bydła. Nie wiem czy okoliczne majątki też takie silosy miały, ale u nas uważało się to za nowość. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

duchowej, kiedy to, co dziś wydaje im się śmieszne i niegodne uwagi, było dla nich czymś ważnym, niepodlegającym
dyskusji, obowiązującym - używając wielkich słów - świętym.

Natomiast starsi, po doświadczeniach, które były ich udziałem, przekonali się, że nie wszystko, co dawniej uważali za słuszne, słusznym było i że wiele niesprawiedliwości, wiele zaniedban i to w najrozmaitszych dziedzinach wymagało zmian i naprawy i że gdyby ich pokolenie o tym pomyślało konkretnie i zabrało się energicznie do naprawy Rzeczypospolitej, to możeby nie doszło do nieraz tak bardzo krzywdzących rozwiązań i uniknąć byłoby można wielu tragedii, niesprawiedliwych decyzji i rozwiązań¹²⁶.

¹²⁶ Przez autorkę przemawia „szlachetny kompleks ziemianski”. Niestety autorka nie zaznała już historii upadku komunizmu i nie posiada wykształcenia ekonomicznego, które by zezwalało jej na przeanalizowanie różnych zjawisk gospodarczych na wsi. W skrócie można powiedzieć, że reforma rolna była ze wszech miar dla Polski szkodliwa, a chłopom nie przyniosła oczekiwanego awansu materialnego. Stanowią oni około 27 % populacji, a wytwarzają około 7% PNB. Badania wykazały, że nawet 9 lat po upadku komunizmu procent dzieci chłopskich studiujących na uczelniach wyższych jest niższy niż przed wojną. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

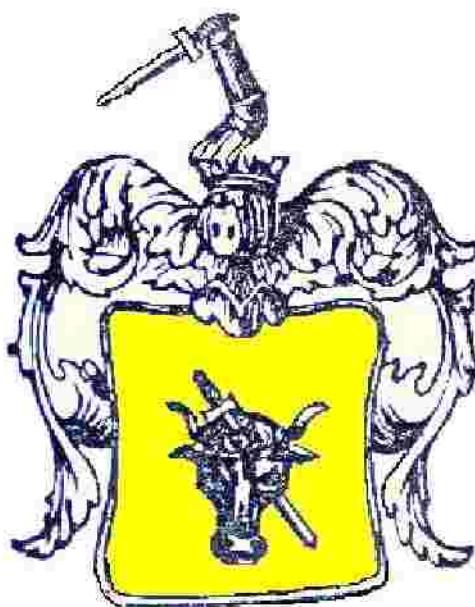
Ustrój tak jak to sobie różni filozofowie wykoncyrowali był ekonomicznie niezdolny do istnienia. Obecnie prawie 10 lat od upadku komunizmu społeczeństwo polskie pozbawione „pasżytniczej warstwy ziemianskiej” nie potrafiło rozwiązać żadnego z problemów agrarnych w Polsce, pomimo olbrzymich inwestycji i subwencji konsumpcyjnych. O komunizm nie mówiąc. Patrząc wstecz można by zapytać, o ile więcej zrobili właściciele Paniewa bez niczyjej pomocy przez 7 lat swej pracy na tej zapadłej wsi: bez subsydiów, kredytów preferencyjnych, energii elektrycznej, traktorów, nowoczesnej agrotechniki, bitych dróg, cel zaporowych, dopłat na olej napędowy do traktorów itd., dając ludziom pracę i placąc podatki (niewiele osób wie, że w Polsce międzywojennej, całkowity wymiar podatków, dla „wielkiej własności ziemskiej” powyżej 100 ha, wynosił 300% tego, co placili „gospodarze” poniżej 100 ha), będąc jeszcze, co chwila dotkliwie okradani przez swych współobywateli? (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Spadek kosztów, przy przejściu od produkcji drobnotowarowej do masowej, jest zjawiskiem ogólnie znanym, tak w dziedzinie przemysłowej jak i rolnictwie. Rynek nie tylko w USA, ale także w Europie prowadzi do zaniku gospodarstw karłowatych. Właśnie ta droga rozwoju jest zalecana i subwencjonowana przez UE. Zjawisko to było znane już w ekonomii marksistowskiej, a idea budowania kolchozów była tego wynikiem. Jednak bolszewicy nie mogli zdecydować się na jasne postawienie sprawy i na odebranie chłopom darowanej im ziemi. Próbowali wprowadzić komasację poprzez spółdzielczość, jednak historia wykazała, że ta droga jest trudna do pogodzenia z naturą ludzką.

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska

W S P O M N I E N I A

Czesc II.



Wydano przez Kazimierza Karnkowskiego
Baden CH-5400 – czerwiec 2013

1. SŁOWO WSTĘPNE do CZĘŚCI DRUGIEJ

Druga część wspomnień Marii z Bartoszewiczów Karnkowskiej z Paniewa obejmuje okres od wybuchu wojny tj. 1 września 1939 r., do chwili śmierci jej męża Teodora Karnkowskiego w Maroku.

Podział ten uwzględnia wyraźną cezurę w opisywanym okresie i został uwzględniony zgodnie z układem rękopisu wspomnień.

Epilog, dodany przez wydawcę uwzględnia losy tej rodziny do dnia zgonu ostatniego jej członka.

Aneks, opisuje dzieje i czyny p. MARIANNY ANTONINY „POBÓG” DMOCHOWSKIEJ, postaci niezwyklej. Bez opieki, której, Karnkowskich z Paniewa, oczekiwała w czasie II wojny światowej, egzystencja w wielkim niedostatku.

Kazimierz Karnkowski

CH 5400 Baden, 98-05-09

2 . U C I E C Z K A i P O W R Ó T

W pierwszej części moich wspomnień pragnęłam dać obraz jak układało się życie, jak pracowali i bawili się ludzie należący do średniozamożnej warstwy ziemianskiej, gospodarujący na żyznej ziemi Kujawskiej, to znaczy moi Rodzice Jan (BKD 51) i Stanisława (BKD 50), z Damskich Bartoszewiczowie z Wiecinina, a następnie my to jest Maria (BKD 52) z Bartoszewiczów i Teodor (BKD 53) Karnkowscy z Paniewa¹²⁷ w okresie pierwszej ćwierci wieku naszego.

Obecnie pragnę możliwie jak najdokładniej zrelacjonować wszystko, cośmy przeżyli od owej decydującej daty 1.9.1939-go roku do momentu śmierci mojego meza w Malborku w 1955 i następnie przesledzić losy moich dzieci i moje, aż do chwili bieżącej.

Oczywiście każda rodzina ziemianska przeżywała te trudne a czasem tragiczne lata w inny sposób, i inne były okoliczności, które tym przeżyciom towarzyszyły - wiem, że wiele osób starszych pisze dziś wspomnienia, na pewno będą ciekawsze i bardziej sensacyjne niż moje, niemniej mam nadzieję, że i te ułatwią niejednemu czytelnikowi zrozumienie nie tylko postawy, ale przede wszystkim tak odmiennego od ówczesnego patrzenia na wiele zjawisk dnia dzisiejszego. Nie można tych ludzi potępiać ani lekceważyć, traktując jak mamuty z przedlodowcowej epoki, bo kto wie, czy jednak nie byłoby lepiej, gdyby nie we wszystkim, ale na pewno w wielu sprawach ówczesne zasady i sposób podejścia do życia i jego problemów obowiązywały ludzi żyjących u schyłku 20 stulecia. Po wojnie może przydługim wstępie wracam do pierwszych dni września 1939-go roku. Ponieważ mieszkaliśmy w najbliższym sąsiedztwie będącej właśnie w toku wykarczowania linii wodnej, łączącej Wartę, przepływającą pod Koninem, poprzez szereg jezior i sztucznych kanałów z Notecią, a mogąca stanowić z punktu widzenia militarnego poważną przeszkodę dla ewentualnie wdzierających się w tym rejonie sił nieprzyjaciela - przeto w sierpniu zaczęto ją gwałtownie fortyfikować, zakładając zasieki z drutu kolczastego - kopać dodatkowe rowy minując mosty itp. Wobec tego łatwo było przewidzieć, że ludności cywilnej mieszkającej wewnątrz tego ufortyfikowanego obszaru nie będzie łatwo się z niego wydostać, szczególnie jeśliby chciało się coś wywieźć, co byłoby rzeczą niewykonalną, jeśli mosty zostaną zniszczone. Biorąc to wszystko pod uwagę, mój mąż zdecydował, że ja z dziećmi, niania pojedziemy bryczką, a na wóz załadujemy trochę cenniejszych najpotrzebniejszych rzeczy jak pościel, garderobe i pewien zapas żywności i ruszymy do Wiecinina, gdzie zaczekamy na meza, który razem z pułkownikiem¹²⁸ dopiero w ostatniej chwili opuszcza Paniewo i rowerami dogonia nas w Wiecininie, a tam dopiero zapadła decyzja - co dalej będziemy robić. Jeszcze pełne 3 dni w napięciu nerwowymi i strasznym niepokojem czekaliśmy, że może jednak nastąpi jakiś cud i akcja niemiecka się odwlecze, jednak odgłosy dochodzące od ciągnących nieprzerwanym kolumną nurem wozów i wszelkiego rodzaju furmanek dzień i noc zbiegającej po drugiej stronie jeziora szosie, prowadzącej do Konina względnie Slesina, skąd już skręciwszy na lewo kierować się można było na wschód a więc w kierunku przeciwnym do tego skąd nadciągał nieprzyjaciel w stronę Warszawy, dokąd przecież wroga nie dopuszcza nasze waleczne wojska. Ci uciekający ludzie to byli mieszkańcy graniczących z nami powiatów bydgoskiego i torunskiego, którzy uciekali przed posuwającymi się w niezwykle szybkim marszu wojskami niemieckimi, pragnący oddalić się jak najbardziej od frontu walki i uratować rodziny swoje i choć część swego dobytku.

Wreszcie czwartego września wczesnym rankiem ruszyliśmy i my na wschód, ale niezapchana już przez te kilka dni szosa na Slesin, tylko bocznymi drogami, którymi zawsze do Wiecinina jeździliśmy, krótszymi, ale niemilosierdnymi, to też dopiero po kilkunastu godzinach dotarliśmy do celu. Zastaliśmy tam ogromny rozgardiasz - Januszowie, (BKD 500 i 501) korzystając z tego, że w przeddzień zjawił się wuj Unrug (BKD 61) mąż siostry mojej Matki (BKD 59) z pasierbica Ela (BKD 507) Sokolnicka, która wybuch wojny zastała w Wyszakowie, a która spieszyła do Warszawy, aby połączyć się z mezem oficerem pułku.

Przyjechali samochodem, co widząc Januszowie, którzy i tak byli zdecydowani jechać do Warszawy postanowili jechać z nimi razem w nadziei, że wspólnie dadzą sobie lepiej radę niżli w pojedynkę. Ojciec (BKD 51) zdecydowanie odmówił pojechania z nimi, chciał zostać na miejscu do ostatniej chwili i dopiero wtedy zabrac najcenniejsze remonty¹²⁹ i udać się do Łazina majątku Felka (BKM 201) Wisniewskiego, leżącego w powiecie łowickim, a więc znacznie bardziej na wschód niż Wiecinin. Sytuację komplikowała obecność pani, która opiekowała się gospodarstwem w Piaskach majątku dzieci pozostałych po śmierci najpierw mego szwagra Tad. Karłowskiego w 37 roku, a następnie mojej siostry w 38 roku. Pani ta przejechała ten ogromny kawał drogi (Piaski leżały pod Rawiczem) nie tyle z obawy o własne bezpieczeństwo ile z troski o uratowanie przynajmniej najcenniejszych remontów¹³⁰, z których wówczas Piaski słynęły; dzielna ta niewiasta przyjechała w 8 koni, to znaczy czwórka zaprzeczona do powozu, a do każdego konia przywiązany drugi, więc razem osiem! Na to wszystko zjawiam się ja z moim skromnym taborem.

¹²⁷ W Paniewie ziemia tylko w pewnych miejscach była dobra, w całości natomiast była słaba, poza tym Paniewo miało, prawdopodobnie na skutek specyficznej konfiguracji jezior mało opadów. W Wiecininie natomiast całość arealu była bardzo dobra.

¹²⁸ Pan Kostrzewa. Jeden z wiernych, tak zwany przez moją 2-letnią siostrę „pykart”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹²⁹ Konie przeznaczone dla wojska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹³⁰ Widac, że w tej tak tragicznej chwili ziemianie najpierw, jakby automatycznie myśleli w pierwszym rzędzie o ojczyźnie ratując konie, które mogłyby być jeszcze potrzebne dla wojska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Więsci były coraz bardziej alarmujące. Na ostateczną decyzję wpłynął dowódca jednego z ofiarujących się pod naporem wroga oddziałów, który usilnie nalegał na Ojca, (BKD 51), aby nie odwlekał wyjazdu, bo może być za późno. Nie wiedziałam, co zrobić, umówiłam się przecież z mężem, że będziemy czekać na niego w Wiecininie, z drugiej strony, jeśli pozostaniemy, czy uda się nam wtedy ucieczka razem, to znaczy ich, to jest mąż z praktykantem i nas czworo: dzieci, niania i ja? Jeśli dołączy się do taboru wiecinńskiego, to jemu raczej im dwóm, łatwiej będzie nas dogonić. Wreszcie zdecydowałam się pojechać razem z Ojcem (BKD 51), wujem, Damskim (BKD 48)¹³¹ i całym taborem piaskowskim (Karłowskich z Piask). Wóz pozostawiłam na miejscu, poleciwszy woznicę, aby powrócił do domu i powiadomił meza o naszym wyjeździe. Już późnym wieczorem zatelefonowałam do Ojca sasiadka p. Sztyltrowa¹³², błagając, aby pozwolił jej dołączyć się do naszego taboru, bo ona boi się puszczać w tak niebezpieczną drogę sama ze starą tesciową i małym synkiem. (Mąż był już na froncie). Cóż było robić trudno odmówić w takiej sytuacji, zrobił to jednak niechętnie zdając sobie sprawę, że tak liczny tabor utrudni jeszcze bardziej tak zwana „ucieczka”.

Tak, więc nazajutrz przed świtem - chodziło o to, aby najwcześniej dostać się na szosę prowadzącą do Kutna. Ojciec z p. administratorką z Piask powozem zaprzęzonym w cztery najcenniejsze klacze, u których boku szły luzem przy oczekiwanych remontach piaskowskich - z tyłu za powozem przywiązano również parę koni. Za nimi karetą, w której siedział wuj Damski (BKD 48), niania z dwójką naszych dzieci no i ja. W Brdowie, gdzie mieliśmy próbować dostać się na szosę miała czekać p. Sztyltrowa. Jakże było moje przerażenie, gdy zobaczyłam karetę z paniami i chłopcem, a z tyłu przywiązany szalejący ze zdenerwowania piękny i zresztą bardzo cenny ogier. Na jego uwagę, że ogier ten utrudni niesłychanie, a nawet wprost uniemożliwi i tak niesłychanie trudną podróż, odpowiedziała z płaczem, że mąż nigdy by jej nie darował straty tego konia i prosi na wszystko, aby go zabrać. Cóż było robić - został przyczyniając niemało kłopotów i utrudniając całe zadanie. Odetchnęliśmy, gdy udało się w prawdziwie cudowny sposób tym taborem włączyć się jakos w nieprawdopodobnie zagęszczony tłum wszelkiego rodzaju pojazdów i bryczek, wozów samochodów ciągniętych z braku benzyny przez konie. Poboczem szosy ciągnęli nieprzerwanym sznurem, piesi popychający ręczne wózki z dziećmi i najpotrzebniejszym dobytkiem, ciągnęli przerażeni Żydzi z okolicznych miasteczek, jednym słowem nieprzeliczona liczba ludzi śmiertelnie wystraszonych, brudnych zmęczonych, przepelnionych rozpaczą i przemożnym strachem - idący w nieznaną. Nikt oczywiście nie wiedział jak wyglądała sytuacja na zachód od nas, krzątały tylko pogłoski, że wojska nasze cofają się w poplochu, a Niemcy posuwając się w błyskawicznym tempie nie szczeni nikogo. Tak umiejętnie i szeroko propagowana przez odpowiednio poinstruowanych agentów¹³³ głoszących, że Niemcy potraktują Polaków a szczególnie Żydów z właściwym im okrucieństwem i bezwzględnością zrobiła swoje, zdeorganizowała kompletnie życie. Szczególnie na terenach poznańskiego i Pomorza powstał chaos, zaczęła się prawdziwa wędrownia narodów a wśród tego wszystkiego cofające się jedna za drugą formacje wojskowe¹³⁴. Z największą dezaprobatą patrzano na uciekające państwowymi środkami lokomocji rodziny wojskowe i urzędnicze¹³⁵ - wśród których nierzadko można było natrafić na wojsko chłopskie i to wyższych stopni. Jeśli chodzi o nasz tabor, to oczywiście posuwaliśmy się zółwim krokiem. Gdy dojechalismy do Klodawy, Ojciec zdecydował, że porzucimy szosę i zatrzymamy się na nocleg u znajomych mieszkających w pobliżu i tam zdecyduje się, co dalej robić. Właśnie tam po raz pierwszy usłyszeliśmy warkot samolotów nieprzyjacielskich i usłyszeliśmy wybuchy pocisków.

¹³¹ Dr Kazimierz Damski, były powstaniec wielkopolski, rezydent w Wiecininie, brat matki autorki. Pozostał w mojej pamięci, jako człowiek gołębiego serca. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹³² Pp. Sztyltrowie z Radoszewic, nie wytrzymali nacisku czuli po wkroczeniu Niemców volksliste. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹³³ Nie można oczywiście zaprzeczać istnienia dywersyjnej propagandy niemieckiej, wróg próbuje wszystkiego. Niestety trzeba przyznać, że ówczesne władze polskie, które musiały liczyć się z koniecznością ewakuacji pewnych terenów, nie wydały w tym celu żadnych instrukcji dla ludności cywilnej. Przede wszystkim nie powiedziały, że właśnie paniczna ucieczka może przynieść straty większe, niż pozostanie w najbardziej dramatycznych warunkach na miejscu. Zresztą ten sam błąd popełnili Niemcy w 1945 r. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹³⁴ Między innymi byliśmy świadkami przejazdu oddziału polskich tankietek, które aczkolwiek małe i uzbrojone jedynie w karabin maszynowy rozwijały wielką szybkość. Przynajmniej ja byłam pod ich wrażeniem. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

W książce PISANE NA KOLANIE - PAMIETNIK BEZ PATOSU Edwarda M. Sokopp'a. Str. 85, 86 i 94. Wyd. Antyk - Marcin Dybowski (1997); natrafiam na rzadki opis „polskiego czołgu”, który tu przytaczam. „Był jak na pojazd bojowy, karykaturalnie mały. Wymiarami nie większy niż, na przykład, późniejszy Polski Fiat, popularny Maluch. - Ale jedna z zalet, która górowała nad czołgami niemieckimi, była ich szybkość. Osiały, proste pamięć, na gasienicach jak na owe czasy imponujące, 46 kilometrów na godzinę. Czołgi te i ich poprawione wersje stanowiły przeszło połowę polskiego sprzętu pancernego. W momencie rozpoczęcia działań wojennych było ich prawie sześćset. - miały załogę dwóch ludzi. Kierowca i strzelec obsługujący ciężki karabin maszynowy Hotchkiss 25. - Między nimi i kierowcą, tuż jakby pod naszymi pachami, silnik Fiata chłodzony powietrzem. Nadbrał słabą moc dużymi obrotami. Stąd jego hałasliwość. Jedynym środkiem poruszania się z innymi czołgami były dla dowódcy plutonu chorągiewki różnych kolorów. Każda wysuwana poza pancerz, przekazywała jakiś rozkaz - w trakcie akcji wojennych, - w swych szybkich niskich pojazdach uganiał się jak psy goncze, dla nieprzyjaciela mało widoczni... Czołgi niemieckie, ciężkie olbrzymy, - dużych możliwości scigania nie miały. Myszki nie mieli szans w walce, one nie miały szans aby nas dogonić ... Najlepsza dla nas obrona, pewno jedyna, była ucieczka. Sukcesy mogliśmy odnosić tylko z niemieckimi oddziałami piechoty. Wzrost piechurów zginęło w ogniu naszych karabinów.”

¹³⁵ Zawsze ludzie będący w sytuacji bez wyjścia w stosunku do tych, którzy mają możliwość ratunku, jakże niekiedy złudna, jest zrozumiała. Jednak, co miały robić te rodziny, które miały samochody do dyspozycji? Oczywiście były przypadki dekowania się oficerów, co zdarza się w każdej armii. Trzeba jednak powiedzieć, że wielu oficerów nie było powołanych do służby wojskowej ze względów politycznych, jak np. gen. Sikorski. W sumie młody polski korpus oficerski zdał egzamin tak na polu bitwy w 1939 r. jak potem w okupowanym kraju, Oświęcimiu i Katyniu i to chyba lepiej niż korpus niemiecki, który po klęsce stalingradzkiej, w niewoli masowo kolaborował z bolszewikami. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Widocznym było, że front się zbliża - możliwość ucieczki przed zbliżającym się w tak fantasmagicznym tempie wrogiem malowała się każda godzina. Wobec tego zdecydowaliśmy porzucić dąbniętą szosę, na której zaczęły się dziać dantejskie sceny, bo zaczął się regularny jej obstrzał, co oczywiście wywołało straszną panikę tym bardziej, że coraz częściej kule trafiały w upatrzonego cel tak, że wkrótce można było zobaczyć tamupy ludzkie i konskie.

Należało sformować jakos nasz tabor, zostawić przynajmniej część koni na miejscu, szczególnie owego ogiera, który wprost szalał z podniecenia, szczególnie, że dookoła widział pięknie ponętne wyglądające klacze. Ponieważ Ojciec z powodu swego kalectwa (był całkowicie niewidomy) nie był w stanie opanować sytuacji - podjęłam się tej roli, bo wśród naszej gromadki nie było nikogo, ktoby mógł to zrobić. Wsiadałam na konia i z szpicrutą w reku zdecydowanym, a nawet wprost rozkazującym tonem wydałam odpowiednie dyspozycje, uformowałam całą kolumnę. Największy kłopot był z p. Szyłtrową, która za nic nie chciała zgodzić się na pozostawienie ogiera, dopiero na moją stanowczą decyzję, że jeśli tego nie zrobi, to ja zrzekam się odpowiedzialności za właściwe pokierowanie całą imprezą, nie chce odpowiadać za skutki, które jego obecność wśród tyłu koni i ogólnego zamieszania, szalejącego i niebezpiecznego kopytami w pudło karety, może spowodować. Placząc jego właścicielka pożegnała konia, a wtedy ruszyliśmy. Ojciec, jako znający boczne drogi, którymi mieliśmy zamiar posuwać się w kierunku Łazina, za nim kareta z paniami, wóz wiecininowski i radoszewicki - mój jak poprzednio wspomniałam pozostał w Wiecininie - na koncu ja - siedząc na kozle karety, w której siedzieli wuj Dambski, (BKD 54) i niania z dziećmi, mogłam w ten sposób „mieć oko” na całość pochodu - jakimś brawurowym skokiem przedostaliśmy się na drugą stronę szosy - radzi, że wreszcie jesteśmy z dala od tego wszystkiego, co się tam działo. Po całym dniu drogi, zatrzymaliśmy się w majątku gdzie przyjęto nas gościnnie i gdzie przesiedzieliśmy całą dobę, naradzając się nad tym, jaka decyzja byłaby najslusniejsza. My to znaczy Wiecinin, postanowiliśmy wrócić do domu. P. Szyłtrowa zdecydowała się pozostać na miejscu - to też nie namyślając się dłużej, ruszyliśmy wieczorem na zachód, w słusznym przekonaniu, że noca łatwiej przemkniemy się nieopstrzeżenie.

Przejeżdżając przez jakiś las spotkaliśmy oddział naszej piechoty, wycofujący się w poplochu w stronę Warszawy; żołnierze głodni, brudni, śmiertelnie zmęczeni, zrobili na nas przygnębiające wrażenie. Gdy dowódca oddziału dowiedział się, że idziemy na zachód, był zdumiony: „jak to, zamiast uciekać jak wszyscy jedziecie prosto w paszczę lwa?” Nie zmieniliśmy jednak decyzji, ciesząc się w duszy na myśl, że znajdziemy się w domu. Dotarliśmy tam 7.9. i zastaliśmy pełno gości: ciotka Unruzyna, (BKD 69) z córką 14-letnią, Tola (BKD 497), szwagrem Klemensem Rembowskiem, kaleką bez obu nóg i w dodatku w towarzystwie wszystkich mieszkańców wsi wyszakowskiej (Wyszakowo) i to z koniami itd. Rozgłosiła się w salonie, bo wszystkie inne pokoje były zajęte. Ciotka Niuska (BKM 563) Mittelstaedt z Lisewą z synem (Karolem BKM 564) i nauczycielką Wszędzie kręciło się pełno nawet nieznanym mi osobom, które uciekały z poznańskiego na wschód w przekonaniu, że Niemcy tam nie dojdą.

Dom nie był przygotowany na „najazd” tylu gości, zaczęło brakować podstawowych środków żywności, to też ciotka, Unruzyna (BKD 69), która objęła komendę nad tym obozowiskiem zarządziła, że będzie się gotować raz dziennie kartoflanke względnie zupe chlebowa¹³⁶.

Jeśli chodzi o mnie, to ucieszyłam się ogromnie zastawszy Tola (BKD 53) i praktykanta, którzy w przeddzień dotarli do Wiecinina, ale pieszo, bo po drodze Niemcy odebrali im zresztą nowe rowery. Nazajutrz był 8.9. czyli bardzo zawsze uroczyste obchodzone tak w parafii brdowskiej, jak i w Skulsku święto narodzenia Najświętszej Panny Marii. Ponieważ oczywiście nie mogło być mowy o wybraniu się do kościoła, zorganizowałam w ogrodzie przy zaimprovizowanym ołtarzyku nabożeństwo, na które zeszli się nie tylko „uciekiniery”, ale prawie cała wieś.

Panowało ogólne przygnębienie, często rozlegał się płacz, a gdy zaintonowałam „Pod Twoją obronę”, to chyba nie było nikogo, kto nie miałby łez w oczach¹³⁷.

¹³⁶ Należy zwrócić uwagę na niebagatelne koszty utrzymania tej ogromnej masy „uciekiniarów”, które obciążały majątki. Jednak nikt nie został bez pomocy.

¹³⁷ Kościół katolicki, sprowadzony do Polski w X w. dla poproszenia cywilizacji narodu, do poziomu europejskiego, w ciągu 1000 lat, swej kulturotwórczej działalności, w czasie klęski narodowej oferował jedynie łzy i modlitwy, a prasa katolicka, oglupiała go, wciskając mu do głów kretynski sposób rozumowania. Dla zachowania w pamięci, przytaczam pewną publikację, która obecnie Kościół najchętniej by przemilczał, podobnie jak przechwałki samozwanczego „prymasa tysiąclecia”, kardynała Wyszyńskiego, chlubiącego się udziałem Kościoła w budowie „ustroju sprawiedliwości” społecznej i jego następcy J. Glempa oświadczającego, że „rozdawanie chłopom ziemi obszarnej było znakiem wolności”.

KRETYNSKI SPOSÓB MYŚLENIA WPAJANY POLAKOM PRZEZ KOŚCIÓŁ KATOLICKI

Profesor Sergiusz Michalski z Uniwersytetu w Tübingen przesłał mi polskie piśmiśko znalezione w tamtejszym antykwariacie. Na honorowym miejscu widniał artykuł pióra, tak mi się w pierwszej chwili zdawało, marszałka Marka Jurka. I poetyka, i glebia intelektualna ta sama:

„Jeżeli Polska pierwsza stanie się wielkim państwem katolickim, to przez nas. Opatrzność Boża pokaże światu, jak potężne jest państwo, w którym rząd i każda rodzina służy Bogu i gdzie wszyscy się miłują. Przez Naród Polski objawiłaby się, więc w tych czasach moc Boża nad światem, a nawet inaczej nie może być. Tak się, bowiem zdarzyło, że Bóg umieścił nas między dwoma państwami: Niemcami i Rosją, ale Rosja i Niemcy zdradziły Chrystusa. Jednocześnie oba te państwa zrobiły wszystko, co dla swej potęgi mogą zrobić państwa bezbożne. Polska im ustępuje w ilości ludzi i bogactw, lecz Polska ma przewagę nad nimi, że jest katolicka, może, więc mieć inne jeszcze siły, prócz własnych siły Boże, które przecież przewyższają wszelkie siły ludzkie. (...) Otóż przez błogosławieństwo modlitw możemy mieć takie siły moralne, które zastąpią i przewyższą to, że nasi wrogowie mieli więcej ludzi lub większe bogactwo. Czym bowiem są wszelkie moce ludzkie wobec mocy Bożych? Czy jest ktoś silniejszy od człowieka, co ma Boga w sercu. Czy nie wszystko jest w ręku Boga? Naród, który najlepiej pracuje i najlepiej się modli, ten i najlepiej walczy i zawsze zwycięża obce potęgi podczas wojny.

Nasze fabryki wojenne pracować będą na trzy zmiany dzień i noc. Pełna para, ale tak samo dzień i noc wszystkie dzieci polskie kleczeć będą na wiele zmian przed Najświętszym Sakramentem, błagając o zwycięstwo dla ojców i braci walczących na frontach. Gdy grad pocisków

Tego wieczora zdecydowaliśmy się wracać do Paniewa. - Mielismy konie i wóz, załadowaliśmy się na niego, praktykant podjął się powozenia, ale ponieważ wóz był tak pełen bagażu, biedak nie miał, na czym usiąść i cały czas powoził stojąc. Znow dla bezpieczeństwa jechaliśmy nocą, zatrzymaliśmy się na kilka godzin w Raciecinie, u pp. Tabaczynskich, których zresztą nie zastaliśmy i ruszyliśmy dalej. Gdy już byliśmy o kilka kilometrów od domu, trzeba było zjechać z szosy na lake. (Most na rzeczce był wysadzony w powietrze). Zeszliśmy więc wszyscy z wozu, aby ulżyć koniom, bo łączka była podmokła, jedynie praktykant pozostał na nim, aby kierować koniami. Przyglądaliśmy się tej przeprawie, aż nagle rozległa się detonacja. Praktykanta wybuch wyrzucił wysoko na nasyp szosy, gdzie upadł nieprzytomny. Konie z pokaleczonymi zadami szamotały się w uprzęży, rzeczy porzucane dokola a wóz w kawałkach.

Prawdziwa łaska boska, że zeszliśmy z wozu, bo nie wia o jak by się ta przygoda skończyła. Na szczęście do domu było tylko kilka kilometrów, więc posłaliśmy chłopaka po wóz i konie. Pozbieraliśmy rzeczy¹³⁸, załadowali wóz przytomnego praktykanta na ów wóz i wróciliśmy do domu po tygodniowej nieobecności, dziękując Bogu, że jesteśmy znow cali i żywi.

mierzyć będzie w ciała żołnierskie naszych ojców, synów i braci, grad modlitw płynąc będzie od ich dzieciątek, od ich żon i matek ku niebu. A czy naszych żołnierzy nie powstrzyma od wszelkiej niem nosisi i upadków to, że żony ich pozostałe w domu zostaną im wiernie, a narzeczone - bez skazy. Wartość moralna tych, co zostają podczas w ny w domu, decyduje o sile moralności tych, co są na froncie.

Bo im naród bardziej żyje po Bożemu, tym większa ma on godność własną, tym bardziej chce on się o swe prawa bić, tym pewniej wszystko zwycięża. Gdy naprzeciw naszym lotnikom wylecą chmury wrogich latawców, by stracać naszych w imię pychy szatanijskiej, to nasi wylecą na swych stalowych ptakach, a każdy lotnik z Komunia w sercu. Czyż niejasne gdzie będzie zwycięstwo?"

Dopiero po chwili zacząłem się zastanawiać. Papier jakiś zżółkły, czcionka jakby niedzisiejsza... Może, więc nie Marka Jurka to dzieło? Rzeczywiście, musiałby być urodzony czterdzieści lat wcześniej. Okazało się, bowiem, że jest to wstępniak z "RYCERZA NIEPOKALANEJ" nr 8 (212) z... sierpnia 1939. Dopiero w tym czasowym kontekście o naszych „stalowych ptakach” stracających niemieckie „latawce”, o pełnym i zagwarantowanym nam przez niebiosy zwycięstwie, nabierają pełnej wymowy.

Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, żeby żony naszych żołnierzy (za wyjątkiem tych, których pozadami szczególnie) pozostały meżom wiernie, a narzeczone (z zastrzeżeniem jak wyżej) - bez skazy. Trochę wątpliwości miałbym już w stosunku zięci klezczących dzień i noc, zamiast posprzątać w domu i przygotować śniadanie rodzicom wracającym z trzeciej zmiany. Nie o to jednak chodzi. I nie o to, żeby przy minac historii, tragiczny fakt, że w parę dni po zamieszczeniu w „Rycerzu Niepokalanej” tych bigoterijnych triumfalizmów poniosła Polska straszliwa klęska i pogryzła się w nos.

Chodzi o pewną poetykę i stojący za nią kretyński SPOSÓB MYŚLENIA (!!!). Pamiętamy chyba wszyscy pamiętne słowa wygłoszone w lutym 1993 r. w Rudce koło Brińska przez wicepremiera (odpowiedzialnego -sic! - za sprawę gospodarcze) Henryka Goryszewskiego: „Nieważne, czy w Polsce będzie kapitalizm, wolność słowa, czy w Polsce będzie dobrobyt - Najważniejsze czy Polska będzie katolicka”.

Czym to się różni od stwierdzenia, że Polska ustępuje awdzie Rosji i Niemcom „w ilości ludzi i bogactw, lecz Polska ma tę przewagę nad nimi, że jest katolicka”. Goryszewski nie wytykał wprawdzie palcem oscięnych krajów, ale robia to za niego skutecznie jego następcy, którzy zresztą rozszerzyli swoją wizję, bo już za Odra i Nysa nie tylko Niemcy ich drażnią, ale zgola cały „bezbożny Zachód”. Wynika z tego, że mamy niesie światu, a Rosji i zgnilemu Zachodowi przede wszystkim, jakies przesłania, naprawiać ich i poprawiać. Hiszpania jest katolicka, Holandia jest katolicka, Irlandia, Portugalia, Włochy, Austria... dlaczego więc na nas padło?

Polski papież niczego nie wyjaśnia, bo teraz jest niemiecki, przedtem byli Włochy, a ani Niemcy, ani Włosi nie czują się powołani do moralizowania sąsiadów. Skąd to znakomite samopoczucie? - W jakim innym kraju na spotkanie z papieżem przyszłoby dwa razy p miliony ludzi? - epatują się neo-Goryszewscy. Tymczasem z tego akurat, z tych zapchanych krakowskich bloni, nie wynika nic, dokładnie i najdokładniej nic. Nie, dlatego, zaraz usłysze, i nie bez pewnej racji, iż demagogiczne to porównanie, że mistrzostwa świata w pilce nożnej ogląda przed telewizorami ponad miliard zapalców, a dlaczego tylko przed telewizorami? Bo ni miejsca na stadionach. Nie chce się pouczać również, iż, co każdy widzi doskonale, na życie społeczne, a tym bardziej na moralność obywatelską blonia krakowskie nie wywierają skutku najmniejszego.

Ges umoczyła się w świeconej wodzie, wyszła na brzeg, nela pióra i tyle. Jest jednak powód o wiele istotniejszy, aby nie nadymać się z powodu frekwencji i komunii serc podczas świetlnych wizyt czy jasnogórskich zjazdów. Działa, bowiem przy tych okazjach efekt, który osmieliłbym się nazwać perwersyjnym. Nie gapiostwo nawet, ale stwarzanie sobie alibi do samouielbienia. Skoro założyliśmy, iż przymiotnik „katolicki” ma pozytywny wydźwięk, to my już wam pokazemy, jacy jesteśmy katolicy. Zupełne odwrócenie chrześcijańskich zasad. Apoteoza pychy narodowej mającej leczyć również narodowe kompleksy. I te transparenty: kto z Pipidówki, a kto z Zasmiecin? Ale przecież nie w tym rzecz. To to ja, to ja - Bronka z Zalesia, w czwartym rzędzie, osiemsetna główka od lewej strony licząc. I strój mam ludowy. I dobrze widzicie, jak się przykładowie kajam.

To właśnie, wypisz, wymaluj, ów "grad modlitw", który ma zrównoważyć „grad pocisków mierzących w ciała żołnierskie naszych ojców, synów i braci”. A nie jest to niewinne skojarzenie. Ów "grad modlitw" nie ma w sobie nic z miłości bliźniego. To jest nasza bron, która pokonamy Niemców i Rosjan, Żydów i masonów, zdegenerowany Zachód i konsumpcjonizm. Bo wolność, nieważna. Byleby Polska była katolicka. I przez nas zawłaszczona.

200.

Ludwik Stomma POLITYKA, NR 27,15 LIPCA Str.

¹³⁸ Wypadek ten wydarzył się pod Lisewem przy objeżdżaniu d południa jeziora czartowskiego. To była ironia kampanii polskiej w 1939 r. Polska bron zamiast razic wroga zabijała Polaków i niszczyła nie po raz pierwszy i ostatni polskie mienie. Mina była założona przez polskich żołnierzy, którzy uprzednio wysadzili w powietrze ten mizerny mostek. Na szczęście nie mieli tych min więcej, bo by jeszcze przy zbieraniu rzeczy doszło do dalszego wypadku, być może śmiertelnego. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

3. Z P O W R O T E M w P A N I E W I E

W domu nie zastaliśmy specjalnych szkód¹³⁹, tylko wszystkie dojrzewające o tej porze owoce zostały gruntownie¹⁴⁰ oberwane, ostatecznie przebolalabym ten fakt, zaluje tylko, że nie wiem, jaki był smak owocujących po raz pierwszy kilku gatunków brzoskwin i śliw - no i oczywiście nigdy tego sprawdzić nie mogłam. Największa strata był brak koni, bo prawie wszystkie Niemcy przechodząc pozabierali, zostawiając w zamian kilka kłabiedzonych i wychudzonych¹⁴¹, że wprost nie nadawały się do pracy - a przecież trzeba było zasiać żyto i pszenicę, zwieść z pola kartofle i buraki a potem zaorac ziemię na zime.

Maz nabiedził się z tym niemal, pożyczając konie od sąsiadów i gdzie się tylko dało. Najbardziej dokuczal brak pieniędzy - gotówki zapasów nigdy nie było, tym bardziej teraz, kiedy niczego sprzedać nie było można, - wszelki handel ustal... Zylismy w zawieszeniu, nie wiadomo było, do czego i jak się zabrać, brak jakichkolwiek wieści. awni dostarczyli, Żydzi, siedzieli cicho, radzi by wszyscy nich zapomnieli, ja dodatkowo niepokoiłam się o Ojca, nie widząc czy udało mu się wrócić szczęśliwie z tak lekkomyślnie powziętej wyprawy w rawickie. Wreszcie zdecydowałam się pchnąć poslanca do Wicininina po wieści. Był to dzień 18 października - pamiętna data wielkiej kradzieży, której padliśmy ofiarą przed rokiem. Siedzieliśmy przy kolacji w półmroku, bo przecież nie było wtedy ani nafty ani świec i jedynym oświetleniem były kaganki napełnione olejem z bawelnianym knotem; przed chwilą wręczono mi list przyniesiony z Wicininina, gdy nagle stanęła przede mną służąca z miną przerażoną i zdławionym głosem wyjąkała, że jacyś panowie chcą się z nami widzieć. Bezpośrednio zobaczyliśmy za jej plecami 3 drabów w mundurach niemieckich, uzbrojonych w karabiny¹⁴². Jeden z nich udając Niemca oświadczył po niemiecku, że są przysłani celem zrobienia rewizji, bowiem doniesiono władzom, że przechowujemy bron... Kazano nam wstąpić i usiąść na fotelach stojących w rogu pokoju i po chwili wprowadzono rzadce, który właśnie zjawił się z praktykantem po dyspozycję a dzień następny, a także formala, którego tego dnia wysłali do Konina z kilkoma workami zboża, aby zdobyć trochę grosza - pieniądze oddał nam jeszcze zanim siedliśmy do kolacji, a sam zatrzymał się na pogawedkę w kuchni, gdzie wraz z poprzednio wymienionymi owi „Niemcy” przyprowadzili i kazali usiąść obok nas. Dzieci słysząc ruch pobudziły się i zaczęły krzakać, co usłyszawszy jeden z drabów pozwolił dziewczynie przynieść je do nas. Wszystko działo się w półmroku, tak, że ledwo można było przyjrzeć się twarzom przybyłych. Jeden z nich zapowiedział, że jeśli ktokolwiek z nas się ruszy, to będzie strzelac. Mnie sami, trzymając latarki elektryczne w rekach, kazali wstąpić iść przed sobą i otwierać wszystkie szafy. W sypialni pokoju stała szafa, w której schowałam wręczono mi przez formala pieniądze, gdy je zobaczyli natychmiast zgarnęli i schowali do kieszeni jak również ukryte tam kilka tabliczek czekolady, które chowałam „na czarna godzinę”. Dzieci po tym długo wymawiały mi, że nie pozwoliłam zjeść owej czekolady, a tymczasem uraczyli się nią bandyci¹⁴³, jak również i orzechami, które tam na kłoszu leżały. Widząc ich poczynania zorientowałam się, kim są nasi napastnicy, że to nie zadni Niemcy, ale zwykli złodzieje, a może nawet bandyci, których powypuszczano w pierwszych dniach wojny z więzień, grasowali po całej okolicy, w przebraniu żołnierzy niemieckich, udając wysłanników nowej władzy. Ponieważ nie znaleźli nic, co by się przydać mogło w sposób brutalny wyprowadzili meza do sąsiedniego pokoju, grożąc, że jeżeli nie odda posiadanych pieniędzy, to oni znajdą na niego sposób, zabawiwszy się przed tym po swoim ze mną. Gdy maz zaczął ich przekonywać, że oprócz tej trochę gotówki, która mu za dziś sprzedane w Koninie zboże przywieziono nie ma ani grosza więcej, puszczili go, aby mnie wezwać do przyścia tam, gdzie wszyscy trzej siedzieli i grożąc pobiciem meza chcieli wymusić zeznanie, gdzie przechowujemy pieniądze. Wreszcie widząc, że rzeczywiście chyba pieniędzy nie mamy, zapowiedzieli wszystkim, że nikomu z pokoju ruszyć się nie wolno, zamknawszy drzwi zniknęli. Po dłuższej ciszy maz zdecydował się wyjść z pokoju, aby się przekonać, co porabiają mili goście. Okazało się, że nikogo już nie było, natomiast mijając ubierał się i zabrali wszystkie przybory do golenia i zapas mydła, rzecz wówczas bezcenna a także zajrzeli do kosza z wyprasowaną bielizną, z którego skradli jedynie białą bieliznę, co prawda po ubiegłorocznej kradzieży nie było jej wiele, to też bielizna mój maz został znów jak przed pół rokiem w tym tylko, co miał na sobie. Na szczęście nie wypatrzyli kozuchów, które ocalały.

Po namyśle maz postanowił udać się na posterunek wojsk wywiadowczych i złożyć meldunek o tym, co się stało i że bandyci byli w mundurach wojskowych, podszywając się pod żołnierzy niemieckich. Tymczasem okazało się, że władze zaczęły przejmować placówki cywilne, które wkrótce wezwały meza, aby się stawił dla raportowania bandyty. Maz zeznał¹⁴⁴.

¹³⁹ Można tu zauważyć typowe dla moich Rodziców bagatelizowanie własnych strat. Po wojnie Ojciec wyrażał się, że w czasie wojny nic się nam właściwie nie stało, bo nikt z najbliższej rodziny nie został zabity. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴⁰ Oczywiście „lud”, od 1000 lat, wychowany w katolicyzmie, w pierwszej chwili rzuca się do jakiegokolwiek, nawet najbezsensowniejszego rabunku, żeby tylko go ktoś inny go w tym nie ubiegł. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴¹ Należy tu skorygować legendę, w myśl której niemiecka armia była w całości zmotoryzowana i wyposażona w czołgi, a Polacy dysponowali jedynie piechotą i kawalerią. Niemcy przez cały okres wojny używali w szeregu jednostek (i to słabej kondycji), jako siły pociągowej, oraz mieli szereg liniowych oddziałów kawalerii. Dywizje pancerne i zmotoryzowane służyły (szczególnie w początkowym okresie wojny), jako jednostki ofensywne do przelamywania frontu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴² Karabiny były prawdopodobnie atrapami z drewna. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴³ Jedyna pocięcha, że byli to przedstawiciele wyłączonej przez ziemian i burżuazję przedstawiciele polskiego proletariatu, który wreszcie „brał swoje”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴⁴ Dziwi się, że Ojciec po 1945 r. nie został oskarżony o donosy do władz niemieckich na polskich obywateli. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

ze owego wieczoru było z braku nafty ciemno w pokoju i nie widział jego twarzy, tym bardziej, że wszyscy trzej mieli czapki nasunięte na oczy, ale prosi, aby sprawdzono, czy na k... zuli, która złodziej ma na sobie jest znak firmy, w której zawsze kupował w Warszawie bieliznę¹⁴⁵. Okazało się, że istotnie tak było, przy tym przyjrawszy się z bliska poznał w nim złodzieja, który przed kilku laty wykradł z wozowni nową parę półszorków i został na tej kradzieży przyłapany.

Tymczasem zaczęły krążyć wieści, że Niemcy zaczynają przejmować majątki na rzecz skarbu rządu berlińskiego i że takie operacje miały już miejsce w kilku sąsiednich majątkach. Z d... na dzień czekaliśmy na naszą kolej aż dnia 3 listopada zajechał przed dom piękna para koni i eleganckim ekwipażem ukradzionym w sąsiedztwie opasy Niemiec ubrany w dachę naszego bliskiego sąsiada Lisewskiego¹⁴⁶. wszedł do pokoju, gdzie właśnie wstaliśmy od obiadu, ...łożył na stole grubą nahajkę i oświadczył:

Majątek pański przechodzi na własność skarbu państwa niemieckiego, pan przestał być jego właścicielem - na razie zostanie pan tutaj i będzie gospodarował pod moją kontrolą, jako rzadca. „W najbliższych dniach zostanie pan powiadomiony, jaka otrzyma pan ordynarie”, na co mąż: „czy dostane jakieś wynagrodzenie pieniężne, gdyż przez kilkunastu dniami zostałem doszczętnie ograbiony z garderoby, tak, że nawet nie mam butów na zmianę a przecież zima za pasem”. Mruknał: „zobaczymy - pomyśl o tym”, i odjechał. Odtąd żyliśmy w ciągłym strachu nie wiedząc, co dzień następny przyniesie - od czasu do czasu wpadał ów Treuhänder, niezbyt jednak często. Tu trzeba przyznać, że oni potrafili docenić tego, kto dobrze gospodarował, czego dowodem było, że nam w małym Paniewie w porównaniu z dużymi majątkami w sąsiedztwie przyznano czterokrotnie większy deputat masła niż tamtym, motywując to tym, że widząc, iż tu gospodarstwo jest dobrze prowadzone, wobec tego i deputat może być większy. Prócz tych wszystkich trosk i kłopotów mieliśmy poważne zmartwienie, gdyż dwuletnia wówczas Anusia poważnie zachorowała i leżała rozgorączkowana tak bardzo, że kiedy my prosząc o posłanie koni do Slesina po naszego nieocenionego wprowadzili go do pokoju, gdzie dziecko leżało; widząc, w jakim jest stanie, łaskawie zgodził się na naszą prośbę. Pewnego dnia zjawił się młody człowiek syn Niemca gospodarza w sąsiedniej wsi, oczywiście Volksdeutsch i oświadczył, że został tu skierowany na nauczanie się rachunkowości rolniczej, jako że Treuhänder wie, że mój mąż robi to bardzo dobrze, wobec czego zamieszka u nas na czas dłuższy.



151.

Praktykant, p. Kostrzewa, któremu rodzina Karnkowskich zawdzięcza wiele. Po wysiedleniu z Paniewa p. Kostrzewa dostał się do Berlina skąd przysłał nam „na wysiedlenie” jeden, lub kilka listów i tą fotografię. Potem kontakt się urwał. Podejrzewamy, że albo zginął w czasie jednego z nalotów, lub został zamordowany przez Niemców.

¹⁴⁵ W czasie rewizji u tego, względnie u innych bandytów znaleziono wiele ukradzionych rzeczy, jednak większość z nich była uszkodzona, tak, aby nie wzbudzać podejrzeń, że w rzeczywistości są własnością innych „zamożniejszych osób”. Np. skórzana kurtka Matki, z której była niesłychanie dumna, była porysowana i miał celowo zrobione dziury na lokciach. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Kompromitującym jest fakt, że Polska Policja Państwowa, w okresie międzywojennym, nie wykryła sprawców ani jednej kradzieży w Paniewie. Natomiast Niemcy, na obcym terenie wykryli ją w przeciągu paru dni. Podobnie Policja Polska nie potrafiła znaleźć złodziei, którzy okradli nas kilkakrotnie „na wysiedleniu”, a także MO nie mogła wykryć sprawców kompletnego okradzenia mnie w Poznaniu, w 1954 r., kiedy to ukradziono mi nawet świadectwo maturalne. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 2011-12-26).

¹⁴⁶ P. Stanisław Lisewski właściciel pobliskiego majątku Popielewo, wysiedlony razem z nami do GG, nasz opiekun i wielokrotny dobroczyńca. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Tymczasem zaczęto przebakiwać, że Niemcy zamierzają w bliższym czasie wywieźć wszystkich właścicieli ziemskich. Ogromnie przeszkadzało nam to, że nie mówili po niemiecku - gdyby było inaczej może daloby się coś z nich zawczasu wyciągnąć tak, aby jakos przygotować się na to co nas czeka. Wysłaliśmy list do Ojca z prośbą, aby zechciał przyjechać do nas na kilka dni, celem ułatwienia porozumienia się z Niemcami i dyskretnego wybadania ich zamiarów. Ojciec nie dał długo na siebie czekać i po kilku dniach przyjechał. Choć nikt właściwie nie wiedział nic konkretnego, jednak niepokój wisiał w powietrzu. W międzyczasie jeden ze znajomych meza, mający dzięki znajomości niemieckiego ułatwiony z nimi kontakt, szepnął meżowi, że prawdopodobnie wywóz nastąpi w najbliższych dniach.



152.

Wielekroć wspomniana odznaczająca się kryształową uczciwością rodzina pp. Kowalskich z Czartowa. Stoją: zięć, córka Izabella, syn Leopold (o ile się nie myli nie powrócił z robót w Niemczech). Siedzą p. Kowalska, wnuczka i p. Kowalski.



153.

P. Kowalska z młodszym synem Romanem.

Zaczeliśmy w sekrecie usuwać, co wartościowsze rzeczy domu, wynosił je po nocy (praktykant, K.K.) do mieszkających w sąsiedniej wsi Czartowie Kowalskich¹⁴⁷, ludzi niesłychanie uczciwych i nam życzliwych, - cała rodzina pracowała stale w naszym ogrodzie. Największym niepokojem przejmowała nas Anusia, (BKD 55), która jeszcze ciągle poważnie chorowała. Baliliśmy się, że gdyby wywieziono nas za druty dziecko tego nie wytrzyma, to też powinniśmy ją zostawić „na przechowaniu” u niani¹⁴⁸, która w międzyczasie wyszła za mąż za naszego ogrodnika i zamieszkała w Skulsku. Przewieziliśmy tam oczywiście w największym sekrecie łóżeczko dziecka, jej bieliznę i zapas żywności, - przecież nikt nie wątpił, że wojna skończy się wkrótce a wtedy dziecko odzyskamy. - Ponieważ wojnę został wyznaczony nasz dalszy sąsiad Niemiec, ale wydawało się, że porządny człowiek zresztą doskonały gospodarz, był członkiem Kola Ziemiaków, sadziliśmy, więc, że w tak trudnej sytuacji okaże nam pewną życzliwość, choćby ujawniając termin mającego nastąpić wysiedlenia. Ponieważ mąż nie mógł ani na chwilę oddać się z domu - zadano, aby bez względu na pogodę ludzie codziennie - także w święta i niedziele pracowali; (właśnie w przeddzień nasz Treuhänder zrobił meżowi wściekłą awanturę,

¹⁴⁷ Pan Józef Kowalski malorolny chłop, jeden z wiernych, który ochronił honor „uczciwości chłopca polskiego”, nawet wtedy, kiedy sam miał bardzo mało. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁴⁸ Pani Jadzia, ze Zrąbkowskich, Radziszewska. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

ze nie zastał go wraz z robotnikami przy pracy, a gdy powiedział, że wszystkie prace już zostały wykonane, to tamten z wściekłością zawołał: to niech kopią rowy i potem je zasypują, ale mają pracować codziennie¹⁴⁹. Wybraliśmy się z Ojcem najpierw do kościoła, bo chciałam, aby Ojciec mógł się wyświadczyć, bo przecież nikt nie wiedział, co go czeka, a potem poszliśmy do owego wójta. Mimo naszych „politycznych” usiłowań, niczego nie tylko konkretnego, ale choćby naprowadzającego na właściwy temat nie można było od niego wyciągnąć. Zapomniałam napisać, że wkrótce po przyjeździe Ojca zjawił się pieszo stangret. Coś niesłychanego, że stangret, który przecież pieszo prawie nie chodzi, Ignac a to przecież było 35 km, z hłobową wiadomością, że Januszowie, (BKD 500 i 501), wraz z Wujem Kaziem, (BKD 48) Damskim zostali wywiezieni, narazie do Kola i że ten sam los spotka chyba wszystkich ziemian z powiatu kolskiego. Dodał przy tym, że wszystkie szafy zostały opieczętowane i że Marcin strapiiony, iż Ojciec wyjechał bez zapasu garderoby, narazając się odwrotnie nowym władzom odlepił po kryjomu pieczęć i dostał się do szafy ojca, ale jedynie udało mu się wyciągnąć stamtąd tuzurek, który korzystając ze sposobności przez niego wysłał. Po kilku latach uszyłam Annie z niego suknie, która bardzo długo jej służyła; dawniejsze materiały były przecież niezdarte. Januszów wywieźli w chwili, kiedy wysiadali wraz z wujem z bryczki, byli na nabożeństwie żalobnym za naszą siostrę owska, (BKD 498), której rocznica właśnie wypadła 8 grudnia.

Tyle tylko, że Janusz, (BKD 500) zakłamał Ignaca, żeby za wszelką cenę poszedł do Paniewa, aby uprzedzić Ojca, że do domu nie może wrócić. Wiadomość ta potwierdziła nasze bawy - chodziło tylko o dowiedzenie się, kiedy może nastąpić nasza kolej. Zaczęłam też dyskretnie zbierać rzeczy, które trzeba by koniecznie zabrać - trzeba to było robić bardzo dyskretnie, gdyż młody Volksdeutsch, którym nas Treuhänder obdarzył, ciągle zaglądał przez okna a nawet raz przyłapał mnie na podsłuchiwanie pod drzwiami. Młodzieniec ów miał jakoby nauczyć się od meza, który miał opinię nie tylko dobrego gospodarza, ale i człowieka znakomicie prowadzącego rachunkowość gospodarczą, - ale i w istocie rzeczy chodziło o to, aby mieć na miejscu szpiega, to też tylko nocami nasz acny praktykant wnosił, co się dało do Czartowa. Kazałam też przeprać białiznę dziecięcą i odebrałam „wymiar” masła. Czekaliśmy z godziny na godzinę, przygotowując się - jeśli może w ogóle być mowa o czymś takim jak przygotowanie na narosze.

¹⁴⁹ Znal on z pewnością powiedzenie Katona: „Niewolnik, jeśli nie śpi powinien pracować i nie zależy wcale na tym, czy jego praca jest potrzebna czy też nie - niewolnik ma po prostu pracować, ponieważ praca jest natury rzeczy dobra - przynajmniej, jeśli chodzi o niewolników”. „Ein Sklave sollte arbeiten wenn er nicht schläft. Es käme nicht darauf an, ob seine Arbeit gebraucht würde oder nicht. er habe einfach zu arbeiten, denn Arbeit sei a priori gut - zumindest für die Sklaven.” Marcus Porcius Cato. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

4. W Y S I E D L E N I E

Był to poniedziałek 11-go grudnia. - Wieczorem cos między 9⁰⁰ a 10⁰⁰ siedzieliśmy to znaczy Ojciec i ja na kanapie w sypialnym, gdzie Tot, zmęczony całodziennym stanem nad ludźmi kopiącymi owe nikomu niepotrzebne rowy, położył się, aby nabrać sił na dzień następny. Ja czytałam „Kryszaków” uważając, że taka lektura jest w tej chwili najbardziej **á** propos, gdy nagle usłyszałam pod oknem stukot ciężkich wojskowych butów, zerwałam się ze słowami: „a słowo stało się ciałem” wybiegłam na mały korytarzyk, gdzie już zastałam wchodzących owego Niemca, który przed chwilą przechodził pod naszym oknem w towarzystwie owego młokosa - szpiega. Żołnierz krótko oświadczył, że ma rozkaz natychmiastowego odwiezienia nas do Skulska i że mamy pół godziny czasu na zebranie się i zapakowanie - żywność należy zabrać ze sobą na 5 dni. Nic na to nie powiedziałam, bo primo nie umiem mówić po niemiecku - ale za to całe moje wzburzenie wylałam na głowę szpiega - zareczam, że nie przebieierałam w słowach. Słuchał bez słowa.

Zaczęło się gorączkowe budzenie od dawna już śpiących dzieci - pamiętam jak Kazio (BKD 54), z trudem wyciągnięty z łóżka, jednym susem znalazł się znowu pod kolderką. Gdybym sama chciała zająć się dziećmi nie zostałoby mi wiele czasu na wszystko, co trzeba było zrobić. Tot ubierał się przepominając, żeby pamiętać zabrać herbatę, musiałam przecież pomóc Ojcu w ubieraniu, kazałam przynieść ze strychu jeszcze mokra bielizna - zawinięta w wezelek, suszyłam w wagonie, którym nas wieziono. Najgorszy był problem z Anna (BKD 55), stanęliśmy wokół łóżka, w którym dziecko spało, ja zaczęłam wydawać ostatecznie polecenie Niani, która miała ją do siebie zabrać, gdy w tym obecny przy tym Niemiec¹⁵⁰ powiedział spojrzawszy na obraz z Matką Boską wiszący nad łóżkiem: „Jestem Austriakiem i katolikiem rozumiem Was, bosmy nie tak dawno przeżywali to samo, co wy teraz - uczciwie Wam radzę zabierzcie dziecko - nie wiadomo, kiedy wojna się skończy - najważniejsze żebyście byli wszyscy razem”. Staral się mówić wyraźnie tak, że go rozumiałam. Po krótkiej chwili wahania zdecydowaliśmy się dziecko zabrać, co widząc ów Austriak powiedział: „Ze względu na chore dziecko, pozwalam wziąć posciel”, tego nie potrzebował powtarzać, zgameliliśmy całą posciel leżącą na naszym złączonych 2 łóżkach w wielki tłumok; jeszcze dziś używam moja wypróżniona poduszka a koldry służyły mojej córce. Każdemu wygnancowi wolno było mieć jeden pakunek. Z niebyszałym pospiechem załadowałam 3 walizki, posciel była w czwartym i koszyk z przeżośmiewem zawczasu upieczonym chlebem, masłem i herbata był piątym dozwolonym bagażem. Najgorsze było to, że trzeba było robić wszystko w świetle, co chwila gasnących resztek świec przy akompaniamencie płaczu zebranej służby i od groza pamiętania o najpotrzebniejszych rzeczach, bo z chwila kiedy opuszczano jakieś pomieszczenie, nie wolno było wrócić do niego po jakąś zapomnianą rzecz, bo drzwi ów żołnierz natychmiast pieczętował. Całe szczęście, że Ojciec przyjechał w futrze. Kazio (BKD 54) miał ciepły zimowy kubraczek¹⁵¹, Anna (BKD 55) białe futerko a my nieocenione kozuchy, więc byliśmy wszyscy, jako tako zaopatrzeni na nadchodzącą zimową aurę. Maz kazał zaprząć do bryczki, w której usadowił się Ojciec (BKD 51), i ja z dziećmi, sam z tobołami załadował się na lekki wózek - i ruszyliśmy w nieznaną zegnając znakiem krzyża nasz kochany dom i wszystko, co tu zostawiliśmy. Jechaliśmy dość wolno, bo noc była bardzo ciemna, tysiące myśli przelatywało mi przez głowę choćby taka: gdyby nie Ojciec i dzieci to bez trudu zeslizgnęłabym się z bryczki i zniknęła w któryms z mijanych rowów, no a potem na pewno dałabym sobie radę. Ta pokusa nie była mi przez całą drogę. Gdysmy wreszcie znaleźli się przed budynkiem gminy w Skulsku, z przerażeniem zobaczyliśmy przy świetle lamp elektrycznych, którymi stałe oświetlał cały plac przejeżdżający swą rolę u nas młodzi Niemcy mieszkający w sąsiednich wsiach. Cały sznur wszelkiego rodzaju ekwipazy i bryczek, wozów itp., w których siedzieli stłoczeni, przerażeni i zrozpaczeni ludzie kilku rodzin ziemianskich z najbliższej okolicy, kilkanaście rodzin najzamożniejszych gospodarzy, a także kilku najwybitniejszych obywateli Skulska.

W pewnej chwili kazano meżowi udać się do kancelarii gminnej, tam musiał w paru zdaniach pisać wartość Panięwa, listę obciążen bankowych i tym podobne informacje. Była to pusta formalność „dla porządku”, w którym się przecież Niemcy kochają, bowiem zaden z indagowanych ziemian nie był w stanie w takiej sytuacji udzielić sensownych informacji. Ale ponieważ rozkaz był taki, więc go wykonywano. Trwało to dość długo, kazano nam się przesiąść wszystkim na wóz i dołączono jeszcze zone ogrodnika z Lisewa¹⁵² z kilkorgiem drobnych dzieci i wreszcie po uformowaniu długiego weza składającego się z kilkudziesięciu wozów, ruszyliśmy na razie jak się okazało do Kleczewa, gdzie ulokowano nas w szkole. Ja całą drogę trzymałam w ramionach niedająca się utulić chora Anusia, to też, gdy przyszło zsiąść z wozu o mało jej nie upuściłam wchodząc po schodach do owej szkoły. Tot (BKD 53) poral się z pakunkami a Kazio (BKD 54) musiał prowadzić dziadka (BKD 51), ten podział funkcji utrzymywaliśmy przez cały czas naszego exodusu. Oczywiście w tych warunkach nie mogło być mowy o spaniu, przysiadaliśmy, jak kto mógł trochę drzemiac doczekaliśmy do ranka. Znalazły się jakieś litosciwe dusze, które zresztą drząc ze strachu przyniosły trochę mleka dla dzieci, herbatę i chleb. Zaczęłam się rozglądać po twarzach naszych towarzyszy niedoli - zwróciła moja uwaga młoda przystojna kobieta otoczona liczną gromadką drobnej działwy - było tego dziewięcioro a i widocznym było, że dziesiąte jest w drodze. Zaczęłam zbliżywszy się do niej pytać, w jaki sposób
ich
wywieziono.

¹⁵⁰ Postawie tego Austriaka uważaliśmy, biorąc pod uwagę ówczesne czasy za wybitnie humanitarną. Nieraz jeszcze w czasie wojny było nam danym spotykać się z „ludzkimi” odruchami wśród Niemców-Austriaków. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵¹ Który mi potem nasi polscy „współuczestnicy niedoli” ściągali z pleców na jakimś postoju, widząc zaspane wystraszone 6-letnie dziecko, prowadzące niewidomego starca. Mój rachunek z przedstawicielami polskiego społeczeństwa jest długi. (Kazimierz Kar CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵² P. Brejnakowska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Kobieta z placzem opowiedziała, że kiedy kazano im wsiąść na wóz ona chciała, choć jedna poduszka zabrac dla najmniejszego dziecka, to stojący obok Niemiec poduszkę wyrwał jej z ręki tak, że nie ma, na czym ułożyć placzającego dziecka, w ogóle byli z mezem nieprzygotowani na to, co się stało, że zamiast pakować coś najpotrzebniejszego, oboje kompletnie zgłupieli i ona zapchała walizki talerzami i kubkami, a on wziął odświetla uprzęź, tak, że sa w rozpaczliwym położeniu - jedno tylko wiedza na pewno, że to sąsiad Niemiec, chcąc przywłaszczyć sobie ich piękne gospodarstwo, dołączył ich do listy tych, którzy mieli być wywiezieni. Zrozumiałe stało się wyrwanie owej poduszki z rąk zrozpaczonej matki, bo z chwila, gdy siedli na wóz wszystko, co tu było, stawało się jego własnością, wobec czego miał pełne prawo nie pozwalać kobiecie zabrac owej poduszki.

Ponieważ my dzięki owemu pocziwemu Austriakowi mieliśmy kilka poduszek ofiarowałam jej jedną - wzruszona niewiasta przyniosła mi kilka talerzy z swego zapasu, jako rewanż za ową poduszkę. Rankiem załadowano nas na ciężarowe samochody na szczęście z budami - chroniły nas przed padającym coraz większym śniegiem. Między wysiedlonymi były 2 panny Zychlińskie z matką staruszką tak chorą, że poprzedniego dnia był u niej ksiądz, aby udzielić chorej ostatnich Sakramentów; córki błagały Niemca, który ich wysiedlał, żeby nie wywoził prawie, że konającej matki, ale on nie dał się wzruszyć i kazał rozkaz wykonać - wyniesiono chora na przescieradkach, aby na wozie położyć. Tutaj także trzeba było w ten sam sposób załadować staruszkę na ów samochód, a ponieważ córki same nie były w stanie jej unieść, mąż pomagał im. Niepokoiło mnie to ze względu na zalecenie lekarza, aby mąż nie dzwigał niczego, gdyż grozi mu wtedy zawał. To też odetchnęłam, kiedy wreszcie wszyscy zostali załadowani i ruszyliśmy w stronę Słupcy, z czego prosty wniosek, że chcąc nas wywieźć pociągiem, ale gdzie - oto decydujące o naszej przyszłości pytanie; na zachód, to znaczy za druty - jeśli na wschód to do GG, a więc zostalibyśmy na razie w Polsce. Wszyscy myśleliśmy o tym samym, to też chętnie dołączono się do naszej żarliwie modlącej się grupki osób, które jedynie w miłosierdziu Bożym upatrywały ratunek i podtrzymanie na duchu. W Słupcy ulokowano nas w sali budynku straży pożarnej, rozścielono trochę słomy, tak, że można było położyć się i przespać, choć trochę, aby nabrać sił na czekające nas jutro. I tu także zaczęły przynosić trochę jedzenia i mleka dla dzieci. Tymczasem pani Zychlińska czuła się coraz gorzej, więc Niemcy nie chcąc mieć kłopotu z umierającą staruszką¹⁵³ w pociągu pozwolili jednej z córek odwiedzić matkę do domu, gdzie też jak się później dowiedzieliśmy wkrótce przeniosła się do lepszego świata, niż ten, w którym nam przyszło żyć przez cały okres wojny. Wreszcie załadowano nas do wagonów na szczęście trzeciej klasy, więc można było usiąść, a nie leżeć pokotem w wagonie bydłowym, co zniesć musiał niejeden z następnych transportów. Tak się dobrze złożyło, że składowano nas do przedziału z naszymi najbliższymi sąsiadami pp. Lisewskimi z Popielewa. Była jeszcze możliwość ułożenia chorej Anusi na krótkiej ławeczce, gdzie sporządziliśmy jej rodzaj korytka, którego ściany tworzył becik. W wagonie było tak zimno, że para z oddechów skraplała się i następnie zamarała na ścianach owego korytka. Było to wygodne, bo pozwalało dziecku poruszać się w tym prowizorycznym łóżeczku. Nie wszyscy byli tak szczęśliwi - wiele osób siedziało na korytarzu, co niesłychanie utrudniało dostanie się do W.C. tym bardziej, że Ojca musiał tam ktoś prowadzić. Zanim pociąg ruszył weszli zandarmi zadając oddania posiadanej gotówki, nie mieliśmy jej za wiele, to też bez bólu rozstaliśmy się z owymi kilkudziesięciu złotymi, które przy sobie mieliśmy. Zdziwiło nas, że nie rewidowali bagazy, aby obie przywłaszczyć jakieś cenniejsze rzeczy - obawiałam się tego i zabrałam bieliznę i w ogóle rzeczy gorsze, a wszystko, co jeszcze po owych kradzieżach mieliśmy cenniejszego oddaliśmy na przechowanie naszym przyjaciółom w Czartowie. Gdyby się wiedziało jak to będzie, można było wtedy wywieźć sporo wartościowszych rzeczy, jak np. piękna sobolowa etole, za którą mogłam być nawet w czasie wojny otrzymać w GG pokazną sumę, która by pozwoliła nam kupić to, co najpotrzebniejsze. Ale ktoś mógł wiedzieć, jak to wszystko będzie wyglądało. Stał się tak na dworcu w Słupcy kilka godzin w strasznym napięciu, modląc się gorąco o ratunek Boży. Wreszcie pociąg zaczął drgać zamierzaliśmy w oczekiwaniu, w którą stronę ruszymy - wreszcie niewypowiedziana ulga - ruszyliśmy na wschód.

To było w tej chwili najważniejsze - wierzyliśmy, że przy pomocy boskiej jakos wszystko ulży się możliwie. Najważniejsze, że jesteśmy wszyscy razem na razie zdrowi, bo byłam przekonana, że minal już najgorszy okres choroby Anusi i że Bóg wróci wkrótce do zdrowia. Jednak wtedy wyglądała tak źle, że gdy po wojnie wróciliśmy na krótko do Paniewa, opowiadano nam, że ci, którzy widzieli nas wydzających w owo nieznanne, byli pewni, że dziecko zemrze w drodze. Towarzystwo, p. Lisewskiego miało wiele dobrych stron, przede wszystkim, pochodząc z poznanskiego mówił biegle po niemiecku, poza tym był człowiekiem młodym i zaradkiem jego obecność w naszym wagonie była nieoceniona, my rewanżowaliśmy się dzieląc się z nimi naszymi skromnymi zapasami żywności - bo oni byli tak zaskoczeni¹⁵⁴, gdy ich wysiedlano, że niczego nie zabrali. Na szczęście miałam zapas herbaty - gorzej było ze zdobyciem gorącej wody, wreszcie obaj nasi panowie zdecydowali się skorzystać z najbliższego postoju pociągu, który zresztą włókł się niemilosiernie dość często nie wiadomo, z jakiej przyczyny stając w polu na długie godziny, spróbować zdobycia, choć trochę gorącej wody od obsługi kolejowej, jednak straż kolejowa nie zgodziła się na zadość uczynienie ich prośbie, choć motywowali ją ciężkim stanem zdrowia dziecka. Wreszcie po 3 dobach stanęliśmy na dworcu w Krakowie, gdzie kazano nam wysiąść dla otrzymania gorącego posiłku. Urządowani każdy z jakimś czynieniem na owa obiecana strawa, udaliśmy się na wskazane miejsce, gdzie na wysokim pomostie, stała gruba Niemka; wielka warzachwia czerpała z ogromnego kotła jakas żupę i z

¹⁵³ Bolszewicy nie patyczkowali się tak jak hitlerowcy. Zmienie w czasie transportu osoby po prostu wyrzucano na postojach na pobocza torów. Ale ZSRR miał najbardziej humanitarną konstytucję, a Wielka Brytania i USA były z nimi sprzymierzone. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵⁴ P. Izabella Lisewska była przy tym żeby wyrazić delikatnie, przysłówowo „niepraktyczna” i wszystko spychała na meza. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

wysokosci chyba 3 metrów chlustala ja do podstawianych naczyn.

Ponieważ mieliśmy tylko płaskie talerze, więc zupa rozyskiwała się całkowicie pobrudziwszy owe talerze, to też w rezultacie nie mogliśmy skorzystać z owego posiłku, natomiast było dużo kłopotu z choćby oplukaniem owych jak się okazało zupełnie nieprzydatnych talerzy. Po kilku godzinach postoju w Krakowie, pociąg ruszył tym razem na wschód - my w dalszym ciągu, nie wiedzieliśmy, dokąd nas dowiezie. P. Lisewski, mimo iż doskonale mówił po niemiecku, choć kilkakrotnie próbował dowiedzieć się coś na ten temat, nic nie wskórał. Gubiliśmy się w domysłach, gdy wtem pociąg stanął i rozległ się wśród wagonów krzyk: „aussteigen, schnell, schnell”. Zerwalismy się i z największym pośpiechem zaczęliśmy zbierać manatki i wyladowywać się z pociągu stwierdziwszy z niewymowną ulgą, że jesteśmy w Tamowie, a nie jak się obawialiśmy gdzieś daleko na wschód, gdzie by przyszło nam żyć w obcym Polakom ukraińskim otoczeniu. Rozległa się komenda: „Kobiety, dzieci i starzy siadają na furmanki, mężczyźni idą pieszo”. Niewiele się namyslałam chwyciłam Ojca (BKD 51) pod rękę, na drugą wzięłam Anusie (BKD 55), Kaziem (BKD 54) zaopiekowała się pani Lisewska i pobiegliśmy do najbliższego wozu, który nas dowiózł do jakiegoś dużego składu. Ulokowałam moją gromadkę wraz ze stołem naszych tłumoczków na środku jednej z dużych sali, a sama wyruszyłam na poszukiwanie meza. Po drodze o mały włos nie została strącona przez konnego zandarmę, chcącego zagrozić mi dalszą drogę. Jakims prawdziwym cudem zdążyłam uskoczyć w bok przed wzniesionymi w górę kopytami konskimi. Po długich poszukiwaniach odnalazłam meza tak, że znaleźliśmy się znów razem, a to było dla nas najważniejsze.

W czasie mej nieobecności zjawiała się na sali, w której siedział Ojciec (BKD 51), nasza dobra znajoma p. Dmochowska - spędziła w Wiecininie dwukrotnie wakacje, udzielając Olence korepetycji z arytmetyki. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi, a szczególnie bardzo polubiła Ojca. Tego wieczoru dowiedziawszy się, że przybył z poznańskiego transport wysiedlonych, przyszła, aby się przekonać czy między nimi nie znajdzie brata, który mieszkał własnie na terenie województwa poznańskiego. Brata nie znalazła, ale zobaczyła Ojca.

Dowiedziawszy się z krótkiej jego relacji jak wyglądała nasza sytuacja, obiecała poszukać odpowiedniego domu, gdzie moglibyśmy spokojnie doczekać końca wojny. Zapewniała, że na pewno to się jej uda, gdyż przebywając od dłuższego czasu w Tamowie z ramienia R.G.O., zna parę osób, powiedziała, że natychmiast uda się do państwa Jordanów, mieszkających w Wieckowicach pod Wojniczem i całą sprawę z nimi omówi. Prosiła, aby być dobrej myśli i czekać cierpliwie wiadomości, starając się na własną rękę znaleźć dach nad głową. Był to piątek 15 grudnia - podniesieni na duchu widomym znakiem boskiej nad nami opieki, ruszyliśmy całą gromadką, to znaczy Ojciec i my z dziećmi na poszukiwanie noclegu, - byliśmy przy tym bardzo już głodni - zapasy dawno się wyczerpały, posiłek w Krakowie jak już pisałam nie udał się, marzyliśmy, więc o talerzu gorącej zupy i kawalku chleba, no i może najwięcej o możliwości umycia się, bo przecież od poniedziałku nikt z nas nawet rak nie miał gdzie umyć. Gromadka nasza musiała wyglądać dość żalosnie, skoro jakaś pani podeszła do nas pytając, czy to nas przywieziono transportem dziś do Tamowa? Na naszą twierdzącą odpowiedź zaczęła dusza zaprosiła nas do siebie. W jej gościnnym domu mogliśmy się wreszcie umyć, panowie ogolic, no i zjeść obfita kolacja.

Zapewnialiśmy gospodynię, że mamy nadzieję, iż nie będziemy zbyt długo korzystać z jej gościnności, ponieważ spotkana przypadkiem znajoma obiecała znaleźć nam odpowiedni azyl.

Ponieważ było już późno postanowiliśmy przedrzeć się do owej szkoły i dopiero nazajutrz ruszyć na poszukiwanie jakiegoś chwilowego azylu. Na sali spotkaliśmy wielu naszych sąsiadów, których spotkał ten sam, co i nas los, między innymi Januszostwo (BKM 262 i 567) Mittelstaedt z Luszczewa. Janusz (BKM 262) cały czas trzymał w ręku dość dużych rozmiarów wędzoną szynkę. Zapytany, dlaczego tak ostentacyjnie ją demonstruje wyjaśnił szeptem: „Ta szynka ma dla nas wielką wartość, gdyż ukryliśmy w jej wnętrzu brylanty”.
ny”.

5. W I E C K O W I C E

Rzeczywiście nazajutrz, to znaczy w niedzielę koło południa, zobaczyliśmy podjeżdżający powóz - zjawił się stangret i wręczył nam list od pani Jordanowej, zapraszający nas do Wieckowic. Dowiedzieliśmy się potem, że Marychna, aby przyspieszyć sprawę, nie mogąc znaleźć żadnej lokomocji pieszo przeszła owe 35 km dzielące Tamów od Wieckowic. Podziękowawszy naszym gościnnym gospodarzom skwapliwie zajęliśmy miejsca w powozie, nasze manatki znalazły się na specjalnie po nieprzysłanym wozie i ruszyliśmy przez Włocławek do Wieckowic, gdzie danym nam było przeżyć wojnę. Jedyne Ojciec (BKD 51) pozostał tam na zawsze, umarł, bowiem 26. 8.1943 roku. Na razie rozglądaliśmy się ciekawie po nieznanym nam krajobrazie, jadąc z nadzieją, że przecież nie pozostaniemy tu długo - wojna zakończy się przecież musi najdalej za kilka miesięcy. - Z pewnym niepokojem, a nawet ja z wyraźnym biciem serca, wchodziliśmy do dużego hallu rozległego dworu wieckowickiego. - Jak zostaniemy przyjęci? Jacy to w ogóle ludzie są ci nasi dobroczyńcy - jak ułożą się z nimi stosunki? - Zdaje się, że niemniejsze emocje przeżywała rodzina p. Jordanów. To znaczy pani domu, Maria Jordanowa z domu Horodyska, jej dwudziestokilkuletni syn Adam i niepełna dwudziestoletnia córka Maryka. Zauważyłam jak dyskretnie uchylając drzwi z sąsiedniego pokoju ze ścianami wchodząca gromadkę ludzi bezdomnych zdanych na łaskę losu, zagubionych, pozbawionych wszelkich możliwości egzystencji, na tego starszego niewidomego człowieka, wystraszone dzieci i ich niezbyt reprezentacyjnie wyglądających rodziców, wszyscy zmęczeni, zdezorientowani, wymięci, niedomyci i oni także zadawali sobie podobne do naszych pytania? Jacy oni są i czy może być bieda musieli załować, że ulegli prośbom Marychny Dmochowskiej? - Po chwili, gdy nastąpiła prezentacja, zaprowadzili nas młodzi do przeznaczonych pokoi, prosząc abysmy ogarnawszy się cokolwiek zeszli do jadalni, gdzie obiad na nas czeka. Znalazłszy się na gorze odetchnęliśmy z ulgą, pierwszy decydujący moment mieliśmy już za sobą. Gospodarze robia miłe wrażenie, na razie mamy dach nad głową i raczej pewność, że będziemy mogli doczekać tu końca wojny.

Rozejrzawszy się po naszym locum stwierdziliśmy, że jest wystarczająco duże - dla Ojca przeznaczono duży ładny pokój połączony z naszym bardzo dużym, gdzie zupełnie wygodnie mogliśmy się pomieścić, pomysiano nawet o wstawieniu dzieciennego łóżeczka dla Anusi. Podczas obiadu zaczęto nas dyskretnie wypytывать o nasze przeżycia ostatniego tygodnia, nie mogli wprost uwierzyć, że taka rzecz mogła być możliwa¹⁵⁵.

Za kilka dni wypadło Boże Narodzenie - sama myśl o tym, że spędzić je będziemy poza domem, n. a. na łasce obcych nam dotąd ludzi, niepewni jutra nie dawała mi sp. a. - trzeba by przecież wybrać się do jakiegoś miasta, aby kupić cokolwiek dzieciom pod choinkę - ale czy w ogóle choinka będzie? Jakże tu są świąteczne zwyczaje i tradycje, a do tego przecież 23 grudnia jest rocznica śmierci Matki - skądże zdążyć zamówić mszę św. za jej duszę. Wybrałam się najpierw do kościoła, by owa msza święta zamówić, chociaż po świątach, bo teraz już było oczywiście za późno. Zwierzyłam się p. Jordanowej z tego, że bardzo chciałabym dostać się jakos do Tarnowa, aby kupić cokolwiek dla dzieci - okazało się, że w najbliższych dniach wybiera się tam panna Stadnicka, córka właściciela sąsiedniego majątku¹⁵⁶, odległego o niecałe 2 km. Panna Jadwiga hrabianka Stadnicka dowiedziawszy się o naszym pragnieniu bardzo uprzejmie zaproponowała mi wspólną wyprawę do Tarnowa, gdzie kupiłabym jakieś skromne prezenciki i trochę słodczy - niewiele tego było, bo też pieniędzy prawie nie mieliśmy, polykając lzy dzieliłabym się z rodziną Jordanów opłatkiem, a po skromnej wieczerzy wigilijnej udaliśmy się na górę do siebie i tu z największą radością i rozradowaniem zobaczyliśmy piękną, dużą ładnie przybraną choinkę, stojącą na środku pokoju. Za chwilę zjawił się pan Adam, aby zaspiewać z nami kilka koled i pobawić się z dziećmi, do których od pierwszej chwili odnosił się bardzo miło i serdecznie. Choć do kościoła w Wojniczu było niedaleko - chyba półtora kilometra i można było iść pieszo, jednak państwo Jordanowie bardzo uprzejmie zaproponowali miejsce w powozach, którymi jechali na nabożeństwo, skorzystaliśmy z tego chętnie, tym bardziej, że padał deszcz. Przed kościołem z największym zdziwieniem spotkaliśmy naszych sąsiadów i towarzyszy z podróży ze Słupcy do Tarnowa państwa Lisewskich, z którymi straciliśmy kontakt w Tarnowie. Okazało się, że podobnie jak nas zaprosiła ich do siebie p. hr. Stadnicka - zatem i tu mieliśmy być sąsiadami. - Powoli zaczęliśmy się dowiadywać, co się stało z resztą wywiezionych z nami sąsiadów. Najbardziej niepokoił nas los mojej ciotki, zresztą zaledwie o kilka lat ode mnie starszej Niuski (Marii z Leszczyńskich), (BKM 563), Mittelstaedt'owej, którą widzieliśmy po raz ostatni ową tragicznej nocy przed urzędem gminnym w Skulsku wraz z mocno już starszą i schorowaną matką i bratem Kazimierzem, (BKM 1978) Leszczyńskim. Niuska lubiłabym, szczególnie zaś Ojciec bardzo, ale wiedzieliśmy, że jest wyjątkowo niepraktyczna i niezadana, byliśmy, więc pełni obaw, jak sobie poradzi? Na szczęście dowiedzieliśmy się, że znajduje się względnie niedaleko u jakichś gospodarzy - komitet opieki nad wysiedlonymi, lokował gdzie mógł nieszczęsnych wygnanców w. Zaczęliśmy przemyśliwać jakby jej pomóc - wreszcie Ojciec zdobył się na odwagę i prosił p. Jordanowa, żeby zechciała i ją do Wieckowic zaprosić.

¹⁵⁵ Zdziwienie pp. Jordanów było zrozumiałe. Był to pierwszy transport i wtedy jeszcze Polacy nie byli przyzwyczajeni do metod tak hitlerowskich jak i bolszewickich. Potem takie „wysiedlenia” stały się rzeczą normalną i uchodziły za humanitarne, jeśli przy tym nikogo nie zamordowano. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵⁶ Wielka Wies. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Ojciec użył całej swej wymowy przedstawiając sytuację kuzynki, alecając ją przy tym, jako osobę wysokiej kultury, muzykalną i wyjątkowo miłą, dosyć, że potrafił wzruszyć naszą gospodynię tak, że zdecydowała się zaprosić Niuskę do Wieckowic¹⁵⁷ zaznaczając, że wolałaby, aby jej brat ułokował się gdzie indziej. W międzyczasie doszła do nas wiadomość, że matka Niuski tak ciężko zachorowała, że musiano przemieścić ją do szpitala w Tarnowie - gdzie też wkrótce zmarła. Pan Kazimierz (BKM 1978) Leszczyński wraz z jej szwagrem Aleksandrem (BKM 265) (Olesiem) Mittelstaedtem z Galiszewa zostali ułokowani gdzieś indziej - tak, że została sama Niuska plus cała rodzina jej ogrodnika niesłychanie z nią w Lisewie zżytego, wyjątkowo porządny człowiek.

Pp. Jordanowie zdecydowali się na ich także przygarnąć tym bardziej, że Niuska polecała go, jako dobrego ogrodnika, brat (szwagier) był zreputowanym murarzem a siostra pracowita dziewczyna - nie wątpili, że się tego rodzaju ludzie w majątku przydadzą i rzeczywiście dopiero po zakończonej wojnie opuścili Wieckowice, ale już nie wszyscy, bo Niuska pozostała w Wojniczu do końca życia to znaczy do 1975 roku, murarz także wyjechał dopiero po skończeniu pracy przy budowie kościoła w dawnym folwarku pp. Jordanów, a biedna Terka także już nie wróciła stamtąd - zmarła gdzieś przed końcem wojny.

Gdy zapadła decyzja sprowadzenia Niuski do Wieckowic z nadzieją odnalezienia jej w dużej wsi, gdzie wiedzieliśmy, że ma się znajdować p. Adam powierzył Totowi - Ojciec pojechał z nim, aby mu pomóc w przekonaniu Niuski, aby zaproszenie przyjęła - zgodziła się bez większego oporu, bo rzeczywiście warunki, jakich była w biednej i dość zaniedbanej chalupie, gdzie w dodatku brakło opału i było bardzo zimno - zaczynała wdawać się we znaki sroga zima, która zaczęła wszystkim dokuczać.

W bardzo krótkim czasie cała rodzina pp. Jordanów polubiła bardzo nowego gościa, a nawet wkrótce obie panie, tak matka jak i córka, zaprzyjaźniły się z Niuską serdecznie.

Przyjazn ta trwała do końca życia Niuski (BKM 563), która od czasu do czasu odwiedzała je w Krakowie na Podkarpaciu, gdzie cała rodzina po zakończonej wojnie zamieszkała.

Czas upływał - koniec wojny nie tylko się nie zbliżał, ale zaczął się wydawać coraz odleglejszy, trzeba było zacząć myśleć o podjęciu jakiejś pracy, żeby primo nie jeść chleba gościnnych gospodarzy za darmo, no i by móc zarobić, choć trochę pieniędzy na najkonieczniejsze wydatki.

Pani J. wczuwając się w nasze położenie zaproponowała mężowi objęcie posady rzadcy w Wieckowicach, do którego to majątku należały jeszcze dwa niewielkie folwarki - jedno z przyległym dość dużym arealem lasu, którym zresztą zajmował się nie tylko zaufany ale i zaprzyjaźniony z właścicielami bardzo porządny człowiek p.

Maz (BKM 53) zgodził się chętnie na tą propozycję, bo już mu dokuczyla przeciągająca się bezczynność no i poczucie przeciągającego bycia na lasce pp., J., Co do mnie to prosiłam również o obmyślenie jakiegoś zajęcia - obojętnie, jakiej - byle nie siedzieć z założonymi rekoma. Postanowiono, że obejmę pieczę nad mleczarnią, to znaczy będę odbierać trzy razy dziennie udojone mleko, wydawać pracownikom deputat - z pozostałej reszty przypilnować robienie masła - a w porze, gdy dojdzie mleko owcze wyrabiać z niego bryndzę.

Od 1.4.1940 r. zaczęliśmy pracować - otrzymywaliśmy skromną, ale wystarczającą ordynarię, zyski z mleka i trochę gotówki. Marzyliśmy o tym, aby móc dostać osobne mieszkanie i być na własnym gamuszku - czuliśmy się swobodniejsi szczególnie maz - nie musiałby codziennie wysiewiony stawiać się na wspólny obiad, który zresztą najczęściej przeciągał się tak, że już nie zostawało mu chwili na odpoczynek czy choćby krótka drzemka.

Problem znalazł szczęśliwe rozwiązanie, gdyż w międzyczasie zwolnił się stojący blisko parku i podwórza dom nadający się na tzw. rzadówkę. Gdy zaproponowano nam przeniesienie się tam byliśmy uszczęśliwieni, tym bardziej, że dookoła owego domu był dość duży kawał ziemi otoczony żywopłotem - można było urządzić ogród, z którego nie tylko jarzyna, ale i kartofle powinny wystarczyć nam na rok cały. Można było urządzić kurnik, jednym słowem mogliśmy być prawie, że samowystarczalnymi. Do ordynarni dodano nam dwa 100 kg tuc - dwa razy rocznie, jednym słowem było już takie małe gospodarstwo. Powstał problem poszukania jakiejś pomocy, gdyż ja będąc zajęta kilka godzin w mleczarni nie dałabym rady, aby obrobić ów dosyć w rezultacie duży ogród, oprzątnąć svinie i drób, a najważniejsze,

¹⁵⁷ W zasadzie w ogóle nie wspomina się dziś o olbrzymiej ofiarności ziemian w czasie ostatniej wojny. Przez cały ten okres majątki w Generalnym Gubernatorstwie były przepelnione rzeszą różnego rodzaju uciekinierów. Najpierw byli to wsiadłenci z terenów przyłączonych przez Niemców do Rzeszy, osoby „spalone” przez działalność konspiracyjną w mieście, oraz Żydzi, a potem doszli do tego uciekinierzy z Warszawy. Byli to często ludzie zupełnie obcy, a trzeba im było dać co najmniej mieszkanie i jedzenie.

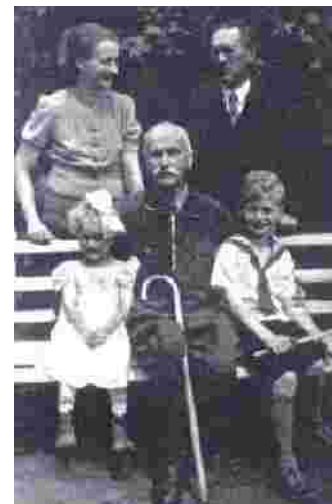
Jakie koszty obciążały przy tym te majątki można sobie wyobrazić. Majatki te były częściowo zniszczone i ograbione w czasie działań wojennych w 1939 r., a właściciele znajdowali się bądź w wojsku, bądź w obozach, a wielu zostało zamordowanych w Katyniu, lub w innych miejscach karni. Majatki te były zmuszane ponadto do płacenia podatków i dostaw dla niemieckiej maszyny wojennej. Majatki były też główną bazą zaopatrzenia AK, oraz wysyłały paczki do oflagów i więzień.

Brzmi to wprost nieprawdopodobnie, że właściciele tych majątków zostali po wojnie: wywłaszczeni, ograbieni przez swych współobywateli i wysiedleni. I nikt się za tymi ludźmi do dnia dzisiejszego nie ujął. Jakiegokolwiek glosy w tym kierunku są tak w Polsce jak i na emigracji tłumione, a prasa artykuły na ten temat po prostu wyrzuca do kosza. Przedstawiciele społeczeństwa w Sejmie i w Senacie do dnia dzisiejszego nie zdołali uchwalić ustaw zapewniających ograbionym zwrot ich gruntów i domów, a państwo kupczy nimi w sposób paserski, sprzedając je osobom trzecim. Nie mówię już o tym, że nikt nie zdobył się na publiczną ocenę zasług tej warstwy obywateli, na podziękowanie i na przeproszenie ich za lata pogardy, poniewierki i poniżenia. Niech im będzie za to wieczna hanba. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

nie tylko narabac drzewa, ale i przepilowywac klocki drewna, które dostawalismy na opal. To jeszcze nie bylo wszystko, trzeba bylo samemu mlec zboze na zarnach, bowiem mlyny byly prawie wszystkie zamkniete i o make trzeba sie bylo starac samemu. Naturalnie dochodzilo do tego pranie¹⁵⁸, gotowanie, pieczenie chleba itp.



154. Przed tzw. „rzadcówka”: Kazio (BKD 54), Matka (BKD 52) i Anusia (BKD 55). Plot stanowił odgraniczenie rejonu pp. Karnkowski Po lewej krzaki „królestwo” Kazia. W tle widac słup wysokiego napięcia łączący elektrownie wodna na Dunajcu w Roznowie z fabryka nawozów sztucznych w Mosicach pod Tarnowem.



155. Od lewego górnego rogu stoja: Matka (BKD 52), Ojciec (BKD 53); siedza: Anusia (BKD 55), Dziadek (BKD 51) i Kazio (BKD 54).

A przeciez trzeba pamietac, ze musialam przeciez Ojcu (BKD 51), choc troche codziennie poczytac, bo co do spacerów to obowiazek codziennego chodzenia z dziadkiem spadal a Kazia (BKD 54) (6 do 10 lat). Oczywiscie nie zawsze sie chcialo chłopcu wedrowac i to niezaleznie od pogody na dwugodziczny spacer, ale ja bylam z tego zadowolona, bo primo wyrabial sobie przez to poczucie obowiazku, a secundo przy tym te wspólne wedrówki przyczynily sie do tego, ze zasób jego wiadomosci z różnych dziedzin stale sie powieksza gdyz Ojciec wykorzystywal te wedrówki na opowiadanie mu interesujacych rzeczy, o których wiekszosc chlopców w ego wieku nie ma pojecia¹⁵⁹. Tak, wiec zaczelam sie rozgladac za jakas dziewczyna, która by mi mogła pomóc w gospodarstwie. Wlasnie dowiedzialam sie od niewiasty zatrudnionej, jako praczka we dworze, niejkiej p. Przeklasiny, zreszta wysiedlonej z Gdyni, gdzie maz pracowal i skad zostal wziety do wojska, a nastepnie znalazl sie w obozie jenców wojennych, ze jej mlodsza siostra Franciszka (Bodziochówna) mieszkajaca z rodzina w pobliskiej wsi (Olszyny k/ Zakliczyna) poszukuje jakiejś pracy, wiec jeslibym chciala to ona bardzo chetnie przyjdzie do nas. Tak sie tez stalo - polubilismy ja wszyscy bardzo, szczególnie Ojciec, który bardzo chetnie pomagaj jej pilowac drewno - mlec ziarno na zamach¹⁶⁰ itp.

Ona tez przywiazala sie bardzo do nas wszystkich i dotarla z nami na miejscu do konca naszego pobytu w Wieckowicach. Po wojnie odszukalismy ja na Wybrzezu, dokad e przeniosla wraz ze swymi siostrami¹⁶¹, a gdy wychodzila za maz bylismy na jej slubie i dotad ilekroć moja córka jest na Wybrzezu, stara sie ja odwiedzic.

Od nowego roku szkolnego Kazio (BKD 54) zaczal uczeszczac do szkoły w Wojniczu, Anusia (BKD 55) bawila sie pod okiem Frani kolo domu najczesciej w towarzystwie obu córeczek Przeklasiny (Stanislawy i Irenki) - dotad utrzymujemy z nimi kontakt listowny. Tu musze wspomniec pewne wydarzenie, a to glównie na uprzytomnienie tym, którzy ewentualnie beda czytac te wspomnienia, ze sa ludzie, którzy potrafia zchowac przez dziesiatki lat pamiec wyswiadczonego im kiedyś dobra.

¹⁵⁸ Pranie odbywalo sie wtedy recznie na tarze, bez elektrycznej pralki (w Wieckowicach nie bylo elektrycznosc), a prasowac trzeba bylo zelazkiem na wegiel drzewny. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁵⁹ Dziadek byl czlowiekiem wykształconym i ocytanym.

– Zanim zaczalem chodzic do szkoły nauczyl mnie bardzo dobrze „rachunków”. Zaczelo sie to tabliczka mnozenia, a nastepnie przerabialismy nastepujace cwiczenie. Dziadek dyktowal mi 10 do 12: 6 do 7-cyfrowych liczb, które musiałem napisac jedna pod druga w slupku. Nastepnie musiałem je wszystkie dodac, kilka liczb odjac, pomnozyc i podzielic. To, co robilem musiałem mówic glosno, a Dziadek kontrolowal w pamieci poprawnosc moich dzialan arytmetycznych.

– Na spacerach opowiadal mi przeczytane w mlodosci ksiazki i te, które mu polem przeczytano glosno. Np. poznalem wtedy wiele ksiazek Karola Maya, oraz Iliade i Odyseje Homera. Opowiadal mi takze cale geografii i historii.

– Czytania i ortograficznego pisania nauczyla mnie Mama, tak jak uczyla dzieci folwarczne przed I Wojna Swiatowa w Wiecininie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁶⁰ Funkcje te, a szczególnie tluczenie kaszy z prosa na stepie z Dziadkiem spadaly czasami na mnie.

¹⁶¹ Jedynie z jedna siostra Rodowa, bo siostra Przeklasina z mezem pozostali w Wieckowicach gdzie uzyskali ziemie z reformy rolnej i zalozyli gospodarstwo rolne. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden 98-05-09).



156. Matka, Kazio i Anusia w Wieckowicach.



157. Anusia i Kazio w Wieckowicach.



158. Kazio i Anusia w Wieckowicach. Kazio, który bawił się w wojnę z lukkami z lanca.



159. Anusia i Kazio w Wieckowicach. Kazio, z fantazyjnym odznaczeniem.

Otóż, gdy zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, pierwsze, które mogliśmy urządzić „u siebie” przyszło nam na myśl, aby zaprosić na wieczerze wigilijna owa Przeklasine z córeczkami, wiedzieliśmy, że sama nie ma absolutnie warunków na urządzenie wigilii u siebie.

Propozycję przyjęła z wdzięcznością i wzruszeniem - co wówczas było jeszcze do pewnego stopnia naturalne, natomiast niecodziennym jest to, że jej starsza córka do dziś, a to już przecież minęło od tamtych Świąt 40 lat - pamięta o tym i bez mała w każdym liście wspomina z wdzięcznością ów wiecz. Tu zaznaczyć muszę, że nie ograniczała się tylko do powtarzania słów wdzięczności, ale ilekroć zwróciłam się do niej za jakąś prośbą zawsze zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby jej zadoszczynić¹⁶². Gdy w kilkanaście lat po wojnie odwiedziłam Wieckowice, zaszłam także i do niej, prawdziwie tak ona jak i jej matka serdecznie ucieszył się widząc mnie po tylu latach.

¹⁶² Chodzi tu między innymi o uzyskanie zeznań świadków, że Matka pracowała na majątku w Wieckowicach, co było jej potrzebne do uzyskania emerytury. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Równa przyjemność zrobiły im odwiedziny mojej córki przed kilku laty, kiedy wybrała się z mężem i dziećmi na grób dziadka w Wojniczu i nie omieszkała odwiedzić Przeklasy i jej córek. Tak, więc życie powoli ułożyło się zupełnie znośnie i raczej spokojnie. Tot, (BKD 53) oddał się z prawdziwą przyjemnością swym obowiązkom i tu muszę powiedzieć, że podziwiałam jego silną wolę. On, który miał już 48 lat i przez całe życie prowadził raczej wygodny tryb życia - nie wstając zbyt wcześnie - teraz, jako płatny rzadca, wstawał bez narzekania o takiej porze, jakiej wymagało w danej chwili gospodarstwo. Poza tym, choć był przecież bardzo dobrym i doświadczonym rolnikiem - zawsze odnosił się do młodego i właściwie słabo orientującego się w sprawach gospodarczych pana Adama z należnym szefowi, podporządkowaniem.

Z pp., Jordanami stosunki układały się jak najmilej, prawie zawsze zapraszani byliśmy na niedzielne obiady, wszelkie uroczystości rodzinne, jak imieniny itp. Szczególnie Pani Jordanowa polubiła Ojca - często zapraszała go na podwieczorkową kawę - wiedziała, że Ojciec był jej spragniony - w domu jej nie było, natomiast P. Adam przez swoje stosunki zawsze matkę i jej preferowanych gości, a do takich Ojca zaliczała, w takową zaopatrywał.

Ojciec (BKD 51) nawiązał także serdeczne stosunki z pp. Lisewskimi, którzy cały czas wojny spędzili w Wielkiej Wsi, gdzie on został zaangażowany już nie tylko, jako rzadca administrator, co było bardzo na reke pani Stadnickiej, gdyż znając niemiecki i mając łatwość nawiązywania kontaktów wywiązywał się bardzo dobrze z swych obowiązków.

Jego żona, która nie mając żadnych obowiązków nudziła się sama, często zapraszała Ojca na podwieczorki, które bywały bardzo atrakcyjne dzięki temu, że p. Stanisław umiał zawsze postarać się o rzeczy na ogół wówczas nieosiągalne - jak rodzynki, czekoladę czy inne składniki - dzięki czemu pani Iza mogła serwować swoim gościom rozmaite wypieki, których nigdzie indziej wówczas się nie spotykało. Prócz cotygodniowych¹⁶³ odwiedzin państwa Lisewskich, Ojciec, w (co drugi) poniedziałek wędrował wraz z Kaziem (BKD 54) w odwiedziny do ks. kanonika Rzepki (proboszcza w Wojniczu), z którym się bardzo zaprzyjaźnił. Kanonik był wyjątkowo zacnym człowiekiem - bardzo współczuł Ojcu, że nie ma zegarka takiego, jakie służy niewidomym. Nie zapomnę wieczoru, gdy siedząc na górze w pokoju czekałam na powrót moich panów zaproszonych na imieniny ks. kanonika, który miał tego samego patrona, co i Ojciec św. Jana Kantego. Otóż słysze jak ktoś wbiega po trzy stopnie po schodach, otwieram drzwi i widzę Ojca tak rozpromienionego jak go dawno nie widziałam wołającego: „patrz, co dostałem, patrz, jaki jestem szczęśliwy” i pokazuje mi duży srebrny zegarek dla niewidomych z dużymi cyframi, pozwalającymi palcami namacać wskazówki i wypukłe cyfry na cyferblacie. Zegarkiem tym cieszył się jak dziecko aż do śmierci. Ojciec był ogromnie towarzyski, przy tym nudził się nie mając żadnego określonego zajęcia - brak mu było konnej jazdy i wielu innych rzeczy, do których był przyzwyczajony - to też starał się nawiązywać stosunki towarzyskie z różnymi osobami, między innymi z dyrektorstwem Szkoły Rolniczej w Wojniczu pp. Ropelewskimi, z bardzo miłą rodziną właściciela apteki w Wojniczu p. Pazdirkiem, bardzo ciekawym i kulturalnym panem itp. Chętnie też załatwiał różnorodne sprawunki w miasteczku, czy na poczcie, jednym słowem wypełniał sobie czas, jak to tylko było możliwe.

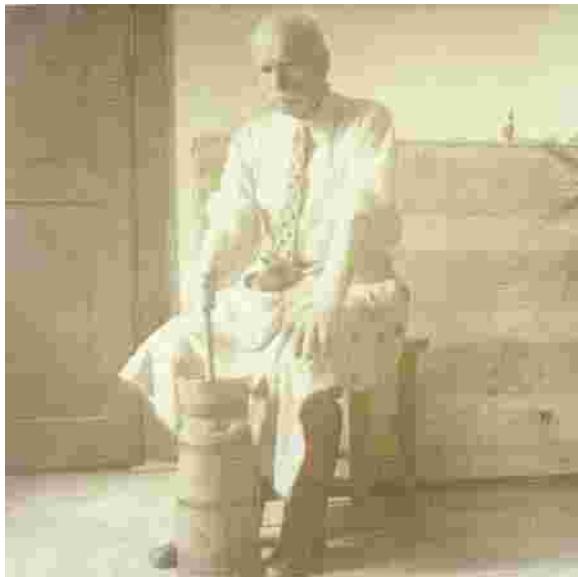
Bardzo też lubił robić masło w drewnianej kierzynce - mam nawet dotąd rysunek zrobiony przez Włodzimierza Bartoszewicza, który kiedyś wybrał się ze swą matką odwiedzić nas w Wojniczu. Kto znał Ojca nie mógł sobie go wyobrazić zajętego tą czynnością, dopiero, gdy zobaczył ów rysunek przekonał się, że tak nieprawdopodobne sytuacje mogą być możliwe. Mijał rok jeden i drugi, a wojna się nie kończyła - przeciwnie coraz groźniejsze chmury zbierały się na widnokręgu politycznym. - Z domu przychodziły od czasu do czasu listy, znano tam nasz adres - między innymi pisywał niekiedy nasz ostatni rzadca¹⁶⁴, którego zatrudniał w dalszym ciągu obecny właściciel Paniewa baron v. Baehr. Mieszkał do czasu wojny w Kurlandii aż do chwili, kiedy bolszewicy zajmując te tereny pozwolili wszystkim Niemcom, opuścić swe posiadłości i wyjechać do Niemiec. Zostali oni osiedleni w tzw. Wart gau, gdzie otrzymali, jako rekompensatę swych rodzinnych majątków, które odebrano dotychczasowym ich właścicielom. Otóż przez dłuższy czas rzadca ów pytał w listach mego meza, czy próbuje zaproponowane baronowi przez niego posunięcia gospodarcze i czy zastosowane przez niego, mój maz uważa za właściwe?

Przez dość długi czas przechowywaliśmy te korespondencje, jako dość niezwykle dowód wiary w trafność rad rolniczych, które by mój maz miał użyczać. Kilka razy otrzymaliśmy listy od Kowalskich z Czartowa, w których pisano, że nowi właściciele a szczególnie pani baronowa są wyjątkowo dobrymi ludźmi - że ona domyślając się, że Kowalscy są w kontakcie prosiła, aby podali jej nasz adres, bo chciałaby nam coś przesłać, domyślając się, że mamy różne braki. Oni jednak bali się ujawnić ten adres, aby czasem nie wynikały z tego jakieś przykrości dla nas czy też dla nich¹⁶⁵. Pewnego razu otrzymaliśmy list, w którym opisali nam następujące zajście. Jak już wspomniałam - to ludzie niezwykle wprost uczciwoci, czego dali dowód, kiedy to wróciwszy do domu w 1945 r. wiosną, odnieśli nam wszystko cokolwiek mieli u siebie na przechowanie, i to, w jakim stanie! Moja piękna etola sobolowa i takąż duża mufka były w takim stanie, jak gdybym była je oddała na przechowanie u Chowanczaka (jeden z najlepszych sklepów futrzanych w stolicy).

¹⁶³ W każdy czwartek. Były to też czasem obiady. Pamiętam dokładnie, bo wtedy zjadłem po raz pierwszy w swym życiu świadomie, kolację wieprzową i przez wiele lat byłem przekonany, że jest to najlepsza rzecz na świecie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁶⁴ P. Teodor Dybala. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁶⁵ Otrzymałam też jeden lub dwa razy list z Niemiec (z Berlina) od „praktykanta” p. Kostrzewy, który tam został wywieziony. Potem korespondencja nagle się urwała. Obawiamy się, że albo zginął, albo został przez Niemców zamordowany. Otrzymałam także raz lub dwa listy od p. Gertrudy Saage z Nowego Tomysła, mojej przedwojennej nauczycielki języka niemieckiego, nawet z jej fotografią. Później korespondencja z niewiadomych dla nas przyczyn także się urwała. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



160. Dziadek Bartoszewicz nigdy nie obawiał się żadnej pracy i zawsze starał się być użytecznym. Na fotografii przy robieniu masła w masielnicy.



161. Na śniadanie był chleb z mlekiem. Anusia jak widac „wydobrzała” po chorobie, która ją trapiła przed wysiedleniem.

W podobnym stanie oddała posciel, bieliznę - srebro itd. A wszystko przecież przechowywała w workach w piwnicy pod polepą w mieszkaniu, bo nawet podłóg nie mieli. Otóż donosiła nam, że pewnego dnia kiedy postanowiła, jak to od czasu do czasu robiła, wynieść nasze rzeczy, aby je rozłożyć na słońcu, w miejscu osłoniętym wysokim o tej porze zbożem. Właśnie wszystkie worki były już wyniesione z piwnicy i stały w kacie izby, a moje futro (stare skunks które dostałam po śmierci mej siostry), zarzuciła na otwarte w tej chwili drzwi wejściowe, gdy nagle w tychże drzwiach stanęli Niemcy w towarzystwie znanego donosiela, który ich tu widocznie naprowadził i zaszali wydania przechowywanych przez nią rzeczy. - Niewiasta zdążywszy jeszcze narzucić na wiszące moje futro stary płaszcz meżowski, z całym spokojem odpowiedziała, że ona nic nie ma, a jeśli nie wierzą to niech szukają. Stała oparta o drzwi pełne naszych rzeczy - na pytanie, co jest w workach z całym spokojem odpowiedziała, że kartofle przygotowane do selenia. Jakos nie przyszło im na myśl sprawdzić, czy tak jest, jak kobieta powiedziała, zaczęli przetrząsać całe domostwo weszli na strych i do piwnicy - wreszcie wściekli wynieśli się jak niepyszni. Kobieta komentując to niezwykle wydarzenie dała: „Chyba Pan Bóg zamydlił im oczy, że niczego nie znaleźli!”

My z naszej strony odzywaliśmy się do nich bardzo rzadko nie chcąc budzić podejrzeń i nie narazając tych zacnych ludzi na ewentualne konsekwencje za utrzymywanie z nami kontaktu.

Od czasu do czasu przychodziły listy od krewnych, czy przyjaciół, pisywał z rzadka Janusz (BKD 500), który cieszył się, że Ojciec (BKD 51) jest z nami i spędza wojnę raczej w spokojny sposób, że zasadniczo nie brakuje mu niczego - a oni ciągle zmieniali miejsce pobytu, jakos nie mogąc nigdzie na dłużej się urządzić. Dowiedzieliśmy się, że pp. Pestkowscy z Ozorzyna jakos w czasie wywożenia spiknęli się z Wujem Kaziem (BKD 48) Damskim i że znajdują się razem z nim w Gorlicach. Ponieważ żadne z nas nie mogło mu towarzyszyć Ojciec zaczął dowiadywać się, czy czasem nie znalazłby się ktoś potrzebujący jechać do Gorlic, z kim mógłby się zabrać? W ten sam sposób zorganizował sobie wyjazd do Krakowa, gdzie chciał odwiedzić swoją cioteczną siostrę Brzezinę (BKD 481), która bardzo kochała. Tak tu, jak i tam, powitano go z radością i goszczono przez kilka dni - w każdym razie było to dla niego znaczne urozmaicenie w monotonnym ostatecznie trybie naszego ówczesnego życia. Co do mnie to poza Tarnowem, gdzie od czasu do czasu trzeba było wybrać dla kupienia najkonieczniejszych rzeczy, nigdzie latem nie wyjeżdżałam. W niedziele po nabożeństwie chodziliśmy na spacer - okolica była malownicza, ale pamiętam najbardziej nas bardzo wzruszył widok spokojnego jeziora otoczonego wierzbami, których zwisające galezie dotykały wody. Widok ten przypominający nam naszą krainę jezior wydawał nam się chyba piękniejszy niż rzwy spływające z niedalekich wzgórz rzeki, rzeczki i toczące się kamienie - było ich tyle, że wchodzić do wody trzeba było uważać, aby stóp nie pokaleczyć.

Pewnego razu pp. Jordanowie zaproponowali nam wycieczkę do ruin zamku w Melsztynie, byliśmy radzi, że udało się nam poznać dzięki temu kawałek pięknej podgórskiej okolicy i zobaczyć sławny zamek. Pewne urozmaicenie wprowadził w nasze a szczególnie Ojca egzystencję przyjazd, a właściwie zamieszkanie w Wieckowicach bratanka pp. Jordanów p. Franciszka Jordana z Krakowa. Był to niesłychanie miły i dobry człowiek w średnim wieku, pozbawiony w tym czasie możliwości pracy w Krakowie - skorzystał, więc z zaproszenia i przyjechał, na razie była mowa o kilku miesiącach - jednak w rezultacie przeniósł się do Wieckowicach do końca wojny. Zaprzyjrznił się bardzo z Ojcem często do niego zachodził na długie często polityczne pogawędki. Z nami utrzymywał również bardzo przyjazne stosunki. Zasadniczo pomagał p. Adamowi w gospodarowaniu wtedy, kiedy na skutek poważnej choroby musiał zrezygnować ze swych rządzących

obowiązków.



162. Wycieczka do lasu w Rudnej. Od lewej: NN, NN,
Matka, Głec, Anusia, p. Michalska, córka p.
Olszewskiego z Wojnicza.



163. 1 Na drodze powrotnej z wycieczki do
lasu. Od lewej: p. Michalska (?), Matka,
Głec.

Ludność ziemi krakowskiej różniła się pod niejednym względem od kujawskiej, którą znaleźliśmy. Przede wszystkim, dzięki przepisom nauczania obowiązującym każdego z jej mieszkańców w zakresie szkoły elementarnej¹⁶⁶ i to prawie od momentu włączenia tych ziem do państwa austriackiego po rozbiór, nie było tam analfabetów, przynajmniej my nie spotkaliśmy nikogo, kto by nie tylko czytał i pisał poprawnie, ale dysponował szerokim zasięgiem wiadomości z zakresu historii i geografii, toteż wielokrotnie, kiedy zdarzyła mi się sposobność dłuższej pogawędki z najprostszym nawet pracownikiem, zatrudnionym w Wieckowicach, byłam wprost zdumiona widząc jak dużo nie tylko mężczyźni - ale nawet prawie każda niewiasta, niezależnie od wieku wiedziała. Dzięki dość licznyemu punktom Macierzy Szkolnej, ułatwiony był dostęp do książek, to też prawie zawsze widziałam się jak młodsze, tak i starsze kobiety pasące krowy, siedziały w pobliżu z parasolami i książkami w ręku (było tam znacznie więcej opadów niż na Kujawach).

Jeśli chodzi o poziom religijny, to lud tamtejszy był dużo pobożniejszy od naszego, szczególnie, jeśli chodzi o praktyki religijne np. zadziwiał nas duża ilość obecnych w czynie niedzielnego nabożeństwa w kościele, przystępujących do Komunii świętej, a już bezwzględnie obowiązywał zwyczaj przystąpienia do tego sakramentu w dzień świętego patrona.

Wesela bywały nawet w czasie wojny bardzo huczne i wystawne, stawiano na drodze, która młoda para udawała się do kościoła bramy tryumfalne, przez którą państwo młodzi byli przepuszczani dopiero po obdarowaniu każdego oczekującego ich dookoła bramy wielkim kawalkiem placka (tzw. kolacza). Placki owe różniły się także bardzo od tych, które myśmy dotąd znali, mianowicie musiały obowiązkowo być pokryte grubą warstwą utartego z masłem i jajami sera, im więcej owych dodatków ser zawierał tym placek był „bogatszy”. Nie było rzadkością, że owych placków pieczono z 100 kg maki, mimo, że ze zdobyciem takiej ilości było w tym czasie niemalże trudne. Odpowiednią ilość sera, masła i jaj powinni dostarczyć zaproszeni goście było, bowiem niemożliwością, aby dom weselny mógł dysponować ich wystarczającą ilością. W ogóle wiele rzeczy nas tu dziwiło - choćby ogólnie praktykowany zwyczaj, według którego każdy człowiek wypijał dziennie około litra mleka. Pamiętam zdziwienie meza, gdy zauważył, że każdy z robotników przychodzący do pracy miał butelkę w kieszeni. Początkowo przypuszczał, że przynoszą oni wódkę i był zgorznięty ich domniemanym pijanstwem, zdziwił się też ogromnie, gdy się przekonał, że to nie wódka, a mleko - u nas rzecz taka byłaby nie do pomyslenia, ponieważ panowało ogólne przekonanie, że mleko pija tylko małe dzieci i chorzy! - Krowy były tutaj otoczone wielką pieczołowitością - czyszczono je codziennie zgrzeblem i szczotką, tak, że sierść ich była tak, jak sierść dobrze utrzymanego konia. Nawet w dworskich oborach, gdzie przecież krów było dużo, - było nie do pomyslenia, aby mogły wyjść na pastwisko bez uprzedniej dokładnej porannej toalety. - Wracając myśląc do tych spraw przypominam sobie pewną łakę, pastwisko w pobliżu podwórza, wieckowickiego. Od wielu lat pasły się tam krowy i użyły łakę tak, że rosło tam od wczesnego lata do późnej jesieni nieprzebrane mnóstwo pieczarek. Jeśli wybrałam się tam dostatecznie wcześnie zanim nie zjawili się inni amatorzy tych znakomych grzybów, to mogłam w parę minut napelnic nimi okazałych rozmiarów koszyk¹⁶⁷.

Wspominając różnice istniejące między zwyczajami panującymi w tamtej okolicy, a na Kujawach, to muszę wspomnieć znakomite tamtejsze wedliny, szczególnie sławna kielbasa krakowska. Zawdzięczała ona swój smak temu, że nie była wędzona w chłodnym dymie, jak to u nas praktykowano, ale w gorącym i to w beczkach, w których spodziewały się łakę galazki.

¹⁶⁶ Widac z tego, że za niski poziom oświaty „ludu” nie byli odpowiedzialni „obszarnicy” jak to twierdzili komuniści i różne nie, znające realiów wiejskich przemadrzale „pieknoduchy literackie”, ale celowa polityka zaborców, a szczególnie caratu, który mówiąc był przez chłopów uważany za sprzymierzeńca w ich walce przeciw „panom”. Ziemiańskie przeważnie na odwrót, wbrew swym interesom, którymi było zachowanie status quo, wkładali wiele pieniędzy i własnego ryzyka w celu podniesienia poziomu oświaty. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁶⁷ Często i ja byłem wysyłany na zbieranie pieczarek, nawet bez specjalnych sprzeciwów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

6. C H O R O B A M E Z A

Nastąpiło to gdzieś zima 1942 roku. Dnia tego było dość mroźno, toteż mąż ubrał się ciepło i pojechał razem z p. Franciszkiem (Jordanem, kuzynem właścicieli Wieckowic) sankami załatwić jakiś interes. Obaj panowie wstąpili na chwilę do leśniczego (p. Brazdy w folwarku leśnym Grabno), gdzie było bardzo gorąco, ale nie zdjawszy ciepłej burki, która miał na kozuchu, ogromnie się rozgrzał tak, że gdy wyszedł na mroźny mróz nagle zmiana temperatury musiała spowodować gwałtowny wzrost ciśnienia i nastąpił wylew krwi do mózgu. Opowiadał nam p. Franciszek, że ledwo ujął kawałek drogi, mąż bełkocząc oddał mu lejce, a sam upadł nieprzytomny na sanki. Bóg łaskaw, że nie jechał sam, bo byłby upadł w bardzo tej zimy głęboki śnieg - konie by sam wrócił i nikt by nie wiedział gdzie go szukać. Nie zapomnę chwili, kiedy czekając na jego powrót, usłyszałam nagle jakieś głosy i głośne stukanie ciężkich butów, a po chwili w otwartych drzwiach ukazało się kilku chłopów niosących bezwładnego i nieprzytomnego meza. Stan jego przez kilkanaście dni był bardzo ciężki, był nieprzytomny a gdy wreszcie odzyskał mowę, twierdził, że ma wrażenie jakby cały pokój i wszystko wirowało dookoła. Długo nie mógł usiąść o własnych siłach - bardzo powoli zaczął wracać do siebie. Zaczął go leczyć znakomity lekarz z Tamowa (dr Tadeusz Krukar) i to tak skutecznie, że po kilku miesiącach powrócił do normalnego prawie samopoczucia. Doktor jednak radził przeprowadzenie dłuższej kuracji w Szczawnicy.



164.

W dolnym rzędzie, pierwszy z prawej, Teodor Karnkowski (BKD 53), jako nauczyciel w Szkole Rolniczej w Wójniczu. Pierwszy z lewej dyr. Ropelewski, w środku ks. kan. Rzepka.

Aby móc ten projekt zrealizować zwróciliśmy się z prośbą do siostry meza Muszki (BKD 258) Wyganowskiej, o sfinansowanie tego wyjazdu i ewentualne towarzyszenie Totowi (BKD 53) w Szczawnicy (wiedzieliśmy, że w Łowiczu gdzie zamieszkali, nieźle im się powodziło). Wkrótce otrzymaliśmy pomyslną odpowiedź, a wkrótce potem zjawiała się Muszka i zabrala meza do Szczawnicy¹⁶⁸. Kuracja postawiła go na nogi - wyglądał dobrze i twierdził, że czuje się zupełnie normalnie, jednak doktor stanowczo zaprotestował, aby mógł powrócić do pełnienia dawnych obowiązków, gdyż, jeżeli chce uniknąć nowej choroby, która by zresztą skończyła się daleko gorzej niż obecna, to musi się bardzo oszczędzać - unikać wszelkich wysiłków fizycznych - denerwowania się i tym podobnie - jednym słowem żyć na bardzo zwolnionych obrotach.

Nasza sytuacja zaczęła wyglądać bardzo niewesoło. Z czegoż będziemy żyć - jest nas przecież 5 osób - gdzie mieszkać - no i w ogóle, co dalej robić? Pierwszą rzeczą było znalezienie jakiegokolwiek miejsca przy jego stanie zdrowia pracy. - Na szczęście była w Wójniczu wspomniana już przeze mnie szkoła rolnicza - jej dyrektor p. Ropelewski wiedział, że mój mąż jest wytrawnym rolnikiem, to też, gdy dowiedział się jak nasze sprawy wyglądały zaproponował mu posadę wykładowcy w tej szkole. Praca ta jak najbardziej mezowi odpowiadała - zawsze lubił dokształcać członków kółka i w ogóle chętnie się dzielił swymi rolniczymi doświadczeniami.

Do szkoły było niedaleko - a taki poranny spacer był jak najbardziej dla niego waleczny. Państwo Jordanowie staneli na wysokości zadania, pozwalając nam zatrzymać nasze dotychczasowe mieszkanie i nie cofneli także ordynarii z tym, że zamiast dwóch tuczników mieliśmy otrzymywać jednego.

¹⁶⁸ Przypominam sobie na pewno, że był to Łwonicz. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



165. Fotografia Kazia i Anusi z okresu pobytu w Weckowicach.



166. Anusia z Basia Ropelewska.

Byliśmy im niewymownie wdzięczni za takie postawienie rawy i wybawienie nas z bardzo trudnej sytuacji. Wkrótce potem zdarzył się oczywiście nie tak poważny wypadek, - w każdym razie dość kłopotliwy szczególnie dla mnie. Otóż Anusia bawiła się z dziećmi wspomnianej Przeklasi a także z całą gromadą dzieci wiejskich, których ulubioną zabawą było zjeżdżanie na wyslizganych podeszwach noszonych w czasie wojny stałe drewniaków po skarpie głębokiego jaru. Skonczyło się na tym, że pewnego dnia poslizgnęła się tak fatalnie, że złamała nogę. Trzeba było pojechać do chirurga do Tamowa, dla złożenia nogi, a następnie przez szereg tygodni pilnować, aby dziecko nie opuszczało łóżeczka. - Mało tego w kilkanaście miesięcy potem, pewnego dnia przynosiła mi ją z podwórza z gwałtownie krwawiącą poharatana pod kolanem nogą. Okazało się, że gdy bawiła się na środku podwórza zobaczyła nagle pedzace z pastwiska (do wodopoju i do dojenia) stado krów, przerażona zaczęła uciekać i wpadła pod bedacy właśnie w ruchu kierat (przegub kardana) i gdyby nie przytomność pracującej tam niewiasty, która wprost w ostatniej sekundzie wyrwała ją, zostałaby całkowicie wciągnięta i prawdopodobnie zmiażdżona.



167. Anusia bawiąca się koło rzadcówki, w której mieszkaliśmy.



168. Anusia na wycieczce w Rudnej. Po prawej stronie w tle Matka.

Ledwo zdołałam zahamować tryskającą obficie krew z nogi dziecka - trzeba było jak najprędzej jechać znów do Tamowa, aby nogę doprowadzić do należytego opatrunku. Jeśli chodzi o tego rodzaju urozmaicenia o raczej niefortunnym charakterze - to raczej ich nie brakło, - choćby pożar w kuchni nieopatrznie spowodowany przez ranie. Sypiała zwykle w dużym pokoju sąsiadującym z kuchnią, ale w czasie mrozu przenosiła na noc siennik do kuchni, gdzie oczywiście było cieplej. Tego wieczoru wybrała się na pogawedkę do mieszkającej w pobliżu Przeklasi, a chcąc zastąpić po powrocie ciepłą posciel, włożyła pod przescieradło mocno rozgrzaną w piekarniku cegłę. Zasiadła się dłużej u siostry aż poderwał ją krzyk „Pali się”, wybiegła i z przerażeniem zobaczyła buchające z okna oszej kuchni płomienie ognia.

Na szczęście stróż spostrzegł go dość wcześnie tak, że dało się go ugasić zanim dopelził do schodów prowadzących do naszego mieszkania.

W kuchni oczywiście spaliły się ramy okienne, oczywiście i posciel - dziękowaliśmy Bogu, że na tym się skończyło. Woja trwała - miasta coraz bardziej odczuwały braki aprowizacyjne, a też zaczęły się mnożyć różne drobne kradzieże - głównie drobiu itp. My - jedni z pierwszych padliśmy ofiarą złodziei. Wspomniałam poprzednio, że chowaliśmy drób, głównie kury, aby mieć przynajmniej dostateczną ilość jaj, no i świeże mięso, bo prócz uwędzonego wieprzowego mięsa nie było mowy o żadnym innym. Był właśnie okres przed wielkanocny, a więc cieszyłam się, że na święta jaj nie zabraknie, tym bardziej, że tego roku miałam dużo, bo 30 pięknych kur, karmazynów. Kurnik miał wejście po drabinie - jakież było moje przerażenie, gdy wszedłszy pewnego dnia zobaczyłam kurnik pusty, jedyni śladem leżały poukrecane głowy moich 30-tu karmazynów. Złodzieje zabezpieczyli się przed ewentualnym krzykiem przerażonych ofiar. Choć strata była dla nas poważna, nie zgłosiliśmy kradzieży na policję - woleliśmy nie mieć do czynienia z władzami wroga - narazac się na indagację itp. Nie skończyło się na tym. Wkrótce po swiniobiciu, gdy już wedliny mające nam służyć cały rok były pozawieszane w spizarni, gdzie zresztą przetrzymywałam wszystkie zapasy łącznie z bezcennymi ze względu na ogromne trudności w zdobyciu cukru kilka butelek soku malinowego, tak potrzebnego w razie zaziębienia itp. Któregoś dnia wchodząc do owej spizarni, z przerażeniem stwierdziłam, że zniknęły wszystkie szynki - kielbasy, słonina itp. i że dodatkowo jeden z baleronów spadając potłukł kilka butelek soku - zresztą ten baleron był jedynym kawalkiem ocalałych wedlin ze 100 kilogramowego tucznika. Zachodziłoby w głowę, w jaki sposób dokonano tej kradzieży - po dokładnych poszukiwaniach znaleźliśmy porzuconą w sąsiednich krzewach długą tyczkę zakończoną żelaznym mocnym haczykiem - wsuwali ją widocznie przez żelazną kratę w okienku i uchwyciwszy upatrzony obiekt, tą samą drogą wyciągali go na zewnątrz. Choć strata była bolesna, z tych samych względów, które nami kierowały przed kilku miesiącami, kiedy to ukradzione zostały kury, nie zgłosiliśmy Niemcom tego, co się stało. - Dopiero, kiedy w kilka miesięcy później, złodzieje również przy pomocy, podobnej jak tamta, tyczki powyciągali rzeczy z nieodkrytej szafy, w której Frania miała swoją skromną garderobę, większość takiej miary naszej ciepłoty się przebrała - chodziło, bowiem w tym wypadku o krzywdę biednej dziewczyny - nie można zapominać, że w tamtych czasach najskromniejsze szmatki były prawdziwym wyczynem, nie mówiąc o cenach - oczywiście czarnorynkowych. Zaczęły się dochodzenia, z których wynikało, że sprawca kradzieży - kto wie, czy i nie poprzednich, był, nie, kto inny - tylko syn wieckowickiego włodarza¹⁶⁹. Groziło mu wywiezienie na przymusowe roboty w głąb Reichu. W międzyczasie, co kilka dni Frania znajdowała pod oknem kuchni wezłki z ukradzionymi rzeczami wraz z błagalnymi listami prosiącymi o umorzenie sprawy. Mezowi wreszcie załapało się zrobić chłopaka i sprawę wycofał. Od tej chwili kradzieże ustały.

Choć musiałam porządnie się napracować, aby ziemia przeznaczona na nasz ogród dotychczas leżąca odlegiem doprowadzić do właściwego stanu, jednak zawsze praca dawała mi satysfakcję - tym bardziej, że mieliśmy dużo ładnych kwiatów, które wszyscy podziwiali no i nieznana w tych stronach soja, z której po odpowiednim upaleniu robiło się wcale niezła kawa z dodatkiem również u siebie wyhodowanej cykorii. Tam właśnie w Małopolsce nauczyłam się raz na zawsze ufać tradycyjnym ludowym prognozom pogody. Było to pięć lat wcześniej kiedyś mieszkaliśmy w Rządówce. Wiosna tego roku była normalnie wczesna - już cały luty był ciepły, że gdyby nie obawa, że nagle mogą nastąpić przymrozki można już w luty mieć wszystkie wiosenne zasiewy za sobą. Oczywiście ja pragnąc jak najprędzej wykonać wiosenne prace, zabrałam się z zapalem do pracy, tak, że 9 marca wracając wieczorem do domu oznajmiłam z dumą ojcu czekającemu na mnie w furtce przed domem „Niech mi Tatus pogratuluje - wszystko już zasiane - nawet kartofle już posadziłam” - na to Ojciec: „obys się nie cieszyła za wcześnie - zapomniasz, że jutro 10-ty, 40-meczenników”. I rzeczywiście - zaraz nazajutrz ochłodziło się gwałtownie i spadł obfity śnieg. Zima i wilgotna aura trwała prawie, że do końca kwietnia, oczywiście nasiona zgnily w ziemi, kartofle zmarzły - trzeba było siać wszystko siać po raz drugi - a ile było kłopotu z kupnem wiosna nasion! - W każdym razie od tego czasu pilnie wystrzegalam się siania czegośkolwiek przed owym 10-tym marca - od pogody, która ten dzień z sobą przyniosła wnioskuje, jakiej aury należy się w ciągu najbliższych tygodni spodziewać. Jeżeli chodzi o zjawiska atmosferyczne, to różnica między dajmy na to Kujawami, a okolicami leżącymi na południe od linii kolejowej Kraków - Rzeszów w rejonie Bochni - czy Wojnicz, charakteryzowały się między innymi bardzo małą ilością wiatrów, podczas kiedy u nas było ich za dużo. Tutaj modlono się wprost o wiatr, aby zboże stojące w mendlach narazie mogło doschnąć, natomiast od czasu do czasu nawiedzał nas halny - rzecz oczywiście na Kujawach najzupełniej nieznana. Tam też widzieliśmy jedyny raz w życiu bociany w przelocie jesiennym na południe. Było ich tak wiele, przy tym bardzo zmęczonych długim przelotem, że gdy zobaczyły dość dużą lake opuściły się na nią i usiadły na świeżo skoszonej trawie, robiło to wrażenie jakby lake owa była cała przysypana śniegiem. Widok piękny i niezapomniany.

Wspominałam poprzednio o trudnościach aprowizacyjnych - było ich rzeczywiście niemało, największe były ze zdobyciem cukru, dostać go było można jedynie od Niemców - w stosunku 2 kg cukru za dobrze utuczona dwukilowa kaczka, to też głównie z myślą o tej wymianie trzeba było owe kaczki hodować. W ogóle nauczyłam się wówczas o konieczności wielu rzeczy takich, jak osiaganie z buraków słodkiego syropu, który służył następnie do wypieku pierników; robienia mydła - pasty do obuwia i szeregu innych koniecznych w codziennym życiu rzeczy - np.: drożdży; herbatę piłam z naparu na kwiecie lipowym, który dopiero nadawał się do tego celu, kiedy gotował się na wolnym ogniu przez kilka godzin.

¹⁶⁹ Nazwisko włodarza p. Antoni Golab. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



169. Teodor (BKD 53) Karnkowski w Wieckowicach. Rysunek Włodzimierza (BKM 434) Bartoszewicza.

Tak, więc pracy nie brakło, czasu na rozmyślanie zostało niewiele, jedynie Ojciec zajmował się planowaniem życia po wojnie. Wyobrażał sobie, że wszystko wróci do tego, co było przed nią - oczywiście projektował kupienie odpowiednio statecznego wierzchowca, na którym mógłby odwiedzać sąsiadów - najbardziej brakło mu w Wieckowicach właśnie możliwości konnej jazdy, następnie przemyślał nad tym, że trzeba będzie szukać kogoś młodszego na miejsce Marcina, który na pewno będzie za stary, aby nadal pełnić obowiązki służącego i snuł takie i tym podobne plany. - Zasadniczo jednak przewidywał, że jako wyrównanie poniesionych przez nas, którzy zostaliśmy wysiedleni z naszych majątków, otrzymamy od rządu polskiego możliwość eksploatacji posiadłości niemieckich, które przypadną Polsce w ramach odszkodowań wojennych. „Juz my im wtedy pokazemy, na co zasłużyli” odgrzał się Ojciec. Czasami słuchając tych marzeń i projektów starałam się trochę sprowadzić Ojca na ziemię, mówiąc, że przecież czas nigdy nie stoi w miejscu, wszystko stale się zmienia - a co dopiero po takim długotrwałym kataklizmie, jak ten ostatni, którego jesteśmy świadkami i ze

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

na pewno bardzo wiele rzeczy i spraw będzie wyglądało i układalo się zupełnie inaczej niż przed wojna - Ojciec nie dawal się przekonać - raczej utrwalal się w swoich marzeniach.

7. S M I E R C O J C A

W roku 43-cim tak jak zwykle na 15.8. czyli na moje imieniny zaprosiliśmy na obiad kilkanaście osób, z którymi utrzymywaliśmy towarzyskie stosunki - obiad był doskonały, nastrój miły i raczej pogodny - ktos z obecnych podzielił się pokrzepiającymi na duchu wiadomościami politycznymi - Ojciec był w doskonałym humorze - a wieczorem, gdy zostaliśmy sami, a Ojciec wybrał się na wieczorny spacer po nas ogrodzie, wydał mi się jakiś nagle postarzały i przygarbiony.



170. Dziadek Bartoszewicz miał w Weckowicach miłą wizytę, mianowicie przyjechał jego bratanek Włodzimierz (BKM 434), ze swą matką. Na fotografii Dziadek z Marią (BKM 433) z Jelowickich Bartoszewiczową.



171. Kościół w Wojniczu, skąd wyszedł orszak żałobny z trumna Jana (BKD 51) Bartoszewicza.

Pomyślałam, „nic dziwnego - przecież jest już stary”. Nawet mi na myśl nie przyszło, że to ostatni raz widzę spacerującego i że nie minie 2 tygodnie, a będzie już leżał w trumnie. - Nazajutrz całe przedpołudnie piłował z Frania drzewo - Wrócił na obiad zmęczony i jakiś nie swój - nic jeszcze nie chciał mówić, że jakos czuje się nie swój - musi się położyć i przegłodzić. Kiedy nazajutrz nie było żadnej poprawy w samopoczuciu Ojca, przeciwnie czuł się coraz gorzej wezwaliśmy miejscowego lekarza (dr Lowczowski z Wojnicza), a gdy alecone przez niego środki nie pomagały, zdecydowaliśmy się zawieźć Ojca, (BKD 51) do Tarnowa, aby się poradzić owego doskonałego lekarza, który leczył meza. Na nieszczęście doktor właśnie wyjechał, więc z konieczności wizytę trzeba było odwleć do następnego tygodnia, tymczasem Ojciec czuł się coraz gorzej, tracił siły z dnia na dzień tak, że gdy chciał przed wyjazdem do Tarnowa ogolić się - nie miał siły utrzymać brzytwy w ręku i sama musiałam go ogolić - (robiłam to po raz pierwszy w życiu). Gdy nazajutrz jechaliśmy do Tarnowa przejeżdżaliśmy koło cmentarza w Wojniczu, Ojciec (BKD 51) powiedział: „coś mi się zdaje, że mnie tutaj pochowacie”. W Tarnowie doktor mieszkał na piętze - Ojciec nie miał już siły, aby wejść po schodach, musiałam go za pomocą stangreta wprost wciągnąć na owe piętze. - Gdy doktor ojca zobaczył kazał mu się przede wszystkim położyć na kanapkę i zrobił mu zastrzyk, gdy się po nim na chwilę zdrzemnął, doktor powiedział mi, że puls chorego jest słaby, że wprost nie pojmuję, jak mógł nawet przy naszej pomocy wejść na górę i że najprawdopodobniej sprawa jest bardzo poważna. Prosiłam, aby po zbadaniu nie powiedział Ojcu (BKD 51) prawdy, tylko mnie na karteczce napisał, co stwierdził. Zastosował się do mej prośby; Ojcu powiedział, że jest to jakieś poważniejsze niedomaganie przewodu pokarmowego, wobec czego będzie musiał poddać się dość ostremu reżimowi - a mnie na kartce napisał, że Ojciec, (BKD 51) ma ogromny wrzód, który może w każdej chwili pęknąć i że na to nie ma żadnego ratunku, a gdy nalegałam prosić, aby zrobił wszystko, co jest w jego mocy, żeby przedłużyć Ojca życie, choć o kilka miesięcy (ciągle ludziliśmy się nadzieją, że koniec wojny jest już bliski - tak żeby, jeśli ma już umrzeć, to żeby mogło się to stać w domu, a nie tutaj na obczyźnie. Na to doktor radził, żeby dla podtrzymania odżywiać Ojca jak najintensywniej - może pozycje jeszcze jakiś czas, ale on nie ma specjalnych złudzeń, aby można było powstrzymać tak gwałtownie rozwijającego się raka. Nazajutrz, w południe Ojciec stracił na krótko przytomność, czym w najwyższym stopniu zaniepokojona wezwałam księdza, aby Ojciec, (BKD 51) mógł się póki przytomny wypowiedzieć. Na moją propozycję nie chciał się początkowo zgodzić mówiąc: „Karmisz mnie od rana Bóg wie, czym, a teraz chcesz, abym przyjął Komunię”. Ledwo zdołałam go namówić, aby jednak nie odmawiał mej prośbie, dzięki Bogu, że tak się stało, bo już tego wieczora stracił znowu przytomność - nie odzyskał jej ani na chwilę - leżał z zamkniętymi oczami, jedynie oddech świadczył, że jeszcze żyje, aż wreszcie w sobotę 28 sierpnia 1943 r. o godzinie 9-tej wieczorem przestał oddychać. Dla mnie był to ciężki cios - byliśmy rzeczywiście bardzo szczęśliwi i naprawdę zaprzyjaźnieni - byłam zawsze jego ukochanym dzieckiem, przez całe 20 lat, które upłynęły od śmierci matki, tylko przez owe 7 lat po moim ślubie byliśmy rozłączeni, a potem znów, co zgodnie uważaliśmy za wyjątkowy dowód łaski boskiej. Lata wojny spędziłyśmy razem. Przyznam się, że miałam pewien żal do Boga, że nie pozwolił mu doczekać chwili powrotu do domu i możliwości być pochowanym razem z żoną i rodzicami na cmentarzu w Brdowie, ale potem, gdy wojna się skończyła i zaczęliśmy na własnej skórze odczuwać jej konsekwencje, zrozumiałam, że właśnie śmierć tutaj,

choć zdala od wszystkiego, co ukochał, ale jednak wśród zycliwych i dobrych ludzi, z pełną nadzieją, że wszystko, co nastąpi będzie zupełnie podobne do tego, do czego się przyzwyczaił i bez czego nie wyobraził sobie życia, była czymś stokrotnie lepszym od tego wszystkiego, co by go miało spotkać po skończeniu wojny. Wprost nie jestem w stanie wyobrazić go sobie bezdomnego, bez środków do życia, niemogącego nie tylko z powodu wieku, ale przede wszystkim z braku wzroku zarobić choćby na najskromniejsze potrzeby, czującego się ciężarem najbliższym, zupełnie zagubionego w kompletnie niezrozumiałym dla niego owym rodzacym się świecie; to też ilekroć o tym myślałem, nie przestaję Bogu dziękować, że zabrał go właśnie wtedy przed Powstaniem Warszawskim i zburzenie stolicy i wszystkimi tego konsekwencjami, że pozwolił mu odejść właściwie bez cierpienia - szczególnie ciężkich i nieraz długotrwałych związanych z rakiem, zresztą zupełnie nie podejrzewając, że właśnie umiera na tę chorobę.

Zresztą tak wtedy jak i dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego Ojciec (BKD 51) od śmierci Matki (BKD 50) ilekroć poczuł się niezdrowym, zaraz podejrzewał, że to na pewno rak się zaczyna, nawet raz tak mnie tymi podejrzeniami zasugerował, że zawiozłam go do Warszawy do sławnego wówczas dr. Byliny (nota bene przybocznego lekarza Piłsudskiego i krewnego naszych przyjaciół), aby postawił diagnozę - oczywiście była to choroba imaginacyjna; tym razem, gdy istotnie był rak, nawet słówkiem nie napomknął, że to może teraz właśnie jest chory na to, czego tyle razy się obawiał. Z chwilą, kiedy Ojciec (BKD 51) utracił przytomność zatelegrafowaliśmy do Janusza (BKD 500) i Olenki (BKD 503). Janusz już nie zastał Ojca przy życiu - przyjechał oczywiście z pieniędzmi, przygotowany na wydatki związane z pogrzebem, przed tym zamówiliśmy już trumnę za pożyczoną od p. Lisewskiego pieniądze, bo sami oczywiście na taki wydatek nie byliśmy przygotowani.



172.

Jan (BKD 51) Bartoszewicz na katafalku.

Panowie Jordanowie Adam i Franciszek bardzo serdecznie zajęli się wszystkimi przygotowaniami - przede wszystkim zaproponowali pochowanie Ojca w ich rodzinnym grobowcu do czasu, gdy będziemy mogli przewieźć go do Brdowa. Pogrzeb był bardzo uroczysty z udziałem 4 księży, wszystkich tutejszych znajomych i chyba wszystkich Wieckowiczów no i znacznej części mieszkańców Wojnicza. Choć wojna wkrótce się skończyła warunki, w jakich znaleźliśmy się, nie pozwoliły na możliwość przewiezienia trumny z Ojcem do Brdowa. Kiedy ze względów finansowych stało się to możliwe, zaniechaliśmy spełnienia pierwotnego zamiaru - bo pryma kaplica, w której spoczywały trumny rodziny Jordanów, a także Ojca, została przerobiona na ogólną kaplicę cmentarna, a zatem istniejąca gwarancja, że będzie otoczona opieką i nie ulegnie dewastacji jak to się stało z wieloma grobowcami naszych krewnych i przyjaciół i co na pewno groziłoby z czasem i naszemu grobowcowi w Brdowie, więc na pewno trumna ze zwłokami Ojca będzie bezpieczniejsza na cmentarzu w Wojniczu niż gdyby było przewieziona do Brdowa. Poza tym do niedawna mieszkała w Wojniczu Niuska (BKM 563) Mittelstaedt, która od czasu do czasu zanosila kwiatki a teraz po jej śmierci córka Przeklasiny, o której poprzednio pisałam też o tym pamięta. Do niedawna przynajmniej raz do roku dojeżdżał do Brdowa Janusz, (BKD 500), teraz, gdy jest chory będzie to niemożliwe, więc zda się, że nasza decyzja była raczej słuszna.

Koncem zimy 1944 r., kiedy to front zaczął powoli pociągać się na zachód, coraz częściej kwatrowali w naszej okolicy Niemcy, musieliśmy im oddać pokój Ojca, trzeba przyznać, że zachowywali się zupełnie kulturalnie, a ich pracownik zaprzyjaził się nawet z Franą, a nawet z nami - przyzwoity i sympatyczny chłopak z Turynii, który z trudem porozumiewał się z swymi oficerami, pochodzącymi z północnych Niemiec. W związku z tym zdarzały się często zabawne sytuacje. Musieliśmy też oddać im duży pokój na dole, jako salę odcieczową dla stale przetaczającej się fali Polaków uchodźczych z Małopolski Wschodniej, gdzie rozszarpani, na skutek wycofywania się Niemców z tamtych terenów, Ukraińcy dokonywali bestialskich morderstw, a nawet wprost rzezi całych wsi zamieszkałych przez Polaków, lub unitów, których nazywali zdrajcami wiary prawosławnej¹⁷⁰. Część tych nieszczęśliwych zatrzymywała się na dłużej szukając możliwości znalezienia jakiegokolwiek zajęcia, reszta, to znaczy ci, którzy jeszcze nie ochłoneli po tragicznych przeżyciach w swych rodzinnych stronach, szli dalej - byle jak najbardziej oddalić się od swych prześladowców. Między nimi był bardzo sympatyczny ksiądz ze Stanisławowa, Marian Barg, którego zatrzymał u siebie nasz kanonik i z którym niespodziewanie zobaczyłam się w roku 56 w Polanicy. Zdziwiona tym spotkaniem, spytałam skąd się tu znalazł?

Opowiedział mi jak się to stało - przytoczę te historie, jako charakterystyczne dla tamtych czasów. Otóż po zakończeniu wojny ks. Barg pośpieszył na Śląsk, gdzie zaczęło się organizowanie życia parafialnego i po wyjeździe dotychczas pracującego tam kleru niemieckiego, ówczesny biskup wrocławski gwałtownie poszukiwał księży, aby powierzyć im organizowanie życia religijnego na Ziemiach Odzyskanych. Gdy ks. Barg zgłosił się do niego po instrukcje i wskazówki, gdzie ma się udać usłyszał odpowiedź: „Poszukaj sobie księży takiej miejscowości, która będzie ci odpowiadała i zabieraj się do pracy”. Ruszył, więc w nieznaną - aż trafił do Polanicy ciągle niezdecydowany, gdzie miałby się zatrzymać. Gdy pograżony w myślach szedł ulicą nagle zatrzymuje go jakiś człowiek i padając przed nim na środku chodnika na kolana woła: „Bogu najwyższemu dzięki, zem księdza spotkał. Pewno ksiądz nie wie, że udało mi się w ostatniej chwili uratować z naszego kościoła obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, zabrałem go ze sobą i doniosłem aż tutaj - nie wiedząc, co mam z nim zrobić, a teraz gdy spotkałem księdza, to mu go oddaję, bo nie mógłbym znaleźć godniejszego miejsca do przyjęcia naszego cudownego obrazu”. Uważałem to za znak Boży, wskazujący, że Polanica jest tym miejscem, gdzie powinienem zostać i tak się też stało. Ciesze się, że udało mi się, nie tylko mieszkańcom tutaj, ale i licznie przybywającym kuracjom nauczyć nabożeństwa właśnie u Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Nie tylko ludzie uciekali z wschodnich terenów dawnej Rzeczypospolitej. Niemcy wywozili stamtąd wszystko, co się dało, między innymi kilka wspaniałych stadnin, z których słynęły tamtejsze hodowle rasowych koni. Czego oni stamtąd nie usiłowali wywieźć - dzień i noc szły pociągi z często bezcennym łupem.

Też zimą p. Adam ożenił się z panną Mankowską z Kazimierza pod Koninem, a więc nasza dalsza sąsiadka. W Kazimierzu przecież był administratorem szwagier mego meza Witek Górecki (zamordowany przez bolszewików w Katyniu), więc nic dziwnego, że kiedy do Wieckowic przyjechała pani Mankowska, przysłała nas odwiedzić. Była to wyjątkowo zacna i światła ziemianka matka licznej rodziny, która, mimo, że była osobą naprawdę bogatą, wychowywała wyjątkowo skromnie. Oboje, pp. Mankowscy byli wyjątkowo religijnymi ludźmi - manifestowali to na każdym kroku, np. na każdym budynku stojącym na ich gruncie był rodzaj malej grotki z figurą Matki Bożej, to też każdy, kto miał taki dom, widział na czymś znajdującym się na terenie. Z sąsiadami zasadniczo nie utrzymywali żadnych stosunków - tłumaczył to tym, że mając liczną rodzinę nie są w stanie zapraszać jeszcze sąsiadów, ale byłam tam wtedy raz, kiedy p. Mankowska urządziła w swym domu rekolekcje dla członkin Kola Ziemianek. Rekolekcyjny był wtedy młody wówczas ksiądz Wyszyński¹⁷¹ - nasz późniejszy prymas. Zwracał już wówczas uwagę obecnych swym wyjątkowym darem wymowy¹⁷² i rzadką jak u tak młodego człowieka erudycją. Od wielu osób słyszałam opinie: ten ksiądz z pewnością zajdzie daleko - ma wszystkie po temu dane - ja również byłam podobnego zdania - choć oczywiście nikt z nas nie przypuszczał, że aż tak daleko.

¹⁷⁰ Jest to typowe dla katolików „moralne nobilitowanie” unitów, którzy jako „uznający” papieża, ex definitione „nie mogą” zrobić nic złego. Niestety morderstw tych dokonywali najczęściej właśnie unici, bo prawosławnych, na tym terenie było niewiele i cięszkali głównie na Wołyniu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁷¹ Prymas Wyszyński, co jest skwapliwie przemilczane przez Kościół, był wybitnym zwolennikiem i kolaborantem reżimu/ustroju komunistycznego. W swych wydanych w Paryżu, a więc poza zasięgiem cenzury ZAPISKACH WIEZIENNYCH pisze między innymi: „... przebudowę struktury społeczno-gospodarczej uważam za konieczną, na równi z całym mnóstwem ludzi, którzy od dawna walczą w Polsce o «sprawiedliwość społeczną» ... Wiem, że taki jaki był, (ustrój społeczno-gospodarczy) ostatek się nie mógł Ogromna energia sił społecznych już została zużyta na przebudowę ustroju, a w tym trudzie nie brakło wskazań i zachęt Kościoła. ... (Kościół) dokonał wielkiego wyzwolenia sumień, którym zabezpieczył wolność walki o sprawiedliwy ustrój społeczny”. Stefan kardynał Wyszyński Prymas Polski ZAPISKI WIEZIENNE - Editions du dialogue, Paris 1982. Jednym słowem Prymas Polski popierał budowę ustroju komunistycznego w Polsce i w tym celu zawiesił nawet działanie siódmego i dziesiątego przykazania dekalogu. Przypomnijmy, że działo się to w okresie stalinowskim i prymas w dalszych wywodach dziwi się, że jego oferta kolaboracji została przez komunistów odrzucona. Prymas Wyszyński i Kościół katolicki, przez swoje zaangażowanie w budowę ustroju komunistycznego ponoszą odpowiedzialność za wynikłe z tego powodu wieloletnie zacofanie gospodarcze Polski. Kazimierz Kakol, swego czasu kierownik komunistycznego urzędu do spraw kościelnych oświeca w swych wspomnieniach prymasowi Wyszyńskiemu cały rozdział nazywając go „wybitnym meżem stanu” (reżimu komunistycznego). Rejestr zdrady narodowej prymasa Wyszyńskiego jest długi i dobrze przez niego samego udokumentowany, podobnie jak prymasa Glempa. Ich zdrada za miske soczewicy, ziemianstwa, któremu Kościół w Polsce tyle zawdzięczał była obrzydliwa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁷² Swój wymowa przekonał Wyszyński Watykan i całą Polskę że nie był zwolennikiem reżimu komunistycznego, ale go zwalczał. Jednym z, niewiele, który się nie dał nabrac na te plewy, był Stefan Kisielewski, który miał podobno kiedyś powiedzieć „Wyszyński kolaboruje, a potem krzyczy, że jest prześladowany”. Takie kretactwo w Kościele katolickim nazywa się dyplomacją. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Tego roku ożenił się p. Franciszek Jordan ze swą kuzynką¹⁷³. Postanowiono, że odstąpimy im duży pokój na parterze - a kuchnię będziemy mieć wspólną. Nie bardzo mi się to uśmiechało - ale na szczęście stosunki między panią Franciszkową a nami ułożyły się zupełnie poprawnie. Zbliżał się sierpień 44 roku - wkrótce po wybuchu powstania zaczęły i do nas dochodzić wieści coraz to bardziej tragiczne - zaczęli pojawiać się uchodźcy z ginącej tragicznie stolicy - sytuacja stawała się coraz bardziej niepewna.

Kazio (BKD 54) po skończeniu szkoły podstawowej powinien już znaleźć się w gimnazjum - a tu tymczasem nie było można nawet o tym marzyć - front z każdym dniem się zbliżał - życie było coraz bardziej zdeorganizowane. Wkrótce zaczęły docierać wiadomości o organizującym się w Lublinie rządzie polskim o zdecydowanie lewicowym obliczu, głoszącym przeprowadzenie reformy rolnej i zlikwidowanie tzw. obszarników. Pp. Jordanowie zaczęli przemyślać o wynajęciu w Krakowie odpowiedniego mieszkania i dyskretnie zaczęli przewozić tam wartościowsze meble i obrazy, jednym słowem wszystko to, co się da uratować przed zbliżającą się nieuchronnie katastrofą.



173. Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska „Olenka”, siostra autorki.

Gdzieś z koncem listopada zjawiała się u nas moja siostrzenka (BKD 503) Wyganowska, która uciekła¹⁷⁴ z Warszawy. Początkowo mieszkała razem z nami - jednak wkrótce zaprosiła ją do siebie p. Jordanowa, ale stolowała się częściowo w dworze, a częściowo u nas. Ponieważ była wówczas nastolatka bardzo czerwono, dyskusje przybierały często niemiły charakter - zresztą czekała tylko na pierwszą możliwość powrotu do Warszawy, gdzie projektowała włączyć się w życie polityczne organizującej się nowej Polski. My także przemyśleliśmy, w jaki sposób można by nawiązać kontakt z Panią i zorganizować powrót do domu - front przesunął się szybko na zachód i możliwość ta zdawała się z każdym dniem coraz bardziej realna.

¹⁷³ Była to o ile mnie pamięć nie myli p. Jagienka Sadowska. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁷⁴ Po upadku Powstania. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

8. REKONESANS W PANIEWIE

Wreszcie zapadła decyzja, że z koncem lutego pojedzie na zwiady do Paniewa - a ponieważ wiedzieliśmy, jakie wówczas groziły niebezpieczeństwa samotnie podróżującym kobietom postanowiliśmy, że Kazio (BKD 54) pojedzie ze mną. Wszędzie pełno było żołnierzy rosyjskich - żadnych możliwości dostania się do Krakowa - jedynie można było próbować zabrać się jakimś samochodem wojskowym lub z rzadka trafiającymi furmankami - byliśmy też pewni, że być może przyjdzie niejednokrotnie i pieszo wedrować. Tak, więc odpowiednio ubrani, w mocnych butach, z plecakami wypchanymi furazem - wiedzieliśmy, że w drodze, która zresztą nie wiadomo jak długo potrwa, będziemy musieli liczyć tylko na własne zapasy, opuściliśmy Wieckowice i w imię Boże ruszyliśmy w drogę. Zaopatrzyłam się oczywiście w kilka butelek wódki, wiedząc, że tym najłatwiej jest trafić do żołnierzy, szczególnie takich wschodnich przyjaciół. Droga do Krakowa trwała 2 dni - odbywaliśmy ją częściowo samochodami wojskowymi lub rzadkimi wówczas na publicznych drogach chłopskimi wózkami, raz nawet przysiedliśmy się na wozie pełnym żołnierzy sowieckich, byłych partyzantów w czerwonych beretach - kilkanaście kilometrów trzeba było wedrować pieszo, aż wreszcie dotarliśmy do Krakowa¹⁷⁵, gdzie udało się nam wcisnąć do przepelnionego ponad wszelkie wyobrazenie pociągu, który po 2 dniach dotarliśmy do Łodzi, a stamtąd do Konina. W drodze mieliśmy różne przygody - okazało się, że dobrze się stało, że nie jechałam sama, a z Kaziem, uchroniło mnie to od kilku nazwijmy to niemiłych propozycji. Dobiwszy do Konina zdawało się nam, że już jesteśmy prawie w domu - ale jednak było donajmniej 35 km, a my byliśmy po tych kilku dniach podróży zmęczeni, zaczęłam się, więc rozglądać za jakąś furmanką, która by nas podwiozła, choć kilkanaście kilometrów.

W czynnej już dawnej restauracji powiedziano mi, że właśnie zjechali się na naradę rzadcowie opuszczonych przez Niemców majątków i że kto wie, czy wśród nich nie znajdziemy i rzadcy z Paniewa. Odnalazszy lokal, gdzie odbywało się owe zebranie, wywołałam rzadce. Łatwo sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy mnie zobaczył - w każdym razie zaproponował zabranie nas jeszcze dziś do domu, dokąd po skończonym zebraniu zaraz będzie wracał - a tymczasem wskazał miejsce, gdzie zastaniemy konie paniewskie. Trudno opisać jego zdumienie, kiedy nas zobaczył po prostu zbaraniał, robił wrażenie jakby zobaczył istoty z innego świata. Przed wieczorem dojechalismy do Paniewa, cała droga byłam niezmiernie wzruszona. Znajome wsie i osiedla, które mijając wsie i osiedla i po prostu nie wierząc, że się po tylu latach wygnania znów widzi znajomy swojski obraz, a gdy podjechalismy pod nasz kochany dom, miałam oczy pełne łez wdzięczności, że znów go widzę. Powitała mnie sympatycznie zresztą wyglądająca młoda osoba, Polka, która pracowała u p. Baehrów, jako tzw. księgowa. Podawała mi klucz od domu mówiąc, że pani baronowa poleciła mi, bym państwu wręczyła klucz do domu prosząc przy tym, abym dopilnowała posprzątania domu, bo „widzi pani, w jakim pośpiechu musimy wyjeżdżać, nie zdążyłam sama tego dopilnować”¹⁷⁶. Dowiedzieliśmy się potem, co się tu działo, mianowicie władze niemieckie zabroniły opuszczać gospodarowane przez nich majątki. Obecni właściciele mają trwać do chwili otrzymania rozkazu, co dalej mają robić. Tak, więc dopiero wtedy, kiedy upadły wszelkie szanse zatrzymania szybko zbliżającego się nieprzyjaciela, telefonicznie podano pozwolenie na wyjazd. Natychmiast oboje baronostwo wsiedli na przygotowany już wóz załadowany najcenniejszymi rzeczami i ruszyli na zachód. Ledwo ujechali kilkanaście kilometrów ukazał się w oddali oddział Kozaków - wtedy baron kazał znieść zeń z wozu, strzelił do niej, a później do siebie. Wolął to niżli znaleźć się na łasce wroga. Formalnie nie czekając wrócił, czym prędzej do domu i opowiedział o tym, jaki koniec zgotowali sobie baronostwo. Jeśli chodzi o baronową, to pozostawiła po sobie jak najlepszą pamięć - mówiono, że gdyby zechciała zostać w Warszawie by jej z głową nie spadł, gdyż nie było w Paniewie człowieka, który by nie miał wobec niej długów wdzięczności. Pielegnowała chorych nieraz całe noce, siedząc przy nich, starała się o niedostępne dla Polaków lekarstwa, wyrabiała w razie potrzeby miejsce w szpitalach i to nie tylko dla własnych pracowników, ale nawet dla koniecznie tego potrzebujących z innych wsi. Przesyłała nawet obiady ze swej kuchni dla potrzebujących specjalnej diety. Była przy tym bardzo pracowita, dbała o ogród mówiąc, że nie godzi się nam dogadzać sobie, kiedy nasi żołnierze cierpią nieraz głód na froncie. Zresztą sama przeżyła tragedię stracila, bowiem na wojnie 2 synów. Do barona mieli pewne zastrzeżenia, ale o niej wyrażali się zawsze z pełnym uznaniem. Ja osobście jestem jej bardzo wdzięczna, że obrazów, które u nas zastała nie kazała zniszczyć, ale poleciła umieścić na strychu, gdzie je po powrocie odnalazłam - ucieszyły mnie szczególnie portrety rodziców i namalowany przez Wandę Widigerową fragment domu i ogrodu w Wiecininie. Mam tę rzecz jeszcze dotąd, wisza wprost mego łóżka i patrzę na nie codziennie z prawdziwą przyjemnością i wzruszeniem, często w myśl dziękując baronowej, że ocaliła je od zagłady.

Jak tylko rozeszła się wieść o moim pojawieniu się w Paniewie, w parę pacierzy jak się to mówi, przyszła poczciwa Kowalska z Czartowa przynosząc posciel i powleczenie dla nas obojga, pytając równocześnie czy ma nam już zaraz odnieść rzeczy, które wyjeżdżając zostawiliśmy u niej na przechowanie. Zapewniała, że niczego nie zabraknie z wyjątkiem jednego przescieradła, które zmuszona była podrzec na opatrunki dla chorego meza - zapewniała, że tylko tzw. mus sklonił ją do tego, gdyż w czasie wojny nie było mowy o możliwości kupienia choćby najmniejszego skrawka płótna. Z oczami pełnymi łez, wyciskałyśmy się serdecznie, ja zaś całując jej spracowane ręce dziękowałam jej za ocalenie powierzonych jej pieczy naszych rzeczy.

¹⁷⁵ Gdzie kupiliśmy bilety Orbisu, na podróż pociągiem PKP do Konina!!! (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁷⁶ Jakież różnica w zachowaniu się Polaków w stosunku do własnych współobywateli. Pozostaje uczucie głębokiego niesmaku, ale prymas wszystko to akceptował. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Choc w pełni docenialiśmy wyjątkową uczciwość i życzliwość całej tej zacnej rodziny, to utwierdziło nas jeszcze bardziej w szacunku i uznaniu dla nich, gdy stopniowo dowiadywaliśmy się, że częstymi, i to bardzo były wypadki, że rzeczy i to nawet bardzo cenne, które wywożeni powierzali rodzinie, lub osobom, do których mieli pełne zaufanie, po dłuższym czasie nieobecności, gdy wreszcie wrócili i zwrócili się z prośbą o zwrot oddanych na przechowanie rzeczy, spotykali się z odmową, lub po prostu twierdzono, że rzeczy te zostały im skradzione. W ten sposób wielu naszych krewnych i znajomych zostało wprost w bezczelny sposób okradzionych przez własną rodzinę, czy owych niby życzliwych przyjaciół, zresztą najczęściej ludzi zamożnych, którzy dzięki szczęśliwemu zbiegowi wypadków wyszli z wojny i jej skutków obronna ręka¹⁷⁷. A w naszym wypadku, przecież owi Kowalscy byli ludźmi naprawdę biednymi - czego najlepszym dowodem było to, że nie było ich stać na położenie podłogi w swojej chacie - mieli tylko prostą polepę, jednak nie żalowali się na nic, co do nich nie należało, choć przydałoby im się niejedno i to bardzo, a nawet gdyby im się wzięło to i owo, nie mielibyśmy o to najmniejszej pretensji, będąc i tak im wdzięczni za ocalenie choćby części naszych rzeczy. W każdym razie, gdy pytała czy zaraz poodnosić wszystko, co jest u niej, prosiłam, aby nadal to zatrzymała aż do naszego powrotu, który prawdopodobnie wkrótce nastąpi.

Na razie żona rzadcy (mieszkała w oficynie) zaproponowała nam obiady, co było na razie najważniejsze. Śniadania i kolacje postarała się dostarczyć nam Kowalska. Zaczęły się narady z radcą na temat naszego powrotu do domu i możliwości ułożenia się następnie naszej egzystencji. Wskazywano na tym, że najpierw trzeba się dowiedzieć jak do sprawy naszego powrotu ustosunkowują się dawni nasi pracownicy - orientowaliśmy się już, że są od kilku tygodni usilnie uswiadani przez emisariuszy i agitatorów nowego porządku, jaki powinien zapanować w nowej już socjalistycznej Polsce, i niektórzy na pewno liczyli na obdarowanie ich ziemią z rozparcelowanego Paniewa. Radca wezwał wszystkich, przedstawił im jak sprawa wygląda - mianowicie, że wróciwszy nie będziemy wnosić żadnych pretensji odnośnie jakichś świadczeń, czy innego rodzaju wymagań, gdyż mamy po powrocie zacząć zaraz pracować, jako księgowy zaangażowany przez radcę, któremu ostatnio powierzono kierowanie gospodarstwami, znajdującymi się na terenie naszej gminy, a więc będzie pobierał wynagrodzenie wystarczające na utrzymanie całej naszej rodziny, i że chodzi nam tylko, aby się dowiedzieć, czy nie mają nic przeciwko temu, abymy zamieszkali we dworze? Wszyscy obecni zgodzili się na naszą prośbę, co stwierdzili podpisaniem na odpowiednim oświadczeniu - dodając, że nie mają do nas żadnych specjalnych pretensji, gdyż byliśmy uczciwymi pracodawcami. A zatem najważniejsze sprawy zostały załatwione, to znaczy mieszkanie i praca dla męża - teraz należało zjawić się jak najprędzej tak, aby od 1 kwietnia mąż mógł zacząć pełnić swoje obowiązki, to też zdecydowałam, że bezzwłocznie pojedę do Wieckowic celem sprowadzenia reszty rodziny i przywiezienia rzeczy: Kazia (BKD 54) postanowiłam zostawić na miejscu, aby miał oko na umeblowanie i wszystko, co zostawili w domu baronostwo i aby swą obecnością przypominał wszystkim o naszym rychłym powrocie. Poleciłam go opiece rzadcostwa, a także prosiłam Kowalskich, aby mieli na niego oko, zresztą liczyłam na to, że choć miał dopiero niecałe 12 lat, był rozważny a nawet nad wiek ostrożny, to też poleciwszy go opiece Boskiej i trochę życzliwych ludzi, pojechałam. Droga powrotna była już trochę łatwiejsza i bezpieczniejsza niż przed tygodniem, to też bez większych przeszkód dotarłam do Krakowa, skąd musiałam jakos pociągiem dojechać do najbliższej stacji Wieckowic, a mianowicie do Bogumilowic.

Nie mogąc się doczekać jakiegos osobowego pociągu wdrapałam się wraz z kilkunastu mężczyznami na wagon załadowany żelaznymi szynami. Rada, z którą się na to zdecydowała, czekałam cierpliwie aż pociąg wreszcie ruszy w stronę Tarnowa. Wreszcie już pod wieczór drgnął i zaczął prawdziwie żółwym krokiem posuwać się we wschodnim kierunku. Dzień był wyjątkowo zimny, padał mokry śnieg, to też siedząc na owych żelaznych szynach okropnie zmarzłam, bo choć miałam na szczęście na sobie kozuch, ale od dołu tylko ponczochoy i spodnice. W tamtych czasach kobiety nie używały spodni, widywało się w nich jedynie Żydówki zapędzone do ziemnych robót przez Niemców. Pocieszałam się myślą, że jednak jestem coraz bliżej domu, gdy wtem pociąg zaczął jeszcze zwalniać - było prawie zupełnie ciemno, gdy nagle usłyszałam wołanie moich towarzyszy podróży: „Wysiadac, wysiadac, bo most jest niepewny i pociąg może stanąć w jego połowie, a wtedy nie będziemy się mogli z niego wydostać” i nagle dojrzałam wyskakujące z owych platform ciemne postacie moich towarzyszy podróży. Niewiele się namyslałam poszłam w ich ślady i skoczyłam na dół wpadając w ogromną zaspy śniegu, tuż przed pierwszym przelazem mostu. Gdybym się zawahała, choć przez chwilę skaczac, byłabym wpadła prosto w nurty rzeki (Dunajca). Po wydostaniu się z owych zaspy przez dłuższą chwilę nie mogłam się zorientować, z której strony toru się znajduje i w jakim powinnam udać się kierunku, wiedziałam tylko, że w pobliżu mostu są jakieś niskie położone laki - a zatem łatwo można się utopić w głębszym zalany zaglebieniu, przysypanym obecnie śniegiem. Cofnęłam się, więc, przeszłam na drugą stronę nasypu kolejowego i zaczęłam iść właściwie przed siebie nie bardzo się orientując, czy idę we właściwym kierunku. Przede wszystkim byłam tak strasznie przemarznięta, że przede wszystkim marzyłam o dostaniu się, do jakiegoś bądź pomieszczenia, bylebym mogła się trochę ogrzać, wtedy ludzie mi wskazała, jaka droga pójść, aby jak najprędzej dojść do Wojnicz. Po dłuższej chwili zobaczyłam w oddali migocące słabe światelko. Widok ten dodał mi siły tak, że prawie biegiem dotarłam do celu, którym okazała się mała chalupinka stojąca samotnie w polu. Nie zastanawiając się nad tym, kogo mogę tam zastać, urzeczona migocącym światłem a więc perspektywą możliwości ogrzania się, zapukałam do drzwi, w których po chwili ukazało się dwóch żołnierzy rosyjskich, życzliwie usmiechniętych.

¹⁷⁷ Uwaga ta potwierdza wniosek, że Polacy w swej masie to banda skomunizowanych rabusi gotowa przy każdej okazji rabować Żydów, Niemców, czy własnych obywateli. Prymas Wyszyński oczywiście o tym nie wiedział, bo (Kosciół) „dokonał (wtedy) wielkiego wyzwolenia sumień, którym zabezpieczył wolność walki o sprawiedliwy urząd społeczny”. Kosciół do dzisiaj nie zabrał na ten temat głosu. Dlatego mój stosunek do różnych tzw. potrzebujących w Polsce jest nacechowany rezerwą. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Widząc jak trzęsie się z zimna zaprosili mnie do wnętrza, gdzie ujrawszy rozpalona do czerwoności płytę, zaczęłam gwałtownie ściagać z siebie wierzchnią odzież, tak, aby ciepło buchające od czerwonej płyty mogło jak najprędzej mnie ogrzać.

Na pytanie skąd się tu wzięłam, wyjaśniłam lamana ruszczyzną, że wskoczę na pociąg, gdyż wracam do meza, który jest nauczycielem w Wojniczu i proszę abym mogła pozostawić chwilę, aby ogrzać się i trochę odpocząć. Zgodzili się chętnie, a po chwili zaproponowali położenie się na pryczy stojącej w kącie izby. Ogrzawszy się trochę poczułam się okropnie zmęczona to też perspektywa położenia się, choć na chwilę i wyprostowania kości skusiła mnie i przemógłszy wstąpił na widok brudnego żołnierskiego wyrażenia, położyłam się i przykryłam oczy. Po chwili poczułam, że jeden z żołnierzy w niedwuznacznych zamiarach uklada się obok mnie. Doprawdy nie wiem, ile sekund trwało zerwanie się z łóżka, naciągnięcie ubrania i kozucha, porwanie leżącego w kącie izby zawiniątka i wybiegnięcie z owej chalupiny. W każdym razie odbiegłam kilkadziesiąt kroków, gdy zobaczyłam biegnących i przywołujących mnie żołnierzy. Zaczęłam biec, ile mi sił starczyło, w końcu głosy żołnierzy zaczęły się oddalać i cichnąć - widocznie zrezygnowali z poscigu. - Uspokoiliam się trochę i rozejrzawszy się dookoła zorientowałam się, że jestem niedaleko jakiejś wsi - dodało mi to otuchy i nadziei, że może ktoś z mieszkających tu ludzi wpuszcza mnie pod dach, tak, że nie będę musiała spędzić reszty nocy pod gołym niebem. Doszedłszy do pierwszych zabudowań, zapukałam do pierwszych drzwi. Trwało dość długo zanim jakaś mocno wystraszona niewiasta zapytała, „Kto tam?” Wylegitymowałam się pytaniem, prosząc jedynie o możliwość spędzenia reszty nocy pod dachem - dodałam, że byłabym bardzo wdzięczna za szklanke czegoś gorącego, gdyż jestem bardzo przemęczona. Po chwili wahania niewiasta owa wpuszcza mnie do niewielkiej sieni, podsunęła krzesło, a po chwili przyniosła szklanke gorącej herbaty. Przesiedziałam tam do rana, a gdy zaczęło świtać i dał się słyszeć ruch w domu, zapukałam, aby powiadomić, że wychodzę i chcę podziękować za możliwość spędzenia kilku nocnych godzin pod dachem. Niewiasta zaczęła coś bąkać tłumacząc się, dlaczego nie zaproponowała mi położenia się w ogrzonym pokoju, ale muszę zrozumieć, tu mieszkają same kobiety, a czasy są tak niebezpieczne i tyle różnego rodzaju ludzi włóczy się wszędzie, że muszą być ostrożne.

Powiedziałam, że zupełnie to rozumiem, nie mam absolutnie do niej za złe, przeciwnie jestem wdzięczna za to, co mi ofiarowała. - Okazało się, że stamtąd do Wojnicza było jeszcze 9 kilometrów, to też, gdy wreszcie dotarłam do Wieckowic byłam śmiertelnie zmęczona, ale rada i wdzięczna Bogu, że przyprowadził mnie szczęśliwie do swoich. Dopiero na drugi dzień zorientowałam się, że w pobliżu kości ogonowej mam jakies miejsce wielkości powiedzmy dzisiejszych 20.-zł, które mnie straszliwie boli tak, ruszyć się z łóżka nie mogę. Gdy żadne środki domowe nie pomagały, poprosiłam doktora z Wojnicza, aby przyszedł coś poradzić. Okazało się, że to miejsce jest prawie czarne i tak zamrożone, że potrwa kilkanaście dobrych dni zanim będę mogła chodzić. Sytuacja była fatalna, trzeba było przecież na gwałt organizować nasz powrót do domu, a na to musiałam być w pełni sprawna, bo przecież Tot nie mógł biegać ani denerwować się - jego zdrowie było najważniejsze - a tu do 1.4. zostało już czasu niewiele. Po długich negocjacjach początkowo zamierzaliśmy kupić wóz i parę koni, zapomniałam uprzednio napisać, że pp. Jordanowie opuszczając Wieckowice ofiarowali nam trochę mebli, które może uda się nam sprzedać i w ten sposób zdobędziemy trochę gotówki na przewidziane koszty związane z powrotem do domu, załadować nasz dobytek, bo jednak przez kilka lat uciulało się tego trochę i jechać do domu - bo przecież o załadowanie tego do pociągu nie mogło być mowy, jednak po głębszej refleksji doszliśmy do wniosku, że takie wędrowanie przez prawie całą Polskę jest bardzo ryzykowne, gdyż przecież pełno wszędzie włóczących się żołnierzy i najrozmaitszych podejrzanych typów, którzy bez wielkiego trudu mogą nam odebrać konie, a nawet nas całkowicie ograbic zobaczywszy, że na wozie oprócz niemłodego już mężczyzny jest tylko dziewczeczka i kobieta.

9. OSTATECZNY POWRÓT Z WYSIEDLENIA

Deliberowaliśmy długo, w końcu powstała następująca koncepcja: Poszukam 3 silnych mężczyzn pragnących dostać się do centralnej Polski niemający żadnych odpowiednich dokumentów zapewniających im osobiste bezpieczeństwo np. t. zw. granatowych policjantów, lub kogos, kto pragnąłby niepostrzeżenie zniknąć z miejscowej widowni. Takiemu typowi proponujemy darmowy przejazd, jako członkowi naszej repatriacyjnej ekipy, za co oni zobowiąza się, gdy zajdzie potrzeba przenieść nasze bagaże. To znaczy, że każdy będzie miał przytroczone do pleców jeden tłumok i w obu rękach będzie niość po jednej walizce czy pakunku. Liczyłam, że w ten sposób uda się nam przetransportować najkonieczniejsze rzeczy. Bedąc w Paniewie dowiedziałam się, że sklepy są tam wszędzie zupełnie puste i że o kupieniu czegokolwiek, przynajmniej w najbliższym czasie nawet marzyć nie można. Gdyby się ta koncepcja udało, można by wybrnąć z tej trudnej sytuacji, ale na to, aby takich ludzi znaleźć, a następnie popakować nasze rzeczy, żeby móc zabrać ich jak najwięcej, trzeba było być zdrową, a nie leżącą w łóżku. Wreszcie, gdy poczułam się cokolwiek lepiej zaczęłam próbować poruszać się po pokoju, posuwając się za krzesłem. Jakos się rozchołałam na tyle, by schylić i podparta łaską zacząć starania o wyszukanie potrzebnych nam ludzi. Jakos przy pomocy boskiej znalazłam trzech, którzy zgodzili się na moją propozycję i obiecali stawic się w umówionym dniu u nas. Zaczęło się gorączkowe pakowanie, mąż nie chciał zrezygnować z dość bogatej biblioteczki rolniczej, której na wysiedleniu zdolał się dorobić - była tego spora paka, wreszcie wszystko było gotowe. Uproszony u wojnickich gospodarzy wóz zaprzeczony w cztery konie, który miał nas odwieźć na najbliższą stację, nazajutrz rano. Teraz udanie się całej imprezy zależało od tego, czy owi ludzie dotrzymają danego słowa i zjawia się na wyznaczony wieczór. Nie przypominam sobie abym kiedykolwiek w moim długim dosyć życiu tak się kiedyś denerwowała i niepokoiła jak wtedy, kiedy na tych ludzi czekałam, a tu trzeba było jeszcze udawać spokój, aby oszczędzić nerwy męża. Odetchnęliśmy z niewymowną ulgą, gdy w drzwiach ukazali się ci, którzy z takim niepokojem oczekiwaliśmy. Nazajutrz rano podziękowaliśmy za furmankę, pożegnaliśmy się z przyjaciółmi jednak mieszkańcami Wieckowic, rzuciliśmy ostatni raz okiem na dom, w którym przeżyliśmy kilka lat życia, gdzie pożegnaliśmy na zawsze Ojca, gdzie oprócz niejednego smutnego dnia, były i chwile pogodne, które na pewno jeszcze nieraz wspominać będziemy. Załadowaliśmy nasze tłumoki na wóz i po ulokowaniu się na nich ruszyliśmy, aby rozpocząć nowy etap w naszym życiu.

Bez specjalnych przygód dotarliśmy do Płaszowa, stacji najbliższej Krakowa i tu nam oświadczono, że pociąg wraca z powrotem, a my mamy jak najprędzej go opuścić. Nie było rady, w poplochu wynosiliśmy nasze tłumoki na peron, czekając z rezygnacją na jakas możliwość dostania się na główny dworzec w Krakowie, skąd mieliśmy nadzieję załadować się na jakiś pociąg idący w kierunku Łodzi, bo stamtąd tylko można było skierować się w stronę Konina. Nigdy nie zapomnę okropnego widoku, gdysmy przedostając się z zajmowanego przedziału ku wyjściu, mijali pusty już przedział, gdzie prawie zupełnie niedolezny kaleka błagał, aby na miłość boską pomogli wydostać się z pociągu i zawieść go z powrotem tam, skąd wydostał się z takim trudem, a on chce jechać do domu.

Czułam, że powinnam mu pomóc - ale jednak nie zrobiłam tego niewinniając się we własnym sumieniu, że przecież musiałam przede wszystkim myśleć i troszczyć się o swoich. Może bym jednak była mogła także pomóc i temu nieszczęśliwemu. Wyrzut sumienia, jaki długo mnie przesładował z tego powodu i dziś jeszcze czuję, że ciąży mi na sumieniu.

Wreszcie podprowadzono jakiś pociąg, którym udało się podejść bliżej budynków stacyjnych, choć do samej stacji było jeszcze dość daleko, a przede wszystkim od głównego peronu dzieliła nasz pociąg niezliczona ilość krzyżujących się szyn i stojących jeden za drugim pociągów, częściowo pełnych pasażerów czekających najwyraźniej na ruszenie w dalszą drogę. Stałiśmy tak kilka godzin bez możliwości zdecydowania się czegokolwiek, na wszelkie indagacje odpowiadano, że jedynie na stacji może się czegoś dowiedzieć na temat ewentualnego odejścia pociągów w pożądanym dla nas kierunku. Wreszcie zdecydowałam się powedrować na dworzec, ale, w jaki sposób przedostać się przez całe szeregi pociągów już tam stojących, z których przecież niektóre mogły w każdej chwili ruszyć w jedną lub drugą stronę. Namówiłam jednego z najbardziej rozgamiętych naszych tragarzy i zaczęliśmy się przesuwać pod stojącymi jeden za drugim pociągami, z których przecież każdy mógł w każdej chwili ruszyć w drogę. Była to rzeczywiście okropna przeprawa, jeżeli jeszcze wziąć pod uwagę, że co chwila napotykalimy się na ekskrementy spadające z ustępów kolejowych.

Wreszcie spoceni ze strachu, zziębnięci i odpowiednio ubodzeni znaleźliśmy się na peronie, skąd już łatwo trafiliśmy do zawiadowcy, który nam oświadczył, że oczywiście nie ma najmniejszego pojęcia, kiedy i gdzie odejdzie najbliższy pociąg, ale że wreszcie któryś tam odejdzie w pożądanym przez nas kierunku to pewne, no i że wtedy będziemy mogli się załadować. Na pytanie, czy stojący tam nieszczęśliwi pasażerowie zostaną podwiezieni bliżej dworca, powiedział, że nie można tracić nadziei, że taka okazja może się zdarzyć. Droga była mniej tragiczna, natomiast, co chwile zaczęli mnie lazacy pozornie bez celu żołnierze rosyjscy, tak, że rada byłam, że jestem w towarzystwie mego tragarza. - Jakoz rzeczywiście czekaliśmy względnie niedługo na pociąg, który podwiózł nas pod dworzec główny. Po jakichs chyba 2 godzinach powiedziano mi, że z dość odległego peronu z chwilą odejścia pociąg towarowy w kierunku Śląska i Katowic i że możemy się nań załadować. Jak to tylko było możliwe, jak najprędzej pobiegliśmy w nakazanym kierunku i tam kolejarze wskazali nam odkryty wagon tuż za lokomotywą, gdzie wolno nam będzie się załadować. Cóż było robić, acz niechętnie z uwagi na kleby czarnego dymu buchające z sasiadującej naszym wagonem lokomotywy, z jak największym pośpiechem wdrapaliśmy się na owa platformę i pownosiliśmy bagaż. Tymczasem godziny mijaly, a pociąg nie miał zamiaru ruszyć.

Wreszcie zdecydowaliśmy, że pobiegne na dworzec i dowiem się czy jest nadzieja, że ruszymy przed nocą, albo może jakiś inny stojący, zdawałoby się w pogotowiu pociąg pierwszy. Nauczona doświadczeniem wzięłam ze sobą towarzysza mojej poprzedniej wędrowki i prawie biegiem ruszyliśmy w kierunku stacji. Po chwili obejrzawszy się z przerażeniem zobaczyliśmy, że nasz pociąg zaczyna drgać i powoli się zaczyna obracać. Nagle usłyszałam przeraźliwe wołanie meza, że pociąg rusza.

Rzeczywiście sytuacja jego była okropna, bo przecież tu ja miałam wszystkie nasze dokumenty no i co najważniejsze pieniądze. Perspektywa ruszenia w nieznaną z dzieckiem, tragarzami i bagażem samemu i to bez pieniędzy i dokumentów przerażała go. Wprost nie wiem, jakim cudem zdążyliśmy dopędzić oddalający się pociąg i wskoczyć na stopień ostatniego wagonu.

Odetchnęłam, ale jak tu dostać się do pierwszego wagonu - trzeba przecież przejść całą długość pociągu będącego w ruchu. Nie byłam nigdy dobrą gimnastyczką, wprost nie mogłam sobie wyobrazić jak dam radę, ale jednak przy boskiej pomocy znów doprawdy w cudowny sposób przeskakując z jednego wagonu do następnego dotarliśmy jakos do swoich, mimo, że głośno krzyczeliśmy, aby meza uspokoić - bałam się, że ta sytuacja może wywołać atak serca, bo jak nic nie słyszał, to też, gdy mnie zobaczył, rzuciliśmy się sobie w objęcia z niewymowną ulgą. W Katowicach, po oczywiście długim czekaniu, znaleźliśmy się w pociągu zdążającym do Łodzi, gdzie po różnych zreszta niezbyt groźnych przygodach, znaleźliśmy się po kilkunastu godzinach nieprawdopodobnie brudni, zmęczeni no i głodni to też, gdy na dworcu zobaczyłam bochenki rumianego białego chleba kupiłam natychmiast kilka, jedliśmy je wprost łapczywie delektując się niewidzianym od początku wojny pyłowym chlebem, cały ten czas miałam tylko grubą zarnową makę. Tymczasem nasi tragarze, mimo, że było umówieni towarzyszyć nam do końca jeden za drugim ułatniali się, został tylko jeden i to na szczęście, gdyż nie dałabym rady z pownoszeniem naszych bagaży do pociągu, który nas dowiózł do Konina, skąd na szczęście kursowała już kolejka waskotorowa, która dojechalismy do Sompolna. Wynajętymi koniami dotarliśmy pod wieczór w Wielki Piątek do domu.

Cały czas niepokoił nas Kasia, jak tam daje sobie radę przez tak długi czas, na szczęście znaleźliśmy go całego i zdrowego, ale już bardzo za nami stesknionego. Dowiedzieliśmy się od niego, że w międzyczasie nastroje wsi bardzo poczerwieniały, a rzadca zdążył się rozpic. Wiadomości te mocno nas zaniepokoiły - na razie jednak trzeba było jakos się urządzić i pomyśleć o Świątach Wielkanocnych. Okazało się, że jednak na wiadomość, że już wróciliśmy, żony naszych dawnych pracowników naznosiły nam tyle wszelakiego jadła jak tylko mogły, koło tzw. wyrobów, ale i ciast, placków itp. Tak, że przez pierwsze dni po powrocie mieliśmy wszystkiego w bród. Tymczasem jakos rzadca nie kwapił się do wprowadzenia meza w przyobiecane obowiązki, stale sprawę odkładał, nastroje na wsi stawały się z każdym dniem mniej przychylnie, co wszystko razem nie zapowiadało nic dobrego¹⁷⁸.

Po kilkunastu dniach zjawił się p. Antoni Grochulski, właściciel dość dużego gospodarstwa, dawny Sekretarz Kółka Rolniczego, bardzo życzliwie do nas ustosunkowany i zaczął usilnie nas namawiać do opuszczenia Paniewa na czas jakiś, póki sytuacja polityczna się nie wyjaśni, gdyż w tej chwili wyszło zarządzenie, że byłym właścicielom majątków nie wolno przebywać na miejscu. Nie podporządkowanie się temu grozi aresztowaniem, co zreszta już zastosowano w stosunku do kilku ziemian z naszego powiatu. Proponował zamieszkanie u pp. Sierakowskich jego sąsiadów dysponujących obszernym domem - mogą nam ofiarować duży pokój i utrzymanie tak długo jak tylko będzie potrzebne, sytuacja się nie wyjaśni. Bedziemy w ten sposób mieszkać w innej gminie a nawet powiecie (województwie bydgoskim), co zapewni nam zupełne bezpieczeństwo. Dodatkowym plusem będzie to, że Gopłana należy także do parafii skułkiej, no i że do Paniewa stamtąd niedaleko, więc bedziemy mogli wiedzieć, co się tam dzieje. Decyzja była trudna, zdecydować się na dobrowolne opuszczenie domu i skazanie się znów na tulaczkę; wykorzystywanie życzliwych ludzi było bardzo ciężkie - ale znów narazanie Tota na wiezienie przy jego stanie zdrowia byłoby lekkomyślnością. Rozwazywszy, więc wszystkie pro i contra zdecydowaliśmy się przyjąć zaproszenie.

¹⁷⁸ Jak widać z protokołów przejęcia majątku na cele reformy rolnej, sprawa została już postanowiona 16 lutego 1945 r. Tzn. pracownicy majątku i administrator p. Dybala bawili się z Rodziną Karnkowskich jak kot z myszą. Głównymi aktywistami komitetu parcelacyjnego byli Maciej Wozniak i Lucjan Laskowski, którzy grali rolę przyjaciół, np.: p. Laskowski pozwolił zrywać „bez pytania” owoce w grodzie, a p. Wozniak „dał” rodzinie Karnkowskich swą córkę za służącą. Jak zawsze w takich wypadkach wszędzie czyhała zdrada i łapczywość, aby się nie dać ubić w czasie rabunku przez kogos innego. Zreszta p. Laskowskiemu kalkulacja nie wyszła. Otrzymał piękny, zaprowadzony ogród z sadem szkółkami itd. obiecywał sobie zrobić na tym majątek. Niestety w miasteczku nie miał zbytu, bo nigdy miał jarzyny z własnego ogródka, a nie miał pieniędzy na kupowanie. Ogród taki potrzebuje siły roboczej, a tej nie było, bo każdy pracował „na swoim” i nie zamierzał być parobkiem u Laskowskiego, któremu by być równym, poza tym była służba folwarczna rozkradała wszystko, co w ogrodzie urosło, bo uważała to za swoje podobnie jak p. Laskowski. PRL nie zabezpieczał prawa własności, dlatego ogród trzeba było w końcu zaorac i taka jest historia zaniku miejsc pracy na wsi, i producentów owoców i jarzyny dla miasta, ale do dzisiaj nikt tego oficjalnie przyznać nie chce. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



174.

Z tego domu rodzinnego rodzina Karnkowskich została wydziedziczona po raz pierwszy przez Niemców w 1939 r., a następnie przez swych polskich współobywateli po powrocie z wysiedlenia w 1945 r. Po upadku komunizmu polskie społeczeństwo zaniedbało uchwalenie odpowiednich ustaw, aby zagrabiona ziemia została oddana spadkobiercom i pozostawiona dla potomków rabusiów. Biorąc w obronę sprawców przed ich ofiarami, społeczeństwo to okryło się wieczną hanbą. Im jest to obojętne, niech więc tak będzie.

Zazadaliśmy dania nam dwóch wozów do przewiezienia najkonieczniejszych mebli - zresztą wolno nam było zabrać to, co było istotnie nasze - zresztą miejscowy komitet miał prawo wglądu w to, co zabrać mieliśmy. Pp. Baehr'owie zostawili bardzo ładne meble, które przywieźli ze swego poprzedniego miejsca zamieszkania pod Koninem - mieli do tego prawo, gdyż rząd niemiecki postanowił, że cokolwiek zastana w przydzielonym im majątku mogą uważać za swoją własność, jako ekwiwalent pozostawionych przez nich rzeczy w ich własnych majątkach na Litwie lub Łotwie, skąd zostali przymusowo sprowadzeni, do Warthegau. Chcieliśmy teraz my z kolei wziąć, choć kilka, najpotrzebniejszych sztuk, (bo nasze też zostały przez Niemców zdekompletowane), ale gdy przyszło do ładowania takowych na wóz, obecne przy tym kobiety¹⁷⁹, które orientowały się doskonale w tym, które meble są niezaprzeczalnie naszą własnością, a które baronostwo przywieźli do Paniewa, zaprotestowały, tak, że oprócz dwóch foteli niczego z tamtych rzeczy nie pozwolono zabrać.

¹⁷⁹ Popatrzmy na te kobiety, które przescigały się między sobą, aby na Wielkanoc przynieść nam najlepsze rzeczy, żeby nie wypaść na „gorszą” przed innymi, za dwa tygodnie klóca się z moimi Rodzicami i jedno krzesło, które zresztą do nich nie należało, ale można by potem zrabować „autentyczne”. Już w „Pozodze” Zofia Kossak-Szczucka opisuje, że kobiety zawsze były siłą wiodącą przy wszelkiego rodzaju rabunkach. Jest to chyba prazwierzy instykt nakazujący samicy dbać o zaopatrzenie swego potomstwa. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia. Rzeczy, których nie dostaliśmy, my zostały zrabowane i w szybkim tempie zniszczone. (Kazimierz Karłowicz, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Protokół *moj.* **Paniewo**



sprawie przejęcia na cele Reformy Rolnej na mocy Dekretu Polskiego Komitetu Wyswolenia Narodowego z dnia 6 września 1944r. o wprowadzeniu reformy rolnej majątku *Paniewo*..... własność *Ob. Staninkowska*
..... i przekazania go w Zarząd Ob. *Stankowa*
..... przy współdziałaniu Komitetu Rolniczego *Stankowa*
..... i przedstawiciela miejscowej władzy administracji publicznej ob. właściciela majątku, lub jego następcy Ob. Pełnomocnik Powiatowy/Komisa Ziemi/ działający w poleceniu Wojewodzkiego Pełnomocnika/Wojewodzkiego Urzędu Ziemskiego/ w opierając się na pkt.1 art 6 Dekretu P.K.W.N. z o wprowadzeniu reformy rolnej przystąpił do protokularnego przejęcia majątku/nazwa hipoteczna/ własność

Przejęcie powyższego majątku następuje w/g. stanu poniżej ustalonego
1/ Opisanie granic w/g.

2/ Ogólny obszar *235,91 ha*

3/ Rodzaj i ilość poszczególnych użytków
wyszczególnienie w ha..... Wyszczególnienie w ha.....

<u>Obszar ogólny</u>	
<u>1 Użytki rolne</u>	
1 grunty orne	<i>149,66 ha</i>
2 łąki jednokosne	<i>4,25</i>
3 " 2 dwukosne	<i>2,50</i>
4 pastwiska	<i>2,00</i>
5 ogrody warzywne	
6 sady	
7 sakołki drzew owocowych	—
<u>2 Inne użytki</u>	
1 torfy eksploataowane	<i>1,00 ha</i>
2 lasy	
3 parki	
4 podwórza, zabudowania, drogi	<i>4,00</i>
5 stawy rybne	<i>70,00</i>
6 inne wody	<i>2,40</i>
7 nieużytki	
8 inne	

przy lasach, torfach, sadowach podać stan a lasach wartość. Wiek drzewostanu

4/ Zakłady przemysłowe rolne/gorzelnia, cukrownia, piaskarnia itp.

5/ Budynki *zatarasunk*
Rodzaj budynku: długość i szer. w mtr., z jakiego materiału.....
..... czym kryte, stan obecny.....
Budynki zniszczone obecnie przez działania wojenne

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

6 Inne urządzenia

silosy, parkany, ploty, bruki i ich rodzaj, rozmiar i stan

7 Inwentarz martwy

Wyszczególnienie ilość stan Wyszczególnienie ilość i stan

Maszyny		Narzędzia rolnicze	
Lokomobile	1	Plugi jednoskibowe	2
Traktor	1	" dwuskibowe	4
Siewnik	1	2 wieloskibowe	5
Zniwiarka	1	Kultywatory	4
wiazarka	1	Brony drewniane	3
Kosiarka	1	" spreszynowe	6
Młockarnia	1	" talerzowe	5
Bukownik	1	" rębne	3
Kierat	1	" poziome	3
Kopaczka	--	Wal gładki	--
Wyorywacz	1	pierscionkowy	2
Młynek	1	Campbella	--
Wiałnia	1	Obsypnik	2
Tryjer	1	Oszczedność	1
Zmijka	1	Inne	
Grabiarka	2	Opylare	2
Sieczkarnia	2	Introlator	6
Siekarka do buraków	1	kontrolnik do kwarant	1
Srotownik	1		
Parnik	1		

Narzędzia do przewozu		Narzędzia ręczne	
Powozy	--	Łopaty	--
Bryczki	3	Motyki	--
Wozy	1	Widły	--
Beczkiwozy	1	Kosy	--
Sanie wyjazdowe	1	Sierpy	--
" robocze	--	Cepy	--
" Uprząż i sprzęt pomocniczy	--	Sprzet spichlerzo	
Uprząż na konie wyjazdowe	--	Worki	6
" robocza	2	Szufle	2
" inna woty	8	Sita	1
Liny	--	Beczko do bejcowania	
Łanouchy	5	Sprzet do ogólnego u	
Sprzet mleczarski	--	Waga	1
Chłodnie	--	Różne	
Banki do mleka	5	Drabina	4
Sita	2	Zapasowe części wozów	
Wiadra	3		
Skobce	--		

Narzędzia i sprzęty ogrodnicze

Inne

B/ Inne galezie rolnictwa

1/ rybolowstwo

2/ sadownictwo

3/ pszczelarstwo

18 ubi'

10 lipca 5 1913

7/ Inwentarz żywy.

Rodzaj	Stawk w tym s li- cenoja	Rodzaj	Stawk w tym cenoja
Konie		Krowy	
klacze	3	Buchaje	1 <i>zabici</i>
ogierzy		woly	8
siachy	2	krowy mleczne	1 1/2 } <i>zabici</i>
młodzież od 1-2 1/2 r.	3	młodzież 1/2 r.	2
szrebiata		" 1-2 lat	2
		cielęta	2
Trzoda chlewna		owce	
kmury	7	Tryki	
Maciory	8	skopy	
warchlaki		maciorki	
" do 8 tyg.		jagnięta	
		inne zwierzęta	
			1 <i>osioł - sprzedany</i>
Kury	5		
gęsi	-		
kaczki	-		
indyki	-		
inne	-		

Inne dobra maj. nie objęte formularzem:

Rzeczy stanowiące własność osobistą właściciela i jego rodziny niezwiązane prowadzeniem gospodarstwa rolnego nie podlegają przejęciu.

8/ Stan kasy

9/ jakość i ilość paszy, słomy itp. *dostateczna*

10/ jakość i ilość kresenoji, przewidywany omłot, oraz stan w magazynie

11/ Stan pracowników rolnych imienny wykaz pracowników stałych, ordynaryjny z podaniem rodzaju zatrudnienia/ jako oddzielny załącznik/.

12/ Ilość drobnych datertawców

13/ Położenie:

odległość od miasta powiatowego	13
od szos	2
od stacji kolejowej	12
od urzędu pocztowego	3
od szkół powszechnych	3

- IX Jakszo i ilosc paszy, sioły i tp. *dostateczna*
- X Jakszo i ilosc karczennij, przewidywana w-10%, oraz stan w pograniczu
- XI Stan pracowników rolnych
 (pionowy wykaz pracowni liczy stalych, odznaczajacych z po azie rolniczej w trudnosci jako oddzielny zaloznik)
- XII Jakszo droznych dzierazawca

liczenie

diogione od miasta powiatowego	33	<i>klu</i>
osob	3	"
otraci kolejarzy	12	"
urzedu pocztowego	3	"
szkol powiatowych	3	"

Majatek.....*Panewo*.....wedlug wyzej opisanego stanu dostateczny
prakarnaje administracje to.....

Hybaly T......ktory zobowiazuje do obrony wszelkiego mienia pajs
 dla socjalnego gospodarstwa, praw i swa rachunkowosci i wykonania
 swiadosten. Niniejszy protokol sporadzony w czterech egzemplarzach
 a ktorych jeden otrzymuje wlasciciel, drugi, drugi narzeczony, trzeci
 wsiatowy Urzad Ziemi, czwarty Wojewodzki Urzad Starostki.

Na ten protokol sporadzony zobowazam i go przyjmowanie przed
 1945.

Panewo..... dnia *16. luty*1945

.....

.....

STAN PRACOWNIKÓW ROLNYCH

MAJ PANIEWO

NAZWISKO I IMIĘ	BODZIAZ ZATRUDN.	UWAGI
WOŹNIAK MACIEJ	WŁODARZ	
LASKOWSKI LUCJAN	OGRODNIK	
FABICH STANISŁAW	KOWAL	
PIASECKI FRANCISZEK	STRÓŻ	
BARANOWSKI STANISŁAW	FORNAL	
MAKOWSKI KAZIMIERZ	FORNAK	
ANDRZEJCZAK STANISŁAW	POMOCENIK SZWAJCARSKI	
KLIMCZAK ANTONI	RĘCZNIK	
FRYDRYCHOWSKI JÓZEF		
PIASECZY WŁADYSŁAW	DOM. SZWAJ- CARSKI	
GDECYK IGNACY		
LASKOWSKI KAZIMIERZ	DOM. OGRO- DOWY	
WOŹNIAK JAN	ROBOTNIK	
BARANOWSKI WŁADYSŁAW		
FRYDRYCHOWSKI		

16.	MATCZAK STANISŁAW	ROBOTNIK
17.	DORYWALSKI STANISŁAW	- " -
18.	WOŹNIAK ANTONI	- " -
19.	WOŹNIAK HELENA	- " -
20.	ŁEBIĆ WŁADYSŁAWA	ROBOTNICA
21.	ŁEBIĆ MAGDALENA	- " -
22.	AUGUSTYNIAK JADWIGA	- " -
23.	PIASECKA REGINA	- " -
24.	PIASECKA ANNA	- " -
25.	FRYDRYCHOWSKA JANINA	- " -
26.	RADZIŚZEWSKA JÓZEFA	- " -
27.	RADZIŚZEWSKA BRONISŁAWA	- " -
28.	KLIMCZAK MARIA	- " -
29.	JAGODZIŃSKA FRANCISZKA	- " -
30.	WOŹNIAK MARIA	- " -
31.	BARANOWSKA MARIA	- " -

Data:

Dziękuję za listy		Dziękuję za listy	
Wzrost	Wzrost	Wzrost	Wzrost
1 Dwoje 16 X 8 X 4 pod 11 mg. 100 g	16 X 8 X 4	16 X 8 X 4	16 X 8 X 4
Opieka 13 X - 24	13 X - 24	13 X - 24	13 X - 24
Wzrost 30 X 12 X 4 pod 11 mg. 100 g	30 X 12 X 4	30 X 12 X 4	30 X 12 X 4
Stożka 70 X 11 X 6 pod 11 mg. 100 g	70 X 11 X 6	70 X 11 X 6	70 X 11 X 6
Wzrost 36 X 9 X 6	36 X 9 X 6	36 X 9 X 6	36 X 9 X 6
Wzrost 15 X 9 X 3	15 X 9 X 3	15 X 9 X 3	15 X 9 X 3
Wzrost 8 X 5 X 2	8 X 5 X 2	8 X 5 X 2	8 X 5 X 2
Wzrost 15 X 5 X 3	15 X 5 X 3	15 X 5 X 3	15 X 5 X 3
Wzrost 25 X 1 X 6	25 X 1 X 6	25 X 1 X 6	25 X 1 X 6
Wzrost 19 X 9 X 4	19 X 9 X 4	19 X 9 X 4	19 X 9 X 4
Wzrost 25 X 1 X 4	25 X 1 X 4	25 X 1 X 4	25 X 1 X 4
Wzrost 9 X 1 X 3	9 X 1 X 3	9 X 1 X 3	9 X 1 X 3
Wzrost 15 X 5 X 3	15 X 5 X 3	15 X 5 X 3	15 X 5 X 3
Wzrost 9 X 7 X 4	9 X 7 X 4	9 X 7 X 4	9 X 7 X 4
Wzrost 5 X 4 X 3	5 X 4 X 3	5 X 4 X 3	5 X 4 X 3

Dziękuję za listy		Dziękuję za listy	
Wzrost	Wzrost	Wzrost	Wzrost
Wzrost 17.50	17.50	17.50	17.50
Wzrost 40	40	40	40
Wzrost 18.38	18.38	18.38	18.38
Wzrost 4	4	4	4
Wzrost 6.00	6.00	6.00	6.00
Wzrost 5	5	5	5

10. WYPEDZENIE z PANIEWA i POBYT w GOPLANIE

Ten niby dobrowolny wyjazd z domu, opuszczenie wszystkiego, co nam było drogie, wyrzeczenie się warsztatu pracy, w który tyle włożyliśmy wysiłku, wszystko to składało się na to, że wspomnienie tego dnia należy do chyba najcięższych w moim życiu, do tego ci ludzie, którym przecież nie wyrzuciliśmy żadnej krzywdy, a którzy teraz bez cienia współczucia patrzyli przez uchylone drzwi na ten nasz exodus tak zniechęcająco, bowiem na wozie zaprzężonym w najgorsze, jakie wtedy były konie, siedział mój brat (BKD 53) z Anusią (BKD 55), a ja (BKD 52) z Kaziem (BKD 54) szliśmy pieszo za drugim wozem zaprzężonym w dwa chuderlawe woly¹⁸⁰. Wszystko się we mnie gotowało w bezsilnej złości na tych niesprawiedliwie krzywdzących nas ludzi, na tych, którzy byli autorami tego wszystkiego, co się wówczas w kraju działo, miałam nawet żal do Pana Boga, że może pozwalać na to wszystko.



181. Dworek pp. Serakowskich w Warzymowie, gdzie zamieszkali Karnkowscy po wygnaniu z Paniewa.



182. Obok zabytkowy kościół.

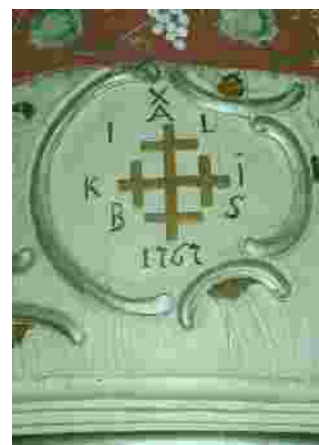
Całą drogę do Gopłany szliśmy z Kaziem pieszo za włoka się prawdziwie wolowym tempem zaprzęgiem. Panstwo Serakowsky przyjęli nas serdecznie ofiarując gościnnie tak długo jak zechcemy - przeznaczono nam duży ładny pokój, który umeblowaliśmy przewiezionymi meblami. Zjawili się panowie Grochulscy - wszyscy starali się jakos dodać nam ducha, pocieszając, że zapewne to wszystko, co się teraz dzieje jest przejściowe i że chyba wkrótce sytuacja nasza ulegnie zmianie.



183. Obraz nad drzwiami.



184. Kościół w zimie.



185. Data na ambonie

Tymczasem, ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, a nie chcieliśmy zbyt długo być na łasce naszych gospodarzy - prosiliśmy, aby nasi przyjaciele obmyślili jakąś pracę dla nas, który zresztą nie chciał pozostawać bezczynnym.

¹⁸⁰ Odmowa udzielenia nam dwóch wozów zaprzężonych w konie i jednego zaprzężonego w woly miała być dodatkowym elementem upokorzenia nas, bo o to też między innymi chodziło. Po kilku latach jeden z byłych pracowników mego Ojca zwierzał się Matce; że „nam nie chodziło o to, aby państwo opuścili Paniewo, wolelibyśmy, żebyście ramie w ramie z nami musieli harować na małych polkach”. Jak ktoś cierpi biedę to chciałby żeby jego „blizni” też podobnie cierpiał, a lepszy los sąsiada przyjmuje, jako niesprawiedliwość pod własnym adresem. Ta zawzięta ludzka jest motorem wszystkich ruchów komunistycznych, lub jak się wyraził prymas Wyszyński „ustroju sprawiedliwości społecznej”. Tzw. ustroje sprawiedliwości społecznej przyniosły w skutku nędzę olbrzymich obszarów globu i śmierć dziesiątków milionów ludzi. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Legenda. Mapa została powtórzona pod nr 117 (str. 122) i 198 (str. 198).

Mapa ta obrazuje ważne momenty z życia rodziny Karnkowskich:

- Dom rodzinny, miejsce życia i pracy do chwili wybuchu wojny w 1939r.,
- Czerwonym kolorem zaznaczono linię powrotu z ucieczki we wrześniu 1939 r.
- Żółta linia zaznaczono „szlak wypędzenia” rodziny Karnkowskich z ich domu rodzinnego.

186.

Skarpa (1), z której widac było wieżę kościoła (2) na pie, przedmieściu Skulska. Mostek (3) wysadzony przez polskich żołnierzy w 1939 r. w pobliżu, którego wyleciał na minie wóz wracającej z „ucieczki” rodziny Karnkowskich. Wyszadzony w powietrze most (4) kanału Włta-Gopło, przez który musiała się przeprawiać wracająca z „ucieczki” rodzina Karnkowskich. Dworek rodziny Sierakowskich (5), którzy przyjęli do siebie rodzinę Karnkowskich po wypędzeniu ich z Paniewa. Posiadłość braci Grochulskich, którzy otaczali stałą opieką rodzinę Karnkowskich. (7) Szkoła, gdzie uczył Teodor Karnkowski. (8) Miejsce zamieszkania rodziny Karnkowski, po wyprowadzeniu się od pp. Sierakowskich. (9) Gospodarstwo pp. Nowickich, skąd rodzina Karnkowskich wyjechała do Komaszyc pod Inowrocławiem. (10) Tzw. „branina” miejsce opisane w rozdziale „Topiel w przereblu”. (11) Areal przeznaczony na plantacje nasion. (12) Torfowiska. (13) Koncowa stacja kolejki waskotorowej do przewozu buraków cukrowych do cukrowni w Kruszwicy i silosy do kieszienia wytłoków. (14) Krzyżówka. Od krzyżówki do dworu w Paniewie położony był bruk, który „lud” podobnie jak kolejka waskotorowa rozebrał. (15) Areal przeznaczony pod plantacje ogórków. (16) Gospodarstwo pp. Kowalskich.

Ponadto należy wyróżnić następujące miejscowości: Popielewo - majątek pp. Lisewskich, którzy udzielili wielokrotnie dużej pomocy rodzinie Karnkowskich na „wysiedleniu”. Lisewo - majątek Ciotki Niuski Mittelstaedt z d. Leszczyńskiej Buszkowo - majątek rodziny Zychlińskich. Czartowo - miejsce zamieszkania pp. Kowalskich, którym rodzina Karnkowskich zawdzięcza przechowanie wszystkich oddanych rzeczy..



187.

Jak wyżej, część terenu pokazanego na poprzedniej mapie widziany z lotu ptaka. Część „szlaku wypędzenia” zaznaczono czerwoną linią.

Propozycja ta jak najbardziej nam odpowiadała, tym bardziej, że obiecano znaleźć jakieś dla nas mieszkanie. I rzeczywiście wkrótce wyprzedano jakąś opuszczoną chałupę, w której największa izba przeznaczona na szkołę, a druga mniejsza dla nas na mieszkanie, była też niedużą kuchnią i chlewik gdzie mogliśmy chować prosiaka i choć kilka kur¹⁸¹. Uradowani, że nareszcie będziemy u siebie, skwapliwie zajęliśmy ową chałupę; dzieci zgłosiły się licznie do szkoły, gdzie również i Anusia zaczęła zaznajamiać się z alfabetem i tabliczka mnożenia. Ponieważ nie kursowały jeszcze wtedy pieniądze, a gospodarze chcieli jakos wynagrodzić meza za jego prace, znosili jajka i to w takiej ilości, że nie przypominam sobie, zebym kiedykolwiek w życiu dysponowała taką ich masą. Tak, więc Maz miał zajęcia, Anusia chodziła do szkoły, ja krzątałam się koło gospodarstwa, a Kazio całe dni spędzał na montowaniu z różnych znalezionych części roweru, którym dość często jeździł do Paniewa, skąd wracał obdarowany jarzynami i owocami przez „zycziwego” nam ogrodnika¹⁸².

Dnia 9 maja, była to niedziela, poszliśmy oczywiście p... do kościoła - po nabożeństwie zauważyliśmy jakiś niezwykle ruch między zgromadzonymi ludźmi, ktoś żywo gestykulując głośno perorował. Zaintrygowani zbliżyliśmy się do nich i nagle usłyszeliśmy słowa, na które czekał tyle lat każdy człowiek i cały świat - wojna jest skończona, Berlin się poddał, Hitlera diabli wzięli. Ludzie z początku nie wierzyli w tę szczęśliwą wieść, lecz w końcu przestali powatpiewać słysząc zapewnienia przybyłych, że wiadomość jest prawdziwa, zaczęto się sciskać i całować, wielu oblało tę wiadomość obficie wtedy pedzonym bimbrem, a my wróciwszy do kościoła dziękowaliśmy Bogu, że nareszcie zechciał położyć kres tej straszliwej tragedii.

Wkrótce zaczęły wracać oddziały zwycięskich żołnierzy radzieckich - pełno było ich wszędzie - i nas nie ominęło spotkanie z nimi. Pewnej nocy ktoś zaczął energicznie... bijąc się do naszych drzwi. Okazało się, że to dwóch żołnierzy szukających nocnych przygód. Oświetlając pokój latarka elektryczna zobaczyli mnie leżącą w łóżku i nie zwracając uwagi na obecność dzieci śpiących również w tym pokoju, zaczęli zdradzać niedwuznaczne zamiary, na co mój maz energicznie uswiadamiac zaczął ich, że zona jest ciężko chora i mogłoby się owa choroba zarazić, zrezygnowali z swych zamiarów a nawet wszczęli przyjacielską rozmowę, a dowiedziawszy się, że mój maz jest nauczycielem, zaczęli nas traktować nawet z pewnym respektem. Nagle oświetlając pokój zauważyli wiszący na ścianie dużych rozmiarów portret znajomego mojego brata Japonczyka, którego właśnie sportretował - obraz ten, zresztą bardzo udany (dostał za niego pierwszą nagrodę na wystawie w Genewie) wykrzyknęli: „a to Hitler!”. Japonczyk miał podobny do Hitlera wąsik, i to im wyszło na podejrzanie, że jesteśmy zwolennikami Hitlera. Z największym trudem udało się wyprowadzić ich z błędu.

Jakos z końcem maja postanowiłam wybrać się do Wicininina - od powrotu z wygnania ciągle przesładowały mnie wspomnienia związane z dzieciństwem, w snach ciągle widziałam Matkę, to przypominały mi się różne fragmenty ogrodu wicininiego lub poszczególne pokoje itd. Wreszcie... złamałam do wniosku, że może, jeśli tam pojedzie i zobaczy jak to tam wszystko obecnie wygląda, wizję tę przestana mi zameczac. Początkowo maz odradzał mi tę wyprawę, twierdząc, że zobaczenie na własne oczy domu i wszystkiego tam w Wicininie w stanie, w jakim musi obecnie być, wpłynie fatalnie na moje samopoczucie, ale widząc, że napięcie, w którym od kilku tygodni znajduje się nie mija, zgodził się wreszcie na mój wyjazd. Oczywiście większa część drogi trzeba było odb... pieszo, to znaczy do Sompolna, dopiero stamtąd można było dojechać wąskotorową kolejką prawie na miejsce.

Doszedłszy do ogrodu wicininiego, nie mogłam wprost zdobyć się na odwagę pójścia wprost do domu, wolałam przejść powoli przez ogród - wyglądał szalenie zaniedbany, ale na szczęście nie zd... ani jeszcze wyrabac drzew, natomiast ów piękny parter, który opisywałam w pierwszej części... ich wspomnień, przedstawiał prawdziwie żalostny widok. Chmara dzieciaków i psów bawiła się na tak pięknie zawsze utrzymanych klombach, a mnóstwo klatek z kaczkami i kurami porożstawianych na tak zawsze starannie utrzymanych trawnikach dopełniało obrazu. Całe otoczenie domu było nieprawdopodobnie zasmiecone, resztki połamanych mebli leżały dookola, a pod oknem saloniku spoczywał trup zdruzgotanej karety¹⁸³. Obeszłam dookola domu, aby się don... dostac frontowym wej... em - gdy zobaczyłam stojącego w drzwiach Wesolowskiego jednego z młodszych formalii. Gdy mnie ujrzał stanął jak wryty - robił wrażenie, jak gdyby zobaczył ducha. Wszłam do środka kierując się najpierw do jadalnego - stanął obecnie rodzaj świetlicy, fortepian miał zamiast jednej nogi beczkę od kapusty, na której... której... się... wspiął.

¹⁸¹ Później dano nam do dyspozycji mieszkanie w trochę lepszym domu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁸² Charakterystyka postaci tego ogrodnika Lucjana Laskowskiego wymaga uzupełnienia. W Paniewie ludzie w oczy byli bardzo serdeczni, ale akcja przeciwko nam prowadzona była za plecami. P. Laskowski został przyjęty na ogrodnika „za Niemców”. Po wyzwoleniu wylał wszystkie siły, żeby w ramach parcelacji dostac urządzony ogród, co mu się udało. W ramach swej „zycziwości” zaproponował, że kiedy tylko będziemy w Paniewie, możemy, bez pytania narwać sobie w ogrodzie tyle owoców ile będziemy chcieli. Gest ten zbyt wiele go nie kosztował, bo mieszkaliśmy 7 km od Paniewa, a co może ubierać i przynieść 12 letnie dziecko. Poza tym byli pracownicy majątku chodzili bez zenady codziennie... grodu na owoce, bo uważali, że to wszystko jest teraz własnością wszystkich byłych pracowników majątku, a nie jedynie p. Laskowskiego, „bo to byłoby przecież niesprawiedliwe”, a im chodziło zawsze tylko o „sprawiedliwość”, prymasowi Wyszyńskiemu zresztą także. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁸³ Oto obraz tzw. kultury ludu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Był to ranek świąteczny (Wniebowstąpienie), więc nikogo jeszcze nie było, skierowałam się do salonu zamienionego w salę szkolną. Na ścianach tkwiły jeszcze gwoździe po wiszących tam niegdyś obrazach, później dowiedziałam się od Marcina, że obrazy pocięły zamieszkujące tu po zbombardowaniu wielu miast w Niemczech zachodnich Niemki. Ponieważ panie te nudziły się, więc postanowiły zająć się wyplataniem koszyczków ze słomy, a że do ich usztywniania potrzebna była tektura, więc wobec tego nie mając nic innego pod ręką krajały po kolei wszystkie wiszące w pokojach obrazy - oto dzieło tzw. Kulturträgerów. Wtedy to chcąc uratować przynajmniej portret Matki, zabrał go po kryjomu do siebie, gdzie jednak wkrótce znalazły go Niemki i uradowane zabrały - bo przecież większy od tamtych - starczy, więc tektury na kilka koszyczków¹⁸⁴.

Po chwili dowiedziawszy się o moim przybyciu zjawił się Marcin - rzuciliśmy się sobie w objęcia i oblałymi łzami spotkanie po tylu latach doświadczeń i mniej lub bardziej tragicznych przeżyć. Powiedział, że Janusz¹⁸⁵ (BKD 500) - który tu już w lutym przyjechał od razu przeznaczył salon na szkołę i nawet zdążył kazać stelmachowi porobić do niej ławki, a przede wszystkim sprowadził bardzo porządną, sympatyczną nauczycielkę, umieszczając ją w dawnym pokoju Ojca. Ponieważ zaraz po zakończeniu wojny, Janusz już wtedy Włocławek opuścił, spalili¹⁸⁶ się dwunastoraki, więc wszyscy, którzy tam mieszkali przenieśli się do dworu, tak, że w tej chwili wszystkie pokoje są zajęte - on sam z żoną mieszkają w dawnym saloniku.

Na moje pytanie, co się stało z pięknymi lustrami - było ich 6 każde z konsolą odpowiedział, że kilka zatrzymali nowi lokatorzy, a resztę zabrali ci, którzy mieszkali w osmiorakach, które z pożaru ocalały, a ponieważ ich izby były niższe od pokoiów w dworze, odpowiednio je skrócili tak, aby mogły się zmieścić.



188. Dwór w Włocławku od strony ogrodu. Zdjęcie z września 1994 r. Przed domem stoi p. Krystyna Echaust siostra Marii (BKD 505) z Echaustów Kamkowskiej. Zdjęcie nie wymaga komentarza.



189. Dwór w Włocławku od podjazdu. Zdjęcie z września 1994 r. Widok zaniedbania był dla autorki w czasie jej wizyty w 1945 r. szokiem.

¹⁸⁴ Jak widac kultura „ludu” czy to u Polaków czy u Niemców znajduje się na zbliżonym poziomie. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁸⁵ Charakterystyczne!!! U chłopów równoprawnych obywateli państwa posiadających powszechne, aktywne i bierno-prawo wyborcze na pierwszym miejscu stoi rabunek, cudzej własności, rzeczy, z którymi nie potrafi się obchodzić, jak np. fortepian. U ziemianstwa „obszarników i wyzyskiwaczy”, którzy za chwilę mają zostać wyciśnięci ze swej ojcowizny i warsztatu pracy i obrabowani, na pierwszym miejscu stoi zorganizowanie szkoły, we własnych nawet pomieszczeniach i będąc prawie „bez grosza” zamówienie ławek szkolnych, oraz zaangażowanie nauczycielki. Tak zresztą było i pod rozbiórami, oraz na drugi dzień po wypędzeniu zaborców. Prymasowi Tysiąclecia Wyszyńskiemu, temu pogromcy komunizmu, bystrości nie można odmówić. Tak, tak „ten ustroj naprawdę ostac się nie mógł!”.

¹⁸⁶ Przyczyny, ani sprawcy pożaru nikt nie szukał. Po 1945 r. częste były celowe podpalenia mieszkań pracowników rolnych, aby wymusić pozwolenie na przeniesienie się do dworu, który następnie uległ dewastacji.

Zniszczenie i wandalizm były widoczne na każdym kroku - wszystkie obicia krzesel i foteli i kanap pozdzierane, lub powycinane, a np. wanne znalazłam pełna zboża w dawnym pokoju mej Matki, a potem moim, zajętem teraz przez Ignaca z rodzina. Wreszcie po tej smutnej inspekcji Marcin poznał mnie z nauczycielką, która rzeczywiście okazała się miłą osobą - zaprosiła mnie na obiad, ostatni, jaki jadłam w moim rodzinnym domu. Marcin, aby go uswietnic, osobiście poszedł do ogrodu, aby wyciąć szparagi. Do stołu podawał w czarnym garniturze i białych rękawiczkach, a gdy wyraziłam na ten widok zdziwienie powiedział: „Chciałem ostatni raz w moim życiu usłużyć Jasnie Pańce jak się należy”. - Zwróciłam się do Ignaca z prośbą, aby mnie zawiózł, do Brdowa, gdyż jest święte miejsce - chce być na Mszy św., a także na grobie mej matki. Jakos zorganizował parę koni i mocno sfatygowana bryczka zawiózł mnie do Brdowa. Tegoż samego dnia opuściłam Wiecinin niosąc na plecach znalezione w pokoju Marcina ulubioną małą kopię główki uroczej dziewczyny malowaną przez Greuza, a także jedyny dotąd jeszcze niestłuczony ogromny, jeszcze wyprawny mojej Matki, półmisek z ładnej berlińskiej porcelany z czerwoną ozdobioną złoceniami obwódka. Pożegnawszy się czule z Marcinem powędrowałam do Mchowa i kolejno dotarłam do Sompolna już późnym wieczorem. Noc spędziłam u Tadeuszowej Krzymuskiej, która tam się na razie zatrzymała czekając z trójką dzieci na powrót meza, który znalazł się w armii Andersa i brał udział w walkach na terenie Włoch. Biedna nie doczekała go - nie wrócił z dalekiego frontu.

Wydaje się to dziwne - ale tak rzeczywiście było, że po tych odwiedzinach Wiecinina, uspokoiłam się i już nigdy wizje przypominające mi dom rodzinny i wszystko, z czym był złączony nie męczyły mnie po nocach. Wszystko, co tam zobaczyłam, było zbyt silnym szokiem - wolałam zapomnieć o wszystkim¹⁸⁷.



190.

Dwór w Wiecininie w 1996 r. Widok od frontu. Przy samochodzie Maria (BKD 505) z Echaustów Karnkowska, synowa autorki.

Ponieważ mój mąż był teraz pracownikiem podlegającym Wydziałowi Oświaty w Bydgoszczy i tam był zarejestrowany, przeto przydzielono mu paczkę z UNRR'a, których wiele wtedy do Polski przysyłano. Postanowiłam sama po nią pojechać - tym bardziej, że chciałam się dowiedzieć, czy firma nasienna Szukalskiego, do której przez kilka lat plantowałam nasiona ogrodnicze, jeszcze istnieje i czy nie udałoby się nawiązać z jej właścicielem kontaktu - może mógłby nam jakos pomóc i znaleźć, przynajmniej dla mnie, jakieś zajęcie - sytuacja polityczna nie ulegała zmianie - trzeba było pomyśleć o zorganizowaniu sobie jakiegos znośnej egzystencji tym bardziej, że Kazio, który i tak na skutek działań wojennych stracił cały rok, powinien jak najprędzej znaleźć się w gimnazjum.

¹⁸⁷ W 1996 r., w czasie z wizyty w Polsce odwiedziłam Wiecinin, który już wtedy miał nowego właściciela i zrobiłam kilka fotografii, dworu, oraz pozostałych budynków gospodarskich. Pokazują one stopień wandalizmu i niszczenia substancji budowlanej w Polsce w czasie PRL, oraz zamiary dalszej dewastacji po upadku komunizmu. Ponieważ te zdjęcia obrazują dalsze dzieje stron związanych ze wspomnieniami autorki postanowiłam je włączyć do niniejszego wydania.



191. Dwór w Wecininie w 1996 r. Ujęcie 2.



192. Dwór w Wecininie w 1996 r. Ujęcie 3.



193. Wecinin. Oficyna (?)



194. Wecinin, zabytkowy spichlerz. Na drzwiach na górnej kondygnacji tabliczka z napisem „do rozbiórki”. Jak widac brak koncepcji do wykorzystania.

Gdybysmy mieli nadal siedzieć w Goplanie do jakiegos gimnazjum mógłby uczeszczać skoro czy to do Konina, czy do Inowroclawia bylo tak daleko, a na to zebyśmy mogli oplacic stancje w któryms z tych miast absolutnie nie mieliśmy pieniedzy. Gdybysmy mogli ulokowac sie blizej jakiegos wiekszego miasta sprawa byla rozwiązana. Pojechalam tedy po owa paczke i odwiedzilam p. Szukalskiego. Obiecail, ze stara sie nam pomóc i ze nawet ma pewne widoki na to, ze sie koncepcja, która ma na mysli, uda. I rzeczywiscie wkrótce otrzymalam list, w którym donosil mi, ze ma dla mnie, a nawet i dla meza znakomita propozycje - prosil, abym jak najpredzej zjawila sie u niego. Oczy scie niezwlocznie pojechalam - chodzilo o to, ze p. Sz. zamierza zalozyc duza plantacje nasienna kolo Nakla i proponowal kierownikowi tamtejszej placówki moja kandydature - mial nawet nadzieje, ze i maz znajdzie tam prace, jak administrator duzego gospodarstwa rolnego, wchodzacego w sklad calosci. W kazdym razie zapewnial, ze zgłaszajac nasza kandydature poparl ja jak najpochlebniejsza o nas opinia. Znal nas przeciez od dawna i wiedzial, ze nie zawieziemy jego zaufania, jakim nas obdarzal. Wybralam sie tam nazajutrz, rzeczywiscie calosc zakladu wygladala o ecejaco; piekna rezydencja dawnych wlascicieli, liczne oficyny a takze wiele widac, ze niedawno postawionych budynków. zukalski nie uprzedzil mnie, ze proponowany przez niego obiekt jest karna placówka, przeznaczona zarówno dla pozostalych w tym rejonie Niemców, a takze dla tych, których obecny rezim wolal trzymac pod kluczem. Bylam ogromnie zdziwiona zo czywszy liczne posterunki policyjne zaryglowane bramy, badawcze spojrzenia, którymi mnie obrzucano, gdy przekraczalam bramy i furtki. Zaprowadzono mnie wreszcie do kancelarii komendanta tej stale tajemniczej dla mnie placówki¹⁸⁸. Pan ten okazal sie byc czlowiekiem bardzo uprzejmym i kulturalnym - zaczal rozmowe od zapewnienia, ze jest przez p. Sz. ja najkorzystniej do nas nastawiony i ze pragnie bardzo, abysmy mogli jak najpredzej dojsc do porozumienia i objac proponowane przez niego obowiazki, to znaczy mojemu mezowi proponuje posade administratora gospodarstwa rolnego a mnie kierowanie plantacjami nasiennymi. Chce wykorzystac dostateczna ilosc rak do pracy - wie, ze ogrodnictwo tego wymaga i zalozyc rzeczywiscie na wielka skale hodowle roslin warzywnych i kwiatowych. Warunki, które proponowal byl wprost oszalamiajace przynajmniej dla nas, którzy bylismy wlasciwie wówczas nedzarzami, bez gotówki z zdekomplet wana garderoba, wlasciwie braklo nam wszystkiego.

¹⁸⁸ Byl to obóz pracy w Potulicach. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

W rozmowie, która przybrała przynajmniej z mej strony dość szczerzy charakter - uważałam, że pracodawca powinien wiedzieć, z kim będzie mieć do czynienia i jakie są jego poglądy.

Komendant spojrzal dosc podejrzliwie na mnie i przycisnym glosem powiedzial: „niech pani pamietä, ze sciany maja tutaj uszy”. - Troche mnie to speszylo, to tez, gdy zawezwany funkcjonariusz zakladu oprowadzal mnie po jego terenie, zaczelam orientowac sie, kim sa owi „liczni pracownicy”, na których liczył p. Szukalski, pragnac wlasnie tu zlokalizowac przyszle plantacje nasienne. W dodatku, gdy opuszczalam zaklad straz pilnujaca bram a zwlaszcza glównego wejscia, utwierdzila mnie w podejrzeniach, ze wlasciwie miejsce, do którego trafiam, jest obozem karnym i to nie tylko dla Niemców.

Po dluzszej naradzie z mezem zdecydowalismy, ze choc propozycja jest wyjatko necaca, to jednak wolimy klepac w dalszym ciagu biede niz wiazac sie z tego rodzaju instytucja. Ale jak uzasadnic odmowe? Wreszcie postanowilismy zlozyc wszystko na karb nieprzewidzianej choroby meza i po kilku dniach wyslalismy odpowiedz, uzasadniajaca odmowe. Otrzymalismy list wyrazajacy zal i zawód spowodowany obrana wiadomoscia i wyrazajacy równocześnie nadzieje, ze z chwila, gdy maz wyzdrowieje zjawimy sie. List ten pozostawil bez odpowiedzi - a my dziękowalismy Bogu, zesmy w pore wycofali sie z calej tej imprezy. Trzeba bylo jednak nie ustawac w staraniach o przeniesienie sie blizej jakiegos miasta, gdzie by Kaziowi umozliwic nauke w gimnazjum.

Na szczescie Janusz (BKD 500) gospodarujacy, jak juz wspomnialam w Wielkiej Koludzie, dowiedzial sie gdzi przebywamy i pewnej niedzieli zjawili sie u nas oboje (BKD 500 i 501). Radosc byla wielka, nie widzielismy sie przeciez od pogrzebu Ojca (BKD 51) i nie widzielismy nic zupełnie, co sie z nimi dzialo, a podobnie oni stracili nas zupełnie z oczu. Janusz zorientowawszy sie w naszej sytuacji postanowil postarac sie o znalezienie odpowiedniej dla meza pracy i w ten sposob wyciagnac nas z Goplany. Dotrzymal obietnicy i wótce zjawil sie z konkretna propozycja: dzieki znajomosci z kuratorem szkolnym w Bydgoszczy uzyskal nominacje meza na kierownika gospodarstwa przyznanego powstalej na tamtejszym terenie gminnej szkoly rolniczej w Komaszycach, gdzie równiez, jako majacy po temu uprawnienia, mial wykladac. Propozycja byla ze wszech miar nam odpowiadajaca, przede wszystkim Komaszycy byly odlegle od Inowroclawia o 7 km, wiec Kazio (BKD 54) mógł do gimnazjum dojezdzac rowerem, poza tym warunki, choc nie nadzwyczajne jednak dawaly moznosc, jakiej takiej egzystencji. Janusz ofiarowal sie ulatwic nam dojechanie na miejsce - i rzeczywiście na umówiony dzien zjawil sie samochod ciezarowy, na który zaladowalismy skromny dobytek, dolaczajac ofiarowana nam przez Janusza na nowe gospodarstwo piekna holenderke (krowe). Przed tym jednak postanowilismy wykorzystac przysluguje nam prawo zabrania reszty naszych rzeczy, które bysmy ewentualnie znalezi w Paniewie.

P. Grochulski ofiarowal nam do dyspozycji wóz, którym wót raz ostatni wybralam sie do Paniewa. Chodzilam tam od chalupy do chalupy i w razie odnalezienia czegokolwiek, co do nas nalezalo moglam to zabrac - nikt nie mial mi prawa tego odmowic. Odnalazlam troche naszych rzeczy tak zwanej domowizny - a nawet o dziwo sliczna malenka filizaneczke do czarnej kawy i to ze spodeczkiem - istnieje dotad u mojej córki i jest uzywana jedynie przez specjalnie milych gosci, jako wyjatkowe wyróżnienie. Gdy zjawilam sie wówczas w Paniewie niektóre niewiasty wpadly w poploch i usilowaly pochowac to wszystko, czym sie we dworze oblowily¹⁸⁹. Jedna z nich nie zdazyła ukryc posiadanych rzeczy dosc wczesnie tak, ze gdy weszlam do mieszkania, zobaczylam tylko wystajace z pod lózka piety wlascielki. Wreszcie wylazlszy stamtad zaczelä goraco zaklinac sie, ze nie ma zupełnie niczego, co by do nas nalezalo - tak mi sie wstyd zrobilo, ze machnawszy reka opuscilam owe mieszkanie, zaniechawszy ewentualnego poszukiwania czegokolwiek, co by sie pod lózkem jego wlascielki znajdowac moglo.

W okolicach Paniewa znalezc mozna do dzisiaj t.j. 67 lat od chwili parcelacji majatku, zrabowane drobne przedmioty, stanowiące dla wydziedziczonej rodziny cenna pamiatke osobista, których rabusie nawet nie potrafili uzywac. Pewnego dnia p. Katarzyna Mejer, wspomniana uprzednio, wnuczka p. Józefa ze Zrąbkowskich Radziszewska pokojówki w Paniewie, zostala zagadnieta przez pewna osobe, czy nie chcialabym, „czegos takiego”. P. Mejer rozpozнала, przedstawiony na fotografii koszyczek do szklanek na herbatę, kupila to i przeslala mi, jako prezent. P. Mejer osoba spostrzegawcza o wysokiej kulturze, spostrzegla na denku koszyczka firmowystempel znanej warszawskiej firmy Fraget. Idac dalej po tropie znalazla w katalogu, jakie stemple bito, w jakich latach. Wynika z tego, ze koszyczek wyprodukowany zostal w latach 1860-1896, tzn. byc moze jeszcze przed Powstaniem Styczniowym, 116 do 152 lat temu i posiada wartosc muzealna. Byl on prawdopodobnie wlasnoscia moich prapradziadków, kiedy wót czesc mieszkali w Warszawie, gdzie prapradziadek byl lekarzem z zakladzie dla Gluchoniemych. Po przejsci u na emeryture, opuszczeniu Warszawy i przeniesieniu sie najpierw do Stanislawic a nastepnie do Wiecinina pradiadkowie zabrali te koszyczki ze soba. Nastepnie z Wiecinina Autorka zabrala je, z którymi byc moze byla zzyta od dzieciństwa, jako czesc swojej wyprawy do Paniewa.

¹⁸⁹ Taki byl poziom mieszkanców wsi polskiej po 1000 letniej historii chrystianizacji w czasie, której Kosciól mial na nich prawie nieograniczony wplyw, lacznie z lekcjami religii w szkolach i którzy dwa razy dziennie powtarzali w pacierzu „nie kradnij” i „nie pozadaj zadnej rzeczy, która jego jest”. Ale jesli kardynal Wyszyński ten samozwanczy interes, ten mas tyśaciecia, w imieniu Kosciola „dokonal wielkiego wyzwolenia sumien, którym zabezpieczyl wolnosc walki o sprawiedliwy ustrój spolecny”, to, co mieli zrobic zwykli wierni. Kosciól do dzisiaj nie wypowiedzial sie jasno w tej sprawie myslac, ze ludzie zapomna o tym jak i o innych zbrodniach, w których uczestniczyli przedstawiciele Kosciola. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



195. Fotografia koszyczka do szklanek na herbatę.

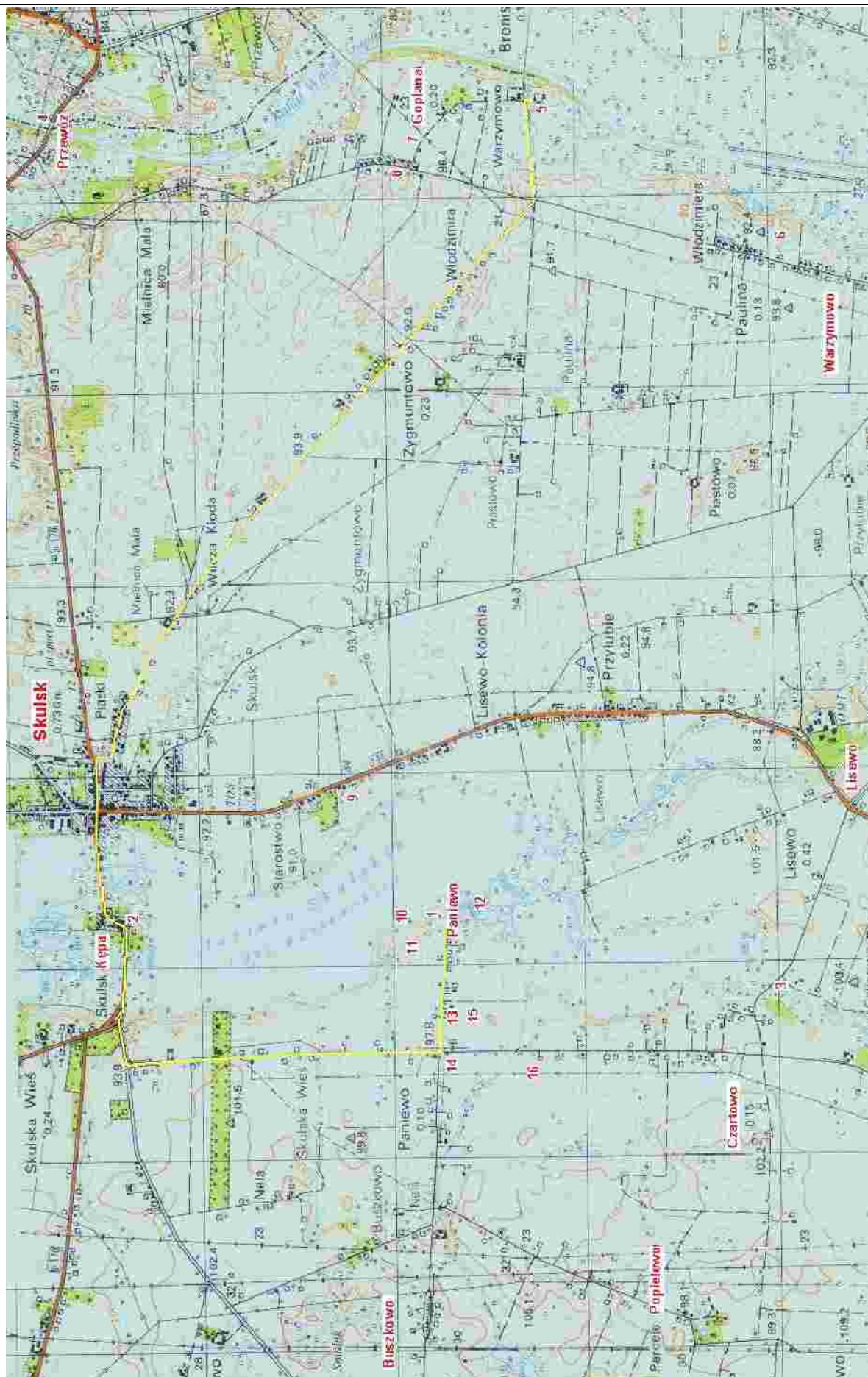


196. Znak wybity przez firmę na koszyczku.

LATA	ZNAK GŁÓWNY	ZNAKI DODATKOWE					
		1 QUALITE 1 DTE		PLATEAU	GALV		NR KATA- LÓDOWY
1824							
	FRAGET A WARSZAWIE DOUBLEE						
1840							
1851							
1859							
1860							
1896							
1915							
1939							

— znak bity regularnie
- - - znak bity nieregularnie

197. Rodzaje znaków wybijane na produktach Fraget'a w różny okresach czasu.



Ostatni etap wypędzenia rodziny Karnkowskich z Paniewa.

Mapa została powtórzona pod nr 117 (str. 122) i 186 (str. 190).

198. Położenie majątku Paniewo. Skarpa (1), z której widac kołoz wieze kościoła (2) na Kępie, przedmieściu Skulska. Mostek (3) wysadzony przez polskich żołnierzy w 1939 r. w pobliżu, którego wyleciał na minie wóz wracającej z „ucieczki” rodziny Karnkowskich. Wysadzony w powietrze most (4) na kanale Warta-Gopło, przez który musiała się przeprawić wracająca z „ucieczki” rodzina Karnkowskich. Dworek rodziny Sierakowskich (5), którzy przyjęli do siebie rodzinę Karnkowskich po wypędzeniu ich z Paniewa. Posiadłość braci Grochulskich, którzy otaczali stałą opieką rodzinę Karnkowskich. (7) Szkoła, gdzie uczył Teodor Karnkowski. (8) Miejsce zamieszkania rodziny Karnkowskich, po wyprowadzeniu się od pp. Sierakowskich. (9) Gospodarstwo pp. Nowickich, skąd rodzina Karnkowskich wyjechała do Komaszyc pod Inowrocławiem. (10) Tzw. „branina” miejsce opisane w rozdziale „Topiel w przereblu”. (11) Areal przeznaczony na plantacje nasion. (12) Torfowiska. (13) Koncowa stacja kolejki wąskotorowej do przewozu buraków cukrowych do cukrowni w Kruszewicy i silosy do kiszzenia wytłoków. (14) Krzyżówka. Od krzyżówki do dworu w Paniewie położony był bruk, który „lud” podobnie jak kolejka wąskotorowa rozebrał. (15) Areal przeznaczony pod plantacje ogórków. (16) Gospodarstwo Kowalskich.

Ponadto należy wyróżnić następujące miejscowości: Popielewo - majątek pp. Lisewskich, którzy udzielili wielokrotnie dużej pomocy rodzinie Karnkowskich na „wysiedleniu”. Lisewo - majątek Ciotki Niuski Mittelstaedt z d. Leszczyńskiej. Buszkowo - majątek rodziny Zychlinskih. Czartowo - miejsce zamieszkania pp. Kowalskich, którym rodzina Karnkowskich zawdzięcza przechowanie wszystkich oddanych rzeczy. Żółta linia zaznaczono „szlak wypędzenia” rodziny Karnkowskich z ich domu rodzinnego.

Tak, więc podziękowawszy serdecznie naszym przyjaciołom w Goplanie¹⁹⁰ za serdeczną życzliwość, której dowodów ostatnio doznaliśmy, ruszyliśmy w drogę do Komaszyc, następnego z licznych w naszej powojennej tułaczce miejsc zamieszkania.

¹⁹⁰ Ponieważ samochód ciężarowy, który miał nas przewieźć do Komaszyc nie mógł dojechać po piaszczystej drodze do Goplany, skorzystałem znowu z pomocy zaprzyjaźnionych z Ojcem jeszcze od przed wojny gospodarzy. Tym razem był to p. Nowicki, który z rodzicami (dorobili się na emigracji w USA) miał gospodarstwo „na przeciwko” Paniewa po drugiej stronie jeziora. Przewieźliśmy uprzednio wieczorem nasze rzeczy wozami z Goplany do pp. Nowickich, gdzie przenocowaliśmy i skąd rano zabrał nas do Komaszyc samochód przysłany i zapłacony przez wujka Janusza. Pp. Nowicki przyjęli nas bardzo gościnnie i na nocleg udzielił nam własnej sypialni wyposażonej w nieopisaną ilość poduszek. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

11. L I S T Z U S A

Pewnego dnia otrzymałem następujący e-mail. Nawiązałem korespondencję i otrzymałem dalsze listy i fotografie.

Szanowny Panie Kazimierzu 12 Kwiecień 2012

List ten może Pana zaskoczyć, ale postanowiłam go mimo to napisać. Chodzi o dwór w Wiecininie. Bedac dzieckiem, spędzałam w Wiecininie w latach szesćdziesiątych kilka letnich wakacji i stąd dobrze pamiętam piękny pałac i park, a także czworaki i spichlerz. Zawsze byłam zainteresowana czyją własnością był pałac i kto w nim kiedyś mieszkał.

W internecie znalazłam informacje o Panu i o tym o tym jak starał się Pan odzyskać ten rodzinny majątek. W internecie też znalazłam Pana adres. Ja obecnie mieszkam w USA i czasie mojej ostatniej Wielkanocnej wizyty u rodziny w Poznaniu w kwietniu tego roku odwiedziłam Wiecinin.

Ze wzruszeniem obejrzałam dwór z zewnątrz i obezłam park. Choć na pewno terazniejszy stan pałacu i parku różni się od czasów przedwojennej świetności i nawet od tego, co pamiętam z lat 60 tych, to stale jest bardzo piękny i bliski mojemu sercu.

Od miejscowych ludzi dowiedziałam się, że obecny właściciel pałacu i parku jest zainteresowany jego sprzedażą i pomyślałam, że może to dla Pana, albo kogoś z Panskiej rodziny ważna wiadomość.

Serdecznie pozdrawiam,

Anna Beutler 160 Lincoln Road Collegeville, PA 19426, USA.

Jaka miła niespodzianka? 2012-04-23

Bardzo się cieszę i bardzo dziękuję za kopie pamiętników Matki. Choć to duży dokument, to doszedł jest czytelny. Na pierwszy rzut oka widzę, że jest dużo nowej treści i zdjęć. I do tego kolorowych. Wydrukuję go w kolorze i oprawie. Do tej pory miałam tylko białoczarne kopie pamiętników z 2003 odbita przez Ossolineum we Wrocławiu. Jak tylko znajdzie chwilę spokoju zabiorę się do studiowania nowej wersji. Jeszcze raz bardzo dziękuję, nie spodziewa się Pan nawet ile mi sprawił radości. Serdeczne pozdrowienia. Anna Beutler (USA).

Szanowny Panie Kazimierzu 2012-04-24

Wysyłam 2 fotografie. Na jednej jestem ja z mężem w czasie ostatniej wizyty w Polsce.

Druga (w osobnym emailu) przedstawia dwór od zajazdu. W trzecim emailu przesyłam zdjęcie stałe pięknej alei grabowej. Z załączonej fotografii widac że stale cina się drzewa wokół dworu. Złoty cisów nigdy mi się nie udało zobaczyć, choć jak wynika z pamiętników Pana Matki w 1964 r. stale jeszcze w Wiecininie były. Cieszę się że nasze zdjęcia z Wiecinina będzie Pan mógł wykorzystać w uzupełnieniu pamiętników Matki. Prosiłabym tylko żeby Pan uwzględnił autorstwo zdjęć, zrobionych przez mojego męża, Władysława Janowskiego. Swoją drogą czytam pamiętniki jeszcze raz żeby sobie przypomnieć wizycie w Wiecininie odświeżyć jego historię.

Jestem lekarzem i przyjechałam do USA w 1989 żeby się dalej kształcić w wiedzy medycznej. Życie potoczyło się tak, że do dzisiaj mieszkamy w okolicach Filadelfii.

Zalaczam serdeczne pozdrowienia.

Anna



199. Jakuszyce, kwiecień 2012.
Pp. Władysław Janowski i Anna Beutler.



Włocin Kujawy IV/2012

200. Dwór w Włocinie, widok od frontu. Stan z kwietnia 20 . Fot. Władysław Janowski.



Włocin Kujawy IV/2012

201. Dwór w Włocinie, widok od ogrodu. Stan z kwietnia 2012. Fot. Władysław Janowski.

12. K O M A S Z Y C E

Pierwsze wrażenie było raczej dodatnie - przeznaczone dla nas dwa duże pokoje, a także przyzwoitych rozmiarów kuchnia wydawały się nam prawie luksusowe. Jeden z nich był dawniejszym salonem pp. Mickich byłych właścicieli Komaszyc. Całość była specjalnie na naszą intencję pomalowana tak, że gdy poustawialiśmy przywiezione przez nas meble, całość przedstawiała się wcale dobrze. Najgorsza przynajmniej na razie strona tego mieszkania był brak WC. Naturalnie, że tak łazienki jak i wyżej wymienione przybytki, istniały w przeciwieństwie prawie do luksusowo wyposażonego dworu, zresztą ludzi bardzo zamożnych, jednak wtedy, gdyśmy się tam zjawili, po kilku miesiącach bezkrólewia, klozety były pozapychane, a wodociągi nie funkcjonowały¹⁹¹. Toteż jedna z najpilniejszych rzeczy, która należało obić to wybudowanie choćby w ogrodzie owego niezbędnego przybytku, szczególnie wobec cej od jesieni otworzyć swe wrota szkoły dla mającej się tu uczyć młodzieży. Wkrótce okazało się zorganizowanie nie tylko szkoły (liczba zgłaszających się kandydatów była ciągle znikoma), ale przede wszystkim otrzymanie przyznanego gospodarstwa będzie utrudnione. Dawni pracownicy uważali się za pokrzywdzonych przez zmniejszenie na rzecz szkoły a alu, który przypadał do podziału, to też zrobili wszystko, co było w ich mocy, aby utrudnić mezowi i tak niełatwe zadanie¹⁹².



202. Wieranda



203. Elewacja frontowa.

Dwór w Komaszycach koło Inowrocławia, wł. pp. Mickich. Tu w pięknym pałacyku: zelektryfikowanym i skanalizowanym, co przed wojną było rzadkością, po tzw. reformie rolnej 1944/45, powstała Gminna Szkoła Rolnicza, aby uczyć parcelantów zasad agrotechniki. Ni tego, chłopcy nie potrzebowali żadnej szkoły, oni chcieli tylko ziemi, chociaż wtedy ziemi leżącej u góry, na tzw. Ziemiach Odzyskanych było dość. Sabotowali oni szkołę tak długo, aż ówczesny kierownik Teodor (BKD 51) Karnkowski, aby uniknąć kłótni wyniósł się „pod osłoną nocy”. Zabudowania gospodarcze zostały rozebrane, a dwór, mimo ustawy o ochronie zabytków, jest jak widac zdewastowany. Samochody osobowe przed domem świadczą o tym, że mieszkańcy nie cierpią niedzi. Stan z lipca 1999r.

¹⁹¹ Rację miał pewien proboszcz w Polsce, który nie wiedząc, że przyjechałem ze Szwajcarii opowiadał mi: „Panie tutaj jak za jednym człowiekiem nie postawi się drugiego z biczem to ten nic nie będzie robił”, a gdy ja oponowałam dodał, „ale to jest proszę pana prawda”. Znal swoich kuzynów. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁹² Muszę tu wspomnieć jeszcze jeden epizod, aby nie przepadł dla potomności. Jak już wspomniałem większość byłych pracowników Ojca w Paniewie „w oczy” była bardzo serdeczna, a intrygi przeciw nam były ukłone za naszymi plecami. Jedną z takich można powiedzieć „dwulicowych” postaci okazał się być wódz z Paniewa, Maciej Wozniak, który uratował nam swego czasu życie, kiedy o mało utonielismy w przereblu. Otóż, Wozniakowie, którzy oddali nam z własnej inicjatywy szereg rzeczy, które (w wyniku jednego z rabunków) znalazły się w ich posiadaniu, w czasie ostatniej wizyty Małki w Paniewie wdali się z nią w „przyjacielską” rozmowę pytając się gdzie się wybieramy i jakie są nasze plany na przyszłość. W trakcie tej rozmowy zaproponowali nam swoją najstarszą córkę, jako służącą. W Paniewie nie miała ona wielkich szans, a tak w pobliżu większego miasta mogłaby wyjść za mąż i jakoś się w życiu urządzić. Małka na taką propozycję przystała, bo uśmiechała jej się perspektywa posiadania obok siebie kogoś „zaufanego z dawnych czasów”. Planując jak zawsze na długą metę myślała o znalezieniu dla siebie jakiejś pracy, co zakładało posiadanie służącej, no i na pewno myślała, że w ten sposób będzie mogła też i jej pomóc. Po naszym zainstalowaniu się w Komaszycach, Wozniakówna przyjechała i objęła swe funkcje. Miała swój pokój i była traktowana jak służąca, a nie jak członek rodziny, musiała podawać do stołu i jadła w kuchni, co niewątpliwie bardzo uraziło jej wygórowane poczucie godności własnej. Okazało się, że szybko zaprzyjaźniła się z byłymi pracownikami majątku Komaszycy i ujawniła, że Ojciec jest byłym „obszarnikiem”, który prawdopodobnie tutaj pod płaszczykiem jakiejś „niepotrzebnej „szkoły rolniczej” planuje wybudować sobie nowy majątek. Nadszarpano to znacznie prestiż Ojca i tym należy tłumaczyć sobie „wrogosc” mieszkańców Komaszyc względem szkoły. Oczywiście wszystko to są jedynie bardzo prawdopodobne przypuszczenia. Panna Wozniakówna pewnego dnia po prostu zniknęła. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Na razie przynajmniej nie brakło rak do pracy, gdyż przebywało jeszcze na miejscu kilkanaście rodzin niemieckich czekających na repatriację do Vaterlandu, oczekiwano jednak, że wkrótce to nastąpi, a wtedy zagadnieniem numer jeden będzie zdobycie rak do pracy¹⁹³. Czekano przede wszystkim wykopanie kartofli i buraków - skądże się wtedy weźmie ludzie, którzy to zrobią; nawet, gdy chodziło o jesienne siewy nie było nikogo, kto mógłby to zrobić. W rezultacie mąż sam musiał isc za siewnikiem, a Kazio popędzał konie. Co do mnie, to z moim gospodarstwem miałam raczej mało kłopotu, gdyż umówiłam przynajmniej do czasu repatriacji jedną z Niemek¹⁹⁴, jak się okazało zupełnie porządna i poczciwa niewiasta (miała spore gospodarstwo w okolicy), która doila krowe i oprzątała kilkanaście sztuk drobiu i dość już wyrosniętego prosiaka, które przywieźliśmy z sobą z Goplany. Czasu jednak potrzebowałam rzeczywiście nie mało, gdyż bez mała codziennie musiałam być w Inowrocławiu, by załatwić różne sprawy związane z organizacją szkoły w Komaszycach. Nie chciałam narazac męża na pieszą wędrowkę i to tak daleka. Wspomniałam poprzednio, że do Inowrocławia było w jedną stronę 7 km, a do tego nie kursowały jeszcze autobusy, czy jakiegokolwiek innych środków komunikacyjnych, poza tym na miejscu nie było choćby najmniejszej placówki handlowej, tak, że po każdą rzecz trzeba było udawać się do Inowrocławia.



204.

Inowrocław. Gimnazjum im. J. Kasprowicza, do którego uczęszczał syn autorki, w czasie pobytu w Komaszycach.

Zaczeliśmy poważnie zastanawiać się nad tym, czy by nie udało się w końcu dostać z Komaszyc i szukać szczęścia gdzie indziej. Zjawił się Janusz (BKD 500) i zaczęliśmy układać plany dalszej akcji. Właśnie nie w końcu Janusz nawiązał kontakt z wujostwem Donimirskimi (BKD 66 i 67) z Kozuszek k/Sochaczewa, którzy po różnych powojennych kolejach losu osiedlili się w Malborku i utrzymywali się ze sklepiku, który tam prowadzili. Jednak, ponieważ byli to już ludzie starsi, praca z dość zresztą dobrze prosperującym sklepikiem była dla nich zbyt męcząca. Przyjęli, więc bardzo chętnie propozycję Janusza, abysmy zamieszkawszy w Malborku pomogli im w prowadzeniu sklepika. To (BKD 53) musiałby się postarać o jakas na tamtejszym terenie odpowiadająca mu praca, a ja (BKD 52) byłabym zajęta w owym „To tu” (nazwa sklepika). Kwestia mieszkania nie powinna stanowić żadnej przeszkody - w Malborku pełno było opuszczonych przez Niemców mieszkań, będzie, więc, w czym wybierać.

Pojechałam tam w styczniu - nie powiem, żeby pierwsze wrażenie było zbyt zachęcające, przede wszystkim niepokoił mnie widok mnóstwa krecących się wszędzie żołnierzy sowieckich, a pamiętając doświadczenia, które miałam z kontaktu z ich towarzyszami, nie odważyłam się odszukać wujostwa - wolałam spędzić noc na dworcu w towarzystwie śpiących i chrapających ludzi wszelkiej kondycji, którzy tu stale co kilka już razy podobno przyjeżdżali na szaber. Niemcy podobno w niesłychanym poplochu opuszczali Malbork, zostawiając mieszkania pełne nawet cennych rzeczy i piwnice przepelnione ogromnymi zapasami żywności. Opowiadano mi, że pewna aptekarka przyjechawszy tu,

¹⁹³ Pierwszym rezultatem komunistycznej edukacji było oduczenie ludzi od pracy, bo teraz każdy był panem, a panowie jak wiadomo praca się nie paraja. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁹⁴ Jak się okazało Niemcy jeszcze oduczeni od pracy nie byli (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden 98-05-09).

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

znalazła w aptekach ogromna ilość cennych leków, to też zabrała je, a sprzedawszy dorobiła się poważnego majątku). Wedrowano, więc do owego „El Dorado”, skąd wracano obciążonym w nieprawdopodobny sposób. tych ludzi nie miał żadnych w tym wypadku skrupułów.



205.

Kazimierz (BKD 54) Karnkowski w latach 40-tych.

Nazwisko i imię	1946-47	1947	Nazwisko i imię	1946-47	1947
Andrzejewski Hieronim	la 32b		Placinski Jerzy	la	
Bardziejewski Jacek	la****	XIc	Podzielowski Henryk	la	
Barczewski Kazimierz	la 11b		Pranski Jozef	la****	XIc
Bryk Teodor	II		Rajkowski Seweryn	la	
Buczkiewicz Artur	la 11b		Rogowski Jan	la****	XIc
Dobkowski Jan	la 11b		Rozmaryn Jan	la****	XIc
Długoszki Ryszard	la****	XIc	Sobczak Roman	la****	XIc
Gardak Eugeniusz	la****	XIc	Sobczowski Tadeusz	la****	XIc
Górczalski Jan	la		Sobolewski Romuald	la****	XIc
Grodek Andrzej	la****	XIc	Struchowicz Janusz	la****	XIc
Grodek Henryk	la		Staryżewski Lech	la****	XIc
Grodek Stefan	la****	XIc	Szwedowski Michał	la	
Jankowski Stanisław	la 11b		Szymonowski Janusz	la 11b	
Jack Zdzisław	la****	XIc	Wnuk Andrzej	la****	XIc
Jankowski Zdzisław	la 11b		Relisowski Zdzisław	la	
Jastrzębski Jan	la		Imięg Bogdan	la	
Kamohaj Władysław	la		Hakup Stanisław	la	
<u>Karnkowski Kazimierz</u>	la		Płoczek Zdzisław	la****	XIc
Klimczowski Marcin	la****	XIc	Gulewowski Włodzisław	la****	XIc
Konrath Albin	la****	XIc	Guszczyński Janusz	la	
Krupski Władysław	la****	XIc	Klimczowski Zdzisław	la****	XIc
Krywicki Adam	la		Kur Władysław	la 11b	
Kurys Karol	la****	XIc	Leswidowski Jerzy	la	
Laszowski Zenon	la****	XIc	Murawski Zenon	la****	XIc
Liszczyński Konrad	la 11b		Mucha Ryszard	la****	XIc
Luzki Jerzy	la****	XIc	Pańkowski Józef	la****	XIc
Marski Włodzisław	la****	XIc	Tomasz Tadeusz	la	
Michalski Jerzy	la****	XIc	Wojasowski Stefan	la****	XIc
Mikolajewski Janusz	la****	XIc	Witasowski Włodzisław	la****	XIc
Podolski Teodor	la		Przybyła Marek	la****	XIc
Pruski Antoni	la****	XIc	Zielonka Aleksander	la	

206.

Strona z dziennika klasy Ia, z nazwiskiem Kazimierza (BKD 54) Karnkowskiego.



207.

Fotografia klasowa klasy I a, Gimnazjum im. J. Kasprzowicza w Inowrocławiu w jesieni 1945 r. Na fotografii: Kazimierz (BKD 54) Karnkowski i Jerzy (BKD 592) Damski z Zabna, który uczył w gimnazjum jez. francuskiego i który wkrótce po tym zginął śmiercią tragiczną.

Wuj poszedł ze mną zaprezentować swój sklepik a także poradzić, jakie mieszkanie powinnam zająć. Sklepik jak to sklepik, tyle, że w dogodnym punkcie tuż przy przystanku autobusowym, więc klientów nigdy nie brakło, a więc i dochody były zapewnione. Oglądałam kilka mieszkań, jednak doszłam do wniosku, że będzie chyba najwygodniej zająć mieszkanie na piętze nad sklepem tym bardziej, że nie groziło nam zajęcie go zanim zdolamy się przeprowadzić. Uzgodniwszy warunki i upewniwszy się, że zanim urządzimy jakas obórkę dla naszej krowy, z którą nie mieliśmy zamiaru się rozstawać, będziemy mogli umieścić ją w budynku gospodarczym, znajdującym się w podwórku przylegającym do domu, który zajęli już prawie rok temu ludzie, gdy schronili się to po wyjeździe z Płonacej po powstaniu Warszawy. - Tu muszę dla wyjaśnienia dodać, że rodzina Donimirskich była powiązana z tą ziemią, a kilku krewnych wuja miało majątki w sąsiednim sztumskim powiecie, gdzie odwiedzał ich kilkakrotnie przed wojną, to też nie czuł się w tych stronach obco.

Spieszyłam z powrotem do Komaszyc, aby obmyślić sposób, w jaki należy zorganizować nasz exodus. Sprawa transportu była dość prosta - trzeba było zgłosić się, do PUR'u z prośbą o podstawienie wagonu celem przewiezienia się do Malborka, gdzie, jako repatrianci chcemy się osiedlić, najtrudniej było wymyślić jakiś pretekst, umożliwiający meżowi rezygnację z ofiarowanej mu w Komaszycach posady. - Udał się do wuja mego meza okulisty dr Kaczkowski o (w Inowrocławiu) po radę. - Stano na tym, że on wyda meżowi zaświadczenie lekarza, opiewające, że stan zdrowia pacjenta wymaga operacji, która może wykonać jedynie doktor i sławny w tej dziedzinie specjalista. Orzeczenie to wręczyłam inspektorowi, który wydal meżowi odpowiednio długi urlop potrzebny na przeprowadzenie zaleconej koniecznej kuracji. Ponieważ przewidywaliśmy, że nie tylko wszystko, co będzie związane z naszą wyprawą z Komaszyc, ale i cała w ówczesnych warunkach przeprawa do jakby nie było odległego Malborka w czasie, kiedy to pociągi kurowały jeszcze bardzo nieregularnie i pasażerowie mogli być narażeni na różne niemile niespodzianki, byłaby dla meza przy jego stanie zdrowia rzecz raczej niepożądana, więc będzie daleko lepiej, jak on pojedzie do Malborka sam i tam będzie na nas czekać, a ja tymczasem zorganizuję naszą „ucieczkę” z Komaszyc. Wiedziałam, że trudności brakować nie będzie, ale wierzyłam, nie tylko we własne siły i możliwości, ale przede wszystkim w Bożą pomoc. Wszystko należało jak najprędzej załatwić, czas naglił, trzeba było postawić inspektorat w Inowrocławiu przed faktem dokonany, to znaczy powinien się dowiedzieć o naszym wyjeździe, kiedy będziemy już poza zasięgiem ich dochodzeń. Trzeba było działać szybko, a przede wszystkim dyskretnie. Jeszcze przed wyjazdem Tota urządziliśmy tzw. swiniobicie, chcieliśmy możliwie całe mięso zakonserwować, aby nie tylko nie zepsuło się w czasie zbliżającego się lata, ale aby starczyło na jak najdłużej. Poza tym przewożenie tuczniaka „w stanie żywym” jeszcze bardziej utrudniałoby naszą przeprowadzkę. Wieliśmy, że i tak będzie dość kłopotu z krową, którą koniecznie chcieliśmy zabrać, przewidując, że mleko, które nam dawać będzie pozwoli przetrwać przez pierwszy okres naszego pobytu w Malborku, tym bardziej, że krowa była znakomita dojenką a szczęście udało się nam uprosić jednego z mieszkańców Komaszyc do zakonserwowania w blaszanych puszkach (miał odpowiedni przyrząd do zamykania tych puszek) mięsa; zaryzykowałam konserwowanie takich wyrobów jak salcesony czy paszтетowa, która przecież nie daje się zasadniczo przechowywać, tak, że trzeba jak najprędzej ją skosztować. Zaczęło się pakowanie i to możliwie w jak najdyskretniejszy sposób, tym bardziej, że od kilkunastu już tygodni dom był pełen malorolnych z kieleckiego, którzy przyjechali do pracy na gospodarstwie - bowiem nie było nikogo, kto mógłby wykonać prace wiosenne. Niemcy już dość dawno wyjechali do nowej Ojczyzny. Kielecczanie to wyjątkowo niekulturalny element, większość niepiśmiennych¹⁹⁵ - po prostu „ciemna masa”. Ulokowano ich we dworze, gdzie dokonywali po prostu szczywania wszystkiego, co tylko znajdowali, nie można było nawet na moment zostawić czegokolwiek za drzwiami - bywało natychmiast ukradzione - całe wieczory, a nawet i noce rozlegały się po szerokich korytarzach pięknego komaszyckiego dworu pijackie wrzaski, urozmaicone wyświskami, trzaskaniem drzwiami itp.

Ponieważ często musiałam chodzić do Inowrocławia w celu załatwienia szeregu spraw, a gdy zbliżał się termin wyjazdu dowiadywać się o termin podstawienia, PUR'owskiego wagonu, zamówionego na przewiezienie nas do Malborka, dzieci wprost były się zostawiać same w domu - zamykały się i siedziały w oknie, wypatrując z niepokojem mojego powrotu. Na szczęście mąż przed swym wyjazdem zwrócił się do meżowej koleżanki po fachu, kierowniczką żeńskiej szkoły rolniczej, założonej w sąsiedniej wsi¹⁹⁶, gdzie sam miewał od czasu do czasu wykłady, a ja kilkakrotnie w tygodniu prowadziłam lekcje języka francuskiego. Pani ta była miła i kulturalna osoba, a mąż jej urodzony Litwin, który z niejednego pieca chleb jadł - a przy tym był bardzo silny i potężnej budowy, tak, że swoim widokiem mógł budzić obawy ewentualnego napastnika. Gdy tylko dowiedział się o naszych zamiarach zaczął namawiać żonę, aby poszła w nasze ślady. - Miał na to nawet wielką ochotę, tym bardziej, gdy mąż zaproponował mu towarzyszenie naszej rodzinie w drodze do Malborka, chętnie zgodził się na propozycję, mając nadzieję, że dzięki temu będzie mógł rozejrzeć się w możliwościach zainstalowania się w Malborku. Perspektywa, że p. Mondygral będzie nam w tej drodze towarzyszył bardzo meżę uspokoiła - tak, że już z mniejszym niepokojem rozstał się z nami. Wreszcie, prawie po kryjomu, załadowaliśmy się wieczorem na wynajęty wóz, za którym szła mocno uwiązana krowa, na wozie piętzyły się nasze rzeczy - meble, pasza dla krowy i ziarno dla kur, których pełna klatka królowała na piramidzie spiętrzonych rzeczy. Zabrałam także kilkanaście królików, których zał nam było zostawić.

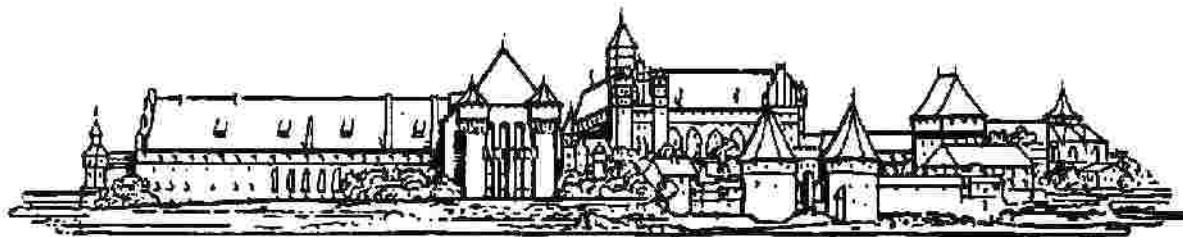
¹⁹⁵ Ten biedny proletariatus, któremu władza sanacyjno-obszarcza w okresie międzywojennym zagradzała dostęp do oświaty i kultury znalazłszy się pod jednym dachem z nauczycielem, zamiast poprosić go, żeby ich nauczył czytać i pisać, kombinował, żeby go okraść i dewastować pałac, do którego w normalnych czasach nie powinien mieć wstępu, nie, dlatego, że miałby być czymś gorszym, ale że nie potrafił się tam zachować. Milicja zamiast trzymać ten element w ryzach tropiła byłych AK-ców i działaczy PSL'u, aby ci nie przeszkadzali w budowie „ustroju sprawiedliwości społecznej”. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

¹⁹⁶ Państwo Mondygralowie. Szkoła ta znajdowała się w byłym majątku Trzaski. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Dotąd nie wiem, jakim cudem nikt nie protestował widząc nas wyjeżdżających w tajemniczych okolicznościach, dosyć, że szczęśliwie dojechalismy na stację i załadowalismy się bez specjalnych trudności do podstawionego poprzedniego dnia krytego towarowego wagonu. Ostatnie tygodnie żyłam w takim napięciu nerwowym, w ciągłej obawie o pojawienie się jakichś nieprzewidzianych trudności, tak, że odetchnęłam, gdy jeszcze cały nasz dobytek znalazł się wewnątrz wagonu. Nasz opiekun zaopatrzony w siekiere usiadł w drzwiach wagonu - zdawało się, że samym swym widokiem odstraszał ewentualnych napastników, a ja z dziećmi usiedliśmy na wygodnej kanapce, chaise-longue, należącej jeszcze do wyprawy mojej matki. W tyle piętroszyła się piramida przeróżnych paczek i paczek.

Nareszcie odetchnęłam trochę spokojniej, dziękując Bogu, że zechciał dopomóc mi w dokonaniu tego zaiste nielatwego zadania. - Jechalismy przez Toruń i Kwidzyn, ale dopiero później dowiedzieliśmy się, że tylko prawdziwym cudem uniknelismy katastrofy, bo ledwo przejechalismy przez most w Toruniu, runęło jedno z jego przesel. Jechalismy ten niewielki kawałek drogi 5 dni, bo po pierwsze pociąg włócił się niemilosierdzie, a następnie nie wiem już dziś, z jakiego powodu stalismy 2 dni w ławie. Towarzystwo p. Mondygrała miało jeszcze obrażenie, że potrafił doić krowę, czego ja jeszcze wówczas nie potrafiłam, sam przy tym był w stanie wypić dziennie nieprawdopodobną ilość mleka. Było to ważne, bo krowa dawała dziennie 3 wiadra mleka. Była świeżo wycielona. Mleka tego, nawet gdybysmy byli jego wielkimi amatorami nie byłibysmy w stanie skosztować. Część rozdawalismy tym, którzy jękali w sąsiednich wagonach, ale co by było, gdyby jeszcze został go nadmiar - byłoby wprost grzechem wylewać na ziemię. Nasze przewidywania o konieczności obecności jakiegoś opiekuna samotnie podróżującej kobiety z dziećmi, pozbawionej męskiej opieki, ale za to z wagonem pełnym wszelakiego dobra, szczególnie pobudzającego apetyty: pokwakującego i gdaającego i rozgłosnie ryczącego inwentarza były słuszne. Gdyby nie nasz groźnie wyglądający strażnik dysponujący zresztą trafiającym do przekonania napastnikom słownikiem, nie wiem, co by się z nami stało i czy byśmy cali i zdrowi dojechali do celu podróży.

13. PIERWSZY OKRES MALBORSKI



208. Sylwetka zamku w Malborku.

Maz mój czekając z największym niepokojem w Malborku na przyjazd, dowiedział się wreszcie, kiedy należy spodziewać się przyjazdu pociągu z repatriantami, zamówił na ten dzień wóz i kilku mężczyzn, którzy mieli opróżnić zajmowany przez nas wagon, odwiedzić nasze rzeczy na miejsce, no i przede wszystkim odprowadzić krowe do obórki na Stalina 43, gdzie mieszkali wujostwo Donimirscy. - Wóz był tak niewielki, że woznica musiał kilka razy naracać z dworca do naszego domu na Kosciuszki 51, gdzie mieliśmy zamieszkać. Każdy wóz musiałam eskortować, bałam się, aby rzeczy po drodze nie rozkradziono, maz eskortował rycząc niespokojnie krowe. Malbork miał wtedy tylko jedną przejezdna ulicę i to tylko z wąskim przejazdem oczyszczonym z odłamków połamanych mebli, stosów śmieci i całej masy potłuczonego szkła z porozbijanych szyb okalających ulicę okien; domy opustoszałe z powybijanymi oknami, z których nierzadko widać były chmury pierza z rozdzieranych pierzyn i poduszek przez ciągle jeszcze szabrujących ludzi, których nęcili głównie piękne poszwy i poszewki z nieosiągalnego od lat pieknego wnętrza, który zresztą łatwiej było upychać w przepastnych worach niżli normalnie pekatę poduszki i pierzyny. - Wreszcie, gdy nasze graty zostały już wniesione na nasze pieterko po zresztą niewygodnych schodach, odetchnęliśmy z ulgą, że jednak udało się w ryzykowny plan „ucieczki” z Komaszyc, udało się i że jesteśmy znów razem. Zaczął się nowy rozdział w naszym życiu. - Można by go zatytułować malborski, bo choć w ciągu tego okresu mieszkaliśmy przez jakiś czas w Gronowie, to jednak traktując to krótko i było raczej tylko pewnym intermezzo w całym tym malborskim okresie mojego życia.

Przed wszystkim należało nawiązać kontakt z tym na szczęście już, jako tako zorganizowanym na terenie powiatu wydziałem oświaty, przyjęto tam ofertę meza z zadowoleniem, gdyż poszukiwano na gwałt odpowiednich ludzi, którzy mogliby pokierować a właściwie zorganizować wydzielone z dawnych majątków należących do Niemców znacznej wielkości gospodarstwa, które przydzielano powstającym wówczas szkołom rolniczym, oczywiście chodziło także o to, aby ci ludzie mieli odpowiednie rolnicze wykształcenie dające im możliwość prowadzenia wykładów związanych z zagadnieniami rolniczymi. Na razie polecono mezowi objeżdżanie projektowanych obiektów i ewentualne uratowanie od całkowitego rozszabrowania znajdujących się tam jeszcze mebli i różnych ruchomości. Z objazdów tych przywiózł kilka doskonałych rondli, które służą do dziś mojej córce.

Jakos, choć z dużym trudem urządziliśmy się w naszym mieszkaniu nad sklepikiem spożywczym, „To-Tu”. Udało mi się nawet wykorzystując wolny plac między domem a obórka, stworzyć niewielki ogródek - uzyskanych z niego jarzyn wystarczyło prawie na całą zimę. Zaryzykowaliśmy kupić 2 prosiaków, po które musiałam jechać aż do Sztumu, bo na miejscu tzw. rynek jeszcze nie funkcjonował. Pojechaliśmy tam z ciotką, Donimirską, (BKD 68), która chciała odwiedzić przebywającą tam kuzynkę Celine Echaust z domu Donimirska. Pani ta po powrocie z wygnania nie mogąc urządzić się w Poznaniu, gdzie przedtem mieszkała, zdecydowała się pojechać do Sztumu, gdzie przebywał jej ojciec właściciel pięknego majątku Małe Ramzy i tu odczekać powrotu meza z niewoli¹⁹⁷. Któż mógł wówczas pomyśleć, że z jej najstarsza córka Marysia (BKD 505) ożeni się nasz syn! Co do mnie rada byłam poznać Sztum i jego okolice znane z tego, że wielu tamtejszych ziemian było Polakami, którzy jakos przetrzymali wszystkie zakusy Hakaty i nie pozwolili wyzuc się z rodzinnych majątków, które zresztą od kilkuset lat należały do Donimirskich, Janta-Polczyńskich, Szelińskich, czy Sierakowskich (z Waplewa).

Cały powiat sztumski znany był z tego, że mieszkali tam wyjątkowo dużo Polaków, gdyż tamtejsi właściciele przeważnie dość dużych majątków sprowadzali robotników z Kongresowa, lub z poznańskiego. Ponieważ byli to oczywiście katolicy, więc na całym tym terenie nie brakło kościołów i oczywiście proboszczów Polaków. Rodzina Donimirskich wyróżniała się gorącym patriotyzmem; znany był z tego właśnie ojciec matki mojej przyszłej synowej Kazimierz Donimirski z Małych Ramz i jego to, jako ofiarnego patriotę odwiedzał Melchior Wałowicz w swej wędrowności po tamtych stronach i opisał w książce „Na tropach Smetka”. Oczywiście tego rodzaju zaangażowanie było solą w oku ówczesnym panom tych terenów, to też już na kilka miesięcy przed rozpoczęciem wojny kilku najbardziej czynnych patriotów zostało internowanych w glebi Niemiec i jedynie właśnie p. Kazimierz Donimirski z Małych Ramz wiedząc o tym, co mu i jego licznej rodzinie grozi,

¹⁹⁷ Niestety wiadomość ta jest niedokładna. Tesc już wówczas był w Polsce. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

zdołał na krótko przed rozpoczęciem wojny schronić się w granicach Polski. Za jego działalność na rzecz utrzymania polskości na tym terenie został odznaczony orderem¹⁹⁸.

Wracając do moich kłopotów związanych z zaopatrywaniem się w pasze dla naszego inwentarza, a było tego sporo, przede wszystkim krowa była znakomita dójka, ale pod warunkiem otrzymywania właściwej i w dostatecznej ilości paszy, były przecież owe zakupione w Sztumie prosiaki i kury żywiezione jeszcze z Komaszyc było, więc, o co się kłopotac. Gospodarstwa na tym terenie przydzielono repatriantom wysiedlonym z terenów przyłączonych po wojnie do ZSRR.

Takich już, jako tako zagospodarowanych gospodarstw było jeszcze niewiele, to też przewedrowałam w moich poszukiwaniach długie trasy, oczywiście pieszo - nie kursowały wówczas, poza głównymi trasami, autobusy, czy też kolejka wąskotorowa, która później objeżdżała całe Żuławy.

Zachodziłam wówczas do różnych ludzi - utkwil mi w pamięci bardzo zresztą sympatyczny gospodarz okolic Lwowa - widząc jego piękne budynki, ładny obszerny dom, a także sporo bardzo użytecznych narzędzi rolniczych, zapytałam, czy już się pogodził z tym, że nie powróci do stron rodzinnych, tym bardziej, że tu otrzymał tak piękne gospodarstwo. Odpowiedział na to stanowczo i z przejęciem w głosie: „Pani, ja nigdy nie przestane marzyć o powrocie na moje strony i gdyby to tylko było możliwe, na kolanach bym tam poszedł”. Nie dziwiła mnie ta wypowiedź - widziałam przecież tamten piękny kraj i zachwycalam się jego niepowtarzalnym urokiem - a przecież człowiek tam urodzony i wychowany gospodarujący na ziemi odziedziczonej po ojcach nie może nie pamiętać o wszystkim, co z tamym krajem go łączyło.

Najgorsze jednak wspomnienia z pierwszej zimy przeżytej w Malborku wiąza się z wyjątkowymi mrozami, jaki wówczas panowały; w rezultacie niedostatecznie na tą okoliczność zabezpieczone rury pozamarzały tak, że wodę można było uzyskać tylko z publicznych pomp, zresztą dość rzadkich - to też prawdziwą meczarnią była konieczność przywożenia codziennie na saneczkach kilku wiader wody, koniecznych nie tylko do mycia, ale przede wszystkim do napojenia krowy, która potrzebowała każdorazowo co najmniej 2 wiadra. Gdyby nie to, że mieliśmy saneczki i że był śnieg nie wiem jak dalibyśmy temu radę. Równie poważnym problemem było zdobycie węgla, zapasy poniemieckie już się wyczerpały, a jeśli ktoś miał je jeszcze, to oczywiście żądał zań fantastycznych pieniędzy, a my ich przecież nie mieliśmy - bo skądże. Kuratorium inowrocławskie nie miało obowiązku wypłacić należnego wynagrodzenia za pracę mego meza w Komaszycach - tak nagle i bez dostatecznej motywacji porzuconej, tutaj miał jeszcze prawie, że nic nie dostał, a to, co ja zarabiałam pomagając kilka godzin dziennie wujostwu przy sprzedaży w sklepiku, to były rzeczy tak niewielkie, że nawet i marzyć nie można było żeby wystarczyło na zakup węgla.

Sytuacja była na tyle poważna, że musiałam się zdecydować na pojechanie do Gdyni, aby spróbować tam sprzedania mojej pięknej sobolowej etoli. Gdansk był tak zniszczony i wyludniony, że możliwość znalezienia amatora na jakby nie było luksusową rzecz, jak ta etola nie można było liczyć. Pozostała Gdynia, która jako jedyne żyjące miasto portowe gdzie można było mieć nadzieję znalezienia odpowiedniego nabywcy. Domysły nasze okazały się trafne - bo rzeczywiście etole sprzedałam, niestety niedrogo - nie mieliśmy zresztą żadnych innych możliwości zdobycia odpowiedniej sumy na kupienie węgla. Pozostała mi raz na zawsze rzecz nie tyle wartościowej i pięknej, a w dodatku pamiątka po mojej matce, tym bardziej, więc jestem rada, że do portretowania miała ją na ramionach i że to zostało uwiecznione na portrecie - a choć autentyczny zaginal - rada jestem, że choć kopia ocalała. Prócz wyżej opisanych trudności i kłopotów nie mogę pominąć rzeczy, która szczególnie srodze dała mi się we znaki. Chodzi tu o mianowicie prawdziwą plagę szczurów, która przeżyli wszyscy ówczesni mieszkańcy Malborka. Jak już wspominałam Niemcy uciekający w popłochu z Malborka nie zdążyli wywieźć ogromnych zapasów żywności, przechowywanej w różnych schowkach i piwnicach. Szczury, których przecież nigdy i nigdzie nie brakuje, nie niepokojone przez kilkanaście miesięcy rozmnożyły się ogromnie i wypasły, wykorzystując pozostawione zapasy, zrobiły się tak bezczelne, że widać było je w biały dzień, jak przebiegały przez ulice z jednej do drugiej piwnicy. Oczywiście nie brakło ich i w naszym obejściu a nawet i w domu, toteż, gdy rano musiałam przynosić do kuchni, znajdującej się na pietrze, zmarzniete poprzedniego dnia przygotowane tzw. zarcie dla świń a także lodowatą wodę, obie te rzeczy musiałam być, jeśli nie ciepłe to przynajmniej nie lodowate, to przed otwarciem drzwi kuchennych musiałam możliwie jak najgłośniej poruszać kławką, aby wystraszyć biegające po kuchni, a nawet po stole kuchennym całe gromady tych wstretnych zwierząt. Właściwie to bały się tylko dookoła paleniska pod blachą ognia - toteż zanim go rozpaliałam z przerwaniem oglądałam się, dokola, aby w porę przed nimi umknąć. Stworzenia te są istotami, którymi się zawsze brzydziłam, ale od tych malborskich czasów zniechęciłam je jeszcze bardziej.

Od Janusza dowiedzieliśmy się, że p. Zofia Szczesniewska po przymusowym opuszczeniu Warszawy, gdzie na samym początku wojny zmarł jej mąż, a w czasie powstania zaginal jej jedyny ukochany syn Witold (BKM 1054) wieloletni przyjaciel Janusza (BKD 500), ulokowała się w Sopocie, gdzie żyła arcykromnie z ręką uratowanych w pogromie stolicy oszczędności. Zaprosiliśmy ją do Malborka, gdzie przebywała wtedy dość długo, a i potem, gdy po powrocie z Gronowa zamieszkaliśmy na Stalina, przyjeżdżała kilkakrotnie, tym bardziej, że już wtedy mogliśmy ją wygodnie ulokować niż w ciasnym tak bardzo mieszkanku nad „To-Tu”, gdzie z konieczności łączyła się z Kaziem w bardzo małym pokoiku.

¹⁹⁸ Jego majątek został mu natomiast zabrany w ramach reformy rolnej 1944/45 r. Po upadku komunizmu majątek ten został zlicytowany, jako dobro poniemieckie. Kazimierz Donimirski był przecież obywatelem niemieckim, przecież to jest „logiczne” w „solidarnościowej” Polsce. To, że on z zoną jak i z licznymi dziećmi bronili polskości na tych terenach, przed I wojną światową i za czasów hitlerowskich, za co został odznaczony, to było już dawno. „Panie, śmieję się pan z tego”. W 2005, jego wnuczce Marii (BKD 505) z Echaustów Karnkowskiej, nie pozwolono wejść do domu dziadków. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Twierdziła jednak, że czuje się doskonale w meskim towarzystwie „kochanego Kazinka”. Cieszyła się możliwością zwracania się do niego, używając zdrobnienia, którego używała zawsze w stosunku do naprawdę bardzo kochanego męża. Tak, więc życie zaczynało się układać względnie spokojnie z tym, że Tom był prawie cały tydzień poza domem, przyjeżdżając tylko na niedziele. Ten nieuregulowany tryb życia, same długie wieczory męczyły go, no i my niepokoił się o niego stale tak, że wreszcie zdecydowaliśmy się na opuszczenie Malborka i zamieszkanie w Gronowie, gdzie zaproponowano mu prowadzenie założonej tam szkoły rolniczej i dodatkowo zajęcie się gospodarstwem rolnym tej szkole przydzielonym.

Największym dla mnie problemem było dojenie krowy. Zaraz po zainstalowaniu się w Malborku na miejscu udało mi się umówić z mieszkającą w pobliżu Niemką¹⁹⁹, aby podjęła się tego, ale przewidywałam jednak, że nie potrwa to tak długo, gdyż Niemcy spieszyli opuszczać Malbork, a nowych osiedleńców przynajmniej na razie, było niewiele. Zresztą oni sami mieli dość pracy, aby choć jako tako doprowadzić do porządku zaniedbana przez ostatni czas gospodarka. Istotnie pola były tak zachwaszczone, że patrząc na nie wiedziało się czy to było pole pszenicy, czy plantacja czerwonych maków, podobnie chyba jeszcze przez kilka lat nie zdołano odchwascić pól buraczanych - wyglądały raczej na plantacje bujnie rosnących najrozmaitszych chwastów, ziemia tu przecież była niezmiernie urodzajna, więc też i chwasty dochodziły do bajecznej wysokości. Chyba dopiero po kilku latach przejeżdżając na moim rowerze Żuławy, mogłam cieszyć się piękną pszenicą i dorodnymi burakami.

Tak, więc przewidywałam, że wkrótce cała ta ciężka fizyczna praca spadnie na mnie; wobec czego zdecydowałam się na udanie się do szpitala Akademii Medycznej w Gdańsku, aby właśnie teraz w tak bardzo nieodpowiedniej chwili naprawić błąd sprzed 13-let, kiedy to po urodzeniu się Kazia nie odleżałam koniecznego w tym wypadku (cesarskie cięcie) okresu dwu tygodni, bo spieszyłam się do domu. Skutek był fatalny, szew niedostatecznie zrosnięty utworzył szparę, która zasadniczo niczym groźnym nie była, trzeba było tylko bezwzględnie wystrzegać się dzwigania ciężkich rzeczy, a wiedząc, że mnie to na pewno czeka, musiałam się zdecydować na przecięcie szwu i zszycie go po raz drugi. Musiałam teraz leżeć bez ruchu nie 14 dni, a cały miesiąc, aby pozbyć się jakichkolwiek obaw powstania się poprzedniej komplikacji. Największy kłopot był ze znalezieniem kogos, kto by zechciał zaopiekować się rodziną i gospodarstwem przez ten długi miesiąc. Na szczęście podjęła się tego kuzynka ciotki Donimirskiej pani Róża Lyskowska (h. Koszembar). Na szczęście prosiat jeszcze nie kupiłam. Kurczęta były już odchowane, krowe udało mi się na letni okres ulokować u ciotki Chelkowskiej (BKM 293) w Telkwiach, a odchowanymi kurczętami i kilku kurami obiecały zająć się dzieci, które właśnie miały wakacje. Z pobytu w szpitalu mam zupełnie miłe wspomnienia, opieka tak lekarska jak i pielęgniarska była bardzo dobra, odwiedzała mnie też, co kilka dni moja bratowa Ewa (BKD 501) Bartoszewiczowa z d. Luniewska (właśnie niedawno zamieszkali w Oliwie), która właściwie dopiero wtedy lepiej poznałam i polubiłam, bo nie było na to właściwie przed wojną czasu, gdyż mój brat ożenił się na krótko przed nią.

Z Wicininą do Paniewa był jednak kawał drogi, ja w międzyczasie urodziłam Anusie (BKD 55), a potem dość długo karmilam tak, że o wyjeżdżaniu z domu przy licznych zobowiązaniach, o których już poprzednio pisałam, nie bardzo można było marzyć. Oni byli także zajęci organizowaniem swego życia i tylko zaledwie chyba 2 razy byli u nas i to na krótko. Prócz tych miłych odwiedzin przysлуchiwałam się z wielkim zainteresowaniem opowiadaniom bardzo sympatycznej młodej panny, leżacej na sąsiednim łóżku. Została wraz z rodzicami wywieziona po zajęciu Lwowa, gdzie mieszkali na daleką północ, w pobliżu Białego Morza, gdzie zapełniono ich dookoła drzew. Rodzice jej niezbyt już młodzi i niezbyt zdrowi, nie wytrzymali tych strasznych warunków i zostali już tam zawsze przysypani wiecznym śniegiem, ja zaś, jako mała sierołka przewiezli do Kazachstanu. Tam na szczęście znalazł się lekarz Polak, który się nią zaopiekował i zatrudnił, jako kontrolera miejscowej ludności. Chodziło o to, aby sprawdzić czy przydzielane młodym matkom wyprawki niemowlęce są przez nie właściwie używane, a także przekonać się, czy robotnicy zgłaszający się po zwolnienia lekarskie są naprawdę chorzy? Tymczasem okazało się, że tamtejsze niewiasty uradowane otrzymanym płótnem, z którego miały poszyć koszulki i pieluszki dla swych pociech, skwapliwie wykorzystywały je na zupełnie inne cele, bo jak twierdziły „dzieci najlepiej się chowają, gdy są nagie, a pieluszki to rzeczy najzupełniej zbędne, przecież dzieci leżą w dolku zrównanym w ciepłym piasku, a gdy się mocza, to przenosi się je do nowego kawałka wydlubanego”. Jeśli chodzi o kontrole zachorowań, to stwierdziła i to niejednokrotnie, że ci ludzie, którzy mieli jakieś rany, czy skaleczenia umyślnie je zdrapywali, aby jak najdłużej się nie goili, co zwalniało ich od pracy. W ogóle to wszystko, co opowiadała o zwyczajach tamtejszej ludności, dowodziło zupełnie prymitywnego podejścia do życia i związków z nim związanych - w każdym razie były to dla mnie rzeczy bardzo ciekawe, o których nie miałam pojęcia. - Biedna dziewczyna odżyła w tamtejszym suchym i ciepłym klimacie, a przede wszystkim dzięki możliwości korzystania ze wspaniałych niesłychanie słodkich i soczystych tamtejszych melonów i kawonów. Nikt jej nie bronił nasycecia się nimi, zresztą tamtejsza ludność odnosiła się do niej zycielwie - zapraszali ją nawet na wesela - opowiadała mi o nich i o rozmaitych ich zwyczajach wiele ciekawych i wprost zadziwiających rzeczy.

Dzięki tej miłej dziewczynie owe 4 tygodnie względnie szybko minęły. Na kupienie specjalnego pasa, w którym musiałam chodzić jeszcze przynajmniej pół roku, a który był dosyć drogi, przysłała mi pieniądze moja szwagierka Muszka (BKK 258) Wyganowska.

¹⁹⁹ P. Klamm. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Ponieważ lekarz zalecił mi, abym przynajmniej przez jakiś kilkanaście dni powstrzymała się od wszelkich wysiłków fizycznych, wobec czego stwierdziwszy, że Pani Róża²⁰⁰ nie najgorzej radzi sobie z przyjętymi na siebie obowiązkami, uprosiłam ją, by jeszcze pozostała kilka dni, a ja tymczasem pojedę do Warszawy, aby podziękować Stefanom (BKK 398 i 258) Wyganowskim za pomoc, której tak chętnie mi udzielili, a przy okazji chciałam zobaczyć jak wygląda stolica po dniach straszliwej klęski, której ślady ledwie zaczynają być usuwane. Dużo mi o tym wszystkim opowiadano i pisano, jednak zobaczenie tego na własne oczy, to coś całkiem innego. Gdy zaczęłam krążyć po Śródmieściu, po ulicach tak dobrze mi znanych, to po prostu gubiłam się. Dom, w którym mieszkałam w stryjosławcu²⁰¹ i w którym spędziłam tyle miłych chwil leżał w gruzach, a gdy stanęłam na Placu Saskim tak zgubiłam orientację, że przez dłuższy czas nie mogłam się wydostać ze zwalów gruzu, tynków i rozbitych szyb. Oczywiście niektóre najważniejsze arterie były już cokolwiek uporządkowane, ale wobec ogromu zniszczeń, wydawało się, że lata trwać będą najpierw usunięcie gruzów, a potem odbudowanie stolicy, to też, kiedy następnego razu, już po kilkunastu latach miałam znów pojechać do Warszawy, wprost nie mogłam pojąć, jaki cudem zrobiono wszystko to, co teraz zobaczyłam, jakim cudem z ludzkiego punktu widzenia może dokonać miłość. Ze jest potęga, która potrafi przezwyciężyć wszystko niemożliwe i czynić cuda, jak to właśnie zdarzyło się tutaj, bo przecież tylko z ukochania Stolicy cały naród nie oszczędził wysiłków, aby z gruzów powstać mogła i stała się jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem!

U Stefanów Wyganowskich) w Otwocku, gdzie ulokowali się po opuszczeniu Łowicza²⁰² spędziłam kilka dni, opowiadaliśmy sobie przeżycia ostatnich lat, obiecywali odwiedzić nas w Malborku - jakos nie udało się żadnemu z nich zrealizować tego projektu - przyjechali dopiero na pogrzeb Tota²⁰³.



209 Kazimierz (BKD 54) Karnkowski, przed domem Wujostwa Wyganowskich w Łowiczu.



210 Prof. Stanisław (BKM 204) Grabski, w Polsce po r. 1945.



211 Dr Jan Zabinski na tarasie willi w Warszawskim ZOO, w późnych latach 40-tych²⁰⁴.

²⁰⁰ Muszę tutaj oddać hołd i sprawiedliwość p. Róży i przyznać się, że osobiście byłem w stosunku do niej bardzo niegrzeczny. To, że zgodziła się na dłuższą opiekę nad domem, aby pomóc Małce, stanowi o jej wyjątkowych zaletach jej charakteru. Niestety kontakty jakos się urwały i żałuję, że nie miałem już nigdy okazji przeprosić jej za moje zachowanie. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 2011-12-25).

²⁰¹ Senator Joachim (BKM 202) Bartoszewicz. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²⁰² Muszę wspomnieć, że Małka mimo swych wielu trudnych i skomplikowanych obowiązków, zawsze dbała, abym utrzymywał kontakt i znajomość z licznymi krewnymi i jej znajomymi z okresu jeszcze przed II, a nawet I wojną światową. Takich kontaktów było niewątpliwie ponad 20, a zaaranżowanie każdego z nich wymagało rozległej i dyplomatycznej korespondencji. Nie sposób ich wszystkich wymienić, być może, niektórzy już zapomniałem. Wymienie najważniejsze: Wujostwo Wyganowscy z Pokrzywnicy/Łowicza/Otwocka, spotkanie z prof. Stanisławem (BKM 204) Grabskim, wyjątkowa postać historyczna, głównym negocjatorem Traktatu Ryskiego, a po 1945 r. zastępca Bieruta, Dr. Janem Zabinskim, a w nieco w późniejszym okresie znanym pisarzem historycznym Władysławem (BKM 477) Janem Grabskim, w którego domu byłem przedstawiony jego wiekowemu już tesciowi prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu i miałem możliwość zamienić z nim parę słów.

²⁰³ Jest to niescisłe. Wujostwo Wyganowscy, wracając samochodem z Wybrzeża w 1946 r., zatrzymali się u nas w Malborku na kilka chwil i wtedy zabrali mnie ze sobą do Łowicza skąd pojechałem do Warszawy. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²⁰⁴ Pod postacią dr J. Zabinskiego, wlepiono fotografie tablicy z ogrodu Yad Vashem w Jerozolimie, koło drzewa zasadzonego ku pamięci dr. Zabinskiego i jego żony Antoniny jako osób ratujących Żydów w czasie II wojny światowej.

1 4 . G R O N O W O

Wreszcie sprawy posunęły się tak daleko, że meżowi (BKD 53) powierzono zorganizowanie szkoły w Gronowie, miejscowości odległej o ponad 20 km. Od Malborka.



212. Dom właścicieli majątku w Gronowie, w którym przewidziana była sala wykładowa Gminnej Szkoły Rolniczej, kancelaria, oraz pokoje dla nauczyci Kierownik, tzn. Teodor (BKD 53) Karnkowski z rodzina miał mieszkać w domu położonym na lewo od budynku szkolnego. Zdjęcie z 2005 r. przedstawia wyjątkowo brzydka i nieudana przeróbka budynku pierwotnego.

Ponieważ istniała możliwość urzędzenia tam dla nas mieszkania (w domu obok budynku szkolnego), zdecydowaliśmy się przeprowadzić się jak najprędzej, tym bardziej, że był najwyższy czas ustabilizować jakąś naszą egzystencję, szczególnie ze względu na Kazię, który już nie powinien być następnego roku szkolnego, tym bardziej, że i tak był o jeden rok spóźniony²⁰⁵. Trzeba było zorganizować następną przeprowadzkę, wydało się, że już chyba ostatnia na czas dłuższy - nikt z nas nie przypuszczał, że mieszkać tam będziemy trochę dłużej niż rok.

Gronowo należało administracyjnie do powiatu Elbląg, o którego było oddalone o kilkanaście kilometrów. My byliśmy jednak od 2 lat związani z Malborkiem, który wydawał nam się bardziej „światowy”. Mieszkali tam Wujostwo Donimirscy (BKD 66 i 67) i wielu innych przyjaciół, oraz znajomych, Kazio zezwalał tam od 2 lat do gimnazjum, z Malborka odchodziły bezpośrednie pociągi na Wybrzeże, gdzie w Oliwie mieszkał opiekun Janusz, (BKD 500), oraz do Warszawy, która w naszych oczach stanowiła „okno na świat”.

Ponieważ Wujostwo Donimirscy, we dwie osoby zajmowali cały dom, co było solą w oku Urzędu Kwaterunkowego, zameldowali fikcyjnie meza, (BKD 53), co podnosiło im ilość mieszkańców, a jednocześnie dawało mu prawo do posiadania ulgowego miesięcznego biletu kolejowego, z którego często korzystał.

Nasze mieszkanie w Gronowie prezentowało się wcale nieźle - mieliśmy dwa pokoje²⁰⁶ i dużą kuchnię, wielki kurnik - krowe trzeba było ulokować w oborze, gdzie stały krowy i konie należące do szkoły, był przy tym dość duży teren dookoła domu, ogrodzony niestety tylko przeciągniętym od jednego słupka do drugiego drutem kolczastym - co jak się później okazało nie chroniło wcale moich warzyw przed niespodziewanymi odwiedzinami kóz należących do naszej sąsiadki.

²⁰⁵ Jest to niedokładne. Nie byłem wcale spóźniony, bo szkole powszechną skończyłem z dwuletnim wyprzedzeniem. W 1945 r. zacząłem chodzić do gimnazjum im. Jana Kasprzowicza w Inowrocławiu i przenieśliśmy się do gimnazjum w Malborku tracąc tylko dwa lub trzy tygodnie. Z Gronowa mogłem dojeżdżać i dojeżdżałem do gimnazjum w Malborku codziennie pociągiem. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²⁰⁶ W oddzielnym domku. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



213. Legitymacja na kolejowe zniżkowe bilety miesięczne stwierdzające zatrudnienie Ojca (BKD 53) w Gronowie. Fotografia pochodzi oczywiście z dawniejszego okresu.

Pewnego razu wysłuchałam, przemowy nauczycielki szkoły rolniczej, naszej najbliższej sasiadki, wygłoszonej do jej ukochanej kozy, podczas kiedy ta najspokojniej objadała listki posadzonej niedawno kapusty: „Kozuniu, tak się prosilam, tak nalegam, żebyś nie robiła szkody w ogrodzie państwa Karnkowskich, wstyd mi tylko, że to robisz moja droga”. Nawet tak wruszająca apostrofa nie skłoniła kozuni do opuszczenia, i porzucenia smacznej kapusty – dopiero, kiedy nie zostało już ani jednego listka, bez zadnych wyrzutów przelaża przez druty, aby połączyć się z swoją chlebobawczynią²⁰⁷.

Prócz tego przydomowego ogródka dostaliśmy do naszej działki pozycji około 2 mórg ziemi, aby tam uprawiać na użytek naszego inwentarza kartofle i buraki pastewne. Grunty były tam niesłychanie urodzajne - sławne Zulawy; wszystko, a szczególnie buraki i pszenica rosło tam wspaniale, jedyna przeszkoda stanowiło to, że natychmiast po deszczu trzeba było rośliny, ogracowac - bo ziemia nadzwyczaj szybko twardniała, a nawet zeskorupiała się, jeśli nie zrobiono tego w porę. Było to, przyczyna, że tamtejsze gospodarstwa musiały mieć dużo siły roboczej. Opowiadali nam pozostali jeszcze Niemcy, że bardzo często robotnicy (najczęściej sprowadzani na letni sezon z Polski), czasami po dwa, a nawet trzy dni siedzieli beczynnie, aby dopiero po deszczu zabrac się intensywnie do pracy. Narzędzi używano tam tylko stalowych - szpadli, graczek itp. Gdyż wykonane z mniej solidnego materiału zupełnie się tu nie nadawały, - Pastwiska była ogromnie żyzne, nasza krowa dawała tam bardzo dużo mleka,

²⁰⁷ W takich wypadkach nie wiadomo jak reagować, człowiek może się zadrządzić o głupstwo. Czy po tak strasznym kataklizmie, jakim była ostatnia wojna ludzie mogą być tak głupi/naiwni czy tak cyniczni? Ta pani była ponadto zagrożeniem politycznym, jako członkini partii, mając minimalne kwalifikacje, była wicedyrektorką szkoły, a po zachorowaniu Ojca, czasowo dyrektorką. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

to też nie tylko my mieliśmy obfitość masła i znakomitego sera, którego nadmiar Kazio jeżdżąc do szkoły zawoził do Malborka, Anusia chodziła do szkoły w pobliskim Starym Polu (musiała dojeżdżać 2 stacje pociągiem), miała liczne koleżanki, z którymi mogła się bawić.

Podczas wakacji Kazio pojechał na dwutygodniowy obóz harcerski (w Sierakowie Wielkopolskim), gdzie było piękne jezioro i w ogóle dużo atrakcji - wrócił zachwycony, pełen zapału i entuzjazmu do idei harcerskich. - Podczas tych wakacji tak urosł, że gdy wrócił ledwie go poznaliśmy, z czego był bardzo zadowolony: „dotąd koledzy patrzyli na mnie z góry - teraz to się zmieni, bo obecnie ja będę mógł z góry na nich patrzeć!” Tak, więc życie nasze w Gronowie układało się raczej niezle, z tym, że mazał sporo kłopotów z gospodarstwem, a także ze szkołą, ale w rezultacie jakos dawał sobie niezłe rade. Od czasu do czasu odwiedzali nas znajomi z Malborka, był także i Janusz (BKD 500). Najsympatyczniejsze stosunki łączyły nas z pp. (.....)

On był kolega Tota z rolnictwa - ona przemiła niewiasta - mieli dwoje dzieci starszych od naszych. Spotkaliśmy z nimi w Malborku a teraz, gdy przeprowadzili się na Żuławy ciągle się z nami kontaktowali. Odwiedzaliśmy ich także w (...) gdzie p. (...) gospodarował. Mieli bardzo ładnie urządzone domy, gdyż udało się im szczęśliwie ocalić dużo pięknych rzeczy, tak, że patrząc na portrety, obrazy i jeżdżąc na słicznej porcelanie zapominało się, że była wojna i że właściwie życie toczy się nadal w dawnych formach. Az nastąpiło Boże Narodzenie 1947 roku. W drugi dzień Świąt Tot wybrał się z Anusią do kościoła w Elblagu, gdzie poza tym miał się spotkać z kims, do kogo miał jakiś interes - podobno jak mi później Anusia opowiadała przyszli na dworzec w ostatniej chwili i prawie biegnąc zdążyli wskoczyć do pociągu. Gdy wrócili, mazał wydawał mi się bardzo zmęczony, a w dodatku ledwo przyjechał, miał nieprzyjemne zajście z kilku pracownikami²⁰⁸ tak, że gdy wreszcie siadł do kolacji, był milczący i jakiś dziwnie nieswoj. Zaproponowałam mu filiżankę mocnej kawy - chętnie się zgodził, ale po chwili, patrząc z niepokojem na niego zobaczyłam, że coraz wolniej miesza cukier w filiżance, zbladł jak płótno i nagle upadł na ziemię. Zaczęliśmy go cucić - położyliśmy go do łóżka, na którym go trzeba było z całą siłą przytrzymać, gdyż rzucał się i podskakiwał nieustannie - a my wiedzieliśmy, że w takiej sytuacji powinien leżeć jak najspokojniej. Byliśmy już z Kaziem tak zmęczeni walczyć z nim, że musieliśmy poprosić jednego z pracowników, aby nam pomógł. Chory był zupełnie nieprzytomny, nikogo nie poznawał i bez przerwy miotał się na wszystkie strony. Rano posłaliśmy po doktora²⁰⁹, który puścił mu krew, co jednak nie pomogło, wobec czego Kazio pojechał do Gdanska, gdzie niedawno byli u badania u kardiologa. Rady, jakich udzielił na odległość nie wiele pomogły. - Na prośbę Kazia, aby przyjechał na miejsce zareagował odmownie. - Byliśmy zrozpaczeni nie wiedząc, co robić dalej, aż na Kazia przyszedł znakomity pomysł do głowy - mianowicie napisaliśmy ekspresowy list do Tarnowa do dr T. Krukara, który postawił mezaż po pierwszym wylewie krwi do mózgu w Wieckowicach, aby i teraz zechciał mu pomóc. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko - lekarz zalecił przeprowadzenie 7-dniowej głodówki, w czasie której nie wolno było bezwzględnie podawać choremu niczego poza pół litra mleka dziennie. Kuracja okazała się rzeczywiście zbawienna, gdyż po owych siedmiu dniach chory otworzył oczy, spojrzał zupełnie normalnie na nas i ze zdziwieniem zapytał, dlaczego leży w łóżku, skoro czuje się zupełnie zdrowy?

Rekonwalescencja trwała jednak bardzo długo, tak, że dopiero w maju był w stanie, (byliśmy już wtedy od trzech miesięcy w Malborku) oczywiście prowadzony pod rękę i pierając się na łasce pójść do kościoła. Oczywiście w tej sytuacji nie mogło być mowy o tym, aby mazał pracować, a życie trzeba było - teraz na mnie przyszła kolej do zarobkowania na utrzymanie całej rodziny - bo przecież wiadomo było, że ewentualna renta inwalidzka nie wystarczy. Jednak zdawałam sobie sprawę, że tu na miejscu w Gronowie nie mam żadnych szans znaleźć pracy, takie możliwości były jedynie w Malborku, poza tym jedynie tam mógł mazał mieć zapewnioną stałą opiekę lekarską²¹⁰.

Nie było rady, trzeba było opuścić Gronowo, gdzie zdążyliśmy się już, jako tako zaaklimatyzować - znowu zwinąć dom i z całym majądkiem przeprowadzić się do Malborka. - Wybrałam się tam dla rozejrzenia się w ewentualnych możliwościach - obiecywano znalezienie czegoś odpowiedniego. Zajrzałam też do wujostwa Donimirskich, którzy zaproponowali mi przejęcie ich domu, gdyż sami z różnych powodów postanowili przeprowadzić się do Krościenka i to możliwie w najkrótszym czasie.

²⁰⁸ Wedle tego, co pamiętam, sprawa odegrała się tak. Gospodarstwo szkolne, którym Ojciec zarządzał miało duże nadwyżki wartościowego siana, które dla poprawienia finansowej kondycji gospodarstwa chciał sprzedać chłopom z centralnej Polski (chyba z lubelskiego), gdzie siana brakowało. Umówił się z pewnym chłopem na dostawę siana w początku stycznia loco stacja kolejowa w Elblagu (czy w Gronowie) i na ten termin zapewnił transport siana na stację, o który było wtedy bardzo trudno. Właśnie tego dnia przyjechał ów chłop tłumaczyć się, że od 1 stycznia mają znacznie wzrosnąć opłaty za transport kolejowy i błagał Ojca, żeby mu to siano dostarczył na stację już teraz. Ojciec bardzo się zdenerwował tym zajściem, bo przewidywał wielkie trudności z transportem. Nie wiem, czy zamówienie wagonu także należało do Ojca. Na skutek tego zdenerwowania i poprzednich przezyc dnia wzrosło mu ciśnienie krwi do tego stopnia, że nastąpił już drugi wylew krwi do mózgu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²⁰⁹ Wedle tego, co pamiętam, jeszcze tego samego dnia pojechałem nocnym pociągiem do Malborka prosić znajomego lekarza (dr Kucharskiego, który był lekarzem powiatowym), żeby przyjechał ratować Ojca. Ten jednak pod jakimś pretekstem (chyba, że to nie jest jego rejon) odmówił przyjazdu. Następnie jeszcze, wracając w nocy dalszym pociągiem zatrzymałem się w Starym Polu, gdzie udałem się z tą samą prośbą do starszki lekarza, do którego rejonu należało Gronowo z tą samą prośbą. Odmówił natychmiastowego przyjazdu obiecując, że przyjedzie następnego dnia rano i przyrzeczenia dotrzymał. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁰ W Malborku Ojcem opiekował się z całym poświęceniem dr Czesław Gogolkiewicz, któremu niestety nigdy nie mogliśmy się zrewanżować. Poczujęwam mu się za to do dozgonnej wdzięczności i uważam sobie za miły obowiązek tutaj to potwierdzić. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Dzięki temu odpadła największa trudność, jaka było znalezienie odpowiedniego locum nie tylko dla nas, ale i dla krowy, z którą za nic nie chcieliśmy się rozstawać, wiedząc z poprzednich doświadczeń, że to ona będzie naszą główną podporą w ratowaniu w niełatwej sytuacji, w jakiej nam teraz niezawodnie przypadnie.

Tak, więc podniesiona na duchu i pewna, że Bóg czuwa nad nami i na pewno pomoże wybrnąć z największych nawet trudności, wróciłam do Gronowa, aby razem z mężem naradzić się jak przeprowadzkę zorganizować. Stało się na tym, że najpierw przeprowadzimy krowę i przewieziemy rzeczy, drób itd. - liczyliśmy na wóz i konie, który nowy kierownik szkoły w Gronowie nam obiecał, zaś nas samych tzn. Tota, Anusie i mnie obiecał przewieźć służbowym samochodem (wtedy nie było jeszcze karetka pogotowia), do Malborka, Kazio pojechał wcześniej, aby przygotować wszystko, co trzeba było na przyjęcie inwentarza i nas samych.

Tota wyniesiono na krzesle z domu, był tak słaby i tak źle wyglądał, że później ci, którzy go do samochodu wynosili, byli przekonani, że nie zdołają go żywego do Malborka dowieźć. Dzięki Bogu cała przeprawa poszła dość gładko, a mąż na nowym miejscu zaczął nadzwyczaj szybko powracać do sił, tak, że po kilku miesiącach mogliśmy pojechać do Tczewa, gdzie urzędowała komisja opiniująca potrzebę konieczności skierowania chorego na rentę i orzekająca jej wysokość. - Właśnie wtedy, kiedy byliśmy wezwani do Tczewa, wezbrana na skutek powodzi Wisła zerwała most kolejowy tak, że do miasta można się było dostać jedynie promem. Jakos bez specjalnych trudności załatwiliśmy sprawę i szczęśliwi powróciliśmy do domu. Zaczęłam gorączkowo szukać pracy - wreszcie dr Kucharski (wspomniany już uprzednio lekarz powiatowy) polecił mnie Zarządowi Miasta opiekującemu się domem Matki i Dziecka, jako odpowiednią kandydatkę na intendencję.

15. DRUGI OKRES MALBORSKI

Przyznam się, że z prawdziwą rozpaczą myślałam o tym, muszę pójść do pracy i opuszczać prawie na cały dzień dom, ciągle jeszcze słabego po tak ciężkiej chorobie męża, zostawiając właściwie jedynie na boskiej opiece cały dom, gospodarstwo, ogród itd. po prostu bałam się czy starczy mi sił, aby podolac piętrocym się obowiązkom.



214. Dom przy ul. Stalina, 34 w którym zamieszkała rodzina Kamkowskich po opuszczeniu Gronowa, fotografia z późnych lat 40-tych.



215. Ten sam dom obecnie przy ul. gen. Wł. Sikorskiego 34, w „nowej szacie”. Fotografia wykonana 2 października 2000 r.

Pamiętam, że wychodząc rano z domu, aby się stawić w Domu Matki i Dziecka do pracy, całą drogę polykałam łzy, - uważałam, że Pan Bóg zada ode mnie zbyt wiele - po prostu bałam się, że nie dam rady. Jednak, choć trudności i kłopotów w pracy, jak i w domu było немало - jednak jakos przy Bożej pomocy dałam wszystkiemu radę. Bardzo pomyslnie dla mnie było to, że kierowniczką domu Dziecka była zacna osoba - przy tym polubiła mnie tak, że nawet wtedy, kiedy ja już od dawna tam nie pracowałam a i ona także, powierzono jej inną acówkę, utrzymywałyśmy nadal przyjazne kontakty. Jej też zawdzięczam namówienie mnie do zaangażowania jednej z przebywających tam matek wyjątkowo milej, a przy tym bardzo ładnej Niemki Hildy, jako tak zwana dzisiejsza pomoc domowa. Każda z przebywających tam matek mogła po urodzeniu dziecka postarać się o pracę tam, gdzie by ją przyjęto razem z dzieckiem. Ponieważ obecnie na Stalina mieliśmy jeden duży pokój, w którym spały dzieci, a my w drugim mniejszym, pozostał jeszcze trzeci na razie nam niepotrzebny, któryby Hilda mogła zająć. Dla mnie było to ogromna ulga, bo ona znalazła się na gospodarstwie i inwentarzu, umiała oczywiście doić, czego ja jeszcze dotąd się nie nauczyłam, potrafiła oczywiście karmić, więc tak długo jak była u nas, nie musiałam harować od świtu do nocy, jak to było konieczne później. - Hilda pracowała za mieszkanie i wyżywienie, więc to nas tak bardzo nie obciążało - a że polubiliśmy ją bardzo, więc z prawdziwym żalem rozstawaliśmy się z tą miłą dziewczyną. Po kilku miesiącach przyszła nas odwiedzić a i ja chciałam się z nią zobaczyć, to też przejeżdżając przez wieś, gdzie obecnie pracowała, wstąpiłam pod podany mi przez nią adres. Tam dowiedziałam się, że przed paru miesiącami zmarła na gruźlicę.

Wkrótce po odejściu Hildy trafiła mi się sposobność za gazowania do pomocy dziewczyny bardzo poczciwej, ale wyjątkowo głupiej. Przez pewien czas pracowała na plebanii, gdzie nauczyła się uznawania autorytetu proboszcza we wszystkich dziedzinach. Jeśli np. zwracałam jej uwagę, że coś robi niewłaściwie, stała się odpowiedzą, że ks. proboszcz tak ją uczył i że zawsze będzie tak wszystko robiła, jak on sobie tego życzył. Jedynie w sprawach światowego savoir-vivre'u autorytetem nie był proboszcz, a szwagier, który jej zdaniem był w tej dziedzinie wyrocznią. Wkrótce też zaczęła lekceważyć swoje obowiązki, z których najważniejszym było dojenie krowy. Zdarzało się, że w sobotni wieczór kilkakrotnie oświadczyła, że jutro szwagier zaproponował jej wspólną wycieczkę, obecność czego będzie mi bardzo wdzięczna, jeżeli ja tego dnia krowę wydoje. Tymczasem niedziela, to był jedyny dzień, kiedy mogłam wstąpić trochę później, a nie jak co dzień przed szósta, to

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

W S P O M N I E N I A - C Z E R W I E C 2 0 1 3

tez powiedzialam jej, ze moze w ogóle zając się spełnieniem życzeń owego szwagra, a ja skoro mam ją stale wyreczac, to już wole sama wszystko robic, chocby ze względów oszczędnościowych.



216. Maria (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowska. Czasy malborskie.



217. Teodor (BKD 53) Karnkowski. Czasy malborskie. Na zdjęciu widac wyraźnie nadszarpnięte zdrowie.

Odtąd już sama wszystkie prace tak przy inwentarzu, ja w ogrodzie czy w domu wykonywałam sama.

A żeby to wszystko zdążyć zrobić wstawiałam codziennie o 5-tej. Trzeba było wydoić krowe, co nie było rzeczą łatwą, gdyż primo trzeba było wyciągnąć z twardych wymion przynajmniej pół roku 3 wiadra mleka dziennie, to jest około 30-tu litrów, następnie porozlewać w przyniesione poprzedniego dnia przez klientów butelki. Potem nakarmić i napoić nie tylko krowe, ale i tucznika - (wówczas mieliśmy już tylko jednego), drób, no i wreszcie króliki, których chowaliśmy około 30-tu głównie na mięso, gdyż mezowi nie wolno było jeszcze innego jak tylko białe - bicie kur byłoby zbyt kosztowne, więc co tydzień szedł pod nóż przynajmniej jeden królik. Futra dawałam do wyprawienia, tak, że z czasem uzbierało się ich tyle, że starczyło dla Anusi na ładne futerko. Klatki dla królików zbudował Kazio i to zupełnie sam, pozwalało to na chowanie większej ich ilości. Nieoceniony był dość obszerny budynek gospodarczy, była w nim dostatecznie duża obórka, chlewik i pomieszczenie dla kur, a na górze obszerny strych, w którym można było przechowywać duży wóz siana. Siano tamtejsze było znakomite, tak, że krowa nim karmiona dawała dużo i to bardzo tłustego mleka, oczywiście konieczny był dodatek wytloków i lisci buraczanych. O te było najtrudniej, gdyż gospodarze niechętnie odstępowali nam tę cenę pasze, chyba tylko wtedy, ten, co ich potrzebował sam te liscie obciął. Na szczęście jeden z takich gospodarzy miał pole buraczone niedaleko, więc całą jesienią, zaraz po powrocie z pracy do domu zabierałam wózek i jechałam tam, aby do wieczora obcinać te liscie - wieczorem, kiedy było już ciemno przybiegały dzieci, aby je odwieźć do domu. - Ze zdobyciem wytloków były niemięjsze trudności - jeździł po nie tymże wózkiem Kazio do cukrowni na tej samej ulicy Stalina²¹¹.

²¹¹ Zdobycie paszy dla krowy, która była ważnym źródłem dochodu, a ponieważ dawała dużo mleka musiała być dużo i treściwie karmiona, było dla Matki wielkim problemem organizacyjnym i transportowym. W okresie kampanii buraczanej były do dyspozycji świeże liscie buraczane i świeże wytloki, o których wspomniano. Na zimą, wiosnę i lato, oprócz siana trzeba było suszonych wytloków, suszonych kielków jęczmiennych po odcignięciu słoju tzw. wysłodków ewentualnie makuchów itd. Wszystko to było nie tylko drogie, ale trudne do kupienia i przetransportowania w odpowiednich ilościach. Cukrownia sprzedawała suszone wytloki w zasadzie tylko dostawcom buraków, czasem jednak udało się coś kupić, co transportowałam wózkiem. W wcześniejszych latach jeszcze niektórzy chłopcy mieli z suszonych wytloków pozostawione jeszcze przez Niemców. Trzeba było takiego chłopca znaleźć, co robiła Matka, a ja przewoziłam na rowerze wytloki workami, czasem po kilka kilometrów. Wysłodki kupowało się w browarze (jak sprzedawali). Kiedyś przy odbiorze zapłaconych już wysłodków niosąc na plecach ciężki worek nie zauważyłam otwartego luku, do którego wpadłem uderzając tyłem głowy w żelazną drabinkę. Wyszedłem z luku w workiem, ale zalany krwią. Po prowizorycznym opatrzeniu rany zawiozłem wysłodki do domu, załadowałem i pojechałem rowerem do szpitala gdzie opatrzono mnie definitywnie i założono 2 klamery. Wypadek ten prawdopodobnie wywołał u mnie nieuleczalną chorobę zwaną narkolepsją, która utrudniała mi znacznie studia i pracę zawodową. Dopiero w Szwajcarii postawiono mi diagnozę i przepisano odpowiednie lekarstwa. Oprócz starania się o paszę, krowe trzeba było, co jakiś czas prowadzić „do byka”. Kiedyś Matka umówiła w tym celu jednego mezczyznę, któremu musiałem kilka kilometrów na wies. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Największy był kłopot z nawozem, którego było o wiele dużo jak na nasz ogród, a ponieważ nasi sąsiedzi prawie wszyscy mieli również krowy, więc z pozbyciem się nadmiaru było trudno - narazie gromadziło się takowo na niewielkiej przymie za obórka - nie było go na szczęście widac jedynie charakterystyczny zapach zdradzał jego obecność. Prace związane z pielęgnacją inwentarza, to przecież nie wszko, czemu trzeba było podolac - był przecież ogród i to wcale niemały, a w nim kilka drzew owocowych, maliny, truskawki no i kwiaty, bez których nie wyobrażałam sobie życia. Tak tu jak i wszędzie gdziekolwiek zakładałam ogrody starałam się, aby zawsze należały do najładniejszych, podobnie było i tutaj, co potwierdza następujące wydarzenie: któregoś roku latem odwiedzić nas chciała ciotka Unrużyna (BKD 59)²¹². Wiedziała, że mieszkamy na ulicy Stalina, ale zapomniała, pod jakim reem. Nie przejmowała się tym specjalnie, bo „na pewno znajdzie dom, w którym mieszkają, bo będzie miał najstarszą rzymany ogród”. I rzeczywiście rozglądając się doszła do numeru 43-go i zauważyła, że ogród, który otaczał dom był najlepiej utrzymany i najładniejszy. Bez wahania weszła przez furtkę, okrzyła dom i gdy przez otwarte okno zobaczyła wiszący na ścianie portret Matki (swojej siostry) bez wahania nacisnęła na klamkę. Zresztą nie tylko ona nas odwiedzała, ktokolwiek ze znajomych czy też z rodziny był na Wybrzeżu nie omieszkał przyjechać do Malborka z zamiarem zobaczenia się z nami. Jedną z osób, która najczęściej nas odwiedzała była ciotka Maniuta Chelkowska (BKM 293)²¹³, która po najrozmaitszych perypetiach wojennych wylądowała wraz z mężem (BKM 630) w Telkwicach, majątku, który należał do jej rodziców Zofii (BKM 105) z Mittelstaedtów i Jana (BKM 108) Donimirskiego. Usiłowała przy pomocy wnuka Józefa Chelkowskiego gospodarować na przyznanym jej po parcelacji całego majątku kawalku ziemi. Podziwialiśmy tą niemłoda już kobietę zawsze jeszcze piękna i pełna życia jak z całkowitym zaparciem się siebie usiłowała dać sobie radę²¹⁴, ona, która w Smielowie dysponowała legionem służby, teraz sama męczyła się nie tylko sprzątaniem, ale i gotowaniem, czasami nawet licznie odwiedzającym ją krewnym. Złatwiała też wiele spraw wymagających jej obecności w Malborku; pamiętam jak pewnego razu przyglądając się przyjeżdżającemu wozowi naladowanym olbrzymim stosom konopi, patrze, kto siedzi na piramidzie? Okazuje się, że ciotka - która osobiście eskortowała zakontraktowany produkt. Po wylądowaniu owych konopi, wpadła do nas bardzo jednak zmęczona i tak jak stała rzuciła się na łóżko. Gdy po chwili musiałam wejść do pokoju ze zdumieniem zobaczyłam niezmordowaną ciotkę jak już wypoczęta znalazłszy na półeczce „Pana Tadeusza” rozczytywała się w ulubionym poemacie²¹⁵.

W Telkwicach był duży ogród, a w nim ogromna kwatera malin - właśnie dojrzewały, ale nikt nie miał czasu ich zbierać, wobec tego ciotka zaproponowała nam przyjazd do niej celem zebrania ich ile tylko zdołamy. Któregoś niedzieli wybrałyśmy się z Anusia na malinobranie do Telkwic. Takiej ilości tych przepysznych owoców jeszcze nigdy nie widziałam, przy tym owoce były wyjątkowo dorodne, to też nie wiem, kiedy nazbierałyśmy 2 pełne ogromne wiadra i gdyby nie czas na powrót mogłybyśmy w równie krótkim czasie mieć i dwa następne, równie pełne jak poprzednie, olbrzymich purpurowych malin. Chyba jeszcze ani dawniej ani też i potem, nie miałam takiej ilości znakomitego soku malinowego. Wiedząc, że na pewno zrobimy staruszkom dużą przyjemność zapraszając ich na świeżone zaproponowałyśmy im przyjazd do nas. Bardzo byli udelectkowani obfitością doskonałych według i tym bardziej bardzo udanych ciast i mazurków - starałam się specjalnie, aby stół był zastawiony podobnie jak przed wojną, to też w ostateczności byli bardzo zadowoleni. Gdy wyjeżdżali patrzyliśmy z przerażeniem jak oboje z trudem ładowali się na rozklekotany wózek zaprzeczony w jednego mizernego konika - uprzęż była wyjątkowo marna, tak, że gdy wreszcie ruszyli z przodem byliśmy pełni obaw, czy uda im się bez przygód dojechać do domu. Wreszcie rodzina widząc jak ciotka męczy się z prowadzeniem gospodarstwa i zresztą nie może sobie dać rady, z wielkim trudem skłoniła ją do opuszczenia Telkwic. Proszono mnie, abym pomogła ciotce w pakowaniu resztek dobytku i towarzyszyła jej w tych ciężkich dniach, kiedy będzie musiała już po raz ostatni opuścić dom, w którym się urodziła i gdzie spędziła najpiękniejszy okres swego życia. Bardzo mi jej było żal - wiedziałam z własnego doświadczenia, jaki to boli²¹⁶. Odwiedzała nas też kilkakrotnie i to jeszcze wtedy, gdy mieszkaliśmy na ulicy Kosciuszki, a także i tu na Stalina, zona wielkiego przyjaciela moich rodziców pana Kazimierza, Szczesnieńskiego, pani Zofia²¹⁷ i przesiadywała u nas czasami po kilka tygodni. Była też Niuska (BKM 563) Mittelstaedtowa²¹⁸, która nie poszła w ślady tych wszystkich wsielenców, którzy po skończonej wojnie powrócili w swe strony. Pozostała do śmierci w Wojniczcu, spędzając tylko letnie wakacje nad morzem, które bardzo lubiła. W ogołe odwiedzających nam nie brakło.

²¹² Z domu Damska 1^o v. Rembowska. Siostra babki Bartoszewiczowej z. d. Dąbskiej. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹³ Współwascicielka Smielowa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁴ Przypominam sobie, że widok gospodarujących dziadków Chelkowskich napawał poczuciem beznadziejności. Dziwicie się, że ich dzieci na to zezwoliły, ale chyba jedynie w wyniku niesłychanego uporu babki. Podarowanie w tych czasach, szczególnie dla byłych ziemian było bardzo trudne, ze względu na niesłychaną demoralizację pracowników. Niestety forma niniejszych wspomnień nie pozwala na głębsze potraktowanie tego problemu, który trapi polskie rolnictwo jak zły spadek po komunistach - dzisiaj. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁵ Smielów był upamiętniony pobytem Mickiewicza w 1831 r., stąd też pielęgnowana legenda, mówiąca, m.in., że Smielów miał być prototypem Soplificowa. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁶ Pomimo tylu obowiązków Matka znajdowała zawsze czas, aby pomagać innym. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁷ Zawsze uczynna, skromna, bez żadnych osobistych wymagań niezapomniana osoba gołębiego serca. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²¹⁸ Oprócz ww. odwiedziła nas przyrodnią siostrą Ojca, Zofia (BKD 264) z Karnkowskich Górska z synem Kazimierzem, siostrą Matki Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska, oraz wielokrotnie jej brat Janusz (BKD 500), jednak ten ostatni bez nocowania. Matka była niesłychanie gościnna i każde odwiedziny sprawiała jej wielką przyjemność. Największy stopień przeprocowania, ani największy niedostatek materialny nie był przeszkodą, dla przyjęcia wizyty. Nie można zapominać, że Matka musiała wówczas pracować zawodowo, opiekować się zwierzętami domowymi, uprawiać ogródek, prowadzić gospodarstwo domowe z chorym mężem i dwojgiem dziećmi, i to bez pralki elektrycznej, lodówki i bez ciepłej wody bieżącej. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Jedna z najpiękniejszych niespodzianek zrobiła mi dawną moją nauczycielką panią Zofia Gay. Dowiedziawszy się przypadkowo, że mieszkamy w Malborku nie mogła, jak mówiła odmówić sobie przyjemności zobaczenia uczennicy z przedtak odległych czasów.

I my również wyruszyliśmy z domu - choć były to arcyrzadkie wypadki - taki np. wyjazd do Krynicy Morskiej, gdzie na kuracji przebywały kuzynki mego meza Jablonskie. Namówiły nas, abysmy się tam wybrali nie tylko na spotkanie z nimi, ale przy okazji zobaczyli jak piękna miejscowością jest owa Krynica. Rzeczywiście nie zawiedliśmy się, bo nie tylko sama Krynica, ale przede wszystkim droga do niej statkiem po zalewie elblaskim jest wyjątkowo piękna i atrakcyjna.

Jednak owe wypadki były raczej rzadkie - po prostu nie było na to czasu. - Gdy Dom Dziecka zlikwidowano trzeba było na gwałt szukać pracy, pomógł mi w tym życzliwy jak za - że dr Kucharski i polecił mi Wydziałowi Oświaty na stanowisko higienistki szkolnej. Byłam nią przez 3 lata, a później tenże sam dr zaangażował mnie, jako higienistkę pracującą w Sanepidzie. Praca była podobna, z tym, że musiałam wykonywać różne szczepienia ochronne. W tym powojennym okresie, gdy na Żuławy zaczęli napływać wysiedlenci przeważnie z Białorusi, więc z terenów, gdzie ludność nie odznaczała się zamilowaniem do czystości, kontrola uczniów nie tylko szkół podstawowych, ale i średnich była koniecznością. Postanowiłam sobie, że doprowadzę do tego, żeby nie było dzieci zaszczepionych w szkołach podległych memu dozorowi. Zasadniczo powinnam przeprowadzić kontrole w każdej ze szkół mi powierzonych, przynajmniej raz w miesiącu.

Doszedłam do wniosku, że szczególnie w niektórych szkołach powinno się to robić częściej. Skutek okazał się znakomity, bo kiedy po odbytej kontroli nauczycielka jak i dzieci przestały pilnować czystości, wtedy najzupełniej niespodziewanie zjawiała się na swoim rowerze pani „komunistka” jak mnie, przekrecając mało im znane słowo higienistka, dzieci w niektórych szkołach nazywały. Wielekroć dojeżdżając do szkoły, która właśnie zamierzałam objąć kontrolą, gdy mnie z daleka dzieciarnia zobaczyła z okrzykami „Pani komunistka jedzie”, pedziły do pompy, aby choć trochę umyć zwykle niezbyt czyste ręce. Ale nie tylko dzieci wpadały w poploch, niemniejsze emocje przechodzili nauczyciele odpowiedzialni za utrzymanie porządku i czystości w klasach, ustępach i w ogóle w całym szkolnym obejściu.

Niejednokrotnie sprawozdania, które musiałam przedstawić w biurze S.E., chwalebnie świadczyły o ich troskliwości w tej dziedzinie. Szkół podlegających mojej w tej dziedzinie kontroli było niemało, w samym Malborku było nie tylko kilka szkół powszechnych, ale i szkoły zawodowe, internaty, złobki, domy dziecka, co dopiero mówić o całym terenie powiatu malborskiego, gdzie było kilkanaście placówek, za których stan higieniczny odpowiadałam.

To też roboty nie brakło, codziennie, wyjeżdżałam, około 8⁰⁰ aby wrócić o 15⁰⁰. Jeździłam przeważnie służbowym rowerem, rzadko wąskotorową kolejką, bo to mi się gorzej kalkulowało przy obliczaniu przejechanych kilometrów. Wynagrodzenie służby zdrowia w tamtym okresie było skądś alicznie niskie, to też niewielka różnica, jaka powstawała przy zwrocie za przejechane w miesiącu kilometry miała dla mnie znaczenie. Gdy wprowadzono przymusowe szczepienia ochronne, to podjęłam się i tego obowiązku - choć praca z tym związana była bardzo męcząca, a szczególnie obliczenia dokonanych zabiegów. Trzeba było to robić po nocach, bo przecież w ciągu dnia nie mogło być o tym mowy. Niejednokrotnie już świt zaglądał przez okna, kiedy wreszcie kończyłam te nudne obliczenia. - Zarobienie dodatkowo kilkuset złotych było dla mnie koniecznością.

To też nic dziwnego, że niekiedy byłam tak zmęczona, że zasypiałam stojąc przy kuchni z chochlą w ręku. - Kazio pomagał mi w miarę możliwości, ale podczas wakacji starał się zarobić na kupno książek do następnej klasy - jednego lata pracował, jako pomocnik murarski, kiedy indziej zładując worki z wozów, a Anusia nauczyła się już prac domowych i nawet mając 14 lat robiła to całkiem dobrze. Nie chciałam ich jednak zbyt wykorzystywać, przede wszystkim musieli się uczyć - Kazio był zdolny, pracowity i ambitny. - Anusia uczyła się raczej z musu, nie zdradzała też żadnych zainteresowań intelektualnych - z trudem udawało mi się zachęcić ją choćby do przeczytania tak ciekawej książki jak „W pustyni i w puszczy”.

Jeśli chodzi o mnie, to przez te wszystkie lata na czytanie nie miałam już absolutnie czasu, nie bardzo też miałam czas, aby zainteresować się tym, co się dzieje w kulturze i co do tego, co się w tej dziedzinie stało od zakończenia wojny - chwili zamieszkania w Poznaniu, jestem bardzo mało zorientowana - Każda chwila dnia miałam tak wypełnioną, że aby wszystko zdążyć zrobić, nie mogłam tracić ani chwili czasu. Mielismy też trochę przyjaciół w samym Malborku, a więc przemily dom państwa Wszelaczyńskich, bardzo z nimi żyły panie Mochnackie, to znaczy najstarsza z nich zamezna, Zosia, która z czasem stała się moją przyjaciółką i Ewa Agopsowicz również bardzo mi bliska osoba. Wszystkie te panie, aż do chwili, kiedy państwo Wszelaczyńscy przenieśli się na Wybrzeże, mieszkały razem, to też, gdy do nich przychodziliśmy mogliśmy się spotykać z nimi wszystkimi. Prócz tych dwóch domów było jeszcze kilka domów sympatycznych, ale odwiedzaliśmy je raczej rzadko, głównie z braku czasu.

Do kościoła staraliśmy się chodzić w niedziele razem, a w dni powszednie po drodze do pracy zachodziłam na krótką mszę św. poranną. Natomiast w takich długich uroczystościach jak Boże Narodzenie, rezurekcja czy Pasterka nie braliśmy udziału, gdyż byłoby to dla mego zbyt męczące. Tylko raz zaryzykowaliśmy wybranie się na Pasterkę i było to po raz ostatni, nie chcieliśmy, bowiem ryzykować ewentualnego powtórzenia incydentu, który wówczas się wydarzył, a było to tak.

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska

WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Doszedłszy już do ulicy Stalina skąd już blisko było do naszego domu, dzieci pobiegły pierwsze, jakie było ich zdziwienie, kiedy zobaczyły podniesione żaluzje i otwarte okno w pokoju, który chłopcy²¹⁹ zajmowali, nawet lampa się paliła.

²¹⁹ W różnych okresach mieszkali w jednym pokoju z Kazimierzem na stacji, jego koledzy. Najpierw był to Henryk Chmara, a następnie Janusz Kowalski. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).



218. Dom mojej Matki nawet w czasie największego niedostatku był zawsze bardzo gościnny. Na zdjęciu od lewej: ciotka Maria (BKM 563) z Leszczyńskich Mittelstaedt właścicielka Lisewa, wysiedlona do Wójnicza, Matka, (BKD 52), Zofia (BKK 264) z Karnkowskich Górka, przyrodnia siostra Ojca, Ojciec (BKD 53), i Anusia Karnkowska (BKD 55). Ubrani byliśmy w dary amerykańskie.



219. Anusia Karnkowska (BKD 55). Zdjęcie z roku 1951, zrobione przez ojca mojego kolegi Janusza Kowalskiego z Poznania, który mieszkał u nas do matury na stacji.

Widocznie ktoś spłoszył złodziei i nie zdążywszy zgasić światła uciekli, co prawda z niezbyt obfitym łupem, bo tylko z koszulą, którą na gwiazdkę Kaziowi kupiłam i jeszcze kilku sztukami bielizny, na szczęście używanymi, jego współlokatora. Prawdopodobnie zamierzali okraść pozostałe pokoje, nie przypuszczając, że drzwi od tego pokoju, który pierwszy padł ich ofiarą był zawsze zamknięty na klucz. Prócz tej niegroźnej kradzieży jeszcze kilka razy złodzieje przypominali o sobie o nas, mianowicie zginęło kilka kur i oberwali noca całą gruszkę z dojrzewających właśnie owoców.

Ponieważ mój mąż czuł się coraz lepiej, powstała koncepcja założenia małej pasieki - dwa najwyżej trzy ule, którymi by się zajmował, aby mieć trochę zajęcia, no i satysfakcję z zagacenia naszej skromnej spizami tak bardzo przez nas wszystkich lubianym miodem. Impuls dawała wysadzana dużymi pięknymi lipami cała nasza ulica, a że na strychu było mnóstwo niepotrzebnych desek i różnych odpadków drewnianych, więc i materiału na ule nie brakło²²⁰. Natomiast na stolarza - który by te ule miał zrobić pieniędzy nie mieliśmy. Wobec tego wiedząc, że mój stryjeczny brat Włodzimierz (BKM 434) jest właściwie jedyną osobą dobrze finansowo sytuowaną - (miał stałe zamówienia na portrety), więc poprosiłam go o pozyczenie odpowiedniej sumy, która by nam umożliwiła zapłacenie stolarza, zanim jednak zdążyłam takiego zaangażować, stan zdrowia mego znowu się pogorszył tak, że już nie chcieliśmy go narazac, na co prawda niewielkie wysiłki, jakich by przy zajmowaniu się pasieką potrzebowali i zaniechaliśmy całego projektu. Podobnie było z możliwością otrzymania w tamtejszym powiecie należącej się byłym właścicielom ziemskim 10-hektarowego gospodarstwa.

²²⁰ To drewno na strychu, to były raczej części różnych porzucanych przez Rosjan mebli i materiału właściwego do budowy uli było niewiele. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Musze przyznać, że ta perspektywa była dla mnie dość ciekawa - możliwość gospodarowania na własnym kawałku ziemi, nawet tak niewielkim, wydawała mi się nie tylko atrakcyjna, ale i korzystna. Ziemia na Żulawach była tak wspaniała, że mogła nam pozwolić na taką dostojną egzystencję. Sprawa ta była już tak daleko zaawansowana, że dla załatwienia formalności z nią związanych wybrałam się do Konina, a więc już tam odwiedziłam panią Klare Michalską, z którą zaprzyjaźniłyśmy się w czasie okupacji, bo i ona była wywieziona jednym z późniejszych transportów do Wojnicza. Była to osoba bardzo miła i pedagog z powołania, a w dodatku przez całe życie związana z Morzysławiem, wsią prawie przedmieściem Konina, gdzie przez całe swe długie życie była nauczycielką, a później kierowniczką tamtejszej siedmioklasowej szkoły. To też, jak tylko zaistniała możliwość przyjeżdżania do Morzysławia, gdzieś podobnie jak my, to jest w kwietniu 1945 roku, przyjechała i natychmiast zaczęła organizować szkołę i aż do emerytury ją prowadziła, mimo szeregu trudności, z którymi przyszło jej walczyć. Pani Klara cieszyła się bardzo - spędziłam u niej cały wieczór, dzieliliśmy się wszystkim, co przeżyliśmy od chwili opuszczenia - ona Wojnicza - a my Wieckowic. Bardzo zmarliła się choroba męża, z którą zetknęła się bliżej i bardzo polubiła podczas wspólnie odbytej pielgrzymki na Jasną Górę.



220. Zdjęcie z roku 1951, zrobione po zdaniu przez Kazię (BKD 54) matury. Na zdjęciu od lewej: siostra Anusia (BKD 55), ja, Matka (BKD 52) i siedzący Ojciec (BKD 53).



221. Zdjęcie z roku 1951, zrobione po maturze, przed domem na ul. Stalina 34 (obecnie Sikorskiego) w Malborku. Na zdjęciu od lewej: Kazio (BKD 54), Ojciec (BKD 53), Siostra Anusia (BKD 55), Matka (BKD 52) i kolega J. Kowalski, obecnie prof. dr medycyny w W-wie.



222. Janusz Kowalski. Prof. dr med. w Warszawie. Zdjęcie z 2012 r.

Wracając do projektu objęcia jakiegos gospodarstwa w powiecie malborskim, to jednak nie doczekał się on zrealizowania i to głównie dzięki Kaziowi, który wprost zaklinał nas ze łzami w oczach²²¹ abysmy tego nie robili. Przecież Rodzice wiedzą ile pracy wymaga takie gospodarstwo - przecież Ojciec jest niepełnosprawny, więc wszystko spadnie na Mame, bo przecież chciał daleko studiować,

²²¹ O ile sobie przypominam nie zaklinałem Rodziców ze łzami i w oczach. Odwrotnie powiedziałem niegrzecznie, krótko i brutalnie: „Jeśli Ojciec chce wziąć gospodarstwo, to niech się Ojciec najpierw zastawi, kto na nim będzie pracować, bo ja nie”. Oczywiście jasnym mi była nierealność idealistycznych planów Rodziców, którzy byli w pracy nie roli po prostu „zakochani” bez względu na to czy mieliby do pracy personel czy mieliby najcięższe prace wykonywać sami. Szczególnie Matka dała dowód, że się takiej pracy nie boi. Przed oczami stał mi m.in. obraz babki Chelkowskiej w Telkwiach. (Kazimierz Kamkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Anna to jeszcze dziecko, - takie gospodarstwo będzie nam wszystkim kula u nogi! rzedu wylewowi krwi do mózgu, po którym został sparalizowany - cóż byśmy wtedy zrobili, tym bardziej, że syn był już na studiach na politechnice w Pradze.



223. Praga – okolice Placu Karola, miejsce zamieszkania i studiów Kazimierza Karnkowskiego²²², 1951-1956 r. Mniej więcej na środku na dole, widac narysowany z fotograficzną dokładnością akademik w którym mieszkał K. Karnkowski. Dwa bloki wyżej na środku widac zabudowania starej politechniki, nowe gmachy wybudowano obecnie na przedmieściu Pragi. Po lewej stronie pod napisem „Kotły parowe” znajduje się budynek w którym na dwóch najwyższych piętrach, których okna wyraźnie widac 4 +4 okna, katedry na której K.K. robił specjalizację i bronił dyplomu magisterskiego.

Udało mu się wreszcie nas przekonać i cały projekt poszedł w zapomnienie i to na całe szczęście, bo wkrótce mąż uległ trzeciemu już atakowi apopleksji. Należało tylko Bogu dziękować, że ustrzegł nas od tego tentującego, ale w rezultacie niefortunnego kroku! - Była jeszcze jedna koncepcja, której fiasko okazało się i tym razem zbawienne. Wujostwo zdecydowanie postanowili pozostać w Krosznie, (początkowo zamierzali po pewnym czasie do Malborka powrócić), to też zaistniała możliwość przejścia ich uprawnień i uzyskania przejęcia zajmowanego obecnie przez nas domu. I w tym samym perspektywa była tentująca.

²²² Pokazanie we wspomnieniach Matki, wyższej uczelni, na której się studiowało, oraz akademika, w którym się mieszkało 5 lat, zakrawa na samowolstwo. Jednak, ponieważ taka jest prawda, która jednocześnie jest rzadkim wypadkiem nie mogłem się powstrzymać, aby o tym nie wspomnieć. (K. Karnkowski 2013-06-07).

Willa, w której mieszkaliśmy była nieduża - ale dla nas najzupełniej wystarczająca, owe dwa duże pokoje, z których my zajmowaliśmy jeden, drugi Anusia, przedzielony kotara, za która w mniejszej części rezydowała Anusia, a większa była jadalnia i salonikiem. Trzeci był pokój Kazia, który dawał wodał sobie dwóch zresztą bardzo sympatycznych kolegów (jednego, a potem drugiego, jak to już było wspomniane) - no i oczywiście kuchnia, szpiarnia i WC, a na piętrze łazienka i dwa pokoje, jeden z balkonem no i kilka poddaszy i schodów waneł. Do tego nieocenyony budynek gospodarczy i jednak dość duży ogród z kilku owocowymi drzewami, no i na tyle duży, że prócz kwiatów, bez których przecież życie trudno, wyhodowane w nim jarzyny i warzywa wystarczały nam na cały rok. Owe dwa pokoje na górze odstąpiliśmy osobie²²³, z którą zetknęliśmy się zupełnie przypadkowo, ale, z którą zaprzyjaźniliśmy się tak bardzo, że uczucie to przetrwało aż do chwili obecnej. Nie tylko z nią, ale z jej mężem, a obecnie i ich dziećmi łączy nas wiezy prawdziwie wypróbowanej przyjaźni.

Wracając do naszej willi, dziwił się nawet, dlaczego dotąd nie znalazł się amator na ten jakby nie było atrakcyjny kasek - dopiero później dowiedzieliśmy się, że wszystkich odstraszało sąsiedztwo niewielkiego cmentarza żołnierzy sowieckich tam pochowanych, o czym oznajmiał niewielki pomniczek uwieńczony gwiazdą ZSRR. Nam to sąsiedztwo absolutnie nie przeszkadzało, a z czasem, gdy starania o przydzielenie nam willi na własność jakos bardzo się przewlekły, nawet cieszyliśmy się z tego, uważając ową gwiazdę, jako piorunochron strzegący nas przed zakusami szczęśliwszych niż my amatorów. I w tym wypadku dobrze się stało, że nie uzyskaliśmy przydziału na tę nieruchomość - gdyby to nastąpiło byłibyśmy związani z Malborkiem i nawet trudno byłoby z nim ewentualnie rozstać się, a tak byliśmy jak wolne ptaki szukające możliwości ulokowania się tam gdzie nas życie skieruje.

Kazio zdążył z wyróżnieniem²²⁴ mature i pojawiła się możliwość ubiegania się o wyjazd na studia do ZSRR, NRD lub Czechosłowacji. Z tych trzech możliwości wybrał Czechosłowację, gdzie po różnych tak i nie wyjechał w roku 1951. Przed tym nastąpił jednak fakt, który uprzykrzył nam w niesłychany sposób ostatnie lata życia w Malborku. Nasza kochana p. Elsenbahn, pielęgniarka, która choć od dawna już nie żyła, ale jest przez nas stale nazywana „siostrą”, doczekała się wreszcie wypuszczenia z więzienia swego narzeczonego p. Józefa Nowaka, w którym przebywał cały czas zaarrestowany tuż po zakończeniu wojny. W czasie wojny przebywał także większa część czasu w różnych obozach i więzieniach niemieckich. Państwo ci poznali się również w więzieniu, w którym przebywali za współpracę czy też członkostwo w jakichś organizacjach podziemnych. Przyjaźń zakończyła się miłością i p. Nowak po zwolnieniu z więzienia zjawił się w Malborku, aby po kilku dniach „porwać” narzeczoną, wziąć z nią ślub na Jasnej Górze i zamieszkać na Śląsku. Po jej wyjeździe musiałam zgodnie z obowiązującymi przepisami zgłosić zaniechanie zajmowanych przez „siostrę” pokoi. Wkrótce zjawiło się małżeństwo w towarzystwie kilku również antypatycznie wyglądających towarzyszy i oświadczyli, że mają odpowiedni nakaz na zajęcie zgłoszonych przeze mnie pokoi, a widząc moje niezadowolenie oświadczyli z ogromną pewnością siebie, że jakkolwiek protest z mojej strony będzie bezcelowy, bo oni mają pozwolenie na otrzymanie owych pokoi na podstawie decyzji podpisanej przez samego Bieruta, do którego odwołał się w tej sprawie, zmuszeni brakiem odpowiedniego lokalu dla mającej się wkrótce powiększyć rodziny, co zresztą było łatwe do zauważenia, patrząc na mocno już zaokrąglone kształty żony wojennego małżonka. Zresztą nie ma, co dyskutować, bo oni już jutro tu będą i pokój zajmą. Perspektywa współżycia z tak wyjątkowo antypatycznie wyglądającymi ludźmi przeraziła mnie do tego stopnia²²⁵, że straciłam energię potrzebną do zwalczania zakusów tych ludzi, tym bardziej, że szanse wygrania sprawy były znikome przy poparciu tak wysoko stojącego autorytetu.

Zrezygnowana wpuszcłam ich nazajutrz wymógłszy jedynie za ich zgodą, że łazienkę (na piętrze) cieszę się im odstępuję z tym, że oni zrzekną się pretensji do kuchni (na parterze). Wolalam już to, niżli perspektywę wspólnego użytkowania kuchni z tego rodzaju typami. Od tej chwili nie było chyba dnia, który by nie przyniósł powodu do irytacji - przede wszystkim dowiedzieliśmy się wielu kompromitujących rzeczy, a więc nie byli wcale małżeństwem, on porzucił żonę, z którą miał pięć dzieci, ona jedno z swoich dzieci „odsprzedała” jakimś amatorom za połowę swini, rzecz wprost nie do uwierzenia, ale, do której sama się po pewnym czasie przyznała, drugie dziecko oddała do sierocinca, ale teraz, kiedy ma większe niż poprzednio mieszkanie, będzie je musiała stamtąd odebrać, a to, którego się teraz spodziewa zrzeknie się zaraz po urodzeniu. Chwaliła się mężem zaufania w pracowni stolarskiej, gdzie pracował. Typ ten wyjątkowo bezczelny, tylko wtedy, kiedy podczas wakacji Kazio był w domu starał się być nawet uprzejmy.

²²³ P. Elsenbahn, zamezna za inż. Józefem Nowakiem (skazani, ona dożywocie, a on karę śmierci za AK, później ulaskawieni i amnestiowani). (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²²⁴ Pomyłka, mature zdałem dobrze, ale nie z wyróżnieniem. W Polsce nie dawano wówczas świadectw maturalnych „z wyróżnieniem”. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²²⁵ W tym czasie wszyscy „byli ziemianie” byli po prostu sterroryzowani ogólną sytuacją i bali się jakiegokolwiek protestów, aby nie podpisać. Były to lata najciemniejszego stalinizmu. Nie wiadomo było, co wolno dzisiaj i czego nie będzie wolno jutro. Komunisty stosowali taktykę wypróbowaną w sowieckich „gulagach” i niemieckich obozach koncentracyjnych, gdzie świadomie tolerowano terroryzowanie „porzecznych” ludzi przez elementy kryminalne. W PRL-u w tym celu do tzw. „dobrych domów” wkwaterowywano elementy kryminalne, które jako dodatkowe zadanie miały szpiegowanie sąsiadów.

Pewnego razu oświadczył z dumą, że został wysłany na zjazd meżów zaufania do Gdanska, że ta dżaja jest najslusniejsza, poniewaz on jest sekretarzem swojej pówki, na dowód, czego pokazal teczke bardzo wypchana, jak sie chwail sprawozdaniami i waznymi dokumentami. Teczka wydawala sie Kaziowi jakos bardzo podejrzenie wygladajaca, niedyskretnie zajrzal do srodka i zobaczyl, ze jest wypchana ukradzionymi w stolarni, gdzie ów godny maz zaufania pracowal, odpadkami drewna, bardzo potrzebnymi na podpeke zapobiegliwemu mezowi licznej rodziny. I rzeczywiscie liczniejszej niz dotad, gdyz w miedzyczasie odebrali j z sierocinca owa kilkuletnia dziewczynke. Biedne to bylo dziecko, poszlurchiwane stale przez wyrodna matke, która w dodatku ja glodzila tak, ze to nieszczesne dziecko przychodzilo do mnie nieraz proszac o kromke chleba, bo byla bardzo glodna. Raz nawet ta wyrodna kobieta o malo malej nie zadusila, przyduszajac ja poduszka, bo jej placz ja denerwowal, ak sie sama do tego przyznala. Najwiecej mi jednak ta mila para dokuczyla, gdy pewnego dnia wracajac do domu, wybieglam do ogródka po potrzebna mi do obiadu salate zastalam furtke zamykajaca ogrodzenie, zabezpieczajace uprawy przed kurkami zamknięte na klódke. Gdy wreszcie dluzsza znacznie droga weszlam wreszcie do ogródka, zobaczylam, ze zostal przedzielony na dwie czesci drucziana siatka i wlasni do tej czesci najblizszej furtki, tylko oni mieli dojście. Tego juz było za duzo, pobieglam do magistratu ze skarga. Tam urzednik zorientowany zdaje sie, co do osobowosci moich wspóltorów, najpierw powiedzial, ze w ogóle podziwia, ze dopiero teraz po raz pierwszy jak u mnie mieszkaja wplywa na nich skaga, bowiem ci, którzy mieli przed tym z nia ta przyjemnosc prawie ciagle sie na nich skarzyli. Powiedzial, ze udzieli im nagany, ale watpi czy to pomoze, bo walka z takimi typami jest raczej beznadziejna²²⁶. Tym czasem wkrótce po tym ta kobieta z cala bezczelnoscia zadzwonila do nas prosz o mozliwosc spedzenia u nas nocy, albowiem maz gdzieś wyjechal, a ona zgubila klucz.

Latwo sobie wyobrazic moja mine, gdy uslyszalam ta propozycje, ledwo wykretilam sie od tej ewentualnosc, skladajac odmowe na karb choroby meza, a jej ofiarowujac poczeka na powrót malzonka, siedzac na stojacej w naszym pokoju kanapce. Wprost nie bylo dnia, zebym nie mogla spodziec sie awantury, bo ona siedzac beczynnie cale dni w domu wymyslala jakies powody do zrobienia awantury, a tym samym wyprowadzenia mnie z równowagi i klócenia sie z mila sasiadka. Codziennie wprost czyhala na moment mego powrotu do domu i stojac na górnym podescie schodów zarzucala mi potokiem inwektyw i wyssanych z palca pretensji, a ja mimo zmeczenia wyczerpujaca praca, musialam zdobywac sie na najwiekszy spokój, aby w ogóle nie reagowac na jej wystapienia i w dodatku wejsc do pokoju, w którym lezal mój biedny maz z mozliwie pogodna twarza tak, aby nie odgadl, co mnie przed chwila spotkalo. Nie chce przedluzac tych relacji zajeloby to zbyt duzo czasu, ale na zakonczenie przytocze cos na prawde humorystycznego. Otóz któregoś dnia wpada do mnie wieczorem troskliwy malzonek i blaga, abym przyszla ratowac jego zone, która dostala jakiegoś ataku i umiera. Cóż bylo robic, w takim wypadku trzeba bylo zapomniec o wszystkim i isc ratowac chora. Gdy weszlam do pokoju, w którym chora lezala spojrzalam na sciany; na jednej wisial krzyz i ózne swięte obrazy - a na drugiej portrety Stalina, Bieruta i innych wybitnych urzedowych figur. Gdy sie to zestawienie zobyló mozna bylo stwierdzic, ze w tym domu pali sie Panu Bogu swieczke a diablu ogarek - raczej odwrotnie. Po przyjrzeniu sie chorej od razu wiedzialam, ze jest to po prostu atak hysterii, wobec czego spytalam malzonka, czy ma jakis srodek na uspójenie. „Oczywiscie przeciez mam powierzona mi przez zaklad apteczke i juz jej dalem odpowiednie lekarstwo“. Prosilam, aby mi ja pokazal, z dumą otworzył owa apteczke i podal buteleczke z kroplami, Inoziemcowa. Wyprowadziwszy go z bledu kazalam przyjsc na dól, gdzie mu dalem krople walerianowe, które na pewno zonie pomoga i prosze, zebym akims czasie przyszedl powiedziec, czy rzeczywiscie atak minal. Zjawil sie niedlugo meldujac, ze zona czuje sie prawie dobrze. Zajeloby to zbyt wiele miejsca opowiadanie chocby czesci historii, jakie musialam przezyc z tymi ludzmi, jednak przytocze jeszcze jedna.

P. Talarkowa, wyjechala kiedys do sanatorium, skad w krótkim czasie otrzymalam od niej list mniej wiecej nastepujacej tresci: „Kochana Pani Karnkowska; mam do Pani zaufanie i dlacie bardzo prosze, aby Pani przypilnowala meza, zeby sobie nie sprowadzal kochanek do domu“. Reszta listu precyzowala szereg dalszych tego rodzaju polecen. Przez dluzszy czas przechowywalam ów list, jako curiosum - potem gdzieś przy nastepnych przeprowadzkach zaginal. Przy tej okazji z przykroscia musze stwierdzic, ze ta para, to i jedynie ludzie, od których w moim dlugim zyciu, w którym twierdze z całym przekonaniem doznalam bardzo wiele dobrego i wielu dowodów zyczliwosci, oni je przez te kilka lat zycia pod jednym dachem zawsze byli tylko przyczyna nerwów, stal niepewnosc, jaka to zlosliwosc potrafi wykoncyrowac i w jaki sposób dokucza. Zreszta jedna z głównych przyczyn, dla których z takim pospiechem wyjechalam z Malborka, byla perspektywa zostania teraz juz zupełnie sama z tak bardzo dokuczliwymi wspólokatorami. - Za to inni sasiedzi wlascciele ladnej i duzej willi po drugiej stronie owej gwiazdy (wieckiego cmentarza) byli ludzmi kulturalnymi i zyczliwymi - szczególnie zona doktora²²⁷ (byl absolwentem Akademii Lekarskiej w Królewcu) zacna, ale ogromnie zahukana przez arbitralnego malzonka. Mam w stosunku do niej duzy dlug wdziecznosc, ale napisze o tym dopiero pózniej, gdy bede relacjonowac okres ostatniego etapu choroby (meza).

²²⁶ Oczywiscie o usunięciu tego przegrodzenia ogrodu nie bylo zadnej mowy. Tzw. „sprawiedliwosc spoleczna“ w wydaniu komunistycznym polegala na tym, ze czasami celowo umieszczano takie szumowiny wśród „normalnych“ ludzi, aby ich terroryzowac. Normalni ludzie nie mogli od panstwa i policji oczekiwac ochrony przed takim uciążliwym elementem, ni mówiac juz o ich wykwaterowaniu. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

²²⁷ P. Salajski, który nie pracowal jednak w zawodzie leka, ale jak dochodzily nas sluchy robil „na lewo“ operacje np.: slepej kiszki na stole kuchennym. Oficjalnie piastowal w Malborku urzad Głównego Architekta miasta, poza tym malowal takze obrazy. Pani Salajska wstepowala takze do domu w czasie nieobecności Matki, aby dojrzec Ojca, który w ostatnim czasie choroby stracil mowe i nie mógł ruszac sie z łózka. (Kazimierz Karnkowski, CH 5400 Baden, 98-05-09).

Mąż autorki zmarł dnia 22 stycznia 1955 r. i został pochowany na cmentarzu w Kaldowie (przedmieście Malborka po drugiej stronie Nogatu). W latach 70-tych został przy czynnej pomocy wuja Janusza (BKD 500) Bartoszewicza ekshumowany do Poznania i pochowany na cmentarzu na Juńkowie.

Na tym kończą się wspomnienia Marii z Bartoszewiczów Karnkowskiej z Włocławka i z Paniewa. Jakże były dalej dzieje jej samej, brata, szwagierki syna, córki i wnuków? Postanowimy w dalszym rozdziale, kilku zdaniach dzieje te uzupełnić. (K.K.)

16. E P I L O G

Autorka, bezpośrednio po śmierci męża przeprowadziła się do Poznania, gdzie już od pewnego czasu pracowała jej córka Anna, (BKD 55), jako recepcjonistka hotelowa.



224. Maria (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowska w szklarni kaktusów Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Poznańskiego.



225. Maria (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowska, we wczesnych latach 50-tych w Malborku.

Po pewnym okresie pracy pod Poznaniem podjęła prace w odczynie Botanicznym Uniwersytetu Poznańskiego, jako nadzorująca szklarnie z hodowli kaktusów i sukulentów, gdzie pracowała do emerytury. Musiała zaznajomić się z nową dotychczas nieznaną jej dziedziną wiedzy botaniczno-ogrodniczej, co udało się jej do tego stopnia, że działała w Towarzystwie Miłośników Kaktusów²²⁸, a nawet prowadziła w lokalnej telewizji pogadanki na te tematy.

Dobre zdrowie pozwalało autorce na utrzymywanie kontaktów towarzyskich i starych znajomości, oraz przyjaźni. Prowadziła także rozległą korespondencję, czytała w szczególności Tygodnik Powszechny, oraz w miarę możliwości czasowych książki.



226. W Poznaniu, na zdjęciu Anna (BKD 55) z Karnkowskich Górską, p. Zofia Mochnacka, z którą autorka zaprzyjaźniła się jeszcze w Malborku, oraz autorka.

²²⁸ CZY HOBBY KAKTUSOWE TO KWESTIA MODY? MARIA KARNKOWSKA - GAZETA POZNANSKA 1967-05-13. Wielu entuzjastów kaktusów, obserwując stale rozszerzający się krąg wielbicieli tych roślin, zastanawia się od jak dawna znane jest hobby kaktusowe? Czy to sprawa ostatnich lat? A może dopiero teraz, gdy ludziom zdawałoby się brak innych zainteresowań, zajęto się uprawą i kolekcjonowaniem tych egzotycznych roślin?

Niestety czas płynął jednak nieubłaganie dalej. W 1969 r. umiera jej szwagierka Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa.



228. Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa, fotografia z koncowego okresu jej zycia.



227. Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa, fotografia z wczesniejszych czasów.



229. Nekrolog Ewy (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowej.

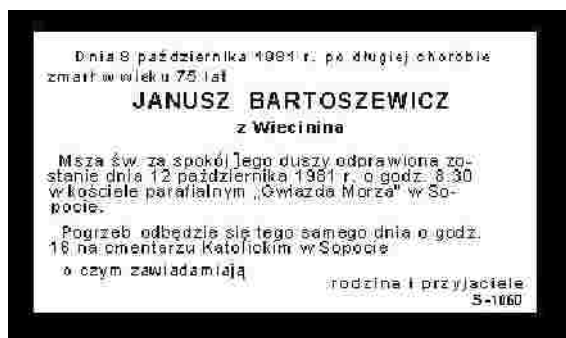
ej maz Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz) czlowiek nieslychanej dobroci i prawosci, zawsze gotow pomoc kazdemu, który nieraz ratowal czynem i pomocą finansową rodzinę Kamkowskich w jej najtrudniejszych chwilach zmarł w 1981 r. i przeżył autorke o kilka miesięcy.



230. Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz). Fotografia z koncowego okresu zycia.



231. Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz). Fotografia z koncowego okresu zycia.



232. Nekrolog Jana (BKD 500) Bartoszewicza.

Zebranie rodzinne po pogrzebie Jana (BKD 500) Bartoszewicza. Od lewej Anna (BKD 55) z Karnkowskich Górka, NN, Jan (BKD 634) Karłowski kpt. zegl. wlk., Siostrzeniec zmarłego, Magdalena (BKM 435) z Dunin-Borkowskich Bartoszewiczowa, Włodzimierz (BKM 434) Bartoszewicz i Jerzy (BKD 56) Górski.



234.

Grób Ewy (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowej
i Janusza (BKD 500) Bartoszewicza z Włocinina w Sopocie.

Autorka doczekała zamazpójścia córki i czwórki wnuków, którzy wykazali duże zdolności adaptacyjne z nowych warunkach po upadku komunizmu 1989 r. Wszystkie wnuki poza wieloma zaletami odznaczają się dużymi zdolnościami językowymi, co im pomaga pracy zawodowej.

Pod koniec życia autorka z własnych oszczędności wykupiła sobie mieszkanie w domu „spokojnej starości” w Poznaniu, co pozwoliło jej na pewną niezależność i spokojną egzystencję.



235. Na zdjęciu z okazji wesela córki. Od lewa: przyrodnia meza dr Zofia (KBK 264) z Karnkowskich Górską, oraz autorka.



236. W mieszkanku „babci” Karnkowskiej. Od lewej stoja: Jerzy Górski (BKD 56), Maria (BKD 689) z Górskich Zabielska (wnuczka), córka Anna (BKD 55) z Karnkowskich Górską, Stanisław (BKD 691) Górski (wnuk), Agnieszka (BKD 695) Górską (wnuczka), Andrzej (BKD 698) Górski (wnuk) i autorka. Na ścianie portrety Stanisławy (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowej i Jana (BKD 51) Bartoszewicza właściciela Wecinina, w rogu fotografia siostry Janiny (BKD 498). Nad drzwiami wisi akwarelka pędzla p. Wandy Wdigerowej przedstawiająca widok z parku ogrodu w Paniewie na jezioro paniewskie.

W połowie lat 70-tych na skutek fałszywej diagnozy lekarskiej, na skutek niewłaściwego leczenia schorzenia kregosłupa, autorka została sparalizowana. W ostatniej chwili przed całkowitą utratą władzy w nogach odwiedziła syna w Szwajcarii gdzie mogła jeszcze uczestniczyć w kilku wycieczkach samochodowych po Szwajcarii (z pokonaniem przełęcz Flüela i Julier), oraz z krótkim wypadem do Włoch.



237. W mieszkanku „babci” Karnkowskiej. Od lewej wisza foto afie: „polskiego papieża” JP II, meza Teodora (BKD 53) Karnkowskiego, syna Kazimierza (BKD 54) Karnkowskiego i akwarelki z ogrodu w Włecininie, pedzla p. Wandy Wdigerowej. Akwarelka ta edstawia naroznik dworu i dwa zlociste cisy, do których autorka w swych wspomnieniach czesto powraca.



238. Grób Marii (BKD 52) i Teodora (BKD 53) Karnkowskich z Paniewa, stan przed renowacją. W grobowcu spoczywa tesciowa, córki Marii i Teodora Karnkowskich, p. Teresa Górka.



239. Grób Marii (BKD 52) i Teodora (BKD 53) Karnkowskich z Paniewa. Widok po renowacji w 1999 r. Zdjecie wykonane 3 pazdziernika 2000 r.

Jej pobyt w Szwajcarii udalo sie zsynchronizowac z pobytem w Szwajcarii jej brata Jana (BKD 500) Bartoszewicza, wiec nie czula sie w obcym kraju osamotniona. Wycieczka tak byla niewatpliwie dla osoby od najmloidszych lat szczerze pasjonujacej sie zwiedzaniem, wielka atrakcja. Wróciwszy do Poznania mogla porus c sie juz tylko na wózku inwalidzkim. Wtedy wlasnie napisala niniejsze WSPOMNIENIA. Doczekala obioru Polaka na papieza i ruchu „Solidarnosci”, który wywalczył nadawanie Mszy sw. przez radio. Zmarla we wlasnym mieszkaniu dnia 6 listopada 1980 r. i zostala pochowana u boku meza na cmentarzu na Junikowie w Poznaniu.



240. Grób Marii (BKD 52) i Teodora (BKD 53) Karnkowskich z Paniewa, po renowacji w 1999 r.

Dnia 9 stycznia 2000 r. zmarła w Warszawie w podeszłym wieku, siostra autorki (BKD 503) Aleksandra z Bartoszewiczów Wyganowska i została pochowana na cmentarzu w Laskach. Była ona rozwiedziona jeszcze przed II wojną światową i żyła w odosobnieniu, unikając kontaktu z ludźmi i z rodziną. Nie życzyła sobie szerszego ujawnienia swej osoby w niniejszym opracowaniu. Załączam kilka zdjęć, które należono w papierach pozostałych po zmarłej. W lipcu 1997 r. Aleksandra złamała nogę w biodrze i od tego czasu już nie powróciła całkowicie do zdrowia. Przeprowadziła się do mieszkania p. Leokadii Godik, swej wieloletniej przyjaciółki, która ją z całym samozaparciem do końca jej dni pielęgnowała i na rekach, której zmarła. Rodzina winna jest p. Godik dożgonna wdzięczność. Na tym kończy się saga rodu Bartoszewiczów z Wicininą.



241. Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska – dowód osobisty.



242. Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska – w stroju sportowym.



243. Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska była miłośniczką Tatr. Na reprodukcji jej ulubione zdjęcie, z lewej: góral, Aleksandra w stroju „Janosika”, p. Leokadia Godik i góral.

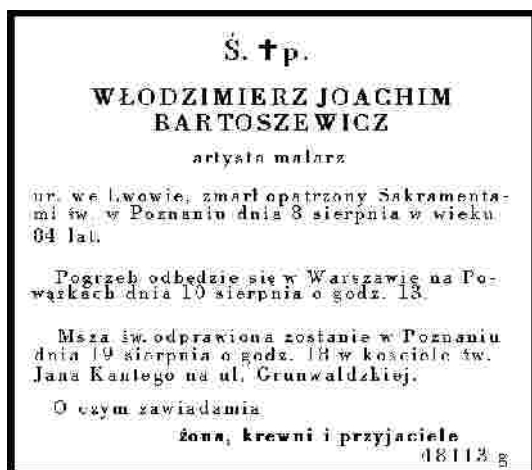
Opracowanie to byłoby niekompletne jeśli by pominąć kuzyna autorki Włodzimierza (BKM 434) Bartoszewicza (syna senatora) i jego żonę Marię (BKM 435) Magdalene z Dunin-Borkowskich, dlatego załącza się jedno z ostatnich ich zdjęć, oraz nekrologi.



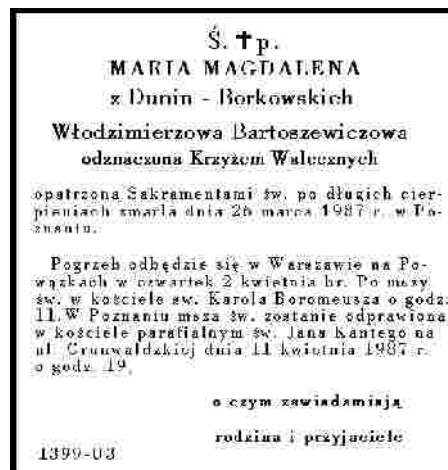
244. Włodzimierz (BKM 434) Bartoszewicz.



245. Maria (BKM 435) Magdalena z Dunin-Borkowskich Bartoszewiczowa.



246. Włodzimierz (BKM 434) Bartoszewicz, ur. w 1901 r. we Lwowie, zmarł 8 sierpnia 1983 r. w Poznaniu.



247. Maria (BKM 435) Magdalena z Dunin-Borkowskich Bartoszewiczowa ur. w 1908 r., zmarła 26 marca 1987 r. w Poznaniu.

Jaki będzie mój koniec tego nie wiem, być może, ktoś to kiedyś napisze. W PRL, młodzieży pochodzenia „obszarniczego”, nie dopuszczano na studia, ani nawet do zdawania matury. Po studiach nie dopuszczano do obrony napisanej już pracy magisterskiej. Ponieważ Ojciec już na wysiedleniu, zaczął pracować, jako nauczyciel, wobec czego po 1945 r. podawałem zawód Ojca, jako nauczyciela, potem, jako emerytowanego nauczyciela-inwalide, który to fakt był w Malborku wszystkim znany, a inwalidztwo widoczne dla każdego. Po zjednoczeniu się partii w 1948 r. i nasileniu się stalinizmu, zacząłem się obawiać, zaostrenia kursu, a nawet przyłączenia Polski do ZSRR. Za poradą jednego kolegi zacząłem udawać wielkiego lewicowca (tak się stało, że niezbyt świadomy świadek ówczesnego mojego kursu mieszka również w Szwajcarii 15 km od Baden). W gimnazjum natomiast po lekcjach zajmowałem się prostymi naprawami instalacji elektrycznej, w gimnazjum, internacie i u znajomych zarabiałem sobie na kieszonkowe. W ten sposób wyrobiłem sobie sztuczną osobowość: syna emerytowanego nauczyciela-inwalidy o zamiłowaniu robotniczo-techniczno-slusarskich. Tak prawdopodobnie wyglądała moja opinia, która mi Gimnazjum zalażyło do podania o wysłanie na studia do Czechosłowacji. Dalej dopisało mi szczęście, a może ktoś nieznajomy je za mi pomógł.

Na studiach, po każdych wakacjach nie wiedziałem, czy otrzymam paszport na dalszy rok. W miejscu pracy, obawiałem się, zdemaskowania, oskarżenia o fałszowanie danych, z powodu wyludzonego zagranicznego stypendium i zniszczenie mojej kariery technicznej. Rzeczywiście zostałem demaskowany zaraz w pierwszym miejscu pracy po 10 dniach pracy na hali fabrycznej, usmarowany jak większość robotników, przez jednego z nich ze względu na moje grzeczne zachowanie się w stosunku do innych. Wystąpienie jego było dość gwałtowne, a robotnik ów twierdził, że moje hrabiowskie pochodzenie się przecież pozna. Potem prawdopodobnie nie chciał zamieszkać w jakas niejasna sprawa. Pracowaliśmy w zgodzie jeszcze przez jakiś rok. Potem z podejrzeniami takimi spotkałem się jeszcze kilkakrotnie jednak mniej gwałtowna artykulacja.

Do swojego pochodzenia mogłem przyznać się dopiero na emigracji. W Polsce uważałem swe umiejętności, za niewykorzystane i brak mi było kontaktu z światem zewnętrznym. W wyjeździe na emigrację i na zaaklimatyzowaniu się pomogli mi koledzy z Czeskiej Politechniki. Opisywanie moich osiągnięć byłoby długie i skomplikowane. Ukoronowaniem mej kariery technicznej uważam m. in. swój udział w projektowaniu i budowie elektrowni atomowej na poniższym zdjęciu.



248. Szwajcaria – Leibstadt. Elektrownia atomowa. Moc elektryczna 1245 MW.

17. A N E K S - 1

Po ukonczeniu prac nad niniejszym wydaniem i po smierci Aleksandry (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowskiej (siostry autorki) otrzymałem wiadomosc, ze pragnie ze mna nawiązac kontakt pani Maria Dmochowska, (opisana w czesci II, rozdziale 5, Wieckowice na str. 161) wielki dobroczynca rodziny. Niestety moja natychmiastowa odpowiedz nie zastala jej juz przy zyciu (juz od pewnego czasu zyła na wózku inwalidzkim i nie mogła pisac; zachowała jednak przytomnosc umysłu i prowadziła korespondencje za posrednictwem swej siostrzenicy p. Marii Wesierskiej z Krakowa, od której otrzymałem wiadomosc i zalaczone materialy). Uważałem, ze histori rodziny nie bylaby pelna bez zalaczenia fotografii, otrzymanego zyciorysu tej niezwyklej osoby i bez wyrażenia w tym miejscu glebokiej wdziecznosc pod jej adresem.

Kazimierz Kamkowski

S. P.

MARIANNA ANTONINA POBÓG - DMOCHOWSKA



249.

Marianna Antonina Pobóg – Dmochowska, taka, jaka ja pamietam (K.K.)

- Ukochana siostra i ciocia Marychna, seniorka rodu Dmochowskich,
- Urodzona 10 sierpnia 1903 roku w Sosnowcu,
- Ukonczyla Panstwowe zenskie Gimnazjum im. Emilii Plate w Sosnowcu w 1919, gdzie byla druzynowa zenskiej druzyny harcerek,
- Absolwentka Uniwersytetu Poznanskiiego im. A. Mickiewic z dyplomem nauczyciela matematyki i fizyki,
- Absolwentka Wyzszej Katolickiej Szkoły Spolecznej w Poznaniu z dyplomem pracownika akcji charytatywnej,
- Czlonek Aeroklubu Akademickiego w Poznaniu, z ukonczonym kursem awionautyki,
- Aktywny czlonek Stowarzyszenia Mlodziezy Akademickiej Odrodzenie w Poznaniu,
- Pracownica Zwiazku Dobroczynnosc Caritas w Poznaniu, ko organizatorka wydzialu opiekunczego,
- Opiekunka mlodszeo rodzenstwa po smierci matki w 1931,
- Sekretarz parafii Wniebowziecia NMP w Sosnowcu na polecenie bp. Teodora Kubiny od 1933 i koordynatorka wszystkich stowarzyszen katolickich w parafii,
- Sekretarz Generalny Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w diecezji tamowskiej od 1934,
- Sekretarz diecezjalny Caritas w Tamowie, wspolpracownica bp. Karola Pekali,
- Organizator pomocy uciekinierom i wozniom w czasie okupacji,
- Pracownica Krajowej Centrali Caritas – przedstawicielstwo Kardynal Sapieha Caritas w Gdyni,
- Aresztowana i przez 3 miesiace wieziona przez UB w 1950,
- Siostra Zgromadzenia Sióstr Sluzebniczek NMP w Debicy, z ktorego wystapila po odbyciu nowicjatu i 6 lat slubow czasowych w celu opieki nad ojcem,
- Katechetka szkolna w Radiowie,
- Pracownica Zakladu Niewidomych w Laskach Warszawskich przez okres 25 lat,
- Zamieszkala u siostry w Krakowie od 1985,
- Wydala wlasnym sumptem ksiazke o dzialalnosc bp. Karo kali,
- Opracowala dzieje rodzin Starykon – Zarskich, oraz Pobóg – Dmochowskich,
- Organizatorka I Zjazdu rodziny Dmochowskich w Czestochowie, Inicjatorka kolejnego zjazdu w roku 2001 w Warszawie, Odeszla od nas w Panu dnia 19 maja 2000 roku w 97 roku zycia

Niech Pan Bóg przyjmie Ja do Swego Królestwa.

WSPOMNIENIE

M A R I A D M O C H O W S K A

czyli

MARIANNA ANTONINA „POBÓG” DMOCHOWSKA

Urodziła się 10 sierpnia 1903 roku w Sosnowcu (dzielnica wy Sielec), jako jedno z siedmiorga dzieci. Chrzczenie przyjął 27.08.1903, roku w parafii Zagórze, do której należała dzielnica wy Sielec. Pierwszą Komunię św. przyjął w dniu 10.05.1913 r. w parafii Sosnowiec p.w. Matki Bożej Wniebowziętej, Sakrament Bierzmowania otrzymała 15.08.1920 r. w parafii Nowy Sielec.

Nauki początkowo udzielała Jej matka Antonina Dmochowska. Do 1-szej klasy Szkoły Handlowej Żenskiej, (która założyła w roku 1908 jej wieloletnia dyrektorka Józefa Siwikowa) została przyjęta 1.09.1912 r. Szkoła ta została przemianowana w 1915 roku na Gimnazjum Polskiej Macier Szkolnej, a od 1.09.1919 r. – na Żenskie Państwowe Gimnazjum im. Emilii Plater. Obecnie placówka ta pod tym samym imieniem została przemianowana na Liceum Ogólnokształcące.

W roku, 1914 jako uczennica 2-giej klasy wstąpiła do harcerstwa, w którym później pełniła funkcje drużynowej, aż do roku 1922. Do Stowarzyszenia Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie” w Poznaniu należała od 8.12.1922 r., natomiast do Sodalizacji Pan Akademiczek została przyjęta 29.04.1923 r.

Świadectwo dojrzałości uzyskała 26 maja 1922 roku.

W październiku 1922 roku została studentką Uniwersytetu Poznańskiego. Komplikacje zdrowotne (gruźlica) i związane z tym leczenie w latach 1925 – 1927 spowodowały wydłużenie się studiów. Dyplom nauczycielski uzyskała po zdaniu egzaminów teoretycznych z rachunku różniczkowego i całkowego, z teorii funkcji geometrii analitycznej i przestrzennej, z fizyki teoretycznej i doświadczalnej. Dodatkowo zdała egzaminy związane z ukierunkowaniem pedagogicznym: z filozofii, psychologii, pedagogiki, higieny, wychowania fizycznego, oraz wymowy. W okresie 15. 09 do 21 12. 1926 r. pełniła obowiązki nauczycielki gimnazjum w Polskiej Wsi, w okresie 15. 02 – 30. 03 1929 w państwowym Gimnazjum w Poznaniu, w okresie 1. 09. 1929 – 28. 02. 1930, odbywała praktykę w instytucjach społecznych zajmujących się opieką nad dziećmi i młodzieżą we Wrocławiu, Wiedniu, Fryburgu, Paryżu i Brukseli. W okresie 1. 10. 1930 – 15. 04. 1931, pełniła obowiązki asystentki w Katolickiej Szkole Społecznej. Od 1. 10. 31, odbywała praktykę przedegzaminacyjną w państwowym Gimnazjum Żenskim im. E. Plater w Sosnowcu, Po złożeniu pracy dyplomowej pt. Teoria reszt kwadratowych i teoria form kwadratowych uzyskała w czerwcu 1933 dyplom nauczyciela matematyki i fizyki, uprawniający do nauczania w szkołach średnich.

W latach 1928 – 1930 odbyła dodatkowe studia w Katolickiej Szkole Społecznej w Poznaniu w zakresie akcji charytatywnej i opieki społecznej. Po zdaniu obowiązujących tam egzaminów i odbyciu pięcioletniej praktyki akcji charytatywnej prowadzonej przez duszpasterstwo Kościoła katolickiego, złożyła pracę dyplomową pt. Prostytucja, jej historia i znaczenie dla życia społecznego i związana z nią ściśle walka handlem kobietami i dziećmi. Dnia 25. 11 1930 otrzymała dyplom pracownika charytatywnego ze stopniem bardzo dobrym, Posiadanie dodatkowych kwalifikacji – uprawniającej do pracy zawodowej w innej dziedzinie niż szkolnictwo – bardzo przydało się w obliczu napotykanego trudności w znalezieniu pracy nauczycielskiej w szkolnictwie publicznym. Trudności te nie wynikały z przyczyn obiektywnych, lecz miały charakter dyskryminacji o podłożu ideologicznym i związane były z zaangażowaniem w akcję katolicką.

Potwierdzeniem wszechstronnych zainteresowań była przynależność do Aeroklubu Akademickiego w Poznaniu w latach 1923 – 1924. Tam po ukończeniu kursu awionautyki oraz zdaniu egzaminów teoretycznych odbyła loty próbne. Do praktycznych kursów nie przystąpiła ze względu na zbyt wysokie opłaty. Natomiast w roku 1937 uzyskała samochodowe prawo jazdy.

Pracę rozpoczęła tuż po rozpoczęciu studiów. Poczawszy od roku 1922 do 1 września 1928 udzielała prywatnie korepetycji uczennicom szkół średnich (około 5 godz. Dziennie). W okresie 1. 11. 1928 – 30. 9 1930 była zatrudniona w Pedagogium Akademickim dokształcającym dorosłych, głównie urzędników państwowych, w zakresie wyższych klas gimnazjalnych.

Od 1 października 1930 do 9 kwietnia 1931 roku zatrudniona była w Związku Dobroczynności Caritas Archidiecezji Poznańskiej celem przekształcenia czasopisma Przewodni Miłosierdzia na Ruch Charytatywny oraz dla zorganizowania Wydziału Opiekunczego dla 300 dzieci kresowych, przyjętych przez diecezję poznańską. Dzieci - sieroty były ofiarami wojny lub też najazdu bolszewickiego w 1920 roku i pochodzili z terenów wschodnich, wcielonych do byłego Związku Sowieckiego. Zadaniem Wydziału Opiekunczego było kształcenie zawodowe podopiecznych. Przygotowanie młodzieży meskiej odbywało się w zakładach rzemieślniczych, natomiast młodzież żeńska zdobywała kwalifikacje z zakresu gospodarstwa domowego w klasztorach. Wydział ten miał dodatkowo za zadanie rozszerzenie opieki nad dziećmi niesłubnymi (około 300 podopiecznych). W ramach tej działalności pełniła funkcję kuratora sadzkiego – w roszczeniach alimentacyjnych. Niespodziewana śmierć matki w dniu 24 kwietnia 1931 r. i konieczność zaopiekowania się młodszym rodzeństwem stała się przyczyną przerwania działalności w Wydziale Opiekunczym i nagłego wyjazdu do domu rodzinnego.

Od 1 września 1931 roku pracowała, jako sekretarz Caritas dla Okregu Zagłębia Dabrowskiego. W parafiach na tym terenie zorganizowała 17 oddziałów Pan Miłosierdzia sw. Wincentego á Paulo.

Od 1 września 1933 roku do 31 sierpnia 1934 roku na polecenie ordynariusza diecezji częstochowskiej ks. bp. Teodora Kubiny została zaangażowana do zorganizowania wzorowej parafii przy kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu, w której proboszczem był ks. Teofil Jankowski. Na niej spoczywał obowiązek współpracy z organizacjami Akcji Katolickiej, Bractwem Różancowym oraz Trzecim zakonem Franciszkanów i Dominikanów, prowadzenie kasy pogrzebowej dla ich członków, redagowanie dodatku parafialnego do pisma diecezjalnego NIEDZIELA, pomoc w zorganizowaniu Akademii Papieskiej, sporządzenia kartoteki parafialnej dla 75-tysięcznej społeczności miasta Sosnowiec.

Od 1 października 1934 do wybuchu II wojny światowej działała w diecezji tamowskiej, jako SEKRETARZ GENERALNY KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA KOBIET (KSK). W tym okresie poświęciła się między innymi organizowaniu oddziałów KSK na terenie 300 parafii, redagowaniu czasopisma diecezjalnego Własnymi siłami oraz szkoleniu członków stowarzyszenia. Od roku 1936 pełniła funkcję sekretarza diecezjalnego związku Caritas.

W okresie okupacji zaangażowała się w działalność pomocy dla uciekinierów, uwięzionych, oraz ich rodzin na terenie diecezji tamowskiej.

Od stycznia 1945 r. do momentu aresztowania w dniu 3 lutego 1950 roku była zatrudniona w Krajowej Centrali Caritas w Krakowie. W tym okresie od końca sierpnia 1947 była kierownikiem przedstawicielstwa Caritas pod nazwą Kardynał Sapieha-Caritas w Gdyni, które przejmowało dary zagraniczne. Potem objęła stanowisko referentki do spraw organizacyjnych i opiekunczych. Aresztowanie przez władze bezpieczeństwa i prawie trzy miesięczny pobyt w więzieniu przerwał tę działalność.

1 września 1950 roku wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP w Debicy. Tam odbyła postulat, nowicjat i spędziła 6 lat ślubów czasowych. W tym okresie przeżył atak Urzędu Bezpieczeństwa na klasztor i wyrzucenie sióstr z domu zakonnego.

W latach 1958 – 1959 opiekowała się swoim 90-letnim ojcem Stanisławem Dmochowskim w Gomunicach pod Radomskiem. Po jego śmierci przez prawie pół roku pomagała Marii Korneckiej w prowadzeniu kawiarni Pod Grzybkiem w Stróży koło Myslenic. W roku szkolnym 1959/1960 była zatrudniona, jako katechetka w szkole podstawowej w Radiwie koło Warszawy.



250.

Marianna Antonina Pobjóg – Dmochowska, w ostatnim okresie swego życia.

1 września 1960 roku rozpoczęła trwającą prawie 26 lat pracę w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach koło Warszawy. Była kolejno kierowniczką Domu Chłopców – do 1963, sekretarzem dyrektora Henryka Ruszczyca – do 1972, organizatorem Archiwum im. Henryka Ruszczyca, angażując się równocześnie w budowę Domu Przyjaciół. W tym czasie na życzenie Kuratorium sporządziła ewidencje wszystkich wychowanków Zakładu, począwszy od roku 1922 tak zwana Księgę przyjsia i odejsia ucznia. W ostatnich latach sporządziła dokumentację działalności Henryka Ruszczyca w latach 1930 do 1972. Na emeryturę przeszła oficjalnie po ukończeniu 60 lat, ale przez następne 22 lata pracowała społecznie na rzecz Zakładu dla Niewidomych.

20 grudnia 1985 roku zamieszkała u swej siostry Krysty i jej meza Rajmunda Wesierskich w Krakowie. Nadal aktywnie pracowała. Najpierw przygotowywała dokumentację o życiu i działalności ks. bp. dr Karola Pekali – przewodniczącego Komisji Episkopatu do spraw miłosierdzia chrześcijańskiego w Polsce, a następnie wydała własnym sumptem książkę pt Karol Pekala – biskup – życie i dzieło. Książkę tę rozesłała do licznych parafii, zgromadzeń i seminariów duchownych, głównie w diecezji tarnowskiej. Po kilku latach sfinansowała drugie wydanie tej książki i rozesłała do wszystkich parafii diecezji tarnowskiej i wszystkich diecezji w Polsce. Zajęła się też opracowaniem dziejów swojej rodziny – matki herbu Sarykon Zarskiej i ojca herbu Pobóg Dmochowskich w oparciu o dokumenty rodowe historyczne, a także na podstawie przekazu rodzinnego.

Od sierpnia 1998 roku zaczęła poważnie chorować, najpierw na zapalenie oskrzeli i płuc, później na serce i niewydolność krążenia. Ostatnie 2 miesiące życia spędziła w szpitalu, gdzie amputowano jej lewą nogę. Ciężkie cierpienia znosiła bohatercko do końca. Zmarła na serce w dniu 19 maja 2000 roku w szpitalu olejowym w Krakowie w 97 roku życia. Pogrzeb jej odbył się 23 maja 2000 roku w Sosnowcu, gdzie została pochowana w grobowcu rodzinnym na Starym Cmentarzu przy ul. J. Mireckiego.

Podsumowując jej wspaniałe życie należy wyrazić podziw, że było ono wielkim pasmem twórczego działania. Niezwykła wrażliwość na ludzką niedolę i pragnienie ulżenia tej niedoli przez wszystkie możliwe działania w imię najwspanialszej idei, jaką jest caritas – Chrystusowe miłosierdzie, patrzenie sercem na drugiego człowieka, a jednocześnie niezwykle głęboka wiara, to tak nieczęsto spotykane cechy, które dominowały w całym jej życiu. Była kobietą mądrą, odważną, żarliwą patriotką, zasłużoną katoliczką, pełną miłości Boga i bliźniego.

18. A N E K S - 2

Matka zegnając się z tym światem przekazała mi WSPOMNIENIA, które napisała z pamięci, leżąc sparalizowana w łóżku, pozbawiona jakichkolwiek map i notatek. Obciążony wówczas pracą zawodową, na terenie obcojęzycznym, dorabiający sobie tłumaczeniami, nie miałem czasu na zajmowanie się historią, sprawami rodzinnymi i genealogią. Nie miałem dostępu do bibliotek i materiałów źródłowych. Ukończywszy Politechnikę w Czechosłowacji Wyższą Szkołę Ekonomiczną WSE w Poznaniu, tematy historyczne były dla mnie obce.

WSPOMNIENIA, te są, nie tylko dokumentem rodzinnym, ale obrazem historycznym klasy, która w ciągu 1000 lat zbudowała państwo o unikalnym ustroju i kulturze²²⁹, wypieranej obecnie przez nowe struktury. W pamięci mojej zachowały się liczne szczegóły, które uniknęły pamięci Matki, oraz uzyskałem dostęp do różnych fotografii i dokumentów.

Fakty, których byłem świadkiem, wiadomości ekonomiczne uzyskane na WSE, oraz możliwość obserwowania gospodarki w różnych krajach, nasunęła przy opisach przeżytych wydarzeń wnioski, które uważałem za wartościowe przedstawienia czytelnikowi dla oceny. Na początku 2012 r. po ukończeniu kolejnej aktualizacji, przesłałem nową wersję szeregu znajomym z prośbą o komentarze, odnośnie formy i treści tego dzieła.

VOX POPULI VOX DEI – GŁOS LUDU GŁOSEM BOGA

Aczkolwiek jestem przeciwny powoływaniu się na zdanie oskie w sprawach codziennych, natomiast głos ludu, jako reprezentujący zbiorowisko osób o różnym doświadczeniu życiowym i punkcie spojrzenia, uważam miarodajny.

Nieoczekiwanie odezwał się, głos jak najbardziej kompetentnego świadka historii, p. Katarzyny Mejer, osoby o starannym wykształceniu i dużej kulturze, wnuczki pokojówki Matki w Paniewie, w której to rodzinie, legenda Paniewa panuje już w 3-cim pokoleniu. Listów takich otrzymałem kilka²³⁰. Dwa z nich uważam za najwyższą ocenę postaci moich Rodziców i najchlubniejszą recenzję mojej redakcji WSPOMNIEN Matki, dlatego umieszczam je tutaj dla informacji Czytelnika.



Szanowny Panie,

2012-04-24.

Bardzo dziękuję za Pana list. Jest mi ogromnie miło, że znalazł Pan chwilę na odpowiedź i to tak szybko; moja pierwsza wiadomość napisana była pod wpływem chwili i nie miałam pewności jak Pan odbierze mojego e-maila.

Tym bardziej dziękuję. W imieniu swoim i mamy, której powiedziałam o naszej korespondencji, co bardzo ja wzruszyło. Dla nas obu to bardzo miłe i niezwykle, że po tylu latach Państwo pamiętają babcię. Cóż, nie myślałam.

Dla mnie Paniewo to o tyle niezwykle miejsce, że babci zawsze tak pięknie o nim opowiadała, cóż - tam spędziła swoją młodość. W domu Państwa Rodziców poznała swojego późniejszego męża (dziadek był ogrodnikiem Pana Rodziców). Ale Paniewo to przede wszystkim wspomnienie mojej babci, której nie trzeba było szczególnie namawiać na wspomnienia swojej młodości, zawsze z niezwykłą estymą mówiła przy tym o niej na Mamie. Sadzę, że w dużej mierze, dlatego, że Mama Pana była dla niej wzorem; nauczyła babcię, wówczas młodą dziewczynę, wielu rzeczy.

Panskiej Mamy nie miałam niestety okazji poznać. Kiedy pojawiła się po raz ostatni w Skulsku, zdaje się, że przy okazji pogrzebu dawnej kucharki Państwa, odwiedziła moją babcię, ja byłam zaledwie kilkuletnim dzieckiem i nie pamiętam tej wizyty, jedynie opowieści o niej babci i moich rodziców.

Paniewo to dla mnie też wielka TAJEMNICA. Taka rodzinna. Bo Paniewie właśnie mieszkali moi pradziadkowie Radziszewscy (tesciowie babci), i o ile o prababci wiele wiedzieliśmy - była miejscowa, to o pradziadku Radziszewskim zupełnie nic, a jego samego nie wolno było go pytać skąd przybył do Paniewa. Z opowiadań różnych wiem tylko, że kiedy ktoś osmielił się zapytać pradziadka o to jak trafił do Paniewa i gdzie ma rodzinę, ten denerwował się bardzo i gniewał. Nigdy nie zdradził tego nawet swojej żonie. Podobno Pana rodzice mogli coś wiedzieć na ten temat, ale tej zagadki pewnie już nigdy nie rozwiłam.

Tak, więc jak Pan widzi Paniewo to dla mnie podróż sentymentalna, ale bardziej przez pryzmat wspomnień babci niż moich. Babcia była, co prawda prosta, ale niezwykle i mądra kobieta. Niezwykle ważna postać w moim życiu. Tak, więc Pana propozycja udostępnienia mi Wspomnień Pana Mamy i fotografii, na której jest moja babcia, bardzo mnie ucieszyła i przyjmuje ją z ogromną wdzięcznością. Jeśli zechce Pan podzielić się tymi wspomnieniami będę niezmiernie wdzięczna, to duże wyróżnienie tym bardziej, że jak sadzę to osobista i bardzo intymna pamiątka.

Ja ze swej strony niewiele mogę wzbogacić Pana pamiątki. Załączam oczywiście fotografie akwareli, o którą Pan prosił. Wizyte jej autorki w Paniewie babcia dobrze zapamiętała, wspominała o niej, kiedy ktoś ze znajomych pytał o akwarelkę, która przez wszystkie te lata wisiała w domu Babci. To była jej ukochana pamiątka.

²²⁹ Darstellung der innern Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in POLEN. Berlin, Verlegt bei G. Fincke. 1832.

O Polsce. Wydanie I F. A. Brockhaus, Lipsk 1885. Wydanie II Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa 1996

²³⁰ Listy te, jako uzupełnienie tekstu zostały zacytowane w przypisach: , Str. 130 i 109, Str. 131.

Mam jeszcze jedno zdjęcie dawnego Paniewa - zeskanowałam je dla Pana i dołączyłam moje ulubione zdjęcie babci z tamtych lat. Niestety więcej się nie zachowało. Babcia miała 6 lat temu, w ostatnich latach cierpiała na chorobę Alzheimera, która niezwykle okrutnie obchodzi się z chorym. Ulubiła zdjęcia, w tym te z młodości, babcia w tych ostatnich latach życia, kiedy już chorowała, wyjęła z albumu i nosiła przy sobie, a pewnego razu zniszczyła je wszystkie. Było wśród nich, co najmniej jedno z Dworku w Paniewie.

Dworek, jak zapewne Pan wie, nie przetrwał, ani ogród, park... I to niestety nie przez upływ czasu, ale przez ludzi, którzy wszystko zniszczyli. Tamto Paniewo mogłam sobie tylko wyobrazić na podstawie opowiadań babci i mamy, która dworek pamięta, choć z czasów powojennych. Ja zaś dzięki Pana materiałowi z internetu mam od wczoraj o nim bardziej realne wyobrażenie.

Dzisiaj w miejscu gdzie znajdował się dom Pana rodziców stoi inny, nowy, z dawnych zabudowań pozostały tylko filary dawnej bramy wjazdowej. Mieszkają tam Laskowscy. Tak sobie pomyślałam, że jeśli Pan chce, to przy okazji wizyty u mamy mogę pojechać do Paniewa i zrobić trochę zdjęć jak to obecnie wygląda.

Pytał Pan o mnie. Nie mieszkam w Skulsku od 20 lat, ale nadal mieszka tam moja mama. Ja mieszkam z mężem i synem w Koninie, a właściwie od 2 lat w małej wsi pod Koninem, gdzie zbudowaliśmy dom. Skonczyłam Akademię Ekonomiczną w Poznaniu, później kolejne studia podyplomowe z zakresu logistyki, zrobiłam specjalizację z zarządzania, jakości i od kilkunastu już lat pracuję w międzynarodowym koncernie logistycznym DB Schenker, w Biurze Zarządu w Polsce, jako specjalista do spraw jakości i doskonalenia procesów. Co prawda w teorii pracuję w Warszawie, ale przy dzisiejszej technologii i możliwości pracy zdalnej, większość czasu pracuję w Koninie, w Warszawie tylko bywam. To duży komfort. Nie ciągnie mnie do Stolicy. Wszystko tam dzieje się za szybko, nie ma czasu pochylić się nad rzeczami małymi, ale jakże ważnymi.

I tym sposobem napisałam jeden z najdłuższych listów w życiu, mam nadzieję, że Pana nie zanudziłam.

Raz jeszcze bardzo dziękuję za list, wdzięczna będę za Wspomnienia Pana Mamy.

Pozdrawiam serdecznie, życze dużo zdrowia dla Pana i Państwa Rodziny.

Jeśli dobrze pamiętam opowieści, to Pan ma siostrę Anne, proszę jej także przekazać wyrazy szacunku i pozdrowienia.

Z poważaniem,

Katarzyna Mejer

P.s. Gdyby miał Pan problemy z formatem załączonych plików lub ich, jakości proszę o kontakt.

Szanowny Panie,

Konin / Szczepidło 5 maja 2012

z ogromną przyjemnością przeczytałam WSPOMNIENIA Pana Mamy. Jestem pod wrażeniem bogactwa szczegółów spisanych po latach przez autorkę i Pańskiej pracy redakcyjnej. Komentarze, zdjęcia, dokumenty urealnijają całą historię Pana Rodziny.

Co prawda przeczytałam już całość, ale co rusz zaglądam do tej pięknej pracy i odnajduję, co raz to nowe ciekawostki tak historyczne, jak i kulturowe, obyczajowe. Nie wiem, jakie ma Pan plany, co do zebranych materiałów, ale czy nie myślał Pan, że warto byłoby opublikować je w wydaniu książkowym? To niezwykle świadectwo czasów już minionych, ale jakże istotnych dla kultury polskiej. Od lat przemierzając się po kraju i spotykając w większości niestety zrujnowane dwory ziemskie było mi żal, że tak piękne miejsca popadły w zaniechanie. Nie raz zadawałam sobie pytanie jak te miejsca wyglądały w czasach swojej świetności i co się dalej działo z właścicielami.

Wstyd mi, jako Polce i żal, jako człowiekowi, że to my sami doprowadziliśmy do tych zniszczeń. Jakkolwiek nie próbowałby usprawiedliwić skutków Reformy Rolnej, choć ja usprawiedliwienia nie znajduję, to fakt pozostaje faktem - ograbiono ziemian z ich majątków i tego, co takie osobiste - domów. Za oburzający (i to najdelikatniejsze określenie jakie przychodzi mi do głowy) uważam fakt pogwałcenia jednego z podstawowych praw w cywilizowanym świecie - prawa własności. Nie ma znaczenia czy mamy mało czy wiele - oba pojęcia skądinąd są względne - nikt nie ma prawa odbierać cudzej własności. Jakże celnie ujął Pan w przypisach naturę chłopstwa polskiego.

WSPOMNIENIA Pana Mamy mają w mojej ocenie nie tylko wymiar historyczny; jako czytelnikowi dostarczyły mi wielu emocji - były fragmenty, które wywoływały uśmiech, takie gdzie szczerze się wzruszyłam, ale i takie gdzie byłam po ludzku zła.

Z całego serca będę Pana zachęcać do opublikowania WSPOMNIENI. Myślę, że wielu otworzyłyby oczy. Z perspektywy 40-letniej kobiety z przykrością muszę stwierdzić, że o wielkiej krzywdzie wyrządzonej ziemianom po 1945 roku w tym kraju się w ogóle nie mówi i pokolenia urodzone po II wojnie światowej w większości nie wiedzą, jaka nasi dziadkowie wyrządzili krzywdę rodzinom takim jak Pańska, na jak trudny los te rodziny skazano. Skutkiem tego straciliśmy bezpowrotnie dużą część naszej kultury. „Człowiek człowiekowi wilkiem!” Milczenie zaś w tej kwestii mam wrażenie, nie jest wyrazem odczuwanego wstydu, tylko przyzwolenia. Taka publikacja może ocalić to, co minęło od zapomnienia.

Bardzo dziękuję Panu za udostępnienie mi WSPOMNIENI. Dla mnie to także osobista podróż. Dzięki lekturze opowieści babci układają mi się w całość. Lepiej też zrozumiałam postawę i babci i dziadka, moich rodziców.

Pamiętam opowieść o Wandzie Gentil-Tippenhauer, autorce akwareli, dzięki której nawiązałam z Panem kontakt. Babcia Jadzia zachwycała się pięknym grubym plomiennym rudym włosami p. Wandy i akwarelkami właśnie. Ten zachwyt

wyrazony kiedyś głośno sprawił, że malarka jedna z nich odarowała moją babcię. Sprawdziłam kiedyś, że malarka związana była Zakopanem, gdzie też została pochowana. Nie wiedziałam skąd wzięła się w Paniewie, a teraz już rozumiem.

Z opowiadań babci (dziadek zmarł zanim się urodziłam, dlatego nigdy nie słyszałam jego relacji i o nich nie wspominam w sposób bezpośredni) wiedziałam, że dworek w Paniewie nie był wielki w porównaniu do majątku, z jakiego pochodziła Pana Mama. Babcia podkreślała także, że Pana Mama była niezwykle przedsiębiorcza i pod jej kierunkiem Paniewo zaczęło rozkwitać.

Pamiętam opowieść babci o ucieczce we wrześniu 1939r. z Paniewa, wysadzeniu mostku... jak bardzo się wtedy bała – dziadek w tym czasie, po sierpniowej mobilizacji, był na wojnie – brał udział w Bitwie nad Bzurą, gdzie trafił do niewoli. Babcia bała się nie tylko o niego, siebie, ale i o nieodzone dziecko – w czasie tej ucieczki babcia była w zaawansowanej ciąży, nie wiem czy Pan wiedział (Olenka urodziła się w październiku 1939r. niestety nie przeżyła wojny, zmarła na początku 1945r.). Po wysiedleniu Pana rodziny z Paniewa przez Niemców, babcia mieszkała w Skulsku, w swoim domu rodzinnym. Po powrocie dziadka z niewoli oboje wyjechali do Wturku koło Wilczyna, gdzie dziadek pracował, jako ogrodnik. Po wojnie cała rodzina wróciła do Skulsk i w tym domu pozostali do końca życia. Tu wychowali dwoje dzieci (Bogusław ur. 1942r. i Marianna Aleksandra – moja mama ur. 1946r), tam wychowałam się ja i mój brat. Nadal mieszka tam moja mama, tato zmarł dwa lata temu. Po lekturze WSPOMNIENI dziękuję Bogu, że mogłam wychować się w skromnej, ale przyzwoitej rodzinie. I tu wyjaśnię, dlaczego, choć może ten fakt, jest Panu znanym – Otóż przy dzieleniu majątku Paniewo mojemu dziadkowi, jako dawnemu ogrodnikowi Państwa, i babci, zaproponowano też resztówkę w Paniewie – mieszkanie w dworze i ziemię (te, która zajmują Laskowscy). Jednak dziadkowie odmówili. Jak przypuszczam wierzyli, że Państwo wróci, a oni nie mogliby Pana Rodzicom spojrzeć w twarz. Tak, więc pozostali dziadkowie w Skulsku. O utrzymaniu rodziny z 2 arów ziemi, która mieli nie było mowy, tak, więc dziadek wydzierżawił 1ha ziemi od Boińskich i skromnie, ale jakos sobie radzili.

Jak Pan wie dwór i jego otoczenie ja znać mogłam tylko z opowieści. Po lekturze WSPOMNIENI rozumiem, dlaczego, jak opowiadały babcia i mama, dziadek jeździł do Paniewa po wojnie niechętnie; i co miały na myśli mówiąc, że odchorowywał jak widział tym, co dzieje się z ogrodem, sadem, Państwa ziemią... w dużej mierze jak sadzę z racji tego, czym się u Pana Rodziców zajmował.

Pana samego z kolei pamięta brat mojej mamy, a na pewno jedna Pana wizyta u babci, zdaje się w Wielką Sobotę (?). Mówił, że przyjechał Pan motorem. Duża radość sprawił na tej wizycie tej prostej kobiecie, która skończyła zaledwie 6 klas szkoły powszechnej (była najslabiej wykształcona z czwórki rodzeństwa). I tu dla Pana ciekawostka, a dla mnie odkryta zagadka z babciwego albumu. Dzięki WSPOMNIENIOM właśnie. Zdjęcie Pana (oznaczone we wspomnieniach nr 121) i Pana Siostry (nr 112) już widziałam wcześniej u babci! Tylko nie wiedziałam, kto jest na tych zdjęciach, a ja os nigdy nie spytałam. Jak pojedzie do Skulsk koniecznie muszę sprawdzić czy jeszcze są w babci albumie.

Dzięki lekturze rozszyfrowałam także zdjęcie, które Panu wysłałam. Posługując się opisami Pana Mamy i dokładnym obejrzeniem – to aleja, która wiodła do skarpy widokowej, ale jak się ze albo robiona bardzo wczesną wiosną, albo krótko po jej założeniu – nie widac nasadzeń, ale przecięte miejscami na nie pasy trawy!

No i zbiór ogórków... takie zdjęcie babcia miała, to pamiętałam na pewno i to ono właśnie zostało zniszczone przez babcię w ostatnich latach jej życia. O innowacyjnym jak na owe czasy sposobie segregacji opowiadano w moim domu.

WSPOMNIENIA dostarczyły mi także wiedzy nt Luszczewa, którego ja nie pamiętam w dawnej formie. W latach '70 przeprowadzono remont pałacu, który był przeznaczony na szkołę, niszcząc oryginalną elewację. Pamiętam, że mój tata nie raz krytykował to, co się stało z pałacem w Luszczewie i późniejszy projekt rozebrania spichlerza.

Jedynie Lisewo wygląda dziś przyzwoicie. Kilka lat temu prywatny przedsiębiorca kupił pałac z przyległym parkiem, wyremontował i zrobił tam hotelik. A wydawać się mogło, że po pożarze na początku lat '90 i ten obiekt ulegnie całkowitej dewastacji.

Szanse na przetrwanie ma także dworek Mittelstaedtów w Galiszewie, który też trafił w ręce prywatnej osoby.

Bracia Grochulscy kupili dworek w Mniszkach pod Skulskiem. Grochulscy mieszkają tam do dziś. Z wnuczkami jednego z braci chodziłam razem do Liceum Ogólnokształcącego im. Kasprowicza w Inowrocławiu, – czyli tej samej szkoły, co Pan ty, że wówczas to było Gimnazjum. Świat jest jednak mały...

Na koniec sprostuję jedną informację, którą podałam we wcześniejszej korespondencji. Otóż napisałam, że w czasie wizyty w Skulsku Pana Mama (wtedy, gdy przyjechała na ogrzeb Pani Kowalskiej, kucharki z Czartowa) nie zdecydowała się na już na wizytę w Paniewie. Niezupełnie – moja opowieść w ostatnich dniach poprawiła mama. Mój tato zapytał a Mame czy nie chciałaby pojechać do Paniewa. Panska Mama poprosiła „tak, ale tylko do krzyżówki. Dalej nie pojedzie Jadziu, bo by mi serce pekło.” Tak, więc tato poprosił sąsiada, aby zawiózł Pana Mame samochodem do Paniewa. (Sasiad oczywiście nie miał pojęcia, kogo wiezie i po co).

Ale słyszałam także, że kiedy Pana Siostra przyjechała kiedyś do Paniewa chcąc pokazać „TO” miejsce meżowi p. Laskowska nie pozwoliła Pani Annie wejść na „swoją teren”. Nawet tego nie skomentuje.

Niezwykła lektura są dla mnie WSPOMNIENIA. To podróż w czasie, taka gdzie można zobaczyć znajome miejsca oczami Pana Mamy, poznać historie najbliższej okolicy, znajomych czy bliskich osób. Wielka szkoda, że moja babcia nie żyje, jaka byłaby wzruszona i szczęśliwa!

Piękne życie, choć trudne ogromnie, miała Panska Mama. I pozostaje chyląc czoła. Ogromny szacunek i podziw. Ile trzeba mieć siły i wiary, aby tyle udźwignąć.

Raz jeszcze DZIEKUJE, że zechciał Pan podzielić się ze mną tą wyjątkową pamiątką,

Pozdrawiam serdecznie,

Katarzyna Mejer

19. SPIS ILLUSTRACJI

Numer	T R E S C	Str.
	C Z E S C I	
1	Portret Marii (BKD 52) z Bartoszewiczów Kamkowskiej.	5
2	Materiały heraldyczne Bogdana Konstantynowicza.	10
3	Uczestnicy Powstania Styczniowego, zesłani na Syberie.	11
4	Oficjalny dokument nobilitacyjny, Bonawentury Bartosze cza.	11
5	Drzewo genealogiczne (D. g.) rodziny Bartoszewiczów BKD - 1.	13
6	Drzewo genealogiczne rodziny Bartoszewiczów BKD - 2..	14
7	Gmach główny Uniwersytetu w Dorpacie.	16
8	Stanisław (BKM 204) Grabski w polowie lat dziewięćdziesiątych XIX w.	17
9	Stanisław (BKM 204) Grabski w latach 1919 – 1921.	17
10	Stanisław (BKM 296) Grabski w Paryżu w roku 1918.	17
11	Zofia (BKM 449) ze Smolików Grabska w Paryżu w roku 1918.	17
12	Stanisław (BKM 204) Grabski w latach 1925 – 1926.	18
13	Władysław (BKM 206) Grabski.	18
14	Z. ze Smolików Grabska, z Ludmiłą z G., Calkosinska, o z Stanisławem (BKM 453) Grabskim.	18
15	Janina (BKM 781) G., 1 ^w Wojciechowska i 2 ^w Treterowa, oraz Feliksa (BKM 454) z G. Glass.	18
16	Feliksa (BKM 454) z G. Glass, z Stanisławem (BKM 453) i Zbigniewem (BKM 460) Grabskimi.	18
17	Stanisław (BKM 204) Grabski, z prof. E. Romerem w latach 1927 – 1939.	18
18	Drzewo genealogiczne rodziny Damskich, linia Małopolska. BKD - 3..	22
19	Drzewo genealogiczne rodziny Damskich, linia Konarska. BKD - 4...	23
20	Drzewo genealogiczne rodziny Mittelstaedt'ów, BKM - 1..	24
21	Drzewo genealogiczne rodziny Mittelstaedt'ów, BKM - 2..	25
22	Drzewo genealogiczne rodziny Mittelstaedt'ów, z Luszczewa. BKM - 3..	26
23	Polożenie majątku Wiecinin – otoczenie dalsze.	29
24	Portret Stanisławy (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowej.	32
25	Portret Jana (BKD 51) Bartoszewicza z Wiecinina.	32
26	Wiecinin, aleja grabowa, kwiecień 2012.	36
27	Polożenie majątku Wiecinin – otoczenie bliższe.	38
28	Stanisława (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowa, ujeci 1.	39
29	Stanisława (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczowa, ujeci 2.	39
30	Fragment ogrodu w Wiecininie..	39
31	Ciocia „Frania” Taczanowska – w postawie zdecydowanej.	46
32	Ciocia „Frania” Taczanowska – z mezem Zygmuntem.	46

Maria z Bartoszewiczów Karnkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

33	Ciocia „Frania” Taczanowska – zamysłona.	46
34	Nekrolog Franciszki Taczanowskiej z Kownat.	46
35	Maria Stanisława (BKD 50) z Mittelstaedtów Damska.	48
36	Antoni Damski z Ludziska z żoną Maria z Mittelstaedtów.	48
37	Antoni Damski z Ludziska z córką Anna.	48
38	Dwór w Ludzisku w lecie.	48
39	Dwór w Ludzisku widok z tarasu.	48
40	Ludwika, Damska z Niecesławic, Janina Damska z Chytrowa i Zofia Damska z Wyszakowa.	49
41	B. i J. Trzebiny z Chytrowa, Z. Unrużyna z Wyszakowa, oraz A. i J. Suchorscy z Chwalecic.	49
42	Dwór w Chytrowie.	49
43	Dwór w Chwalecicach.	49
44	Ludzisko, młodzież w kole mlynskim.	50
45	Janina (BKD 622) Józefa z Damskich Trzebiny.	51
46	Janusz (BKD 85) Damski, nabywca Ludziska w 1907 r.	51
47	Ludzisko. Dwór w zimie.	51
48	Budynek kolejowej stacji granicznej w Aleksandrowie Kuńskim, przed I wojną światową.	53
49	BKD 35 Józefa z Mittestaedtów Damska *1813 † 1890. Nekrolog.	54
50	BKD 47 Józefa z Mittestaedtów Damska *1850 † 1919. Nekrolog.	54
51	Granice Zaolzia.	55
52	Stosunki etnograficzne na Śląsku Zaolziańskim.	56
53	Mogiła Karola Libelta i powstańców z 1863 r. na cmentarzu w Brdowie.	66
54	Tablica nagrobna plk. Junga v. Blankenheima na cmentarzu w Brdowie.	66
55	Maria (BKD 52) Halina z Bartoszewiczów Karnkowska w czasie I wojny światowej.	72
56	Szymanów – budynek główny szkoły żeńskiej.	73
57	Szymanów – Kościół.	73
58	Szymanów – Koperta okolicznościowa.	74
59	Dom w Wiecininie po przebudowie.	76
60	Wiecinin. Stanisława (BKD 50) z Damskich Bartoszewiczów, w pokoju zielonym.	77
61	Wiecinin. Jan (BKD 51) i Joachim (BKM 202) Bartoszewiczowie, w pokoju zielonym.	78
62	Wiecinin. Janina z Bartoszewiczów Karłowska i Maria z Bartoszewiczów Karnkowska, na tarasie.	78
63	Warszawa, na początku I wojny światowej.	79
64	Warszawa. Uczestniczki kursu Pszczelarstwo-Ogrodniczego PSZCZÓŁKA, w 1920 r.	79
65	Warszawa. Pałac Ujazdowski. Akwarela z r. 1740.	79
66	Warszawa. Szkoła podchorążych sanitarnych i Szpital Ujazdowski.	80
67	Warszawa. Szpital Ujazdowski. Elewacja północno – boczna.	80
68	Maria (BKD 52) Halina Bartoszewiczówna w latach 20-tych.	84
69	Dwór w Wiecininie w 1998 r.	85
70	Bał w Wiecininie.	87

71	Joachim (BKM 202) Bartoszewicz, senator II RP.	89
72	Wiecinin. Jan (BKD 51) Bartoszewicz i Ada (BKM 481) Brzezinska, na tarasie.	90
73	Wiecinin. Taras i schody w 1996 r.	90
74	Kamienny młotek wykopaliskowy, znaleziony w pobliżu Wi nina	91
75	Grobowiec rodziny Bartoszewiczów, na cmentarzu w Brdowie.	93
76	Tablica na grobowcu Bartoszewiczów, na cmentarzu w Brdowie.	93
77	Tablica nagrobna Stanisławy (BKD 50) z Damskich Barto ewiczowej na cmentarzu w Brdowie.	93
78	Janina (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowska, ujęcie 1.	95
79	Janina (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowska, ujęcie 2.	95
80	Kościół parafialny w Brdowie, zbliżenie.	96
81	Kościół parafialny w Brdowie, nad jeziorem.	96
82	Tadeusz Karłowski, maz Janiny z Bartoszewiczów.	97
83	Bazanówka, położenie na mapie.	98
84	Dwór w Bazanówce, na początku XXI w.	98
85	Rozkład pomieszczeń we dworze w Bazanówce, stan do r. 1945.	98
86	Kazimierz Laskowski, do r. 1920, właściciel Bazanówki.	99
87	Baron Daniel Rodicz – Laskowski, w latach 1920-1944, właściciel Bazanówki.	99
88	Prof. Stanisław (BKM 204) Grabski, przed swym domem we Lwowie, w wczesnych latach 30-tych.	103
89	Zofia ze Smolików Stanisławowa Grabska, z córkami Halina i Stanisława.	103
90	Dwór w Siemkowicach, stan ok. 2005 r.	105
91	Dwór Karsnickich w Siemkowicach, wiosna 1932 r.	106
92	Dwór Karsnickich w Siemkowicach, od strony zajazdu 193	106
93	Zofia z Karczewskich i Ignacy Karsniccy na schodach dworu w Siemkowicach 1933 r.	106
94	Dwór w Siemkowicach, 1932 r.	106
95	Na ganku w Wiecininie.	109
96	Kościół w Brdowie, widok przez jezioro.	110
97	Jan Bartoszewicz z Wiecinina (Janusz).	111
98	Ewa z Luniewskich Bartoszewiczowa, żona Janusza.	111
99	Aleksandra z Bartoszewiczów Wyganowska, ujęcie 1.	111
100	Aleksandra z Bartoszewiczów Wyganowska, ujęcie 2.	111
101	Teodor (BKD 53) Kamkowski w czasach studenckich.	112
102	Teodor (BKD 53) Kamkowski ujęcie, 1.	112
103	Teodor (BKD 53) Kamkowski ujęcie, 2.	112
104	Dworek w Paniewie. Akwarelka p. Wandy Gentil-Widgierowej, stan z r. 1938.	114
105	Dworek w Paniewie. Rzut parteru.	114
106	Paniewo. Szkic pamięciowy ogrodu i zabudowań gospodarczych.	115
107	Paniewo. Wycinek publikacji Uniwersytetu Warszawskiego r. 1918.	116
108	Paniewo. Teren badań, mapa z r. 1918.	117

109	Paniewo. Teren badan, mapa z r. 2006.	117
110	Paniewo, 1918 r. Nad brzegiem jeziora.	117
111	Paniewo. Wierzyby nad jeziorem.	117
112	Paniewo. U wodopoju, r. 1999.	118
113	Paniewo. Ukradziono nawet kamienie z bruku.	118
114	Historia rodziny Karnkowskich. Czesc trasy „ucieczki” we wrzesniu 1939 r.	119
115	Dziedzic i.	120
116	Dziedziczka z Paniewa.	120
117	Historia rodziny Karnkowskich. Szlak wypedenia w kwietniu 1945 r.	121
118	Ogród w Paniewie. Główna aleja widokowa.	123
119	Ogród w Paniewie. Kazimierz (BKD 54) Karnkowski w alei głównej.	123
120	Ogród w Paniewie. Anna (BKD 55) Karnkowska nad skarpa widokowa.	123
121	Ogród w Paniewie. Anna (BKD 55) Karnkowska, na krzyczówce ogrodowej.	124
122	Ogród w Paniewie. Anna (BKD 55) Karnkowska, pod drzewem orzechowym.	124
123	Dowód osobisty Teodora Karnkowskiego z 1933 r., podpisany, przez p. K. Leszczynskiego. . .	124
124	Grupa osób, lacznie z Kazimierzem Leszczynskim.	124
125	Skulsk. Remiza strazacka, stan 1913 r. Miejsce okradze a T. Karnkowskiego z pieniedzy. . .	125
126	Skulsk. Remiza strazacka, stan 2011 r.	126
127	Paniewo. Wierzyby i malwy nad jeziorem.	127
128	Paniewo. Na miejscu dochodowego ogrodu owocowo-warzywnego, posiano pszenice i kukurydze. .	128
129	Paniewo. Resztki zniszczonej skarpy widokowej.	128
130	Paniewo. Kazimierz (BKD 54) i Anna (BKD 55) Karnkowscy, na wózku zaprzezonym w osiolki. .	130
131	Kazimierz Karnkowski, na tle dworku w Paniewie.	130
132	Osoba zaufania w Paniewie, pokojowka p. Jadzia ze Zrabkowskich Radziszewska.	131
133	Jezioro Paniewskie z lotu ptaka.	132
134	Na Skulskiej Kepie, koscioł i dom p. Jadzi ze Zrabkowskich Radziszewska.	132
135	Na jeziorze paniewskim. W łódce, p. W. Widigierowa z Kaziem (BKD 54) Karnkowskim i psem. .	133
136	P. W. Widigierowa, autoportret fotografia oferowana przez p. Beutler z USA.	133
137	Teodor (BKD 53) Karnkowski, na tle dworku w Paniewie.	133
138	Nad jeziorem w Paniewie. Akwarelka p. Wandy Gentil-Widigierowej, z r. 1936.	132
139	Sygnatura p. Wandy Gentil-Widigierowej, na powyzszej akwarelce.	134
140	Skulsk. Kosciół parafialny.	137
141	Skulsk 1938-06-11. Ks. Antoni Bogdanski na lozu smierci.	137
142	Skulsk 1938-06-15. Pogrzeb ks. A. Bogdanskiego.	137
143	Dr Michal Ilczyszyn.	139
144	Nekrolog Janiny (BKD 498) z Bartoszewiczów Karłowskiej.	141
145	Paniewo. Maria (BKD 52) Karnkowska z synem Kazimierzem (BKD 54).	142
146	Paniewo. Maria (BKD 52) Karnkowska z córka Anna (BKD 55).	142

147	Paniewo. Kazimierz (BKD 54) Karnkowski, ujecie 1.	142
148	Paniewo. Kazimierz (BKD 54) Karnkowski, ujecie 2.	142
149	Paniewo. Sortowanie ogórków.	144
150	Paniewo. Teodor (BKD 53) Karnkowski „doglada” sortowania ogórków.	144
	C Z E S C I I	147
151	P. Kostrzewa, praktykant w majątku Paniewo.	156
152	Rodzina Kowalskich z Czartowa.	157
153	P. Kowalska z najmłodszym synem Romanem.	157
154	Przed rzadcówka w Wieckowicach. Maria Karnkowska z dziećmi.	164
155	Wieckowice. Maria i Teodor Karnkowscy z Dziadkiem Janem Bartoszewiczem i dziećmi.	164
156	Wieckowice. Maria Karnkowska z dziećmi, kolo rzadcówki.	165
157	Wieckowice. Anna i Kazimierz Karnkowscy kolo rzadcówki jecie 1.	165
158	Wieckowice. Anna i Kazimierz Karnkowscy kolo rzadcówki jecie 2.	165
159	Wieckowice. Anna i Kazimierz Karnkowscy kolo rzadcówki jecie 3.	165
160	Wieckowice. Dziadek Jan Bartoszewicz, robiacy maslo w kierzynie.	167
161	Wieckowice. Anna Karnkowska, przy kolacji.	167
162	Na wysiedleniu. Na wycieczce do lasu w Rudnej, folwarku nalezacego do maj. Wieckowice.	168
163	Na wysiedleniu. Powrót z wycieczki do lasu w Rudnej.	168
164	Teodor Karnkowski, jako nauczyciel w Szkole Rolniczej ojnicy.	169
165	Kazimierz i Anna Karnkowscy z okresu pobytu w Wieckowicach.	170
166	Anna Karnkowska z Basia Ropelewska, córka dyrektora Szkoły Rolniczej w Wojniczu.	170
167	Wieckowice. Anna Karnkowska, kolo rzadcówki.	170
168	Anna Karnkowska, na wycieczce do lasu w Rudnej.	170
169	Wieckowice. Portret Teodora Karnkowskiego, rys. Włodzimierz Bartoszewicz.	172
170	Wieckowice. Jan Bartoszewicz ze szwagierka, Maria z Bozeniec Jelickich Bartoszewiczowa.	173
171	Kościół parafialny w Wojniczu.	173
172	Wieckowice. Jan Bartoszewicz, na katafalku.	174
173	Wieckowice. Aleksandra z Bartoszewiczów Wyganowska, po Powstaniu Warszawskim.	176
174	Paniewo. Ostatni rzut oka na dom rodzinny przed wypędzeniem.	182
175	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 1.	183
176	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 2.	184
177	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 3.	185
178	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 4.	186
179	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 5.	187
180	Paniewo, protokół przejecia majątku na cele reformy rolnej, arkusz 6.	188
181	Dworek pp. Sierakowskich, w Warzymowie, gdzie zamieszkali Karnkowscy po wygnaniu.	189
182	Zabytkowy kościół gotycki w Warzymowie, w sasiedztwie folwarku pp. Sierakowskich.	190
183	Obraz nad drzwiami kościoła.	191

184	Kościół w zimie.	192
185	Data na ambonie.	193
186	Okolice wypędzenia w Goplanie. Powtórka mapy nr 114, z tr. 119.	190
187	Szlak wypędzenia z lotu ptaka.	191
188	Dwór w Wiecininie, widok od ogrodu, stan z 1994 r.	193
189	Dwór w Wiecininie, widok od frontu, stan z 1994 r.	193
190	Dwór w Wiecininie, widok od frontu, stan z 1996 r. Ujęcie 1..	194
191	Dwór w Wiecininie, widok od frontu, stan z 1996 r. Ujęcie 2.	195
192	Dwór w Wiecininie, widok od ogrodu, stan z 1996 r. Ujęcie 3.	195
193	Wiecinin. Dom administratora (?).	191
194	Wiecinin. Zabytkowy spichlerz. Na budynku napis, „do rozbiórki”.	191
195	Fotografia koszyczka do szklanek na herbacie.	197
196	Znak wybity przez firmę na koszyczku.	197
197	Rodzaje znaków wybijane na produktach Fraget'a w różnych okresach czasu.	197
198	Ostatni etap wypędzenia z Paniewa. Powtórka mapy nr 114 ze str. 119.	198
199	Jakuszyce na Śląsku, kwiecień 2012 r. Pp. Władysław Janowski i Anna Beutler.	200
200	Dwór w Wiecininie, widok od frontu, stan z 2012 r.	201
201	Dwór w Wiecininie, widok od ogrodu, stan z 2012 r.	201
202	Dwór w Komaszycach, stan z lipca 1999 r. Weranda.	202
203	Dwór w Komaszycach, stan z lipca 1999 r. Elewacja frontowa.	202
204	Gimnazjum in J. Kasprowicza w Inowrocławiu, do którego uczęszczał Kazimierz Karnkowski.	203
205	Kazimierz (BKD 54) Karnkowski w latach 40-tych.	204
206	Strona z dziennika klasowego, z wymienionym Kazimierzem (BKD 54) Karnkowskim.	204
207	Fotografia klasowa z Kazimierzem Karnkowskim, oraz J. Damskim z Zabna (nauczycielem).	204
208	Sylwetka zamku w Malborku.	207
209	Kazimierz (BKD 54) Karnkowski w r. 1946 w Lowiczu.	210
210	Stanisław (BKM 204) Grabski fot. z lat 1945/46.	210
211	Dr Jan Zabinski, w Warszawie, w drugiej połowie lat 40-tych.	210
212	Szkoła Rolnicza w Gronowie, pod Elblągiem. Stan 2005 r.	211
213	Legitymacja do ulgowych kolejowych biletów miesięcznych Teodora (BKD 53) Karnkowskiego.	212
214	Dom przy ówczesnej al. Stalina 34, adres Karnkowskich w Malborku, stan z końca lat 40-tych.	215
215	Ten sam dom jak powyżej. Fotografia z 2 października 2010 r.	215
216	Maria (BKD 52) z Bartoszewiczów Karnkowska, okres malborski.	216
217	Teodor (BKD 53) Karnkowski, okres malborski.	216
218	Malbork. Teodor, Maria i Anna Karnkowscy, Siostra Teodora Zofia i M. z Leszczyńskich Mittelst.	219
219	Malbork. Anna (BKD 55) Karnkowska przed domem na ul. Stalina 34.	220
220	Malbork. Rodzina Karnkowskich przed domem na ul. Stalina 34.	220
221	Rodzina Karnkowskich, wraz z gimnazjastą, Januszem Kowalskim, przed domem na ul. Stalina.	220

222	Janusz Kowalski. Prof. dr med. w Warszawie. Zdjecie z 12 r.	220
223	Praga, miejsce zamieszkania i studiów Kazimierza Karnkowskiego, 1951-1956 r.	221
224	Poznan. Maria (BKD 52) Karnkowska w szklarni kaktusów Ogródu Botanicznego UAMP.	225
225	Maria (BKD 52) Karnkowska w latach 50-tych w Malborku.	225
226	Poznan. Maria Karnkowska ze swa serdeczna przyjaciółka ofia Mochnacka i córka Anna.	225
227	Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa, fotografi koncowego okresu zycia.	226
228	Ewa (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowa, fotografi wczesniejszego okresu zycia.	226
229	Nekrolog Ewy (BKD 501) z Luniewskich Bartoszewiczowej.	226
230	Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz). Fotografia z koncowego okresu zycia. Ujecie 1.	226
231	Jan (BKD 500) Bartoszewicz (Janusz). Fotografia z koncowego okresu zycia. Ujecie 2.	226
232	Nekrolog Jana (BKD 500) Bartoszewicza (Janusza).	227
233	Zebranie rodzinne po pogrzebie Jana (BKD 500) Bartosze za (Janusza).	227
234	Płyta nagrobna Jana (BKD 500) i Ewy (BKD 501) z Luniew ich Bartoszewiczów.	227
235	Z okazji wesela córki. Maria Karnkowska z przyrodnia siostra meza, dr Zofia Górka.	228
236	W „mieszkanku” Marii Karnkowskiej, z córka, zięciem, oraz 4-ka wnuczków.	228
237	W „mieszkanku” Marii Karnkowskiej, z papieżem, mezem, synem i Włocinim.	229
238	Grobowiec rodziny Karnkowskich, przed renowacja.	229
239	Grobowiec rodziny Karnkowskich, po renowacji w r. 1999. Ujecie 1.	229
240	Grobowiec rodziny Karnkowskich, po renowacji w r. 1999. Ujecie 2.	230
241	Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska. Dowód Osobisty.	231
242	Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska, w stroju sportowym.	231
243	Aleksandra (BKD 503) z Bartoszewiczów Wyganowska, w stroju Janosika.	231
244	Włodzimierz (BKM 434) Bartoszewicz.	232
245	Maria (BKM 435) Magdalena z Dunin-Borkowskich Bartoszewiczowa.	232
246	Nekrolog Włodzimierza (BKM 434) Bartoszewicza.	232
247	Nekrolog (BKM 435) Marii Magdaleny z Dunin-Borkowskich Bartoszewiczowej.	232
248	Szwajcaria – Leibstadt. Elektrownia atomowa. Moc elektryczna 1245 MW.	233
249	Maria Antonina, Pobóg-Dmochowska, jaka ja pamietam.	225
250	Maria Antonina, Pobóg-Dmochowska, w ostatnim okresie zycia.	227

20. MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Poz.	Imie	Nazwisko	Tytuł, wydawnictwo
1.	M. S.	Anatolewna.	Omsk 2005 r. Opublikowane na stronie: http://kdkv.narod.ru/1864/Ssilka-ZapSib.html#15 . Oprac. Elżbieta Sieczkowska i Janusz Stankiewicz).
2.	Włodzimierz Joachim	Bartoszewicz.	BUDA NA POMISLU (Warszawa 1966, 2 wyd. poszerzone, 1983).
3.	Adam	Bien.	BÓG WYSOKO DOM DALEKO LSW, W-wa 1981, str. 198 i dalsze.
4.	Tadeusz	Czaplicki.	Szlacheckie Ostatki. Rodzina Bacciarelli w czasie II wojny światowej. PAX Warszawa 2000. str. 82/83.
5.	Maria	Damska z Mittelstaedt'ów.	PAMIETNIK. Wiadomości Ziemianskie. Nr. 40, zima 2009 r. str. 54 i dalsze.
6.	Józef	Glemp.	KAZANIE NA JASNEJ GÓRZE, 15. VIII. 1982 r. Publikacja Wttrze z 14. VI. 1987 r. nr.24. Wizyta dobrych nadziei.
7.	Stanisław	Grabski.	PAMIETNIKI, Czytelnik, Warszawa 1989 r. Tom I i II.
8.	Stanisław	Grzymalowski.	WSPOMNIENIA Z KIJOWA VI - (wybrane rozdziały) / POLSKA MŁODZIEŻ AKADEMICKA W KIJOWIE 1834-1918 / Wrocław - maj - 2001. Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Zarządzie Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT.
9.	Tomasz	Jaskulski.	HISTORIA SKULSKA i OKOLIC do 1945 r. - Skulsk 2010 r.
10.	Maria	Karnkowska.	Czy hobby kaktusowe, to kwestia mody? Gazeta Poznańska 1967-05-13.
11.	Kazimierz	Karnkowski.	W przygotowaniu: Na rozdrożu dziejów - Dambscy i Mittelstaedt'owie. CH-5400-Baden.
12.	Kazimierz	Karnkowski.	HISTORIA rodu KARNKOWSKICH, TOM I, II i III. - CH-5400-Baden, 2012.
13.	Teresa	Karsnicka Kozłowska	DAWNEJ niż WCZORAJ. Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2008.
14.	Zofia	Kirkor-Kiedroniowa.	WSPOMNIENIA, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Tom I, II i III.
15.	Bogdan	Konstantynowicz.	MATERIAŁY HERALDYCZNE, Internet.
16.	Helmut	v. Moltke	Darstellung der innern Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in POLEN. Berlin, Verlegt bei G. Fincke. 1832.
17.	Helmut	v. Moltke	OPOLSCE. Wydanie I F. A. Brockhaus, Lipsk 1885. Wydanie II Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa 1996
18.	Władysław	Polinski	Notatki a wycieczki zoologicznej na Jeziora Kujawskie (14-22.VII-1918). Pamiętnik Fizjograficzny. Tom XXVI. Zoologia.
19.	Joanna	Prosinska-Giersz.	HRABIANKA ANNA Z ZABNA, Wyd. Adam Marszałek. Torun 2007.
20.	Jan	Sikorski.	ZIEMIANIN BEZ KOMPLEKSÓW. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Gdansk 1990. Str. 24
21.	Edward M.	Sokop.	PISANE NA KOLANIE - PAMIETNIK BEZ PATOSU Edwarda M. Sokopp'a. Str. 85, 86 i 94. Wyd. Antyk - Marcin Dybowski (1997).
22.	John	Steed.	Brothers Keeper - KARNKOWSCY. Opr. K. Karnkowski CH. 5400 -Baden.
23.	John	Steed.	Brothers Keeper - DAMBSCY. Opr. K. Karnkowski CH. 5400 -Baden.

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

24.	John	Steed.	Brothers Keeper – MITTELSTAEDT'OWIE Opr. K. Kamkowski CH. 5400 –Baden.
25.	Ludwik	Somma.	OBRONA POLSKI W 1939 R. Polityka, nr 27, 15, lipca, (?), na podstawie Rycerza Niepokalanej Nr 8 (212) z sierpnia 1939 r.
26.	Józefa	Suchorska z Dambskich.	PAMIETNIK. Wiadomosci Ziemianskie. Nr. 41, wiosna 2010 r. str. 31 i dalsze.
27.	Maria	Taylor Buffalo, maj 2002.	RODZINA BACIARELLI W CZASIE II WOJNY SWIATOWEJ. Biuletyn Ziemianski. Lipiec – grudzien 2002. Str. 47.
28.	B.	Trelinska.	ALBUM ARMORUM NOBILIUM REGNI POLONIAE XV-XVIII saec., Lublin 2001, s. 469. Nobilitacja neofity, konstytucja sejm. z 1764 r.
29.	Roman	Wapinski.	ROMAN DMCOWSKI. Wydawnictwo Lubelskie, 1988r. Str. 336 i 337.
30.	Stefan	Wyszynski.	ZAPISKI WIEZIENNE - Editions du dialogue, Paris 1982. Apoteoza budowy ustroju „sprawiedliwosci społecznej” w Polsce po 1945 r. i poparcia udzielonego przez Kosciól.
31.	-	Zespól.	DOMINIUM PANIEWC, własnosc Teodora Kamkowskiego. Ziemianstwo, rolnictwo i samorzady woj. łódzkiego. 1927. 73
32.	-	Zespól.	„KTO BYL KIM W DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ” Joachim Stefan Bartoszewicz, poz. 1715.
33.	-	Zespól. S.G.K.P., T.3. Str. 604.	JORDANY, dwór, o 13 wiorst od Wilkomierza (obecnie na Litwie – Ukmerge, na pln. od Wilna).
34.	-	Zespól. S.G.K.P., T.7. Str. 839.	PANIEWC pow. Słupca, później Konin.

21. P R Z Y P I S Y

Numer	T R E S C	Str.
	CZESCI	10
1.	W chwili rozpoczęcia aktualizacji WSPOMNIEN, koncze 80-ty rok życia.	9
2.	Materiały heraldyczne Bogdana Konstantynowicza	10
3.	LISTA UCZESTNIKÓW POWSTANIA 1863 - 1864 r. ZESLANÝCH NA ZACHODNIA SYBERIE.	11
4.	Oficjalna nobilitacja neofity wg słynnej konstytucji swej 1764 r.	11
5.	Jordany, dwór pow. Wilkomirski, S.G.K. P., T3, Str. 604.	11
6.	Halina (BKM 67) z Mittelstaedtów Bartoszewiczowa (1845-1896), (notka biograficzna)	12
7.	Maria (BKM 200) z Bartoszewiczów Prus Wisniewska (1866/1938), (notka biograficzna)	12
8.	Joachim (BKM 202) St. Bartoszewicz, senator (1867-1938), (notka biograficzna nr 1)	12
9.	Joachim (BKM 202) St. Bartoszewicz, senator (1867-1938), (notka biograficzna nr 2)	12
10.	Włodzimierz (BKM 434) Joachim Bartoszewicz, malarz (1899-1983), (notka biograficzna)	12
11.	Przekazanie prezesostwa SN przez Dmowskiego J. St. Bartoszewiczowi	12
12.	Jan (BKM 203) Bartoszewicz, wł. Włecina (1869-1943), (notka biograficzna)	12
13.	Andriej Nikolajewicz Korff (1831-1893), (wzmianka)	13
14.	Z Zakrzewskich Józefa (BKM 62) Sewerynowa Mittelstaedt, (wzmianka)	14
15.	Seweryn (BKM 35) Mittelstaedt (ur. 1811), (notka biograficzna)	14
16.	Jan (BKM 65) Mittelstaedt (ur. 1841 lub 1843-1913), (notka biograficzna)	14
17.	Aleksandr Apuchtin (1822-1904), (notka biograficzna)	15
18.	St. (BKM 68) z Mittelsztedtów (Mittelstaedtów) Grabska (1845-1918), (notka biograficzna)	16
19.	St. (BKM 204) Grabski (1871-1949), polityk, ekonomista, publicysta, (notka biograficzna)	16
20.	Wł. (BKM 206) Grabski (1874-1938), ekonomista i polityk, premier, (notka biograficzna)	17
21.	Józef (BKM 466) Kiedron (1879-1932), inżynier górnik, (wzmianka)	17
22.	Halina (BKM 207) z Grabskich Brzezinska (1876-1945), utalentowana pianistka, (wzmianka)	17
23.	Joachim (BKM 202) Stefan Bartoszewicz (notka biograficzna)	19
24.	POLSKA MŁODZIEŻ AKADEMICKA W KIJOWIE 1834-1918 / Wrocław - maj – 2001.	20
25.	Osłepnięcie Joachima (BKM 202) Stefana Bartoszewicza w więzieniu w Kijowie.	20
26.	Na rozdrożu dziejów. Opracowanie źródłowe.	21
27.	Joanna Prosińska Giersz – HRABIANKA ANNA Z ZABNA. A. Marszałek Torun 2007. Opr. źródł.	21
28.	BKK - Brothers Keeper, kod osobowy rodziny Karnkowskich.	21
29.	BKD - Brothers Keeper, kod osobowy rodziny Damskich.	21
30.	BKM - Brothers Keeper, kod osobowy rodziny Mittelstaedtów.	21
31.	Insynuacja o podstępym udzielaniu pożyczek ziemianom z Żydów	27
32.	Problemy ziemian związane z restrukturyzacją gospodarki rolnej	28
33.	Brak egzekwowania przepisów prawnych w stosunku do chłopów w Polsce	30
34.	Zdrowy krytycyzm autorki w stosunku do ziemian	30
35.	Poglądy na kształcenie synów ziemian w zawodzie rolniczym	31
36.	Damscy ze Szczkowa	31
37.	Instytucja rezydentów na majątkach ziemskich.	34
38.	Wbrew ludowo/komunistycznej propagandzie, ziemianie, na co dzień odzywiali się skromnie.	37
39.	Wspomnienie o majątku Luszczewo Janusza (BKM 262) Mittelstaedt'a.	37
40.	Wspomnienie o majątku Wyszakowo Antoniego Unruga	37
41.	Funkcje ziemianstwa w społeczeństwie polskim, a szczeg e na wsi.	39
42.	Rzekome „próżniactwo” ziemianek	40
43.	Obowiązki domowe autorki i jej matki w Włecinie	40
44.	Obowiązki „ogrodnika/kucharza” w Włecinie	40
45.	Polski kompleks narodowy, przypisywania nieszczesc nar wnych wyłącznie ziemianstwu.	41
46.	Nagornyj Karabach jest jedna z prowincji Armenii. Wierzchowicz Dziadka miał nazwę Karabach.	44
47.	Walka ziemian przeciwko opanowywaniu handlu zbożem prz Żydów	45
48.	Gospodarka cioci Frani Taczanowskiej w Kownatach	46
49.	„Ostatni zajazd w Linówcu”	46
50.	Wspomnienie o p. Ludomirze Frezerze z Osówca	46
51.	Dlaczego czytanie Starego Testamentu było na przełomie XIX i XX w rzadkie	48
52.	Wzmianka ciotki Juty Suchorskiej o wzorowej gospodarce jej ojca w Ludzisku	49

53. Ciotka Juta Suchorska wspomina przyczynę kalectwa Anto ego Dambskiego z Ludziska.. . . .	49
--	----

54.	Dalsza wzmianka o ciotce Jucie (BKD 57) Suchorskiej	50
55.	Wzmianka o ciotce Zofii, II ^o v. Rembowskiej, II ^o v. Unruzynie	50
56.	Wzmianka o wuju Stefanie Dambskim później z Rudnej	50
57.	Szondy czyli tzw. nosidla	50
58.	Utrata Ludziska przez Dambskich nie były rezultatem „matactw” żydowskich	52
59.	Wspomnienie o wuju Kazimierzu Dambskim	52
60.	Pochwała tzw. reformy rolnej z 1944/45 przez prym. Glempa	53
61.	Ww. wystąpienie prymasa można uważać jako pochwałę zło	53
62.	Informacja nt. majątku Sikorskich Chelmy Wielkie na Pomorzu	53
63.	Gen. Wl. Sikorski, oraz min. R. Sikorski nie są spokre	53
64.	Chodzi Zofie Kirkor-Kiedroniowa	55
65.	Ciotka Halina Dambska z Szczkowa wyszła za Zyg. Donimirskiego z Kozuszek	57
66.	Informacja o rodzinie Bacciarrellich z Miechowic	58
67.	Zainteresowania kulturalne ziemian wymagały częstych kontaktów	59
68.	Krótkie podsumowanie rezultatów, tzw. reformy rolnej popieranej przez prym. Wyszynskiego	62
69.	Współodpowiedzialność Kościoła za następstwa komunizmu w Polsce	63
70.	Jak niewykształcone żony przekonywały swych wykształc	63
71.	Religia jest dobra na wszystko	63
72.	Przekonywanie do katolicyzmu nie polega więc na studiach, tylko na frazesach	63
73.	„Dobrowolne” pacierze domowe w Wiecininie	63
74.	Dywagacje autorki nt. ewentualnych reform na polskiej wsi	64
75.	W czasie ref. rol. 1944/45 zniszczono więcej dóbr kult	64
76.	W XX w. wojska niemieckie dwa razy zmusiły Rosjan do o	64
77.	Jung v. Blankenheim jest nazwiskiem wybitnie niemieckim	65
78.	Dawniej ławki do kościołów fundowali ziemianie, teraz powinni to robić chłopcy	65
79.	Autorka opisuje tradycyjne wśród chłopów sympatie pror	68
80.	Wyjaśnienie terminu glebae adscriptus	68
81.	Dlaczego nikt z fernali nie chciał uciekać w 1920 r. przed bolszewikami	83
82.	Oczywiście zwycięstwo nie jest rezultatem dobrej walki, tylko jedynie cudu	83
83.	Wspomnienie o senatorze Joachimie (BKM 202) Bartoszewiczu	83
84.	To że Żyd był kulturalny nie jest niczym dziwnym, Żydzi byli bardzo kulturalni	84
85.	Topografia stacji kolejowej Gopło	87
86.	Goscie w Wiecininie, w tym wypadku kuzynki Brzezinskie	89
87.	Pochodzenie młotka wykopaliskowego, obecnie w posiadaniu syna autorki	90
88.	Opinia Z. (BKM 205) Kirkor-Kiedroniowej o leczącym Babkę p. Wojnowskim	92
89.	Pomoc finansowa od pp. Topińskich po II wojnie światowej	99
90.	Szczegóły anegdot z wiecininiskim osłem	100
91.	„Upijanie” się kaczek makowinami w Wiecininie	101
92.	Autorka musiała się zawsze po południu przespac	101
93.	Witold Maringe (notka biograficzna)	102
94.	Zygmuntostwo Donimirscy z Kozuszek w Malborku	102
95.	Opis zameczku w Siemkowicach	107
96.	Sprostowanie odnośnie miejsca urodzenia, J. I. Kraszewskiego	107
97.	Spotkanie z polskimi oficerami z garnizonu w Pruzanach	108
98.	Zwiedzanie okolic do których wtedy „nie dotarła jeszcze cywilizacja”	108
99.	Wspomnienie o doktorze Kazimierzu (BKM 48) Dambskim	109
100.	Dalsze wspomnienie o doktorze Kazimierzu (BKM 48) Dambskim	109
101.	Wspomnienie o powojennych dziejach brata autorki Janusza (BKD 500) Bartoszewicza	110
102.	Maz autorki Teodor (BKD 53) Kamkowski chorował na angine pectoris	122
103.	Wspomnienie o p. Kazimierzu Leszczyńskim z Lisewa, wój	124
104.	Wspomnienie o siostrach Jablonskich: Janinie i Eli Bogatkiewiczowej	125
105.	Zdarzenie Kazimierza (BKD 54) Kamkowskiego z p. Dzwoniarkowa	130
106.	Odtworzenie luki w opisie wydarzeń	130
107.	Dobór wydarzeń, na podstawie zaistniałych faktów	130
108.	Życie w Paniewie, zgodnie z relacją wnuczki pokojówki, p. J. ze Zrabkowskich Radziszewskiej	130
109.	Pokojówka, p. J. Radziszewska, z domu nazywała się Zra	131
110.	Największe szkody wyrządzili polskim zabytkom nie Niem	134
111.	Wzmianka o Elżbiecie Bogatkiewiczowej z d. Jablonskiej	134
112.	Wspomnienie K. Kamkowskiego o wycieczce do Kruszwicy statkiem po Gopło	134

113.	Wspomnienie, o rodzinie pp. Mankowskich z Kazimierza Biskupiego.	134
114.	Wzmianka o majątku Nieswiastów.	134
115.	Wspomnienie o odwiedzinach dra Kazimierza (BKM 48) Damskiego w Paniewie.	135
116.	Postepowosc poglądów społecznych Teodora Karnkowskiego.	136
117.	Wspomnienie o ks. Antonim Bogdanskim, proboszczu w Skulsku.	136
118.	Opis topienia się w przereblu w oczach 3½ letniego dziecka.	138
119.	Wzmianka o p. Macieju Wozniaku, ratowniku z topieli.	138
120.	Wzmianka o d-rze, Michale Ilcyszynie, lekarzu w Skulsku.	139
121.	Reakcja autorki na komunikat o zajeciu przez Niemców W. zawy w 1939 r.	139
122.	Wspomnienie o Fri. Gertrudzie Saage.	141
123.	Odwiedziny córek wuja Józefa Jablonskiego w Paniewie.	141
124.	Ogród w Paniewie i jak go zniszczono.	143
125.	Jak gospodarowano w majątku w Paniewie.	143
126.	Autorka snuje myśli o środkach, które mogłyby zapobiec w. ref. rol. 1944/45.	144
CZESC II		147
127.	Porównanie stanu gleby, oraz i opadów w Paniewie i Wicininie.	151
128.	Wspomnienie o p. Kostrzewie praktykancie w Paniewie.	151
129.	Konie dla wojska nazywane były remontami.	151
130.	Głównymi dostawcami tych remontów byli ziemianie.	151
131.	Kolejna wzmianka o drze Kazimierzu (BKM 48) Damskim.	152
132.	Wzmianka o pp. Szytlerach z Radoszewic koło Wicininia.	152
133.	Panika wzniesiana w 1939 r. na tyłach wojsk pol. przez dywersantów niemieckich.	152
134.	Polska bron pancerna oczyma dziecka i fachowca.	152
135.	Wzajemna zawisc ludzi w okresie kleski.	152
136.	Ponoszenie przez ziemian kosztów utrzymania „uciekierów” wojennych.	153
137.	KRETYNSKI SPOSÓB MYSLANIA wpajany Polakom przez Kosciól katolicki.	153
138.	Szczegóły wjechania wozu Karnkowskich na mine w okolic Lisewa.	154
139.	Bagatelizowanie strat własnych przez Rodziców.	155
140.	Splądrowanie sadu w Paniewie przez pracowników folwarcznych.	155
141.	Niemcy mieli w 1939 r. duzo oddziałów konnych i to ze słabymi konmi.	155
142.	„Uzbrojenie” bandytów, którzy obrabowali Karnkowskich w Paniewie w 1939 r.	155
143.	Proletariat zaczął wreszcie „odbierac swoje”.	155
144.	T. Karnkowski nie był po wojnie oskarzony, ze wydal złodziei Niemcom.	155
145.	Uszkodzenie skradzionych rzeczy dla „zatarcia śladów”.	156
146.	Wspomnienie o pp. Lisewskich z Popielewa.	156
147.	Wspomnienie o rodzinie p. Józefa Kowalskiego z Czartowa.	157
148.	Wspomnienie o pokojówce p. Jadzi Radziszewskiej.	157
149.	Powiedzenie Katona o umoralniającym wpływie pracy na n. wolnika.	158
150.	„Humanitarna” postawa wysiedlajacego nas Austriaka.	159
151.	Wzajemne okradanie się, wysiedlanych.	159
152.	Wzmianka o p. Brejnakowskiej, zonie ogrodnika z Lisewa.	159
153.	Porównanie metod wysiedlania niemieckich i bolszewickich.	160
154.	Wspomnienie o p. Izabelli Lisewskiej z Popielewa.	160
155.	Przyjecie rodziny Karnkowskich przez pp. Jordanów, w Wieckowicach.	162
156.	Wspomnienie o majątku pp. Stadnickich, Wielka Wies koło Wojnicza.	162
157.	Ofiarnosc wykazana przez ziemian w Generalnym Gubernatorstwie.	163
158.	Prace domowe w Wieckowicach, w domu bez pradu.	164
159.	Edukacja Kazimierza (BKD 54) Karnkowskiego, przez dziadka J. (BKD 51) Bartoszewicza.	164
160.	Tluczenie kaszy z prosa na stepie, przez dziadka i wnuka.	164
161.	Praczką p. Przeklasina i jej siostra, sluzaca Frania Bodziochówna.	164
162.	Zeznania pracowników z Wieckowic o pracy Marii Karnkowskiej w majątku.	165
163.	„Obiady czwartkowe” u pp. Lisewskich w Wielkiej Wsi.	166
164.	Wspomnienie o p. Teodorze Dybale, niemieckim administratorze w Paniewie.	166
165.	Listy od p. Kostrzewy i p. G. Saage.	166
166.	Różnice w alfabetyzacji, w tzw. Kongresówce i w Galicji.	168
167.	Zbieranie pieczarek przez Kazimierza (BKD 54) Karnkowskiego.	168
168.	Kuracja Teodora (BKD 51) Karnkowskiego, w Iwoniczu.	169
169.	P. Antoni Golab, włodarz w Wieckowicach.	171

170.	Sprawcami ukraińskich mordów na Polakach w Galicji byli unicy.	175
171.	Kolaboracja Wyszyńskiego z komunistami przy budowie ustroju sprawiedliwości społecznej. . .	175
172.	Zarzut St. Kisielewskiego o kolaborację Wyszyńskiego z komunistami.	175
173.	Wzmianka o p. Jagience Sadowskiej, przyszłej żonie, p. Franciszka Jordana.	176
174.	Przyjazd siostry autorki Aleksandry z (BKD 503) B. Wyganowskiej do Wieckowic.	176
175.	Kupienie na wiosnę 1945 r. w Krakowie biletów PKP do Konina.	177
176.	Porównanie zachowania się Niemców i Polaków w czasie okupacji.	177
177.	Większość Polaków jest zawsze gotowa rabować wszystkich, nawet swych rodaków.	178
178.	Obluda parcelantów w Paniewie, wobec ich ofiar.	179
179.	Obluda pracowników folwarcznych w Paniewie i ich żon.	182
180.	Ostateczne upokorzenie rodziny Karnkowskich wypędzanych z Paniewa.	185
181.	Drugie mieszkanie w Gopłanie.	194
182.	Charakterystyka ogrodnika z Paniewa Lucjana Laskowskiego.	194
183.	Zniszczenie Wiecinina.	194
184.	Porównanie „rozkoszy” bezmyślnego niszczenia u Polaków i u Niemców.	193
185.	Priorytet ziemianstwa – dobro ojczyzny, priorytet chłopstwa, rabunek.	193
186.	Nieznani sprawcy pożaru mieszkań pracowników folwarcznych w Wiecininie.	193
187.	Postęp dewastacji budynków w Wiecininie do 1996 r.	194
188.	Odrzucenie oferty „lukratywnej” pracy w obozie w Potulicach.	195
189.	Ostatnia próba odebrania w Paniewie zrabowanych przedmiotów.	196
190.	Goscina u pp. Nowickich w kolonii Lisewie przed wyjazdem do Komaszyc.	199
191.	Niechec Polaków do pracy w Polsce, nawet dla siebie.	202
192.	Panna Wozniakówna jako ostatnie pozdrowienie z Paniewa.	202
193.	W 1945 r. „każdy stał się panem, a panowie praca się nie parają”.	203
194.	Niemcy jeszcze od pracy oduczeni nie byli.	203
195.	Po 1945 r., większa część proletariatu wcale się do nauki nie garnęła.	205
196.	Wspomnienie o pp. Mondygralach mieszkających w Trzasku koło Inowrocławia.	205
197.	Wzmianka o p. Ludwiku Echaust, teściu syna autorki.	207
198.	Wzmianka o Kazimierzu Donimirskim z Małych Ramz koło Sztumu.	208
199.	Wzmianka o p. Klamm, która pomagała wówczas autorce w domu.	209
200.	Wspomnienie o p. Róży Koszembar-Lyskowskiej, która pomagała Karnkowskim w Malborku. . .	210
201.	Wspomnienie o mieszkaniu J. (BKM 202 i 433) Bartoszewiczów na ul. Filtrowej w Warszawie. . .	210
202.	Starania autorki w celu nakłonienia syna do odnowienia kontaktów rodzinnych z przed wojny. . .	210
203.	Wizyta Stefanostwa (BKK 258 i 398) Wyganowskich w Malborku w 1946 r.	210
204.	Wspomnienie o dr J. Zabinskim i jego żonie, ratujących w czasie wojny Żydów.	210
205.	Nauka syna autorki w gimnazjum, najpierw w Inowrocławiu potem w Malborku.	210
206.	Mieszkanie rodziny Karnkowskich w Gronowie koło Elbląga.	210
207.	Drobne zadrażnienia z sąsiadką w Gronowie.	212
208.	Atak apopleksji męża autorki.	213
209.	Nocne poszukiwanie lekarza.	213
210.	Opieka dr Czesława Gogolkiewicza nad mężem autorki.	213
211.	Zdobywanie paszy dla krowy i wypadek w browarze.	216
212.	Wizyta Zofii Unrużyny ciotki autorki w Malborku.	217
213.	Wspomnienie o Marii Chelkowskiej z d. Donimirskiej ze Smielowa.	217
214.	Beznadziejność gospodarstwa dziadków Chelkowskich w Telkwicach.	217
215.	Wspomnienie o Smielowie.	217
216.	Pomoc autorki w likwidacji gospodarstwa w Telkwicach.	217
217.	Wspomnienie o p. Zofii Szczesniewskiej.	217
218.	Liczne wizyty w Malborku.	217
219.	Uczniowie gimnazjalni na stacji u rodziny Karnkowskich w Malborku.	218
220.	Koncepcja założenia pasieki dla męża autorki.	219
221.	Projekt objęcia gospodarstwa rolnego przez rodzinę Karnkowskich.	220
222.	Studia syna autorki w Czechosłowacji.	221
223.	Wspomnienie o p. Stefani Elsenbahn i jej mężu inż. Józefie Nowaku.	222
224.	W latach 50-tych, nie istniało w Polsce pojęcie zdania matury z wynikiem.	222
225.	Zastraszenie ziemian w okresie PRL'u.	222
226.	Zadrażnienia z współlokatorami w Malborku.	223
227.	Wspomnienie o inż. Salajskim i jego żonie z Malborka.	223
228.	Autorka pisała do gazet artykuły popularno-naukowe o hodowli kaktusów.	225

21. TABLICE ALFABETYCZNE BARTOSZEWICZÓW, DAMBSKICH I MITTELSTAEDT'ÓW

O S O B A G L Ó W N A								W S P Ó L M A L Z O N E K / K A					
Nazwisko	Imie	Rok		Nr kodu osobowego		Tablica genealogiczna		Nazwisko	Imie	Rok		Nr kodu osobowego	
		ur.	zm.	BKD (BKK)	BKM	Nr	Strc- nr			ur.	zm.	BKD (BKK)	BKM
Anderson	Dawid	1971	-	-	BKM 1607	BKM-1	24	Wasilewska	Marta	1949	-	-	BKM 1164
Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440	BKD-2	14	Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447
Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440	BKD-4	23	Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447
Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440	BKM-1	24	Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447
Bartoszewicz	Jan	1869	1943	BKD 51	BKM 203	BKD-2	14	Damska	Stanislawa	1877	1924	-	BKM 232
Bartoszewicz	Jan	1869	1943	BKD 51	BKM 203	BKD-4	23	Damska	Stanislawa	1878	1923	BKD 50	BKM 232
Bartoszewicz	Jan	1869	1943	BKD 51	BKM 203	BKM-1	24	Damska	Stanislawa	1878	1923	BKD 50	BKM 232
Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438	BKD-2	14	Luniewska	Ewa	-	1989	BKD 501	BKM 439
Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438	BKD-4	23	Luniewska	Ewa	-	1969	BKD 501	BKM 439
Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438	BKM-1	24	Luniewska	Ewa	-	1969	BKD 501	BKM 439
Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 437	BKD-2	14	Karlowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 443
Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 443	BKD-4	23	Karlowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 444
Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 437	BKM-1	24	Karlowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 443
Bartoszewicz	Joachim	-	-	BKK 415	-	BKD-1	13	Gintowt-Dziewialtkowska	-	-	-	BKK 416	-
Bartoszewicz	Joachim	1834	1901	-	BKM 195	BKD-1	13	Mittelstaedt	Halina	1845	1896	-	BKM 67
Bartoszewicz	Joachim	1907	1910	BKD 502	BKM 195	BKD-2	14	-	-	-	-	-	-
Bartoszewicz	Joachim	1907	1910	BKD 502	BKM 441	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bartoszewicz	Joachim	1834	1901	-	BKM 195	BKM-1	24	Mittelstaedt	Halina	1844	1896	-	BKM 67
Bartoszewicz	Joachim	1907	1911	BKD 502	BKM 441	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Bartoszewicz	Joachim Stanislaw	-	-	-	BKM 196	BKD-1	13	Szmitt	Józefa	-	-	BKK 418	-
Bartoszewicz	Joachim, Stefan	1867	1938	-	BKM 202	BKM-1	24	Jelowicka Bozeniec	Maria	1876	1946	-	BKM 433
Bartoszewicz	Maria	1866	1938	-	BKM 200	BKM-1	24	Wisniewski Prus	Feliks	1860	1932	-	BKM 201
Bartoszewicz	Maria Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436	BKD-2	14	Karnkowski	Teodor	1892	1955	BKD 53	BKM 442
Bartoszewicz	Maria Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436	BKD-4	23	Karnkowski	Teodor	1892	1955	BKD 53	BKM 442
Bartoszewicz	Maria Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436	BKM-1	24	Karnkowski	Teodor	1982	1955	BKD 53	BKM 442

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Bartoszewicz	Włodzimierz	1899	1983	-	BKM 434	BKM-1	24	Borkowska Dunin	Maria, Magdalena	-	1987	-	BKM 435
Bielski	Jarosław	-	-	BKD 705	BKM 1785	BKD-4	23	Karłowska	Mariola	1954	-	BKD 704	BKM 1784
Bielski	Jarosław	-	-	BKD 705	BKM 1785	BKM-1	24	Karłowska	Mariola	1954	-	BKD 704	BKM 1784
Bielski	Paweł	1984	-	-	BKM 1786	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Bogusz	Halina	1997	-	BKD 837	-	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bogusz	Karolina	1992	-	BKD 835	-	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bogusz	Maria	1994	-	BKD 836	-	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bogusz	Mirosław	1967	-	BKD 709	BKM 1783	BKD-4	23	Kamza	Halina	-	-	BKD 708	BKM 1144
Bogusz	Mirosław	1967	-	BKD 709	BKM 1783	BKM-1	24	Kamza	Halina	-	-	BKD 708	BKM 1144
Bogusz	Tadeusz	2000	-	BKD 838	-	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Borkowska Dunin	Maria, Magdalena	-	1987	-	BKM 435	BKM-1	24	Bartoszewicz	Włodzimierz	1899	1983	-	BKM 434
Bronowska	Magdalena	1963	-	-	BKM 1623	BKM-2	25	Grabski	Jacek, Maciej	1959	-	-	BKM 1179
Brykczynska	Anna	1967	-	BKD 732	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Brykczynska	Antonina	1925	1989	BKD 714	-	BKD-3	22	Chmielowski	Stanisław	1922	2002	BKD 715	-
Brykczynska	Olga	1927	-	BKD 722	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Brykczynska	Teresa	1932	-	BKD 723	-	BKD-3	22	Wozniak	Zbigniew	1925	1977	BKD 724	-
Brykczynski	Józef	-	-	BKD 729	-	BKD-3	22	Moskał	Maria	-	-	BKD 730	-
Brykczynski	Marcin	1898	1944	BKD 713	-	BKD-3	22	Damska	Maria	1889	1944	BKD 712	-
Brykczynski	Marcin	1969	-	BKD 731	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Brzezinska	Halina	-	-	-	BKM 483	BKM-2	25	Lebedzik	Władysław	-	-	-	BKM 1772
Brzezinska	Halina	-	-	-	BKM 483	BKM-2	25	Nyklinski	Mieczysław	-	-	-	BKM 825
Brzezinska	Jadwiga	1899	1953	-	BKM 481	BKM-2	25	Laszczka	Czesław	1900	1985	-	BKM 813
Brzezinska	Stanisława	1901	1978	-	BKM 820	BKM-2	25	Narkowicz	Bolesław	-	-	-	BKM 817
Brzezinska	Stanisława	1901	1978	-	BKM 820	BKM-2	25	Bujalski	Jerzy	1899	1940	-	BKM 818
Brzezinski	Piotr, Józef	1862	1939	-	BKM 480	BKM-2	25	Grabska	Halina	1876	1939	-	BKM 207
Bujalska	Małgorzata	-	1986	-	BKM 821	BKM-2	25	Stolzman	Ryszard	-	-	-	BKM 822
Bujalski	Jerzy	1899	1940	-	BKM 818	BKM-2	25	Brzezinska	Stanisława	1901	1978	-	BKM 820
Burczyk	Renata	1952	-	-	BKM 1614	BKM-2	25	Grabski	Grzegorz	1953	-	-	BKM 1172
Bylina	Andrzej	-	-	BKD 626	BKM 886	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bylina	Michał	-	-	BKD 627	BKM 1760	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Bylina	Wacław	-	-	BKD 625	BKM 883	BKD-4	23	Trzebinska	Halina Maria	1908	2004	BKD 624	BKM 538
Cabaj	Barbara	1940	-	-	BKM 1188	BKM-2	25	Grabski	Stanisław, Krzysztof	1936	-	-	BKM 811
Calkosinska	Ewa	1932	-	-	BKM 778	BKM-1	24	Szeliga	Wiesław	1932	-	-	BKM 1158
Calkosinski	Aleksander	1895	1987	-	BKM 777	BKM-1	24	Grabska	Ludmiła	1899	1982	-	BKM 455

Carothi	Roma	-	-	BKD 643	BKM 888	BKD-4	23	Suchorski	Antoni	1917	1996	BKD 639	BKM 545
Chadzynska	Danuta	-	-	-	BKM 1134	BKM-1	24	Pawlukiewicz	Mieczyslaw	-	-	-	BKM 1598
Chadzynska	Halina	1914	1969	-	759	BKM-1	24	Hackiewicz	Wladyslaw	1910	1943	-	BKM 1131
Chadzynska	Krystyna	1916	-	-	760	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Chadzynski	Mieczyslaw	1918	-	-	761	BKM-1	24	Jankowska	N.	-	-	-	BKM 1133
Chadzynski	Stefan	1887	1945	-	BKM 756	BKM-1	24	Wisniewska	Halina	1892	-	-	BKM 432
Chelmicka	Hanka	1925	-	BKD 680	BKM 1139	BKD-4	23	Karlowski	Konstanty	1926	2005	BKD 633	BKM 444
Chelmicka	Hanka	1925	-	BKD 680	BKM 1139	BKM-1	24	Karlowski	Konstanty	1926	2005	BKD 633	BKM 444
Chmielowska	Maria	1954	-	BKD 720	-	BKD-3	22	Rózanski	Stanislaw	-	-	721	-
Chmielowski	Adam	1951	-	BKD 716	-	BKD-3	22	Wolska	Maria	-	-	BKD 717	-
Chmielowski	Marcin	1952	-	BKD 718	-	BKD-3	22	Dukat	Malgorzata	-	-	BKD 719	-
Chmielowski	Stanislaw	1922	2002	BKD 715	-	BKD-3	22	Bryczynska	Antonina	1925	1989	BKD 714	-
Czarnecka	Aniela, Maria Barbara, Teresa	-	-	BKD 86	BKM 486	BKD-4	23	Dambski	Janusz	1877	1930	BKD 85	BKM 214
Czarnota	Danuta	-	-	BKD 728	-	BKD-3	22	Wozniak	Grzegorz	1962	-	BKD 727	-
Czynska	N.	-	-	-	BKM 754	BKM-1	24	Wisniewski	Feliks, Joachim	1890	1967	-	BKM 431
Dähn	Kitty	-	-	-	BKM 566	BKM-3	26	Mittelstaedt	Karol	1916	-	-	BKM 564
Dähn	Mary	-	-	-	BKM 565	BKM-3	26	Mittelstaedt	Karol	1916	-	-	BKM 564
Dabrowska	Monika	-	-	BKD 110	BKM 1101	BKD-4	23	Jamiolkowski	Przemyslaw	1964	-	109	736
Dambska	Aleksandra	1907	1988	BKD 433	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Dambska	Aleksandra, Zofia, Maria	1891	1962	BKD 59	BKM 235	BKD-4	23	Rembowski	Stanislaw, Emil	1885	1920	BKD 60	BKM 548
Dambska	Aleksandra, Zofia, Maria	1891	1962	BKD 59	BKM 235	BKD-4	23	Unrug	Franciszek	1887	1945	BKD 61	BKM 549
Dambska	Anna	1877	1925	BKD 49	BKM 231	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Dambska	Elzbieta	1933	-	BKD 436	BKM 558	BKD-3	22	Strzyz	Zbyszko	1928	-	BKD 437	BKM 901
Dambska	Halina	1887	1997	BKD 66	BKM 243	BKD-4	23	Donimirski	Zygmunt	1877	1958	BKD 67	BKM 244
Dambska	Izabela	1876	1958	BKD 563	BKD 177	BKD-4	23	Zakrzewski Wysogota	Mieczyslaw	1875	1962	BKD 564	BKD 254
Dambska	Izabela	1876	1958	BKD 563	BKD 177	BKM-3	26	Zakrzewski Wysogota	Mieczyslaw	1875	1962	BKD 564	BKD 254
Dambska	Izabella	1927	1984	BKD 435	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Dambska	Izydora	1904	1983	BKD 432	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Dambska	Janina Józefa	1882	1958	BKD 622	BKM 233	BKD-4	23	Trzebinski	Bogdan, Boleslaw, Józef,	-	1932	BKD 623	BKM 737

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

									Dionizy				
Damska	Józefa	1887	1975	BKD 57	BKM 234	BKD-4	23	Suchorski	Andrzej	-	-	BKD 58	BKM 1753
Damska	Karolina	-	-	BKD 93	BKM 1200	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damska	Maria	1889	1944	BKD 712	-	BKD-3	22	Brykczynski	Marcin	1898	1944	713	-
Damska	Maria	1925	2005	BKD 434	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Damska	Maria	1887	1984	BKD 98	BKM 216	BKD-4	23	Lutostanski	Wacław, Władysław	-	-	BKD 99	BKM 489
Damska	Monika	1985	-	BKD 97	BKM 1203	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damska	Paulina	1984	-	BKD 92	BKM 1199	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damska	Stanisława	1877	1924	BKD 50	BKM 232	BKD-2	14	Bartoszewicz	Jan	1869	1943		BKM 203
Damska	Stanisława	1878	1923	BKD 50	BKM 232	BKD-4	23	Bartoszewicz	Jan	1869	1943	BKD 51	BKM 203
Damska	Stanisława	1878	1923	BKD 50	BKM 232	BKM-1	24	Bartoszewicz	Jan	1869	1943	BKD 51	BKM 203
Damska	Teresa	1931	-	BKD 107	BKM 401	BKD-4	23	Jamiolkowski	Jerzy	-	-	BKD 108	BKM 735
Damska	Zofia	1900	1989	BKD 63	-	BKD-3	22	Damski	Stefan	1893	1961	BKD 62	-
Damska	Zofia	1900	1989	BKD 63	BKM 555	BKD-4	23	Damski	Stefan	1893	1961	BKD 62	BKM 236
Damski	Andrzej	1925	1944	BKD 106	BKM 400	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damski	Antoni	1843	1907	BKD 46	BKM 75	BKD-4	23	Mittelstaedt	Maria	1850	1919	BKD 47	BKM 84
Damski	Antoni	1843	1907	BKD 46	BKM 75	BKM-3	26	Mittelstaedt	Maria	1850	1919	BKD 47	BKM 84
Damski	Antoni, Rafał, (Tot)	1917	1995	BKD 88	BKM 488	BKD-4	23	Wygodzka	Wanda	-	-	BKD 89	BKM 828
Damski	Jacek	1984	-	BKD 96	BKM 1202	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damski	Jan	1924	-	BKD 104	BKM 398	BKD-4	23	Storey	Vera	-	-	BKD 105	BKM 399
Damski	Jan Walenty	1809	1871	BKD 34	BKM 69	BKD-4	23	Mittelstaedt	Józefa	1813	1890	BKD 35	BKM 36
Damski	Jan, Marian (Janeczek)	1912	1992	BKD 87	BKM 398	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damski	Janusz	1877	1930	BKD 85	BKM 214	BKD-4	23	Czarnecka	Aniela, Maria Barbara, Teresa	-	-	BKD 86	BKM 486
Damski	Janusz	1958	-	BKD 90	BKM 829	BKD-4	23	Wilk	Jadwiga	-	-	BKD 91	BKM 1198
Damski	Józef	1850	1928	BKD 64	BKM 77	BKD-4	23	Sikorska	Stefania	-	-	BKD 65	BKM 242
Damski	Kazimierz Stefan	1874	1948	BKD 48	BKM 230	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Damski	Rajmund	1874	1935	BKD 102	BKM 176	BKD-4	23	Mittelstaedt	Halina, Maria	-	-	BKD 103	BKM 336
Damski	Ryszard	1969	-	BKD 94	BKM 830	BKD-4	23	Sierzanska	Dorota	-	-	95	1201
Damski	Stanisław	1865	1941	BKD 426	-	BKD-3	22	Zaleska	Antonina	1865	1931	BKD 431	-
Damski	Stefan	1893	1961	BKD 62	-	BKD-3	22	Damska	Zofia	1900	1989	BKD 63	-
Damski	Stefan	1838	1899	BKD 100	BKM 70	BKD-4	23	Golcz	Weronika	1840	1923	BKD 101	BKM 175

Dambski	Stefan	1893	1961	BKD 62	BKM 236	BKD-4	23	Dambska	Zofia	1900	1989	BKD 63	BKM 555
Dambski	Wladyslaw	-	1885	BKD 82	BKM 73	BKD-4	23	Golcz	Antonina	1838	1873	BKD 83	BKM 61
Dambski	Wladyslaw	-	1885	BKD 82	BKM 73	BKD-4	23	Zielonacka	Bronislawa	-	-	BKD 84	BKM 211
Dlubak	Anna	1983	-	BKD 699	BKM 1789	BKD-4	23	Górski	Andrzej, Jan, Teodor	1975	-	BKD 698	BKM 1138
Dlubak	Anna	1983	-	BKD 699	BKM 1789	BKM-1	24	Górski	Andrzej, Jan, Teodor	1975	-	BKD 698	BKM 1138
Dogget	Christopher	1981	-	-	BKM 1610	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Dogget	Laurence	-	-	-	BKM 1608	BKM-1	24	Wasilewska	Marta	1949	-	-	BKM 1164
Dogget	Thomas	1979	-	-	BKM 1609	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Donimirska	Magdalena, Maria	1965	-	BKD 80	BKM 913	BKD-4	23	Koskowski	Jacek	-	-	BKD 81	BKM 1303
Donimirski	Janusz	1912	1991	BKD 68	BKM 559	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Donimirski	Jerzy	1913	1954	BKD 541	BKM 562	BKD-4	23	Wyrzewalska	Grazyna	-	-	BKD 542	BKM 907
Donimirski	Jerzy	1958	-	BKD 75	BKM 909	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Donimirski	Józef	1960	-	BKD 76	BKM 910	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Donimirski	Konstanty	1964	-	BKD 79	BKM 912	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Donimirski	Wojciech	1922	1979	BKD 77	BKM 561	BKD-4	23	Karska	Katarzyna	1936	-	BKD 78	BKM 911
Donimirski	Zygmunt	1877	1958	BKD 67	BKM 244	BKD-4	23	Dambska	Halina	1887	1997	BKD 66	BKM 243
Donimirski	Zygmunt	1919	1997	BKD 73	BKM 560	BKD-4	23	Tucholka	Teresa	1927	-	BKD 74	BKM 846
Donimirski Wolodkiewicz	Zdzislaw	1952	-	BKD 543	BKM 908	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Dukat	Malgorzata	-	-	BKD 719	-	BKD-3	22	Chmielowski	Marcin	1952	-	BKD 718	-
Echast	Maria Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764	BKD-2	14	Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762
Echast	Maria, Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764	BKD-4	23	Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762
Echast	Maria, Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764	BKM-1	24	Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762
Freyer	Jolanta	-	-	-	BKM 1129	BKM-1	24	Wisniewski	Bogdan	-	-	-	BKM 755
Frezer	Katarzyna	1925	2001	-	BKM 572	BKM-3	26						
Frezer	Ludomir	1893	1959	-	BKM 366	BKM-3	26	Mittelstaedt	Izabela	1894	1948	-	BKM 266
Frezer	Olga	1924	2008	-	BKM 571	BKM-3	26						
Gintowt-Dziewialtkowska	-	-	-	BKK 416	-	BKD-1	13	Bartoszewicz	Joachim	-	-	BKK 415	-
Glass	Andrzej	1930	-	-	BKM 775	BKM-1	24	Rózycka	Maria	1929	1978	-	BKM 1150
Glass	Andrzej	1930	-	-	BKM 775	BKM-1	24	Rózycka	Teresa	1934	-	-	BKM 1151
Glass	Henryk	-	-	-	BKM 770	BKM-1	24	Grabska	Feliksa	1897	1979	-	BKM 454

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Glass	Krystyna	1927	-	-	BKM 773	BKM-1	24	Lewandowski	Brunon	-	-	-	BKM 1147
Glass	Maria	1937	-	-	BKM 776	BKM-1	24	Jaczyński	Kazimierz	-	-	-	BKM 1153
Glass	Stanisław	1929	1935	-	BKM 774	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Glass	Wojciech	1963	-	-	BKM 1152	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Golcz	Antonina	1838	1873	BKD 83	BKM 61	BKD-4	23	Dambski	Władysław	-	1885	BKD 82	BKM 73
Golcz	Weronika	1840	1923	BKD 101	BKM 175	BKD-4	23	Dambski	Stefan	1838	1899	BKD 100	BKM 70
Górska	Agnieszka, Aleksandra	1973	-	BKD 695	BKM 1137	BKD-4	23	Tomaszewski	Robert	1976	-	BKD 696	BKM 1787
Górska	Agnieszka, Aleksandra	1973	-	BKD 695	BKM 1137	BKM-1	24	Tomaszewski	Robert	1976	-	BKD 696	BKM 1787
Górska	Anna, Maria	1965	-	BKD 689	BKM 1135	BKD-4	23	Zabielski	Ryszard	1966	-	BKD 690	BKM 1773
Górska	Anna, Maria	1965	-	BKD 689	BKM 1135	BKM-1	24	Zabielski	Ryszard	1966	-	BKD 690	BKM 1773
Górska	Jagoda, Maria	2010	-	BKD 701	BKM 1791	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Górska	Jagoda, Maria	2010	-	BKD 701	BKM 1791	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Górski	Amadeusz, Piotr	1993	-	BKD 693	BKM 1602	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Górski	Amadeusz, Piotr	1993	-	BKD 693	BKM 1602	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Górski	Andrzej, Jan, Teodor	1975	-	BKD 698	BKM 1138	BKD-4	23	Dlubak	Anna	1983	-	BKD 699	BKM 1789
Górski	Andrzej, Jan, Teodor	1975	-	BKD 698	BKM 1138	BKM-1	24	Dlubak	Anna	1983	-	BKD 699	BKM 1789
Górski	Jerzy	1933	-	BKD 56	BKM 765	BKD-2	14	Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763
Górski	Jerzy	1933	-	BKD 556	BKM 765	BKD-4	23	Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763
Górski	Jerzy	1933	-	BKD 556	BKM 765	BKM-1	24	Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763
Górski	Jerzy, Stanisław	1986	-	BKD 691	BKM 1136	BKD-4	23	Sorupska	Joanna, Kinga	1970	-	BKD 692	BKM 1601
Górski	Jerzy, Stanisław	1986	-	BKD 691	BKM 1136	BKM-1	24	Sorupska	Joanna, Kinga	1970	-	BKD 692	BKM 1601
Górski	Oskar, Franciszek	1994	-	BKD 694	BKM 1603	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Górski	Oskar, Franciszek	1994	-	BKD 694	BKM 1603	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Górski	Piotr, Jan	2008	-	BKD 700	BKM 1790	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Górski	Piotr, Jan	2008	-	BKD 700	BKM 1790	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Grabska	Agnieszka, Maria, Katarzyna	1937	-	-	BKM 798	BKM-2	25	Zajczkowski	Tomasz	-	-	-	BKM 1180

Grabska	Anna	1973	-	-	BKM 1191	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabska	Elzbieta	1930	-	-	BKM 803	BKM-2	25	Wallis	Aleksander	1930	1984	-	BKM 804
Grabska	Feliksa	1897	1979	-	BKM 454	BKM-1	24	Glass	Henryk	-	-	-	BKM 770
Grabska	Halina	1876	1939	-	BKM 207	BKM-2	25	Brzezinski	Piotr, Józef	1862	1939	-	BKM 480
Grabska	Halina	1919	-	-	BKM 461	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabska	Janina	1908	1957	-	BKM 781	BKM-1	24	Wojciechowski	Tadeusz	1908	1944	-	BKM 782
Grabska	Janina	1908	1957	-	BKM 781	BKM-1	24	Treter	Kazimierz	1904	-	-	BKM 783
Grabska	Justyna	1980	-	-	BKM 1618	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabska	Ludmila	1899	1982	-	BKM 455	BKM-1	24	Calkosinski	Aleksander	1895	1987	-	BKM 777
Grabska	Malgorzata, Maria	1957	-	-	BKM 1178	BKM-2	25	Kidawa-Blonski	Jan	1953	-	-	BKM 1619
Grabska	Stanislawa Halina	1922	-	-	BKM 462	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabska	Urszula	-	-	-	BKM 1187	BKM-2	25	N.	N.	-	-	-	BKM 1637
Grabska	Urszula	-	-	-	BKM 1187	BKM-2	25	Rutkowski	Marek	-	-	-	BKM 1638
Grabska	Zofia	1872	1952	-	BKM 205	BKM-2	25	Kirkor	Dymitr	1874	1900	-	BKM 465
Grabska	Zofia	1872	1952	-	BKM 205	BKM-2	25	Kiedron	Józef	1879	1932	-	BKM 466
Grabski	Andrzej, Feliks	1934	2000	-	BKM 810	BKM-2	25	Ponomarienko	Maria	-	1997	-	BKM 1186
Grabski	Andrzej, Kazimierz	1908	1955	-	BKM 479	BKM-2	25	Jaskowska	Maria	-	1966	-	BKM 807
Grabski	Boguslaw	1978	-	-	BKM 1617	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Feliks	1845	1897	-	BKM 190	BKM-1	24	Mittelstaedt	Stanislawa	1845	1918	-	BKM 68
Grabski	Grzegorz	1953	-	-	BKM 1172	BKM-2	25	Burczyk	Renata	1952	-	-	BKM 1614
Grabski	Jacek, Maciej	1959	-	-	BKM 1179	BKM-2	25	Bronowska	Magdalena	1963	-	-	BKM 1623
Grabski	Kazimierz, Jan	1929	1983	-	BKM 796	BKM-2	25	Kocianska	Maria	1928	2003	-	BKM 1171
Grabski	Maciej, Wladyslaw	1934	-	-	BKM 797	BKM-2	25	Nowakowska	Helena	1933	-	-	BKM 1175
Grabski	Marcin	1974	-	-	BKM 1193	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Marcin	1986	-	-	BKM 1636	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Michal, Jan	1941	1986	-	BKM 799	BKM-2	25	Kalinowska	Barbara	-	-	-	BKM 1184
Grabski	Mikolaj	1995	-	-	BKM 1627	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Pawel	1960	-	-	BKM 1185	BKM-2	25	Siarkiewicz	Bozena	-	-	-	BKM 1633
Grabski	Stanislaw	1871	1949	-	BKM 204	BKM-1	24	Rozen	Ludmila	1875	1915	-	BKM 448
Grabski	Stanislaw	1897	1920	-	BKM 453	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Grabski	Stanislaw, Krzysztof	1936	-	-	BKM 811	BKM-2	25	Cabaj	Barbara	1940	-	-	BKM 1188

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Grabski	Szymon, Piotr	1988	-	-	BKM 1626	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Wacław	1900	1916	-	BKM 476	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Grabski	Władysław Dominik	1874	1938	-	BKM 206	BKM-2	25	Lewandowska	Katarzyna	1879	1946	-	BKM 473
Grabski	Władysław, Jan	1901	1970	-	BKM 477	BKM-2	25	Wojciechowska	Zofia	1905	1992	-	BKM 793
Grabski	Władysław, Maria	1938	2001	-	BKM 812	BKM-2	25	N.	Anna	-	-	-	BKM 1192
Grabski	Zbigniew	1907	1949	-	BKM 460	BKM-1	24	Steinbock	Irena	1937	-	-	BKM 459
Grabski	Zdzisław	1905	1973	-	BKM 478	BKM-2	25	Ostrowska	Halina	1902	1990	-	BKM 800
Hackiewicz	Władysław	1910	1943	-	BKM 1131	BKM-1	24	Chadzyńska	Halina	1914	1969	-	759
Hackiewicz	Zofia	-	-	-	BKM 1132	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Hyjek	Andrzej	1988	-	BKD 683	BKM 1296	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Hyjek	Anna	1995	-	BKD 685	BKM 1298	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Hyjek	Jan	1957	-	BKD 442	BKM 1294	BKD-3	22	Hyjek	Jan	1957	-	BKD 442	BKM 1294
Hyjek	Maria	1989	-	BKD 684	BKM 1295	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Hyjek	Stanisław	1999	-	BKD 686	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Hyjek	Zofia	2005	-	BKD 687	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Jaczynska	Ella	1968	-	-	BKM 1154	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Jaczynski	Kazimierz	-	-	-	BKM 1153	BKM-1	24	Glass	Maria	1937	-	-	BKM 776
Jaczynski	Michael	1975	-	-	BKM 1155	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Jamiolkowski	Jerzy	-	-	BKD 108	BKM 735	BKD-4	23	Damska	Teresa	1931	-	BKD 107	BKM 401
Jamiolkowski	Michał	1993	-	BKD 111	BKM 1102	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Jamiolkowski	Przemysław	1964	-	BKD 109	BKM 736	BKD-4	23	Dabrowska	Monika	-	-	110	1101
Jankowska	N.	-	-	-	BKM 1133	BKM-1	24	Chadzyński	Mieczysław	1918	-	-	761
Jaraczewska	Elżbieta	1936	1958	BKD 631	BKM 1774	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Jaraczewski	Adam	1938	1970	BKD 632	BKM 1775	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Jaraczewski	Tadeusz, Nikodem	1899	1948	BKD 629	BKM 540	BKD-4	23	Trzebinska	Izabela Maria	1909	1950	BKD 628	BKM 539
Jaruzelska	Katarzyna	-	-	BKD 670	BKM 1280	BKD-4	23	Rembowski	Tomasz	1951	-	BKD 667	BKM 898
Jaruzelska	Maria	-	-	BKD 647	BKM 1264	BKD-4	23	Suchorski	Rafał	1950	-	BKD 646	BKM 892
Jaskowska	Maria	-	1966	-	BKM 807	BKM-2	25	Grabski	Andrzej, Kazimierz	1908	1955	-	BKM 479
Jaszczyszyn	Barbara	1931	2001	-	BKM 1195	BKM-2	25	Laszcza	Andrzej	1930	-	-	BKM 816
Jelowicka Bozeniec	Maria	1876	1946	-	BKM 433	BKM-1	24	Bartoszewicz	Joachim, Stefan	1867	1938	-	BKM 202
Judkowiak	Henryk	1955	-	BKD 439	BKM 1291	BKD-3	22	Strzyż	Barbara	1958	-	BKD 438	BKM 902

Judkowiak	Izabela	1985	-	BKD 681	BKM 1292	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Judkowiak	Wojciech	1992	-	BKD 682	BKM 1293	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Kalinowska	Barbara	-	-	-	BKM 1184	BKM-2	25	Grabski	Michał, Jan	1941	1986	-	BKM 799
Kamza	Halina	-	-	BKD 708	BKM 1144	BKD-4	23	Bogusz	Mirosław	1967	-	BKD 709	BKM 1783
Kamza	Halina	-	-	BKD 708	BKM 1144	BKM-1	24	Bogusz	Mirosław	1967	-	BKD 709	BKM 1783
Kamza	Paweł	-	-	BKD 707	BKM 1143	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Kamza	Paweł	-	-	BKD 707	BKM 1143	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Kamza	Tadeusz	1920	1982	BKD 638	BKM 1142	BKD-4	23	Karłowska	Alicja	1935	1999	BKD 636	BKM 446
Kamza	Tadeusz	1920	1982	BKD 638	BKM 1142	BKM-1	24	Karłowska	Alicja	1935	1999	BKD 636	BKM 446
Karłowska	Alicja	1935	1999	BKD 636	BKM 446	BKD-4	23	Kamza	Tadeusz	1920	1982	BKD 638	BKM 1142
Karłowska	Alicja	1935	1999	BKD 636	BKM 446	BKM-1	24	Kamza	Tadeusz	1920	1982	BKD 638	BKM 1142
Karłowska	Małgorzata	1952	2004	BKD 702	BKM 1140	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Karłowska	Małgorzata	1952	2004	BKD 702	BKM 1140	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Karłowska	Mariola	1954	-	BKD 704	BKM 1784	BKD-4	23	Bielski	Jarosław	-	-	BKD 705	BKM 1785
Karłowska	Mariola	1954	-	BKD 704	BKM 1784	BKM-1	24	Bielski	Jarosław	-	-	BKD 705	BKM 1785
Karłowski	Jan	1930	-	BKD 634	BKM 445	BKD-4	23	Pawńska	Sylwia	1931	-	BKD 635	BKM 768
Karłowski	Jan	1930	-	BKD 634	BKM 445	BKM-1	24	Pawńska	Sylwia	1931	-	BKD 635	BKM 768
Karłowski	Konstanty	1926	2005	BKD 633	BKM 444	BKD-4	23	Chelmicka	Hanka	1925	-	BKD 680	BKM 1139
Karłowski	Konstanty	1926	2005	BKD 633	BKM 444	BKM-1	24	Chelmicka	Hanka	1925	-	BKD 680	BKM 1139
Karłowski	Paweł	1924	1926	BKD 637	BKM 769	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Karłowski	Paweł	1924	1926	BKD 637	BKM 769	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Karłowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 443	BKD-2	14	Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 437
Karłowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 444	BKD-4	23	Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 443
Karłowski	Tadeusz	1958	-	BKD 703	BKM 1141	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Karłowski	Tadeusz	1899	1936	BKD 499	BKM 443	BKM-1	24	Bartoszewicz	Janina	1905	1938	BKD 498	BKM 437
Karłowski	Tadeusz	1958	-	BKD 703	BKM 1141	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763	BKD-2	14	Górski	Jerzy	1933	-	BKD 56	BKM 765
Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763	BKD-4	23	Górski	Jerzy	1933	-	BKD 556	BKM 765
Karnkowska	Anna	1937	-	BKD 55	BKM 763	BKM-1	24	Górski	Jerzy	1933	-	BKD 556	BKM 765
Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762	BKD-2	14	Echaust	Maria Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764
Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762	BKD-4	23	Echaust	Maria, Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764
Karnkowski	Kazimierz	1933	-	BKD 54	BKM 762	BKM-1	24	Echaust	Maria, Ludwika	1936	-	BKD 505	BKM 764
Karnkowski	Teodor	1892	1955	BKD 53	BKM 442	BKD-2	14	Bartoszewicz	Maria Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436
Karnkowski	Teodor	1892	1955	BKD 53	BKM 442	BKD-4	23	Bartoszewicz	Maria Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Karnkowski	Teodor	1982	1955	BKD 53	BKM 442	BKM-1	24	Bartoszewicz	Maria, Halina	1902	1980	BKD 52	BKM 436
Karska	Katarzyna	1936	-	BKD 78	BKM 911	BKD-4	23	Donimirski	Wojciech	1922	1979	BKD 77	BKM 561
Kebler	Steve	-	-	-	BKM 1612	BKM-1	24	Wasilewska	Katarzyna	1955	-	-	BKM 1166
Keebler	Jonathan	1988	-	-	BKM 1613	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Kidawa-Blonski	Jan	1953	-	-	BKM 1619	BKM-2	25	Grabska	Malgorzata, Maria	1957	-	-	BKM 1178
Kidawa-Blonski	Jan, Antoni	1987	-	-	BKM 1620	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Kiedron	Jan	1903	1921	-	BKM 470	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Kiedron	Józef	1879	1932	-	BKM 466	BKM-2	25	Grabska	Zofia	1872	1952	-	BKM 205
Kiedron	Wladyslaw	1907	1981	-	BKM 471	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Kiersnowska	Maria	-	-	-	BKM 795	BKM-2	25	Wojciechowski	Stanislaw	1969	1970	-	BKM 794
Kirkor	Andrzej	1933	1978	-	BKM 791	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Kirkor	Dymitr	1874	1900	-	BKM 465	BKM-2	25	Grabska	Zofia	1872	1952	-	BKM 205
Kirkor	Elzbieta, Teresa	1938	-	-	BKM 792	BKM-2	25	Stratford	Rogers, John	-	-	-	BKM 1167
Kirkor	Stanislaw	1898	1983	-	BKM 472	BKM-2	25	Zaboklicka	Irena	-	1994	-	BKM 788
Kirkor	Witold	1897	1902	-	BKM 469	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Kocianska	Maria	1928	2003	-	BKM 1171	BKM-2	25	Grabski	Kazimierz, Jan	1929	1983	-	BKM 796
Koskowski	Jacek	-	-	BKD 81	BKM 1303	BKD-4	23	Donimirska	Magdalena, Maria	1965	-	BKD 80	BKM 913
Kossowski	Andrzej	-	-	-	BKM 249	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Kramarz	Anna	1993	-	BKD 675	BKM 1782	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Kramarz	Maciej	1991	-	BKD 671	BKM 1781	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Kramarz	Ryszard	-	-	BKD 673	BKM 1780	BKD-4	23	Rembowska	Zofia	1981	-	BKD 672	BKM 1282
Laszczka	Adam, Artur	-	-	-	BKM 1642	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Laszczka	Andrzej	1930	-	-	BKM 816	BKM-2	25	Zacharska	Janina	1930	-	-	BKM 1194
Laszczka	Andrzej	1930	-	-	BKM 816	BKM-2	25	Jaszczyszyn	Barbara	1931	2001	-	BKM 1195
Laszczka	Artur, Andrzej	1965	-	-	BKM 1197	BKM-2	25	Zak	Anna, Maria	1966	-	-	BKM 1640
Laszczka	Czeslaw	1900	1985	-	BKM 813	BKM-2	25	Brzezinska	Jadwiga	1899	1953	-	BKM 481
Laszczka	Krzysztof, Bartlomiej	-	-	-	BKM 1641	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Lebedzik	Wladyslaw	-	-	-	BKM 1772	BKM-2	25	Brzezinska	Halina	-	-	-	BKM 483
Leitgeber	Regina Antonina	1921	1973	-	BKM 404	BKM-3	26	Zakrzewski	Stefan	1901	1973	-	BKM 402
Leszczynska	Maria Emilia	1895	1974	-	BKM 563	BKM-3	26	Mittelstaedt	Zygmunt	1883	1954	-	BKM 261
Lewandowska	Katarzyna	1879	1946	-	BKM 473	BKM-2	25	Grabski	Wladyslaw	1874	1938	-	BKM 206

									Dominik				
Lewandowski	Andrzej	1957	-	-	BKM 1148	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Lewandowski	Brunon	-	-	-	BKM 1147	BKM-1	24	Glass	Krystyna	1927	-	-	BKM 773
Lewandowski	Krzysztof	1959	-	-	BKM 1149	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Lutostanski	Wacław, Władysław	-	-	BKD 99	BKM 489	BKD-4	23	Dambaska	Maria	1887	1984	BKD 98	BKM 216
Lozynska	Aleksandra	1989	-	BKD 677	BKM 1288	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Lozynska	Anna	1995	-	BKD 678	BKM 1290	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Lozynska	Maria (Magdalena)	1987	-	BKD 676	BKM 1287	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Lozynski	Antoni	1990	-	BKD 679	BKM 1289	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Lozynski	Tomasz	-	-	BKD 669	BKM 1286	BKD-4	23	Rembowska	Anna	-	-	BKD 668	BKM 899
Luniewska	Ewa	-	1989	BKD 501	BKM 439	BKD-2	14	Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438
Luniewska	Ewa	-	1969	BKD 501	BKM 439	BKD-4	23	Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438
Luniewska	Ewa	-	1969	BKD 501	BKM 439	BKM-1	24	Bartoszewicz	Jan (Janusz)	1906	1981	BKD 500	BKM 438
Majewska	Anna	1976	-	BKD 666	BKM 1279	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Majewska	Elzbieta	1969	-	BKD 665	BKM 1278	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Majewski	Krzysztof	1936	-	BKD 663	BKM 1276	BKD-4	23	Majewski	Krzysztof	1936	-	BKD 663	BKM 1276
Majewski	Krzysztof	1936	-	BKD 663	BKM 1276	BKD-4	23	Majewski	Krzysztof	1936	-	BKD 663	BKM 1276
Majewski	Maciej	1967	-	BKD 664	BKM 1277	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Malanek	Dominik	1984	-	-	BKM 1606	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Malanek	Michał	1982	-	-	BKM 1605	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Malanek	Wojciech	1973	-	-	BKM 1604	BKM-1	24	Szeliga	Dorota	1961	-	-	BKM 1159
Maradie	John	-	-	-	BKM 1611	BKM-1	24	Wasilewska	Katarzyna	1955	-	-	BKM 1166
Marciniec	Maria	-	-	BKD 509	BKM 897	BKD-4	23	Rembowski	Maciej	1920	2010	BKD 506	BKM 553
Mittelstaedt	Aleksander	1892	1940	-	BKM 265	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Aleksander, Piotr, Leon	1815	1891	-	BKM 37	BKM-3	26	Poradowska	Stefania	1824	1868	-	BKM 78
Mittelstaedt	Aleksandra	1846	1921	-	BKM 82	BKM-3	26	Zakrzewski Wysogota	Witold	1840	1923	-	BKM 253
Mittelstaedt	Andrzej	1925	1986	-	BKM 570	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Anna	1868	1886	-	BKM 86	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Halina	1845	1896	-	BKM 67	BKD-1	13	Bartoszewicz	Joachim	1832	1901	-	BKM 195
Mittelstaedt	Halina	1844	1896	-	BKM 67	BKM-1	24	Bartoszewicz	Joachim	1834	1901	-	BKM 195
Mittelstaedt	Halina	1864	-	-	BKM 79	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Halina, Maria	-	-	BKD 103	BKM 336	BKD-4	23	Dambski	Rajmund	1874	1935	BKD 102	BKM 176
Mittelstaedt	Henryk	1856	1932	-	BKM 85	BKM-3	26	Mlicka	Julia	1857	1918	BKD 299	BKM 258

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Mittelstaedt	Izabela	1894	1948	-	BKM 266	BKM-3	26	Frezer	Ludomir	1893	1959	-	BKM 366
Mittelstaedt	Jacek	1914	1984	-	BKM 568	BKM-3	26	N.	Helena	-	-	-	BKM 569
Mittelstaedt	Janusz	1886	1950	-	BKM 262	BKM-3	26	Sulimierska	Maria	-	-	-	BKM 567
Mittelstaedt	Józefa	1813	1890	BKD 35	BKM 36	BKD-4	23	Dambski	Jan Walenty	1809	1871	BKD 34	BKM 69
Mittelstaedt	Karol	1916	-	-	BKM 564	BKM-3	26	Dähn	Kitty	-	-	-	BKM 566
Mittelstaedt	Karol	1916	-	-	BKM 564	BKM-3	26	Dähn	Mary	-	-	-	BKM 565
Mittelstaedt	Maria	1850	1919	BKD 47	BKM 84	BKD-4	23	Dambski	Antoni	1843	1907	BKD 46	BKM 75
Mittelstaedt	Maria	1850	1919	BKD 47	BKM 84	BKM-3	26	Dambski	Antoni	1843	1907	BKD 46	BKM 75
Mittelstaedt	Stanisława	1845	1918	-	BKM 68	BKM-1	24	Grabski	Feliks	1845	1897	-	BKM 190
Mittelstaedt	Stefania	1847	1866	-	BKM 83	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Teodozja	-	1918	-	BKM 80	BKM-3	26	Steinborn	Jan, Bronisław	1853	1885	-	BKM 209
Mittelstaedt	Władysław	-	-	-	BKM 81	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Mittelstaedt	Zofia	1890	-	-	BKM 263	BKM-3	26	Wierzchlejski	Teodozjusz	1881	1945	-	BKM 309
Mittelstaedt	Zygmunt	1883	1954	-	BKM 261	BKM-3	26	Leszczyńska	Maria Emilia	1895	1974	-	BKM 563
Mlicka	Julia	1857	1918	BKD 299	BKM 258	BKM-3	26	Mittelstaedt	Henryk	1856	1932	-	BKM 85
Moskal	Maria	-	-	BKD 730	-	BKD-3	22	Brykczynski	Józef	-	-	BKD 729	-
N.	Anna	-	-	-	BKM 1192	BKM-2	25	Grabski	Władysław, Maria	1938	2001	-	BKM 812
N.	Helena	-	-	-	BKM 569	BKM-3	26	Mittelstaedt	Jacek	1914	1984	-	BKM 568
N.	Krystyna	-	-	-	BKM 827	BKM-2	25	Nyklinski	Antoni	-	-	-	BKM 826
N.	N.	-	-	-	BKM 1637	BKM-2	25	Grabska	Urszula	-	-	-	BKM 1187
N.	N.	-	-	-	BKM 256	BKM-3	26	Zakrzewski Wysogota	Bogdan	1879	1950	-	BKM 255
Narkowicz	Bolesław	-	-	-	BKM 817	BKM-2	25	Brzezinska	Stanisława	1901	1978	-	BKM 820
Nigel	Florence	-	-	BKD 849	BKM 890	BKD-4	23	Suchorska	Ewa	1954	-	BKD 848	BKM 889
Nowakowska	Helena	1933	-	-	BKM 1175	BKM-2	25	Grabski	Maciej, Władysław	1934	-	-	BKM 797
Nyklinski	Antoni	-	-	-	BKM 826	BKM-2	25	N.	Krystyna	-	-	-	BKM 827
Nyklinski	Mieczysław	-	-	-	BKM 825	BKM-2	25	Brzezinska	Halina	-	-	-	BKM 483
Ostrowska	Halina	1902	1990	-	BKM 800	BKM-2	25	Grabski	Zdzisław	1905	1973	-	BKM 478
Pawinska	Sylwia	1931	-	BKD 635	BKM 768	BKD-4	23	Karłowski	Jan	1930	-	BKD 634	BKM 445
Pawinska	Sylwia	1931	-	BKD 635	BKM 768	BKM-1	24	Karłowski	Jan	1930	-	BKD 634	BKM 445
Pawlukiewicz	Magdalena	-	-	-	BKM 1599	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Pawlukiewicz	Mieczysław	-	-	-	BKM 1598	BKM-1	24	Chadzyńska	Danuta	-	-	-	BKM 1134
Pawlukiewicz	Wojciech	-	-	-	BKM 1600	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Pommersbach	Joanna	-	-	BKD 726	-	BKD-3	22	Wozniak	Jacek	1957	-	BKD 725	-

Ponomarienko	Maria	-	1997	-	BKM 1186	BKM-2	25	Grabski	Andrzej, Feliks	1934	2000	-	BKM 810
Popkowski	N.	-	-	-	BKM 251	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Poradowska	Stefania	1824	1868	-	BKM 78	BKM-3	26	Mittelstaedt	Aleksander, Piotr, Leon	1815	1891	-	BKM 37
Rembowska	Anna	-	-	BKD 668	BKM 899	BKD-4	23	Lozynski	Tomasz	-	-	BKD 669	BKM 1286
Rembowska	Elzbieta	1916	1944	BKD 507	BKM 552	BKD-4	23	Sokolnicki	Witold	1906	1968	BKD 508	BKM 895
Rembowska	Jadwiga	-	-	BKD 671	BKM 1281	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Rembowska	Maria	1987	-	BKD 759	BKM 1283	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Rembowska	Zofia	1981	-	BKD 672	BKM 1282	BKD-4	23	Kramarz	Ryszard	-	-	BKD 673	BKM 1780
Rembowski	Maciej	1920	2010	BKD 506	BKM 553	BKD-4	23	Marciniak	Maria	-	-	BKD 509	BKM 897
Rembowski	Maciej	1920	2010	BKD 506	BKM 553	BKD-4	23	Wichlinska	Zofia	-	-	BKD 510	BKM 900
Rembowski	Stanislaw, Emil	1885	1920	BKD 60	BKM 548	BKD-4	23	Damska	Aleksandra, Zofia, Maria	1891	1962	BKD 59	BKM 235
Rembowski	Tomasz	1951	-	BKD 667	BKM 898	BKD-4	23	Jaruzelska	Katarzyna	-	-	BKD 670	BKM 1280
Rozpedowska	Wirginia	-	-	BKD 645	BKM 891	BKD-4	23	Suchorski	Marek	1922	1998	BKD 641	BKD 1763
Rozen	Ludmila	1875	1915	-	BKM 448	BKM-1	24	Grabski	Stanislaw	1871	1949	-	BKM 204
Rózanski	Stanislaw	-	-	BKD 721	-	BKD-3	22	Chmielowska	Maria	1954	-	720	-
Rózycka	Maria	1929	1978	-	BKM 1150	BKM-1	24	Glass	Andrzej	1930	-	-	BKM 775
Rózycka	Teresa	1934	-	-	BKM 1151	BKM-1	24	Glass	Andrzej	1930	-	-	BKM 775
Rutkowska	Karolina	1987	-	-	BKM 1539	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Rutkowski	Marek	-	-	-	BKM 1638	BKM-2	25	Grabska	Urszula	-	-	-	BKM 1187
Semis	Anna	-	-	BKD 642	BKM 887	BKD-4	23	Suchorski	Antoni	1917	1996	BKD 639	BKM 545
Sharenberg	Joan, Gail	1945	-	-	BKM 1161	BKM-1	24	Wojciechowski	Ryszard	1944	-	-	BKM 784
Siarkiewicz	Bozena	-	-	-	BKM 1633	BKM-2	25	Grabski	Pawel	1960	-	-	BKM 1185
Sierzanska	Dorota	-	-	BKD 95	BKM 1201	BKD-4	23	Damski	Ryszard	1969	-	94	830
Sikorska	Agnieszka	1984	-	-	BKM 1631	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Sikorska	Stefania	-	-	BKD 65	BKM 242	BKD-4	23	Damski	Józef	1850	1928	BKD 64	BKM 77
Sikorski	Michal	1987	-	-	BKM 1632	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Sikorski	Miroslaw	1959	1986	-	BKM 1628	BKM-2	25	Zajaczkowska	Katarzyna	1960	-	-	BKM 1183
Smolik	Zofia	1893	1965	-	BKM 449	BKM-2	25	Grabski	Stanislaw	1871	1949	-	BKM 204
Sokolnicki	Witold	1906	1968	BKD 508	BKM 895	BKD-4	23	Rembowska	Elzbieta	1916	1944	BKD 507	BKM 552
Sorupska	Joanna, Kinga	1970	-	BKD 692	BKM 1601	BKD-4	23	Górski	Jerzy, Stanislaw	1986	-	BKD 691	BKM 1136
Sorupska	Joanna, Kinga	1970	-	BKD 692	BKM 1601	BKM-1	24	Górski	Jerzy, Stanislaw	1986	-	BKD 691	BKM 1136
Steiborn	Janusz	-	-	-	BKM 246	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Steiborn	Joanna	-	-	-	BKM 250	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Steiborn	Józef	-	-	-	BKM 247	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Steiborn	Maria	-	-	-	BKM 248	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Steiborn	Zofia	-	-	-	BKM 252	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Steinbock	Irena	1937	-	-	BKM 459	BKM-1	24	Grabski	Zbigniew	1907	1949	-	BKM 460
Steinborn	Jan, Bronislaw	1853	1885	-	BKM 209	BKM-3	26	Mittelstaedt	Teodozja	-	1918	-	BKM 80
Stolzman	Ryszard	-	-	-	BKM 822	BKM-2	25	Bujalska	Malgorzata	-	1986	-	BKM 821
Storey	Vera	-	-	BKD 105	BKM 399	BKD-4	23	Damski	Jan	1924	-	BKD 104	BKM 398
Stratford	Andrew	1972	-	-	BKM 1170	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Stratford	Kirkor, Roland	1967	-	-	BKM 1169	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Stratford	Rogers, John	-	-	-	BKM 1167	BKM-2	25	Kirkor	Elzbieta, Teresa	1938	-	-	BKM 792
Stratford	Rogers, John	1965	-	-	BKM 1168	BKM-2	25	-	-	-	-	-	-
Strzyz	Barbara	1958	-	BKD 438	BKM 902	BKD-3	22	Judkowiak	Henryk	1955	-	BKD 439	BKM 1291
Strzyz	Hubert	2000	-	BKD 688	-	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Strzyz	Jerzy	1962	-	BKD 440	BKM 903	BKD-3	22	-	-	-	-	-	-
Strzyz	Stanislaw	1968	-	BKD 443	BKM 905	BKD-3	22	Zawala	Magdalena	1969	-	BKD 444	BKM 906
Strzyz	Teresa	1965	-	BKD 441	BKM 904	BKD-3	22	Hyjek	Jan	1957	-	BKD 442	BKM 1294
Strzyz	Zbyszko	1928	-	BKD 437	BKM 901	BKD-3	22	Damska	Elzbieta	1933	-	BKD 436	BKM 558
Suchorska	Antonina	1987	-	BKD 650	BKM 1268	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Suchorska	Ewa	1954	-	BKD 848	BKM 889	BKD-4	23	Nigel	Florence	-	-	BKD 849	BKM 890
Suchorska	Maria	1952	-	BKD 653	BKM 1761	BKD-4	23	Swenda	Roman	-	-	BKD 654	BKM 1768
Suchorska	Teresa	1981	-	BKD 649	BKM 1266	BKD-4	23	Zóltowski	Ludwik	1979	-	BKD 710	BKM 1793
Suchorska	Wirginia	1980	-	BKD 648	BKM 1265	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Suchorski	Andrzej	-	-	BKD 58	BKM 1753	BKD-4	23	Damska	Józefa	1887	1975	BKD 57	BKM 234
Suchorski	Antoni	1917	1996	BKD 639	BKM 545	BKD-4	23	Semis	Anna	-	-	BKD 642	BKM 887
Suchorski	Antoni	1917	1996	BKD 639	BKM 545	BKD-4	23	Carothi	Roma	-	-	BKD 643	BKM 888
Suchorski	Krzysztof	1958	-	BKD 659	BKM 1762	BKD-4	23	Wojtkowiak	Maria, (Magdalena)	-	-	BKD 660	BKM 1274
Suchorski	Marcin	1984	-	BKD 661	BKM 1275	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Suchorski	Marek	1922	1998	BKD 641	BKM 1763	BKD-4	23	Rozpedowska	Wirginia	-	-	BKD 645	BKD 891
Suchorski	Marek	-	-	BKD 652	BKM 1779	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Suchorski	Rafal	1950	-	BKD 646	BKM 892	BKD-4	23	Jaruzelska	Maria	-	-	BKD 647	BKM 1264
Suchorski	Stanislaw	1920	1941	BKD 640	BKM 546	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Suchorski	Stanislaw	1983	-	BKD 651	BKM 1267	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Sulimierska	Maria	-	-	-	BKM 567	BKM-3	26	Mittelstaedt	Janusz	1886	1950	-	BKM 262
Swenda	Joanna	1982	-	BKD 657	BKM 1777	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-

Swenda	Pawel	1992	-	BKD 658	BKM 1778	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Swenda	Piotr	1976	-	BKD 655	BKM 1270	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Swenda	Roman	-	-	BKD 654	BKM 1768	BKD-4	23	Suchorska	Maria	1952	-	BKD 653	BKM 1761
Swenda	Wojciech	1977	-	BKD 656	BKM 1776	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Szeliga	Dorota	1961	-	-	BKM 1159	BKM-1	24	Malanek	Wojciech	1973	-	-	BKM 1604
Szeliga	Wieslaw	1932	-	-	BKM 1158	BKM-1	24	Calkosinska	Ewa	1932	-	-	BKM 778
Szeliga	Wojciech	1962	-	-	BKM 1160	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Szmitt	Józefa	-	-	BKK 418	-	BKD-1	13	Bartoszewicz	Joachim Stanislaw	-	-	-	BKM 196
Tomaszewski	Mateusz	2009	-	BKD 697	BKM 1788	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Tomaszewski	Mateusz	2009	-	BKD 697	BKM 1788	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Tomaszewski	Robert	1976	-	BKD 696	BKM 1787	BKD-4	23	Górska	Agnieszka, Aleksandra	1973	-	BKD 695	BKM 1137
Tomaszewski	Robert	1976	-	BKD 696	BKM 1787	BKM-1	24	Górska	Agnieszka, Aleksandra	1973	-	BKD 695	BKM 1137
Treter	Kalina	1930	-	-	BKM 785	BKM-1	24	Wasilewski	Tomasz	1922	1988	-	BKM 1163
Treter	Kazimierz	1904	-	-	BKM 783	BKM-1	24	Grabska	Janina	1908	1957	-	BKM 781
Trzebinska	Halina Maria	1908	2004	BKD 624	BKM 538	BKD-4	23	Bylina	Waclaw	-	-	BKD 625	BKM 883
Trzebinska	Izabela Maria	1909	1950	BKD 628	BKM 539	BKD-4	23	Jaraczewski	Tadeusz, Nikodem	1899	1948	BKD 629	BKM 540
Trzebinska	Janina, Maria, Teresa	1911	-	BKD 630	BKM 541	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Trzebinski	Bogdan, Boleslaw, Józef, Dionizy	-	1932	BKD 623	BKM 737	BKD-4	23	Damska	Janina Józefa	1882	1958	BKD 622	BKM 233
Tucholka	Teresa	1927	-	BKD 74	BKM 846	BKD-4	23	Donimirski	Zygmunt	1919	1997	BKD 73	BKM 560
Unrug	Antonina	1925	1982	BKD 497	BKM 554	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Unrug	Franciszek	1887	1945	BKD 61	BKM 549	BKD-4	23	Damska	Aleksandra, Zofia, Maria	1891	1962	BKD 59	BKM 235
Wallis	Aleksander	1930	1984	-	BKM 804	BKM-2	25	Grabska	Elzbieta	1930	-	-	BKM 803
Wasilewska	Katarzyna	1955	-	-	BKM 1166	BKM-1	24	Maradie	John	-	-	-	BKM 1611
Wasilewska	Katarzyna	1955	-	-	BKM 1166	BKM-1	24	Kebler	Steve	-	-	-	BKM 1612
Wasilewska	Marta	1949	-	-	BKM 1164	BKM-1	24	Anderson	Dawid	1971	-	-	BKM 1607
Wasilewska	Marta	1949	-	-	BKM 1164	BKM-1	24	Dogget	Laurence	-	-	-	BKM 1608
Wasilewski	Tadeusz	1952	1975	-	BKM 1165	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Wasilewski	Tomasz	1922	1988	-	BKM 1163	BKM-1	24	Treter	Kalina	1930	-	-	BKM 785
Wichlinska	Zofia	-	-	BKD 510	BKM 900	BKD-4	23	Rembowski	Maciej	1920	2010	BKD 506	BKM 553
Wierzchleyski	Teodozjusz	1881	1945	-	BKM 309	BKM-3	26	Mittelstaedt	Zofia	1890	-	-	BKM 263

Maria z Bartoszewiczów Kamkowska
WSPOMNIENIA - CZERWIEC 2013

Wilk	Jadwiga	-	-	BKD 91	BKM 1198	BKD-4	23	Dambski	Janusz	1958	-	BKD 90	BKM 829
Wisniewska	Halina	1892	-	-	BKM 432	BKM-1	24	Chadzynski	Stefan	1887	1945	-	BKM 756
Wisniewska	Zofia	-	-	-	BKM 1130	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Wisniewski	Bogdan	-	-	-	BKM 755	BKM-1	24	Freyer	Jolanta	-	-	-	BKM 1129
Wisniewski	Feliks, Joachim	1890	1967	-	BKM 431	BKM-1	24	Czynska	N.	-	-	-	BKM 754
Wisniewski Prus	Feliks	1860	1932	-	BKM 201	BKM-1	24	Bartoszewicz	Maria	1866	1938	-	BKM 200
Wojciechowska	Zofia	1905	1992	-	BKM 793	BKM-2	25	Grabski	Wladyslaw, Jan	1901	1970	-	BKM 477
Wojciechowski	Michael, Wojciech	1973	-	-	BKM 1162	BKM-1	24	-	-	-	-	-	-
Wojciechowski	Ryszard	1944	-	-	BKM 784	BKM-1	24	Sharenberg	Joan, Gail	1945	-	-	BKM 1161
Wojciechowski	Stanislaw	1969	1970	-	BKM 794	BKM-2	25	Kiersnowska	Maria	-	-	-	BKM 795
Wojciechowski	Tadeusz	1908	1944	-	BKM 782	BKM-1	24	Grabska	Janina	1908	1957	-	BKM 781
Wojtkowiak	Maria, (Magdalena)	-	-	BKD 660	BKM 1274	BKD-4	23	Suchorski	Krzysztof	1958	-	BKD 659	BKM 1762
Wolska	Maria	-	-	BKD 717	-	BKD-3	22	Chmielowski	Adam	1951	-	BKD 716	-
Wozniak	Grzegorz	1962	-	BKD 727	-	BKD-3	22	Czarnota	Danuta	-	-	BKD 728	-
Wozniak	Jacek	1957	-	BKD 725	-	BKD-3	22	Pommersbach	Joanna	-	-	BKD 726	-
Wozniak	Zbigniew	1925	1977	BKD 724	-	BKD-3	22	Bryczynska	Teresa	1932	-	BKD 723	-
Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447	BKD-2	14	Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440
Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447	BKD-4	23	Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440
Wyganowski	Henryk	-	-	BKD 504	BKM 447	BKM-1	24	Bartoszewicz	Aleksandra	1912	2000	BKD 503	BKM 440
Wygodzka	Wanda	-	-	BKD 89	BKM 828	BKD-4	23	Dambski	Antoni, Rafal, (Tot)	1917	1995	BKD 88	BKM 488
Wygrzewalska	Grazyna	-	-	BKD 542	BKM 907	BKD-4	23	Donimirski	Jerzy	1913	1954	BKD 541	BKM 562
Zabielski	Ryszard	1966	-	BKD 690	BKM 1773	BKD-4	23	Górska	Anna, Maria	1965	-	BKD 689	BKM 1135
Zabielski	Ryszard	1966	-	BKD 690	BKM 1773	BKM-1	24	Górska	Anna, Maria	1965	-	BKD 689	BKM 1135
Zacharska	Janina	1930	-	-	BKM 1194	BKM-2	25	Laszczka	Andrzej	1930	-	-	BKM 816
Zajaczkowska	Katarzyna	1960	-	-	BKM 1183	BKM-2	25	Sikorski	Mirosław	1959	1986	-	BKM 1628
Zajaczkowski	Tomasz	-	-	-	BKM 1180	BKM-2	25	Grabska	Agnieszka, Maria, Katarzyna	1937	-	-	BKM 798
Zakrzewski	Stefan	1901	1973	-	BKM 402	BKM-3	26	Leitgeber	Regina Antonina	1921	1973	-	BKM 404
Zakrzewski	Witold	1902	1945	-	BKM 403	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Zakrzewski	Bogdan	1879	1950	-	BKM 255	BKM-3	26	N.	N.	-	-	-	BKM 256

Wyszogota													
Zakrzewski Wyszogota	Mieczysław	1875	1962	BKD 564	BKM 254	BKD-4	23	Damska	Izabela	1876	1958	BKD 563	BKD 177
Zakrzewski Wyszogota	Mieczysław	1875	1962	BKD 564	BKM 254	BKM-3	26	Damska	Izabela	1876	1958	BKD 563	BKD 177
Zakrzewski Wyszogota	Witold	1840	1923	-	BKM 253	BKM-3	26	Mittelstaedt	Aleksandra	1846	1921	-	BKM 82
Zakrzewski Wyszogota	Witold	-	-	-	BKM 257	BKM-3	26	-	-	-	-	-	-
Zaleska	Antonina	1865	1931	BKD 431	-	BKD-3	22	Damski	Stanisław	1865	1941	BKD 426	-
Zawala	Magdalena	1969	-	BKD 444	BKM 906	BKD-3	22	Strzyż	Stanisław	1968	-	BKD 443	BKM 905
Zielonacka	Bronisława	-	-	BKD 84	BKM 211	BKD-4	23	Damski	Władysław	-	1885	BKD 82	BKM 73
Zaboklicka	Irena	-	1994	-	BKM 788	BKM-2	25	Kirkor	Stanisław	1898	1983	-	BKM 472
Zak	Anna, Maria	1966	-	-	BKM 1640	BKM-2	25	Laszcza	Artur, Andrzej	1965	-	-	BKM 1197
Zółtowski	Leon	2009	-	BKD 711	BKM 1794	BKD-4	23	-	-	-	-	-	-
Zółtowski	Ludwik	1979	-	BKD 710	BKM 1793	BKD-4	23	Suchorska	Teresa	1981	-	BKD 649	BKM 1266

K O N I E C .

